



LOUIS DE BERNIÈRES

KAPITAN CORELLI

Louis de Bernières

Kapitan Corelli

w innym tłumaczeniu “Mandolina kapitana Corellego”

Captain Corelli’s mandolin

Przełożył Marek Fedyszak

*Moim rodzicom,
Którzy w różnych miejscach
i na różne sposoby
walczyli przeciw faszystom i nazistom
stracili wielu najbliższych przyjaciół
i nigdy nie usłyszeli słowa podziękowania*

Żołnierz

Choć uśmiech wesoły nie schodzi im z warg
I okrzyki radosne – tu, w tym świecie niemym,
Młodzieńcy smukli wędrują bez skarg,
Lecz wśród tych pól zimnych słowo – jeno cieniem.

Tutaj lok złoty w mroku traci blask,
A powietrze zbyt rzadkie, żeby unieść słowa.
Siwizny włosów nie rozjaśni brzask,
Zbyt wczesna starość o miłości słuchać niegotowa.

Lecz jęków bezgłośnych rozlega się chór
I jeden drugiego tu pyta wzajemnie:
Czy warto było stać w walce jak mur?
Kto wie, czy nie zginęliśmy daremnie?

Po rajskich polach bezkresnych, hen, hen,
Niespokojni młodzieńcy błądzą niby we śnie,
Odnaleźć pragnąc piękny, złoty sen
O świecie, który im zabrano nazbyt wcześnie.

Humbert Wolfe

I

Doktor Janis zaczyna pisać historię wyspy i jest niezadowolony

Doktor Janis był zadowolony z dnia, w którym żaden z jego pacjentów nie umarł ani nie poczuł się gorzej. Asystował przy zaskakująco łatwym cieleniu się krowy, naciął jeden ropień, usunął jeden trzonowy ząb, zaaplikował pewnej kobiecie lekkich obyczajów salwarsan, wykonał nieprzyjemną, lecz wzorcowo wręcz skuteczną lewatywę i dokonał cudu dzięki kuglarskiej sztuczce medycznej.

Zachichotał pod nosem, gdyż ów cud bez wątpienia był już przedstawiany jako wyczyn godny świętego Jerasimosa. Poszedł do domu starego Stamatisa, wezwany, by zająć się jego bolącym uchem, i w pewnym momencie zapuścił spojrzenie w przewód słuchowy – wilgotniejszy, bardziej liszajowaty i bardziej wypełniony stalagmitami niż jaskinia Drogarati. Zabrał się do usuwania liszajów małym wacikiem, nasączonym alkoholem i owiniętym wokół długiej zapalki. Zdawał sobie sprawę, że stary Stamatis jest głuchy na owo ucho od dzieciństwa i że stale go ono boli, ale mimo to był zaskoczony, gdy głęboko w tej włochatej niszy natrafił końcem zapalki na coś twardego i nieruchomego – coś, czego obecności nie dało się wytłumaczyć ani fizjologicznie, ani anatomicznie. Podprowadził starca do okna i otworzył na oścież okiennice. Eksplozja południowego ciepła i światła natychmiast zalała pokój promiennym, oślepiającym blaskiem, jakby jakiś natrętny i zbyt świetlisty anioł nieopatrznie wybrał to miejsce na objawienie. Sędziwa żona Stamatisa cmoknęła z dezaprobatą; dobra gospodyni nie wpuszcza tyle światła do domu o tej porze dnia. Stamatisowa była pewna, że światło wzbilo kurz; wyraźnie widziała pyłki unoszące się z powierzchni sprzętów.

Doktor Janis przechylił głowę starca i zajrzał mu do ucha. Długą zapalką odgarnął poszycie ze sztywnych siwych włosów, osypanych płatkami złuszczonego strupa. W środku przewodu znajdował się kulisty obiekt. Janis oskrobał jego powierzchnię, usuwając twardą brązową powłokę z wosku, i ujrzał ziarnko grochu. Był to bezspornie groch – jasnozielony, lekko pomarszczony – i nie mogło być co do tego wątpiwości.

- Czy wepchnąłeś sobie kiedyś coś do ucha? – zapytał.
- Tylko palec – odparł Stamatis.
- Od jak dawna jesteś głuchy na to ucho?
- Odkąd tylko pamiętam.

Przed oczyma doktora pojawił się absurdalny obraz. Ujrzał Stamatisa jako małego berbecia, z tą samą guzowatą twarzą, zgarbionego w identyczny sposób, z takimi samymi kępami włosów w uszach, wyciągającego rękę do kuchennego stołu i wyjmującego suszone ziarnko z drewnianej misy. Mały Stamatis wsunął groszek do ust, stwierdził, że jest zbyt twardy, by go rozgryźć, i wepchnął sobie ziarenko do ucha. Doktor zachichotał i zauważył:

- Musiałeś być naprawdę nieznośnym dzieckiem!
- Był istnym diabłem.
- Milcz, kobieto, wtedy mnie jeszcze w ogóle nie znałaś.
- Wiem to od twojej matki, niech jej Bóg da wieczne odpoczywanie – odparła staruszka, ściągając usta i zakładając ręce na piersi – i od twoich sióstr.

Doktor Janis rozważał zaistniały problem. Niewątpliwie było to ziarnko uparte i odporne i utkwilo zbyt mocno, by je podważyć.

- Macie haczyk do połowu kielbi, taki długi? I lekki młotek?
- Małżonkowie spojrzeli na siebie, myśląc, że ich doktor musiał postradać zmysły.
- A co to ma wspólnego z bólem mojego ucha? – podejrzliwie zapytał Stamatis.
 - Masz zator narządu słuchu – odparł doktor, świadom konieczności zachowania pewnej lekarskiej mistyki. Doskonale zdawał sobie sprawę, że diagnoza „masz ziarnko grochu w uchu” nie przysporzyłaby mu sławy.
 - Mogę usunąć ciało obce za pomocą haczyka i małego młotka. To idealny sposób pokonania *un embarras de petit pois*.¹ – Wymówił francuskie słowa z przesadnie paryskim akcentem, choć ironia w nich zawarta była oczywista tylko dla niego.

Haczyk i młotek zostały przyniesione zgodnie z jego życzeniem i Janis ostrożnie wyprostował drut na kamiennych płytach posadzki. Potem przywołał starca i kazał mu położyć głowę na parapecie, gdzie było dość światła. Stamatis czekał na interwencję, przewracając oczyma, a staruszka zakryła oczy rękami i obserwowała go przez palce.

- Niech się pan pośpieszy, doktorze! – zawołał Stamatis. – Ten parapet jest rozpalony

jak diabli.

Doktor ostrożnie włożył wyprostowany haczyk do włochatego otworu i uniósł młotek, by zaraz potem opuścić go pod wpływem ochrypłego wrzasku, bardzo przypominającego krzyk kruka. Sędziwa żona Stamatisa, zdumiona i przerażona, lamentowała, załamując ręce:

– Ooooo, wbijesz mu haczyk w mózg! Chryste, miej litość, chrońcie nas, Maryjo i wszyscy święci!

Jej krzyk sprawił, że doktor znieruchomiał; doszedł do wniosku, że jeżeli ziarno jest bardzo twarde, wąs haczyka najprawdopodobniej nie przejdzie na drugą stronę, lecz wepchnie groszek jeszcze głębiej. Mógłby nawet przebić bębenek. Janis wyprostował się i w zadumie podkręcił białego wąsa.

– Zmiana planu – oznajmił. – Po głębszym namyśle postanowiłem, że lepiej będzie napęcznieć ucho wodą i rozmiękczyć ciało obce. Kobieto, musisz napęcznieć jego ucho ciepłą wodą, do czasu, aż wrócę dziś wieczorem. Nie pozwalaj, by pacjent się ruszał, dopilnuj, by cały czas leżał na boku z pełnym uchem wody. Czy to jasne?

Doktor Janis wrócił o szóstej i udało mu się wydobyć haczykiem rozmiękłe ziarnko bez pomocy młotka. Usunął je dość zgrabnie i zademonstrował małżonkom. Żadne z nich nie rozpoznało w powleczonej grubą skorupą ciemnego wosku, obrzydliwej i cuchnącej bryłce ziarnka rośliny strączkowej.

– Jest bardzo motylkowa, nieprawdaż? – zapytał lekarz.

Staruszka pokiwała głową z wyrazem udawanego zrozumienia na twarzy, a zarazem błyskiem zdumienia w oczach. Stamatis przytknął dłoń do głowy i wykrzyknął:

– Zimno tu! Mój Boże, ale głośno. Chodzi mi o to, że wszystko jest głośne. Mój własny głos jest głośny.

– Twoja głuchota została uleczona – obwieścił doktor Janis. – Myślę, że to była bardzo udana operacja.

– Miałem operację – rzekł zadowolony Stamatis. – Nie znam nikogo innego, kto ją przeszedł. I teraz słyszę. To cud, prawdziwy cud. Czuję pustkę w głowie, coś takiego, jakby była wypełniona po brzegi źródlaną wodą, zimną i czystą.

– Więc jak, jest pusta czy pełna? – zapytała staruszka. – Mów z sensem, skoro pan doktor był łaskaw cię uleczyć. – Ujęła dłoń Janisa w obie ręce i ucałowała ją.

Niedługo potem doktor szedł do domu z tłustą pulardą pod każdą pachą, ciemnymi,

¹ kłopotu z ziarnkiem grochu

lśniącymi bakłażanami powtykanymi we wszystkie kieszenie marynarki i antycznym ziarnkiem grochu zawiniętym w chusteczkę. Miało ono wzbogacić zbiory jego prywatnego muzeum medycyny.

Opłaty tego dnia były sowite; Janis otrzymał także dwie bardzo duże langusty, garnek smażonych młodych rybek, bazylię oraz propozycję odbycia stosunku (w dogodnym dla niego terminie). Doszedł do wniosku, że nie skorzysta z tej szczególnej oferty, nawet gdyby salwarsan poskutkował. Został mu jeszcze cały wieczór na pisanie historii Kefalonii, oczywiście jeśli Pelagia nie zapomniała dokupić oliwy do lamp.

Okazało się, że „Nowa historia Kefalonii” przysparza mu problemów; odnosił wrażenie, iż nie można jej napisać bez wtępow w postaci własnych odczuć i przesądów. Obiektywizm wydawał się zupełnie nieosiągalny i Janis czuł, że na swoje falstarty zużył chyba więcej papieru, niż normalnie zużywano na wyspie w ciągu roku. Krnąbrny głos uparcie pojawiający się w relacji był jego głosem – nigdy nie był głosem historyka. Brakowało mu podniosłości i bezstronności. Nie był głosem z Olimpu.

Janis usiadł i napisał:

Kefalonia to fabryka produkująca dzieci na eksport. Za granicą i na morzu żyje więcej Kefalończyków niż na wyspie. Nie ma tu przemysłu, który scala rodziny, brakuje ziemi uprawnej, ryb w morzu nie starcza dla wszystkich. Nasi ludzie wyjeżdżają za granicę i wracają tu, żeby umrzeć, jesteśmy więc wyspą dzieci, starych panien, księży i starców. Jedyłą dobrą stroną tej sytuacji jest to, że tylko piękne kobiety znajdują mężów wśród tych mężczyzn, którzy zostali, a presja doboru naturalnego doprowadziła do tego, iż mamy najpiękniejsze kobiety w całej Grecji, a być może i w całym basenie Morza Śródziemnego. Nieszczęście polega na tym, że piękne i pełne werwy kobiety wychodzą u nas za mąż za najbardziej groteskowo wyglądających i całkowicie nieodpowiednich mężczyzn, którzy nie są i nigdy nie mogliby być nic warci, a kobiety smutne i brzydkie, których nikt nie chce, rodzą się, by żyć jako wdowy po nie istniejących mężach.

Doktor nabił fajkę i przeczytał powyższe słowa. Przez chwilę słuchał, jak Pelagia hałaśliwie krząta się na podwórzu, czyniąc przygotowania – miała ugotować langusty. Przeczytał to, co napisał o pięknych kobietach, i przypomniał sobie swoją żonę, równie śliczną jak teraz jej córka, a zmarłą na gruźlicę mimo wszelkich jego wysiłków. *Ta wyspa zdradza jej rdzennych mieszkańców przez sam fakt swego istnienia*, zapisał, po czym zmiął kartkę i cisnął ją w róg pokoju. To na nic; dlaczego nie potrafi pisać jak prawdziwy historyk?

I obiektywnie? Bez złości? Bez poczucia zdrady i bez przygnębienia? Podniósł kartkę, pozaginaną już na rogach, którą zapisał na początku. Była to strona tytułowa: „Nowa historia Kefalonii”. Skreślił pierwsze słowo i zastąpił je określeniem „Prywatna”. Teraz mógł nie pamiętać o pomijaniu naładowanych emocjami przymiotników i urazach z zamierchłej przeszłości, teraz mógł mówić językiem pełnym jadu o Rzymianach, Normanach, Wenecjanach, Turkach, Brytyjczykach, a nawet o samych wyspiarzach. Napisał:

Na poły zapomniana Kefalonia wyrasta nieprzezornie i nieroztropnie z Morza Jońskiego; jest wyspą tak bezgranicznie antyczną, że same skały tchną nostalgią, a czerwona ziemia leży otepiała nie tylko od słońca, ale i od potwornego brzemienia dziejów. Okręty Odyseusza zostały zbudowane z kefalońskiej sosny, członkowie jego straży przybocznej byli olbrzymami z Kefalonii, a co poniektórzy twierdzą, że jego pałac znajdował się nie na Itace, lecz na Kefalonii.

Ale zanim jeszcze ów przebiegły wędrowny król stał się faworytem Ateny bądź dryfował zdany na łaskę fal rozpętanych złośliwością nieprzejednanego Posejdona, ludy mezolitu i neolitu łupały noże z obsydianu i zarzucały sieci na ryby. Potem pojawili się Achajowie, władcy Myken; pozostawili po sobie skorupy amfor i groby w kształcie piersi oraz potomków, którzy długo po wyjeździe Odyseusza walczyli po stronie Aten, byli ciemieni przez Spartan, a następnie pokonali nawet cierpiącego na megalomanię Filipa Macedońskiego, ojca Aleksandra, znanego jako Wielki, i jeszcze większego niż on sam megalomana.

Była to wyspa pełna bogów. Na szczycie góry Enos znajdowała się świątynia Zeusa; następną wzniesiono na maleńkiej wyspie Thios. Demeter czczono za to, że uczyniła z wyspy spichlerz Jonii; podobną czcą darzono Posejdona – boga, który zgwałcił ją, zmieniając się w ogiera. Urodziła potem czarnego konia i tajemniczą córkę, której imię odeszło w niepamięć, gdy misteria eleuzyńskie zostały zakazane przez chrześcijan. Tutaj także przebywał Apollo, zabójca Pytona, strażnika wnętrza ziemi, piękny, młodzieńczy, mądry, sprawiedliwy, silny, biseksualny aż do przesady, i jedyny bóg, któremu pszczoły zbudowały świątynię z wosku i piór. Czcą darzono tu również Dionizosa, boga wina, przyjemności i odradzającej się przyrody, ojca małego chłopca, przywiązanego do najpotężniejszego penisa, jaki kiedykolwiek krępował ruchy człowieka lub boga, splodzonego w związku z Afrodytą. Miała tu także swoich czcicieli Artemida, łowczyni o wielu piersiach, bogini o przekonaniach tak radykalnie feministycznych, że Akteona, który przypadkiem ujrzał ją nagą w kąpielu, zmieniła za karę w jelenia i pozwoliła rozszarpać własnym psom, a zakochanego w niej Oriona ukarała za

przypadkowe dotknięcie śmiertelnym ukąszeniem skorpiona. Etykiety przestrzegała tak pedantycznie i karała za jej naruszenie tak błyskawicznie, że całe dynastie mogły stracić władzę i życie za jedno niestosowne słowo lub ofiarę spóźnioną o pięć minut. Na wyspie znajdowały się także świątynie ku czci Ateny, wiecznej dziewicy, która (z wielką wyrozumiałością w porównaniu z Artemidą) oślepiła Tejrezjasza za to, że zobaczył ją nagą w kąpieli, wykazywała niezwykle uzdolnienia w rzemiosłach nieodzownych w gospodarce i życiu domowym i patronowała hodowli wołów i koni oraz uprawie oliwek.

W wyborze bogów mieszkańcy wyspy wykazywali się wielkim rozsądkiem, stanowiącym tajemnicę ich przetrwania przez wieki; jest rzeczą oczywistą, że należy czcić króla bóstw i że winiarze powinni czcić Dionizosa (to nadal najczęściej spotykane imię na wyspie), że Demeter powinna być czczona za zapewnienie samowystarczalności jej mieszkańcom, że Atenie należy oddawać cześć za jej dary mądrości i umiejętności radzenia sobie w życiu codziennym (przypadła jej także w udziale piecza nad niezliczonymi kryzysami militarnymi). Nie należy się też dziwić kultowi Artemidy, stanowił on bowiem ekwiwalent niezawodnej polisy ubezpieczeniowej; Artemida była kłopotliwym gzem, który najlepiej, żeby dokazywał gdzie indziej.

Wybór Apollina na obiekt kultu Kefalończyków jest najbardziej, a zarazem najmniej zagadkowy. Nie można go wyjaśnić tym, którzy nigdy nie przebywali na wyspie, dla tych zaś, którzy ją znają, jest oczywisty, gdyż Apollo to bóg kojarzony z potęgą światła. Cudzoziemcy, którzy tu lądują, na dwa dni tracą wzrok.

To światło, które wydaje się biec w próżni, jest zupełnie dziewicze, daje nieprawdopodobną ostrość obrazu, ma w sobie heroiczną siłę i jaskrawość. Ukazuje barwy w stanie poprzedzającym upadek pierwszych ludzi, jakby wprost z wyobraźni Boga z czasów Jego młodości, gdy jeszcze wierzył, że wszystko jest dobre. Ciemna zieleń sosen jest nieprawdopodobnie wręcz głęboka, a ocean oglądany ze szczytu urwiska nader szczodry w swym pokazie błękitu i turkusu, szmaragdu, zieleni Guigneta i lapis-lazuri. Kozie oko to żywy kamień półszlachetny, przypomina trochę bursztyn, swierszcze zaś mają barwę fluoryzującej zieleni najświeższych źdźbeł trawy w biblijnym Edenie. Z chwilą gdy oczy oswajają się z dziewiczą czystością tego światła, światło każdego innego miejsca jest w porównaniu z nim marne i mętne jak brudna woda; jest ledwie czymś, co widzi się mimochodem – rozczarowaniem, skazą. Na Kefalonii nawet woda morska jest bardziej przejrzysta niż powietrze gdziekolwiek indziej; można w niej pływać, obserwując odległe dno morza, i wyraźnie widzieć ponure drętwy, którym z jakiegoś powodu zawsze towarzyszą drobne płastugi.

Uczony lekarz odchylił się do tyłu i czytał to, co właśnie napisał. Tekst wydał mu się naprawdę bardzo poetyczny. Przeczytał go znowu i delektował się niektórymi zwrotami. Na marginesie zapisał:

Uwaga, wszyscy Kefalończycy to poeci. W którym miejscu mogę o tym wspomnieć?

Potem wyszedł do ogrodu i oddał mocz na grządkę z miętą. Nawoził ziola azotem na przemian; dziś mięta, jutro oregano. Wrócił do pokoju dokładnie w chwili, gdy mały koziołek Pelagii z wyraźnym zadowoleniem pożerał jego twórczość. Wyrwał papier z pyska zwierzęcia i wygonił je na dwór. Koziołek zwinnie umknął za próg i beczał oburzony za masywnym pniem drzewa oliwnego.

– Pelagio – uniósł się oburzeniem doktor – ten twój przeklęty przeżuwacz pożarł wszystko, co dzisiaj napisałem! Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie wpuszczała go do domu? Jeszcze parę takich wybryków, a skończy na rożnie. To moje ostatnie ostrzeżenie. Mam dość problemów z trzymaniem się tematu, żeby jeszcze ta bestia niszczyła wszystko, co napisałem.

Pelagia spojrzała na ojca, uśmiechnęła się i rzekła:

– Kolację zjemy około dziesiątej.

– Słyszałaś, co powiedziałem? Powiedziałem: odtąd żadnych kóz w domu, czy to jasne?

Pelagia przestała kroić paprykę w pierścionki, odgarnęła zabłąkany włos z twarzy i odparła:

– Lubisz go tak samo jak ja.

– Po pierwsze, nie lubię tego przeżuwacza, a po drugie, nie będziesz ze mną dyskutować. Za moich czasów córki nie dyskutowały z ojcami. Nie pozwolę na to.

Pelagia oparła rękę na biodrze i skrzywiła twarz.

– Tatusiu, twoje czasy jeszcze nie minęły. Nie umarłeś jeszcze, prawda? Tak czy owak, koziołek cię lubi.

Doktor Janis odwrócił się, rozbrojony i pokonany. Nie było sytuacji paskudniejszej niż ta, gdy córka stosowała kobiece fortele wobec własnego ojca, a zarazem przypominała mu o swej matce. Janis wrócił do stołu i wziął nową kartkę. Pamiętał, że w ostatnim podejściu zdołał jakoś odejść od tematu bogów i napisać o rybach. Z literackiego punktu widzenia to, że tekst został zjedzony, prawdopodobnie nie było żadną stratą. Zapisał:

Tylko wyspa tak zuchwała jak Kefalonia byłaby na tyle beztroska, by usadowić się na linii uskoku, który naraża ją na okresowe niebezpieczeństwo katastrofalnych trzęsień ziemi. Jedynie wyspa tak zmanierowana, jak ta, dopuściłaby do inwazji tabunów beztroskich i zuchwałych kóz.

II

Duce

Chodź tu. Tak, do ciebie mówię. Chodź tutaj. Powiedz mi coś. Który profil mam lepszy, prawy czy lewy? Naprawdę tak sądzisz? Nie jestem tego taki pewien. Myślę, że dolna warga lepiej układa się po drugiej stronie. Zgadzasz się, prawda? Przypuszczalnie zgadzasz się ze wszystkim, co mówię? Zgadzasz się. Jak w takim razie mam polegać na twoim sądzie? A jeśli powiem, że Francja jest zrobiona z bakelitu, to co, czy to prawda? Przyznasz mi rację? Co masz na myśli, mówiąc „tak, proszę pana”, „nie wiem, proszę pana”? Co to za odpowiedź? Czyżbyś był kretynem? Przynies mi jakieś lustra, żebym mógł sam zobaczyć.

Tak, to bardzo ważne, a także zupełnie naturalne, że ludzie widzą we mnie apoteozę italskiego ideału. Nie przyłapiasz mnie na pozowaniu do kamery w bieliźnie. Z tego samego powodu nie zobaczysz mnie już w garniturze i krawacie. Nikt nie będzie mnie uważał za biznesmena, zwykłego biurokratę, a ten mundur, cokolwiek się dzieje, to ja. Jestem uosobieniem Italii, być może nawet uosabiam ją bardziej niż sam król. Oto Włochy, eleganckie i wojownicze, gdzie wszystko działa jak w zegarku. Italia nieugięta jak stal. Jedno z wielkich mocarstw, odkąd uczyniłem ją potęgą.

Ach, są lustra. Postaw je tam. Nie tu, idioto. Tak, tam. A teraz ustaw drugie w tamtym miejscu. W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, czy ja wszystko muszę robić sam? Człowieku, co z tobą? Hm, chyba podoba mi się lewy profil. Przechyl to lustro nieco w dół. Bardziej, bardziej. Już, wystarczy. Wspaniale. Musimy zrobić tak, żeby ludzie zawsze oglądali mnie z dołu. Muszę być zawsze wyżej od nich. Poślij kogoś na miasto, żeby znalazł najlepsze balkony. Zanotuj to. Zanotuj jeszcze jedno, dopóki pamiętam. Z nakazu Duce wszystkie góry w Italii mają być maksymalnie zalesione. Co znaczy „po co”? To chyba oczywiste. Im więcej drzew, tym więcej śniegu, wie o tym każde dziecko. We Włoszech powinno być zimniej, aby ludzie, którzy się tu rodzą, byli twardsi, bardziej zaradni, bardziej prężni. To smutna prawda, ale jednak prawda, że nasi chłopcy nie są tak dobrym materiałem na żołnierzy, jak ich ojcowie. Muszą być zimniejsi, jak Niemcy. Lód w sercu, tego nam trzeba. Przysięgam, że w tym kraju ociepliło się od czasów pierwszej wojny światowej. To rozleniwia ludzi, czyni ich nieudolnymi. Sprawia, że nie pasują do imperium. Zmienia życie

w sjęstę. Nie na darmo zwą mnie Czuwającym Dyktatorem – nie przyłapiesz mnie na drzemce przez całe popołudnie. Zanutuj. To będzie nasz nowy slogan: *Libro e Moschetto – Fascisto Perfetto*.² Chcę, żeby ludzie zrozumieli, że faszyzm to rewolucja nie tylko społeczno-polityczna, ale i kulturalna. Każdy faszysta musi mieć książkę w plecaku, rozumiesz? Nie będziemy filistrami. Chcę, żeby faszystowskie kluby książki powstały w najmniejszych nawet miastach i nie życzę sobie, żeby ci cholerni *squadristi* ³ puszczali je z dymem, czy to jasne?

I co to za historia z tym pułkiem piechoty alpejskiej, który przemaszerował przez Weronę, śpiewając: *Vogliamo la pace e non uogliamo la guerra*?⁴ Żądam śledztwa w tej sprawie. Nie pozwolę, żeby nasze elitarne oddziały maszerowały z pacyfistyczno-defetystycznymi pieśniami na ustach, kiedy nawet nie wzięliśmy się jeszcze porządnie do wojowania. A skoro już mowa o piechurach alpejskich, co to znów za bijatyki z legionistami? Co jeszcze mam zrobić, żeby wojsko zaakceptowało milicję? A może by tak następny slogan: „Wojna jest dla mężczyzny tym, czym macierzyństwo dla kobiety”? Przyznasz chyba, że bardzo dobry. Świetne hasło o bardzo męskim wydźwięku, o wiele lepsze od: „Kościół, kuchnia i dzieci” na każdy dzień tygodnia. Zadzwoń do Clary i powiedz, że przyjdę dziś wieczorem, jeżeli uda mi się wyrwać od żony. A: „Ze śmiałą rozważą”? Nadaje się? Jesteś pewien? Nie przypominam sobie, by Benni użył tego zwrotu w swoim przemówieniu. To musiało być lata temu. Może jednak rzeczywiście ten slogan nie jest najlepszy.

Zanutuj jeszcze to. Chcę, by nasi ludzie w Afryce dobrze zrozumieli, że praktyka tak zwanego *madamismo* musi się skończyć. Naprawdę nie mogę pozwolić, by włoscy mężczyźni zakładali rodziny z miejscowymi kobietami i obniżali czystość naszej rasy. Nie, nie obchodzą mnie miejscowe prostytutki. *Sciarmute* są niezbędne dla podtrzymania morale naszych ludzi. Ale nie będę tolerował romansów, to wszystko. Co rozumiesz przez to, że Rzym sprzyjał asymilacji? Wiem o tym i wiem, że odbudowujemy imperium, ale to inne czasy. To czasy faszyzmu.

A skoro mowa o czarnuchach, widziałeś mój egzemplarz pamfletu „Partito e Impero”? Podobają mi się ten kawałek: „Krótko mówiąc, musimy starać się wykształcić w ludziach włoskich mentalność imperialistów i rasistów”. Ach tak, Żydzi. No cóż, chyba wyraźnie daliśmy do zrozumienia, że Włosi pochodzenia żydowskiego muszą zdecydować, czy są

² Książka i karabin – oto faszysta doskonały.

³ członkowie włoskich bojówek faszystowskich

⁴ Chcemy pokoju, nie chcemy wojny.

przede wszystkim Włochami, czy Żydami. Po prostu. Fakt, że Żydzi na całym świecie są antyfaszystami, nie uszedł mojej uwagi. Nie jestem idiotą. Doskonale wiem, że syjoniści są narzędziem brytyjskiej polityki zagranicznej. Co do mnie, to uważam, że musimy narzucić ograniczenia w zatrudnianiu Żydów w urzędach publicznych. Nie będę tolerował żadnych dysproporcji, nawet jeśli to oznacza, że niektóre miasta zostaną bez burmistrzów. Musimy dotrzymać kroku naszym niemieckim towarzyszom. Tak, wiem, że papieżowi to się nie podoba, ale ma zbyt dużo do stracenia, żeby ryzykować. Wie, że mogę wypowiedzieć traktaty laterańskie. Wbiłem mu trójząb w plecy i zdaje sobie sprawę, że w każdej chwili mogę go obrócić. Zrezygnowałem z ateistycznego materializmu w imię pokojowych stosunków z Kościołem, ale nie pójdę na dalsze ustępstwa.

Zanotuj. Żądam zamrożenia płac, żeby opanować inflację. Trzeba zwiększyć zasiłki rodzinne o pięćdziesiąt procent. Nie, nie sądzę, by drugie zniweczyło efekty pierwszego. Myślisz, że nie rozumiem zasad ekonomii? Ile razy muszę ci tłumaczyć, głupku jeden, że ekonomia faszystowska jest odporna na cykliczne zakłócenia kapitalizmu? Jak śmiesz zaprzeczać moim słowom i twierdzić, że wydaje ci się, iż prawda jest inna? Dlaczego uważasz, że przez te wszystkie lata zmierzaliśmy do autarkii? Mieliśmy pewne problemy na początku, i to wszystko, ty *zuccone*, *sciocco*, ty *balordo*.⁵ Wyślij Farinacciemu telegram z informacją, że jest mi przykro, że stracił rękę, ale czego się spodziewać, jeżeli ktoś łowi ryby przy użyciu granatów ręcznych? Powiedz prasie, iż stracił ją, dokonując jakiegoś heroicznego wyczynu. Zamieścimy artykuł na ten temat w poniedziałkowym „II Regime Fascista”. Coś w stylu: „Szef partii ranny w śmiałej akcji przeciwko Etiopczykom”. To mi przypomina o naszych doświadczeniach z gazami trującymi – jak nam idzie? Te przeciwko czarnym partyzantom? Mam tylko nadzieję, że te *rifiuti* ⁶ będą zdychały powoli. Jak najdłuższa agonia. *Pour encourager les autres*. ⁷ Czy najedziemy Francję? A może: „Faszyzm wznosi się ponad antagonizmy klasowe”? Czy Ciano już przyszedł? Dostaję raporty z całego kraju o zdecydowanie antywojennych nastrojach. Nie mogę tego zrozumieć. Przemysłowcy, burżuazja, klasy pracujące, a nawet armia, na litość boską. Tak, wiem, że czeka delegacja artystów i intelektualistów. Co? Mają zamiar wręczyć mi nagrodę? Przyślij ich natychmiast.

Dobry wieczór, panowie. Muszę przyznać, że otrzymać nagrodę od naszych, tego, najwspanialszych umysłów to wielka przyjemność. Przyjmuję ją z dumą. Jak się posuwa praca nad pana nową powieścią? Ach, przepraszam, zupełnie zapomniałem. Oczywiście, że

⁵ Ośle, cymbale, głupku, idioto

⁶ wyrzutki

jest pan rzeźbiarzem. Drobne przejęzyczenie. Mój nowy pomnik? Znakomicie. Mediolan potrzebuje pomników, prawda? Pozwólcie, panowie, że przypomnę, aczkolwiek z pewnością wam nie trzeba o tym przypominać, iż faszyzm to w gruncie rzeczy koncepcja estetyczna, a waszym jako twórców pięknych rzeczy zadaniem jest skuteczne portretowanie majestatycznego piękna i nieuchronnej realności faszystowskiego ideału. Pamiętajcie o tym. Jeżeli siły zbrojne są jajami faszyzmu, a ja jego mózgiem, wy jesteście jego wyobraźnią. Spoczywa na was wielka odpowiedzialność. A teraz, panowie wybaczą, sprawy wagi państwowej, wiecie, jak to jest. Mam audiencję u Jego Królewskiej Wysokości. A jakże, przekażę mu wyrazy waszej najgłębszej lojalności. Tego z pewnością oczekuje. Do widzenia.

W ten sposób się ich pozbyłem. Czyż nie jest urocza? Mógłbym ją dać Clarze. Na pewno uzna ją za zabawną. Ach, Ciano przyjdzie, prawda? W samą porę. Zapewne włączył się po polu golfowym. Cholernie idiotyczna gra, moim zdaniem. Gdyby ktoś próbował trafić w króliki lub zestrzeliwać kuropatwy, to jeszcze mógłbym zrozumieć. Nie można zjeść dołka w jednym uderzeniu, prawda? Nie można wypatroszyć dobrego uderzenia.

Ach, Galeazzo, jak dobrze, że cię widzę. Ależ wejdz. Bene, bene. Jak się miewa moja droga córka? Jak wspaniale jest zachować władzę w rodzinie, że tak powiem. Jak dobrze mieć kogoś, komu można ufać. Grałeś w golfa? Tak też myślałem. Rozumiem, to wspaniała gra, taka fascynująca, takie wyzwanie, tyleż intelektualne, co fizyczne. Żałuję, że sam nie mam na to czasu. Człowiek czuje się zupełnie skołowany, gdy rozmowa schodzi na mashie-niblicki, cleeki i mid-irony.⁸ Istne misterium eleuzyńskie. Powiedziałem „eleuzyńskie”. Mniejsza o to. Cóż za wspaniały garnitur. Jak świetnie skrojony. I jakie wspaniałe buty. Nazywają się „butami George'a”? Ciekawe dlaczego. Nie są angielskie? Nie ma to jak porządny but kawalerzysty, Galeazzo. Nie mogę z tobą konkurować w elegancji, sam to przyznaję. Jam jest z roli, a to najlepsze, co może być, skoro tak się składa, że rola jest włoska. Zgadzasz się ze mną?

A teraz posłuchaj, musimy raz na zawsze zrobić porządek z Grecją. Chyba zgadzamy się, że po wszystkich dotychczasowych osiągnięciach należy podjąć działania w nowym kierunku. Pomyśl o tym, Galeazzo. Gdy pisywałem do gazet, nie było mowy o włoskim imperium. Teraz, gdy jestem Duce, mamy imperium. To wspaniałe i trwałe dziedzictwo, co do tego nie może być wątpliwości. Symfonia jest oklaskiwana bardziej niż kwartet. Ale czy możemy poprzestać na Afryce i paru wyspach, o których nikt nie słyszał? Czy możemy

⁷ Żeby zastraszyć innych.

⁸ nazwy kijów golfowych

spocząć na laurach, gdy wszędzie dokoła widzimy podziały w łonie partii i stwierdzamy, że naszej polityce brakuje impetu? Musimy wsadzić dynamit w dupę narodu, nieprawdaż? Musimy utrzymać imperialny rozmach. Właśnie dlatego wracam do tematu Greków.

Przeglądałem kroniki. Po pierwsze, trzeba wymazać plamę na naszej historii, wyrównać zaległy rachunek. Zapewne zdajesz sobie sprawę, że chodzi mi o incydent w Tellini z 1923 roku. Nawiasem mówiąc, mam coraz silniejszą świadomość, że prowadzisz politykę zagraniczną niezależnie ode mnie i że w rezultacie często przemy w różnych kierunkach jednocześnie. Nie, nie protestuj, wspominam o tym tylko jako o godnym pożałowania fakcie. Nasz ambasador w Atenach jest skołowany i chyba w naszym interesie jest, by skołowany pozostał. Nie chcę, by Grazzi sugerował coś Metaksasowi, a ich przyjaźń jest nam na rękę. Nie naraziliśmy niczego na szwank. Zajęliśmy Albanię i napisałem do Metaksasa, by go uspokoić i pochwalić sposób, w jaki potraktował króla Zogu. Wszystko idzie jak po maśle. Tak, zdaję sobie sprawę, że Brytyjczycy poinformowali Metaksasa, że w razie inwazji pomogą w obronie Grecji. Owszem, wiem, że Hitler chce Greków w Osi, ale postawmy sprawę jasno – czy jesteśmy coś winni Hitlerowi? Wznieca wojnę w całej Europie, jego chciwość i nieodpowiedzialność wydają się nie mieć granic, a na domiar złego zajmuje rumuńskie pola naftowe, nie dzieląc się z nami zdobyczą. Co za bezczelność! Za kogo on się uważa? Obawiam się, Galeazzo, że musimy oprzeć nasze działania na obserwacji przebiegu wydarzeń, a trzeba przyznać, że Hitler najwyraźniej trafia bez pudła. Albo się do niego przyłączymy i podzielimy łupy, albo narazimy się na inwazję z Austrii, gdy tylko ten konus uzna za stosowne uderzyć. To kwestia korzystania z okazji i unikania niebezpieczeństw. To także kwestia rozszerzenia imperium. Musimy nadal wzniecać bunty wolnościowe w Kosowie i wspierać separatyzm w Camurii. Zdobywamy Jugosławię i Grecję. Pomyśl tylko, Galeazzo, całe wybrzeże Morza Śródziemnego przemienione w nowe imperium rzymskie. Mamy już Libię i teraz wystarczy tylko połączyć punkty. Musimy to zrobić w tajemnicy przed Hitlerem. Przez przypadek wiem, że Grecy zabiegali o jego gwarancje. Wyobraź sobie, pod jakim wrażeniem będzie Führer, gdy zobaczy, jak zagarniamy Grecję w ciągu paru dni. To z pewnością da mu do myślenia. Wyobraź sobie siebie na czele legionu faszystowskiego, gdy wjeżdżasz do Aten na wieżycze czołgu. Wyobraź sobie naszą flagę łopoczącą na Partenonie.

Pamiętasz plan Guzzoniego? Osiemnaście dywizji i roczne przygotowania? Wtedy powiedziałem: „Grecja nam nie przeszkadza i nic od niej nie chcemy”, a potem oznajmiłem Guzzoniemu, że wojna z Grecją jest wykluczona. Że Grecja to naga kość, niewarta życia jednego sardyńskiego grenadiera. Pamiętasz? No cóż, okoliczności się zmieniły, Galeazzo.

Powiedziałem tak, bo chciałem zdobyć Jugosławię. Czemuż by jednak nie zająć jednej i drugiej? Kto twierdzi, że będziemy potrzebowali roku, by się przygotować? Jakiś głupi stetryczały generał o staroświeckich poglądach, oto kto. Moglibyśmy to zrobić za tydzień przy użyciu jednej kohorty legionistów. Nie ma na świecie żołnierzy tak śmiałych i tak mężnych, jak nasi.

A Brytyjczycy prowokują nas. Nie mówię o bredniach De Vecchiego. No właśnie. De Vecchi powiedział ci, że Brytyjczycy zaatakowali łódź podwodną koło Lefkady, dwie następne koło Zakynthos i założyli bazę na Milos. Otrzymałem raport od kapitana Morisa, że nic takiego się nie wydarzyło. Musisz pamiętać, że De Vecchi to szaleniec i megaloman. Pewnego dnia, jeżeli tylko nie zapomnę, powieszę go za te jego sumiaste wąsy i wyrwę mu flaki bez znieczulenia. Dzięki Bogu, jest na Morzu Egejskim, a nie tutaj, bo inaczej tonąłbym w tych jego bredniach. Ten człowiek zmienia Morze Egejskie w kloakę.

Brytyjczycy zatopili jednak „Colleonego”, a Grecy jawnie pozwalają brytyjskim okrętom zawijać do swoich portów. Co to znaczy, że przez przypadek zbombardowaliśmy grecki statek dostawczy i niszczyciel? Przez przypadek? Mniejsza o to, będzie mniej okrętów do zatopienia. Grazi twierdzi, że w Grecji wcale nie ma brytyjskich baz, ale weźmiemy to za dobrą monetę, co? Mówienie, że są, w niczym nam nie zaszkodzi. Ważne, że dzięki nam Metaksas ma pełne portki strachu. Mam nadzieję, że mogę dać wiarę informacji z twojego raportu o tym, że greccy generałowie są po naszej stronie. Ale jeśli to prawda, dlaczego aresztowali Platisa? I gdzie się podziała forsa na łapówki dla urzędników? To idzie w miliony, cenne miliony, które lepiej było wydać na karabiny. Jesteś pewien, że mieszkańcy Epiru naprawdę chcą być Albańczykami? Skąd o tym wiesz? Rozumiem, wywiad. Aha! Postanowiłem nie pytać Bułgarów, czy chcą dokonać inwazji w tym samym czasie. Jasne, że ułatwiłoby nam to sprawę, ale i tak wygramy bez walki, a jeżeli Bułgarzy uzyskają korytarz do morza, to tylko przerwie nasze linie zaopatrzenia i łączności, nie sądzisz? W żadnym razie nie chcemy, by pławili się w blasku należnej nam chwały.

Chcę, żebyś zaaranżował parę ataków przeciwko nam. Nasza kampania wymaga uzasadnienia prawnego z uwagi na opinię społeczności międzynarodowej. Nie, nie o Amerykanów się boję. Ameryka nie ma militarnego znaczenia. Ale pamiętaj, chcemy dokonać inwazji w dogodnym dla nas momencie. Nie potrzebuję wielkiego *casus belli*, który zmusi nas do reakcji, zanim będziemy gotowi. Chyba powinniśmy wybrać jakiegoś albańskiego patriotę na ofiarę zamachu, tak by można było zwalić odpowiedzialność na Greków. Sądzę też, że powinniśmy zatopić grecki okręt wojenny w taki sposób, żeby było oczywiste, iż to nasze dzieło, nie na tyle jednak, byśmy nie mogli obwinie Brytyjczyków.

Chodzi o umiejętne zastraszenie, które osłabi wolę walki Greków.

Aha, postanowiłem również, że tuż przed inwazją ogłosimy demobilizację. To wydaje się perwersyjne? Co przez to rozumiesz? Chodzi o spowodowanie, by Grecy opuścili gardę, rozpoczęcie żniw i zachowanie pozorów normalizacji. Pomyśl o tym, Galeazzo. Pomyśl, jak przebiegły byłoby to posunięcie. Grecy oddychają z ulgą, a my natychmiast zadajemy im cios.

Rozmawiałem z szefami sztabu, mój drogi hrabio, i poprosiłem o przygotowanie planów inwazji na Korsykę, Francję i Wyspy Jońskie oraz nowej kampanii w Tunezji. Jestem pewien, że damy sobie radę. Stale narzekają na brak środków transportu, więc rozkazałem, by szkolono piechotę do marszów po osiemdziesiąt kilometrów dziennie. Mamy drobny problem z lotnictwem. Wszystkie nasze samoloty są w Belgii, więc chyba lada dzień będę musiał coś z tym fantem zrobić. Przypominaj mi o tym. No tak, Piccolo. Muszę z nim porozmawiać. Nie mogę pozwolić na to, by dowódca sił powietrznych był jedyną osobą, która nie wie, co jest grane. Nawet wojskowe sekrety mają swoje granice. Szefowie sztabu sprzeciwiają się moim pomysłom, Galeazzo. Badoglio patrzy na mnie jak na wariata. Pewnego dnia spojrzy w twarz swojej Nemezis i stwierdzi, że to moja twarz. Nie będę tego tolerował. Myślę, że powinniśmy zająć również Kretę i wyprzeć się tego przed Brytyjczykami.

Otrzymałem telegram z informacją, że możemy liczyć na zdrajców w greckich szeregach, że Grecy nienawidzą Metaksasa i króla, są bardzo przygnębieni i rozważają możliwość opuszczenia Camurii. Chyba Bóg nam sprzyja. Trzeba coś zrobić z faktem, że zarówno Jego Królewska Wysokość, jak i ja jesteśmy pierwszymi marszałkami królestwa. Nie można żyć wśród takich nieprawidłowości. Nawiasem mówiąc, Prasca zadepeszował do mnie, by mi przekazać, że nie potrzebuje posiłków do inwazji, więc dlaczego wszyscy mi mówią, że w żaden sposób nie zdołamy jej dokonać bez nich? Brak odwagi, oto przyczyna. Z doświadczenia wiem, że żaden ekspert nie jest tak zbalamucony, jak eksperci wojskowi. Chyba muszę odwalać za nich robotę. Zewsząd słyszę tylko narzekania na brak wszystkiego. Dlaczego brakuje funduszy na nieprzewidziane wydatki? Chcę, żeby zbadano tę sprawę.

Pozwól, Galeazzo, że ci przypomnę, iż Hitler sprzeciwia się tej wojnie, ponieważ Grecja to kraj totalitarny, który z natury powinien opowiedzieć się po naszej stronie. Więc nic Hitlerowi nie mów. Pokażemy Führerowi, co to *Blitzkrieg*, zobaczysz, że zzielenieje z zazdrości. I nie obchodzi mnie, czy to spowoduje, że Brytyjczycy zwrócą się przeciw nam. Im także przetrzepiemy skórę.

KTO WPUŚCIŁ TUTAJ TEGO KOTA? ODKĄD TO MAMY KOTA PAŁACOWEGO? CZY TO ON WŁAŚNIE NASRAŁ MI DO HEŁMU? WIESZ, ŻE NIE ZNOSZĘ KOTÓW. CO TO ZNACZY, ŻE POZWALA ZAOSZCZĘDZIĆ NA

PULAPKACH NA MYSZY? NIE MÓW MI, KIEDY MOGĘ UŻYĆ REWOLWERU POD DACHEM. ODSUŃ SIĘ, BO INACZEJ TEŻ DOSTANIESZ KULKĘ. O Boże, niedobrze mi. Jestem wrażliwym człowiekiem, Galeazzo, mam temperament artysty, nie powinienem patrzeć na tę krew i bałagan. Każ komuś to uprzątnąć, nie czuję się dobrze. Co to znaczy "Jeszcze żyje"? Wynieś go i skręć mu kark. NIE, NIE CHCĘ ZROBIĆ TEGO WŁASNORĘCZNIE. Myślisz, że jestem barbarzyńcą? O Boże. Szybko, daj mi mój hełm, potrzebuję czegoś, do czego mógłbym wymiotować. Pozbądź się tego i przynieś mi nowy hełm. Pójdę się położyć, pewnie już dawno jest po sjeście.

III

Siłacz

Tajemnicze kozy z góry Enos skręciły o świcie na wiatr, wdychając wilgotne opary morza, które zastępowały wodę na tej jałowej, wojowniczej i nieposkromionej ziemi. Ich pasterz, Alekos, tak bardzo nienawykły do towarzystwa ludzi, że brakowało mu słów nawet wtedy, gdy mówił do siebie, poruszył się pod nakryciem ze skór, sięgnął ręką do uspokajającej kolby strzelby i znowu zapadł w sen. Miał dość czasu, by się obudzić, zjeść chleb posypany oregano, policzyć swoje kozy i zapędzić je na pastwisko. Jego życie było ponadczasowe, mógł być jednym ze swych przodków, a jego kozy także robiły to, co zawsze czyniły kefalońskie kozy. Spały w południe, ukryte przed słońcem na przyprawiających o zawrót głowy północnych zboczach klifu, a wieczorem dźwięki ich hałaśliwych dzwonków, niosące się w milczącym powietrzu i sprawiające, że mieszkańcy odległych wiosk spoglądali w górę, ciekawi, które stado przechodzi nieopodal, słychać było nawet na Itace. Alekos był mężczyzną, który w wieku sześćdziesięciu lat wyglądał tak samo, jak wtedy, gdy miał dwadzieścia – chudy i silny, cudowny okaz ospałej wytrzymałości, równie niezdolny do nagłych wzlotów umysłowych jak jego kozy.

Gdzieś z głębi, z dołu, wzbijała się w powietrze smuga dymu z płonącej doliny. Dolina była nie zamieszкана i płomienie w zaroślach rozprzestrzeniały się bez przeszkód, obserwowane z niepokojem tylko przez tych, którzy obawiali się, że może się zerwać wiatr i przenieść iskry na ich domy, zioła lub kamieniste poletka, otoczone stertami kamieni, które zbierano przez wieki i układano w mury chwiejące się przy lada dotknięciu, lecz walące się tylko podczas trzęsień ziemi. Upodobanie Greków do koloru dziewictwa sprawiało, że wiele z nich malowano na białe, jakby sam oślepiający blask słońca nie wystarczał. Niemal na każdym jakiś wędrowny patriota nabazgrał turkusową farbą słowo ENOSIS i żaden Kefalończyk nie uznał za stosowne przywrócić im poprzedniej nieskalanej postaci. Każdy mur przypominał chyba mieszkańcom wyspy o przynależności do rodziny rozbitej przez poszarpane granice starczych, konkurujących imperiów, rozproszonej przez niesforne morze i gnębionej przez historię i los, który umieścił ich na rozdrożach świata.

Nowe imperia zalewały teraz wybrzeża dawnego imperium. Niebawem przestanie

chodzić jedynie o pożogę doliny i śmierć jaszczurek, jeży lub świerszczy w płomieniach; będzie chodziło o palenie Żydów i homoseksualistów, Cyganów i chorych umysłowo. Będzie chodziło o Guernikę i Abisynię pisane dużymi literami na niebie Europy i północnej Afryki, o Singapur i Koreę. Samozwańcze rasy wyższe, upojone teoriami Darwina i nacjonalistyczną symboliką, ogłupione eugeniką i omamione mitem, nakręcały maszyny ludobójstwa, które wkrótce miały zostać spuszczone na świat znużony już do cna tak bezgraniczną głupotą i niegodziwą pychą.

Wszyscy jednak – z Pelagią włącznie – podziwiają siłę i poddają się jej kuszącemu wpływowi. Gdy usłyszała od sąsiadki, że jakiś siłacz dokonuje na rynku cudów godnych samego Atlasa, odstawiła miotłę, którą zamiatała podwórko, i wyszła w pośpiechu, by dołączyć do grupy ciekawskich i żądnych wrażeń; zebrali się już oni w pobliżu studni.

Megalo Welisarios, sławny na Wyspach Jońskich, odziany jak turecki mim w pantalon i pantofle z zadartymi nosami, nazywający sam siebie najsilniejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek stąpił po ziemi, z włosami tak fantastycznie długimi, jak włosy samego Samsona, podskakiwał na jednej nodze w rytm klaskania. Na niesłychanie grubych bicepsach wyciągniętych ramion dźwigał dwóch dorosłych mężczyzn. Jeden z nich kurczowo przywarł do siłacza, a drugi, bardziej obeznany z męskimi sztukami i na pozór zupełnie spokojny, palił papierosa. Na głowie Welisariosa siedziała w dodatku niespokojna dziewczynka w wieku około sześciu lat, która utrudniała mu manewry, mocno zaciskając dłonie na jego oczach.

– Lemoni! – ryknął. – Zabierz ręce z moich oczu i złap mnie za włosy, bo inaczej będę musiał przestać.

Lemoni była zbyt oszołomiona, żeby przesunąć dłonie, i Megalo Welisarios stanął nieruchomo, po czym jednym zgrabnym ruchem, przypominającym ruchy łabędzia wychodzącego na ląd, zrzucił obydwu mężczyzn, a następnie podniósł Lemoni, wyrzucił wysoko w powietrze, chwycił pod pachy, ucałował teatralnie w czubek nosa i postawił na ziemi. Lemoni z ulgą przewróciła oczyma i wyciągnęła rękę; należało już do zwyczaju, że Welisarios nagradzał swoje małe „ofiary” słodyczami. Lemoni zjadła nagrodę na oczach całego tłumu, z góry wiedząc, że brat zabrałby jej słodycze, gdyby spróbowała je zachować. Wielkolud poklepał dziewczynkę czule po głowie, pogładził po lśniących czarnych włosach, znowu pocałował, a potem wyprostował się na pełną wysokość.

– Podniosę wszystko, co inni muszą podnosić we trzech! – zawołał, a wieśniacy krzykiem zawtórowali słowom, które słyszeli już tyle razy, jak dobrze wyćwiczony chór. Welisarios był wprawdzie silny, ale zawsze mówił to samo.

– Podnieś koryto.

Welisarios uważnie przyjrzał się korytu; zostało wyłobione w jednym skalnym bloku i miało co najmniej dwa i pół metra długości.

– Jest za długie – odparł. – Nie będę w stanie go porządnie chwycić.

Niektórzy z tłumu gapiów wydali sceptyczne pomruki i siłacz natarł na nich, patrząc groźnie; potrzasał pięściami i przybrał gniewną postawę, wystawiając się na pośmiewisko przez tę karykaturę furii olbrzyma. Ludzie wybuchnęli śmiechem, wiedząc, że Welisarios to w rzeczywistości łagodny mężczyzna, który nigdy nawet nie wdał się w bójkę. Jednym nagłym ruchem wsunął ręce pod brzuch muła, rozstawił nogi i podniósł go na wysokość piersi. Zaskoczone zwierzę, z oczyma wychodzącymi z przerażenia z orbit, poddało się tym niezwykłym zabiegom, ale postawione lekko z powrotem na ziemię, odrzuciło głowę, ryknęło z oburzeniem i pocwałowało ulicą; jego właściciel rzucił się za nim w pościg.

Ojciec Arsenios akurat w tej chwili przestąpił próg swojego domku i ciężkim, kołyszącym się krokiem podszedł do tłumu gapiów w drodze do kościoła. Miał zamiar przeliczyć pieniądze w drewnianej skrzynce, do której ludzie wkładali należność za świece.

Ojca Arseniosa nie darzono szacunkiem nie dlatego, że był chodzącym globusem, nieustannie dyszącym i charczącym z wysiłku, jaki sprawiał mu ruch, lecz dlatego, że był człowiekiem pospolitym, żarłokiem, domniemanym rozpustnikiem, niestrudżonym poszukiwaczem jałmużny i ofiar, skrytem dłużnym w ludzkiej postaci. Naruszył ponoć zasadę, że duchowni nigdy nie żenią się powtórnie, i przyjechał tu aż z Epiru, żeby ukryć ten fakt. Powiadano, że maltretuje swoją żonę. To samo mówiono jednak o większości mężów i często było to prawdą.

– Podnieś ojca Arseniosa! – zawołał ktoś.

– To niemożliwe! – krzyknął ktoś inny.

Ojciec Arsenios został nagle chwycony pod pachy i podniesiony na mur. Siedział tam, mrugając oczyma, zbyt zdumiony, by protestować. Poruszał ustami jak ryba, a słońce skrzyło się w kropelkach potu na jego czole.

Parę osób zachichotało, potem jednak zapadła niespokojna cisza. Duchowny oblał się purpurą, Welisarios zapragnął odpełznąć i gdzieś się ukryć, a Pelagia poczuła, jak w jej sercu wzbierają żal i oburzenie. Publiczne upokorzenie rzecznika Boga było potworną zbrodnią bez względu na to, jakim niegodziwcem był on jako człowiek i jako kapłan. Wystąpiła naprzód i wyciągnęła rękę, by mu pomóc. Welisarios podał mu swoją, ale żadne z nich nie zdołało uchronić nieszczęśnika przed ciężkim upadkiem na pokrytą pyłem ziemię. Arsenios podniósł

się, otrzepał i z niezwykłym wyczuciem efektu dramatycznego odszedł, nie przemówiwszy słowem. W mrocznym wnętrzu świątyni, za ikonostasem, ukrył twarz w dłoniach. Nie wyobrażał sobie gorszej rzeczy niż egzystencja absolutnego pechowca, który nie ma szans na żadne inne zajęcie.

Na zewnątrz, na rynku, Pelagia potwierdzała swoją sławę sekutnicy. Miała dopiero siedemnaście lat, ale była dumna i uparta, a fakt, iż jej ojciec jest lekarzem, dawał jej status, który nawet mężczyźni musieli uszanować.

– Nie powinieneś tego robić, Welisarios – mówiła. – To było okrutne i straszne. Pomyśl, jak ten biedak musi się teraz czuć. Musisz natychmiast iść do kościoła i go przeprosić.

Welisarios spojrzał na nią z wyżyn swojego wzrostu. Sytuacja była niewątpliwie trudna. Zastanawiał się, czy nie podnieść dziewczyny nad głowę. Może powinien posadzić ją na drzewie; z pewnością wywołałoby to śmiechy w tłumie. Wiedział jednak, że musi pójść i przywrócić dobre stosunki z ojcem Arseniosem. Wyczuwając nagłą niechęć ludzi, zorientował się, że w przeciwnym razie nigdy nie zdoła zebrać dość pieniędzy za swój pokaz. Cóż zrobić?

– Przedstawienie skończone – powiedział, poruszając rękami w geście oznaczającym koniec występu. – Wrócę dziś wieczorem.

Atmosfera wrogości natychmiast zmieniła się w rozczarowanie. Ostatecznie duchowny zasłużył sobie na to, nieprawdaż? A poza tym jak często mają okazję tak atrakcyjne występy obejrzeć w swojej wsi?

– Chcemy zobaczyć armatę! – zawołała jakaś staruszka. Jej żądanie potwierdziła następna, a potem jeszcze następna:

– Chcemy armatę, chcemy armatę!

Welisarios szczyił się ogromnie swoją „armatą”. Była to stara, mała turecka kolubryna, zbyt ciężka, by ktokolwiek inny ją uniósł. Została odlana z mosiądzu i miała damasceńską lufę, opasaną żelaznymi obręczami, łączonymi na nity. Wryto na niej datę 1739 i parę krętych znaków, których nikt nie był w stanie odcyfrować. Była to bardzo dziwna armata, pokrywająca się grubą warstwą grynszpanu bez względu na częstotliwość polerowania. Tytaniczna siła Welisariosa po części brała się stąd, że od dawna taszczył kolubrynę ze sobą.

Spojrzał na Pelagię, która nadal oczekiwała odpowiedzi na swoją interpelację, by przeprosił kapłana, i rzekł:

– Później do niego pójde, ślicznotko – po czym podniósł ramiona, by oznajmić: –

Dobrzy ludzie, żeby zobaczyć armatę, musicie dać mi zardzewiałe gwoździe, popękane śruby, skorupy garnków i kamienie z ulic waszej wsi. Znajdźcie mi je, gdy będę ładował proch. I niech ktoś przyniesie szmatę – porządną i dużą.

Mali chłopcy rozgarniali uliczny pył w poszukiwaniu kamieni, starcy przeszukiwali szopy, kobiety pobiegły po tę jedną koszulę, do której wyrzucenia próbowały zmusić swoich mężów, i niebawem wszyscy znowu zebrali się, by obejrzeć wielki wybuch. Welisarios wsypał okazałą porcję prochu do jakiegoś czasopisma, ubił proch ceremonialnie, w pełni świadom potrzeby przeciągania przedstawienia, wetknął jedną ze szmat do lufy, po czym pozwolił, by mali chłopcy garściami sypali do niej zebraną amunicję. Na koniec wepchnął do lufy następną postrzępioną szmatę i zapytał:

– W co mam strzelić?

– W premiera Metaksasa! – wykrzyknął Kokolios, który nie wstydził się swoich komunistycznych przekonań i w kafenijonie poświęcał sporo czasu krytykowaniu dyktatora i króla. Parę osób roześmiało się, inni popatrzyli na niego wilkiem, a niektórzy pomyśleli: Kokolios znowu zaczyna.

– Zastrzel Pelagę, zanim odgryzie komuś jaja – zaproponował Nikos, młody mężczyzna, którego awanse udało się dziewczynie powstrzymać dzięki zgryźliwym uwagom na temat jego inteligencji i uczciwości.

– Zastrzelę ciebie – odparł Welisarios. – Powinieneś uważać, co mówisz, w obecności ludzi godnych szacunku.

– Mam łogawą oślicę. Nie chcę się rozstawać ze starą przyjaciółką, ale ona naprawdę do niczego się już nie nadaje. Tylko je i przewraca się, gdy wsadzę jej ładunek na grzbiet. Byłby z niej dobry cel, miałbym staruszkę z głowy, a ty rozwaliłbyś ją na miazgę jak się patrzy. – Słowa te wypowiedział Stamatis.

– Obyś miał same córki i barany za to, że przez myśl ci przeszło coś tak okropnego! – wykrzyknął Welisarios. – Myślisz, że jestem jakimś Turkiem? Nie, po prostu z braku lepszego celu wystrzelę z armaty na drogę. A teraz wszyscy mają się odsunąć. Cofnijcie się, dzieci niech zakryją uszy rękami.

Olbrzym z teatralną pewnością siebie zapalił lont działka opartego o mur, podniósł je tak, jakby ważyło tyle co karabinek, i wparł się mocno w ziemię z jedną stopą wysuniętą do przodu i kolubryną na biodrze. Zapadła cisza. Lont palił się z trzaskiem iskier. Wszyscy wstrzymali oddech. Dzieci przycisnęły dłonie do uszu, skrzywiły twarze, przymknęły jedno

oko i przeskakiwały z nogi na nogę. Gdy płomień na lonce dotarł do otworu zamka i zasyczał, nastąpiła chwila dręczącego wyczekiwania. Być może proch się nie zapali. Nagle jednak nastąpił potężny huk, bluznął pomarańczowoliliowy płomień, pojawił się ogromny kłęb gryzącego dymu, pył z powierzchni drogi wzbił się efektownie, gdy rozerwały ją pociski, po czym rozległ się przeciągły, bolesny jęk.

Nastąpiła chwila konsternacji i wahania. Ludzie patrzyli po sobie, by sprawdzić, kto mógł zostać trafiony rykoszetem. Znowu jęk; Welisarios upuścił kolubrynę i pobiegł przed siebie. Wśród opadającego pyłu dostrzegł jakiś skulony kształt.

Mandras miał później dziękować Welisariosowi za postrzelenie go z tureckiej kolubryny, gdy wyszedł zza zakrętu u wjazdu do wioski. Wówczas jednak miał za złe olbrzymowi, że ten niesie go na rękach zamiast pozwolić mu przejść z godnością do domu doktora. Nie ucieszyło go również to, że wygięty gwóźdź z oślej podkowy wyjęto mu z ramienia bez środka znieczulającego. Nie był zadowolony z tego, że olbrzym przytrzymuje go w czasie zabiegu, ponieważ sam potrafił znieść ból. Także konieczność zaprzestania połowów na dwa tygodnie na czas gojenia się rany nie była ani dogodna, ani opłacalna.

Tym, za co dziękował Megalo Welisariosowi, był fakt, że w domu doktora po raz pierwszy ujrzał jego córkę Pelagię. W pewnym bliżej nieokreślonym momencie uświadomił sobie, że ktoś go bandażuje, że długie, pachnące rozmarynem włosy jakiejś młodej kobiety łaskoczą go w twarz. Otworzył oczy i stwierdził, że wpatruje się w inną parę oczu, pełnych troski. „W tamtej chwili – lubił powtarzać – zdałem sobie sprawę ze swojego przeznaczenia”. Mówił tak co prawda wtedy, gdy miał już trochę w czubie, ale mimo wszystko szczerze.

Na górze Enos, na dachu świata, Alekos usłyszał łoskot wystrzału i zastanawiał się, czy to początek następnej wojny.

IV

Homoseksualista (1)

Ja, Carlo Piero Guercio, piszę te słowa w nadziei, że zostaną odnalezione po mojej śmierci, gdy nie dosięgnie mnie ani szyderstwo, ani nie splami utrata dobrego imienia. Życiowe okoliczności sprawiają, że ten testament mej natury nie może dotrzeć do ludzi, zanim wydam ostatnie tchnienie, i aż do tej chwili będę skazany na noszenie maski przyznanej przez niefortunny los.

Zmuszono mnie do wiecznego milczenia, nie wyjawilem tego nawet kapelanowi podczas spowiedzi. Z góry wiem, co bym usłyszał. Że to zboczenie budzące odrazę w Bogu, że muszę walczyć w słusznej sprawie, że muszę się ożenić i żyć jak normalny człowiek, że mam możliwość wyboru.

Nie powiedziałem też lekarzowi. Nazwałby mnie zboczeńcem, uznał, że jestem w osobliwy sposób zakochany w sobie samym, że jestem chory i mogę zostać uleczony, że to wina mojej matki, że jestem zniewieściałą, mimo że mam siłę wołu i potrafię podźwignąć ciężar dorównujący wadze mojego ciała, że muszę się ożenić i prowadzić życie normalnego człowieka, że mam możliwość wyboru.

Co mógłbym powiedzieć takim kapłanom i lekarzom? Księdzu powiedziałbym, że to Bóg uczynił mnie takim, że wcale nie miałem wyboru, że On musiał uczynić mnie takim celowo, że On zna ostateczne powody wszystkiego, i dlatego dobrze się składa, że jestem taki, jaki jestem, nawet jeśli nie potrafimy odgadnąć, co jest owym dobrem. Mogę powiedzieć księdzu, że skoro Bóg jest przyczyną wszystkiego, to Boga należy winić, a ja nie powinienem być potępiony.

Ale ksiądz powie, że „to sprawka diabła, a nie Boga”, ja zaś zapytam: „Czyż Bóg nie stworzył diabła? Czyż nie jest wszechwiedzący? Jak można mnie winić za to, co On przewidział już na początku świata?” Wtedy kapłan przypomni mi zniszczenie Sodomy i Gomory i powie, że nie dane nam jest zrozumieć tajemnice boże. Powie mi, że Bóg domaga się, byśmy byli płodni i rozmnażali się.

Lekarzowi powiedziałbym, że „byłem taki od początku, to natura tak mnie

uksztaltowała, więc jak mam się zmienić? Jak mogę wzbudzić w sobie pożądanie do kobiet, skoro nie potrafię nawet polubić sardeli, których nigdy nie znosiłem. Byłem w Casa Rosetta i robiłem to z obrzydzeniem, a potem dostałem mdłości. Czulem się poniżony. Czulem się jak zdrajca. Musiałem to zrobić, by stworzyć pozory normalności".

A lekarz powie: „Jak coś takiego może być naturalne? Natura służy swoim interesom, sprawiając, że się rozmnażamy. To jest przeciwne naturze. Natura żąda, byśmy byli płodni i rozmnażali się".

To spiszek lekarzy i księży, powtarzających to samo różnymi słowami. To teologia medyczna i medycyna teologiczna. Jestem jak szpieg, który zobowiązał się umową do zachowania tajemnicy, jak ktoś, kto jest jedyną osobą na świecie, która zna prawdę, nie może jej jednak ujawnić. A prawda ta więcej waży niż wszechświat, więc jestem niczym Atlas na zawsze przygięty pod ciężarem łamiącym kości i ścinającym krew w żyłach. Nie ma na tym świecie powietrza, którym dane byłoby mi oddychać, jestem rośliną duszącą się z braku tlenu i światła, obcięto mi korzenie i opryskano liście trucizną. Wybucha płomienną miłością i nie ma nikogo, kto by zechciał ją przyjąć lub żywić. Jestem cudzoziemcem we własnym kraju, obcym we własnej rasie, jestem zniechęcony niby złośliwy nowotwór, będąc takim samym człowiekiem jak każdy kapłan lub lekarz.

Według Dantego, ludzie mego pokroju należą do trzeciego pierścienia siódmego kręgu Piekla, mając lichwiarzy za towarzyszy. Poeta roztacza przede mną obraz pustyni nagich dusz, nękanych iskrami piekielnego ognia, zmusza do bezustannego i daremnego krążenia w poszukiwaniu tych, których ciała zbezczeszcilem. Rozumiecie, jak to jest; byłem zmuszony szukać wszędzie wzmianek o sobie. Nie ma ich prawie nigdzie, ale tam, gdzie je odkrywam, znajduję potępienie. I jakże niezwykłą rzeczą jest to, panowie doktorzy i księża, że Dante współczuł nam w sytuacji, gdy Bóg pozostał obojętny. Napisał bowiem: „Sama myśl o nich przepelnia rozpacz me serce". I Dante miał rację, jako że wciąż krążyłem, bezskutecznie poszukując ciepła ciała, wzgardzony przez Boga, który mnie stworzył, a całe moje życie było pustynią i deszczem ognistych iskieł.

Owszem, przeczytałem wszystko, szukając dowodu na to, że istnieję, że jestem jakąś ewentualnością. I wiecie, gdzie siebie odnalazłem? Wiecie, gdzie siebie odnalazłem? Wiecie, gdzie odkryłem, że – w innym, zaginionym świecie – byłem piękny i prawdziwy? W dziełach pewnego Greka.

Cóż za ironia. Jestem włoskim żołnierzem, przesładującym jedynych ludzi, których przodkowie obdarzyli ludzi mego pokroju prawem uosabiania najdoskonalszej formy miłości.

Przyznaję, że do wojska wstąpiłem dlatego, że mężczyźni w wojsku są młodzi i piękni.

A także dlatego, że podsunął mi tę myśl Platon. Prawdopodobnie jestem jedynym żołnierzem w dziejach, który wziął broń do ręki dzięki filozofowi. Bo widzicie, szukałem zajęcia, w którym moje schorzenie mogłoby się przydać, i nie miałem pojęcia o miłości Achillesa i Patroklosa oraz o innych tego rodzaju ciekawostkach z dziejów starożytnej Grecji. Krótko mówiąc, przeczytałem „Uczcie” i znalazłem tam stwierdzenie Arystofanesa, że istnieją trzy płci: mężczyźni i kobiety, którzy darzą się miłością, mężczyźni kochający mężczyzn i kobiety kochające kobiety. Świadomość, że należę do innej płci, była objawieniem, ideą, która miała jakiś sens. W „Uczcie” znalazłem także Fajdrosa tłumaczącego, że gdyby tylko istniał jakiś sposób doprowadzenia do tego, by państwo lub armię tworzyli kochankowie i objekty ich miłości, byłiby oni najlepszymi zarządcami własnego kraju, powstrzymującymi się przed wszelkimi haniebnymi czynami i rywalizującymi ze sobą w chwalebnych uczynkach; a walcząc u swego boku, zawojowaliby świat, choćby była ich tylko garstka. Który bowiem kochanek nie wolalby porzucić swego stanowiska lub złożyć broni na oczach całej ludzkości niż w obecności swoich ukochanych? Gotów byłby raczej po stokroć umrzeć niż znieść taką hańbę. I kto opuściłby swego ukochanego lub zawiódł go w chwili niebezpieczeństwa? W takim momencie najprawdziwszy tchórz stałby się natchnionym bohaterem, dorównującym męstwem najodważniejszym. Miłość byłaby dlań inspiracją. Tę odwagę, którą – jak mówi Homer – bóg potrafi tchnąć w dusze bohaterów, miłość z natury swej wlewa w serce kochanka. Miłość – ona sama – sprawi, że ludzie ośmielą się umrzeć za swoich ukochanych.

Wiedziałem, że w wojsku będą ci, których mogę pokochać, choć nigdy nie będę mógł dotknąć. Znajdę kogoś, kogo pokocham, i ta miłość mnie uszlachetni. Nie opuszczę go w walce, on uczyni mnie natchnionym bohaterem. Będę miał na kim robić wrażenie, będę miał kogoś, czyj podziw da mi to, czego sam nie mogę sobie dać – szacunek i cześć. Odważę się umrzeć za niego, a jeżeli umrę, to ze świadomością, że byłem śmieciem przemienionym w złoto w jakimś niezbadanym alchemicznym procesie. Był to pomysł szalony, romantyczny i nieprawdopodobny, ale, o dziwo, udało się go zrealizować. W końcu jednak pogrążył mnie on w otchłani bezkresnego żalu.

V

Człowiek, który powiedział „nie”

Premier Metaksas ze smutkiem osunął się na swój ulubiony fotel w Villa Kifisia i gorzko dumiał nad dwoma nie dającymi się rozwikłać problemami w swoim życiu, zadając sobie dwa pytania: „Co zrobić z Mussolinim?” i „Co począć z Lulu?” Trudno byłoby stwierdzić, który z tych problemów przysparzał mu więcej bólu i troski, obydwa bowiem były w pewnej – nierównej – mierze osobiste i polityczne zarazem. Metaksas sięgnął po swój dziennik i zapisał:

Dziś rano próbowałem dojść do porozumienia z Lulu. Do pewnego momentu rozmowa szła w dobrym kierunku, potem jednak znowu się pokłóciliśmy. Ona po prostu mnie nie rozumie. Dokładnie wiem, kto ją podburza i oszukuje. Zapomniałem nawet o spotkaniu z brytyjskim ambasadorem. Zostałem z nią do południa. Żał mi jej. Cóż to za tragiczna dziewczyna. Lulu, Lulu, moja najukochańsza córka. Padliśmy sobie w objęcia i płakaliśmy nad naszym losem.

W przypadku Lulu nigdy do końca nie wiedział, co jest prawdą; miał wrażenie, że w Atenach głośniejszą huczy od nieprawdopodobnych opowieści o jego córce niż w starożytności o Zeusie. Krążyła historia o policjancie, który zgubił spodnie i czapkę; znaleziono je na latarni. Poznał historię o młodym właścicielu bugatti i szalonych eskapadach do Pireusu, a potem relację o uczestnictwie Lulu w angielskiej grze „w sardynki”, czymś w rodzaju chowanego, w której szukający musieli się zmieścić w kryjówece tropionych; Lulu znaleziono ponoć w szafie, splecioną z jakimś młodym mężczyzną. Niektórzy rozpowiadali, że jego córka pali opium i upija się do nieprzytomności. Znała wszystkie szybkie tańce amerykańskie, na przykład tango (tak nieeleganckie i wulgarne, rzekomo „taniec” z burdeli w Buenos Aires), quickstepa oraz sambę i tańce o nieprzetłumaczalnych, idiotycznych nazwach, takie jak jitterbug, które wymagają frenetycznego klaskania w ręce i walenia się po udach. Wszystko to w pewnym sensie było nieprzyzwoite. Cuchnęło bezwstydem i brakiem umiaru. Młodzi ludzie byli ogromnie podatni na fanaberie i mody docierające z niedojrzałych cywilizacyjnie

miejsce, jak choćby Ameryka, z wielką niechęcią traktowali dyscyplinę i powagę, które towarzyszą naturalnemu poczuciu miłości własnej. Cóż można było na to poradzić? Lulu zawsze wszystkiemu zaprzeczała lub, co gorsza, zbywała jego obawy śmiechem i machnięciem ręki. Bóg jeden wie, że młodym jest się tylko raz, ale w jej wypadku było to o jeden raz za dużo.

W dodatku otwarcie dezawuowała jego decyzje polityczne na forum publicznym. Uznał to za pocałunek Judasza. I właśnie to, owa demonstracja nielojalności, tak bardzo go bolało. Lulu twierdziła, że go kocha. Wiedział, że istotnie tak jest, czemu więc drwiła z jego Narodowej Organizacji Młodzieży? Dlaczego śmiała się z dowcipów na temat jego drobnej postury? Dlaczego była taką cholerną indywidualistką? Czyż nie zdawała sobie sprawy, że swą rolę damskiego playboya kwestionuje wszystko to, czego on pragnie dla Grecji? Jak ma utrzyć nosa plutokratom, skoro jego córka zadaje się i swawoli z najgorszymi spośród nich? Jak może żądać zdyscyplinowania i poświęceń?

Dzięki Bogu, nałożył kaganiec prasie, bo każdy dziennikarz w tym kraju miał dość materiału na opowieść o „małej Lulu”. Dzięki Bogu, jego ministrowie byli zbyt dyskretni, by o tym wspominać, dzięki Bogu, utrata szacunku nie była zaraźliwa. Nie przeszkadzało to jednak ludziom takim jak Grazzi uśmiechać się służalczo i pytać: „A jak się miewa twoja droga córka, Lulu? Słyszałem, że to mała psotnica. Ach, ile my, ojcowie, musimy ścierpieć!” Czyż nie słyszał tych chichotów i szeptów? Że panuje nad całą Grecją, a nie potrafi zapanować nad własną córką? Chyba nawet ludzie z tajnej policji byli zbyt zażenowani całą tą sytuacją, by szczegółowo informować go o ekscesach Lulu. Ponoć ludzie wydający przyjęcia błagali swych gości: „Tylko nie przyprowadzajcie Lulu”. Żal i wstyd były zbyt trudne do zniesienia.

Bezruch pinii i biały blask reflektorów na dworze wzmagaly w nim poczucie, że stał się więźniem za żeliwnymi bramami własnej rezydencji; spełnił wymogi klasycznej tragedii, sam zapędzając się w matnię. Cała Grecja skurczyła się do rozmiarów po mieszczańsku skromnej willi, umeblowanej w pseudobizantyjskim stylu z tego bardzo prostego powodu, że dzierżył w swym ręku los i honor umiłowanego kraju. Spojrzał na swoje dłonie i pomyślał, że są małe, jak on sam. Przez chwilę żałował, że nie przeszedł na pułkownikowską emeryturę i nie mieszka sobie spokojnie w jakimś anonimowym zakątku, miejscu, gdzie mógłby żyć i umrzeć wolny od odpowiedzialności.

Problem śmierci bardzo go ostatnio absorbował, Metaksas uświadomił sobie bowiem, że ciało go zawodzi. Nie działo się nic konkretnego, nie było całego szeregu ostrzegawczych objawów, chodziło jedynie o to, że czuł się wystarczająco wyczerpany, by umrzeć. Wiedział,

że ludzi stojących u progu śmierci ogarnia obojętność, bierność i smutek, pełen rezygnacji spokój, i właśnie ta obojętność i spokój wezbrały w nim akurat wtedy, gdy okoliczności zmuszały go do mobilizacji sił i zdobycia się na stanowczość i szlachetność, jakich nigdy dotąd nie potrzebował. Czasami miał ochotę przekazać ster państwa w inne ręce, ale wiedział, że los wybrał go na protagonistę w tej tragedii i że nie ma innego wyjścia niż chwycić za rękojęść miecza i dobyć go z pochwy. Tyle jest rzeczy, które powinienem był zrobić, pomyślał i nagle zdał sobie sprawę, że życie mogłoby być piękne, gdyby tylko przed trzydziestu laty wiedział, jakie wyniki przyniosą badania lekarskie w tym odległym punkcie przyszłości, która powoli, lecz złośliwie zbliżała się ku niemu i stawała nieuchronną, dręczącą, nieznośną terażniejszością. Gdybym przeżył moje życie świadom tej śmierci, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Pobiegł myślami ku nieprawdopodobnie zmiennym kolejom swojej kariery i zastanawiał się, czy historycy będą dla niego łaskawi. Przebył długą drogę z pruskiej akademii wojskowej w Berlinie; wydawało mu się, że to w innym życiu nauczył się podziwiać teutońskie poczucie porządku, dyscypliny i powagi, te same cechy, które próbował zaszczerpić w swym ojczystym kraju. Zlecił nawet opracowanie pierwszej gramatyki rodzimego języka ludowego i uczynił ją przedmiotem obowiązkowym w szkołach, kierując się teorią, że nauka zasad gramatyki sprzyja logicznemu myśleniu i dlatego pomoże ukroczyć dziki i nieodpowiedzialny indywidualizm Greków.

Przypomniwał sobie fiasko poprzedniej wojny, kiedy to Wenizelos chciał przyłączyć się do państw Ententy, a król pragnął zachować neutralność. Jak udowadniał, że Bułgaria skorzysta ze stosownego zbiegu okoliczności, by dokonać inwazji, jeżeli Grecja się nie przyłączy; jak szlachetnie zrezygnował ze stanowiska szefa sztabu, jak wielkodusznie pogodził się z banicją. O próbie zamachu stanu w 1923 roku lepiej zapomnieć. A teraz wyglądało na to, że Bułgaria rzeczywiście może dokonać inwazji, korzystając z sytuacji tym razem stworzonych przez Włochy, w próbie wypełnienia próżni, jaką pozostawili Turcy.

Pamiętał swoje zwycięstwo nad strajkującymi robotnikami zakładów tytoniowych w Salonikach – dwanaście trupów. Dzięki tym zamieszkom przekonał króla do zawieszenia swobód konstytucyjnych, by pomieszać szyki komunistom; przekonał władcę także do tego, by mianował go premierem, mimo że był przywódcą najbardziej marginalnej spośród greckich partii prawicowych. Czemu jednak to zrobił? Metaksas, rzekł do siebie w duchu, historycy uznają, że to był oportunizm, że nie potrafię osiągnąć celu demokratycznymi środkami. Nie będzie w pobliżu nikogo, kto powie prawdę w twojej sprawie, czyli że nastąpił kryzys, a nasza demokracja była zbyt słaba i zniewieściała, by się z nim uporać. Łatwo

perorować, jak być powinno, trudniej uznać nieubłaganą siłę konieczności. Byłem uosobieniem konieczności, to wszystko. Gdyby nie ja, wystąpiłby w tej roli ktoś inny. Przynajmniej nie uległem niemieckim wpływom, choć Bóg jeden wie, że Niemcy omal nie opanowali naszej gospodarki. Przynajmniej utrzymałem powiązania z Wielką Brytanią, przynajmniej próbowałem stopić wspólności starożytnej i średniowiecznej cywilizacji w nową siłę. Nikt nie może powiedzieć, że działałem, nie bacząc na interes Grecji. Grecja była moją jedyną prawdziwą żoną. Być może historia zapamięta mnie jako człowieka, który zakazał czytania mowy pogrzebowej Peryklesa i który zraził do siebie chłopów, ograniczając liczbę kóz niszczących nasze lasy. O Boże, może byłem jedynie głupim małym człowiekiem!

Ale robiłem, co w mojej mocy, uczyniłem wszystko, by przygotować się na tę wojnę, której nadal próbuję zapobiec. Zbudowałem linie kolejowe i fortyfikacje, powołałem rezerwistów, przekonywałem naród w przemówieniach, uprawiałem dyplomację aż do granic własnej śmieszności. Niech historycy stwierdzą, że byłem człowiekiem, który zrobił, co tylko możliwe, by uratować swą ojczystą ziemię. Wszystko kończy się śmiercią.

Nie ulega jednak wątpliwości, że Metaksas był zbyt pochłonięty oceną historycznego sensu swojej działalności, myślą, że ma do wypełnienia mesjanistyczną misję. Doszedł do wniosku, że może nie ma innego człowieka, że on jest tym, który chwyci Greków za kark i zmusi ich kopniakami i wyrzutami na przemian do marszu ku słusznemu celowi. Uważał się za lekarza, który wywołuje niezbędny ból, wiedząc, że po przekleństwach i protestach pacjentów nadejdzie czas, gdy zostanie ukoronowany wieńcem laurowym przez wdzięcznych ludzi. Zawsze robił to, co uznawał za słuszne, ale w istocie powodowała nim chyba próżność, coś równie pospolitego i niecnego jak megalomania.

Teraz jednak jego dusza została rzucona na pastwę ognia, wiedział, że los poddaje jego opanowanie próbie w tygłu przeznaczenia. Czy będzie człowiekiem, który uratował Grecję? Człowiekiem, który mógł ją uratować, ale tego nie uczynił? Człowiekiem, który nie mógł uratować Grecji, lecz starał się ze wszystkich sił ocalić jej honor? Właśnie; chodziło nade wszystko o honor jego i kraju, ponieważ ważne było, by Grecja wyszła z tej próby bez skazy. Gdy żołnierze są martwi, gdy kraj jest zniszczony, zostaje tylko honor. To honor tchnie życie w zwłoki, gdy miną złe czasy.

Czyż nie zakrawało na ironię, że los tak sobie z niego zadrwił? Czyż nie wybrał dla siebie roli „Pierwszego Gospodarza”, „Pierwszego Robotnika”, „Ojca Narodu”? Czyż nie otaczał się nadętym przepychem współczesnego faszyzmu? A określenie: „reżym 4 sierpnia 1936 roku”? A słowa „III Cywilizacja Helleńska”, w których pobrzmiwało echo hitlerowskiej III Rzeszy? A Narodowa Organizacja Młodzieży, która urządziła parady i

powiewała sztandarami tak samo jak Hitlerjugend? Czyż nie gardził liberałami, komunistami i parlamentaryzmem, podobnie jak Franco, Salazar, Hitler i Mussolini? Czyż nie był podręcznikowym siewcą niezgody wśród ugrupowań lewicowych? Cóż mogło być łatwiejszego, zważywszy ich nedorzeczne wicherzycielstwo i gotowość do ciągłych zdrad z racji fałszywej świadomości i bezmiaru ideologicznych skaz? Czyż nie potępił plutokracji? Czyż tajna policja nie znała dokładnie zapachu i składu chemicznego każdego wywrotowego pierdnięcia na terenie Grecji?

Czemu zatem opuścili go bracia z innych krajów? Czemu Ribbentrop posyłał mu uspokajające zapewnienia, którym nie można było dać wiary? Dlaczego Mussolini prowokował incydenty graniczne i dyplomatyczne impasy? W czym tkwił błąd? Jak to się stało, że Metaksas wzniósł się na takie wyżyny, idąc z duchem czasu, po to tylko, by stanąć w obliczu największego kryzysu we współczesnych dziejach swojej ojczyzny, kryzysu wywołanego przez tych samych ludzi, z których brał przykład i których uważał za swych mentorów? Czy nie zakrawało na ironię, że obecnie mógł się zdać jedynie na Brytyjczyków – parlamentarnych, liberalnych, demokratycznych i plutokratycznych Brytyjczyków?

Premier Metaksas spisał na kartce różnice pomiędzy nim a pozostałymi. Nie był rasistą. To niewiele. Uderzyła go oczywista z pozoru myśl: pozostali pragnęli stworzyć imperia i zajmowali się ich budową, on natomiast chciał tylko zjednoczenia wszystkich Greków. Chciał Macedonii, Cypru, Dodekanezu oraz, z bożej łaski, Konstantynopola. Nie chciał północnej Afryki, jak Mussolini, ani całego świata, jak Hitler.

Być może więc pozostali doszli do wniosku, że brakuje mu ambicji, pędu do wielkości, i że to wskazuje na brak owej niezbędnej siły woli *Übermenscha*, czyli nadczłowieka, że on jest niby pudel pośród wilków. W nowym świecie, w którym najsilniejsi mieli prawo panować, ponieważ byli najsilniejsi, w którym siła była wyznacznikiem przyrodzonej wyższości, w którym przyrodzona wyższość dawała moralne prawo podporządkowania sobie innych narodów i gorszych ras, on był kimś nienormalnym. On pragnął jedynie dobra własnego narodu. Grecja stanowiła zatem naturalny cel ataku. Metaksas zapisał słowo „pudel”, a potem je skreślił. Patrzył na słowo „rasizm” i „imperium”.

– Oni myślą, że jesteśmy gorsi – mruknął. – Chcą nas mieć w swoim imperium.

Było to obrzydliwe i oburzające, denerwowało go. Ujął obydwie słowa w nawias i obok napisał słowo „NIE”. Wstał i podszedł do okna, by spojrzeć na nieruchome pinie. Wsparł się na parapecie i zamyślił nad dumną ignorancją tych śniących drzew, osrebrzonych blaskiem księżyca. Zadrżał i wyprostował się. Podjął decyzję; będą następne Termopile. Skoro trzystu Spartan zdołało powstrzymać pięć tysięcy najdzielniejszych Persów, dlaczegoż

on nie mógłby tego osiągnąć, rzucając dwadzieścia dywizji do walki z Włochami? Gdyby tylko równie łatwo było się przygotować na straszną i bezgraniczną samotność śmierci. Gdyby tylko równie łatwo było dać sobie radę z Lulu.

VI

Homoseksualista (2)

Ja, Carlo Piero Guercio, zaświadczam, że w wojsku znalazłem swoją rodzinę. Mam wprowadzić ojca i matkę, cztery siostry i trzech braci, lecz nie miałem rodziny od chwili osiągnięcia dojrzałości płciowej. Musiałem żyć pośród nich w skrytości, niczym ktoś, kto ukrywa trąd. Nie było ich winą, że zrobiono ze mnie aktora. Musiałem tańczyć z dziewczętami na zabawach, musiałem z nimi flirtować na szkolnym boisku i podczas wieczornych przechadzek po rynku. Musiałem odpowiadać mojej babci, gdy mnie wypytywała, z jaką dziewczyną chciałbym się ożenić i czy chcę mieć synów, czy córki. Musiałem z zachwytem wysłuchiwać przyjaciół opisujących zawilosci zewnętrzných narządów płciowych kobiet, musiałem się nauczyć opowiadać fantastyczne historie o tym, co wyprawiałem z dziewczynami. Nauczyłem się być człowiekiem bardziej samotnym, niż wydawało się to możliwe.

W wojsku rozmawiano w równie niewybredny sposób, ale był to świat pozbawiony kobiet. Dla żołnierza kobieta jest istotą wyimaginowaną. Dozwolona jest przesadna uczuciowość wobec matki, ale to wszystko. Poza tym są pensjonariuszki wojskowych burdeli, fikcyjne lub niewierne ukochane w rodzinnych stronach oraz dziewczyny, na które gwizdzą się na ulicach. Nie jestem mizoginistą, ale powinniście zrozumieć, że towarzystwo kobiety to dla mnie rzecz bolesna, gdyż przypomina mi, kim nie jestem i kim byłbym, gdyby Bóg nie wścibiał nosa w łono mojej matki.

Początkowo miałem sporo szczęścia. Nie wysłano mnie do Abisynii ani do północnej Afryki, lecz do Albanii. Walk toczyliśmy niewiele i byliśmy błogo nieświadomi faktu, że Duce może wydać nam rozkaz najazdu na Grecję. Już bardziej prawdopodobna wydawała się perspektywa wplątania się w walki w Jugosławii oraz to, że Jugosłowianie będą żołnierzami równie bezwartościowymi i tchórzliwymi jak Albańczycy. Było rzeczą powszechnie wiadomą, że Jugosłowianie nienawidzą się między sobą bardziej, niż potrafiliby znienawidzić cudzoziemca lub obcego najeźdźcę.

Niebawem stało się jasne, że wszędzie panuje chaos. Ledwie się zadowilem i zawarłem przyjaźnię w jednym oddziale, a już przeniesiono mnie, bym uzupełnił stan w

drugim, po czym znowu zostałem przeniesiony. Nie mieliśmy prawie żadnych środków transportu i zostaliśmy zmuszeni do przemarszu od granicy jugosłowiańskiej do greckiej i z powrotem najwyraźniej dla kaprysu naczelnego dowództwa. Byłem chyba w siedmiu oddziałach, zanim w końcu umieszczono mnie w dywizji „Julia”. Kampania grecka poniosła fiasko z wielu powodów, ale jednym z nich jest fakt, że tak często zmieniano skład osobowy oddziałów, iż nie sposób było wykształcić w nich ducha koleżeństwa. Z początku nie miałem czasu, by kogokolwiek uczynić moim Jonatanem.

W „Julii” jednak cieszyłem się każdą chwilą. Żaden cywil nie może zrozumieć radości bycia żołnierzem. To po prostu fakt, którego wagi nic nie zdoła umniejszyć. Następnym faktem jest to, że niezależnie od kwestii płci w żołnierzach rodzi się wzajemna miłość, i że, niezależnie od kwestii płci, jest to miłość nieporównywalna z miłością w życiu cywilnym. Wszyscy są młodzi i silni, przepelnieni energią, i wszyscy razem tkwią w gównie po uszy.

Poznajesz każdy niuans nastroju drugiego żołnierza; dokładnie wiesz, co ten drugi ma zamiar powiedzieć; dokładnie wiesz, kto się roześmieje i jak długo będzie się śmiał z określonego dowcipu; zaznajamiasz się gruntownie z zapachem stóp i potu każdego żołnierza; możesz położyć dłoń na czyjejs twarzy w ciemności i odgadnąć, czyja to twarz; rozpoznajesz ekwipunek wiszący na oparciu krzesła, choć jest identyczny jak ekwipunek wszystkich pozostałych; potrafisz odgadnąć, czyja szczeć moczy się w misce do mycia; dokładnie wiesz, kto wymieni się z tobą marchewką za ziemniaka, paczką papierosów za zapasową parę skarpet, pocztówką z Sieny za ołówek. Przyzwyczajasz się do otwartości i szczerości we wzajemnych kontaktach – niczego przed sobą nie ukrywacie. Chyba że żywisz takie same pragnienia jak ja.

Wszyscy byliśmy młodzi. Nigdy już nie mieliśmy być przystojniejsi, szczuplejsi i silniejsi, nigdy już nie mieliśmy toczyć takich walk w wodzie, czuć się tak niezwykłymi i nieśmiertelnymi. Potrafiliśmy w jeden dzień przemaszerować osiemdziesiąt kilometrów, śpiewając pieśni bojowe i sprośne piosenki, posuwając się naprzód miarowym, rozkołysanym krokiem lub ciężko, z mozołem, zgodnie, z czarnymi kogucimi piórami na hełmach, błyskającymi przy każdym ruchu. Potrafiliśmy sikać razem na koła pułkownika samochodu, pijani jak szewcy; potrafiliśmy bez wstydu srać w swojej obecności; mogliśmy czytać swoje listy, tak iż wydawało się, że matka każdego żołnierza pisała do nas wszystkich; potrafiliśmy przez całą noc, w strugach deszczu, drążyć okop w litej skale i odmaszerowywać, nie przespawszy w nim ani chwili; podczas ćwiczeń w strzelaniu do żywego celu potrafiliśmy bez pozwolenia zarzucać króliki pociskami z moździerza; potrafiliśmy kąpać się nadzy i piękni jak Apollo i ktoś wskazywał na czyjś penis i pytał: „Hej, ty, czemu nie zdałeś go do

zbrojowni?", a my wybuchaliśmy śmiechem i nic sobie z tego nie robiliśmy, a ktoś inny radził: „Uważaj, bo inaczej wystrzelisz z niego przez nieuwagę” – i ofiara żartu odpowiadała: „Nie Ucz na to”.

Byliśmy młodzi i piękni i kochaliśmy się bardziej niż bracia, to pewne. Przyjemność psuł zawsze fakt, że żaden z nas nie wiedział, po co jesteśmy w Albanii, wszyscy mieliśmy wyrzuty sumienia z powodu tej odbudowy imperium rzymskiego. Zawsze ścieraliśmy się z członkami legionów faszystowskich. Byli oni zarozumiali, bezwartościowi i głupi, a wielu z nas uważało się za komunistów. Nikt nie ma nic przeciwko umieraniu w szlachetnej sprawie, ale spokoju nie dawała nam dziwna bezcelowość życia, które nie miało żadnego rozsądnego wytłumaczenia. Chodzi mi o to, że byliśmy niczym gladiatorzy – gotowi spełnić swój obowiązek, gotowi zachować stoicyzm, lecz zawsze zażenowani. Hrabia Ciano grywał w golfa, Mussolini mścił się na kotach, a my tkwiliśmy na pustkowiu, marnując czas, aż w końcu rzucono nas do źle poprowadzonej walki przeciwko ludziom, którzy bili się jak bogowie.

Nie jestem cynikiem, ale wiem, że historia to propaganda zwycięzców. Wiem, że jeżeli wygramy wojnę, pojawią się szokujące opowieści o okrucieństwach Brytyjczyków, książki napisane, by pokazać nieuchronność zwycięstwa i sprawiedliwość naszej sprawy, nieodparte świadectwa zebrane, aby ujawnić spiski żydowskich plutokratów, zdjęcia stert kości znalezionych w zbiorowych mogiłach na przedmieściach Londynu. Zdaję też sobie sprawę, że jeżeli zwyciężą Brytyjczycy, będzie dokładnie na odwrót. Wiem, że Duce dał jasno do zrozumienia, iż kampania grecka zakończyła się wielkim sukcesem. Ale jego tu nie było. Nie wie, co się stało. Nie wie, że w rzeczywistości na historię powinny się składać jedynie anegdoty o szarych ludziach, którzy wpadają w jej sidła. Powinien wiedzieć, że w rzeczywistości ponosiliśmy sromotne porażki, dopóki Niemcy nie dokonali inwazji od strony Bułgarii. Nigdy tego nie przyzna, ponieważ „prawda” należy do zwycięzców. Ja jednak byłem tam i wiem, co się działo w mojej części wojny. Dla mnie ta wojna była doświadczeniem, które ukształtowało cały tor mojego myślenia, był to najgłębszy wstrząs, jaki kiedykolwiek przeżyłem, największa i najbardziej osobista tragedia w moim życiu. Zniszczyła mój patriotyzm, zmieniła ideały, sprawiła, że całkowicie zakwestionowałem pojęcie obowiązku, przeraziła mnie i pogrążyła w smutku.

Sokrates uważał, że duch tragedii jest zarazem duchem komedii, lecz pozostawił tę opinię bez wyjaśnienia, gdyż ludzie, do których była adresowana, spali lub byli pijani, gdy ją wypowiadał. Brzmi ona jak słowa padające w rozmowach arystokratów podczas przyjęć, lecz mogą zilustrować jej całkowitą prawdziwość, zdając sprawę z tego, co się wydarzyło podczas kampanii w północnej Grecji.

Pozwólcie, że na początku powiem, że ja, Carlo Guercino, po dołączeniu do dywizji „Julia” zakochałem się w młodym żonatym kapralu, który zaakceptował mnie jako najlepszego przyjaciela, nie podejrzewając nawet przez chwilę, że wypełnia sobą całkowicie moje najbardziej rozgorączkowane sny. Miał na imię Francesco i pochodził z Genui – razem z genueńskim akcentem i znajomością morza, której nie sposób było wykorzystać w Epirze. Bez wątplenia powinien był trafić do marynarki wojennej, ale spaczona logika owych czasów zadecydowała o tym, iż zgłosił się na ochotnika do marynarki, otrzymał przydział do żandarmerii, lecz znalazł się w wojskach lądowych. Trafił do nas przez pułk piechoty alpejskiej i pułk bersalierów, nie licząc dwóch dni spędzonych z grenadierami.

Był piękny jak z obrazka. Cerę miał ciemniejszą niż moja, niczym południowiec, lecz był szczuplejszy i mniej owłosiony. Pamiętam, że miał tylko trzy włosy pośrodku klatki piersiowej i że jego nogi były zupełnie bezwłose. Widać było każde ścięgno, a mnie zadziwiały zwłaszcza te mięśnie, które widoczne są tylko u ludzi w szczególnie dobrej kondycji; równoległe bruzdy u dołu przedramienia, wgłębienia z boku brzucha, które zakrzywiają się i zbiegają ku kroczu. Przypominał eleganckiego, smukłego kota, który swą sylwetką wywołuje wrażenie ogromnej, lecz niewymuszonej siły.

Najbardziej pociągała mnie jego twarz. Miał czarny, niesforny lok, który opadał mu na oczy. Te zaś były bardzo ciemne, osadzone po słowiańsku nad wystającymi kośćmi policzkowymi. Miał szeroką, zastygłą w ironicznym, asymetrycznym uśmiechu twarz i etruski nos, który wydawał się trochę zakrzywiony na grzbiecie. Dłonie Francesca były duże, miały szczupłe, szpatułkowate palce; z niezmierną łatwością wyobrażałem sobie, że suną po moim ciele. Kiedyś widziałem, jak naprawia maleńkie ogniwo filigranowego złotego łańcuszka, i mogę zaświadczyć, że palce Francesca poruszały się z zegarmistrzowską precyzją. Miał najdelikatniejsze paznokcie, jakie można sobie wyobrazić.

Domyślcie się chyba, że często w różnych sytuacjach byliśmy nadzy i że poznałem i zapamiętałem każdy szczegół jego ciała. Buntuję się jednak przeciwko oskarżeniom o perwersję i nieprzyzwoitość, które postawiono by moim wspomnieniom, i zachowam je dla siebie. Dla mnie nie są nieprzyzwoite; są cenne, rozkoszne i czyste. W każdym razie nikt nie zrozumiałby ich prawdziwego znaczenia. Trafiają do prywatnego muzeum, które wszyscy nosimy w swoich głowach; do tych przybytków nawet eksperci ani koronowane głowy Europy nie mają prawa wstępu.

Francesco był człowiekiem impulsywnym, skłonny do szaleńczych żartów. Nie czynił tajemnicy z faktu, że nikogo nie darzy szacunkiem, i potrafił nas zabawiać, naśladując napuszone błazeństwa Duce i błazeńskie prusactwo Adolfa Hitlera. Umiał odtwarzać gesty i

głos Viscontiego Praski i wygłaszać absurdalne przemowy w jego stylu, pełne hurraoptymizmu, szalonych planów i służalczych wzmianek o przełożonych. Wszyscy bardzo go lubili, nigdy nie otrzymał awansu i wcale się tym nie przejmował. Przygarnął polną mysz i nazwał ją Mario; zwykle mieszkała w jego kieszeni, ale podczas przemarszów widzieliśmy, jak wystawia wąsy z jego plecaka i myje sobie pyszczek. Jadła skórki owoców i warzyw i w nieznośny wprost sposób upodobała sobie skórzane rzeczy. Wciąż mam małą okrągłą dziurę na cholewie mojego buta.

My, żołnierze, nie wiedzieliśmy prawie nic o tym, co się dzieje w ośrodkach władzy. Otrzymywaliśmy tyle rozkazów i kontrrozkazów, że czasami nie wykonywaliśmy żadnego z nich, wiedząc, że przypuszczalnie niemal natychmiast zostaną odwołane. Albania była czymś w rodzaju wakacyjnego obozu bez wygód i zakładaliśmy, że jedynym celem tych rozkazów jest próba zajęcia nas czymś i że nie mają one istotnego znaczenia.

Z perspektywy czasu wydaje się jednak jasne, że podstawowym zamierzeniem dowództwa musiała być inwazja na Grecję; wskazówki były na każdym kroku, tylko że my nie potrafiliśmy ich dostrzec. Po pierwsze, cała ta propaganda dotycząca Morza Śródziemnego, „Marę Nostrum”, i fakt, że wszystkie drogi, które rzekomo budowaliśmy dla Albańczyków, prowadziły ku granicy greckiej. Po drugie, żołnierze zaczęli śpiewać pieśni bojowe nieznannej proveniencji i anonimowych kompozytorów, z tekstami w rodzaju „Dojdziemy do Morza Egejskiego, zajmiemy Pireus, a gdy wszystko dobrze pójdzie, nasze będą też Ateny”. Przeklinaliśmy Greków za udzielenie schronienia operetkowemu królowi Zogu, a gazety pełne były informacji o rzekomych atakach Brytyjczyków na naszą flotę na greckich wodach terytorialnych. Piszę „rzekomych”, ponieważ obecnie nie wierzę, by naprawdę do nich doszło. Mam przyjaciela w marynarce wojennej, który powiedział, że z tego, co wie, nie straciliśmy żadnego okrętu.

Nie wierzę już także w to, że Grecy zabili Dautę Hoggię. Myślę, że myśmy to zrobili i próbowaliśmy obarczyć odpowiedzialnością Greków. To straszne, że tak mówię, gdyż dowodzi to, jak wiele straciłem ze swej patriotycznej wiary, teraz jednak znam grecką wersję wydarzeń. Usłyszałem ją z ust doktora Janisa, gdy poszedłem do niego z bolącym paznokciem u nogi. Okazuje się, że ten Hoggia wcale nie był albańskim separatystą. Został skazany na dwadzieścia lat za zamordowanie pięciu muzułmanów, kradzież bydła, rozbój, wymuszenia, usiłowanie zabójstwa, nielegalne posiadanie broni i gwałt. I to jest człowiek, którego usiłowano przedstawić nam jako męczennika. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, że Grecy aresztowali dwóch Albańczyków za zamordowanie Hoggii i czekali na wniosek o ich ekstradycję. Zastanawiam się w każdym razie, jak cały naród włoski mógł być tak naiwny i

dlaczego mieliśmy się troszczyć o Albańczyków, skoro właśnie zajęliśmy ich kraj i stało się dla nas wszystkich oczywiste, że są oni zainteresowani jedynie mordowaniem się nawzajem. Dwaj ludzie, którzy zamordowali „patriotę” Hoggię, najwyraźniej otruli go, a potem odcięli mu głowę, co rzeczywiście, jak na albańskie normy, nie jest postępkami drastycznym.

Wiele rzeczy sprawiło, że utraciłem wiarę, i relacjonuję tu wydarzenia, w których uczestniczyłem ja i Francesco i które wyraźnie pokazują, że to nasz kraj wszczął wojnę, a nie Grecy. Wiem, że jeżeli zwyciężymy, owe fakty nigdy nie wyjdą na jaw, ponieważ te zapiski zostaną zniszczone. Ale jeżeli przegramy, jest szansa, że świat dowie się prawdy.

Życie w zgodzie ze sobą, gdy jesteś seksualnym outsiderem, niesie wystarczająco wiele trudności, ale jeszcze trudniej żyć, gdy wiesz, że służąc w wojsku, dokonywałeś najbrzydliwszych i najbardziej niegodziwych czynów. Obecnie często miewam przeczucie nadchodzącej śmierci, a poniżej znajdziecie moje wyznanie grzechów, za które otrzymałem już absolutorium od księdza, ale których nigdy nie wybaczą mi ani Grecy, ani zainteresowane rodziny włoskich żołnierzy.

VII

Radykalne środki

Ojciec Arsenios gorzko rozmyślał za ikonostasem; jak ma wyjść między ludzi, podnosić na duchu chorych i umierających, rozstrzygać spory, głosząc słowo boże i broniąc idei ponownego zjednoczenia Grecji, skoro wydaje się rzeczą niewątpliwą, iż nie ma już u nich żadnego szacunku? Przez chwilę rozważał romantyczną możliwość zniknięcia; mógłby pojechać do Pireusu i podjąć tam pracę jako urzędnik; mógłby zostać rybakiem; mógłby pojechać do Ameryki i zacząć od nowa. Pieścił efemeryczne wyobrażenie samego siebie, uwolnionego od groteskowych fałdów tłuszczu, śpiewającego sprośne *rebetika* w ateńskich burdelach, pijącego łąpczywie wino i czarującego młode dziewczyny. Wyobrażał sobie także, że odchodzi do pustelni w górach Epiru, mieszka tam karmiony przez kruki i osiąga wspaniały stan świętości. Pomyślał o cudach, które mogłyby być czynione w jego imieniu, i z przykrością skonstatował, że pewnie stałby się patronem ludzi nieprzyzwoicie grubych. Może mógłby tworzyć wspaniałą poezję i dorównać sławą i poważaniem Kostisowi Palamasowi. Czemu jednak poprzestać na tym? Mógłby przecież być drugim Homerem. Siedząc za ikonostasem, zaczął mamrotać basem:

– „Drażni mnie, gdy widzę, jak nikczemne są te kreatury u władzy wobec nas, bogów, gdy oskarżają nas o zło (znacznie przewyższające nasze najsurowsze wyroki), które ściągnęli na siebie swą rozpustą”. – Zawahał się i umilkł, marszcząc czoło; czy następny fragment traktował o Egipcie, czy o Atenie rozmawiającej z Zeusem? – „Moje dziecko – zaprotestował Zeus gromowładny – jakież surowe sądy padają z twych ust... ”

Przerwało mu dyskretne kaszlnięcie z głównej części świątyni. Pośpiesznie zebrał myśli, poczuł, jak rumieniec zażenowania barwi mu uszy i kark. Znieruchomiał. Został przyłapany na nieświadomym akcie deklamatorskiego śnienia na jawie i teraz wieśniacy będą rozpowiadać, że jest obłąkany. Usłyszał cichnące szuranie nogami i wyrzwał zza przegrody. Zauważył, że ktoś zostawił mu bochenek chleba. Oblizał wargi i zapragnął trochę sera na dokładkę. Znow rozległy się kroki. Arsenios cofnął się szybko, niczym dziecko podczas zabawy w chowanego. Stąpienie ucichło. Zerknął przez mały otwór w ikonostasie i zauważył, że ktoś zostawił duży, miękki i soczysty kawałek sera.

– Cud – powiedział do siebie Arsenios. – Bogu niech będą dzięki. – Ledwie naszło go niepoważne pragnienie ujrzenia obok sera bakłażanów i butelki oliwy, a już został nagrodzony nie następnym cudem, lecz parą pantofli. – Mój Boże, mój Boże – rzekł, patrząc w sufit – ależ Ty jesteś przewrotny.

Stopniowo u wejścia do świątyni gromadziły się prezenty od wieśniaków, zostawiających je na dowód przeprosin. Ojciec Arsenios z dziecinną zachłannością obserwował przez dziurkę, jak w ślad za rybami pojawiły się warzywa i haftowane chusteczki. Zauważył, że zebrała się spora liczba butelek roboli i w duchu rzekł do siebie z wyrzutem: „Ejże! Czy oni myślą, że jestem pijakiem?” Zaczął obliczać, na jak długo wystarczy tego zapasu, jeżeli będzie wypijał dwie butelki dziennie. A potem na ile, jeżeli będzie opróżniał trzy. Dla zabawy matematycznej i intelektualnej próby sił zaczął robić obliczenia dla trzech i pięciu ósmych butelki dziennie, ale pogubił się i musiał zacząć rachuby od nowa.

Sterta darów wciąż rosła, gdy uświadomił sobie, że pilnie musi oddać mocz. Drgnął niespokojnie i zaczął się pocić. Stał przed okropnym dylematem – albo wyjdzie ze świątyni, a wtedy może przepłoszyć ofiarodawców, albo będzie musiał tu siedzieć z rosnącą desperacją do czasu, aż zyska pewność, że strumień pokutniczych darów się wyczerpał. Zaczął gwałtownie żałować butelki, którą wypił przed wyjściem. To kara boska za pociąg do alkoholu, pomyślał. Nigdy więcej go nie tknę, ani kropli. Zaczął się modlić do świętego Jerasimosa o ulgę w cierpieniu. Po zakończeniu modlitwy doznał natchnienia. W kościele był przecież spory zapas butelek. Zaczął uważnie nasłuchiwać odgłosu zbliżających się kroków, nic nie usłyszał i wyskoczył zza ikonostasu tak prędko, jak tylko brzuch mu pozwolił. Szybkim, rozkołysanym krokiem przeszedł do wejścia, z bolesnym wysiłkiem schylił się po butelkę, a potem wycofał do swojej kryjówki za przegrodą. Wyciągnął korek zębami i zaczął rozważać następny problem; żeby móc skorzystać z butelki, trzeba ją opróżnić. Co mógłby zrobić z winem? Grzechem byłoby je zmarnować. Podniósł butelkę i wlał jej zawartość do gardła. Strużki słodkiego płynu ściekały mu po brodzie na sutannę. Uważnie obejrzał butelkę, dostrzegł wewnątrz jeszcze jedną czy dwie krople i zamaszystym ruchem strząsnął je do ust.

Wyjrzał przez dziurkę, by się upewnić, że nikt go nie usłyszy, uniósł sutannę i wypuścił potężny strumień uryny do butelki. Mocz uderzył o szklane denko i rozprysnął się z sykiem. Arsenios z przerażeniem spostrzegł, że w miarę zwężania się szyjki naczynia napęlnia się ono z gwałtownie rosnącą prędkością. Powinni robić je cylindryczne, pomyślał ksiądz, i w tym momencie zaskoczył go wytrysk z butelki. Wtarł stopą rozprysnięty mocz w pył podłogi i zdał sobie sprawę, że będzie musiał poczekać w kościele, aż wyschną wilgotne

plamy na jego odzieniu. Kapłan, pomyślał, nie może pokazywać się obsikany. Postawił butelkę z uryną i znowu usiadł. Ktoś wszedł do kościoła i zostawił mu parę skarpet.

Po kwadransie do świątyni wkroczył Welisarios; liczył, że przeprosi Arseniosa osobiście. Spojrzał na dzwonnice i potoczył wzrokiem po wnętrzu kościoła. Już miał wychodzić, gdy usłyszał przeciągłe, bulgoczące czknięcie, dochodzące zza przegrody.

– Ojcze! – zawołał. – Przyszedłem przeprosić.

– Odejdź – padła rozdrażniona odpowiedź, a po niej słowa: – Próbuję się modlić.

– Ale ojcze, chcę przeprosić i ucałować twoją rękę.

– Nie mogę wyjść. Z różnych powodów.

Welisarios podrapał się w głowę.

– Jakich?

– Religijnych. A poza tym nie czuję się dobrze.

– Chce ojciec, żebym sprowadził doktora Janisa?

– Nie.

– Przepraszam za to, co zrobiłem. Aby naprawić krzywdę, zostawiłem butelkę wina.

Będę się modlił do Boga, by mi przebaczył. – Welisarios wyszedł ze świątyni i wrócił do domu doktora, aby sprawdzić, jak się miewa Mandras. Stwierdził, że ofiara jego pokazu patrzy z psim uwielbieniem na Pelagię. Potem poszedł zawiadomić doktora, że kapłan źle się czuje.

Ojciec Arsenios przekonywał się właśnie, że jego sposób rozwiązania problemu nabrzmiałego pęcherza jest źródłem kolejnego nabrzmienia. Po odejściu Welisariosa opróżnił następną butelkę i napełnił ją przeistoczoną zawartością poprzedniej. Tym razem zabrakło mu nawet tej wątpliwej celności, balansu ciałem i umiejętności oceny, kiedy przestać, które wykazał we wcześniejszej próbie. Pozostała następna kałuża do wtarcia stopą w zakurzoną podłogę i kolejne wilgotne plamy na sutannie. Arsenios znowu usiadł. Wzrok miał zamglony i poczuł pierwsze mdłości. Ciężko osunął się z klęcznika, tłukąc sobie kość ogonową. Dwadzieścia minut później zbudziła go pilna potrzeba opróżnienia i napełnienia następnej butelki. Przyrzekał sobie solennie przestać, zanim zwężająca się szyjka po raz kolejny wywoła efekt Venturiego, lecz był tak udręczony parciem na pęcherz, że jeszcze raz wykazał się żalonym brakiem refleksu.

Doktor Janis wkroczył do kościoła w przejrzystym świetle popołudnia. W dni powszednie nosił ubiór, jaki wieśniacy wkładali w dni wolne od pracy i święta religijne – wytarty czarny garnitur z plamami wyświęceń i koszulę bez kołnierzyka, czarne buty, zakurzone i popękane, oraz kapelusz z szerokim rondem. Podkręcał wąsa, pociągając w

zadumie fajkę. Podzielił swą uwagę na dwoje, tak że jednocześnie myślał o złupieniu wyspy przez krzyżowców i o tym, co powie Arseniosowi. Wyobrażał sobie następującą scenę:

Rzekłby: „Ojcie, głęboko boleję nad zniewagą, jaka spotkała cię tego rana”, a on by odparł: „To zaskakujące u człowieka, który nie wierzy w Boga”. Na co on odpowiedziałby: „Ale wierzę, że kapłan powinien być traktowany z szacunkiem. Wioska potrzebuje kapłana jak wyspa morza. Przyjdź, ojcie, jutro i zjedz z nami kolację. Pelagia przyrządzi pieczone jagnię z ziemniakami. Zaproszę także nauczyciela. Aha! Z przykrością dowiaduję się, że ojciec źle się czuje. Czy mogę w czymś pomóc?”

Kiedy jednak wszedł do kościoła, natychmiast zrozumiał, że ta rozmowa prawdopodobnie się nie odbędzie. Usłyszał, jak ktoś jęczy i wymiotuje za przegrodą.

– Ojcie? – zawołał. – Dobrze się ojciec czuje?

Rozległ się następny żalony i rozdzierający jęk i odgłos przywodzący na myśl wymiotującego w bólach psa. Na podstawie doświadczenia wyniesionego z obserwacji wymiocin niezliczonych pacjentów, Janis wyobraził sobie, że te będą w przeważającej mierze żółte. Zastukał kłykciami w przegrodę i zawołał:

– Ojcie, jesteś tam?

– O Boże, o Boże – zajęczał Arsenios.

Doktor stanął przed poważnym dylematem. Chodziło o to, iż tylko człowiek wyświęcony mógł wejść za ikonostas. Janis już dawno temu porzucił religię na rzecz odmiany materializmu reprezentowanej przez Ernsta Macha, ale uważał, że nie może złamać tego zakazu. Takiego tabu nie wolno było beztrąsko naruszyć nawet komuś, kto nie dawał wiary jego przesłankom. Doktor nie mógł tam wejść, tak samo jak nie mógł czynić awansów zakonniczy. Zapukał więc natarczywiej i rzekł:

– *Patir*, ojcie, to ja, doktor Janis.

– *Jatre* – zajęczał płaczliwie kapłan – jestem dotknięty poważną chorobą. O Boże, dlaczego na próżno stworzyłeś ludzi? Pomóż mi, na miłość boską.

Doktor posłał pełną skruchy modlitwę do Boga, w którego nie wierzył, i wkroczył za ikonostas. Ujrzał Arseniosa leżącego bezradnie na wznak w kałuży uryny i wymiocin. Duchowny jedno oko miał zamknięte, z drugiego wypływały strumienie łez. Doktor z beznamiętnym zdziwieniem zauważył, że wymiociny są raczej białe niż żółte i że kontrastują z matową czernią sutanny.

– Musi ojciec wstać – rzekł. – Może się ojciec wesprzeć na moim ramieniu, ale obawiam się, że nie zdołam ojca przenieść.

Wywiązała się nierówna i daremna walka, w której drobny lekarz nie zdołał podnieść pękatego duchownego. Janis bardzo szybko zdał sobie sprawę z bezskuteczności swoich wysiłków i wyprostował się. Zauważył obecność trzech butelek moczu w tym świętym miejscu. Z zawodowej ciekawości podniósł jedną do światła i sprawdził, czy nie ma w nim ostrzegawczych smug śluzu, wskazujących na zapalenie cewki moczowej. Mocz był czysty. Doktor uświadomił sobie, że ma wymiociny na rękach. Patrzył na nie przez chwilę; nie miał najmniejszego zamiaru wycierać ich o spodnie, a tym bardziej nie zamierzał wykorzystać do tego celu przegrody. Schylił się i oczyścił dłonie sutanną Arseniosa, po czym wyszedł, by sprowadzić Welisariosa.

Tak więc pokutą Welisariosa za poranne poniżenie księdza była konieczność dźwigania olbrzymiego ciężaru jego ciała do domu doktora. Przypuszczalnie był to najbardziej tytaniczny pokaz siły i determinacji, z jakim kiedykolwiek musiał wystąpić. Dwa razy zatoczył się, a raz omal nie upadł. Później czuł w ramionach i plecach taki ból, jakby dźwigał cały świat, i zrozumiał, jak musiał się czuć święty Krzysztof, przeniósłszy Pana naszego przez rzekę. Siedział w cieniu, spływając potem, dysząc i doświadczając w najwyższym stopniu alarmującego, galopującego bicia serca. Pelagia częstowała go sokiem cytrynowym, osłodzonym miodem, sama zaś z kolei była częstowana uśmiechami przez Mandrasa, który obrócił się na bok, żeby obserwować Welisariosa. Czują Mandrasowe spojrzenie niby gorącą pieśczętę i zorientowała się z niepokojem, że pod jego wpływem potyka się o własne nogi, a jej biodra kołyszą się bardziej niż zwykle. W rzeczywistości to próba zapanowania nad biodrami spowodowała problemy ze stąpaniem.

W domu doktor wmuszał w duchownego kolejne dzbany wody, która stanowiła jedyne skuteczne lekarstwo na zatrucie alkoholowe, gdyż to właśnie u Arseniosa stwierdził. Zauważył, że staje się niestosownie wręcz surowy w stosunku do swojego pacjenta, snuł bowiem w myślach taki oto monolog: „Kapłan powinien chyba dawać lepszy przykład? To skandaliczne upić się o tak wczesnej porze! Jak człowiek może liczyć na zachowanie pozycji w tych stronach, skoro jest żarłokiem i pijakiem? Nie przypominam sobie równie złego księdza, a Bóg jeden wie, że mieliśmy paru nieodpowiednich... ” Zmarszczył brwi i westchnął z dezaprobatą, ścierając wymiociny z sutanny Arseniosa, i przeniósł swą irytację na koziołka Pelagii, który wkroczył do pokoju i wskoczył na stół.

– Głupie bydlę! – krzyknął do niego, a koziołek spojrzał nań zuchwale oczami jak szparki, jakby chciał powiedzieć: „Ja przynajmniej nie jestem pijany. Jestem tylko małym psotnikiem”.

Doktor pozostawił pacjenta w pijackim odrętwieniu i usiadł przy biurku. Postukał

piórem o blat i napisał:

W 1082 roku nikczemny normañski baron nazwiskiem Robert Guiscard próbował podbić wyspę i natrafił na niezwykle zaciekły opór ze strony miejscowych oddziałów partyzanckich. Świat został uwolniony od jego nieznośnej obecności przez gorączkę, która zabiła go w 1085 roku. Jedywym śladem, jaki po nim pozostał na ziemi, jest fakt, że Fiskardo nazwano od jego imienia, choć historycy nie podają, w jaki sposób G przekształciło się w F. Następny Norman, Bohemund, popisywał się wprawdzie pobożnością świeżo nabytą podczas niedawnej krucjaty, lecz złupił wyspę z niesłychanym i niewybaczalnym okrucieństwem. Należy przypomnieć, że to krzyżowcy, a nie muzułmanie, po raz pierwszy splądrowali Konstantynopol, i fakt ów powinien wzbudzić nieustające powątpiewanie w prawdziwość ich szlachetnych pobudek. Najwyraźniej jednak nie wzbudził, ponieważ rasa ludzka jest niezdolna do czerpania jakichkolwiek nauk z historii.

Odchylił się do tyłu na krześle, podkręcił węża i zapalił fajkę. Spojrzał za oknem Lemoni i zawołał ją do środka. Mała dziewczynka słuchała z oczyma okrągłymi z przejęcia, jak doktor prosi, by sprowadziła żonę Arseniosa. Poklepał ją po głowie, nazwał swoją „małą *koricimu*”, czyli dziewczuszką, i uśmiechnął się, patrząc, jak dziewczuszka podskakuje na ulicy. Pelagia była niegdyś równie rozkosznym dzieckiem. Myśl o tym wzbudziła w doktorze tęsknotę. Poczul, jak łza napływa mu do oka, i natychmiast ją przegnał, zapisując kolejne zdanie, w którym ostro skrytykował Normanów. Znowu się odchylił na krześle. Bieg jego myśli przerwało wejście Stamatisa, który trzymał kapelusz w rękach i ugniatał rondo.

– *Kalispera*, Stamatis – rzekł doktor. – Czym mogę służyć?

Stamatis poruszył się, zaszurał stopami, spojrzał z troską na okrągły, odziany w sutannę pagórek na podłodze i zapytał:

– Pamięta pan to... tę rzecz w moim uchu?

– Tę motylkową okluzję narządu słuchu?

– Tę właśnie, *jatre*. Cóż, chcę wiedzieć, czy... czy może pan wsadzić to z powrotem.

– Wsadzić z powrotem, *kirie* Stamatis?

– Chodzi o moją żonę, rozumie pan?

– Rozumiem – odparł doktor, wypuszczając cuchnący kłęb dymu ze swojej fajki. – A właściwie nie rozumiem. Może mi to wyjaśnisz.

– No cóż, gdy byłem głuchy na to ucho, nie słyszałem jej. Bo widzi pan, kiedy siedziałem tam gdzie zwykle, miałem zdrowe ucho akurat z drugiej strony i potrafiłem to

jakoś znieść.

– Znieść? Co?

– Zrzęczenie. Chodzi o to, że przedtem przypominało ono szum morza. Lubiłem je. Pomagało mi zasnąć. Ale teraz jest strasznie głośne i w ogóle nie ustaje. Po prostu trwa i trwa.

– Mężczyzna wzruszył ramionami jak zirytowana kobieta i zaczął naśladować żonę: – Nie nadajesz się do niczego, może byś przyniosła drewna, czemu nigdy nie mamy pieniędzy, dlaczego sama muszę wszystko robić, dlaczego nie wysłałam za prawdziwego mężczyznę, czemu dałaś mi tylko córki, co się stało z człowiekiem, którego poślubiłam? Całe to gadanie doprowadza mnie do szału.

– Próbowaleś ją sprać?

– Nie, *jatre*. Ostatnim razem, gdy ją uderzyłem, rozbiła mi talerz na głowie. Nadal mam bliznę. Niech pan popatrzy. – Starzec pochylił się do przodu i wskazał jakieś niewidoczne obrażenie na czole.

– No cóż, tak czy owak nie powinienes jej bić – zauważył doktor. – Kobiety po prostu znajdują wtedy bardziej podstępne i przewrotne sposoby zależenia człowiekowi za skórę. Na przykład przesłanie jedzenia. Radzę być dla niej miłym.

Stamatis był wstrząśnięty. Janis zaproponował sposób postępowania tak niepojęty, że nigdy mu nawet przez myśl nie przeszło, by wziąć go pod uwagę.

– *Jatre...* – zaprotestował, ale nie mógł znaleźć żadnych innych słów.

– Po prostu przynieś drewno, zanim żona o to poprosi, i kwiat, ilekroć wracasz z pola. Jeżeli jest zimno, okryj ją szalem, a jeśli gorąco, podaj jej szklankę wody. To proste. Kobiety zrzędzą tylko wtedy, gdy czują się niedoceniane. Pomyśl o niej jak o własnej matce, która zachorowała, i potraktuj ją odpowiednio.

– Więc nie włoży pan z powrotem... tego... niezwykłego zagłuszacza swarów i awantur?

– Oczywiście, że nie. Byłoby to sprzeczne z przysięgą Hipokratesa. Nie mogę do tego dopuścić. Nawiasem mówiąc, to właśnie Hipokrates powiedział, że radykalne środki są najważniejszym lekiem na niebezpieczne choroby.

Stamatis wyglądał na przybitego.

– Tak mówi Hipokrates? Więc muszę być dla niej miły?

Doktor pokiwał po ojcowsku głową, a Stamatis z powrotem włożył kapelusz.

– O Boże – mruknął.

Janis spoglądał na starego człowieka z okna. Stamatis wyszedł na drogę i zaczął się oddalać. Po chwili przystanął i popatrzył na purpurowy kwiatek na nasypie. Pochylił się, by

go zerwać, ale natychmiast się wyprostował. Rozejrzał się wokół siebie, żeby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje. Ściągnął pas, jakby zbierając się w sobie, popatrzył wściekle na kwiat i odwrócił się na pięcie. Ruszył dalej, ale po chwili stanął. Niczym mały chłopiec dokonujący drobnej kradzieży popędził z powrotem, złamał łodyżkę kwiatka, ukrył go pod kaftanem i odszedł powolnym krokiem z przesadnie beztroską i obojętną miną. Doktor wychylił się z okna i krzyknął za nim:

– Brawo, Stamatis! – Uczynił to dla zwykłej, lecz złośliwej przyjemności ujrzenia na własne oczy zażenowanej i zawstydzonej miny tamtego.

VIII

Dziwny kotek

Lemoni wbiegła na podwórko domu doktora Janisa, w chwili gdy ten wyruszał na śniadanie do kafenijonu; zamierzał spotkać się tam ze wszystkimi mężczyznami i podyskutować o problemach świata. Wczoraj spierał się gwałtownie z Kokoliosem o komunizm. Nocą znalazł wspaniały argument, który wypróbowywał w myślach tak zawzięcie, że owe próby uniemożliwiły mu sen, zmuszając do wstania z łóżka i zapisania małego fragmentu dalszego ciągu jego historii, skromnej diatryby o rodzinie Orsinich. Tak wyglądała jego przemowa do Kokoliosa:

„Słuchaj, jeżeli wszyscy są zatrudnieni przez państwo, jest rzeczą oczywistą, że każdemu płaci właśnie ono, prawda? Więc cały podatek, jaki wraca do państwa, to pieniądze, które pierwotnie od państwa pochodziły, prawda? Tak więc państwo zawsze dostaje tylko około jednej trzeciej tego, co zapłaciło w zeszłym tygodniu. A zatem w tym tygodniu jedynym sposobem na zapłacenie wszystkim jest dodrukowanie pieniędzy, czyż nie? Z tego wynika, że w państwie komunistycznym pieniądz bardzo szybko staje się bytem urojonym, ponieważ państwo nie ma nic, czym mogłoby go zastąpić”.

Wyobrażał sobie, jak Kokolios ripostuje: „Ach, *jatre*, brakujące pieniądze pochodzą z zysków”, po czym on, szybki jak błyskawica, odpowiada: „Ale słuchaj, Kokolios, jedynym sposobem, w jaki państwo może osiągnąć zysk, jest sprzedaż towarów za granicę, a to może nastąpić jedynie pod warunkiem, że w innych krajach panuje kapitalizm i mają one nadwyżkę z podatków, za którą mogą kupować. A więc musisz sprzedawać kapitalistycznym przedsiębiorstwom. Jest więc oczywiste, że komunizm nie może przetrwać bez kapitalizmu, a to czyni ideę jego istnienia wewnętrznie sprzeczną, ponieważ komunizm ma być końcem kapitalizmu, na dodatek zaś ma się rozprzestrzenić na całym świecie. Z mojej tezy wynika, że gdyby cały świat stał się komunistyczny, światowa gospodarka w ciągu tygodnia całkowicie by upadła. I co ty na to?” Doktor Janis ćwiczył właśnie teatralny gest, którym zakończyłby tę perorę (powrót fajki między zaciśnięte zęby), gdy Lemoni chwyciła go za rękaw i powiedziała:

– *Jatre, jatre*, znalazłam dziwnego kotka.

Spojrzał na drobną dziewczynkę, dostrzegł wyraz przejęcia na jej twarzy i rzekł:

– Cześć, *koricimu*. Co mówiłaś?

– Dziwnego kotka.

– Hm, rozumiem, więc o co ci chodzi z tym dziwnym kotkiem?

Dziewczynka z irytacją przewróciła oczyma i otarła brudną rączką czoło, pozostawiając na nim ciemną smugę.

– Znalazłam dziwnego kotka.

– Dziełne dziecko. Może pójdziesz powiedzieć o tym swemu tatusiowi?

– Kotek jest chory.

– Na co?

– Jest zmęczony. Chyba boli go główka.

Doktor zawahał się. Kusiła go filiżanka kawy, musiał też wygłosić swą mowę, ostatecznie obalającą komunizm. Na myśl o konieczności wyrzeczenia się podziwu zebranych w kawiarni i ich oklasków poczuł dziecięcy ból rozczarowania. Popatrzył na przerażoną twarzyczkę dziewczynki, uśmiechnął się z wielkoduszną rezygnacją i wziął ją za rękę.

– Pokaż mi go – rzekł – i pamiętaj, że nie lubię kotów. Nie znam się też wcale na leczeniu bólów głowy u kotów. Zwłaszcza tych dziwnych.

Lemoni poprowadziła go drogą, ponagłając niecierpliwie przy każdym kroku. Zmusiła go do wspięcia się na niski mur i nurkowania pod gałęzie oliwek.

– Czy nie możemy obejść drzew dookoła? – zapytał. – Pamiętaj, że jestem od ciebie wyższy.

– Tak jest szybciej. – Zaciągnęła go do kępy dzikich róż i zarośli, opadła na kolana i zaczęła posuwać się na czworakach przez tunel zrobiony przez jakieś dzikie zwierzę dla własnego użytku.

– Nie mogę tędy przejść – zaprotestował Janis. – Jestem za duży. – Torował sobie drogę uderzeniami laski, krocząc śladem umykającej pupy tak szybko, jak tylko potrafił. Z przykrością wyobraził sobie niezadowolenie Pelagii proszonej o załatwienie dziur w jego spodniach i zrobienie czegoś z powyciąganymi nitkami. Czuł, że zadrapania już zaczynają go swędzieć.

– Co ty, u licha, tu robiłaś? – zapytał.

– Szukałam węży.

– Czy wiesz, że dzieciństwo to jedyny okres w naszym życiu, gdy nie tylko pozwala się nam na szaleństwa, ale i oczekuje ich od nas? – zadał retoryczne pytanie Janis. – Gdybym to ja pełzał w poszukiwaniu węży, zabraliby mnie do Pireusu i trzymali pod kluczem.

– Mnóstwa wielkich węży – dodała Lemoni.

W chwili gdy doktor poczuł, że ogarnia go rozdrażnienie, ba, furia, doszli do małej polanki, która w odległych czasach została podzielona na dwie części lichym, obwisłym płotem z drutu kolczastego. Lemoni zerwała się na nogi i podbiegła do płotu, pokazując coś doktorowi. Trwało parę chwil, zanim Janis uświadomił sobie, że nie powinien śledzić wzrokiem kierunku, który wskazuje brudny palec (wycelowany w niebo), lecz całą ręką.

– Tam jest – obwieściła. – To dziwny kotek i wciąż jest zmęczony.

– Nie jest zmęczony, *korcimu*. Zaczepił się o drut. Bóg jeden wie, jak długo tu wisi. – Janis opadł na kolana i spojrział na zwierzę. Mrugnęły do niego dwa małe, błyszczące, czarne ślepia, wyrażające rozpacz i cierpienie. Doktor wzruszył się w sposób, który wydał mu się dość dziwny i irracjonalny.

Kot miał spłaszczoną trójkątną głowę, ostry pyszczek i puszysty ogon. Był cały ciemnobrązowy, z wyjątkiem szyi i piersi, które miały trudny do określenia odcień, coś pomiędzy żółcią a kremową bielą. Jego uszy były szerokie i zaokrąglone. Doktor spojrział mu w oczy: zawieszona na płocie stworzenie było bliskie śmierci.

– To nie kotek – rzekł do dziewczynki. – To kuna leśna. Pewnie wisi tu od wieków. Chyba najlepiej będzie ją zabić, bo i tak umrze.

Lemoni nie posiadała się z oburzenia. Łzy napłynęły jej do oczu, tupnęła nogą, podskoczyła i, krótko mówiąc, zakazała doktorowi zabijania kuny. Pogłaskała głowę zwierzęcia i stanęła między nim a człowiekiem, któremu powierzyła jego uratowanie.

– Nie dotykaj jej, Lemoni. Pamiętaj, że król Aleksander zmarł od ugryzienia małpy.

– To nie jest małpa.

– Może mieć wściekliznę. Może zarazić cię tężcem. Nie dotykaj jej.

– Głaskałam ją przedtem i mnie nie ugryzła. Jest zmęczona.

– Lemoni, drut przebił skórę na jej brzuchu i pewnie tkwi tam od wielu godzin. Wielu dni. Ona nie jest zmęczona, ona umiera.

– Chodziła po linie – odparła Lemoni. – Widziałam je. Chodzą po drucie, wspinają się po tym drzewie i wyjadają jajka z gniazd. Widziałam je.

– Nie wiedziałem, że tutaj mieszkają. Sądziłem, że żyją w górach. To właśnie najlepszy dowód.

– Na co?

– Że dzieci widzą więcej niż my.

Doktor znowu ukląkł, by obejrzeć młodziutką kunę. Przypuszczalnie przyszła na świat przed paroma dniami. Była nadzwyczaj ładna. Przez wzgląd na Lemoni postanowił, że dobieje

ją potem, gdy dotrze do domu. Nikt nie podziękowałby mu za uratowanie zwierzęcia, które morduje kurczęta i gęsi, wykrada jaja, zjada ogrodowe jagody, a nawet plądruje ule; mógłby powiedzieć małej, że kuna sama zdechła, i chyba nawet dać ją Lemoni do zakopania. Przyjrzał się stworzeniu uważniej i spostrzegł, że nie tylko nadziało się na wąż z drutu, ale zdołało okręcić się nim dwa razy. Musiało walczyć nieustępliwie i pewnie przeżyło straszliwe męczarnie.

Chwycił kunę bardzo ostrożnie za kark i obrócił. Stopniowo uwalniał zwierzę z pułapki, zdając sobie sprawę, że obserwująca go bacznie dziewczynka pochyła głowę tuż obok jego skroni.

– Ostrożnie – ostrzegęła.

Doktor skrzywił się na myśl o śmiertelnym ugryzieniu, po którym mógłby toczyć pianę z ust albo leżeć na łóżku z zaciśniętymi szczękami. Wyobraźcie sobie, ryzykować własne życie dla jakiegoś szkodnika. Oto do czego potrafi zmusić człowieka dziecko. Musi być szalony, głupi albo szalony i głupi zarazem.

Obrócił kunę brzuchem ku górze i badał ranę. Drut zranił wyłącznie luźną skórę krocza i nie uszkodził mięśni. Przypuszczalnie w grę wchodziło jedynie ostre odwodnienie organizmu. Zauważył, że to samica i że ma słodki, piżmowy zapach. Przypomniał mu on kobietę z marynarskich czasów, woń, do której nie potrafił dopasować twarzy. Pokazał kunę Lemoni i rzekł:

– To dziewczynka.

Mała oczywiście natychmiast zapytała:

– Dlaczego?

Doktor włożył zwierzątko do kieszeni marynarki i zaprowadził Lemoni do jej domu, obiecując, że zrobi wszystko, co w jego mocy. Potem poszedł do siebie, by stwierdzić, iż Mandras stoi na podwórku i bawi ożywioną rozmową Pelagię, próbującą je zamieść. Rybak nieśmiało uniósł wzrok i rzekł:

– O, *kalimera, jatre*. Właśnie przyszedłem do pana z wizytą, a ponieważ pana nie zastałem, rozmawiam sobie z Pelagią. Rana dokucza mi trochę.

Doktor Janis spojrzął na niego sceptycznie i poczuł, jak wzbiera w nim złość; bez wątplenia cierpienia małego zwierzęcia wytrąciły go z równowagi.

– Twoja rana jest w najlepszym porządku. Pewnie chcesz mi powiedzieć, że cię swędzi.

Mandras uśmiechnął się przymilnie.

– Właśnie, *jatre*. Musi pan być czarodziejem. Jak pan się domyślił?

Doktor skrzywił wargi i wydał z siebie udawane westchnienie.

– Doskonale wiesz, że rany zawsze swędzą w czasie gojenia. Wiesz również doskonale, że ja doskonale wiem, że przyszedłeś tutaj tylko po to, by flirtować z Pelagią.

– Flirtować? – powtórzył młodzieniec, udając niewinność, a zarazem przerażenie.

– Tak. Flirtować. Nie ma na to innego słowa. Wczoraj przyniosłeś nam kolejną rybę, a potem flirtowałeś z moją córką przez godzinę i dziesięć minut. No cóż, lepiej rób to dalej, bo nie będę marnował czasu na oglądanie idealnie gojącej się rany, nie jadłem jeszcze śniadania, a w kieszeni mam dziwnego kota, którego muszę zbadać.

Mandras usiłował ukryć oszołomienie. Słowa Janisa natchnęły go niezwykłą śmiałością:

– Więc mam zgodę na rozmowy z pana córką?

– A rozmawiaj sobie, rozmawiaj – odparł doktor z irytacją, machając rękami. Odwrócił się na pięcie i wszedł do domu. Mandras popatrzył na Pelagię i zauważył:

– Twój tata to dziwny gość.

– Mojemu ojcu nic nie brakuje – wykrzyknęła Pelagia – i każdy, kto twierdzi, że jest inaczej, dostaje miotłą po twarzy! – Szturchnęła filuternie Mandrasa tym narzędziem, a on chwycił za miotłę i wyjął ją z jej rąk. – Oddaj – powiedziała dziewczyna, śmiejąc się.

– Oddam... za całusa.

Doktor Janis ostrożnie ułożył zwierzę na kuchennym stole i przyglądał mu się przez chwilę. Zdjął jeden but, chwycił go za szpic i unióś nad głowę. Zmiażdżenie tak małej i kruchej czaszki nie nastroczyłoby żadnych trudności. Obyłoby się bez cierpień i bólu. Nic lepszego nie można zrobić.

Zawahał się jednak. Przecież nie może oddać Lemoni kuny ze zmiażdżoną czaszką. Może powinien skrócić jej kark? Podniósł kunę prawą ręką, układając palce na szyi zwierzęcia. Wystarczy po prostu nacisnąć kciukiem.

Rozważał tę ewentualność przez parę chwil, uznał, że rozwiązanie będzie właściwe, i poczuł, jak futro zaczyna ustępować pod kciukiem. Kuna była nie tylko bardzo ładna, ale wręcz czarująca, i budziła litość. Jak dotąd, niewiele sobie pożyła. Janis położył ją na stole i poszedł po alkohol. Starannie przemył ranę i założył jeden szew. Zawołał córkę.

Pelagia weszła do kuchni, przekonana, że ojciec widział, jak całowała się z Mandrasem. Przygotowywała się do zawziętej obrony, twarz miała zarumienioną; oczekiwała ojcowskiego wybuchu. Była kompletnie zaskoczona, gdy nawet nie unióś wzroku.

– Czy złapaliśmy dzisiaj jakieś myszy? – zapytał.

– Dwie, tatusiu.

– Więc idź, wykop je z miejsca, w którym je zakopałaś, i zmiel.

– Mam je zemleć?

– Tak. Przepuść je przez maszynkę. I przynieś mi trochę słomy.

Pelagia wyszła pośpiesznie, zmieszana i uspokojona zarazem.

– W porządku, chce tylko, żebym zmeła parę myszy i znalazła trochę słomy – powiedziała do Mandrasa, który nerwowo kopał kamienie leżące wokół drzewa oliwnego.

– Chryste, mówiłem, że to dziwny gość.

Pelagia wybuchnęła śmiechem.

– To znaczy jedynie, że ma jakiś nowy plan. Tak naprawdę wcale nie jest szaleńcem. Możesz poszukać słomy, jeśli chcesz.

– Dzięki – odparł. – Uwielbiam takie zajęcia.

Uśmiechnęła się figlarnie.

– Może ci to wynagrodzę.

– Za całusa wylizałbym do czysta nawet chlew.

– Chyba nie myślisz, że pocałowałabym cię po takim wyczynie?

– Ja pocałowałbym cię nawet wtedy, gdybyś zlizwała szlam z dna mojej łodzi.

– Wierzę ci. Jesteś o wiele bardziej szalony niż mój ojciec.

W domu doktor nappełnił zakraplacz do oczu kozim mlekiem i zaczął je wpuszczać kunie do gardła. Gdy w końcu zsikała mu się na kolano, poczuł ogromną satysfakcję zawodową. To wskazywało na prawidłową pracę nerek. Zabije ją, gdy wrócę z kafenijonu, postanowił, gładząc palcem gęste brązowe futerko na głowie zwierzęcia.

Pół godziny później jego pacjentka spała głębokim snem na łożu ze słomy, a Pelagia siekała na podwórku myszy. Mandras, nie wiedząc czemu, siedział na gałęzi drzewa oliwnego. Doktor Janis przemknął obok nich w drodze do kawiarni, raz jeszcze powtarzając w myślach swą druzgoczącą krytykę komunistycznej gospodarki i wyobrażając sobie wyraz zmieszania, który niebawem pojawi się na twarzy Kokoliosa. Pelagia dogoniła ojca i, tak jak wcześniej Lemoni, szarpnęła go za rękaw.

– Tatusiu – powiedziała – nie widzisz, że wyszedłeś w jednym bucie?

IX

15 sierpnia 1940

W drodze do kafenijonu doktor Janis spotkał Lemoni, która była zajęta poszturchiwaniem długonogiego cętkowanego psa patykiem w nos. Zwierzę skakało wokół niej, szczekając wściekle, i usiłowało chapnąć zębami kawałek drewna. Jego zmacony umysł jeszcze bardziej mąciło pytanie, którego trudność przesądziła chyba o podjęciu decyzji, by czekać coraz zajadlej: czy to zabawa, czy prawdziwa prowokacja? Pies przysiadł na zadzie, odrzucił łeb do tyłu i zawył jak wilk.

– On śpiewa, on śpiewa! – krzyknęła wesoło Lemoni i zawtórowała czworonogowi. – Auuu, a-uuu, a-uuu!

Doktor zatkał uszy palcami i zaprotestował:

– *Koricimu*, przestań, przestań natychmiast, dziś już i tak jest zbyt gorąco, a ten hałas powoduje, że się pocę. I nie rób tego psu, bo cię ugryzie.

– Nie ugryzie, on gryzie tylko patyki.

Janis wyciągnął rękę, żeby poklepać zwierzę po głowie, i przypomniał sobie, że kiedyś zszywał mu głębokie rozcięcie w łapie. Skrzywił się na wspomnienie wyciągania odłamków stłuczonego szkła. Wiedział, że wszyscy uważają go za dziwaka z racji przymusu uzdrawiania, który odczuwał; prawdę powiedziawszy, on sam też sądził, że to osobliwa cecha, zdawał sobie jednak również sprawę, że każdy człowiek potrzebuje jakiejś obsesji, żeby cieszyć się życiem, a jeśli ta obsesja jest konstruktywna, to tym lepiej. Spójrzcie na Hitlera, Metaksasa i Mussoliniego, tych megalomanów. Popatrzcie na Kokoliosa pochłoniętego rozdziałem cudzego bogactwa albo na ojca Arseniosa, niewolnika własnego apetytu, czy na Mandrasa, tak bardzo zakochanego w jego córce, że nawet huśta się na drzewie oliwnym, naśladując małpę, by sprawić Pelagii przyjemność. Doktor wzdrygnął się na wspomnienie pawiana przykutego łańcuchem do drzewa, którego widział w Hiszpanii; dokonywał samogwałtu, a potem zjadał własne nasienie. O Boże, wyobraźcie sobie tylko Mandrasa w takiej roli.

– Nie powinieneś go głaskać – powiedziała Lemoni, zadowolona ze sposobności do

wyrwania doktora z zadumy i popisania się swoją mądrością przed dorosłym. – Ma pchły.

Janis szybko cofnął dłoń, a pies schował się za niego, by uniknąć szturchania kijem.

– Zdecydowałaś się już na imię dla kuny?

– Psipsina – oznajmiła Lemoni. – Nazywa się Psipsina.

– Nie możesz jej tak nazywać, to nie kotka.

– No cóż, ja nie jestem lemoniadą, a nazywam się Lemoni.

– Byłem przy twoich narodzinach – wyjaśnił doktor – i nie wiedzieliśmy, czy jesteś dzieckiem, czy cytryną. Omal nie zaniósłem cię do kuchni i nie wycisnąłem z ciebie całego soku. – Twarz dziewczynki wykrzywiła się w grymasie powątpiewania. Pies wystrzelił nagle pomiędzy nóg doktora, wyrwał jej patyk z rąk i pobiegł z nim ku stercie gruzu, gdzie zaczął rozrywać go na drzazgi. – Sprytny pies – zauważył Janis i zostawił małą Lemoni, gapiącą się ze zdumieniem na swoje puste ręce.

Gdy wszedł do kafenijonu, zastał w nim już stałych bywalców: Kokoliosa ze wspaniałymi bujnymi wąsami prawdziwego mężczyzny, Stamatisa unikającego pełnych wyrzutu spojrzeń i zrzędzenia żony, ojca Arseniosa, baryłkowatego i spoconego. Doktor odebrał przy barze maleńką filiżankę kawy i szklankę wody, po czym jak zawsze usiadł obok Kokoliosa. Wypił spory łyk wody i, również jak zawsze, zacytował Pindara:

– Nie ma to jak woda.

Kokolios zaciągnął się głęboko – palił nargile – wypuścił kłąb niebieskiego dymu i zapytał:

– Byłeś marynarzem, *jatre*, prawda? Czy grecka woda naprawdę smakuje lepiej niż woda w innych krajach?

– Bez wątpienia. A woda kefalońska smakuje jeszcze lepiej niż jakakolwiek inna w Grecji. Mamy także najlepsze wino, najlepsze światło i najlepszych marynarzy.

– Gdy nastanie rewolucja, będziemy mieć również najlepsze życie – oznajmił Kokolios z zamiarem sprowokowania zebranych. Wskazał na portret króla Jerzego wiszący na ścianie i dodał: – A fotografia gęby tego głupca zostanie zastąpiona zdjęciem Lenina.

– Kanalia – półszepem powiedział Stamatis. Usunięcie ziarnka grochu z ucha naraziło go nie tylko na złość współmałżonki, ale i na szokująco niepatriotyczny antymonarchizm Kokoliosa. Uderzył grzbietem ręki o dłoń, by unaocznić bezmiar Kokoliosowej głupoty, i dodał: – Sukinsyn.

Kokolios uśmiechnął się groźnie i rzekł:

– Jestem sukinsynem? Możesz mi skoczyć. Pierdol się.

Doktor zachnął się na te zniewagi i propozycje i z hałasem odstawił szklankę na stół.

– *Pedia, pedia*, chłopcy, dosyć tego. Wysłuchujemy tych przykrych słów każdego ranka. Zawsze byłem zwolennikiem Wenizelosa. Nie jestem monarchistą, komunistą również nie. Nie zgadzam się z wami, ale lecę Stamatiosową głuchotę i wypalam Kokoliosowe brodawki. I tak powinno być. Powinniśmy troszczyć się o siebie bardziej, niż troszczymy się o idee, bo inaczej w końcu się pozabijamy. Mam rację?

– Nie można zrobić omletu, nie rozbijając jajek – zacytował Kokolios, patrząc znacząco na Stamatiosa.

– Nie smakuje mi twój omlet – odparł Stamatis. – Jest zrobiony z zepsutych jaj, obrzydliwy w smaku, i mam po nim sraczkę.

– Rewolucja zatka ci tyłek – rzekł Kokolios i dodał rzeczowo: – Sprawiedliwy podział naszego skąpego dobytku, środki produkcji w rękach wytwórców, powszechny obowiązek pracy.

– Nie pracuje się więcej, niż się musi – zauważył ojciec Arsenios swym głębokim basem.

– Ty w ogóle nie pracujesz, ojcie. Codziennie robisz się grubszy. Wszystko dostajesz za darmo. Jesteś pasożytem.

Arsenios otarł pulchne dłonie o czarną sutannę, a doktor powiedział:

– Istnieje coś takiego jak nieodzowny pasożyt. W jelicie są bakterie pasożytnicze, które wspomagają trawienie. Nie jestem człowiekiem wierzącym, jestem materialistą, ale nawet ja widzę, że kapłani to bakterie, które czynią strawnym ludzkie życie. Ojciec Arsenios zrobił wiele pozytywnych rzeczy dla tych, którzy szukają ukojenia. Jest członkiem każdej rodziny i rodziną dla tych, którzy nie mają własnej.

– Dziękuję, *jatre* – rzekł duchowny. – Nigdy nie myślałem, że usłyszę taką pochwałę z ust człowieka znanego z bezbożności. Jeszcze ani razu nie widziałem cię w kościele.

– Empedokles powiedział, że Bóg to krąg, którego środek jest wszędzie i którego obwodu nie da się nigdzie znaleźć. Jeżeli to prawda, nie muszę chodzić do kościoła. I nie muszę wierzyć w te same rzeczy, by rozumieć, że ojciec ma cel. A teraz zapalmy i w spokoju napijmy się kawy. Jeżeli nie zdołamy zaprzestać tych sporów, to zaczną jadać śniadania w domu.

– Doktor rzeczywiście zamierza stać się heretykiem, zgadzam się z nim jednak, że nasz ksiądz jest wielkim pocieszycielem wdów – rzekł Kokolios, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Mógłbym skorzystać z twojego tytoniu? Mój się już kończy.

– Skoro twierdzisz, Kokolios, że wszelka własność to złodziejstwo, rozumiem, że powinieneś sprawiedliwie podzielić się z nami wszystkimi tym, co masz. Podaj swoją puszkę, a ja opróżnię ją dla ciebie. Jak sprawiedliwość, to sprawiedliwość. Bądź dobrym komunistą. Chyba że to tylko inni muszą się dzielić swą własnością w twojej komunistycznej utopii?

– Gdy nastanie rewolucja, *jatre*, starczy dla wszystkich. A tymczasem podaj mi swój kapciuch, a ja odwdziczę się innym razem.

Doktor podał mu tytoń i Kokolios napełnił nim swoją fajkę.

– Co nowego na wojnie?

Janis podkręcił końce wąsów i rzekł:

– Niemcy zajmują wszystko, Włosi zgrywają głupków, Francuzi uciekli, Belgowie zostali zaskoczeni przez najeźdźców, Polacy konno nacierali na czołgi, Amerykanie grają w baseball, Brytyjczycy piją herbatę i poprawiają monokle, Rosjanie siedzą z założonymi rękami, jeśli nie liczyć sytuacji, gdy przegłosowują wszystko, co się im tylko każe. Dzięki Bogu, nie bierzemy w tym udziału. Może otworzymy radio?

Duży brytyjski radiodbiornik w rogu kafenijonu został włączony, jego lampy zaczęły się jarzyć za mosiężną siatką, świsty, trzaski i syki zostały ściszone do minimum dzięki umiejętnemu kręceniu gałkami i ostrożnemu obracaniu skrzynką. Towarzystwo zasiadło przy nim, żeby posłuchać audycji z Aten. Wszyscy liczyli na to, że usłyszą o ostatniej paradzie Narodowej Organizacji Młodzieży przed premierem Metaksasem; może też będą jakieś wiadomości o królu i parę słów o najnowszych podbojach nazistów.

Nadano informację o nowym przymierzu Churchilla z Wolną Francją, następną o buncie w Albanii przeciwko okupacji włoskiej i jeszcze jedną, o aneksji Luksemburga i Alzacji-Lotaryngii. W tej chwili w drzwiach kafenijonu pojawiła się Pelagia, przywołując ojca natarczywym ruchem ręki, zażenowana świadomością, iż obecność kobiety nawet w pobliżu takiego miejsca jak to, jest większym świętokradztwem niż splunięcie na grób świętego.

Doktor Janis wetknął fajkę do kieszeni, westchnął i, ociągając się, podszedł do drzwi.

– O co chodzi, *koń*, co się stało?

– Chodzi o Mandrasa, *papakis*. Spadł z drzewa oliwnego prosto na doniczkę i ma parę odłamków... no wiesz... w siedzeniu.

– W tyłku? Co on robił na drzewie? Znowu się popisował? Małpie figle? Ten chłopak jest obłąkany.

Pelagia poczuła rozczarowanie, a zarazem dziwną ulgę, kiedy ojciec zakazał jej

wchodzić do kuchni, w czasie gdy usuwał drobne kawałki terakoty z gładkiego i muskularnego tyłka jej konkurenta. Stała na zewnątrz, oparta plecami o drzwi, i wzdragała się ze współczuciem przy każdym okrzyku Mandrasa. W kuchni doktor kazał rybakowi ułożyć się na stole twarzą w dół, ze spodniami opuszczonymi do kolan, i dumał nad idiotycznym zjawiskiem, jakim jest miłość. Jak Pelagia mogła zakochać się w chłystku tak pechowym, nieukształtowanym, a zarazem czarującym, jak ten? Pamiętał, co sam wyprawiał, aby popisać się przed własną żoną, zanim się zaręczyli: wspiął się na dach jej domu, podniósł dachówkę i opowiedział wszystkie głupie dowcipy, jakie znał; nocą przypinał do framugi drzwi domu swej wybranki wiersze „anonima”, szczegółowo opisujące jej wdzięki; podobnie jak Mandras, nadzwyczaj usilnie zabiegał o względy jej ojca.

– Jesteś idiotą – powiedział pacjentowi.

– Wiem – odparł Mandras, krzywiąc się, gdyż doktor wyciągał kolejny odłamek.

– Najpierw zostajesz przypadkiem postrzelony, a teraz spadasz z drzewa.

– Gdy byłem w Atenach, widziałem film o Tarzanie – wyjaśnił Mandras. – I po prostu tłumaczyłem Pelagii, o czym to było. – Auu! Z całym szacunkiem, *jatre*, niech pan uważa.

– Poszkodowany z powodu rozrywek kulturalnych, co? Młody głupiec.

– Tak, *jatre*.

– Przestań być taki ugrzeczniony. Wiem, do czego jesteś zdolny. Masz zamiar poprosić, by za ciebie wyszła, może nie? Ostrzegam, że posagu nie dam.

– Bez posagu?

– Czy to cię zraża? Albo jest nie do przyjęcia dla twojej rodziny? Nikt nie poślubi mojej córki jedynie w nadziei wzbogacenia się. Pelagia zasługuje na coś więcej.

– Nie, *jatre*, nie chodzi mi o majątek.

– No cóż, to dobrze. Masz zamiar poprosić mnie o zgodę?

– Jeszcze nie, *jatre*.

Doktor poprawił okulary.

– Najlepiej zachować ostrożność. Masz nadmiar temperamentu, wiesz, *kiefi*, żeby być dobrym mężem.

– Tak, *jatre*. Wszyscy mówią, że będzie wojna, a ja nie chcę zostawić po sobie wdowy, i to wszystko. Wie pan, jak ludzie traktują wdowy.

– Kończą jako kurwy.

Mandras był zgorszony.

– Pokładam w Bogu nadzieję, że Pelagia nigdy by nie upadła tak nisko.

Doktor wytarł tamponem strużkę krwi i zastanawiał się, czyjego pośladki też były

kiedyś takie piękne.

– Nie powinieneś pokładać nadziei w Bogu. To my decydujemy o tych sprawach.

– Tak, *jatre*.

– Przestań być taki grzeczny. Spodziewam się, że odkupisz doniczkę, którą tak szczerze winkrustowałeś w swoje ciało?

– Czy przyjąłby pan w zamian ryby, doktorze? Mógłbym przynieść wiadro śledzi i szprotów.

Minęło sześć godzin, nim doktor wrócił do kafenijonu, ponieważ prócz wykonania zabiegu musiał zapewnić córkę, że jeśli nie liczyć paru siniaków oraz kilku trwałych śladów na tyłku, Mandras wyjdzie z przygody bez szwanku, pomóc jej schwytać koziołka, który jakimś cudem wdrapał się na dach szopy sąsiada, nakarmić Psipsinę mielonym mięsem i – przede wszystkim – schronić się przed niezdolnym sierpniowym skwarem. Zrobił sobie sjęstę. Obudził go wieczorny koncert świerszczy i wróbli oraz wieśniacy zebrani na uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Wybrał się na *peripatos*, wieczorny spacer, przerwany nieuniknioną wizytą w kafenijonie i podjęty na nowo w nadziei, że Pelagia ugotuje coś do jedzenia, zanim on wróci do domu. Liczył na to, że przyrządzi nietypowe dla tej pory roku *kokoricci*, gdyż zauważył wątrobę i jelita na stole, na którym wykonywał zabieg. Przyszło mu na myśl, że w posiłku może się znaleźć parę kropel krwi Mandrasa. Zastanawiał się leniwie, czy jej spożycie można by traktować jak kanibalizm. To zaś skłoniło go do dalszych spekulacji, czy muzułmanie mogą uznać przystępowanie do komunii świętej za ludożerstwo.

Gdy tylko wszedł do kafenijonu, zorientował się, że czegoś brakuje. Z radia dobywała się poważna wojskowa muzyka, a chłopcy siedzieli ze zmarszczonymi czołami w ponurym, złowieszczym milczeniu, kurczowo trzymając szklanki. Zauważył ze zdumieniem, że zarówno Stamatis, jak i Kokolios mają na policzkach błyszczące ślady łez. Ku swemu zaskoczeniu ujrzał za oknem, jak ojciec Arsenios przechadza się wielkimi krokami z proroczo wzniesionymi rękoma i wysuniętą brodą patriarchy, wykrzykując:

– Świętokradztwo, świętokradztwo, wyjcie, okręty Tarszisz, spójrzcie, rozpętam niszczący wichur przeciw Babilonowi i przeciw wszystkim, którzy zamieszkują pośród tych, co powstają przeciw mnie. Płaczcie, córki Rabbaha. Wdziejcie Włosienice, biada, biada, biada...

– Co się dzieje? – zapytał Janis.

– Te sukinsyny zatopiły „Elli” – rzekł Kokolios – i storpedowały nabrzeże w Tinos.

– Co takiego?

– „Elli”. Okręt wojenny. Włosi zatopili go w Tinos, w momencie gdy pielgrzymi wyruszali do kościoła, by zobaczyć cuda.

– Ale ikony nie było na pokładzie, prawda? Co się dzieje? To znaczy dlaczego? Czy ikona jest nienaruszona?

– Nie wiemy, nie wiemy – odparł Stamatis. – Szkoda, że nie jestem już głuchy, bo bym o tym nie usłyszał. Nikt nie wie, ile osób zginęło, nie wiem, czy ikona nie została uszkodzona. Włosi zaatakowali nas, to wszystko. Nie mam pojęcia dlaczego. W święto Wniebowzięcia, to diabelski postęp.

– To oburzające, pomyślcie o wszystkich tych chorych pielgrzymach. Co robi Metaksas?

Kokolios wzruszył ramionami.

– Włosi twierdzą, że to nie ich sprawa, ale znaleziono już szczątki włoskiej torpedy. Czy oni myślą, że nie mamy odwagi? Te sukinsyny mówią, że to robota Brytyjczyków, a nikt nie widział łodzi podwodnej. Nie wiadomo, co się wydarzy.

Doktor przyłożył ręce do twarzy i poczuł, że łzy cisną mu się do oczu. Ogarnęła go dzika i bezsilna wściekłość małego człowieka, który został związany, zakneblowany i zmuszony do oglądania, jak gwałcą i okaleczają jego żonę. Nie próbował zrozumieć, dlaczego i on, i Kokolios czują chorobliwą odrazę na myśl o zbezczeszczeniu ikony i dnia świętego, mimo że jeden jest komunistą, a drugi wyznawcą etyki świeckiej. Nie zastanawiał się, czy wojna jest nieunikniona, czy nie. To nie były sprawy wymagające analizy. Kokolios i Stamatis wstali i razem wyszli z kafenijonu, gdy Janis powiedział:

– Zbierajcie się, chłopaki, idziemy do kościoła. To kwestia solidarności.

X

Homoseksualista (3)

Winowajca pragnie jedynie zrozumienia, gdyż wydaje mu się, że zrozumieć znaczy wybaczyć. Być może we własnych oczach jest niewinny, ale wystarcza mu świadomość, że inni sądzą inaczej, i czuje potrzebę udzielenia wyjaśnień. W moim przypadku jednak nikt nie wie, że jestem winny, a mimo to pragnę zrozumienia.

Zostałem wybrany do tej misji, ponieważ jestem potężnej postury, ponieważ zyskałem reputację twardziela, ponieważ jestem dość inteligentny (Francesco mawiał, że w wojsku „inteligentny” to ten, któremu na ogół udaje się wszystkiego nie spieprzyć) i dlatego że wykazałem się „żołnierskimi” cechami, co znaczy, że utrzymywałem moich ludzi w ryzach, pucowałem swoje buty, gdy nie były zbyt mokre, i znałem znaczenie większości akronimów, które zazwyczaj zmieniają wojskowe dokumenty w szyfr nie do złamania.

Otrzymałem rozkaz przywieziony przez łącznika na motorze, bym zameldował się u pułkownika Riuolty razem z innym, godnym zaufania żołnierzem. Naturalnie wybrałem Francesca; chyba już wyjaśniłem, że miałem zamiar wykorzystać moją ułomność jako środek do zostania dobrym żołnierzem. Z nim u boku czułem się zdolny do wszystkiego. Ponieważ nie toczyliśmy wojny, nie przyszło mi do głowy, że zabierając Francesca ze sobą, narażę go na niebezpieczeństwo. Nie miałem też pojęcia, że niebawem będę miał okazję zademonstrować mu swój heroizm.

Otrzymać rozkaz to jedno, a wykonać go to drugie. W tym czasie mieliśmy tylko dwadzieścia parę ciężarówek na dziesięć tysięcy żołnierzy. Pułkownik Riuolta znajdował się dwadzieścia cztery kilometry dalej. Żeby do niego dotrzeć, musieliśmy biec przez osiem kilometrów, jechać przez następnych pięć na mulach i w końcu złapać okazję – czołg, który jechał do naprawy na jedynym sprawnym, wstecznym biegu. Posuwaliśmy się tyłem, i to określenie pasowało jak ulał do całej zbliżającej się kampanii.

Riuolta był nad wyraz korpulentnym człowiekiem, który najwyraźniej awansował w hierarchii dzięki znajomości z właściwymi ludźmi. Stanowił niewyczerpaną kopalnię modnych

sloganów w rodzaju: „Z książką w jednej i rewolwerem w drugiej ręce”, i przejawiał wysublimowany heroizm człowieka, który umieszcza własną kwaterę dwadzieścia cztery kilometry od swoich żołnierzy w opuszczonej willi, żeby móc wykorzystywać murawę ogrodu na przyjęcia. My w piechocie alpejskiej słyniemy z bójek na pięści z Czarnymi Koszulami i być może właśnie dlatego zostałem wybrany do tej misji; moja śmierć nie miałaby większego znaczenia, ponieważ nie czekałem w kolejce do awansu. Ci, którzy zastanawiają się, czemu nasi żołnierze walczyli nieskutecznie w porównaniu ze swoimi ojcami w pierwszej wojnie światowej, powinni pamiętać o tym, że tym razem nie można było dosłużyć się stopnia starszego oficera dzięki samym zasługom; awansowało się, liżąc tylko przełożonym.

Riuolta był niski, gruby i znudzony i posiadał kilka medali z kampanii abisyńskiej, mimo że wszyscy wiedzieli, że on i jego ludzie kwaterowali w jednym miejscu i nic nie robili; nie przeszkodziło mu to w slaniu do kraju barwnych raportów o udanych operacjach. Były to wspaniałe i bardzo obrazowe dzieła fikcji literackiej i żołnierze często mawiali, że Riuolta dostał swoje odznaczenia za niezwykłą lekkość pióra. Poza tym jego język był stale zajęty i prawie zupełnie brązowy.

Gdy wkroczyliśmy do wspaniałego, wysokiego pokoju i zaszalutowaliśmy, Riuolta odpowiedział rzymskim pozdrowieniem. Pomyśleliśmy obaj, że dla żartu naśladuje Mussoliniego, i Francesco zachichotał. Riuolta posłał mu gniewne spojrzenie i prawdopodobnie zanotował w myślach, żeby przeniesiono tego żołnierza do mycia latryn.

– Panowie, ufam, że można polegać na waszej odwadze i że potrafcie zachować całkowitą dyskrecję – rzekł teatralnym tonem.

Francesco uniósł brew i zerknął na mnie z boku.

– Tak jest, panie pułkowniku. Oczywiście – odparłem, a Francesco zrobił wymowny ruch językiem, którego Riuolta na szczęście nie zauważył.

Pułkownik przywołał nas gestem ręki do mapy rozłożonej na dużym, wspaniale wypolerowanym starym stole i pochylił się nad nią. Grubym palcem wskazał punkt znajdujący się w dolinie sąsiadującej z miejscem, w którym obozowaliśmy, i rzekł:

– Jutro o drugiej w nocy dojdziecie pod osłoną ciemności do tego oto punktu i...

– Pan wybaczy, pułkowniku – przerwał mu Francesco – ale to jest terytorium greckie.

– Wiem, wiem. Nie jestem głupi. To bez znaczenia. Greków tam nie ma, więc się nie dowiedzq.

Francesco znowu uniósł brwi i pułkownik zapytał sarkastycznie:

– Przypuszczam, że słyszał pan o czymś takim jak konieczność operacyjna?

– Czy jesteśmy zatem w stanie wojny? – zapytał Francesco, a pułkownik

prawdopodobnie odnotował w myślach, by podwoić okres jego służby w latrynach. Mysz Mario skorzystała w tym momencie ze sposobności i wychyliła główkę z kieszeni na piersi Francesca; mój przyjaciel musiał wepchnąć myszkę z powrotem, zanim Riuolta ją zauważy. To dodatkowo wzmogło świętokradczy nastrój Francesca i gdy pułkownik mówił dalej, mój kompan uśmiechał się głupkowato.

– Znajduje się tam drewniana wieża strażnicza. Zajęła ją banda miejscowych rabusiów, którzy zabili strażników i przebrali się w ich mundury. Wyglądają jak nasi żołnierze, ale nimi nie są. – Riuolta przerwał, pozwalając, by ta informacja zapadła nam w świadomość, po czym kontynuował: – Waszym zadaniem będzie zajęcie tej wieży. Zostaniecie uzbrojeni i wyposażeni przez naszego kwatermistrza, który ma dla was specjalne zapasy. Jakież pytania?

– Mamy w tej dolinie dwie kompanie bersalierów, panie pułkowniku – odparłem. – Czemu oni nie mogą tego zrobić?

Francesco wtrącił swoje trzy grosze:

– Skoro chodzi o zwykłych rabusiów, sprawą chyba powinna się zająć żandarmeria, prawda ?

– Kwestionujecie moje rozkazy? – zapytał nadęty z oburzenia Riuolta, a Francesco, szybki jak błyskawica, rzucił w odpowiedzi:

– Prosił pan przecież o pytania, pułkowniku.

– Pytania operacyjne, a nie pytania o plan. Mam już powyżej uszu waszej impertynencji i ostrzegam, byście okazywali należny mi szacunek.

– Należny – powtórzył Francesco, energicznie kiwając głową i wzbudzając tym jeszcze większą dezaprobatę pułkownika.

– Powodzenia, chłopcy – rzekł Riuolta. – Żałuję, że nie idę z wami.

– Na pewno, dupku – mruknął Francesco, lecz na tyle głośno, że wyraźnie słyszałem jego słowa.

Riuolta wysłał nas do kwatermistrza z obietnicą medali w przypadku powodzenia misji i grubą paczką rozkazów, która zawierała także mapy, dokładny harmonogram akcji i zdjęcie Mussoliniego zrobione od dołu, żeby podkreślić wystający podbródek. Sądzę, że miało to rozpalić w nas ducha bojowego i przydać sztywności naszemu kręgosłupowi moralnemu.

Za progiem willi usiedliśmy na murku i przejrzelśmy dokumenty.

– To jakaś podejrzą na sprawa – rzekł Francesco. – Jak myślisz, o co tu naprawdę chodzi?

Popatrzyłem w jego piękne ciemne oczy i odparłem:

– Jest mi to obojętne. To po prostu rozkazy, i musimy założyć, że ktoś wie, co jest grane, prawda?

– Zbyt wiele zakładasz. Sądzę, że sprawa jest nie tylko podejrzana, ale i śmierdząca. – Francesco wyjął swoje ulubione zwierzątko z kieszeni i powiedział: – Mario, nie powinieneś się do tego mieszać.

Nie wierzyliśmy własnym oczom, gdy okazało się, że w skład ekwipunku, który otrzymaliśmy od kwatermistrza, wchodzi brytyjskie mundury i grecka broń. Wydawało się to zupełnie bez sensu, nie było też instrukcji obsługi lekkiego karabinu maszynowego Hotchkissa. Sami rozwiązaliśmy ten problem, później jednak doszliśmy do wniosku, że chyba nie chciano, byśmy to zrobili.

Uratowała nas pogoda – w bardzo osobliwy sposób. Byliśmy gotowi przed czasem i o dziesiątej wieczorem wyczołgaliśmy się z naszych linii. Po drugiej stronie granicy zgodnie z instrukcją przebraliśmy się w brytyjskie mundury, a potem przedostaliśmy się po stromym zboczu do sąsiedniej doliny. W tym momencie wpadliśmy w wir sprzecznych nastrojów.

Nie sądzę, by człowiek, który nigdy nie był świadkiem akcji, mógł naprawdę zrozumieć, co się kłębi w głowie żołnierza podczas walki, ale spróbuję to wyjaśnić. W tym wypadku byliśmy dumni, że wybrano nas do poważnej misji wojskowej. Dzięki temu czuliśmy się kimś bardzo wyjątkowym i ważnym. Jednakże żaden z nas nie robił dotąd nic podobnego, więc baliśmy się nie tylko fizycznego niebezpieczeństwa, ale i ciężkiej odpowiedzialności, oraz tego, że możemy pokpić sprawę. Stroiliśmy sobie głupie żarty, żeby ukryć ten strach. Żołnierz zawsze obawia się również, że przełożeni wiedzą więcej niż on i że wobec tego nie zdaje sobie sprawy, co naprawdę się dzieje. Wie, że naczelne dowództwo może go poświęcić dla jakichś ważniejszych interesów, nie informując o tym fakcie, i to sprawia, że gardzi zwierzchnikami i jest w stosunku do nich podejrzliwy. Potęguje to także jego strach.

Niepewność co do wyniku akcji skłania go ku przesądom i dlatego żołnierz ciągle się żegna, całuje talizman albo wkłada papierośnicę do kieszeni na piersi, żeby odbijała kule. Francesco i ja wykształciliśmy w sobie przesąd zakazujący wypowiedzania słowa „na pewno”. Nigdy go nie wypowiedzieliśmy ani w trakcie tej misji, ani podczas późniejszej wojny. Francesco odczuwał chyba ciągłą potrzebę zwierzenia się swojej myszy, trzymał ją w dłoniach i mówił do niej jakieś głupstwa; inni palili papierosa za papierosem, chodzili tam i z powrotem, wpatrywali się w pozaginane na rogach zdjęcia ukochanych lub biegali do latryn co pięć minut.

Odkryliśmy również, że gdy kończy się pełne napięcia oczekiwanie, pojawia się dzikie

podniecenie, a z chwilą rozpoczęcia akcji przeradza się ono czasem w swego rodzaju otępiały sadyzm. Nie zawsze można winić żołnierzy za ich okrucieństwa, ponieważ – wiem to z własnego doświadczenia – są one naturalną konsekwencją piekła ulgi, jaką daje możliwość niemyślenia. Okrucieństwo jest czasem jedynie zemstą udręczonych. Katharsis to słowo, którego szukałem. Greckie słowo.

Leżąc nocą w zaroślach przed wieżą strażniczą, czulem obecność Francesca i zrozumiałem, że Fajdros miał rację, sądząc, iż kochanek jest mężniejszy u boku ukochanej osoby. Chciałem ochronić Francesca i udowodnić mu, że jestem mężczyzną. Odkryłem, iż myśl, że wkrótce możemy utracić jeden drugiego, potęguje moją miłość.

Zbliżała się północ, piszczały sowy, słyszałem czysty dźwięk kozich dzwonków w oddali. Było bardzo zimno. Nagle od północy nadciągnął mroźny wiatr. Nazywaliśmy go w rozmaity sposób, ale nazwa "Jajoskurcz" była chyba najodpowiedniejsza.

O północy Francesco popatrzył na zegarek i rzekł:

– Nie zniosę tego dłużej. Palce mi odpadają, stopy mam jak lód i mogę przysiąc, że zaraz spadnie deszcz. Skończmy z tym, na litość boską.

– Nie możemy – odparłem. – Mamy rozkaz zaatakować dopiero o drugiej.

– Daj spokój, Carlo, jakie to ma znaczenie? Zróbmy to teraz i wracajmy do domu. Mario jest tak samo wzburzony jak ja.

– Twoim domem jest Genua. Nie możesz tam wrócić. Słuchaj, to kwestia dyscypliny.

Przegrałem w tym sporze, gdyż w rzeczywistości zgadzałem się z Franceskiem i nie chciałem zamarznąć w zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu tylko dlatego, że przybyliśmy tu za wcześnie dzięki swojej sprawności i entuzjazmowi.

Rozkazano nam, byśmy w starciu z rabusiami użyli karabinu maszynowego, ale tutaj, w nocy, w tej zabójczej temperaturze, nie wydawało się to dobrym pomysłem. Karabin był tak zimny w dotyku, że parzył palce, a poza tym nie byliśmy pewni, czy zdołamy się nim posłużyć w ciemności. Postanowiliśmy podkraść się bliżej strażnicy.

Rabusie mieli reflektor. Ze zdumieniem ujrzeliśmy, że jest ich co najmniej dziesięciu. Spodziewaliśmy się najwyżej trzech. Spostrzegliśmy także, iż na zewnętrznych poręczach zainstalowano cztery karabiny maszynowe.

– Czemu wystali nas tylko dwóch? – zapytał szeptem Francesco. – Jeżeli zaczniemy do nich strzelać, to po nas. Mówię ci, to podejrzana sprawa. Odkąd to rabusie mają karabiny maszynowe?

Od wieży dolatywały odgłosy śpiewu. Wyglądało na to, że strażnicy są trochę pijani. Dzięki temu nabrałem pewności niezbędnej, by podczołgać się naprzód i zrobić dokładny

rekonesans. Usiłowałem nie zważać na sosnowe szyszki, raniące mi ręce, i małe ostre kamienie, które zdawały się rozcinać ciało aż do kości. Odkryłem dużą stertę drewna na rozpalkę i beczkę z naftą pod wieżą; umieszczono je tu dla ochrony przed deszczem. Wszystkie wieże strażnicze miały piecyki opalane drewnem i lampy naftowe, a zapasy naturalnie zawsze lokowano tak jak tutaj.

Właśnie dlatego rozpoczęliśmy atak dwie godziny wcześniej, tyle że uczyniliśmy to, wywracając beczkę i podkładając pod nią ogień. Strażnica splotęła niczym pochodnia, a my nafaszerowaliśmy ją kulami karabinu maszynowego niemal bezpośrednio spod jej podpór. Strzelaliśmy i strzelaliśmy, dopóki nie zużyliśmy całej taśmy z nabojami. Jeżeli nawet rozlegały się jakieś krzyki, to nie było ich słychać. Zdawaliśmy sobie jedynie sprawę z szarpnięć karabinu, szczękścisku i szaleństwa desperackiej akcji.

Gdy skończyła się taśma z nabojami, zapadła przerażająca cisza. Popatrzyliśmy na siebie i uśmiechnęliśmy się. Uśmiech Francesca był blady i żalony, a mój zapewne wyglądał tak samo. Był to nasz pierwszy okrutny czyn. Nie odczuwaliśmy triumfalnej radości. Czuliśmy się wyczerpani i zbrukani.

To Francesco przewrócił się na zwłokach kapitana Roatty z pułku bersalierów, który przeleciał przez poręcz wieży i skręcił kark. Jego ciało leżało skręcone, z rozpostartymi kończynami, jakby nigdy nie było w nim życia. To Francesco znalazł rozkazy, by kapitan zabrał dziewięciu ludzi na wieżę w przewidywaniu ataku greckiej armii, którego rozpoczęcia wywiad spodziewał się punktualnie o drugiej nad ranem.

Francesco usiadł obok mnie przy zwłokach kapitana i spojrzał na gwiazdy.

– To wcale nie są brytyjskie mundury – rzekł w końcu. – Grecy noszą takie same mundury jak Brytyjczycy, prawda?

Ja także popatrzyłem na gwiazdy.

– Mielśmy zginąć. Właśnie dlatego kazano nam zostawić blaszki identyfikacyjne. Jesteśmy Grekami atakującymi włoską armię i powinniśmy już nie żyć. Dlatego wystali nas tylko dwóch – chcieli mieć pewność, że nie zdołamy zwyciężyć.

Francesco powoli wstał. Uniósł ręce w oszczędnym geście wyrażającym cierpienie, a potem pozwolił im opaść i z goryczą w głosie zauważył:

– Wygląda na to, że jakiś głupi sukinsyn chce sprowokować małą wojnę z Grecją.

XI

Pelagia i Mandras

PELAGIA (siedząc w wychodku po śniadaniu): Jak miło, że ktoś, kto zbudował to miejsce, zostawił szparę nad drzwiami. Mogłabym tutaj siedzieć godzinami i obserwować, jak chmury zasnuwają szczyt Enos. Ciekawe, skąd się biorą? To znaczy wiem, że to para wodna, ale wydają się zbierać z niczego, zupełnie niespodziewanie. Tak jakby każda kropla musiała podzielić się sekretem ze swymi siostrami, więc wzbijają się z morza, tulą do siebie i dryfują na wietrze, a chmury zmieniają kształt, gdy krople pędzą od jednej powiernicy do drugiej, szepcząc. Mówią: „Widzimy Pelagię, siedzi w wygodce i nawet nie wie, że o niej rozmawiamy”. Mówią: „Widziałyśmy, jak Pelagia i Mandras się całują. Co z tego wyniknie? Zarumieniłaby się, gdyby to wiedziała”. O, rumienię się. Jestem głupia. I dlaczego chmury wędrują wolniej niż wiatr, który je niesie? I dlaczego czasami wiatr wieje w jedną stronę, a chmury wędrują w przeciwną? Czy tatuś ma rację, gdy twierdzi, że jest kilka różnych warstw wiatru, czy też chmury mają swoje sposoby wędrowania na przekór wiatrowi? Muszę naciąć więcej podpasek, mam bóle w brzuchu i w krzyżu, już nadszedł czas. Zeszłej nocy widziałam księżyc w nowiu, a to znaczy, że się zaczyna. Ciotunia twierdzi, że jedyną zaletą ciąży jest to, że nie trzeba się martwić krwawieniem. Biedna mała Chrisula, biedactwo, jakie to straszne. Tatuś wracający do domu późną nocą, rozdygotany z wściekłości i żalu, a wszystko dlatego, że Chrisula osiągnęła wiek lat czternastu, a nikt jej nie powiedział, że pewnego dnia będzie krwawiła. Jest śmiertelnie przerażona, myśli, że ma jakąś odrażającą, tajemniczą chorobę i nie może nikomu o tym powiedzieć, więc zażywa trutkę na szczury. I tatuś wpada w taką złość, że chwyta matkę Chrisuli za kark i trzęsie nią niczym pies królikiem, a ojciec Chrisuli po prostu jak zwykle wychodzi z chłopcami i wraca pijany, jakby nic się nie stało, pod łóżkiem Chrisuli zaś leży sterta kartek grubości Biblii, pełnych modlitw o uzdrowienie do świętego Jerasimosa, i te modlitwy są takie smutne i tak rozpaczliwe, że przyprawiają człowieka o łzy. No cóż, nie mogę siedzieć tu przez cały dzień, rozmyślając o chmurach i menstruacji, a zresztą robi się gorąco i będzie śmierdziało. Zostanę jednak tutaj trochę dłużej, bo tatuś wróci ze śniadania dopiero za dziesięć minut, a przecież ważne jest, bym sprawiała wrażenie zajętej, gdy się pojawi. Musieli chyba zostawić szparę nad drzwiami, bo inaczej byłoby tu ciemno jak

w grobie.

MANDRAS (ładując sieci na łódź): Niech święty Piotr i święty Andrzej zapewnią mi obfity połów. Czuję, że będzie kolejny skwarny dzień, czuję, że wszystkie ryby ukryją się w skałach i zejną na dno. Bóg powinien je stworzyć w okularach przeciwsłonecznych dla dobra nas, biednych rybaków. Niech chmury na górze Enos zasłonią słońce, Panie, spraw, bym złowił pięknego walamugila dla doktora Janisa i Pelagii, spraw, bym ujrział delfiny lub jakieś morświny, żeby wiedzieć, gdzie są ryby, spraw, bym zobaczył mewy, żeby móc znaleźć śledzie i szproty i żeby Pelagia mogła oprószyć je mąką i usmażyć w oleju i wycisnąć na nie sok z cytryny. I żeby zaprosiła mnie na kolację i żebym mógł dotykać stopą jej łydki pod stołem, w czasie gdy doktor będzie opowiadał o Eurypidesie i okupacji napoleońskiej. Powiem wtedy: „Bardzo interesujące, nie wiedziałem o tym, naprawdę”. Spraw, bym złowił leszcza dla mojej matki i strzępiela oraz piękną wielką ośmiornicę, żeby matka mogła je ugotować. Ja zjem je jutro – zimne, oproszone tymiankiem i polane oliwą, na grubej, białej kromce chleba. Nie powinienem wypływać we wtorek, we wtorki połów nigdy się nie udaje, ale człowiek musi jakoś żyć i może wśród niezliczonych uśmiechów fał będzie też jeden dla mnie. Dowiedziałem się tego od doktora, że „niezliczone uśmiechy fał” to zwrot Ajschylosa, który najwyraźniej nigdy nie wypływał zimą w morze. Człowiek jest wiecznie przemoknięty do suchej nitki i kona z zimna, to już prędeż. Ale dziś mamy ładny dzień, tak ładny jak Pelagia, i jeżeli zrzucę linę na dno, pewnie złowię jakąś płastugę, ale kiedy słona woda dostanie się do mojego pociętego tyłka, będzie mnie piekło jak cholera.

PELAGIA (wyciągając wodę ze studni): Tatuś mówi, że Mandras będzie miał na tyłku piegi z terakoty przez resztę życia i że będzie wyglądał, jakby ktoś posypał go pieprzem tureckim. Podoba mi się jego tyłek, Boże przebacz, choć nigdy go nie widziałam. Po prostu czuję, że mi się podoba. Że spodobałby mi się. Jest bardzo mały. Gdy Mandras się schyla, widać, że tyłek jest jak dwie połówki melona. Chodzi mi o to, że łuki wydają się odpowiadać proporcją kształtowi tego owocu. Gdy mnie całuje, mam ochotę go objąć i chwycić jego pośladki w obie dłonie. Nigdy tego nie robię. Nie odważyłabym się. Co by na to powiedział? Mam takie brudne myśli. Dzięki Bogu, nikt w nich nie czyta, boby mnie trzymano pod kluczem, a wszystkie stare kobiety rzucałyby we mnie kamieniami i wyzywały od ladacznic. Gdy myślę o Mandrasie, wyobrażam sobie jego twarz, uśmiechniętą szeroko, a potem wyobrażam sobie, jak się pochyla. Czasami się zastanawiam, czy jestem normalna, ale to wszystko, co kobiety mówią, gdy jesteśmy razem, a mężczyźni siedzą w kafenijonie... Gdyby tak usłyszeli, dopiero by ich zatkało! Każda kobieta we wsi wie, że członek Kokoliosa jest wygięty jak banan i że ksiądz ma wysypkę na mosznie, a mężczyźni o tym nie wiedzą. Nie

mają pojęcia, o czym rozmawiamy, myślą, że mówimy o gotowaniu, niemowlętach i cerowaniu. A gdy znajdziemy ziemniak, który wygląda jak męskie wyposażenie, puszcza my go w obieg i śmiejemy się z tego. Szkoda, że nie ma jakiegoś sposobu na doprowadzenie wody do domu bez konieczności noszenia jej ze studni. Każdy kolejny dzban jest cięższy od poprzedniego i stale się ochlapuje. Podobno Normanowie zatruli studnie, wrzucając do nich trupy, i można było tylko skonać z pragnienia lub umrzeć od zatkanego gardła, innego wyjścia nie było. To istny cud – wyspa bez strumyków i rzek, błogosławiona darem czystej wody spod ziemi nawet w sierpniu. Gdy dotrę do domu, odpocznę przez chwilę. Nie znoszę uczucia lepkiego swędzenia, gdy zaczynam się pocić. Chciałabym wiedzieć, dlaczego Bóg sprawia, że latem jest za gorąco, a zimą za zimno? I gdzie jest napisane, że to kobiety muszą nosić wodę, skoro mężczyźni są silniejsi? Gdy Mandras poprosi mnie o rękę, mam zamiar powiedzieć: „Pod warunkiem, że zgodzisz się chodzić po wodę”. On wtedy powie: „Świetnie, jeżeli będziesz łowić ryby”, a ja nie będę wiedziała, co odpowiedzieć. Potrzebujemy po prostu jakiegoś wynalazcy, który by przyszedł i zainstalował pompę tłoczącą wodę do domu. Mogłabym zabić ojca. Co on ma na myśli, mówiąc Mandrasowi, że nie będę miała posagu? Kto dzisiaj bierze ślub bez niego? Tatuś twierdzi, że to barbarzyństwo i że nie ma tego zwyczaju w żadnym znanym mi cywilizowanym kraju i że człowiek powinien się żenić z miłości, jak on, i że czynienie z małżeństwa transakcji to nieprzyzwoitość i że z tego wynika, iż kobieta niewarta jest małżeństwa, jeżeli nie przyniesie ze sobą majątku na grzbiecie. No cóż, w takim razie będę musiała wyjść za cudzoziemca, skoro tatuś tak uważa. Powiedziałam mu: „Tatku, jak się tak zastanowić, to noszenie ubrań w upalną pogodę jest głupotą. Chcesz, żebym była jedyną kobietą w Grecji, która latem nie nosi ubrania?” A on pocałował mnie w czoło i rzekł: „Jesteś niemal wystarczająco inteligentna, by być moją córką” – i wyszedł. Mam szczerą ochotę być naga, gdy wróci do domu, naprawdę. Nie można sprzeciwiać się obyczajowi, po prostu nie można, nawet jeśli ten obyczaj jest idiotyczny. I co powie rodzina Mandrasa? Jak mam znieść taki wstyd? Posiadam na własność jedynie koziołka. Czy tatuś oczekuje, że odejdę do domu teścia tylko z koziołkiem i paczką ubrań? I kto wie, że zechcą mojego koziołka? No cóż, nie pójdę, jeżeli nie będę mogła go zabrać, i tyle. No bo kto inny będzie dmuchał mu do nosa i drapał go za uszami? Na pewno nie tatuś. Chciałabym też, żeby ojciec przestał sikać na zioła, przez to aż się krzywię, gdy muszę ich użyć. Chyba powinnam wyhodować trochę ziół w innym miejscu, w tajemnicy, i tylko ich używać. Nie mogę wciąż prosić o nie sąsiadów, ponieważ doskonale wiedzą, że mamy mnóstwo własnych, a naprawdę nie potrafię im powiedzieć, że nie mogę ich używać, ponieważ są spryskane moczem. O Boże. O Boże. Mogłam była to przewidzieć. O cholera. Czemu nie założyłam podpaski,

zanim podniosłam dzban? Jestem taka głupia, i teraz krew się ze mnie leje. Fuj, jest gorąca i lepka. Chyba lepiej będzie, jak wrócę po wodę później. I znowu się zaczyna pięć dni kaczego chodu.

MANDRAS (wypływając z portu):

(śpiewa)

*Hej, delfiny, płyńcie w mig,
Zaprowadźcie mnie do ryb,
Gdy w sieć wpadnie cała masa,
Chcecie – jedna będzie wasza.
Gdy wyciągnę zielska wór,
Milej mej dam złoty sznur.
Kiedy mysz tonącą złowię,
Dam wam karmę, co się zowie,
Zaś za płastug więcierz pełny
W koronki odzieję i perły.*

Bez posagu. Bóg jeden wie, że ją kocham, ale co powiedzą inni? Że doktor Janis uważa, iż nie jestem wystarczająco dobry, oto co powiedzą. I stale nazywa mnie głupkiem i mówi, że mam zbyt dużo *kiefi*, żeby być dobrym mężem. No cóż, fakt, jestem głupcem. Mężczyzna zawsze głupieje, gdy idzie o kobiety, wszyscy o tym wiedzą. Zresztą doktor mnie lubi, stale wypytuje, kiedy poproszę go o zgodę na ożenek z Pelagią, i udaje ślepego, gdy przychodzę i z nią rozmawiam. Kłopot w tym, że gdy jestem z nią, nie potrafię być sobą. A przecież jestem poważnym człowiekiem. Myślę o wszystkim. Rozumiem się na polityce i wiem, czym różnią się rojaliści od stronników Wenizelosa. Jestem poważny, gdyż nie żyję tylko dla siebie. Chcę naprawić świat, chcę odegrać swoją rolę we wszystkim. Ale gdy jestem z Pelagią, czuję, jakbym znowu miał dwanaście lat; w jednej chwili wiszę na drzewie oliwnym jak Tarzan, a w następnej udaję, że walczę z jej koziołkiem. To zwykle popisywanie się i nic więcej, ale co innego mam robić? Nie wyobrażam sobie siebie mówiącego: „Daj spokój, Pelagio, porozmawiajmy o polityce”. Kobiety nie interesują się tego rodzaju sprawami, chcą, żeby je zabawiać. Nigdy nie rozmawiałem z nią o tym, jak sobie wszystko wyobrażam. Może ona też uważa mnie za głupca. Nie należę do jej klasy, wiem o tym. Doktor nauczył ją włoskiego i trochę po angielsku, a ich dom jest większy od naszego, ale ja nie jestem gorszy. A przynajmniej nie uważam się za gorszego. Są nietypową rodziną, i to

wszystko. Niekonwencjonalną. Doktor mówi, co mu się podoba. Często naprawdę nie wiem, na czym stoję. Byłoby łatwiej, gdybym zakochał się w Despinie lub Poliksenii. Może gdybym też podróżował, byłbym bardziej obyty. Chodzi mi o to, że doktor pływał po świecie, był nawet w Ameryce. A gdzie ja byłem? Co znam? Byłem na Itace, Zakynthos i na Lefkadzie. Wielka mi sprawa. Nie znam historyjek i nie mam pamiątek. Nigdy nie kosztowałem francuskiego wina. Doktor twierdzi, że w Irlandii codziennie pada deszcz, a w Chile jest pustynia, na której nigdy jeszcze nie padało. Kocham Pelagię, ale wiem, że nie będę prawdziwym mężczyzną, dopóki nie dokonam czegoś ważnego, czegoś wspaniałego, czegoś, czym mogę żyć, czegoś, za co by mnie poważano. Właśnie dlatego liczę, że wybuchnie wojna. Nie pragnę rozlewu krwi i chwały, chcę czegoś, z czym mógłbym się zmierzyć. Żaden człowiek nie jest mężczyzną, dopóki nie zostanie żołnierzem. Mogę wrócić tu w mundurze i nikt już nie powie: „Mandras to sympatyczny chłopak, ale nie ma w nim nic szczególnego”. Wtedy będę wart posagu. O, delfiny. Ster trochę w bok. Nie, nie, nie podpływajcie do mnie, już do was płynę. Mam nadzieję, że nie bawiłyście się tylko. Ależ wierzę, że to delfin Kosmas, delfin Nionios i delfinica Kristal. *Kalimera*, moi uśmiechnięci przyjaciele. Odsuńcie się, spuszcza sieć, tylko nie wybierajcie z niej tym razem zbyt dużo ryb. Chromolić to, jest mi za gorąco, wskakuję do wody. Ubranie zdejm, kotwicę rzuć. Uważajcie, skaczę. Chryste, ależ cudownie. Czy jest coś równie przyjemnego jak chłód morskiej wody na rozgrzanych pachwinach? Coś równie dobrego jak prucie przez fale z ręką na płetwie delfina? Płyn, Kristal, płyn. Cholera, ale mnie piecze.

PELAGIA (podczas sjęsty): Jest za gorąco. Drzwi się ruszają. Kto to? Mandras? Nie, nie bądź głupia, nie możesz nikogo skłonić do przyjścia samym myśleniem o nim. Powiadają, że istnieje coś takiego jak duch istot żyjących. A, to ty, Psipsino. No nie. Czemu nie możemy mieć psa jak wszyscy? Czy nawet kota? Musimy mieć szaloną kunę, która nie odbywa sjęsty. Zejdź ze mnie. Myślisz, że ile jeszcze możesz urosnąć? Nie mogę spać z półtonowym ciężarem na piersi. Nie ruszaj się. Mmm, dlaczego zawsze tak słodko pachniesz? Znowu wykradałaś jajka i jagody? Czemu sama nie złapiesz sobie myszy? Od ich mielenia robi mi się niedobrze. Dlaczego nie możesz chodzić jak inni? Co jest takiego przyjemnego w śmiganiu po pokoju bez dotykania podłogi? Mmm, jaka ty jesteś słodka, cieszę się, że Lemoni cię znalazła. Naprawdę. Żałuję, że nie jesteś Mandrasem. Pragnę, by to Mandras leżał na mojej piersi. Boże, ale upał. Jak ty wytrzymujesz w tym futrze? Szkoda, że nie jesteś Mandrasem. Ciekawe, co on teraz porabia. Pewnie sterczy na wietrze na morzu. Ciekawe, jak tam jego tyłek. Tatuś orzekł, że to wspaniały tyłek. Pełen terakoty. „Zadek jak z klasycznego posągu, bardzo piękny” – powiedział. Jeżeli zamknę oczy, wyciągnę ręce i pomodłę się do

świętego Jerasimosa, to może gdy je otworzę, na mojej piersi zamiast Psipsiny będzie leżał Mandras? Nic z tego. Nic z tego, Psipsino. On jest taki piękny. I taki zabawny. Zanim spadł z drzewa, rozśmieszył mnie tak, że brzuch mnie rozbolał. Wtedy właśnie zrozumiałam, że go kocham – to ten strach, który poczułam, gdy upadł na doniczkę. Przytulę Psipsinę, jakby była nim, i może to poczuje. Mam nadzieję, że nie masz pcheł. Nie potrzebuję czerwonych plamek na ramionach. Wczoraj świerbiła mnie kostka i już myślałam, że to twoja wina, ale pewnie otarłam się o jakiś cierń. Kiedy poprosi, żebym za niego wyszła? Twierdzi, że jego matka nie jest zbyt miła. Powiedzieć coś takiego o własnej matce! Żałuję, że nie pamiętam mamusi. Biedna mama. Umarła chuda jak szkielet, kaszląc krwią. Na fotografii wygląda ładnie, taka młoda i zadowolona, a ze sposobu, w jaki trzyma dłoń na ramieniu ojca, można odgadnąć, że go kochała. Gdyby jeszcze żyła, wiedziałabym, co zrobić z Mandrasem, przekonałaby tatusia w sprawie posagu. Mandras chyba nie ma nic przeciwko temu. Nie jest poważnym człowiekiem i to napawa mnie wątpliwościami. Jest taki zabawny, ale nie mogę z nim o niczym porozmawiać. Kobieta powinna móc dyskutować z mężem na każdy temat, prawda? On wszystko obraca w żart. Jest dowcipny i to wskazuje, że nie jest głupi. Mam nadzieję. Pytam: „Będzie wojna?“, a on tylko szczyrzy zęby w uśmiechu i odpowiada: „A kogo to obchodzi? Będzie całus?“ Nie chcę, żeby wybuchła. Oby nie było wojny. Niechby Mandras stanął teraz u wejścia na podwórko z rybami w ręce. Niechby codziennie przychodził z rybą. Prawdę mówiąc, ryb mam trochę dość. Zauważyłaś, Psipsino, że ilekroć przynosi rybę, coraz większa jej część ląduje w twojej misce?

MANDRAS (naprawiając sieci w porcie): Wczoraj Somali Brytyjskie przypadło w udziale Włochom. Ile czasu minie, zanim zaatakują nas od strony Albanii? Czołgi walczyły w Afryce chyba z wielbłędami. Tu, na tej wyspie, czuję się taki bezużyteczny i mało ważny. Czas, by mężczyźni zajęli się swoimi sprawami. Arsenios napisał w moim imieniu list do króla z informacją, że chcę się zgłosić na ochotnika, i otrzymałem list z biura samego Metaksasa, stwierdzający, że dostanę powołanie, gdy będę potrzebny. No cóż, dziś wieczorem zamierzam zmusić Arseniosa, by znowu napisał list i poinformował, że chcę natychmiast otrzymać powołanie. Tylko jak mam powiedzieć o tym Pelagii? Wiem jedno. Zanim wyjadę, poproszę, by za mnie wyszła, z posagiem czy bez. Zapytam jej ojca o zgodę, a potem uklęknę na jedno kolano i poproszę ją o rękę. Zupełnie poważnie. Mam zamiar sprawić, by zrozumiała, że broniąc Grecji, będę bronił jej i wszystkich greckich kobiet. To kwestia ratowania narodu. Każdy z nas ma obowiązek uczynić, co w jego mocy. A jeśli zginę, to fatalnie, ale moja śmierć nie będzie daremna. Umrę ze słowami „Pelagia" i „Grecja" na ustach, gdyż znaczą one to samo, są tą samą świętością. Jeżeli przeżyję, do końca życia będę

chodził z podniesioną głową i wróć do moich delfinów i moich sieci, a ludzie powiedzą: „To Mandras, który walczył na wojnie. Wszystko zawdzięczamy takim jak on”, i ani Pelagia, ani jej ojciec nie będą mogli spojrzeć mi w oczy i nazwać mnie głupcem, i już zawsze będę kimś więcej niż rybakiem-nikim z odłamkami terakoty w tyłku.

PELAGIA (wyjmując *kleftico* z wioskowego pieca): Gdzie się podziewa Mandras? Zwykle już jest o tej porze. Chcę, żeby przyszedł. Z trudem oddycham, tak bardzo tego pragnę. Ręce znowu mi się trzęsą. Lepiej będzie, jak ten głupkowaty uśmiech zniknie z mojej twarzy, bo wszyscy pomyślą, że oszalałam. Przyjdź, Mandrasie, proszę, przyjdź, a nie dam Psipsinie swojego kawałka ryby. Tylko wnętrzności, ogon i głowę. Zostań na obiedzie i ocieraj stopę o moją łydkę. Czyż Psipsina nie jest już wystarczająco duża, by samodzielnie rozszarpywać myszy? Jaka ja jestem głupia, robiąc wszystko z przyzwyczajenia, bez potrzeby. Zostań na obiedzie.

XII

Wszystkie cuda świętego

Na wyspie nic się nie zmieniło, nie było żadnych oznak wojny; sam Bóg pozostał niewzruszony na megalomanię i zniszczenie, które nawiedziły świat. 23 sierpnia święta lilia przed ikoną Naszej Pani w Demuncandacie obudziła się punktualnie ze stanu wysuszenia i rozkwitła uspokajająco, odnawiając cud i potwierdzając pobożność wiernych. W połowie miesiąca chmara niejadowitych węży, nieznanych nauce, ozdobionych czarnymi krzyżami na łbach i ze skórą jak atlas, wypełzła z pozornej nicości w Markopulo. Wypełniły ulice swoim wiciem się i pełzaniem, zbliżyły się do srebrnej ikony Maryi Dziewicy, zainstalowały na biskupim tronie i pod koniec nabożeństwa zniknęły równie cicho i zagadkowo, jak się pojawiły. We wspaniałym zrujnowanym zamku Kastro, wysoko nad Trawliatą i Mitakata, wojownicze widma Rzymian pytały Normanów i Franków o hasło, a cienie brytyjskich Czerwonych Kurtek udawały, że grają w kości z cieniami Turków, Katalończyków i Wenecjan w wilgotnym labiryncie podziemnych cystern, tuneli i kopalń, którego nie można było nanieść na mapę. W zburzonym mieście Wenecjan Fiskardo duch Guiscarda kroczył po wałach obronnych, głośnym rykiem domagając się greckiej krwi i skarbów. Na północnym końcu Argostoli morze jak zawsze wlewało się do zapadlisk na brzegu, znikając w trzewiach ziemi, a w Paliki skała znana jako Kunopetra bezustannie poruszała się w swoim własnym niezmiennym rytmie. Mieszkańcy wsi Manzawinata, równie przewidywalni jak skała, nie zaniebdywali żadnej sposobności informowania wszystkich, którzy chcieli słuchać, że kiedyś marynarze z floty brytyjskich okrętów wojennych obwiązali Kunopetrę łańcuchem i nie zdołali jej ruszyć; mała grecka skała oparła się potędze i naukowej ciekawości przedstawicieli największego znanego im imperium. Co – być może – ciekawsze, francuska ekspedycja po raz kolejny nie zdołała dotrzeć do dna jeziora Akoli, a pewien zaintrygowany zoolog z Wyoming potwierdził informację wybitnego historyka Janisa Kosti Lawerdosa o tym, że zające i niektóre kozice na górze Aja Dinati miały złote i srebrne zęby.

Od czasu gdy bogini Io przyczyniła się do zabicia Memnona przez Achillea i sprowokowała przypadkowe zastrzelenie Prokris przez jej nic nie podejrzewającego męża,

wyspa obfitowała w cuda. Ten fakt sam w sobie nie był cudem, Kefalonia posiadała bowiem na własność niezrównanego świętego i wydawało się, że jego boska siła jest zbyt wielka, by zawrzeć się w nim samym.

Święty Jerasimos, wysuszony i szerniały, szczelnie zamknięty w zwieńczonym kopułą złożonym sarkofagu przez mnichów ze swojego klasztoru, martwy od pięciu stuleci, powstał nocą. Przystrojony w purpurę i złote szaty, klejnoty i stare medale, grzechocząc i skrzypiąc dyskretnie, wędrował wśród stadka grzeszników i chorych, odwiedzając ich w domach, a czasem nawet wyjeżdżając za granicę do rodzinnej Koryntii, żeby odwiedzić szczątki swoich ojców i błąkać się wśród wzgórz i gajów swojej młodości. Sumienny święty zawsze powracał jednak przed świtem, zmuszając gadatliwe zakonnice, które mu usługiwały, do usunięcia błota ze złotego brokatu pantofli i ułożenia jego wychudłych, zmumifikowanych członków w pozycji wiecznego spoczynku.

Jerasimos był prawdziwym świętym, autentycznym świątobliwym mężem, niczym nie przypominającym wyimaginowanych i podejrzanych świętych innych wyznań. Nie zbrukał świata, jak święty Dominik wraz ze swoją inkwizycją, nie był sześciometrowym olbrzymem o ludożerczych skłonnościach, jak święty Krzysztof, i nie uśmiercił przypadkowo świadków swojej śmierci, jak święta Katarzyna. Nie był również świętym cząstkowym, jak święty Andrzej, który zdołał jedynie pozostawić podeszwę swojej stopy w konwencie nieopodal Trawliaty. Podobnie jak święty Spiridon z Korfu, Jerasimos wiódł przykładne życie i pozostawił całą swą śmiertelną powłokę jako inspirację i świadectwo.

W wieku dwunastu lat poszedł do klasztoru, spędził identyczną liczbę lat w Ziemi Świętej, przez pięć lat mieszkał na Zakynthos, a w końcu osiedlił się w grocie w Spilli, aby zreorganizować klasztor w Omali, gdzie zasadził platan i własnoręcznie wykopał studnię. Cyniczni zazwyczaj mieszkańcy wyspy tak go pokochali, że zarezerwowali dla niego dwa dni świąteczne – jeden w sierpniu i jeden w październiku; synów dziesiątkami chrzczono jego imieniem, wierzono weń bardziej żarliwie niż w samego Boga, musiał też wysłuchiwać ze swojego niebiańskiego tronu, jak ludzie przeklinają i złorzeczą w jego imię. Podczas dwóch dni świątecznych Jerasimos tolerancyjnie odwracał oczy duszy, gdy cała ludność wyspy wprawiała się w stan barbarzyńskiego wprost pijaństwa.

Do dnia, w którym Metaksas odrzucił ultimatum Duce, zostało osiem dni, ale równie dobrze mógł to być dowolny dzień świąteczny ostatniego stulecia. Nieznośne okrucieństwo słońca wygasło i dzień był przyjemnie ciepły, a powietrze rzeńskie. Lekka bryza od morza błąkała się wśród oliwek, poruszając z szelestem liśćmi, tak że każdy błyskał na przemian srebrzystym i ciemnozielonym światłem. Maki i stokrotki kołysały się pośród traw

wysuszonych jeszcze przez lato, lecz stopniowo odzyskujących świeżość, a pszczoły wykorzystywały kwiaty do maksimum, jakby miały świadomość nadejścia jesieni: liczne ule ociekały czystym ciemnym miodem, który wyspiarze z pełnym przekonaniem uznawali za najlepszy w świecie. Wysoko na górze Enos sępy poszukiwały ciał pechowych lub niezdarnych kóz, a w liściastych lasach równin hałaśliwie przefruwały małe czarne gajówki sycylijskie. Pod nimi ryły i fukały niezliczone jeże, zapobiegliwie moszcząc sobie gniazda z trawy i liści w przewidywaniu zimnych dni, a plaże były usiane na wpół rozebranymi łodziami, wyciągniętymi z wody celem przeglądu i uszczelnienia; wyglądały one jak bezwartościowe wraki statków. Tropikalne rośliny na południu wyspy zaczęły wydawać się mniej bujne, jakby wciągnęły soki lub wstrzymały oddech, a drzewa figowe wystawiały pąsowe owoce na pokaz wśród zielonych młódek, zamierzających dojrzeć w następnym roku – roku, w którym miały się stać własnością rzymskich faszystów.

O świcie Alekos pogładził kolbę swej archaicznej strzelby i postanowił ją zostawić; plonem święta Jerasimosa zawsze było zbyt wiele ofiar, a to odwracało uwagę od cudów. Owinął broń kocami i wyszedł na mgłę, by sprawdzić, czy kozom nic już nie grozi; zamierzał pozostawić je pewnego dnia samym sobie, ale miał pewność, że święty je ochroni. Wiedział, że podczas całej przechadzki z góry Enos będzie słyszał ich hałaśliwe dzwonki; prowadził ze sobą grę, w której rozpoznawał odgłosy każdego z nich. Poczul nieznośne niemal podniecenie, gdy zawczasu wyobraził sobie spektakl uzdrawiania obłąkanych i epileptyków przez świętego. Kogo tym razem wybierze?

Tymczasem w wiosce ojciec Arsenios, nienawykły do trudu wczesnego wstawania, wlał w siebie butelkę roboli i przetaił kaprawe oczy, a Pelagia i jej ojciec uwiązali koziołka do drzewa oliwnego i zamknęli Psipsinę w szafce, w której nie znalazłaby nic do porwania na strzępy. Kokolios walczył bardzo krótko ze swymi komunistycznymi przekonaniem w kwestii opium dla ludu, potem jednak włożył rzeczy swojej żony. Stamatis skleił z papieru stożkowy kapeluszy i próbował, czy pasuje rozmiarem. W tym czasie jego żona kroila ser na drobne kawałki, pakowała kandyzowane rozoli i mandolę i przypominała sobie rzeczy, na które ma się uskarżać. Megalo Welisarios załadował swą kolubrynę na grzbiet mocnego byka, którego pożyczyl od dalekiego kuzyna, i marzył o zwycięstwie w wyścigu. Naładował działko kawałkami srebrnej i złotej folii i cieszył się na myśl o pełnych podziwu westchnieniach tłumnie zebranych ludzi, gdy połyskująca amunicja wystrzeli w niebo, a potem sfrunie w dół niczym deszcz metalowych motyli.

W klasztorze drobne rumiane zakonnice budziły licznych gości i pielgrzymów w schludnych pokojach gościnnych, napełniały jaskrawe miednice i dzbanki na wodę,

przetrzepywały haftowane poduszki, zmieniały ozdobne ręczniki i wymiatały kurz. One same mieszkały w spartańskich celkach, nie mieszczących nic prócz postrzępionych mat, skrzypiących składanych łóżek oraz ciemnych ikon na ścianie. Przyjemność czerpały z troszczenia się o innych, wysłuchiwanie z lubieżnym wprost zainteresowaniem ich opowieści o niedoli i zdradach oraz z układania obrazu świata zewnętrznego z tego, co usłyszały. Lepiej było słuchać o nim, niż musieć w nim zamieszkać, co do tego nie miały wątpliwości.

W przyległym domu wariatów inne zakonnice ubierały pensjonariuszy w czyste kaftany i zastanawiały się, który zostanie uzdrowiony aurą świętości. Jerasimos bardzo rzadko odmawiał pomocy, a jego wielkie miłosierdzie (a może próżność) samo w sobie było gwarancją powrotu któregoś z nieszczęśników do zdrowia. Czy będzie to Mina, która wydaje skrzekliwe odgłosy i szwargocze, nie rozpoznaje nikogo i obnaża się przed nieświadomymi tej groźby gośćmi? Czy Dmitri, który tłucze butelki i szyby w oknach i zjada szkło? Maria, która myśli, że jest królową Ameryki, i nawet lekarzy zmusza, by zbliżali się do niej na kolanach? Sokratis, który padł ofiarą neurastenii tak silnej, że zwykłe podniesienie widelca jest dlań zadaniem odpowiedzialnym nie do zniesienia, powodującym, że płacze i trzęsie się cały? Zakonnice wierzyły, że samo zamieszkiwanie w pobliżu świętego jest łagodną formą kuracji, a szaleńcy zastanawiali się w chwilach przytomności, kiedy nadejdzie ich kolej. Święty wybierał swych ozdowieńców bez wyraźnej logiki i konsekwencji i niektórzy pacjenci umierali po czterdziestu latach oczekiwania, podczas gdy inni przybywali jednego roku jako ateści i nagannie zachowujący się osobnicy, a w następnym wychodzili na wolność.

Drogą z Kastro biegnącą przez piękne łąki doliny szpalerem platanów pielgrzymi i korybanci przybywali od dwóch dni, niektórzy z naprawdę dalekich stron. Krewni szaleńców ucałowali już rękę świętego i modlili się wspólnie w kościele o uzdrowienie swoich bliskich, podczas gdy zakonnice polerowały złote ornamenty, wypełniały świątynię kwiatami i zapalały olbrzymie kaganki. Ławki pełne były dalekich znajomych, odnawiających przyjaźń w ożywionej potocznej rozmowie, którą nie-Grecy mylnie interpretują jako wyraz braku szacunku dla rozmówcy. Na zewnątrz pielgrzymi zdejmowali z grzbietu swych mułów i osłów fetę, melony, gotowane dzikie ptaki i kefalońskie placki z mięsem, dzielili się z sąsiadami i układali na ich temat epigramatyczne dwuwiersze. Rozbawione dziewczyny przechadzały się pod rękę grupkami, rozdając uśmiechy potencjalnym mężom i ewentualnym obiektom flirtu, a mężczyźni udający, że je ignorują, stali, gestykulowali i wymachiwali butelkami, rozwiązując nie załatwione problemy świata. Księża roili się jak pszczoły, z namaszczeniem omawiając kwestie teologiczne, a ich siwe brody wzmacniały patriarchalny

efekt lśniących czarnych butów i trzepoczących sutann. Cierpliwie znosili schlebiające im przerwy w dyskusji, spowodowane przez wiernych, którzy nie potrafili wymyślić bardziej sensownego pretekstu do rozmowy niż pytanie, czy można się spodziewać, że ten lub ów biskup będzie obecny.

W rzeczywistości jednak sielankowa radość wiernych i powaga duchownych maskowały rosnący niepokój w sercach wszystkich zebranych, niepokój wyczekiwania, lęk przed ujrzaniem na własne oczy rzeczy naukowo niewytłumaczalnych, drżenie ludzi, którzy mają być świadkami zderzenia zasłony między tym i drugim światem. Była to nerwowość z gatunku tych, co powodują ucisk w piersiach i skłonność do płaczu, gdy tylko dzwon zaczyna bić na rozpoczęcie nabożeństwa.

Powstał nagły gwar, gdy trajkoczący ludzie zaczęli się żwawo wciskać do kościoła, zapelnili go ponad miarę i stanęli w tłoku na dziedzińcu. Niektórzy poszli na cmentarz księży. W różnych miejscach w tłumie Alekos, Welisarios, Pelagia, doktor Janis, Kokolios i Stamatis wyciągali szyje i przekrzywiali głowy, by usłyszeć odległe intonacje kapłana. Gdy ludzie we wnętrzu kościoła przeżegnali się, chwilę później uczynili to stojący w drzwiach, po nich ci za progiem, a następnie ci z tyłu, tak że gest ów przebiegł przez tłum niczym fala po wrzuceniu kamienia do sadzawki.

Słońce weszło wyżej i stłoczeni ludzie zaczęli się pocić. Lepki upał stawał się już nie do zniesienia, gdy msza dobiegła do gwarnego końca i wierni zaczęli odwrotny proces szurania nogami i potracania się, w którym ci, co nie mieli szczęścia znaleźć się w świątyni, nagle stwierdzili, że los się odwrócił, ponieważ jako pierwsi dotarli do miejsca cudów pod platanem świętego.

Tymczasem w kościele karawaniarze podnieśli jego ciało, a pod drzewem szczęśliwe zakonnice ustawiały i przestawiały nieobliczalną gromadę szaleńców, którzy w większości złagodnieli i wylękli się, przytłoczeni chaosem napierających ze wszystkich stron nieznanomych twarzy. Pożeracz szkła zaczął wyć, królowa Ameryki, przejęta przybyciem poddanych, przybrała istic królewską pozę, a Sokratis gapił się żałośnie na swą prawą stopę, której przestawienie stanowiło dla niego zbyt ciężką próbę. Zdobył się jednak na wysiłek woli, dzięki czemu, wielce zdumiony, poruszył jednym z palców wskazujących. Próbował unieruchomić go również wysiłkiem woli, ale nie miał jej dość, by się na to zdobyć. Uwięziony w pułapce nieskończonej nieudolności, zastygł w całkowitym bezruchu i skrył się w kalejdoskopie niespójnych obrazów za zamkniętymi powiekami. Jedna z zakonnice otarła

mu łzę z twarzy i pośpiesznie zbliżyła się do spokojnego szkłożercy. Pozostałe poszły za jej przykładem, pochlebstwami nakłaniając swych pacjentów do leżenia lub siedzenia.

Mina usiadła pod wielkim drzewem i objęła rękami kolana. Mimo tłumu ludzi i namacalnej kurtyny odgradzającej jej świat od ich świata, czuła, jak jakiś dziwny spokój spływa na bezładne kłębowisko jej myśli. Popatrzyła na jaskrawe mury bielonej wapnem świątyni i uświadomiła sobie, że to kościół. Żółwie jaja, pomyślała, i przypomniała sobie fragment bezsensownej rymowanki z dzieciństwa. Nagle podniosła się z ziemi i zaczęła zadzierać kaftan, została jednak delikatnie ściągnięta w dół przez zakonnice. Uległa i teraz nieprzytomnie przysłuchiwała się zgiełkliwym głosom w swojej piersi. Czasami krzyczały i skrzeczały i nie mogła się ich pozbyć, nawet kuląc się w kącie pokoju lub tłukąc głową o ścianę. Czasami zmuszały ją do robienia różnych rzeczy, grożąc, że nie umilkną, dopóki nie wykona ich rozkazów. Czasem sprawiały, że świerbiło ją całe ciało, aż w końcu gorączkowo rozdrapywała skórę paznokciami, a czasem nakazywały jej przestać oddychać. W gwałtownym przyływie panicznego strachu czuła, jak jej płuca zastygają w bezruchu, a serce z wolna się zatrzymuje. Niekiedy przepaść pomiędzy nią a światem stawała się tak wielka, że patrząc w dół, widziała u swych stóp bezdenną czeluść; wtedy właśnie biegała dziko, próbując odnaleźć grunt, zderzając się z niewidzialnymi przeszkodami, które siniaczyły ją i kaleczyły do krwi. Kiedy indziej znów, ogarnięta przerażeniem, pocila się tak obficie, że wyslizgiwała się z objęć zakonnice i sunęła po podłodze zakładu, jęcząc i płacząc. Najgorsze następowało wtedy, gdy widziała wokół siebie twarze ludzi; wiedziała, że oni na nią patrzą, że mają zamiar ją zabić, i zadzierała spódnice, by ukryć twarz, jakby tą magiczną sztuczką mogła uchronić się przed groźnymi spojrzeniami. Ilekroć to robiła, ni stąd, ni zowąd pojawiały się jakieś ręce i ściągały spódnice w dół, tak że, zdesperowana, musiała walczyć ze wszystkich sił, by je znowu podnieść. Osaczona i zraniona, Mina siedziała na trawie i kuliała się ze strachu, gdy tajemniczy cień nadciągnął i przesunął się nad jej głową.

Doktor Janis i Pelagia znaleźli się na czele tłumu i obserwowali z rosnącym podnieceniem, jak karawaniarze przenoszą ciało świętego nad leżącymi szaleńcami. Jeszcze nigdy z żadnymi zwłokami nie obchodzono się tak troskliwie i z tak wielkim szacunkiem; nie wolno było ich potrącać na marach ani poruszać. Karawaniarze ostrożnie stąpali pomiędzy obłąkanymi, a zatroskane rodziny próbowały ograniczyć swobodę ruchów machających rękami i skręcających się w konwulsjach krewniaków. Pożeracz szkła przewracał oczami, z ust toczyła mu się epileptyczna piana, ale ponieważ nie miał krewnych, którzy mogliby go przytrzymać, pozostał nieruchomy, a potrzebną do tego siłę woli zaczerpnął od świętego. Ujrzał, jak para haftowanych trzewików przesuwają się przed jego nosem.

Gdy święty został przeniesiony, udręczeni niepewnością ludzie przyglądali się badawczo szaleńcom, żeby sprawdzić, czy zaszła w nich jakaś zmiana. Ktoś spostrzegł Sokratisa i wskazał na niego. Sokratis potrząsał ramionami niczym lekkoatleta mający właśnie rzucić oszczepem i ze zdumieniem wpatrywał się w swoje dłonie, poruszając wszystkimi palcami po kolei. Nagle uniósł wzrok, zobaczył, że wszyscy go obserwują, i nieśmiało pomachał im ręką. W górę wzbilo się nienaturalne wycie tłumu, a matka Sokratisa padła na kolana, całując ręce syna. Po chwili podniosła się, wyrzuciła ramiona ku niebu i zawołała:

– Chwała świętemu, chwała świętemu!

Całe zgromadzenie w mig dostało hysterii z radości i lęku. Doktor Janis odciągnął Pelagię, unikając dzięki temu zgniecienia w tłumie, otarł pot z twarzy i łzy z oczu. Drżał na całym ciele, drżała także, jak zauważył, jego córka.

– Czysto psychologiczny fenomen – mruknął pod nosem i nagle poczuł się jak niewdzięcznik. Dzwon kościelny zaczął huczeć dziko; zakonnice i księża ofiarnie zmagali się ze sznurem.

Rozpoczął się karnawał, zapoczątkowany w równym stopniu przez powszechną ulgę i potrzebę wyzbycia się gęsiej skórki, jak i naturalną skłonność do świętowania, wspólną wszystkim mieszkańcom wyspy. Welisarios pozwolił Lemoni przyłożyć zapalną do zapalu działa, rozległ się potężny wybuch i połyskująca chmura folii sfrunęła na ziemię niczym złote łuski Zeusa. Sokratis kroczył, oszołomiony swym szczęściem, w szkwale rąk poklepujących go po plecach i huraganie pocałunków spadających na jego dłoń.

– Czy to uroczystość świętego? – zapytał. – Wiem, że to głupie, ale zupełnie nie pamiętam, bym tu przychodził. – Został porwany do tańca przez młodzież z Liksuri.

Mały, sklecony na poczekaniu zespół, składający się z dud, fletni Pana, gitary oraz mandoliny, dążył ku harmonii z różnych kierunków muzycznego kompasu, a wspaniały baryton, kamieniarz, improwizował pieśń na cześć cudu. Śpiewał jeden wers, powtarzany przez tancerzy, co dawało mu czas na wymyślenie następnego, aż powstała cała piosenka o oryginalnej melodii:

*Pewnego pięknego dnia mej młodości
Przyszedłem gapić się na dziewczęta i tańczyć z radości,
Przybyłem jak poganin, by jeść i pić na fest,
Lecz święty przemył me wątpiące oczy
I pokazał, że Bóg dobry jest...*

Rząd ładnych dziewcząt trzymających się za ręce odstępował o krok, a przed nimi młodzi mężczyźni w szeregu, z głowami odchylonymi do tyłu, skakali lekko niby świerszcze na jednej nodze. Sokratis wziął czerwoną chustę od wodzireja i ku zachwytowi widzów wykonał najzręczniejszą i najbardziej widowiskową calimię, jaką którykolwiek z nich widział. Kiedy skrzyżował i zetknął nogi nad głową, a słowa piosenki wrywały się z jego ust, po raz pierwszy zrozumiał, co naprawdę znaczą radość i ulga. Jego ciało podskakiwało i wirowało bez najmniejszego wysiłku woli, mięśnie, o których istnieniu już dawno zapomniał, napinały się niczym stal i niemal czuł, jak samo słońce błyska na jego zębach, gdy szeroki, niepohamowany uśmiech od ucha do ucha rozciągnął mu wargi. W głowie wibrowało Sokratisowi kwilenie dud. Nagle spojrzął na chmury nad górą Enos i naszała go myśl, że pewnie umarł i poszedł do nieba. Wyrzucił nogi jeszcze wyżej. Jego serce śpiewało niczym chór ptaków.

Zespół argostolijczyków jął tańczyć *diwaratiko*, prowokując krytyczne uwagi tych z Liksuri i pochlebne swych krajanów, a na drugim końcu łąki grupa rybaków znanych jako *tratoli* odkorkowywała butelki. Zaczęli zmysłowo śpiewać piosenki, które ćwiczili całymi tygodniami w tawernach Panagopuli, gdy dzielili się dziennym zyskiem, dokuczali sobie, kłócili o wpływy, jedli oliwki i precę i w końcu dochodzili do punktu, w którym śpiew był czymś równie naturalnym, co nieuchronnym.

Zaśpiewali chórem kandałę:

*Ogród, w którym siedzicie,
Kwiatów nie potrzebuje,
Tylko głupiec lub ślepiec powie,
Że ich tam brakuje.
Najpiękniejsze kwiaty to wy...*

Arpedzia gitary zamilkły i tenor rozpoczął arietę. Jego głos zawodził w szczyście swego rejestru ponad pogwarkami tłumu, a nawet ponad hukiem kolubryny Welisariosa; następnie zawtórowały mu głosy przyjaciół, snując misterną sieć harmonii i polifonii wokół melodii, którą wyśpiewywał, by połączyć się w końcu w dokładnie tej samej tonacji; morskie bractwo dało w ten sposób ostateczny dowód metafizycznej jedności.

Małe zakonnice krążyły pośród śpiewaków i tancerzy, pozostawiając za sobą obfitość wina i jedzenia. Ci, którzy się upili, zaczęli już pokpiwać z siebie nawzajem. Tu i ówdzie drwiny przeradzały się w zniewagi, a te w ciosy. Doktor Janis porzucił swój ser i melony,

żeby tamować krew lejącą się z nosów i ran od utłuczonych butelek. Kobiety i co rozważniejsi mężczyźni rozkładali swoje pledy dalej od tych, którzy w każdej chwili mogli stać się nieobliczalni. Pelagia przeniosła się bliżej klasztoru i usiadła na ławce.

Obserwowała, jak nowi tancerze wprowadzają karnawałowe zwyczaje do ludowej uroczystości. Mężczyźni pojawiali się ubrani w nieprawdopodobnie obcisłe białe koszule, białe spódnice, białe rękawiczki i ekstrawaganckie papierowe kapelusze. Byli obwieszani wstęgami z czerwonego jedwabiu, pękami maleńkich dzwoneczków, złotą biżuterią i łańcuchami, zdjęciami swoich ukochanych lub króla. Towarzyszyli im niscy, drobni chłopcy, przebrani dla żartu za dziewczynki. Wszyscy paradowali w zabawnych i groteskowych maskach. Był wśród nich Kokolios wystrojony w najelegantsze rzeczy daremnie protestującej żony. Nieopodal drogi jacyś młodzieńcy w fantastycznych kostiumach i z umazanymi twarzami zaczęli odgrywać burleski, w których nawet święty nie uniknął losu ofiary paszkwila. Wir konkurujących ze sobą polek, lansjerów, kadryli i walców pogrążył tłum w chaosie przewracających się ciał, pisków i zniewag. Pelagia spostrzegła Lemoni, która z przejęciem próbowała podpalić brodę jakiegoś leżącego księdza. Gdy zobaczyła Mandrasa rzucającego petardy pod nogi tancerzy z Fiskardo, mocniej zabiło jej serce.

Straciła go z oczu, a po paru chwilach poczuła klepięcie w ramię. Uniosła wzrok i nagle ujrzała Mandrasa z rękami złożonymi w geście pozorowanego uścisku. Uśmiechnęła się, mimo iż był pijany. Wtem Mandras padł na kolana i zapytał dramatycznie:

– *Siora*,⁹ wyjdiesz za mnie? Wyjdź za mnie, bo inaczej umrę.

– Dlaczego mówisz do mnie „siora”?

– Dlatego że mówisz po włosku i czasem nosisz kapelusz. – Mandras wyszczerzył zęby w głupkowskim uśmiechu.

– Nie jestem żadną arystokratką i nie wolno ci tak mnie tytułować. – Patrzyła nań przez chwilę; rozkwitła między nimi cisza, cisza zobowiązująca do odpowiedzi na jego propozycję.

– Oczywiście, że za ciebie wyjdę – odparła cicho.

Mandras nagle śmignął w podskoku i Pelagia zauważyła, że spodnie mu pociemniały na kolanach od klęczenia w kałuży wina. Wykonał piruet i bryknął jak żreback. Pelagia wstała, zanosząc się od śmiechu. Nie mogła jednak ustać na nogach; wydawało się, że jakaś niewidzialna siła przyciąga ją do ławki. Dziewczyna usiadła pośpiesznie, przyjrzała się uważnie swojej spódnicy i spostrzegła, że Mandras przyszpilił ją do ławki. Nowy narzeczony

⁹ z włoskiego *signora* – pani (zniekształcone)

Pelagii rzucił się na wznak na trawę i wył z uciechy, po czym nagle usiadł, przywołał na twarz wyraz śmiertelnej powagi i rzekł:

– *Koricimu*, kocham cię z całego serca, ale nie możemy się pobrać, dopóki nie wrócę z wojska.

– Idź i pomów z moim ojcem – powiedziała Pelagia; następnie, mając wrażenie, że serce uwięzło jej w krtani, zaczęła błądzić wśród śpiewaków, by oswoić się z tym misterium pełnym sprzeczności. Wreszcie zaniepokojona i zdziwiona faktem, że nie czuje się tak szczęśliwa, jak powinna, skierowała się z powrotem do kościoła, aby poobcować w spokoju ze świętym.

Dzień biegł dalej. Zanim Mandras zdołał znaleźć doktora, zmógł go alkohol. Usnął błogo w jakiejś obrzydliwej kałuży, trudnej do zidentyfikowania. Nieopodal Stamatis wyciągnął swój monarchistyczny nóż na Kokoliosa i zagroził, że obetnie mu komunistyczne jaja, a potem rzucił mu się na szyję i poprzysiągł wieczne braterstwo. W innym miejscu jakiś mężczyzna został śmiertelnie ugodzony nożem w sporze o majątek, toczącym się od prawie stu lat, a ojciec Arsenios miał tak zamglony wzrok, że przez pomyłkę wziął Welisariosa za swojego zmarłego ojca.

Wieczór zbierał się w sobie, by wyjść z pozornie trudnej do opanowania anarchii popołudnia, gdy nadszedł czas na końcowy wyścig. Mali chłopcy dosiedli grubych kozłów, malutką dziewczynkę przywiązano do wielkiego psa, ukontentowani pijacy mościli się tyłem na osłach, zmordowane i wychudzone konie zwiesiły łby, gdy otyli właściciele tawern gramolili się na ich grzbiety, a Welisarios usadowił się okrakiem na pożyczonym łagodnym byku.

Nastąpił przedwczesny start, którego nie można było powtórzyć – rozkoszny pęd rozpoczął się, nim starter zdążył machnąć chustą. Pies z malutką dziewczynką na grzbiecie pognał ku leżącemu na ziemi jagnięcemu udźcowi, chłopcy podskakiwali na capach, nie ruszając z miejsca, osły biegły kłusem we wszystkich kierunkach, byle nie do linii mety, a konie nie chciały zrobić nawet jednego kroku. Tylko byk i jego herkulesowy ładunek z

trudem posuwali się ku przeciwległemu krańcowi łąki, mając przed sobą jedynie niespokojną, lecz pozbawioną jeźdźca świnie. Welisarios, ludowy zwycięzca, dotarł do linii mety, zeskoczył z siodła, po czym ku zdumieniu klaszczących widzów, chwycił byka za rogi i jednym potężnym ruchem powalił go na ziemię. Byk leżał, rycząc z zaskoczenia i oszołomienia, a tłum poniósł Welisariosa na ramionach.

Grupki odurzonych alkoholem biesiadników zaczęły odpływać, śpiewając ochryple na całe gardło:

*Nasi chłopcy piękni, zdrowi,
Są wspaniali i bojowi.
Przyszliśmy, pielgrzymi pokorni,
Odejdziemy, pijacy niesforni,
Jak obyczaj każe.
Uśmiecha się do nas święty,
A każdy z nas, przejęty,
Cześć mu okaże.*

Pelagia i doktor trafili do domu, ojciec Arsenios skorzystał z gościny w klasztorze, Alekos usnął w połowie drogi na szczyt góry, w kamiennym schronisku, a Kokolios i Stamatis zabłądzili w zaroślach Trojanaty, szukając swoich żon.

Wróciwszy do domu wariatów, Mina usiadła na łóżku i zastanawiała się, gdzie jest. Zmrużyła oczy i spojrzała na swoje nogi; zauważyła, że ma bardzo brudne stopy. Jej wuj wszedł, by pożegnać się z nią na kolejny rok. Ku jego zdumieniu, Mina uśmiechnęła się promiennie i zapytała:

– Mój kochany, czy przyszedłeś zabrać mnie do domu?

Jej krewniak stanął oniemiały, wydał okrzyk niedowierzania, odwrócił się nagle i z zaciśniętymi pięściami, wzniesionymi w górę, z radości wykonał trzy kroki *kalamatianos*, a potem chwycił Minę na ręce i kołysał ją w ramionach, wykrzykując w kółko:

– *Efcharisto, efcharisto!*¹⁰ Poznała go, nie szwargotała już, nie czuła więcej przymusu podnoszenia spódnic, była zdrowa na umyśle i, mając dwadzieścia sześć lat – z posagiem i przy odrobinie szczęścia – wciąż jeszcze mogła znaleźć męża. Kuzyn słał całusy ku niebu i obiecywał świętemu, że wykombinuje dla Miny posag, nawet gdyby go to miało kosztować

¹⁰ Dzięki, dzięki!

nie wiem ile zachodu.

Wydawało się, że Jerasimos dokonał owego roku dwóch cudów i skromnie postanowił nie uczynić z jednego z nich zbytnej sensacji. Szkłożerca i jego nieszczęśliwi koledzy obserwowali żałośnie odejście Miny i zastanawiali się z goryczą, jak długo jeszcze święty każe im czekać.

XIII

Delirium

Mandras nie pokazywał się przez dwa dni po uroczystości ku czci świętego, pozwalając, by Pelagię dręczył nieznośny niepokój. Nie była w stanie myśleć o tym, co mogło mu się przydarzyć, i wyobrażała sobie rozmaite powody jego nieobecności, którą odczuwała jako pogłębiający się brak; istniała groźba, że stanie się on bardziej realny niż obowiązki i przedmioty życia codziennego.

Wracła z uroczystości razem z ojcem. Słuchając jego niepoważnych uwag, doszła do wniosku, że sporo wypił i że Mandrasowi nie udało się go znaleźć. Niemal co krok pragnęła przerwać potok ojcowskich twierdzeń na temat psychologicznej natury zdarzeń nadprzyrodzonych i zaskakująco grubiańskich spostrzeżeń dotyczących tego, co się działo na peryferiach miejsca uroczystości; rozsadzała Pelagię nieznośna mieszanka niepokoju i szczęścia i dziewczyna namiętnie pragnęła wspomnieć o propozycji Mandrasa. Była to nowina, która znaczyła dla niej więcej niż cały świat; Pelagia musiała podzielić się nią z ojcem, by sobie ulżyć. Doktor nie dostrzegał jej zarumienionych policzków, błędnych oczu, potykania się o kamienie, przesadnej gestykulacji i zdławionego głosu; osiągnął właśnie to stadium pijaństwa, w którym podniecenie łączy się z nudnościami i chwiejnością kroku, więc postanowił zająć się wyłącznie własnymi doznaniem. Jego szczęśliwe upojenie wykluczało wrażliwość na stan umysłu córki, tak że Pelagia nie podzieliła się z ojcem radosną wieścią. Gdy dotarli do domu, doktor wziął uległą Psipsinę na ręce i tańczył z nią walca na podwórku. Potem wysikał się na miętę i udał na spoczynek do łóżka – cuchnący alkoholem i w ubraniu.

Pelagia również się położyła, ale nie mogła zasnąć. Garbaty księżyc wsnuwał nitki dziwnego srebrzystego światła między listwy żaluzji. To ono oraz energiczna praca świerszczy przyczyniały się do tego, że dziewczyna leżała na wznak z szeroko otwartymi oczyma. Nigdy nie czuła się bardziej przytomna. Jej myśli splatały się bezustannie. Umysł wciąż odtwarzał zdarzenia dnia: cud, pieśni i tańce, bijatyki, wyścig, propozycję Mandrasa. Każdy ciąg wspomnień nieodmiennie kończył się obrazem przystojnego chłopaka, klęczącego przed ławką, na której siedziała – Mandras na klęczkach w kałuży wina, Mandras, taki piękny, promienny i młody, Mandras urodziwy jak Apollo. Pot wystąpił Pelagii na ręce i

nogi, gdy wyobraziła sobie splecione w uścisku ciała ich obojga; przemieniła Mandrasa w demona uwodzącego kobiety w czasie snu, poruszyła się, pieściła jego plecy i czuła *in absentia* miękkie dotknięcia jego języka na swych piersiach oraz ciężar gibkiego ciała.

– Kocham cię – oświadczyła na głos, w chwili gdy wątpliwości opadły ją niczym maleńkie niewidzialne diabły.

Małżeństwo było taką ważną sprawą, oznaczało rezygnację z jednego życia na rzecz drugiego. Oznaczało także opuszczenie domu ojca, narodziny dziecka i nieustanną pracę zamiast subtelnej idylli z pozornymi jedynie niepowodzeniami, spokojnym tokiem zajęć i sympatycznymi dziwactwami. Zachnęła się na myśl o przyjmowaniu poleceń i godzeniu się z decyzjami kogoś innego niż jej ojciec, którego rozkazy, choć obcesowe i nieodwołalne, były w gruncie rzeczy prośbami ukrytymi pod maską ironii. Jaki byłby Mandras? Jak dobrze ona, Pelagia, zna go w rzeczywistości? Jakie posiada dowody na to, że Mandras jest cierpliwy i wyrozumiały? Przynosi podarki, to prawda, czy jednak nie skończą się one, gdy dobije targu? Czy nie jest zbyt młody i zbyt impulsywny? Jego ruchy są przesadnie gwałtowne, a reakcje nie dość rozważne; czy można ufać komuś, kto odpowiada natychmiast, bez namysłu? Komuś, czyje czyny i słowa są raczej pełne poezji niż gruntownie przemyślane? Przerazało ją podejrzenie, że w swym sercu jest nieugięty. Jak odróżnić pożądanie od miłości? – zastanawiała się. Słuchając cichutkiego brzęczenia komara, porównywała narzeczonego z ojcem. Uwielbia ojca; tak, to prawdziwa miłość. Ale co ona ma wspólnego z jej uczuciami dla Mandrasa? Czy to możliwe, by usługiwanie mu dało jej poczucie wolności? Czy też po prostu miłość ma różne oblicza? Jeżeli to, co czuje do Mandrasa, nie jest miłością, skąd bierze się ów brak tchu, owa bezdenne i nieustająca tęsknota, od której zasycha jej w ustach i boli ją serce? Czemu to uczucie, niczym Bóg lub jakiś dyktator, rozporządza nią bez pardonu, nie pytając o zgodę? Czemu, niczym wyroki ojca Arseniosa, zdaje się mieć moc prawa, nie nosząc znamion jego surowości? Księżyc przesunął się za drzewem oliwkowym, odwzorowując bezustanny ruch jego liści na murze; smutne dzwonki kóz z góry Enos rozbrzmiewały w lekkim chłodzie nocy i słysząc było Psipsinę szukającą pożywienia na podwórku. Łapie swoje własne myszy, pomyślała Pelagia, leżąc i wsłuchując się w żądze swojego ciała. Myślała o kapryśnej radości życia kuny, o jej niewinności i całkowitym zaabsorbowaniu własną egzystencją, i zupełnie nagle uświadomiła sobie, że zamienia beztruskę młodości na coś bardzo bliskiego nieszczęściu. Wyobraziła sobie, że Mandras zmarł, i gdy łzy napłynęły jej do oczu, ze zgorzaniem uprzytomniła sobie, że jednocześnie czuje ulgę. Przegnała stanowczo ten obraz i poczęła sobie wyrzucać własną niegodziwość.

Rano wyszła na podwórko i jęła wymyślać dla siebie zajęcia, dzięki którym mogłaby

ujrzeć go, w chwili gdy wyjdzie zza zakrętu, tego samego zakrętu, na którym został postrzelony przez Welisariosa. Sprawdziła, czy przeżuwający koziołek nie ma kleszczy, te, które znalazła, wypaliła gorącą igłą, po czym znowu zaczęła myszkować w szorstkiej sierści. Raz po raz unosiła wzrok, by sprawdzić, czy Mandras nie nadchodzi. Ojciec wybrał się do kafenijonu na śniadanie. Pelagii przyszło do głowy, że Psipsina także może mieć kleszcze. Posadziła kunę na murku, jeszcze bliżej drogi, i palcami przeczesywała jej futro pod włos. Zanurzyła nos w miękkiej sierści na brzuchu zwierzęcia i poczuła się zasmucona i ukojona zarazem słodczą jego zapachu. Psipsina wiała się i piszczała z rozkoszy, gdy ruchliwe palce Pelagii znalazły dwie pchły i zgmiotły je między paznokciami. Nie chcąc odchodzić od murku, Pelagia energicznie wyszczotkowała kunę i usunęła ze szczotki zbite w kłaki futro. Ułożyła sobie Psipsinę na karku i postanowiła pójść po wodę, co zaprowadziłoby ją za zakręt. Psipsina spała, gdy Pelagia usiadła przy studni i wdała się w rozmowę z innymi kobietami; zapominała jednak natychmiast o wszystkich szczegółach skandali, o których debatowały, i wciąż zerkiała na drogę. Zaczęła odczuwać lekkie mdłości. Wyciągnęła więcej wody, niż było potrzeba, i postanowiła podlać zioła. Znużona oczekiwaniem, usiadła wreszcie w cieniu oliwki, położywszy rękę na kościstym karku koziołka, który dalej obojętnie przeżuwał, jakby nie istniał żaden inny świat poza jego własnym. Tęsknota dziewczyny zamieniła się w zniecierpliwienie, a potem w irytację. Żeby zrobić Mandrasowi na złość, postanowiła pójść na spacer. Dostałby za swoje, gdyby przychodząc, nie zastał jej w domu. Poszła drogą w kierunku, z którego mógł nadejść, siedziała na murku, dopóki nie zrobiło się zbyt gorąco, a potem powędrowała w zarośla, gdzie natknęła się na szukającą świerszczy Lemoni.

Pelagia usiadła na kamieniu i przyglądała się, jak dziewczynka pędzi od jednej kępy krzewów do drugiej, zaciskając pulchne palce na powietrzu, gdy świerszcze w porę rzucaly się do ucieczki.

– Ile masz lat, *koricimu*? – zapytała nagle.

– Sześć – odparła Lemoni. – Równe sześć. Po następnym święcie będę miała siedem.

– Potrafisz policzyć do dziesięciu?

– Potrafię liczyć do trzydziestu – odparła dziewczynka i przystąpiła do demonstracji swych umiejętności: – ... dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzydzieści.

Pelagia westchnęła. Przypuszczała, że przed upływem dwóch następnych lat Lemoni zostanie zapędzona do pracy w domu i wówczas skończą się polowania na małe, grające stworzonka w zaroślach. Wystarczy przejąć nawyk psucia i rozpieszczania mężczyzn i mieć prawo dyskusowania o ważnych sprawach tylko z innymi kobietami, gdyż mężczyźni i tak nie

słuchają lub siedzą w kafenijonie, grając w triktraka, zamiast pracować! Lemoni nie zazna wolności aż do wdowieństwa, kiedy to wiejska wspólnota zwróci się przeciw niej, jakby nie miała prawa przeżyć męża, jakby zmarł wyłącznie przez zaniedbania żony. Właśnie dlatego kobieta musi mieć synów; to jedyne zabezpieczenie przed ubogą i przerażającą starością. Pelagia pragnęła, by Lemoni spotkał lepszy los, jak gdyby pragnienie lepszego losu dla siebie samej nie miało sensu.

Nagle Lemoni zakwiliła, wrywając Pelagię z zadumy. Jej kwilenie bardzo przypominało miauczenie kota. Z oczu dziewczynki popłynęły łzy, chwyciła się za palec wskazujący, zgięła w pół i zaczęła kołysać w przód i w tył. Pelagia podbiegła i wyprostowała palec małej, pytając:

– Co się stało, *koricimu*? Co cię zabolalo?

– On mnie ugryzł, ugryzł mnie! – zawołała Lemoni.

– Ajajaj. Nie wiedziałaś, że świerszcze gryzą? – Pelagia zbliżyła jej palce do swoich ust i poruszała nimi. – Mają wielkie szczęki z obciążkami. Za minutę przestanie cię boleć.

Lemoni znowu ścisnęła w rękach palec.

– Ale to piecze.

– Czy gdybyś była świerszczem, nie gryłabyś ludzi, którzy chcą cię schwytać? Świerszcz myślał, że masz zamiar go skrzywdzić, i właśnie dlatego sprawił ci ból. Tak to już jest. Gdy będziesz starsza, przekonasz się, że ludzie są bardzo podobni.

Pelagia udała, że rzuca urok, żeby uleczyć ugryzienia świerszcza, i zaprowadziła uspokojoną Lemoni z powrotem do wioski. Mandras jeszcze się nie pojawił; wszędzie panował niezwykły spokój, ludzie snuli się, lecząc swoje kace i zagadkowe sińce. Jakiś osioł ryknął komicznie i przeciągle; w odpowiedzi usłyszał nierówne, chóralne: „Niech cię szlag” z mrocznych wnętrz domów. Pelagia zabrała się do przygotowywania wieczornego posiłku, wdzięczna losowi, że tego wieczoru nie będzie ryb. Później, gdy siedziała z ojcem po zwyczajowym spacerze, Janis dość niespodziewanie rzekł:

– Pewnie nie przychodzi, bo czuje się tak samo źle jak wszyscy inni!

Pelagia poczuła, że zalewa ją fala wdzięczności. Pocałowała ojca w rękę. Doktor ścisnął jej dłoń i powiedział ze smutkiem:

– Nie wiem, jak sobie dam radę, gdy odejdiesz.

– Tatusiu, on poprosił, żebyśmy za niego wyszła... Powiedziałam, że będzie musiał zapytać ciebie.

– Nie chcę za niego wychodzić – odparł doktor Janis. – Chyba byłoby o wiele lepiej, gdyby ożenił się z tobą. – Znowu ścisnął jej dłoń. – Na jednym z moich statków mieliśmy

paru Arabów. Zawsze, po każdym zdaniu, mówili *inszallah*. „Zrobię to jutro, *inszallah*”. Można się było naprawdę wkurzyć, ponieważ oczekiwali chyba, że Bóg zrobi wszystko, a im nie wolno zawracać głowy, ale jest w tym jakaś mądrość. Wyjdiesz za Mandrasa, jeżeli tak zawyrokuję opatrność.

– Nie apróbujesz go, tatusiu?

Janis odwrócił się i spojrzał na nią łagodnie.

– Jest zbyt młody. Wszyscy są zbyt młodzi, gdy biorą ślub. Ja też byłem za młody. Poza tym wyświadczyłem ci chyba niedźwiedzią przysługę. Czytasz poezje Kawafisa, nauczyłem cię katarewusy 11 i włoskiego. Mandras nie dorównuje ci, a uważa pewnie, że będzie kimś lepszym od swojej żony. Jest przecież mężczyzną. Często myślałem, że wyjść szczęśliwie za mąż możesz tylko za cudzoziemca, na przykład za jakiegoś dentystę z Norwegii.

Pelagia roześmiała się na myśl o tym, po czym umilkła.

– Tytułuje mnie „siorą” – rzekła po chwili.

– Tego się właśnie obawiałem. – Nastąpiło długie milczenie. Oboje spoglądali na gwiazdy ponad szczytem góry, po czym doktor Janis zapytał: – Czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że powinniśmy wyemigrować? Na przykład do Ameryki lub do Kanady?

Pelagia zamknęła oczy i westchnęła.

– Mandras – powiedziała.

– Owszem. Mandras. I to jest nasz dom. Nie ma innego. W Toronto prawdopodobnie pada śnieg, a w Hollywood nikt nie dałby nam roli. – Doktor wstał i wszedł do domu, a potem wyłonił się na powrót, trzymając w ręce coś, co lśniło metalicznie w półmroku. Ceremonialnie wręczył to córce. Pelagia zobaczyła, co to jest, przyjęła dar, pojęła jego złowieszcze znaczenie i z cichym okrzykiem przerażenia opuściła broń na kolana.

Doktor nadal stał.

– Będzie wojna. Na wojnach zdarzają się straszne rzeczy. Zwłaszcza kobietom. Używaj go w obronie własnej, a w razie potrzeby użyj przeciwko sobie. Możesz go także użyć przeciwko mnie, jeżeli okoliczności będą tego wymagały. To tylko mały derringer, ale... – przesunął ręką wzdłuż horyzontu – ... nad światem zapadła okropna ciemność i każdy z nas musi zrobić, co może, to wszystko. Pewnie o tym nie wiesz, *korictim*, ale niewykluczone, że twoje małżeństwo będzie musiało poczekać. Najpierw musimy mieć pewność, że nie wkroczy tu Mussolini.

¹¹ literacki język grecki; w odróżnieniu od dimotiki – języka ludowego, potocznego

Doktor odwrócił się na pięcie i wszedł do domu, pozostawiając Pelagię na pastwę lęku, który narastał w jej sercu, i bardzo niepożądaną samotności. Pamiętała, że w górach Suli sześćdziesiąt kobiet weszło na jeden ze szczytów, odtańczyło wspólnie taniec i wolało rzucić się razem z dziećmi w przepaść niż oddać w turecką niewolę. Po paru chwilach poszła do swojego pokoju, włożyła derringera pod poduszkę i usiadła na brzegu łóżka, gorączkowo pieszcząc Psipsinę i znowu wyobrażając sobie, że Mandras nie żyje.

Drugiego dnia po święcie Pelagia powtórzyła ten sam balet bezcelowych zajęć, które nie zdołały wprawdzie zrównoważyć nieobecności ukochanego, lecz przynajmniej stworzyły dla niej jakieś ramy. Wszystko – drzewa, bawiąca się Lemoni, koziołek, błżeństwa Psipsiny, dumny i ciężki kaczkowaty chód ojca Arseniosa, odległe odgłosy pracy Stamatisa, robiącego drewniane siodło dla osła, ochrypla interpretacja „Międzynarodówki”, której brakowało połowy słów – wszystko to było jedynie oznaką tego braku. Świat zamknął się w sobie i spuścił za sobą zasłonę beznadziei i przygnębienia, które zdawały się stawać właściwością samych rzeczy; nawet jagnię z rozmarynem i czosnkiem, które Pelagia przyrządziła na obiad, było jedynie ucieleśnieniem rażącego braku ryb. Tamtej nocy czuła się zbyt wyczerpana i przygnębiona, by ukołysać się do snu płaczem. W snach oskarżała Mandrasa o okrucieństwo, a on naśmiewał się z niej rehotliwie niczym satyr i tańczył na falach.

Trzeciego dnia zeszła nad morze. Usiadła na skale i przyglądała się, jak olbrzymi okręt wojenny złowieszczo odpływa na zachód. Najprawdopodobniej należał do Brytyjczyków. Pomyślała o wojnie i poczuła, jak serce zaczyna jej ciążyć. Naszła ją refleksja, że w dawnych czasach ludzie byli zabawkami w rękach bogów, a teraz awansowali jedynie do roli zabawek w rękach innych ludzi, którzy sami uważają się za istoty boskie. Powtarzała na głos:

– Hitler, Attyła, Kaligula. Hitler, Attyła, Kaligula. – Nie znalazła żadnego nazwiska, które brzmiałoby dobrze w zestawieniu ze słowem „Mussolini”, dopóki nie natrafiła na „Metaksas”. – Mussolini, Metaksas – powiedziała i dorzuciła – Mandras.

Jakby w odpowiedzi na swoje myśli, kątem oka dostrzegła jakieś poruszenie. Poniżej, na lewo od niej, ktoś nurkował w falach niby delfin w ludzkiej skórze. Pelagia obserwowała smagłego rybaka z czysto estetyczną przyjemnością, dopóki z lekkim oburzeniem nie uprzytomniła sobie, że jest on zupełnie nagi. Znajdował się o jakieś sto metrów od niej. Domyśliła się, że zastawia sieć z blazami o oczkach wystarczająco małych, by złowić dorsze i szproty. Zanurzał się na długie chwile, rozciągając sieć w półksiężyc, a mewy krążyły wokół niego i pikowały po swoją część połowu. Pelagia podkradła się bliżej – podstępnie, lecz bez poczucia winy – żeby podziwiać tego mężczyznę, który był taki lśniący, tworzył tak doskonałą jedność z morzem, tak bardzo przypominał rybę, nagiego i dzikiego mężczyznę,

podobnego do biblijnego Adama.

Obserwowała, jak sieć załamuje się na ławicy, a gdy mężczyzna stanął na plaży, uświadomiła sobie, że to Mandras. Zakryła dłonią usta, by stłumić jęk wywołany szokiem i nagłym zawstydzeniem, ale nie odeszła. Jego uroda, harmonia i siła, widoczne podczas pracy, wprowiły ją w zdumienie. Nie mogła się oprzeć myśli, że Bóg dał jej szansę obejrzenia czegoś, co będzie jej własnością, zanim tym czymś zawładnęła: wąskich bioder, ostro zarysowanych ramion, napiętego brzucha, ciemnego cienia pachwiny i tajemniczego kształtu, który był tematem tylu lubieżnych kobiecych plotek przy studni. Mandras był za młody, by być Posejdonem, zbyt mało miał w sobie boskiej złośliwości. Czyżby więc był męską nimfą morską? Czy istniało coś takiego jak nereida lub potamida w męskiej postaci? Czy nie powinna złożyć tej istocie w ofierze miodu, oliwy, mleka lub kozła? Albo samej siebie? Trudno było widzieć na własne oczy, jak Mandras mknął przez wodę, i nie uwierzyć, że taki stwór żyje, jak twierdził Plutarch, dziewięć tysięcy siedemset dwadzieścia lat. Wizja Mandrasa nosiła znamię wieczności, a lata życia podane arbitralnie przez Plutarcha wydawały się za krótkie. Pelagia pomyślała, że ta scena powtarzała się przez pokolenia od czasów kultury mykeńskiej; w czasach Odyseusza też pewnie żyły młode dziewczyny, jak ona, i chodziły nad morze podglądać nagość swoich ukochanych. Zadrżała na myśl o takim wtopieniu się w historię.

Mandras zwinął sieć i schylił się, żeby wyciągnąć z oczek maleńkie rybki; wrzucał je do kubłów ustawionych równym rzędem na piasku. Srebrzyste ryby błyskały w słońcu niby nowe noże, przemieniając swoją śmierć przez uduszenie w pokaz piękna, gdy tak śmigały i zderzały się ze sobą. Pelagia zauważyła, że skóra na ramionach Mandrasa złuszczyła się i nie stwardniała na słońcu, mimo że pracował obnażony przez całe lato. Była tym zaskoczona, zawiedziona wręcz, okazało się bowiem, że ten śliczny chłopiec jest jedynie z ciała, a nie z niezniszczalnego złota.

Mandras wyprostował się, wetknął dwa palce do ust i zagwizdał. Pelagia spostrzegła, że spogląda w morze, sygnalizując coś powolnymi machnięciami uniesionej nad głową ręki. Próbowwała wypatrzeć przedmiot jego zainteresowania. Daremnie. Zaintrygowana, wysunęła głowę trochę wyżej, nad skałę, za którą się ukryła, i dostrzegła trzy ciemne kształty, zgodnie skręcające wśród fal w stronę brzegu. Usłyszała radosny okrzyk Mandrasa i przyglądała się, jak idzie ku nim z trzema większymi rybami w rękach. Widziała, jak rzuca ryby wysoko w powietrze, a trzy delfiny skaczą i okręcają się w locie, by je pochwycić. Widziała, jak

Mandras chwyta jednego za płetwę grzbietową i sunie w głąb morza.

Zbiegła na skraj piaszczystej plaży i zmarszczyła czoło w rozpaczliwej próbie przeniknięcia iskrzących się, ruchomych strzałek światła, które słońce wyrzucało z wody, ale nic nie widziała. Mandras pewnie utonął. Nagle przypomniała sobie, że ujrzenie nagiej nimfy przynosi strasznego pecha; wywołuje delirium. Co się dzieje? Załamała ręce i zagryzła wargę. Słońce gwałtownie, mściwie nieomal paliło jej ręce i Pelagia z lękiem przycisnęła je do piersi. Przez parę chwil jeszcze kręciła się po brzegu, a potem pobiegła do domu.

W swoim pokoju przytuliła Psipsinę i rozplakała się. Mandras utonął, odpłynął z delfinami, już nigdy nie wróci, wszystko skończone. Skarżyła się kunie na niesprawiedliwość i daremność życia i poddawała dotknięciom jej szorstkiego języka, gdy zwierzątko delectowało się słonym smakiem łez. Wtem rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

W progu, uśmiechając się nieśmiało, stał Mandras z wiadrem dorszy w ręce. Przesząpił z nogi na nogę i rzekł pośpiesznie:

– Przepraszam, że nie przyszedłem wcześniej, po prostu byłem chory dzień po uroczystości, no wiesz, to przez wino, i nie czułem się najlepiej, wczoraj musiałem pojechać do Argostoli, żeby odebrać formularze do poboru, a pojutrze muszę popłynąć na kontynent. Rozmawiałem z twoim ojcem w kafenijonie, zgodził się, i przyniosłem ci trochę ryb. Popatrz, dorsze.

Pelagia usiadła na brzegu łóżka. Serce jej odrętwiało od nadmiaru szczęścia i troski. Oto jest oficjalnie zaręczona z człowiekiem, który miał zamiar zmagać się z losem, z mężczyzną, który powinien był utonąć w morzu, który mieszał małżeństwo z dorszami i wojną, z chłopcem dokazującym z delfinami, zbyt urodziwym, by szukać śmierci w śniegach Camurii. Wydawało się, że nagle stał się niezmiernie, przerażająco kruchym wytworem marzeń, czymś zbyt pięknym i ulotnym, by mogło być istotą ludzką. Zadrżały jej ręce.

– Nie odchodź, nie odchodź – prosiła, pamiętając, że widok nagiej nimfy przynosi pecha, że wywołuje delirium, a czasem śmierć.

XIV

Grazzi

Żałuję wielu rzeczy w moim życiu i przypuszczam, że wszyscy mogą powiedzieć to samo. Wcale jednak nie żałuję drobiazgów, dziecinnych wybryków, takich jak sprzeczki z ojcem czy flirtowanie z kobietą, która nie była moją żoną. Żałuję, że musiałem dostać bardzo bolesną nauzkę w kwestii sposobu, w jaki ambicje osobiste mogą doprowadzić człowieka – wbrew woli i wbrew naturze – do uczestnictwa w wydarzeniach, które sprawia, że okrywa się on hańbą i zasługuje na wzgardę potomnych.

Miałem bardzo dobrą pracę, a rola włoskiego dyplomaty w Atenach była przyjemna z tej prostej przyczyny, że ani pułkownik Mondini, ani ja aż do rozpoczęcia wojny nie mieliśmy pojęcia, że w ogóle będzie jakaś wojna. Myślałby kto, że Ciano, Badoglio lub Soddu powiedzieli nam, myślałby kto, że dali nam miesiąc lub dwa na przygotowania, ale nie, pozwolili, byśmy przez cały czas zażywali zwykłych przyjemności dyplomacji. Doprowadza mnie do wściekłości myśl, że bywałem na przyjęciach, chodziłem do teatru, organizowałem wspólne imprezy z ministrem edukacji, zapewniając swoich greckich przyjaciół, że Duce nie ma wrogich zamiarów, wmawiając członkom włoskiej społeczności, że nie muszą się pakować, by potem stwierdzić, że nikt nie raczył mi powiedzieć, co się dzieje, tak że sam także nie miałem czasu na pakowanie.

Mogłem się opierać jedynie na pogłoskach i żartach. Przynajmniej sądziłem, że to żarty. Curzio Malaparte, ten kretyński snob o ironicznym i spaczonym poczuciu humoru i namiętności do wojen będących pożywką dla jego twórczości dziennikarskiej, odwiedził mnie i powiedział: „Mój drogi przyjaciel, hrabia Ciano, kazał mi panu przekazać, że może pan robić, co pan chce, ponieważ on i tak wypowie wojnę Grecji i wkrótce poprowadzi Albańczyków na terytorium greckie”. Sposób, w jaki to powiedział, z wymuszonym uśmiechem i drwiną, sprawił, że wziąłem jego słowa za żart. Zdecydował o tym również fakt, że ta papuga kakadu powiedziałałaby wszystko, jakkolwiek byłoby to absurdalne, nieprawdziwe bądź błahe, jeśli tylko świadczyłoby o tym, że jest przyjacielem Ciana.

Jedynym innym punktem oparcia była informacja oficera wywiadu, który wezwał

Mondiniego na lotnisko, by mu oznajmić, że wojna wybuchnie w ciągu trzech dni i że Bułgaria dokona inwazji w tym samym czasie. Powiedział mu również, iż wszyscy wyżsi urzędnicy greccy zostali przekupieni. Naturalnie zadeszowałem do Rzymu i odbyłem rozmowę z ambasadorem Bułgarii. Rzym nie odpowiedział, a ambasador Bułgarii (słusznie, jak się okazało) oświadczył mi, że jego kraj nie ma zamiaru wypowiedzieć wojny Grecji. Zostałem uspokojony, ale teraz myślę, że Ciano i Duce próbowali po prostu namącić mi w głowie lub pozostawić sobie wszelkie możliwości wyboru. Być może starali się również dezorientować jeden drugiego. Siedzieliśmy z pułkownikiem Mondinim w moim gabinecie, pograżeni w najgłębszym przygnębieniu, jakie można sobie wyobrazić, i dyskutowaliśmy o powrocie do prywatnego życia.

Sytuacja stawała się coraz bardziej niejasna. Rzym, na przykład, prosił, żebym wysłał członka mojego poselstwa po „pilne poufne instrukcje”, ale Ala Littoria nie utrzymywała żadnych połączeń lotniczych, więc nikt nie mógł polecieć. Potem zadeszowano z Palazzo Chigi z informacją, że specjalnym samolotem przybędzie kurier, ale ktokolwiek nim był, nie dotarł na miejsce. Wszyscy członkowie korpusu dyplomatycznego w Atenach apelowali, bym zrobił coś, żeby zapobiec wojnie, a ja mogłem tylko rumienić się i jękać, ponieważ stałem na straconych pozycjach ambasadora, który nie ma bladego pojęcia, co jest grane. Mussolini i Ciano upokorzyli mnie, nigdy też nie wybaczę im, że musiałem zdać się na Agencję Stefaniego jako jedyne źródło informacji. Informacji? To wszystko były kłamstwa i nawet Grecy wiedzieli o planowanej inwazji więcej niż ja.

Oto przebieg wydarzeń: grecki Teatr Narodowy przygotował specjalną inscenizację „Madame Butterfly”, a rząd grecki zaprosił syna Pucciniego wraz z żoną na premierę. Wspaniały gest, wielkoduszny i charakterystyczny dla Greków. Wystosowaliśmy zaproszenia na przyjęcie dwudziestego szóstego października, po północy. Muszę przyznać, że przyjęcia po północy to grecki zwyczaj, z którym nigdy do końca się nie oswoiłem.

Metaksas i król nie przybyli, ale mimo to przyjęcie wypadło bardzo okazale. Mieliśmy olbrzymi tort z lukrowym napisem „Niech żyje Grecja”, stoły zastawione flagami Grecji i Włoch, złączonymi na znak przyjaźni. Gościliśmy poetów, dramatopisarzy, profesorów, intelektualistów oraz przedstawicieli ateńskiej socjety i korpusu dyplomatycznego. Mondini w swoim galowym mundurze, obwieszonym medalami, prezentował się wspaniale, ale zauważyłem, że w miarę jak zaczęły napływać depesze z Rzymu, bladł coraz bardziej i wyraźnie kurczył się w swym mundurze, aż w końcu wyglądał tak, jakby pożyczył go od kogoś lub chciał się wyprzeć przynależności do włoskiej armii.

Sytuacja była okropna. Pracownicy podchodzący z depeszami musieli udawać, że są

naszymi gośćmi. Gdy je czytałem jedną po drugiej, truchlałem cały. Musiałem toczyć rozmowy o niczym, czując, jak przytłacza mnie fala coraz większego przerażenia i odrazy. Wstydzilem się za nasz rząd, byłem zły, że utrzymywano mnie w nieświadomości, czułem zażenowanie wobec moich greckich przyjaciół i w kółko słyszałem w myślach powtarzające się pytanie: „Czy oni nie wiedzą, co to wojna?” Jakiś powieściopisarz zapytał, czy dobrze się czuję, gdyż bardzo pobrałem i trzęsły mi się ręce. Powiodłem wzrokiem po twarzach i zauważyłem, że wszyscy pracownicy naszego poselstwa czuli się identycznie – jak psy, którym kazano kąsać rękę, która je karmi.

Pierwsza część ultimatum Duce dotarła na końcu. Aż do piątej nad ranem nie wiedziałem, co się święci. Byłem zmęczony i chory i sam już nie wiem, czy instrukcja, by przedstawić ultimatum dopiero dwudziestego ósmego października o trzeciej w nocy i czekać na odpowiedź do szóstej, zasmuciła mnie, czy przyniosła ulgę. Wydawało się, że nasz Czuwający Dyktator (który, o czym mi przypadkiem wiadomo, sypiał dość długo i często) bardzo pragnął nie tylko zasiać zniszczenie, ale i pozbawić nas snu.

Dwudziestego siódmego października szef sztabu armii greckiej wezwał Mondiniego, by zaprzeczyć, że Grecja miała cokolwiek wspólnego z incydentami granicznymi oraz eksplozją w Santi Quaranta. Mondini wrócił bardzo przygnębiony i powiedział, że Papagos upokorzył go, zadając jedno celne pytanie: »Jakim cudem wiecie, że to nasza sprawka, skoro nikt nie ma Pojęcia, kto to zrobił, i nikogo nie złapano?“ Mondini próbował go uspokoić, mówiąc, że to przypuszczalnie robota Brytyjczyków, na co Papagos roześmiał się i rzekł: „Przypuszczam, że zdaje pan sobie sprawę, iż każdy skrawek granicy jest strzeżony przez greckich patriotów, którzy będą walczyć do ostatniej kropli krwi“. Mondini czuł, podobnie jak ja, wstyd i bezsilność. Badoglio nie informował go o niczym. Marszałek powiedział mi później, że sam też nie był informowany, mimo że sprawował funkcję szefa sztabu generalnego – ale czy była kiedyś wojna, o której wybuchu nie wiedział naczelny dowódca? Znowu rozmawialiśmy z Mondinim na temat ewentualnej rezygnacji, podczas gdy na zewnątrz hałaśliwi atenczczyki zajmowali się swoimi zwykłymi sprawami. Był piękny, ciepły, wspaniale jesienny dzień, a my wiedzieliśmy, że już wkrótce to piękno i spokój zostaną rozdarte wyciem syren i hukami bomb; ta myśl była zbyt odrażająca, wręcz świętokradcza. Zaczęliśmy przyjmować pobladłych przedstawicieli włoskiej społeczności w Atenach, którzy obawiali się internowania i prześladowań w wypadku wybuchu wojny. Musiałem ich okłamywać. Serce mi się krajało, gdy ich odprawiałem. Jak się okazało, Grecy w bardzo szlachetny sposób próbowali ich ewakuować, i w Salonikach nasze lotnictwo zbombardowało przez pomyłkę wiozący tych ludzi statek.

Rozmowa z Metaksasem była najbardziej przykrym wydarzeniem w moim życiu. Potem mnie repatriowano, ale z Cianem zobaczyłem się dopiero szóstego listopada. Kampania poniosła już fiasko i Ciano nie chciał, żebym powiedział: „A nie mówiłem?” Tak naprawdę w ogóle nie chciał się ze mną widzieć, bezustannie mi przerywał i zmieniał temat. W mojej obecności zatelefonował do Duce i powiedział mu, że mówiłem rzeczy, których nie mówiłem, a potem zapewnił mnie, że kampania albańska zakończy się za dwa tygodnie. Później, gdy zacząłem zabiegać o ujawnienie prawdy, Ciano wysłał Anfusa, by ten doradził mi wyjazd na wakacje. Przypuszczam, że to miał być koniec mojej kariery dyplomatycznej.

Chcesz wiedzieć, jak wyglądała moja rozmowa z premierem Metaksasem? Wiele się już o tym mówiło, nie chcę się nad tą sprawą dłużej rozwodzić. Otóż podziwiałem Metaksasa i faktem jest, że się przyjaźniliśmy. Nie, to nieprawda, że Metaksas po prostu powiedział „nie”. W porządku, opowiem ci.

Mieliśmy greckiego szofera, nie pamiętam już, jak miał na imię, i odesłaliśmy go do domu, więc to Mondini zawiózł nas do willi w Kifisii. De Santo przyjechał razem z nami, żeby tłumaczyć, choć nie było takiej potrzeby. Wyruszyliśmy o wpół do trzeciej, gdy gwiazdy świeciły niczym diamenty i było tak ciepło, że nie musiałem nawet zapinać płaszcza. Przybyliśmy do skromnej willi na przedmieściu za piętnaście trzecia. Dowódca warty zgłupiał – pewnie pomylił nasze barwy narodowe z francuskimi – i zadzwonił do Metaksasa z informacją, że chce się z nim zobaczyć ambasador Francji. W każdej innej sytuacji byłoby to komiczne. Czekaając na premiera, słuchałem szumu pinii i próbowałem umiejscowić sowę, która pohukiwała na jednym z drzew. Zbierało mi się na wymioty.

Metaksas osobiście przyszedł do drzwi dla obsługi. Był bardzo chory, wyglądał niepozornie i żałośnie, niczym drobny burżuj, który wyszedł z domu, żeby zabrać ze skrzynki gazetę lub zawołać kota. Miał na sobie szlafrok w białe kwiaty. Człowiek, nie wiedzieć czemu, oczekuje, że wybitna postać w nocnym stroju będzie prezentowała się dostojniej. Spojrzał mi w twarz mrużąc oczy, rozpoznał mnie i z radością zawołał: *Aa, monsieur le ministre, comment allezvous?*¹² Nie przypominam sobie, co odpowiedziałem, ale miałem świadomość, że Metaksas podejrzewa, iż przyszedłem mu przekazać pocałunek Judasza. Jak zapewne wiesz, był już wtedy umierający i dźwigał chyba niewyobrażalnie ciężki kamień na sercu.

Wszedł do małego salonu, pełnego tanich mebli i tych małych błyskotek, które wszyscy przedstawiciele greckiej klasy średniej zdają się tak uwielbiać. Metaksas był

¹² Panie ministrze, co słyhać?

uczciwym politykiem. Nigdy nie został oskarżony o korupcję nawet przez swoich wrogów, nawet przez komunistów, a jego dom dobitnie świadczył o tym, że nigdy nie upiększono go za państwowe pieniądze. Trudno byłoby znaleźć człowieka bardziej odmiennego od Duce.

Posadził mnie w skórzanym fotelu. Później słyszałem, że wdowa po Metaksasie już nigdy nie pozwoliła nikomu w nim usiąść. Sam zajął miejsce na kanapie pokrytej kretonem. Rozmowa toczyła się po francusku. Powiedziałem mu, że otrzymałem od mojego rządu polecenie wręczenia mu pilnej noty. Metaksas wziął ją i bardzo powoli czytał raz po raz, jakby jej treść była w istocie swej niewiarygodna. Cmoknął w sposób, jakim Grecy wyrażają dezaprobatę, i zaczął kręcić głową.

W nocie napisano, że Grecja otwarcie stanęła po stronie Brytyjczyków, że pogwałciła wymogi neutralności, że sprowokowała Albanię... Tekst kończył się słowami, których nigdy nie zapomnę:

Włochy nie mogą tego wszystkiego dłużej tolerować. Dlatego też rząd włoski postanowił prosić rząd grecki, w ramach gwarancji neutralności Grecji i włoskiego bezpieczeństwa, o zgodę na zajęcie pewnych obszarów strategicznych na greckim terytorium na czas trwania obecnego konfliktu z Wielką Brytanią. Rząd włoski prosi władze greckie, by nie sprzeciwiały się takiej okupacji i nie blokowały swobodnego przemarszu wojsk, które mają wykonać to zadanie. Wojska te nie przybędą jako wrogowie narodu greckiego i rząd włoski w żaden sposób nie chce naruszyć suwerenności i niepodległości Grecji przez zajęcie kilku punktów strategicznych, podyktowane okolicznościami i potrzebami o charakterze czysto obronnym. Rząd włoski prosi rząd grecki o natychmiastowe wydanie rozkazów niezbędnych, by umożliwić zajęcie tych punktów w pokojowy sposób. Gdyby bowiem wojska włoskie napotkały opór, taki opór zostałby złamany zbrojnie, a władze greckie wzięłyby na siebie odpowiedzialność za wyniki z tego konsekwencje.

Okulary Metaksasa zaszły parą i dostrzegłem łzy w jego oczach. Widzieć potężnego człowieka, dyktatora, doprowadzonego do takiego stanu, to ciężkie przeżycie. Ręce drżały mu lekko. Był człowiekiem twardym, ale uczuciowym. Siedziałem naprzeciw niego z rękami wspartymi na kolanach i czułem palący wstyd z powodu niesprawiedliwości szaleńczego przedsięwzięcia, w które zostałem wplątany. Ja też miałem ochotę się rozplakać. Metaksas spojrział na mnie i rzekł: „*Alors, c'est la guerre*”.¹³

¹³ Ależ to wojna.

Tak więc nie powiedział *ochi*, jak sądzą Grecy. Jego odpowiedź nie była prostym „nie”, ale oznaczała to samo. Była równie stanowcza, równie godna i równie nieodwołalna. „Mais non – powiedziałem, wiedząc, że kłamię – możecie przecież przyjąć ultimatum. Macie trzy godziny”.

Metaksas uniósł brew niemal ze współczuciem, ponieważ wiedział, że nie jestem stworzony do haniebnych uczynków, i odparł: „*Il est impossible*.¹⁴ Nie można w ciągu trzech godzin obudzić króla, wezwać Papagosa i wydać rozkazów każdemu posterunkowi na granicy. W wielu z nich nie ma telefonu”. „*Il est possible, neanmoins* ¹⁵ – rzekłem, a on pokręcił głową i zapytał: „Które strategiczne rejony chcecie zająć?” Sarkastycznie podkreślił słowo „strategiczne”. Wzruszyłem z zażenowaniem ramionami i odparłem: „*Je ne sais pas. Je suis desole*”.¹⁶

Znowu na mnie spojrział – tym razem ze śladem rozbawienia w oczach. „*Jdors, vous uoyez, c'est la guerre*”¹⁷, *fitais non*” – powtórzyłem i dodałem, że będę czekał na ostateczną odpowiedź do szóstej rano. Odprowadził mnie do drzwi. Wiedział, że bez względu na jego decyzję mamy zamiar zająć całą Grecję. Zdawał sobie również sprawę, że jeżeli nas pokona, będzie musiał walczyć z Niemcami. „*Vous etes les plus forts* – rzekł – *mais c'est unequestion d'honneur*”.¹⁸

Wtedy widziałem Metaksasa po raz ostatni. Zmarł dwudziestego dziewiątego stycznia na ropowicę gardła, która przerodziła się w ropień i doprowadziła do infekcji całego organizmu. Zmarł, żałując, że Brytyjczycy nie byli w stanie wysłać mu z pomocą pięciu dywizji pancernych, bez których i tak zdołał zmienić nasz *Blitzkrieg* w sromotny odwrót.

Zostawiłem go stojącego w kwiecistym szlafroku, drobnego człowieczka, z którego naśmiewała się większość świata, drobnego człowieczka, pokaranego przekleństwem słynnej ze swych wyczynów i nieprzejednanej córki, nie wybranego, lecz nominowanego na swe stanowisko, który właśnie przemówił do mnie głosem całego narodu greckiego. Była to najwspanialsza chwila dla Grecji i najbardziej haniebna dla mojego kraju. Metaksas zdobył w historii miejsce wśród wyzwolicielei, cesarów i królów, a mnie pozostały w udziale wstyd i poniżenie.

No, opowiedziałem ci o tym, co się wydarzyło. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

¹⁴ To niemożliwe.

¹⁵ Niestety, możliwe.

¹⁶ Nie wiem. Przykro mi.

¹⁷ No cóż, widzi pan, to wojna.

¹⁸ Jesteście silniejsi – ale to sprawa honoru.

XV

Homoseksualista (4)

Nie zameldowaliśmy się z powrotem u pułkownika Riulty, gdyż nie otrzymaliśmy takiej instrukcji. Spodziewano się, że zginie. W komunikatach pełno było relacji o „incydentach granicznych” sprowokowanych przez greckich „lokajów Brytyjczyków”. Żołnierzy ogarnęło ponure oburzenie i wszyscy oprócz mnie i Francesco rwali się do walki. My siedzieliśmy cicho. Uznaliśmy za cud, że nie dano nam karabinu maszynowego, który by się zaciął po pierwszym strzale.

Często jednak rozmawialiśmy ze sobą i wspólny udział w akcji pogłębił w nas uczucie izolacji. Mieliśmy straszne poczucie zdrady na długo przedtem, zanim zaczęło ono dominować w sercach wszystkich naszych żołnierzy walczących w górach Epiru. Za to, co zrobiliśmy, otrzymaliśmy medale oraz rozkaz, by ich nie nosić. Zabroniono nam mówić komukolwiek o tym, że je dostaliśmy. Podstępnie uczyniono z nas współsprawców morderstwa i tak czy owak byśmy ich nie nosili. Umówiłem się z Franceskiem, że pewnego dnia jeden z nas wpakuje pułkownikowi Riulcie kulę w łeb.

Myślałem o dezercji, choć nie chciałem opuszczać mojego pięknego ukochanego, ale byłoby to i tak niemożliwe, musiałbym bowiem pokonać masywy górskie i nie zaludnione okolice, no i dostać się do Włoch morzem. A potem co? Trafić do aresztu? Jedyne wyjście, nad którym poważnie się zastanawiałem, było przekroczenie granicy greckiej. Zostałbym pierwszym z wielu włoskich żołnierzy, którzy przyłączyli się do antyfaszystowskiego sojuszu.

Późniejsze wydarzenia zniweczyły moje plany. Nasz nieprzewidziany sukces najwyraźniej zrobił na kimś wrażenie, bo ja i Francesco zostaliśmy czasowo odwołani z naszego oddziału i wysłani do ściśle tajnego obozu szkoleniowego w pobliżu Tirany. Przybyliśmy tam po podróży, której znaczną część znowu odbyliśmy pieszo. Spodziewaliśmy się, że zostaniemy przeszkoleni do udziału w operacjach specjalnych. Przyznam, że obaj byliśmy podnieceni tą perspektywą, jak zapewne wszyscy młodzi ludzie w naszej sytuacji.

Przedstaw sobie naszą konsternację i niedowierzanie, gdy pojawiliśmy się w obozie i stwierdziliśmy, że mamy być... instruktorami. Wyobraź sobie bezmiar naszych obaw, gdy

kazano nam przeszkolić stu pięćdziesięciu Albańczyków w sztuce sabotażu. Odmaluj sobie naszą wesołość, gdy po pijanemu analizowaliśmy sytuację. Jak mogło nas to spotkać? Wypełniliśmy jedną misję i od razu uznano nas za ekspertów. Ci Albańczycy byli niegodziwymi bałkańskimi zbójami i żaden z nich nie mówił słowa po włosku. My nie mówiliśmy po albańsku. Mieliśmy mniej więcej tydzień na ich przeszkolenie.

Nadzór nad całym przedsięwzięciem sprawował sam namiestnik Mussoliniego w Albanii. Byliśmy teraz pełnoprawnymi uczestnikami oficjalnego spisku w celu stworzenia „greckich” incydentów, które dałyby Duce uzasadniony pretekst do wypowiedzenia wojny. Cyniczne, prawda? Duce niewątpliwie sądził, że Grecja będzie łatwą zdobyczą, którą on zrównoważy Blitzkrieg Adolfa Hitlera.

Wszyscy przyszli albańscy komandosi mieli nadwagę, wszyscy też nosili wielkie wąsy i wszyscy byli nałogowymi pijakami, mieli mordercze skłonności, byli rozpustni, zachłanni i niezdolni do pracy i uczciwości. Formalnie wyznawali islam, co oznaczało, że musieli robić przerwy na modły w nieodpowiednich momentach, ale szybko doszliśmy z Franceskiem do wniosku, że udało im się nie dopuścić do siebie żadnych uczuć religijnych ani ludzkich.

Zabieraliśmy ich na marsze w terenie i jako jedyni docieraliśmy do celu. Uczyliśmy ich, by strzelali z karabinów maszynowych wyłącznie krótkimi seriami, ale oni opróżniali całe taśmy za jednym razem i lufy wykrzywiały się wskutek przegrzania. Uczyliśmy ich walki wręcz po to tylko, by dobywali noży, jeżeli wydawało się, że jesteśmy górą. Uczyliśmy ich, jak żyć się tym, co rodzi ziemia, w tym jedynie celu, by widzieć, jak w środku nocy chyłkiem wymykają się do pobliskich tawern. Uczyliśmy ich, jak niszczyć słupy telegraficzne i instalacje telefoniczne – jeden z nich zginął porażony prądem elektrycznym, sikając na transformator. Uczyliśmy ich, jak niszczyć wieże strażnicze; poleciliśmy im zbudować jedną, po czym nie chcieli jej zniszczyć, tyle mieli kłopotów z jej wzniesieniem. Uczyliśmy ich, jak zachęcać lokalną ludność do buntu – lokalna ludność buntowała się tylko przeciwko naszym Albańczykom. Jediną rzeczą, której ich z powodzeniem nauczylismy, były zamachy na generałów i wywoływanie zamieszania w szeregach wroga strzelaniną na tyłach; dowiedli tego, strzelając do jednego z wartowników obozowych, a potem ostrzeliwując burdel z zamiarem obrabowania alfonsów. Na zakończenie szkolenia komandosom wypłacono bardzo duże sumy pieniędzy i wpuszczono ich na terytorium Grecji, chcąc rozpocząć tam proces destabilizacji. Wszyscy bez wyjątku zniknęli z pieniędzmi i nigdy już o nich nie słyszano. Otrzymaliśmy z Franceskiem kolejne medale za „wybitny wkład” i zostaliśmy odesłani do naszego oddziału.

Nastąpiło kilka dalszych wydarzeń. Jeden z naszych samolotów zarzucił nas

„greckimi” ulotkami, zachęcającymi Albańczyków do buntu przeciwko nam i przyłączenia się do Brytyjczyków. Niemal natychmiast poznaliśmy, że to nasz samolot, i część co głupszych żołnierzy nie mogła zrozumieć, czemu zachęcamy własnych ludzi do dezercji. Następne włoskie posterunki graniczne były atakowane przez naszych żołnierzy przebranych za Greków, a do paru Albańczyków oddaliśmy strzały z bezpiecznych pozycji, żeby myśleli, iż potrzebują naszej ochrony. Kilku Albańczyków rzeczywiście do nas strzelało i obwieściliśmy światu, że to Grecy. Gubernator generalny załatwił wysadzenie swojego biura, żeby Duce mógł w końcu wypowiedzieć wojnę. Uczynił to tuż po nakazaniu demobilizacji, w której wyniku zostało nam za mało oddziałów i nie mogliśmy liczyć na ich wzmocnienie.

Opisałem wszystko, jakby to były rzeczy zabawne, ale w rzeczywistości chodziło o akty zwykłego szaleństwa. Powiedziano nam, że Grecy są zdemoralizowani i skorumpowani, że zdezerterują, by walczyć po naszej stronie, że wojna będzie błyskawiczna, zakończy się w ciągu paru chwil, że w północnej Grecji aż roi się od niezadowolonych separacjonistów, którzy pragną zjednoczenia z Albanią; my jednak chcieliśmy jedynie wrócić do domu. Ja pragnąłem tylko kochać się we Francescu. Posłano nas na śmierć, bez środków transportu, bez sprzętu, bez czołgów godnych tego miana, z lotnictwem, które głównie stacjonowało w Belgii, z niewystarczającą liczbą żołnierzy i bez generałów, którzy by cokolwiek wiedzieli o taktyce walki. Nasz dowódca odrzucił propozycję wzmocnienia, ponieważ zwycięstwo na czele małej armii przysporzyłoby mu większej chwały. Następny idiota. Nie zdezerterowałem. Być może wszyscy byliśmy idiotami.

Opisywanie tamtej kampanii jest dla mnie bolesne i przepelnia mnie niezmierną goryczą. Tu, na tej słonecznej, zacisznej wyspie, z jej dobrodusznymi mieszkańcami i doniczkami z bazylią, wydaje się niepojęte, że znaczna część tych zdarzeń naprawdę miała miejsce. Tu, na Kefalonii, przechadzam się w słońcu i obserwuję taneczną rywalizację mieszkańców Liksuri i Argostoli. Tu, na Kefalonii, wypełniam marzenia senną muzyką kapitana Antonia Corellego – człowieka, który pełen radości, z duszą wirującą w takt melodii mandolin, nie może się bardziej różnić od mego nie żyjącego ukochanego Francesca, lecz którego darzę równie głęboką miłością.

Jakże cudownie było wyruszać na wojnę! Jak gwizdaliśmy i śpiewaliśmy, energicznie przygotowując się do wymarszu, a kurierzy na motocyklach pędzili tam i z powrotem niby pracowite pszczoły, jaką radość wzbudzało przekraczanie granicy obcego kraju bez oporu, jak mile lechtało próżność wyobrażanie sobie nas w roli nowych legionistów nowego imperium, które przetrwa dziesięć tysięcy lat! Jakże przyjemna była myśl, że niebawem nasi niemieccy sojusznicy usłyszą o wiktoriach dorównujących ich zwycięstwom. Jakaż siła

wzbierała w nas, gdy chętnie się udzielałem w słynnym pakcie trzech. Maszerowałem u boku Francesca, obserwując, jak kołyszą się jego ręce i jak czyste krople potu spływają mu po twarzy. Od czasu do czasu patrzył na mnie i uśmiechał się. „Ateny w dwa tygodnie” – mówił.

Noc dwudziestego szóstego października. Z amunicją na pięć dni, z braku mułów, dźwigając sami nasze zapasy, zostaliśmy wysłani na wschód, by zająć przełęcz Mecowon. Jakże nieopisanie lekko poczuliśmy się, gdy wieczorem zdjęliśmy plecaki! Jakże niemowlęcym snem posnęliśmy i jak trzeszczały nasze zeszywniałe kości we wczesnym świetle poranka! Dowiedzieliśmy się, że nie przybędą żadne posiłki, ponieważ morze jest zbyt wzburzone, a Brytyjczycy zatapiają nasze okręty. Śpiewaliśmy pieśni o zwycięstwie w nierównej walce. Uspokajała nas myśl, że znajdujemy się pod bezpośrednim dowództwem Praski.

Jak wspaniale było brać udział w wojnie, dopóki sprzyjała nam pogoda! Potem brnęliśmy z mozołem w błocie. Nasze samoloty zostały uziemione przez chmury. Dziesięć tysięcy mężczyzn przemoczonych do suchej nitki. Dwadzieścia ciężkich dział osiadło na mokradłach, a nasze biedne, znieważane i bite muły bezskutecznie usiłowały je wyciągnąć. Zapewniono nas, że Duce zdecydował się na zimową kampanię, żeby uniknąć groźby malarii; nie zapewniono nam natomiast zimowej odzieży. Albańscy żołnierze wysłani razem z nami poczuli zniknąć jak kamfora. Stało się jasne, że Bułgarzy nie będą walczyć po naszej stronie, i Grecy sprowadzili posiłki znad granicy z Bułgarią. Zanim jeszcze padł pierwszy strzał, nasze linie łączności i zaopatrzenia nie nadawały się do użytku. Mój karabin zaczął rdzewieć. Zaopatrzone mnie w złą amunicję. Dowiedzieliśmy się, że nie będziemy mieli obrony przeciwlotniczej i że jakiś biurokrata przez pomyłkę rozkazał naszym ciężarówkom Fiat 666 wrócić do Turynu. Zresztą i tak nie miało to znaczenia. Ciężarówki grzęzły w błocie podobnie jak działa. Obcasy, które kiedyś elegancko trzaskały podczas oddawania honorów, teraz łączyły się z kleistym odgłosem i zaczęliśmy tęsknić do gryzącego żółtego pyłu z dwudziestego piątego października. Z trudem posuwaliśmy się naprzód, przekonani o łatwym zwycięstwie, nadal śpiewając o wizycie w Atenach za dwa tygodnie. Nie oddaliśmy jeszcze ani jednego strzału.

Sądziliśmy, że Grecy nie stawiają oporu, ponieważ ich oddziały są słabe i tchórzliwe, i to, na przekór wszystkiemu, wbijało nas w pychę. Nikomu nie przyszło do głowy, że przewidzieli naszą strategię i przeszli do elastycznej obrony, żeby skoncentrować swoje siły. Gramoliliśmy się w nieubłaganym deszczu i lgnącym do butów błocie, podczas gdy nad naszymi głowami, wokół tytanicznej góry Smolikas, kłębiła się mgła. Grecy cierpliwie czekali.

Jak ja nie znoszę owijaczy! Nigdy nie mogłem zrozumieć, jakiemu służą celowi. Nienawidziłem obowiązku okręcania ich w regulaminowy sposób. Teraz nie cierpiałem ich za

to, że zbierały się na nich grudy żółtej ziemi, że lodowata woda przesączała się przez nie do butów. Skóra na moich stopach zbielała i zaczęła się łuszczyć. Kopyta mułów rozmiękły i odpadały płatami, lecz nadal wzbijały w górę breję, pokrywającą nas od stóp do głów. Weszliśmy z Franceskiem do jakiegoś domu z fotografią króla Jerzego i generała Metaksasa na ścianie. Wyszabrowaliśmy deszczowiec i suchą parę skarpet. Na stole stał nie dokończony posiłek, jeszcze ciepły; zjedliśmy go. Potem godzinami zamartwialiśmy się tym, że mógł być zatruty i pozostawiony rozmyślnie. Greków nie było, zwyciężaliśmy bez walki. Zapomnieliśmy o tym, jak niektórzy z nas wykrzykiwali antywojenne hasła do faszystowskich milicjantów, i o tym, że biliśmy ich, ilekroć natknęliśmy się na nich w ciemności.

Dotarliśmy do rzeki Sarandaporos i okazało się, że nie mamy sprzętu do budowy mostów ani inżynierów. Był to wezbrany potok, zarzucony szczątkami wysadzonych mostów i ścierwem górskich owiec. Francesco uratował mi życie, rzucając się za mną, gdy woda porwała mnie podczas próby przeniesienia działa na drugi brzeg. Wtedy po raz pierwszy trzymał mnie w ramionach. Podobno ktoś widział, jak jacyś greccy żołnierze znikają w lesie. „Tchórze” – mówiliśmy ze śmiechem. Piekło rzeki Sarandaporos powtórzyło się nad rzeką Wojussa. „Bóg jest przeciwko nam” – rzekł Francesco.

Nie znoszę owijaczy. Na wysokości tysiąca metrów nad poziomem morza woda zamarza w nich na kamień. Zamarzając, powiększa objętość. To niewątpliwie zupełnie normalne zjawisko, lecz w wypadku owijaczy jego efekt jest dwójaki. Lód waży wiele kilogramów. Zaciska się wokół nóg i odcina dopływ krwi do stóp. Człowiek traci w nich całkowicie czucie. Tęskniliśmy do nędznych szop, które zostały w Albanii. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nasza ciężka artyleria została wiele kilometrów w tyle i prawdopodobnie już nigdy nas nie dogoni. „Ateny w dwa tygodnie” – rzekł Francesco, ironicznie wykrzywiając usta.

Wojna jest cudowna, dopóki nikt nie ginie. Pierwszego listopada pogoda poprawiła się i jakiś grecki snajper zastrzelił naszego kaprala. Od drzew doleciał trzask, kapral cofnął się i wyrzucił w górę rękę. Odwrócił się ku mnie na pięcie i padł w śnieg z jasnym, lśniącem punktem pośrodku czoła. Żołnierze rzucili się na ziemię i odpowiedzieli ogniem, a jeden pluton wszedł między sosny, żeby znaleźć przeciwnika, który już przepadł bez śladu. Huknął mózdzierz, rozległ się świst upadającego wśród nas pocisku oraz krzyk, gdy odlamek rozerwał nogi biednego poborowego z Piemontu. Zapadła straszliwa cisza. Zdałem sobie sprawę, że jestem pokryty skrwawionymi strzępami ludzkiego ciała, które zaczęły już przymarzać do mojego munduru. Zebraliśmy się wokół rannych i uświadomiliśmy sobie, że nie możemy zabrać ich z powrotem za linię frontu. Francesco położył mi dłoń na ramieniu i rzekł: „Jeżeli zostanę ranny, dobij mnie”.

Niedoceniani Grecy wciągnęli nas na pozycje, na których mogliśmy zostać otoczeni i odcięci, a mimo to widywaliśmy ich bardzo rzadko. Tkwiłszy w pułapce dróg i ścieżek na dnie doliny, a oni przemykali jak widma po zboczach. Nie wiedzieliśmy, kiedy zostaniemy zaatakowani ani od której strony. W jednej chwili wydawało się, że pociski moździerzy nadlatują z tyłu, w drugiej, że z flanki lub z przodu. Kręciliśmy się w kółko jak derwisze. Strzelaliśmy do duchów i kozic.

Heroizm niewidzialnych Greków wywoływał zamieszanie w naszych szeregach. Zrywali się z wymarłych miejsc i atakowali z taką furią, jakbyśmy byli gwałcicielami ich matek. Był to dla nas szok. Na wzgórzu 1289 tak przerazili naszych Albańczyków, że ci uciekli, strzelając do żandarmów, którzy próbowali ich powstrzymać. Zdezercerowało dziewięćdziesiąt procent batalionu „Tomor”. Cała nasza linia została obrócona przeciwnie do ruchu wskazówek zegara z nami w środku i odcięta od obydwu skrzydeł. Żadnego wsparcia z powietrza. Greccy żołnierze w swoich brytyjskich mundurach i hełmach Thompsona ostrzeliwali nas z karabinów maszynowych i moździerzy, a potem znikali. „Ateny w dwa tygodnie” – powiedział Francesco. Byliśmy zupełnie sami.

Grecy zajęli Samarini i zaszli nas od tyłu. Nie jedliśmy nic oprócz sucharów, które łuszczyły się, jakby miały skrofuły. Nasze konie zaczęły padać, a my zaczęliśmy jeść ich mięso. Greckie koniki przewoziły greckich kawalerzystów na wzgórzach nad nami i były zbyt odporne, by zdychać. Dostaliśmy rozkaz wycofania się do Konicy i musieliśmy przerwać okrążenie.

Staliśmy się nierozpoznawalni. Zapusciliśmy długie brody, tonęliśmy w strugach deszczu i zwalach mokrego śniegu, nasze nabiegle krwią oczy zapadły się głęboko, mundury zniknęły pod skorupą złodowaciałej gliny, ręce były poszarpane, jakby je gryzły i drapały koty, a palce wygięły się w ciężkie niczym ołów pałki. Francesco wyglądał tak samo jak ja, a ja wyglądałem jak wszyscy pozostali; wiedliśmy życie ludzi neolitu. W ciągu paru dni zamieniliśmy się w żywe szkielety, ryjące w ziemi w poszukiwaniu pożywienia niczym świnie.

W końcu ujrzelśmy wioski bombowiec. Pomachaliśmy do niego rękami, zatoczył krąg i zrzucił bombę, która omal w nas nie trafiła i zabiła trzy nasze muły. Pocięliśmy ich mięso na kawałki i zjedliśmy na surowo, póki jeszcze było ciepłe i tchnęło resztkami życia. Telegrafisci przestali nadawać. Stało się jasne, że Grecy gromadzą swoje oddziały akurat tam, gdzie jesteśmy najslabsi. Zaczęli wybijać odizolowane oddziały i brać jeńców. „Szczęśliwe sukinsyny – rzeki Francesco. – Założę się, że w Atenach jest gorąco”. – Nocą ja i Francesco

spaliśmy wtuleni w siebie, żeby nie zmarznąć. Byłem zbyt wyczerpany, by czuć pożądanie. Wszyscy spali w ten sposób. Chciałem go tytko ochronić.

Nasz dowódca został wylany i zastąpił go generał Soddu, którego naturalnie przezwaliliśmy „generałem Sodomii”. Visconti Prasca stracił wówczas stanowisko dowódcy 11. armii. Jakże upadają wielcy tego świata! Prasca był niczym meteor, który okazał się rozjarzonym zerem. Wszyscy nasi dowódcy byli jarzącymi się zerami, począwszy od Mussoliniego, który ich wybrał.

Wycofywaliśmy się w kierunku Konicy niby ranny olbrzym, dręczony przez dziką sforę rozwścieczonych psów. Rozpętało się piekło karabinów maszynowych i artylerii, moździerzy i lodu. Ludność cywilna polowała na nas z karabinków sportowych i proc. Przeżyliśmy cały tydzień bez żywności i chwili wytchnienia. Ostrzeliwaliśmy się bezpośrednio przez osiem godzin bez przerwy. Straciliśmy setki towarzyszy. Góry stały się cmentarzyskiem. Walczyliśmy dalej, ale bez dawnej odwagi. Ziemię skryły wielkie ciemności. Francesco rozmawiał ze swoją myszą nawet wtedy, gdy wpadaliśmy w zasadzkę lub dostawaliśmy się pod nagły ostrzał z flanki. Wszyscy byliśmy na krawędzi szaleństwa. Dotarliśmy do dawnych pozycji przy moście Perati, poświęciwszy daremnie jedną piątą naszych żołnierzy. Rozglądałem się dokoła i czułem przerażenie, nie widząc ludzi, których nie mogłem nie pokochać i których niezwyklej odwagi nikt nigdy nie powinien beztrosko podawać w wątpliwość. Wojna to wspaniała rzecz. W filmach i w książkach. Gladiatory, wellingtony i blenheimy zaczęły się pojawiać na niebie. W ten sposób Brytyjczycy przydali siły greckim sztyletom, obracającym się w naszych ranach. Generał Soddu złożył nam wizytę i przyrównał nas do granitu. „Czy granit krwawi na Gólgocie?” – zapytał Francesco.

XVI

Listy do Mandrasa

(I)

Agapeton, od tak dawna nie mam od Ciebie żadnej wiadomości, nie pisałeś od tego smutnego dnia, gdy pożegnałam Cię w Sami. Pisałam do Ciebie codziennie i zaczynam przypuszczać, że nigdy nie otrzymałeś moich listów albo Twoje odpowiedzi nie dotarły do mnie z powodu wojny. Wczoraj napisałam najlepszy mój list, który wszystko doskonale wyraził i, wierz lub nie, ale zjadł go koziołek. Wścieklałam się i sprąłam go butem po głowie. Byłoby z tego zabawne zdjęcie i pewnie śmiałybyś się, gdybyś to zobaczył. Cały czas widuję różne rzeczy i żałuję, że nie ma Cię tutaj i nie widzisz ich na własne oczy. Staram się obserwować rozmaite rzeczy dla Ciebie i zapamiętywać je i myślę sobie, że jeżeli skoncentruję się dostatecznie mocno, to zdołam przesłać te obrazy Tobie, żebyś mógł je zobaczyć w swoich snach. Gdyby tylko w życiu mogło tak być!

Boję się też, że nie dostaję od Ciebie listów, ponieważ zostałeś ranny lub wzięty do niewoli, i mam koszmarne sny o tym, że nie żyjesz. Błagam, napisz do mnie, żebym znowu mogła oddychać i żeby moje serce wreszcie zaznało trochę spokoju. Co dnia czekam, aż ludzie wrócą z Argostoli z pocztą dla wioski, i wybiegam z domu, i nigdy nic nie ma, i czuję rozpacz i bezradność, i ze zmartwienia tracę zmysły. Teraz, w grudniu, dni zrobiły się bardzo zimne, nie ma słońca i prawie codziennie pada deszcz, a ja wyobrażam sobie, że niebo płacze, gdy ja wylewam łzy. Drzę na myśl, jak zimno musi być w górach Epiru. Dostałeś skarpety, które dla Ciebie zrobiłam, sweter rybacki i szalik? Myślisz, że miałam dobry pomysł, żeby ufarbować je na kolor khaki? Czy też głupotą było nie zabarwić ich na białe? Mam nadzieję, że dostałeś kawę, słoik miodu i wędzone mięso. Moje biedne kochanie, jakże musisz cierpieć w tym zimnie, w tym miejscu tak odległym i dzikim, że wydaje mi się niemal obcym krajem! Jakże musisz tęsknić za swoją łodzią i delfinami; czy zorientowałeś się, że wiem o Twoich delfinach, pozbawionych przyjaciela, który by je karmił rybami, dopóki Ty nie wrócisz?

Tutaj nic się nie zmieniło, jeśli nie liczyć faktu, że zaczyna nam brakować różnych

rzeczy. Wczoraj nie mogłam dostać nafty do lamp, a w zeszłym tygodniu nie było mąki na wypiek chleba. Mój ojciec zrobił lampy, przeciągając knot przez korek i zanurzając go w misce z oliwą, co – jak twierdzi – robiło się w dawnych czasach, ale światło jest słabe, lampy bardzo kopczą i nieprzyjemnie pachną. Kto by pomyślał, że człowiek może zatęsknić za naftą?

Wszyscy mówią o tym, jak ciche i ponure jest to miejsce teraz, gdy odeszli wszyscy młodzi mężczyźni, i każdy zastanawia się, ilu powróci. Słyszałam, że Dimos zginął, a narzeczony Marii trafił do niewoli. Ilekroć dowiaduję się o takich rzeczach, dziękuję Bogu, że nie chodzi o Ciebie, choć to straszne pragnąć, by nieszczęście spadło na innych. Gdyby Cię zabili, nie mogłabym tego znieść. Chyba zaproponowałabym Bogu, żeby mnie zabrał zamiast Ciebie, bylebyś tylko mógł dalej żyć. My, kobiety, czujemy wstyd, że nie możemy złożyć podobnej ofiary jak wy, ale każda z nas chwyciłaby karabin i dołączyła do was, gdyby było to możliwe lub dozwolone. Tatuś dał mi mały pistolet i śpię z nim pod poduszką, a za dnia trzymam go w kieszeni fartucha. Jeżeli ktoś najedzie tę wyspę, są tu kobiety i starcy, którzy walczyliby do upadłego nawet kijami od mioteł i nożami kuchennymi; przyzwyczailiśmy się już do robienia rzeczy, które dawniej robili mężczyźni. Jediną rzeczą, której nie robimy, jest przesiadywanie w kafenijonie i gra w triktraka. Dość często chodzimy do kościoła. Ojciec Arsenios wygłosił wiele pięknych i wzruszających kazań. Powiada, że ikona z wizerunkiem świętego Jana ukazała się przed grotą, z której korzystał Jerasimos, i że uznano ją za prawdziwy znak od Boga. A więc chyba nawet Bóg wysyła nam sygnały i pokazuje, że racja jest po naszej stronie. Pewnego dnia ktoś zwrócił mi uwagę, że jesteśmy jedynym oprócz imperium brytyjskiego krajem, który wciąż walczy. Gdy myślę o tym, nabieram otuchy, bo przecież to największe imperium, jakie widział świat, a skoro tak jest, to jak możemy przegrać? Często widuję brytyjskie okręty wojenne. Są tak duże, że można by pomyśleć, że nie sposób na nich pływać. Wiem, że zwyciężymy.

Wszystkie wieści z frontu są tak pomyślne, że nasze zwycięstwo wydaje się pewne. Codziennie słyszymy o odparciu lub pokonaniu następnych włoskich oddziałów i czujemy triumfalną radość Dawida stojącego nad martwym Goliatem. Któż by uwierzył w coś takiego przed dwoma miesiącami? Wydawało się to niemożliwe. Wysłaliśmy was, byście stawili im opór w imię honoru, lecz bez nadziei na sukces, a teraz czekamy, by powitać was w domu jako bohaterskich zwycięzców. Cała Grecja nie posiada się z dumy i wdzięczności dla naszych żołnierzy, którzy są wspanialszy niż Achilles i Agamemnon razem wzięci. Chodzą słuchy, że odzyskaliście wszystkie sporne w przeszłości terytoria i że Włosi zostali praktycznie wyparci z Albanii. Jakże wspaniali z was żołnierze, wasze nazwiska pozostaną w wiecznej pamięci Greków, a świat na zawsze zapamięta, co się stanie, gdy ktoś się odważy nas zranić. Jesteśmy

tacy dumni, mój miły, tacy dumni. Chodzimy z wysoko podniesionymi czołami i wspominamy wspaniałą przeszłość, którą odebrali nam Rzymianie i Turcy i którą Ty i Twoi towarzysze nam w końcu zwróciliście. Nadejdzie dzień, gdy Grecja i imperium brytyjskie staną razem i powiedzą światu: „To my daliśmy wam wolność”, a Amerykanie, Rosjanie i inni im podobni Poncjusze Pilaci zwieszają głowy i poczują wstyd, że cała chwała nam przypadła w udziale.

Wszyscy tutaj zostali ożywieni duchem wojny. Tatuś, który tak bardzo nienawidził Metaksasa, i Kokolios, który jest komunistą, i Stamatis, który jest monarchistą, zgodnie okrzyknęli Metaksasa największym Grekiem od czasów Peryklesa i Aleksandra i razem sławią militarne sukcesy Papagosa. Pracują wspólnie przy kompletowaniu paczek dla żołnierzy, a mój ojciec zaproponował nawet, że pojedzie na front jako lekarz. Odmówiono mu, gdy odkryto, że wszystkiego nauczył się na statkach i nie ma formalnych kwalifikacji. Powinieneś widzieć, w jaką wpadł furję. Krążył po całym domu i nigdy nie słyszałam, by klął z taką wściekłością. Cieszę się, że nie może jechać, ale to niesprawiedliwe, ponieważ nawet bogaci ludzie przychodzą do niego zamiast iść do lekarzy z dyplomami. Ma dar uzdrawiania niczym święty, wystarczy, by dotknął rany, a ta już zaczyna się goić.

Mandrasie, ubawiłby cię pewnie gwałtowny wybuch aktywności wróżbitów po rozpoczęciu wojny. Wszyscy zaglądają do swoich filiżanek z kawą, by się przekonać, czy ich kuzyni, bracia i synowie wrócą z frontu; to się przerodziło w prawdziwą manię. Żona Kokoliosa wyczytała w moich fusach, że ktoś przybędzie z daleka i na zawsze odmieni moje życie, i powiedziała to tak poważnie, jakby nie wiedziała, że ja wiem, że ona wie, że czekam, aż Ty wrócisz z daleka.

Włoskim rodzinom na wyspie przydarzały się przykre rzeczy i władze musiały interweniować, żeby zapobiec puszczaniu domów z dymem i innym idiotycznym aktom przemocy. Paru zapaleńców w Liksuri pobiło nawet staruszkę, która mieszkała tu przez czterdzieści lat i zawsze wywieszała z okna naszą flagę. Czemu ludzie są tak zezwierzęceni?

Ucieszysz się na wieść o tym, że Psipsina i koziółek są zdrowi. Ja w każdym razie się cieszę, a ponieważ niebawem będziemy jednością, znaczy to, że Ty też musisz się cieszyć. Mam również nadzieję, że ucieszy Cię wiadomość, że postanowiłam sama skompletować sobie posag. Mój ojciec nie ma chyba poczucia wstydu i czasami jestem bardzo zła na niego, że odmawia mi rzeczy, która jest czymś normalnym w wypadku wszystkich innych dziewczyn. Nie ma racji, gdyż podchodzi do tego zbyt racjonalnie. Myśli, że jest Sokratesem, który może przeciwstawić się tradycji, ale ilekroć spotykam jakiegoś członka Twojej rodziny, czuję zażenowanie. Nie mogę pozwolić, by myślano, że jesteś źle widziany, mimo że to nieprawda. Zaczęłam robić szydelkiem wielką narzutę na nasze małżeńskie łóżko, ale musiałam ją spruć,

gdyż gdzieś popełniłam błąd, tak że zaczęła przypominać zdechłe zwierzę. Nie jestem dobra w kobiecych robotkach, ponieważ moja matka umarła, gdy byłam zbyt młoda, i teraz muszę spróbować nauczyć się wszystkich umiejętności, które powinnam była opanować, dorastając. Zaczynam od tego, co potrzebne do łóżka, bo w nim właśnie rozpocznie się nasze życie, ale potem zrobię jeszcze inne rzeczy dla domu, żeby używać ich w święta lub gdy będziemy mieli gości. Szydełkowanie jest bardzo trudnym zajęciem, ale cieszy mnie myśl, że gdy wrócisz, ujrzysz przed sobą dowód mej miłości. Myślę, że byłoby świetnie, gdybym zrobiła Ci kamizelkę haftowaną złotą nicią w kwiaty ułożone w girlandy, tak aby błyskała w świetle słońca podczas tańca.

W Boże Narodzenie Włosi zbombardowali Korfu. Nawet mój ojciec był wstrząśnięty ich bezbożnością. W radiu mówią, że Brytyjczycy zatopili wiele włoskich okrętów. Mam nadzieję, że to prawda, niemniej bardzo nie lubię wysłuchiwać takich wiadomości, bo nie mogę znieść marnowania ludzkiego życia i z ciężkim sercem myślę o tych wszystkich staruszkach, których synowie poszli do grobu przed nimi. Widziałam Twoją matkę na rynku. Twierdzi, że też nie ma od Ciebie żadnych wieści. Jest bardzo zmartwiona, a na jej twarzy widać jeszcze więcej zmarszczek niż dawniej. Proszę, pisz do niej, nawet jeżeli nie piszesz do mnie. Myślę, że cierpi bardziej niż ja, jeżeli to w ogóle możliwe.

Mandrasie, odkąd wyjechałeś, nie jedliśmy ryb i zaczyna mi ich brakować. Nie jemy nic prócz fasoli, jak biedota. Ojciec mówi, że fasola jest zdrowa, ale brzuch od niej rośnie. W Boże Narodzenie musieliśmy się obyć bez wielu tradycyjnych potraw i były to niewesołe święta, mimo że robiliśmy, co w naszej mocy. Ojciec Arsenios zadziwił wszystkich, bo się nie upił.

Pamiętaj, że są tutaj ludzie, którzy Cię kochają i modlą się za Ciebie i że cała Grecja maszeruje z wami, gdziekolwiek jesteście. Wróć do nas po zwycięstwie, tak aby wszystko mogło być jak dawniej. Czekają na Ciebie Twoje delfiny, i Twoja łódź, i Twoja wyspa, czeka także ta, która Cię kocha i tęskni za Tobą tak, jakbyś był odciętym członkiem jej ciała. Kochany, bez Ciebie nic nie jest takie jak należy i nawet wtedy, gdy czuję się szczęśliwa, moje szczęście mnie rani.

*Twoja kochająca narzeczona, Pelagia,
która całuje Cię tymi słowami.*

(2)

W dniu św. Bazylego

Agapeton,

nadal ani słowa od Ciebie, ale, o dziwo, zaczynam przyjmować to ze spokojem. Panajis wrócił z wojny bez ręki i powiedział mi, że na froncie jest zbyt zimno, by można było utrzymać pióro w dłoni. Twierdzi, że Cię nie widział, ale chyba nie ma w tym nic zaskakującego, skoro jesteś w innym oddziale. Będzie prosił króla o prawo powrotu na front i dalszej walki, jako że, jego zdaniem, każdy potrafi posługiwać się bronią jedną ręką. Garncarz przy drodze do Kastro twierdzi, że zrobi Panajisowi z gliny nową rękę, która będzie wyglądała lepiej niż poprzednia, bardzo mocną, i Panajis kazał mu ją zrobić mrozoodporną na czas powrotu do walki. Prawdę mówiąc, poprosił o dwie wersje ręki – jedną z zaciśniętą pięścią do bicia i drugą ze zgiętymi palcami, tak aby mógł w nich trzymać szklaneczkę. Nie zdziwiłabym się, gdyby poprosił o trzecią z uchwytem na bagnet, takie ma nastawienie.

Uroczystości w dniu świętego Bazylego wypadły lepiej niż Boże Narodzenie. Ojciec dał mi książkę z wierszami i pismami politycznymi Andreasa Laskaratos, mówiąc, że czytanie dzieł człowieka, który został ekskomunikowany, wyjdzie na dobre mojej duszy. Zacytowałam mu porzekadło: „wielka książka, wielkie zło”, i ojciec zagroził, że mi ją odbierze i da mniejszą. Podarowałam mu ładny scyzoryk. Liczyliśmy ziarna granatu, by sprawdzić, czy ten rok przyniesie urodzaj. Wydaje się, że będzie nie najgorzej. Zdołałam zrobić na Nowy Rok ciasto, wasilopite, wymieniając niektóre składniki z twoją matką, a ojciec dał mi złotego angielskiego suwerena, żebym go włożyła do środka. Był bardzo zadowolony, gdy moneta nie pojawiła się w plasterku dla Chrystusa ani w tym dla świętego Bazylego, ponieważ nie lubi dawać pieniędzy na Kościół. Pojawiła się w moim, więc to mnie przypadnie w udziale całe szczęście w tym roku. Czyż to nie cudowne? Mam nadzieję, że to znak, iż wrócisz.

Zaczęłam kamizelkę dla Ciebie, ale znowu musiałam spruć narzutę, bo wychodziła jeszcze gorzej niż poprzednio. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Z frontu same dobre wieści, wszyscy tak się cieszą, że Mussolini został usadzony przez naszych chłopców, wreszcie coś odczuł na własnej skórze, prawda? Dowiedzieliśmy się, że nasi chłopcy wykopują włoskie czołgi ze śniegu i błota i wykorzystują je przeciwko poprzednim właścicielom. Brawo! Słyszymy też, że zajęliśmy Argyrokastro i inne miejscowości, ale dochodzą nas smutne pogłoski o chorobie Metaksasa.

Widziałeś nowy plakat, który wszędzie się pojawia? Na wypadek gdybyś nie widział: przedstawia jednego z naszych żołnierzy krocącego naprzód pod rękę z prowadzącą go Najświętszą Panną. Maryja ma taki sam wyraz twarzy jak żołnierz, a u dołu jest napis:

„Zwycięstwo. Wolność. Najświętsza Panna jest z nim”. Wszyscy uważamy, że plakat jest świetny.

Wąsy ojca wyglądają teraz bardziej patriotycznie, gdyż pozostawia je w naturalny sposób krzaczaste. Cieszę się, że już ich nie woskuje, ponieważ kłuły mnie, gdy całowałam go w policzek. Teraz już nie łaskoczą. Ty pewnie zapuściłeś brodę, żeby nie marzła ci twarz.

Mandrasie, naprawdę musisz napisać do swojej matki, jest taka niespokojna. To w takim samym stopniu kwestia filotimo, jak walka dla ojczyzny. Honor ma wiele obliczy, a dobroć dla matki jest chyba jednym z nich. Ale nie krytykuję Cię, po prostu myślę, że być może trzeba Ci o tym przypomnieć.

Twoja kochająca narzeczona, Pelagia.

(3)

W tygodniu Apokrei

Agapeton, to mój setny list do Ciebie, a nadal nie otrzymaliśmy żadnej wieści. Tatuś twierdzi, że brak wiadomości nie jest ani dobrą, ani złą wiadomością, więc nie wiem, czy mam się smucić, czy być spokojna. Dziękuję Bogu, że Twoje nazwisko nigdy się nie pojawiło na Uście poległych, którą wywieszają w Argostoli. Pewnie się zmartwisz, wiedząc, że Kokolios stracił dwóch synów (Jerasimosa i Janarosa). Bardzo to przeżył. Gdy mówi, drżą mu wargi, w oczach ma łzy i zaczął pracować tak zawzięcie, że robi to nawet po zmroku. Twierdzi, że nie wini Włochów, tylko Rosjan, którzy nie spełnili swojego obowiązku przeciwstawienia się faszystom. Uważa, że Stalin nie może być prawdziwym komunistą, a odkąd Brytyjczycy wyparli Włochów z Somali i wzięli ich dwieście tysięcy do niewoli w Libii, chodzi i całuje zdjęcie Winstona Churchilla, które wyciął z gazety. Parę dni temu, gdy tatuś usłyszał o ultimatum, w którym Hitler żąda od nas, byśmy zaprzestali walki z Włochami, zupełnie zgolił wąsy, gdyż nawet bujne krzaczaste wąsy greckiego patrioty zanadto przypominają wąsy Hitlera. Odkąd zmarł Metaksas, ojciec nosi czarną opaskę na rękawie i przysięga, że nie zdejmie jej, dopóki nie skończy się wojna. Wciąż bolejemy nad śmiercią tego starego człowieka, ale jesteśmy zdecydowani nie dopuścić, by to nas osłabiło. Wierzymy święcie, że Papagos doprowadzi naród do zwycięstwa.

No cóż, tego roku niewiele mamy z karnawalu, skoro wyjechali wszyscy młodzi mężczyźni, i wydaje się, jakbyśmy zaczęli już wielki post. Wszyscy pościmy, czy chcemy tego, czy nie, i nie zanosi się również na biesiadowanie w Wielkanoc. Po prostu święta nie będą już takie same bez pisanek, bez eureka, kokorici majerica i piekącego się na rożnie jagnięcia.

Liczę na to, że będą jajka, ale prócz nich prawdopodobnie będziemy musieli żuć skórę z butów z sosem jajecznocytrynowym. Ślinka mi cieknie do ust na samą myśl o przysmakach, których nie skosztujemy, i nie mogę się doczekać chwili, gdy wszystko znowu wróci do normy.

Od grudnia nawiedzają nas okropne burze, jest bardzo zimno i wietrznie. Skończyłam już prawie Twoją kamizelkę – wprawdzie miałam nadzieję, że okaże się piękniejsza, ale i tak będzie wyglądała wystarczająco ładnie. Niepogoda daje mi mnóstwo czasu na szydełkowanie, choć nie jest to łatwe, gdy ręce sinieją z zimna. Zrobiłam połowę narzuty, ale Psipsina wymiotowała na nią i musiałam ją uprać. Nie skurczyła się, Bogu niech będą dzięki, ale gdy ją rozłożyłam, żeby wyschła, koziołek wyjadł trzy kęsy ze środka. Tak się zezłościłam, że sprąłam go kijem od miotły, a potem tatuś wyszedł z pokoju i zastał mnie w powodzi łez. Ojca też uderzyłam. Trzeba było widzieć jego minę! W każdym razie znowu ją sprąłam i zachowałam jak najwięcej włóczki, ale zaczynam myśleć, że los chce, bym zrobiła coś innego. Mam nadzieję, że jesteś zdrowy i pelen otuchy i, jak wszyscy, niecierpliwie oczekuję Twego powrotu.

Serdeczności, Twoja Pelagia, która wciąż tęskni za Tobą.

XVII

Homoseksualista (5)

Dywizja „Bari” zlurowała nas, żebyśmy mogli odpocząć i przegrupować się, lecz Grecy zastosowali ogień zaporowy i zaskoczyli ich, zanim barijczycy zdążyli ściągnąć swoją artylerię. Wezwano nas z powrotem na ratunek. Czułem się tak, jakby zanikła część mojego umysłu lub jakby moja dusza zmalala do maleńkiego punktu szarego światła. Nie byłem w stanie myśleć. Walczyłem zawzięcie, byłem automatem wyzbytym uczuć i nadziei, a jeśli w ogóle się czymś martwiłem, to tym, że Francesco staje się obcy. Nabral przekonania, że pewnego dnia przestrzelił mu serce i dlatego przeniósł Maria z kieszeni na piersi do kieszeni na rękawie koszuli. Martwił się, że mysz zostanie zastrzelona razem z nim, i zmusił mnie, żebym przyrzekł zaopiekować się nią po jego śmierci.

Nasze oddziały wymieszały się. Część żołnierzy innych dywizji wysłano do naszej. Nikt nie znał dokładnie hierarchii miejscowego dowództwa. Batalion na wpeł wyszkolonych chłopców ze wsi przybył na niewłaściwe miejsce wskazane na mapie, i został zlikwidowany przez Greków. Czternastego listopada Grecy rozpoczęły ofensywę, której bezlitosnej gwałtowności nie byliśmy w stanie przewidzieć.

Okopaliśmy się, mając za sobą masyw Morowa. To nic nie znaczy, jeżeli się nie wie, że to bezludny, dziki obszar parowów i rozpadlin, stromych szorstkich skał, pozbawiony dróg rejon, przez który nie można dostarczyć zaopatrzenia.

Znajdowaliśmy się na ziemiach, do których Grecy zawsze rościli sobie prawa i które dwa razy odstępowali na mocy traktatów. Teraz chcieli je odzyskać. Byliśmy spowici mgłą, zasypani śniegiem i smagani przeklętym arktycznym wiatrem z północy, który spadał na nas niczym zaciśnięta pięść tytana.

Grecy głęboko wcieli się w nasze linie i straciliśmy kontakt z pozostałymi oddziałami. Musieliśmy się wycofać. Nie było dokąd. Moździerze naszych wrogów za jednym zamachem kładły pokotem całe plutony. Nie mieliśmy bandaży ani szpitali potowych. Płaczący kapelan wyciągnął mi z ramienia odłamek szrapnela; zrobił to bez znieczulenia, na kuchennym stole, w zrujnowanym, pozbawionym dachu domku. Było mi zbyt zimno, bym czuł, jak nóż rozcina moje ciało i igła przekłuwa skórę. Dziękowałem Bogu, że to ja zostałem ranny, a nie

Francesco. Potem wysłali mnie z powrotem w ogień walki. Ludzie prowadzący muły z zaopatrzeniem porzucili swoje zwierzęta i walczyli u naszego boku. Nasz oficer zginął i został zastąpiony przez majora ze służb kwatermistrzowskich. „Nie ma zaopatrzenia – wyjaśnił nam – więc przyszedłem spełnić swój żołnierski obowiązek. Liczę na wasze dobre rady”. Ów wspaniały i prawy człowiek, przyzwyczajony do układania koców w sterty i robienia inwentaryzacji, stracił wewnętrzności i życie w ataku na bagnety, który bohatercko poprowadził z nie nabitym pistoletem w dłoni. Ponieśliśmy całkowitą klęskę.

Po prostu nie znoszę owijaczy. Nie znoszę munduru w ogóle. W moim nici przegniły i rozpadł się. Materiał stwardniał jak tektura i zamienił się w sztywną skorupę. Magazynował zimno niczym lodówka i wtlaczał je z całej siły w moje ciało. Z dnia na dzień stawałem się coraz cięższy i bardziej szorstki. Zastrzeliłem kozę i ubrałem się w jej nie wyprawioną skórę. Francesco odarł ze skóry poszarpanego muła i zrobił to samo. Konica została oddana przeciwnikowi i zajmowaliśmy teraz mniejsze terytorium niż na początku wojny. Zostawiliśmy ciężki sprzęt. I tak był już zużyty. Przywykliśmy do okropnych owrzodzeń i obrzydliwego smrodu gangreny. W czasie gdy ewakuowano Konicę, my w dywizji „Julia” trzymaliśmy się jeszcze w Epirze. Nie tak łatwo było nas pokonać. Potem jednak wycofaliśmy się tymi samymi drogami, którymi prowadziliśmy natarcie. Dywizja pancerna „Centauro” dla zwiększenia tempa zostawiła czołgi, które ugrzęzły w błocie. Grecy znaleźli ich żalosne pordzewiałe kadłuby, wyciągnęli je, naprawili i użyli czołgów przeciwko nam. Zostaliśmy wzmocnieni przez batalion straży celnej. Utrzymaliśmy przyczółek w Perati. Bezelowo.

Mały cud: Grecy pozwolili nam na parodniowy wypoczynek. Pewnie myśleli, że zaminowaliśmy drogi. Potem okazało się, że straciliśmy Pogradec, ponieważ wróg przeniknął na tyły naszych wojsk wzdłuż górskiego strumienia, podczas gdy nasze fortyfikacje obronne umieszczono przy traktach. „Po co to wszystko? – pytał Francesco. – Robimy, co w naszej mocy, a wszyscy inni zawalają sprawę”. – Później czyjś manewr odsłonił nasze prawe skrzydło i zostaliśmy odcięci od dywizji „Modena”. Generał Soddu, który zastąpił Prasce, został teraz zmieniony przez Cauallera. Wyglądało na to, że nasz wspaniały podbój Grecji zakończy się sromotnie greckim podbojem Albanii. Śnieg padał nieubłaganie; odkryliśmy, że możemy ogrzać głowy, wycinając mózgi zdychających mułów i wkładając je do hełmów. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jedynym sposobem zapobieżenia ciągłym atakom z góry jest utrzymanie pozycji na wzgórzach, gdzie smagały nas gwałtowne wiatry, miotając klujące, złodowaciałe, twarde niczym z kryształu śnieżne wiry. Moje buty rozpadły się, zawszona skóra swędziała mnie do szaleństwa. Chyba były święta Bożego Narodzenia, gdy w końcu zrozumieliśmy, że jesteśmy w takim stanie jak nasze obuwie.

Pobudka rano, dziesięć stopni poniżej zera. Pierwsze pytanie: kto tym razem zamarzył na śmierć? Kto osunął się ze snu w niebyt? Pytanie drugie: przez ile wezbranych rzek i strumieni musimy się dziś przepawić w marznącej wodzie, która sprawia, że skurczone jądra wyją z bólu? Ile kilometrów brożenia po pas w na pół stajałym śniegu na „drogach”? Pytanie trzecie: skąd Grecy wiedzą, że mają nas atakować, gdy jest minus dwadzieścia stopni i suwadła w naszych karabinach zacięły się na amen? Pytanie czwarte: dlaczego „przyjaźnie” nastawieni Albańczycy pełnią obowiązki przewodników greckich żołnierzy? Pytanie piąte: który oddział popadł dziś w tak bezmierne znużenie, że zdecydował się poddać mniej licznym siłom wroga? Nie „Julia”. Nie my. Jeszcze nie teraz. Francesco zupełnie zamknął się w sobie. Rozmawia jedynie ze swoją myszą. Następny atak naszych samolotów, eskadry SM 79, na nasze pozycje; dwudziestu zabitych. Podobno oficerowie dywizji „Modena” zostali powiadomieni, że ci z nich, którzy nie wykażą się dostateczną umiejętnością dowodzenia, zostaną rozstrzelani. Dowódca mojego pułku, pułkownik Gaetano Tauoni, zginął na Mali Topojanit, prowadząc nas do ataku po sześćdziesięciu dniach bez wypoczynku. Daj mu wieczne spoczywanie, Boże, i nagrodę za troskę o nas. Włoskie kobiety zaczynają wysyłać nam trykotowe rękawiczki, które nasiąkają wodą i przymarzają nam do skóry, tak że nie można ich zdjąć. Francesco dostał panettone 19 od swej matki i dzieli się smakołykiem z Mariem. Odcina kawałki bagnetem. Podobno Ciano i faszystowscy dygnitarze zaciągnęli się do wojska i patriotycznie postanowili latać na wycieczki bombowcami nad Korfu, gdzie nie ma obrony przeciwlotniczej.

Jak ja nienawidzę owijaczy. Nadeszły dni białej śmierci. Nie odwodnione okopy. Lód wgrzający się w sukno, odcięty dopływ krwi. Nie nienawidzimy Greków, walczyliśmy z nimi z niejasnych powodów i bez honoru, ale naprawdę nienawidzimy białej śmierci.

Trzeba przyznać, że początkowo nie czuje się bólu. Nogi puchną nad owijaczami, a pod nimi zapadają w sen stopy. Przybierają trupie barwy: smugi koloru lila, purpurowe ślady, hebanowa czerń. Ponieważ jestem potężnej postury, całymi dniami noszę chłopców z odmrożeniami na tyły. Ale wykańczają mnie i oszołamiają ich jęki i okrzyki pełne cierpienia. Zastąpiłem owijacze skórą kotów natartą od wewnątrz oliwą do czyszczenia broni. Buty nasączyłem woskiem. Woda nadal przez nie przesiąka i żyję w strachu przed białą śmiercią. Nawet Grecy są sparaliżowani zimnem; ataki ustały. Francesco bez wątpienia postradał zmysły. Ciągłe wykrzywia usta, jego broda zamieniła się w lodowy stalaktyt, biedak przewraca oczami i nie poznaje mnie. Rozmyślnie robi pod siebie, żeby delektować się

¹⁹ babkę

chwilowym ciepłem. Cała moja miłość przeradza się we współczucie. Robię mu rękawice z jednym palcem ze skóry dwóch królików, pozostawiając na niej tłuszcz. Francesco zjada tłuszcz. Nasza dywizja skurczyła się do tysiąca żołnierzy z piętnastoma karabinami maszynowymi i pięcioma moździerzami. Straciliśmy cztery tysiące ludzi. W naszych okopach została tylko biała śmierć, gorzka świadomość nieobecności przyjaciół, pusta odludzia.

Dzicy i wściekli Grecy nacierają na nas na przełęczy Klisura. My jesteśmy wycieńczeni i pełni smutku. Francesco mówi do Maria: „Ateny w dwa tygodnie, miejsce na kartach historii dla albańskiej myszy. Myszy, która obaliła króla. Myszy Mario. Myszkamyszka-myszka”. Nie potrafimy utrzymać się dłużej i „Julia” zostaje pobita, żołnierze przyprawieni o utratę zmysłów i gangrenę, nasze ciała oddzielone od dusz. Dywizja piechoty „Lupi di Toscana” przychodzi nam z odsieczą i ponosi porażkę; Toskańczycy z wilków zmieniają się w zające i zaczynamy ich nazywać „zajczkami z Toskanii”. Jeżeli weterani z „Julii” nie są w stanie zwyciężyć, jaką szansę mają amatorzy? Wysłano ich bez żywności w nieznane miejsca, których położenie nie zgadza się z mapą. Nie mieli oficera. Natychmiast po przybyciu zostali zaatakowani. Poświęcenie, ofiara. Istna męka. Wysłano ich nam na ratunek, a to my ich uratowaliśmy.

Kontratak. Nieudany. Utrata Klisury. Rozpaczliwe przesłanie od Cauallera: „Spróbujcie po raz ostatni, błagam was w imieniu Italii. Powinienem przyjechać i zginąć razem z wami”. Pieprzyć imię Italii. Pieprzyć generałów, którzy nigdy nie przyjeżdżają umierać razem z nami. Pieprzyć waszą ufność i kłamliwe obietnice posiłków. Pieprzyć wasze klęski, które wydzieracie z paszczy zwycięstwa. Pieprzyć tę lekkomyślną wojnę, której nie chcieliśmy i której sensu nie rozumiemy. Niech żyje Grecja, jeżeli to będzie oznaczało kres tego wszystkiego, białej śmierci i czerwieni śniegu, śmiertelnego zimna, poszarpanych jelit, pogruchotanych kości, pustych brzuchów rozerwanych przez pociski moździerzy i rozprutych bagnetami, sparaliżowanych palców, karabinów wzór 91, które się zacinają, załamanych młodych mężczyzn, niewinnych umysłów doprowadzonych do oblędu.

Żyjemy w ciągłym oszołomieniu. Śnieg zmienił wszystko nie do poznania, tak że nigdy nie wiemy, gdzie jesteśmy. Czy to skarpa, którą kazano nam zająć? Czy na dnie tej doliny, około dwóch metrów pod iskrzącym się płaszczem bieli, płynie strumień? Co to za góra? Niech ktoś zdejmie te chmury, na miłość boską, żebyśmy mogli ją rozpoznać. Czy brniemy po drodze, czy po rzece? Nie ma obawy, dowiemy się, gdy dotrzemy do źródła. Spokojnie, jeżeli dojdziemy w niewłaściwe miejsce, przy odrobinie szczęścia mogą nas pojmać. Nadajcie do kwatery głównej meldunek, że zajęliśmy cel. Nie wiem, gdzie leży to miejsce, ale jest równie dobre jak każde inne. Jakie to ma znaczenie? „Kwatera główna na linii, panie kapitanie.

Żądają współrzędnych". „Powiedzcie im, żeby nam dali mapę, która odpowiada temu, co jest w terenie, a wtedy podam im współrzędne. Albo nie, po prostu udawajcie, że łączność się urwała". „Tak jest". „Co wy robicie, kapralu?" „Odlewam się na mój hełm, żeby się nie świecił, panie kapitanie. To kamuflaż, panie kapitanie. Sika się, a potem naciera hełm błotem".

Grecy maszerują na Tepeleni, a my z „Julii" zostajemy wysłani, by wesprzeć II. armię. Dla wzmocnienia przydzielają nam dziewięć tysięcy nie wyszkolonych rezerwistów i dwustu oficerów bez doświadczenia plus paru emerytowanych, którzy zapomnieli już, co to taktyka, i nie rozumieli, jak działa nowoczesne uzbrojenie. Ci starzy weterani z gniewem w sercach wspinali się po zboczach i umierali tak samo jak reszta, wypływając sobie płuca, z twarzami unurzanyymi w błocie i pęcherzykami czerwonej piany na ustach. Grecy są fanatyczni, ale opanowani, dzicy, ale wytrwali. Zajmują Golik, Wzgórze Klasztorne i góry Scialesit, ale zatrzymujemy ich, zanim otoczą Tepeleni. Duce przybywa do nas z wizytą i otrzymuje oklaski, których od nas żądano. Siedzę z Franceskiem i nie wychodzę z okopu, żeby wiwatować na cześć Mussoliniego. Rozpoczyna się ofensywa, której wyraźnym celem jest stworzenie widowiska dla Duce. Stoi on na stoku góry Komarit i pyszni się, obserwując, jak jego żołnierzy posyła się fala za falą na pewną śmierć. Pycha jest źródłem zagłady, signor Duce.

Francesco pisze list, który mam dać jego matce w wypadku śmierci mego ukochanego; sądzi, że wysłany pocztą wojskową nie przeszedłby przez cenzurę. Oto on:

Kochana Matko!

Ten list doręczy Ci Carlo Guercio, mój prawdziwy przyjaciel i stary towarzysz walki, który przekroczył ze mną bramy piekieł. Niech Cię nie przeraża jego wielka postura, bo to dobry i łagodny człowiek. W trudnych chwilach zawsze rozśmieszał mnie swoimi dowcipami, uspokajał mnie, gdy się bałem, i nosił w ramionach, gdy byłem wyczerpany. Chciałbym, żebyś uważała go za własnego syna, tak aby nie wszystko przepadło. Carlo jest lojalny i wierny, nigdy nie znalazłem wspanialszego człowieka. Będzie dla Ciebie lepszym synem, niż byłem ja.

Droga Matko, wyruszyłem na tę wojnę w stanie niewinności, a opuszczam ją tak

znużony, że z radością umieram. Po tym, co tu się stało, o dalszym życiu nie mogłoby być mowy. Zrozumiałem, że Bóg nie uczynił tego świata rajskim ogrodem, że nie kierują nim anioły i że można wyprzeć się własnego ciała. Czuję, że jestem martwy od miesięcy, ale moja dusza musi jeszcze znaleźć odpowiedni moment na odejście. Całuję Ciebie i każdą z moich kochanych sióstr. Kocham Cię z całego serca. Powiedz mojej żonie, że stale o niej myślę i noszę ją w sercu jak nie gasnący płomień. Nie smuć się. Francesco.

Och, rzeczy, o których nie mówię matce Francesca w ów smutny kwietniowy dzień, gdy doręczam ten list!

XVIII

Nieprzerwany trud literacki doktora Janisa

Doktor Janis usiadł przy swoim biurku i spoglądał na górę Enos. Postukał piórem o wyszorowany, zblakły blat i pomyślał, że zbliża się pora, gdy będzie musiał spakować swój chlebak i odwiedzić stado kóz Alekosa. Przeklinał samego siebie. Miał pisać o weneckiej okupacji wyspy i proszę, rozmyślał o kozach. Miał wrażenie, że siedzi w nim demon, który spiskuje, by przeszkodzić mu w ukończeniu dzieła literackiego, i wypełnia jego umysł i życie duchowymi rozterkami. Demon zakłócał bieg myśli doktora błahymi pytaniami: dlaczego kozy nie chcą jeść z kubła na podłodze, skoro dość chętnie żywią się wyrastającymi z ziemi roślinami? Czemu kubel musi zwisać z kabłąka? Dlaczego kopyta kóz rosną wiosną zbyt szybko i trzeba je okrawać? Skąd te osobliwe wady w naturze zwierząt? Kiedy koza nie jest owcą i na odwrót? Dlaczego stworzenia są tak wrażliwe, a zarazem tak nieskończenie głupie – niczym poeci i malarze? Tak czy owak, myśl o wejściu na górę Enos, aby zbadać kozy Alekosa, sprawiła, że doktor poczuł zmęczenie w nogach, zanim zrobił pierwszy krok.

Podniósł pióro i w tej samej chwili przysłała mu do głowy kwestia z Homera, który mówi, że nie ma nic tak dobrego i pięknego jak to, że mąż i żona mieszkają w swoim domu w harmonii przekonań i usposobień. Skąd jednak ta myśl i czemu akurat teraz? Co to ma wspólnego z Weneccjanami? Pomyślał przelotnie o swojej uroczej żonie, którą utracił w tak okrutny sposób, po czym zdał sobie sprawę, że myśli o Pelagii i Mandrasie.

Odkąd Mandras tak nagle wyjechał, Janis obserwował, jak jego córka stopniowo doznaje różnych emocji; odnosił wrażenie, że wszystkie są niezdrowe i niepokojące. Najpierw wpadła w wir panicznego lęku i troski, a potem wylewała strumienie łez. Burze ustąpiły miejsca dniom złowieszczego i nerwowego spokoju, gdy siadywała przy murku przed domem, jakby w oczekiwaniu, że Mandras pojawi się na zakręcie drogi, tam gdzie został postrzelony przez Welisariosa. Nawet wtedy gdy zrobiło się bardzo zimno, można było ją tam zobaczyć, pieszczącą miękkie uszy Psipsiny, zwiniętej w kłębek na jej kolanach. Kiedyś nawet siedziała tam na śniegu. Później zaczęła w milczeniu przesiadywać w pokoju razem z

nim, z rękami złożonymi nieruchomo na kolanach, a łzy spływały jej strumieniem po policzkach. Nagle wpadała w nastrój wymuszonego optymizmu i aktywności i zawzięcie pracowała nad narzutą na małżeńskie łożo, po czym, równie nagle, podrywała się na równe nogi, ciskała narzutę na ziemię, kopała ją i zaczynała pruć z dzikością graniczącą z gwałtem.

Mijały kolejne dni i stało się jasne, że Mandras nie tylko nie napisał, ale i nigdy nie napisze. Doktor przyjrzał się badawczo twarzy swej córki i zdał sobie sprawę, że Pelagia gorzkniej, jakby z rosnącą pewnością zakładała, że Mandras nie może jej kochać. Pozwoliła się zamknąć w więzieniu apatii. Doktor stwierdził ewidentne objawy depresji. Zerwał z dotychczasowym zwyczajem i zaczął ją zabierać na wizyty lekarskie; stwierdzał, że w jednej chwili usta jej się nie zamykają w radosnym szczebiocie, a w następnej popada w głębokie milczenie. Zgryzota odchodzi we śnie, pomyślał i zaczął wysyłać córkę do łóżka o wczesnej porze, a rano pozwalał jej dłużej spać. Wysyłał ją po sprawunki w nieprawdopodobne i niezwykle odległe miejsca, żeby sprawdzić, czy zmęczenie fizyczne zapobiegnie nieuniknionej bezsenności ludzi młodych i nieszczęśliwych, i nie omieszkął opowiadać jej najzabawniejszych historyjek, jakie zdołał zapamiętać z lat wysłuchiwanie gadatliwych ludzi w kafenijonie i w mesach oficerskich na statkach. Uprzytomnił sobie, że umysł Pelagii jest w takim stanie, iż swój smutek, bierność i obcość uważa ona zarówno za logiczne, jak i konieczne, więc zadbał nie tylko o to, by rozśmieszać ją wbrew jej woli, ale i o to, by prowokować ją do napadów wściekłości. Uparcie zabierał z kuchni oliwę, żeby leczyć przypadki egzemy, i rozmyślnie nie odstawiał jej na miejsce, uznając sytuację, gdy rozdrażnienie doprowadzało córkę do okładania go pięściami po piersiach (on powstrzymywał Pelagię, chwytając ją za ramiona) za triumf swych poczynań jako psychologa.

O dziwo, przeżył wstrząs, gdy jego kuracja zaczęła działać, i uznał odzyskanie przez Pelagię zwykłego, radosnego spokoju za znak, iż całkowicie wyzbyła się namiętnej miłości do Mandrasa. Z jednej strony, Janis powinien być z tego zadowolony, gdyż tak naprawdę nie wierzył, że Mandras będzie dobrym mężem, ale z drugiej, Pelagia była już zaręczona, a zerwanie zaręczyn przyniosłoby wiele wstydu, ba, hańby. Przyszła mu do głowy okropna myśl, że Pelagia mogłaby w końcu z poczucia obowiązku poślubić mężczyznę, którego już nie kocha. Doktor przyłapał się na tym, że ma nieczystą nadzieję, iż Mandras nie przeżyje wojny, i to doprowadziło go do nieprzyjemnego podejrzenia, że wbrew własnym złudzeniom nie jest dobrym człowiekiem.

Wszystko to już i tak było wystarczająco fatalne, lecz wojna spowodowała wiele trudności, których nie mógł przewidzieć. Potrafił pogodzić się z utratą dostaw takich rzeczy,

jak jodyna oraz galman zmieszany z wodą wapienną, ponieważ istniały równie skuteczne środki zastępcze, ale od wybuchu wojny nie było dostaw kwasu bornego, substancja ta pochodziła bowiem z oparów wulkanicznych w Toskanii, a nie znał lepszego środka do leczenia stanów zapalnych pęcherza i zalegania moczu. Znacznie gorsze od nich były wypadki syfilisu, które wymagały bizmutu, rtęci oraz nowarsenobenzolu. Ten ostatni trzeba było wstrzykiwać co tydzień przez dwanaście tygodni i wszystkie dostawy z pewnością kierowano na front. Janis przeklinał zbrodnicę, który spółkując z lamą, pierwszy nabawił się tej choroby, oraz hiszpańskich brutalni, którzy przywieźli ją następnie z Nowego Świata, naznaczący wstęgą gwałtu ujarzmione terytoria.

Na szczęście wojna zmniejszyła liczbę chorych z urojenia, ale mimo to doktor Janis raz po raz sięgał po swoją encyklopedię medyczną, żeby się dowiedzieć, jak sobie poradzić bez tych wszystkich środków, na których zawsze polegał. Zakupił ów poradnik lekarza domowego, zatytułowany: „Complete and Concise Home Doctor” (dwa wielkie tomy, z odsyłaczami, tysiąc pięćset stron druku, obejmujące wszystko od zatrucia ptomainą po porady kosmetyczne w kwestii pielęgnacji i modelowania brwi), w londyńskim porcie i nawet nauczył się angielskiego, żeby zrozumieć jego treść. Nauczył się książki na pamięć od deski do deski, z jeszcze większym entuzjazmem i poświęceniem niż muzułmanin uczy się Koranu, żeby zostać hafizem. Jednakże jego znajomość poradnika trochę zmalała, ponieważ tylko z fragmentów zawartej w nim wiedzy musiał korzystać regularnie; wiedział również, że przeważająca część chorób mija sama, niezależnie od wszelkich starań. Najczęściej chodziło o wizytę u chorego i przybranie odpowiednio poważnej miny podczas rytuału badania lekarskiego. Większość egzotycznych i pasjonujących schorzeń, o których czytał z tak niezdrowym zaciekawieniem, nigdy nie pojawiła się w tym rejonie wyspy i Janis był świadom, że tak jak ojciec Arsenios jest kapłanem dla duszy, tak on sam nie jest nikim więcej niż kapłanem dla ciała. Najwięcej naprawdę interesujących dolegliwości wydawało się przytrafiać zwierzętom i zawsze największą przyjemność sprawiało mu rozpoznanie i wyleczenie choroby konia lub wołu.

Doktor nie omieszkał zauważyć, że wojna wpłynęła na wzrost znaczenia jego osoby, podobnie jak zwiększyła znaczenie ojca Arseniosa. W przeszłości przyzwyczał się do swojego statusu źródła mądrości, ale dotąd często rozpatrywał kwestie natury filozoficznej – ojciec Lemoni posłał ją kiedyś, by zapytała, dlaczego koty nie potrafią mówić – teraz zaś ludzie nie tylko pragnęli dowiedzieć się wszystkiego o polityce i przebiegu konfliktu, lecz pilnie domagali się jego opinii o optymalnej wielkości i rozmieszczeniu worków z piaskiem.

Nie kreował się na przywódcę miejscowej społeczności, ale został nim na mocy niepisanej umowy, tak jakby samouk jego pokroju musiał posiadać rzadko spotykany zdrowy rozsądek, jak również wiedzę tajemną. Został kimś w rodzaju zastępcy agów tureckich, którzy kiedyś na krótko gościli na wyspie, tyle że – w przeciwieństwie do otomańskich wodzów – nie interesowało go wylegiwanie się przez cały dzień na poduszkach w przerwach pomiędzy penetrowaniem odbytów małych ślicznych homoseksualistów, którzy w końcu dorastali, nabywając podobnie nienaturalnych skłonności oraz pociągu do narkotyków i niesłychanej wprost bezczynności.

Doktor usłyszał, jak Pelagia śpiewa w kuchni, i chwycił za pióro. Uniósł dłoń, by podkreślić wąsa, doświadczył osobliwej irytacji, gdy sobie przypomniał, że zgolił go w geście przekory wobec Hitlera, po czym spojrzął na czarną opaskę, którą nosił na ramieniu od śmierci Metaksasa. Westchnął i napisał:

Grecja leży na linii uskoku geograficznego i kulturowego, oddzielającego Wschód od Zachodu; jesteśmy polem bitewnym, a zarazem miejscem katastrofalnych trzęsień ziemi. O ile jednak wyspy Dodekanezu należą do Wschodu, o tyle Kefalonia bez wątpienia przynależy do Zachodu, grecki ląd stały natomiast należy jednocześnie do Wschodu i Zachodu, nie będąc całkowicie ani jednym, ani drugim. Balkany zawsze były narzędziem polityki zagranicznej wielkich mocarstw i od starożytności dzięki wrodzonej indolencji, kłótności i brutalności zamieszkujących je narodów nawet w minimalnym stopniu nie zdołały osiągnąć poziomu rozwiniętej cywilizacji. Prawdziwa jednak jest opinia, iż Grecy mają mniej bałkańskich wad niż narody zamieszkujące na północ i na wschód od nich, prawdą jest również niewątpliwie fakt, że spośród wszystkich Greków Kefalończycy mają sławę ludzi najdowcipniejszych i najinteligentniejszych. Czytelnicy pamiętają zapewne, że Homer pochodził z tych stron i że Odyseusz słynął z przebiegłości. Homer ukazuje nas także jako ludzi zapalczywych i niedyscyplinowanych, nigdy jednak nie zarzucono nam okrucieństwa. Bywa, że spory majątkowe kończą się śmiercią, ale niewiele w nas żączy zabijania, która stanowi charakterystyczną wadę sąsiadujących z nami narodów słowiańskich.

Powodem naszej orientacji na Zachód jest fakt, że wyspa była okupowana przez Turków jedynie przez dwadzieścia lat, między 1479 a 1500 rokiem, w którym wypędziły ich połączone oddziały hiszpańskie i weneckie. Turcy powrócili tu tylko raz, z najazdem 1538 roku, kiedy to opuścili wyspę z trzynastoma tysiącami Kefalończyków, żeby ich sprzedać w niewolę. Krótkotrwałość ich pobytu w połączeniu ze skłonnością do apatii i bezczynności sprawiła, że nie pozostawili po sobie żadnej trwałej spuścizny kulturalnej.

Jeśli nie liczyć tego krótkiego okresu, wyspa należała do Wenecji od 1194 do 1797 roku, kiedy to zajął ją Napoleon Bonaparte, notoryczny podżegacz wojenny i megaloman, który obiecał mieszkańcom wyspy unię z Grecją, po czym dokonał jej perfidnej aneksji.

Czytelnik z łatwością obliczy, że praktycznie biorąc, wyspa była włoska przez mniej więcej sześćset lat, i to wyjaśnia wiele zjawisk, które mogą zaintrygować cudzoziemca. Dialekt mieszkańców wyspy obfituje we włoskie słowa i zwroty, ludzie wykształceni i arystokraci używają włoskiego jako drugiego języka, a dzwonnice kościołów są wbudowane w ich bryłę w odróżnieniu od typowego greckiego rozwiązania, w którym dzwon mieści się w oddzielnej i prostszej konstrukcji w pobliżu bramy. Architektura wyspy jest w rzeczywistości niemal na wskroś włoska i bardzo sprzyja cywilizowanemu życiu towarzyskiemu dzięki cienistym balkonom, dziedzińcom i zewnętrznym schodom.

Włoska okupacja sprawiła, że ewolucja Kefalończyków postępowała raczej zachodnim niż wschodnim torem, wraz ze zwyczajem trucią niewygodnych krewniaków (Anna Paleolog, na przykład, uśmierciła w ten sposób Jana II) włącznie, a nasi władcy byli najczęściej porywczymi i nieuczciwymi ekscentrykami na autentycznie włoską miarę. Pierwszy Orsini wykorzystywał wyspę do pirackich wypadów i wiele razy zdradzał papieża. Pod jego kuratelą zniesiono biskupstwo prawosławne i Kefalończycy po dziś dzień żywią wiele uraz do religii rzymskokatolickiej, uraz sprzężonych z historyczną arogancją jej wyznawców i ich godnym ubolewania zaabsorbowaniem grzechem i winą. Wprowadzono tu włoskie zwyczaje wymierzania podatków w celu zebrania pieniędzy na sowite łapówki, knucia zawitych niczym labirynt intryg i machinacji, kojarzenia tragicznie nie dobranych małżeństw z wyrachowania, bezlitosnych walk w zwarciu, rodzinnych wojen, przechodzenia wyspy z rąk jednego włoskiego despoty do rąk następnego (abyśmy przez pewien czas byli częścią księstwa Neapolu); wreszcie, w XVIII stuleciu, przemoc w walkach czołowych rodów wyspy (Aninosów, Metaksasów, Karussosów, Antypasów, Typaldosów i Lawerdosów) wybuchła z taką siłą, że władze deportowały wszystkich agitatorów do Wenecji i straciły ich przez powieszenie. Sami wyspiarze wprawdzie nie dopuszczali do siebie tych wszystkich osobliwych włoskich perwersji, lecz zawarto wiele mieszanych małżeństw i zatraciliśmy zwyczaj noszenia tradycyjnych greckich strojów na długo przedtem, zanim do tego doszło w pozostałej części kraju. Włosi pozostawili nam w spadku europejskie raczej niż wschodnie spojrzenie na życie, nasze kobiety miały znacznie więcej swobody niż gdziekolwiek indziej w Grecji, a przez wieki mieliśmy arystokrację, którą mogliśmy zarówno szkalować, jak i naśladować. Gdy Włosi sobie poszli, ucieszyliśmy się ogromnie, nieświadomi, że czekają nas gorsze rzeczy, lecz z uwagi na długość swego pobytu byli oni bez wątpienia – obok Brytyjczyków – najważniejszą

siłą, która ukształtowała nasze dzieje i kulturę; ich panowanie okazało się znośne, a czasem bywało wręcz zabawne, i jeśli kiedykolwiek ich nienawidziliśmy, czyniliśmy to z miłością, nawet z wdzięcznością w sercach. Włosi mieli przede wszystkim jedną nieocenioną zaletę: nie byli Turkami.

Doktor odłożył pióro i przeczytał to, co właśnie zapisał. Uśmiechnął się kwaśno pod adresem ostatnich uwag i pomyślał, że w obecnych okolicznościach wdzięczność nie może dłużej przetrwać. Wszedł do kuchni i przełożył wszystkie noże z jednej szuflady do drugiej, aby rozgniewana Pelagia znalazła nową sposobność do katharsis.

Łatwiej było być psychologiem niż historykiem; Janis uświadomił sobie, że właśnie na paru stronach opisał kilkaset lat. Naprawdę będzie musiał robić to wolniej i opisywać wydarzenia w odpowiednio szczegółowy sposób. Wrócił do biurka, zebrał mały plik kartek, wyszedł na podwórko, wciągnął nosem powietrze, by wychwycić wonie zbliżającej się wiosny, i ze stoickim spokojem, bez wahania, nakarmił nimi koziołka Pelagii, podsuwając mu jedną stronicę po drugiej. Był strapiony filisterskim brakiem szacunku koziołka dla literatury. Zwierzę trawiło ją jak każdy inny pokarm.

– Przeklęty przeżuwacz – mruknął doktor i postanowił wybrać się do kafenijonu.

XIX

Homoseksualista (6)

Matka Francesca była drobną siwą kobietą z pieprzykiem na policzku i czarnym meszkiem nad górną wargą. Nosiła się na czarno i przez cały czas, gdy do niej mówiłem, miała w rękach ścierkę do kurzu. Spostrzegłem, że kiedyś musiała być piękną kobietą i że mój ukochany Francesco urodę odziedziczył właśnie po niej; te same słowiańskie oczy, ta sama oliwkowa skóra, te same palce jubilera. Żona Francesca również była obecna, ale z trudem znosiłem jej widok; poznała rozkosze kontaktu z jego ciałem w taki sposób, w jaki ja nigdy nie mógłbym ich poznać. Szlochala w rogu pokoju, podczas gdy jej teściowa ugniatła ścierkę i pytała:

– Kiedy zginął, signor? Czy to był ładny dzień?

– Zginął w piękny dzień, signora, w świetle słońca i wśród śpiewu ptaków.

(Zmarł w dniu, gdy topniał śnieg i gdy spod tej śnieżnej skorupy wylaniały się setki poszarpanych ciał, plecaków, zardzewiałych karabinów, manierek z wodą i nieczytelnych, nie dokończonych listów, przesiąkniętych krwią. Zmarł w dniu, gdy jeden z naszych żołnierzy uświadomił sobie, że ma zupełnie odmrożone genitalia, wsadził lufę karabinu do ust i odstrzelił sobie głowę. Zmarł w dniu, w którym znaleźliśmy trupa z opuszczonymi spodniami, skulonego przy drzewie i zamarznętego na kość w akcie zmagania się z upartym zatwardzeniem po wojskowym wikcie. Pod zwłokami tężały dwie maleńkie bryłki naznaczonego strużkami krwi gówna. Truposz zamiast butów miał na nogach bandaże. Francesco zmarł w dniu, gdy myszolowy sfrunęły ze wzgórz i zaczęły wydziobywać oczy tym, którzy już dawno wyzionęli ducha. Moździerze Greków kasłały nad urwistym zboczem. Zostaliśmy zasypani gradem błota. Padał deszcz.)

– Zginął podczas akcji, signor? Odnieśliście zwycięstwo?

– Tak, signora. Natarliśmy na greckie pozycje z bagnetami i wróg został wyparty.

(Grecy odrzucili nas po raz czwarty ogniem zaporowym z moździerzy. Mieli cztery karabiny maszynowe w miejscach położonych wyżej, gdzie nie było ich widać, i siekli nas na miazgę, gdy się wycofywaliśmy. W końcu otrzymaliśmy komendę odwołującą rozkaz zajęcia pozycji, ponieważ nie miała ona istotnego znaczenia taktycznego.)

– Czy umierał szczęśliwy, signor?

– Umarł z uśmiechem na ustach i powiedział mi, że jest dumny, iż spełnił swój obowiązek. Powinna pani być szczęśliwa, że urodziła takiego syna.

(Francesco podszedł do mnie w okopie, powłócząc nogą, z dzikim wyrazem oczu. Przemówił po raz pierwszy od tygodni. „Sukinsyny! – wykrzyknął. – Spójrz”. Podwinął nogawki spodni. Zobaczyłem purpurowe wrzody białej śmierci. Francesco dotknął gnijącego ciała z błyskiem zdumienia w oczach. Opuścił nogawki z powrotem i powiedział: „Dosyć tego, Carlo. To zbyt wiele. Wszystko skończone”. Chwycił mnie w ramiona i ucałował w oba policzki. Zaczął szlochać. Czuję, jak drży w moich ramionach. Wyjął Maria z kieszeni i dał mi go. Podniósł karabin i wspiął się na krawędź okopu. Chwyciłem Francesca za kostkę, żeby go powstrzymać, ale uderzył mnie kolbą w skroń. Powoli natarł na pozycję wroga, przystając co pięć kroków, by strzelać. Grecy woleli brać odważnych żołnierzy do niewoli niż ich zabijać. Pocisk moździerza upadł obok niego i Francesco zniknął pod lawiną żółtej gliny. Zapadła długa cisza. Spostrzegłem, że coś się poruszyło w miejscu, gdzie był przedtem.)

– Zmarł szybko, prawda, signor? Me cierpiał?

– Zmarł bardzo szybko od kuli, która przeszła serce. Nie mógł nic czuć.

(Odłożyłem karabin i wygramoliłem się z okopu. Grecy nie strzelali do mnie. Dotarłem do Francesca i zobaczyłem, że rozerwało mu skroń. Kawalki czaszki przybrały szarą barwę, były pokryte błoną i gęstą krwią. Część posoki miała kolor jasnoczerwony, a część purpurowy. Francesco jeszcze żył. Patrzyłem na niego, oślepiiony łzami. Ukłąłem i wziąłem go w ramiona. Tak bardzo wynędzniał z powodu strasznej zimy i trudów wojny, że był lekki jak piórko. Wstałem i zwróciłem się twarzą do Greków. Wystawilem się na cel ich broni. Zapadła cisza, a potem z greckich Unii doleciały wiwaty. Jeden z Greków wykrzyknął ochryple: „Bravissimo!” Odwróciłem się i zaniósłem bezsilne brzemię z powrotem do naszych oddziałów.

Francesco konał w okopie przez dwie godziny. Rękawy i poły mojego munduru nasiąkły jego krwią. Roztrzaskana głowa tężała w moich ramionach niczym małe dziecko w kołysce, a usta formułowały słowa, które tylko ten nieszczęśnik mógł dosłyszeć. Po policzkach zaczęły spływać mi łzy. Zbierałem je na palce i spijałem. Pochyliłem się i wyszeptałem mu do ucha: „Francesco, zawsze cię kochałem”. Przewrócił oczami i napotkał moje spojrzenie. Wytrzymał je, odchrząknął z trudem i rzekł: „Wiem”. Powiedziałem mu: „Nigdy dotąd nie mówiłem ci o tym”. Posłał mi ten swój powolny, leniwy uśmiech i odparł: „Życie jest paskudne, Carlo. Dobrze się z tobą czułem”. Zobaczyłem, jak światło w jego oczach przygasa; Francesco rozpoczął długą, powolną podróż ku śmierci. Nie było morfiny. Musiał cierpieć

nieopisane katusze. Nie prosił, żebym go dobił: może na samym końcu pokochał swoje gasnące życie.)

– Jakże były jego ostatnie słowa, signor?

– Polecał się pani pamięci i umarł z imieniem Najświętszej Maryi Panny na ustach.

(Otworzył oczy i powiedział: „Nie zapomnij o naszej umowie, żeby ukatrupić tego sukinsyna Riuoltę. – Później, w spazmie wielkiego bólu, chwycił mnie rękami za kołnierz i dodał: – Mario”. Wyjąłem małą myszkę z kieszeni i umieściłem w jego rękach. W ekstazie śmierci Francesco zacisnął pięść tak mocno, że małe stworzenie skonało razem z nim. Oczy wyszły mu na wierzch.)

– Gdzie został pochowany, signor?

– Na zboczu góry, którą wiosną porastają tulipany i na którą padają pierwsze promienie słońca. Pochowano go z pełnymi honorami wojskowymi, a jego towarzysze oddali salwę nad grobem.

(Pochowałem go własnoręcznie. Wykopałem w naszym okopie głęboką dziurę, która natychmiast wypełniła się wodą koloru ochry. Przywalilem zwłoki kamieniami, żeby nie wypłynęły na wierzch. Pogrzebałem go w miejscu zamieszkanym przez olbrzymie szczury i maleńkie kozy. Stałem nad grobem i zabijałem łopatą gryzonie, które ściągały, żeby dokopać się do zwłok. Maria włożyłem mu do kieszeni na piersi, nad sercem. Zabrałem jego rzeczy osobiste. Są w tej torbie. Zawiera ona szczęśliwy kamień z Epiru, list od żony, insygnia 9 pułku piechoty alpejskiej, trzy medale za waleczność oraz pióro ze skrzydła orła, którym tak się zachwycił, gdy spadło mu na kolano w drodze na przełęcz Mecowon. Jest w niej także moje zdjęcie, o którym nie wiedziałem.)

– Signor, jeżeli tylko nie zginął na próżno...

– Signora, z pomocą naszych niemieckich sojuszników opanowaliśmy Grecję.

(Przeegraliśmy wojnę i uratowała nas dopiero niemiecka inwazja od strony Bułgarii i otwarcie drugiego frontu; Grecy nie byli w stanie się bronić. Walczyliśmy, zamarzali i ginęli dla imperium, które nie miało racji bytu. Gdy Francesco skonał, pocałowałem go w usta, podtrzymując jego rozbitą głowę. Siedziałem, a moje łzy wściekłości spadały na jego okropne rany. Przrzekłem sobie solennie, że będę żył dla nas obu.

Nie brałem udziału w rozbiórce Grecji ani w niegodziwym triumfie podboju, który był zwycięstwem jedynie z nazwy. Dzielni Grecy ulegli tysiącowi stu niemieckich czołgów, którym stawiali czoło, mając niespełna dwieście lekkich czołgów (w wielu wypadkach zdobytych na nas), a nasze wspaniałe włoskie natarcie polegało jedynie na postępowaniu za nimi, gdy wycofywali się w daremnej próbie uniknięcia okrążenia przez Niemców.

Nie brałem udziału w tej nikczemnej szaradzie, ponieważ dzień po pochówku Francesco wziąłem pistolet zabrany rannemu Grekowi i w chwili chłodnej kalkulacji przestrelilem sobie udo.)

XX

Dziki Człowiek Lodu

Pelagia wróciła od studni z dzbanem na ramieniu, postawiła go na podwórku i, śpiewając, przestąpiła próg domu. Złe wieści, które krążyły po wyspie z ust do ust, sprawiły tylko, że jeszcze bardziej doceniała chwilowe piękno, a właśnie zobaczyła pierwszego w tym roku motyla. Czowała się silna i zdrowa i cieszyła się z tego, że ma cały dom dla siebie, w czasie gdy ojciec jest w górach i bada Alekosa oraz stado jego owiec; ani jemu, ani im nic nigdy nie dolegało, a dzięki wizytom doktora Alekos mógł uzupełnić braki w wiadomościach, nacieszyć się ludzkim towarzystwem, usłyszeć słowa, które zniknęły z jego monologu wewnętrznego, Janis zaś wracał z obfitym zapasem suszonego mięsa, które trzeszczało w chlebaku przy każdym kroku doktora. W dodatku był zdania, że przyjemność powrotu do domu z nawiązką wynagradza trudy wyprawienia się w drogę i dlatego zawsze warto wyruszać.

Gdy Pelagia weszła do kuchni, nagle przestała śpiewać, zdumiona zastanym widokiem. Przy kuchennym stole siedział jakiś obcy człowiek, okropny, dziki nieznajomy, który wyglądał gorzej niż zbóje z opowieści z dzieciństwa. Siedział w całkowitym bezruchu, jeśli nie liczyć rytmicznego drżenia rąk. Jego głowa była ukryta pod kaskadą splecionych włosów, które zdawały się nie mieć kształtu ani barwy. Miejskami sterczały niby korkociągi, a gdzie indziej leżały zakrzepłymi płatami, jak zbity filc; były to włosy eremity doprowadzonego do obłędu chwałą Boga i samotnością. Pod czapą włosów Pelagia widziała tylko ogromną i niechlujną brodę, a nad nią parę jasnych oczu, które unikały jej spojrzenia. Był tam też nos, odarty ze skóry, zaczerwieniony i łuszczący się, oraz widoczne miejscami pociemniałe, pokryte bruzdami i brudne ciało.

Nieznajomy miał na sobie postrzępioną koszulę i spodnie, których materiału i koloru nie można było zidentyfikować, oraz coś w rodzaju opończy ze zwierzęcych skór, połączonych rzemykami ze ścięgien. Pelagia spostrzegła na jego nogach zamiast butów zawiązane bandaże, oblepione dawno zakrzepłą krwią i pokryte jasnymi plamami świeżej. Oddychał chrapliwie i dolatywał od niego nieprawdopodobny smród – fetor gnijącego ciała, ropiejących ran, kału i moczu, zastarzałego potu oraz strachu. Spojrzała na ręce zaciśnięte w próbie zapobieżenia ich drzeniu i owładnęło ją przerażenie i litość. Co powinna zrobić?

– Mojego ojca nie ma – powiedziała. – Ma wrócić jutro.

– Ale ty w każdym razie jesteś szczęśliwa. Śpiewasz – odparł mężczyzna łamiącym się, śluzowatym głosem. Pelagia rozpoznała głos człowieka, którego uszkodzone płuca wypełnia flegma; mogła to być gruźlica, początki zapalenia płuc lub gardło pełne polipów, a może nawet zaciśnięte w kleszczach raka.

– Lód – rzekł obcy, jakby jej nie słyszał. – Już nigdy nie będzie mi ciepło. Plugawość lodu. – Głos mu się załamał i Pelagia uświadomiła sobie, że jego ramiona podnoszą się i opadają. – O Boże, ten lód – powtórzył. Umieścił dłonie przed oczyma i oskarżył je: – Dajcie mi spokój, suki, na miłość boską, nie ruszajcie się. – Splótł palce. Wydawało się, że całe jego ciało walczy, by stłumić serię spazmów.

– Możesz przyjść jutro – zauważyła Pelagia, zatruwiona widokiem tej mamroczącej zjawy i zupełnie zagubiona.

– Bo widzisz, nie mieliśmy raków. Wiatr wymiata śnieg i lód pokrywa się pręgami ostrzejszymi niż noże – kiedy upadasz, kaleczysz się do krwi. Popatrz na moje ręce. – Wyciągnął je do niej wnętrzem dłoni ku górze w geście, który normalnie byłby zniewagą, i Pelagia ujrzała straszliwą sieć białych szram; wymazały one wszystkie naturalne linie, zniwelowały poduszeczki i zrogowacenia i pozostawiły sączące się szczeliny na stawach. Nie było paznokci i śladów naskórka.

– A w dodatku lód krzyczy. Piszczy. I wołają do ciebie z niego głosy. Wpatrujesz się weń i widzisz ludzi parzących się jak psy. Przywołują cię i machają do ciebie, i drwią, i strzelasz do lodu, lecz oni nie milkną, a potem lód piszczy. Piszczy całą noc, całą noc.

– Słuchaj, nie możesz tu zostać – powiedziała Pelagia, dodając, jakby na usprawiedliwienie: – Jestem sama.

Dziki człowiek zignorował ją.

– Widziałem mojego ojca, mojego ojca, który umarł, utkwiał pod lodem, i gapił się na mnie. Usta miał otwarte, ja siekłem lód bagnetem. Żeby go wydobyć. A gdy go wydobyłem, okazało się, że to ktoś inny. Nie wiem, kto to był, bo widzisz, lód mnie zwiódł. Wiem, że już nigdy nie będzie mi ciepło. – Objął się rękami i zaczął gwałtownie drżeć. – Cierpienia niosą naukę, prawda? Nie wychodź na mróz, nie wychodź na mróz.

Zakłopotanie Pelagii przeradzało się w dręczący niepokój, gdy zastanawiała się, co, u licha, ma zrobić sama z szalonym włóczęgą, wygłaszającym tyrady w jej kuchni. Pomyślała najpierw, by zostawić go i pobiec po Stamatisa lub Kokoliosa, ale paraliżowała ją myśl o tym, co przybysz mógłby zrobić lub ukraść pod jej nieobecność.

– Proszę, odejdz – błagała – jutro wróci mój ojciec i może... – umilkła, nie wiedząc,

które spomiędzy licznych zabiegów medycznych, jakie byłyby niezbędne, wymienić – ... zajmie się twoimi stopami.

Mężczyzna po raz pierwszy zareagował na jej słowa:

– Nie mogę chodzić. Szedłem tu aż z Epiru. Bez butów.

Psipsina wśliznęła się do kuchni i zaczęła węszyć, jej wąsiki drgały, gdy badała silne i nieznane zapachy. Przebiegła po podłodze na swój płynny, okrężny sposób i wskoczyła na stół. Zbliżyła się do człowieka neolitu i zaczęła myszkować w pozostałościach jego kieszeni, wyłaniając się triumfalnie z małą kostką białego sera, który spałaszowała z wyraźnym zadowoleniem. Potem wróciła do kieszeni i znalazła tam jedynie złamanego papierosa; wyrzuciła go.

Mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając zdrowe zęby i krwawiące dziąsła, i pogłaskał kunę po głowie.

– Ach, przynajmniej Psipsina mnie pamięta – powiedział, a bezgłośnie łyzy zaczęły powoli spływać mu po policzkach na brodę. – Nadal tak słodko pachnie.

Pelagia zdumiała się. Psipsina czuła przecież lęk przed obcymi. No i skąd ta okropna ruina człowieka zna jej imię? Kto mógł mu powiedzieć? Nie mając pojęcia, co myśleć i jak postąpić, wytarła ręce w fartuch i zapytała:

– Mandras?

Mężczyzna odwrócił do niej twarz i powiedział:

– Nie dotykaj mnie, Pelagio. Mam wszy i śmierdzę. I posrałem się, gdy obok mnie spadła bomba. Nie wiedziałem, co robić, i przyszedłem najpierw tutaj. Przez cały czas wiedziałem, że muszę najpierw przyjść tutaj, i to wszystko. Jestem zmęczony i cuchnę. Masz kawę?

W umyśle Pelagii powstała pustka, zaczęły nią targać sprzeczne uczucia. Czuła rozpacz, nieznośne podniecenie, winę, litość i odrazę. Serce zadrzało jej w piersi i opadły ręce. Chyba najsilniej odczuwała bezradność. Wydawało się nieprawdopodobne, by ta opuszczona zjawa kryła w sobie duszę, i to w ciele człowieka, którego ona tak mocno kochała i pragnęła, za którym tak bardzo tęskniła i o którym w końcu przestała myśleć.

– Nie napisałeś do mnie ani razu – zauważyła, wypowiadając pierwszą myśl, jaka przysła jej do głowy, oskarżenie zajmujące poczesne miejsce w jej świadomości od chwili jego wyjazdu, zarzut, który przerodził się w gniewnego, obrażonego potwora, co strawił doszczętnie zasoby jej oddania.

Mandras ze znużeniem uniósł wzrok i rzekł tak, jakby to on czuł dla niej litość:

– Nie umiem pisać.

Z niezrozumiałego dla niej samej powodu to wyznanie wzbudziło w niej większą odrazę niż wygląd Mandrasa. Zaręczyła się z analfabetą, nawet o tym nie wiedząc? Żeby coś powiedzieć, zapytała:

– Nie mógł za ciebie napisać ktoś inny? Myślałam, że nie żyjesz. Myślałam, że... pewnie mnie już nie kochasz.

Mandras uniósł wzrok i pokręcił głową; w jego oczach malował się bezmiar znużenia. Usiłował uspokoić drżenie rąk, żeby się napić, nie udało mu się i odstawił kubek na stół.

– Nie mogłem dyktować koledze. Jakże mógłbym pozwolić, by wszyscy wiedzieli? Jak mogłem dopuścić, by chłopcy rozprawiali o moich uczuciach? – Znowu pokręcił głową i bezskutecznie spróbował wypić następny łyk kawy, która wylała mu się na brodę i skóry opończy. Powtórnie podniósł wzrok, tak że Pelagia przynajmniej rozpoznała jego oczy, i dodał: – Mam wszystkie twoje listy. Nie potrafiłem ich przeczytać, ale je mam. – Zaczął niezdarnie szperać w swoich rzeczach i wydobyl wielki zaszargany pakunek, przewiązany drutem na wnyki. – Trzymałem je w takim miejscu, by mnie grzały. Pomyślałem, że mogłabyś mi je przeczytać. Przeczytaj je, Pelagio, tak żebym dowiedział się wszystkiego – poprosił i dodał, z rezygnacją raczej niż ze świadomym patosem: – Nawet jeśli jest już za późno.

Pelagia była przerażona. Mandras niechybnie zauważyłby stopniowe zanikanie czułych słów i coraz większą koncentrację na faktach w kolejnych listach. Spostrzegłby to o wiele wyraźniej, niż gdyby czytał je stopniowo przez kolejne miesiące.

– Później – powiedziała.

Mandras ciężko westchnął i dalej pieścił uszy kuny, mówiąc tak, jakby zwracał się do niej raczej niż do swojej narzeczonej:

– Nosilem cię tu – rzekł, uderzając się pięścią w pierś. – Codziennie, przez cały czas, myślałem o tobie, rozmawiałem z tobą. Trzymałem się dzięki tobie. Dzięki tobie nie byłem tchórzem. Bomby, pociski, lód, nocne ataki, zwłoki, przyjaciele, których straciłem. Zająłś miejsce Maryi Panny, nawet modliłem się do ciebie. Tak, nawet się modliłem. Pamiętałem o tobie, śpiewającej na podwórku, i widziałem cię podczas święta, gdy przyszpiliłem twoją spódnicę do ławki i poprosiłem, żebyś za mnie wyszła. Zginąłbym tysiąc razy, ale miałem cię przed oczyma jak krzyż, jak krzyż w Wielkanoc, jak ikonę, i nigdy nie zapomniałem, pamiętałem każdą chwilę. I twój obraz płonął w moim sercu, płonął nawet w śniegu, dawał mi odwagę i walczyłem bardziej dla ciebie niż dla Grecji. Tak, bardziej niż dla Grecji. A gdy

Niemcy zaszli nas od tyłu, przedarłem się przez ich linie i mogłem myśleć tylko o Pelagii, musiałem dotrzeć do domu Pelagii, a teraz... – jego ciało zadrżało jeszcze raz i wstrząsnął nim gwałtowny szloch – ... tylko zwierzęta mnie poznają.

Ku rozpacz i zakłopotaniu Pelagii, Mandras ukrył twarz w dłoniach i zaczął się kołysać niczym zranione dziecko. Pelagia podeszła doń od tyłu, położyła ręce na jego ramionach i zaczęła je ugniatać palcami. Tam gdzie kiedyś było doskonałe, upragnione, młodzieńcze ciało, została kość. Zauważyła, że Mandras rzeczywiście ma wszy.

Pierwszy pacjent Pelagii

Matka Mandrasa była jedną z tych kłopotliwych istot, szkaradnych niczym mityczna żona Antyfatesa; poeta określił ją jako „potworną kobietę, której wygląd napawał ludzi przerażeniem”, a mimo to wyszła za pięknego mężczyznę, urodziła dziecko i zyskała powszechną sympatię. Niektórzy twierdzili, że poszczęściło się jej dzięki czarom, ale prawdę powiedziawszy, była miłą i dobroduszną kobietą, którą los pozbawił pretekstu do młodzieńczej próżności i która stopniowo tyjąc i stając się coraz bardziej owłosiona, nie popadała w zgorzknienie. *Kiria* Drosula pochodziła z jednego z rodów, nazywanych szyderczo „ochrzczone w jogurcie”, co znaczy, że jej rodzina została wygnana z tureckiego terytorium bez niczego prócz worków zawierających kości przodków.

Umowa w Lozannie doprowadziła do przesiedlenia pół miliona muzułmanów do Turcji w zamian za przeniesienie do ojczyzny ponad miliona Greków i była przykładem czystki etnicznej, która – choć niezbędna dla zapobieżenia następnym wojnom – przyniosła wielką spuściznę gorzkości. Drosula potrafiła mówić jedynie po turecku; ona i jej matka były otwarcie lekceważone przez rdzennych Greków, a zarazem płakały z tęsknoty za życiem na utraconych ziemiach ojczystych. Matka Drosuli zakopała kości swego ojca i męża i, bojąc się wystawiać na pośmiewisko z powodu swojego akcentu, postanowiła zaniemówić, pozostawiając wszystkie obowiązki piętnastoletniej córce; ta zaś w ciągu trzech lat nauczyła się posługiwać dialektem kefalońskim i poślubiła sprytnego rybaka, który potrafił rozpoznać w niej materiał na wierną żonę. Podobnie jak wielu kochających łodzie wiosłowe wyspiarzy, stracił życie w nawałnicy, która nagle nadciągnęła ze wschodu, lecz pozostawił syna; on to przejął jego fach i groźną wdowę, która czasami śniła po turecku, ale zapomniała, jak się w tym języku mówi.

Podczas nieobecności Mandrasa Pelagia prawie codziennie trafiała do domu Drosuli, urzeczona opowieściami o cesarskim mieście Bizancjum i życiu nad Morzem Czarnym pośród niewiernych; w małym, pachnącym rybami domu nad brzegiem morza obie kobiety pocieszały się nawzajem słowami, które, choć głęboko szczere, stały się obecnie wyświechtanymi frazesami w każdym europejskim domu. Zmienne morze rozbryzgiwało się

na nadbrzeżnych kamieniach, a one płakały i tuliły się do siebie, powtarzając, że Mandrasowi nic się nie mogło stać, bo inaczej by o tym wiedziały. Ćwiczyły uderzenia łopata na wypadek, gdyby musiały zdzielić nią w głowę jakiegoś Włocha, i śmiały się, zakrywając usta rękami, ze zdumiewająco wprost ordynarnych dowcipów, których Drosula nasłuchiwała się w Turcji od nastoletnich muzułmanów.

I właśnie do tej wspaniałej i włochatej amazonki pobiegła Pelagia, pozostawiając swojego narzeczonego przy kuchennym stole, pogrążonego w opasujących świat oceanach zmęczenia i okropnych wspomnieniach towarzyszy broni, którzy padli łupem padlinożernych ptaków. Obydwie kobiety wróciły zdyszane, by zastać go w tej samej pozycji, nadal głaszczącego mechanicznym gestem uszy Psipsiny.

Drosula wpadła do kuchni z radosnym okrzykiem, mając zamiar chwycić syna w ramiona, po czym zaskoczona zatrzymała się w pół kroku, co w innych okolicznościach mogłoby wyglądać komicznie. Rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby chciała sprawdzić, czy jest w nim ktoś jeszcze oprócz tego rozczochranego widma, i pytająco popatrzyła na Pelagię.

– To on – wyjaśniła Pelagia. – Mówiłam ci, że wygląda okropnie.

– Chryste! – krzyknęła Drosula i bez dalszych ceregieli ujęła syna za ramię, podniosła z krzesła i wyprowadziła na dwór, pomimo protestów Pelagii i widocznego stanu jego stóp. – Przykro mi – powiedziała – ale nie pozwolę, by mój syn siedział w takim stanie w porządnym domu. To zbyt wielki wstyd.

Na podwórku obejrzała Mandrasa, jakby był zwierzęciem, które ewentualnie chciałaby nabyć. Zajrzała mu do uszu, z odrazą podniosła kołtun splątanych włosów, zmusiła go do pokazania zębów, po czym oznajmiła:

– Widzisz, Pelagio, do jakiego stanu doprowadzają się mężczyźni, gdy nie ma kobiet, które by o nich zadbały. To hańba i nie ma na nią żadnego usprawiedliwienia, nie, nie ma. To po prostu niemowlaki, które nie radzą sobie bez matek, tym właśnie są, i nie obchodzi mnie, że ten chłopak był na wojnie. Idź i zagotuj wodę w największym garnku, bo mam zamiar go umyć od stóp do głów, ale najpierw pozbędę się tych okropnych kudłów, więc przynieś mi nożyczki, *koricimu*, a gdy już wyłapię jego wszy, obedrę go żywcem ze skóry, bo ręce mnie świerzbią od samego patrzenia na niego, ledwie mogę znieść jego obecność na tej samej wyspie, a ten smród, fuj, jest chyba gorszy niż w chlewie.

Mandras siedział biernie, podczas gdy matka gorliwie i z wyraźną dezaprobatą obcinała skręcone powrósła i zbity materac na jego głowie i brodzie. Prychała z pogardą i krzywiła się na widok każdej wszy i przenosiła cuchnące kosmyki na ostrzach nożyczek, tak

aby wraz ze swym ładunkiem gnid mogły spłonąć w kosiaku, skwierząc na ogniu i wydzielając gęsty i śmierdzący dym, wystarczająco ohydny, by przepędzić demony i zakłócić wieczny spokój umarłym.

Pelagia krzywiła się tak samo jak jej przyszła teściowa, obserwując bezładną ucieczkę szarych pasożytów. Wkrótce zamiast kołtuna ukazały się otarcia skóry i egzema; czaszka chłopaka była pokryta dziobami zakażonych zadrapań, które lśniły od płynu, i okazało się – rzecz najbardziej niepokojąca – że węzły chłonne na szyi Mandrasa są powiększone i ropieją. Pelagia czuła obrzydzenie w chwilach, gdy powinna odczuwać współczucie; wbiegła do domu, żeby poszukać olejku sasafrasowego. Gdy sięgała po niego, po raz pierwszy z lekkim zaskoczeniem uświadomiła sobie, że przez lata nauczyła się od ojca wystarczająco dużo, żeby samej zostać lekarzem. Jeżeli w ogóle istniało coś takiego jak lekarz-kobieta. Przez chwilę bawiła się tą myślą, po czym poszła szukać pędzla, jakby ta czynność mogła złagodzić nieprzyjemne wrażenie, że urodziła się w niewłaściwym świecie.

Gdy wyszła na wiosenne światło słońca ze słojem wonnego i szczypiącego oleju, stwierdziła, że Mandras jest ostrzyżony do gołej skóry. Podała słój Drosuli.

– Posmaruj go tym, tylko grubo. To zlikwiduje nawet grzybicę, jeżeli ją także ma. Potem okryj mu głowę ściereczką i obwiąż ją sznurkiem. Obawiam się, że to działa drażniąco. Musisz też wetrzeć w skórę oliwę, gdy pozbędziesz się wszy, ale olej parafinowy skutkuje po około dwóch tygodniach, więc sądzę, że lepiej użyć tego tutaj.

Kiria Drosula popatrzyła na Pelagię z podziwem i powąchała płyn.

– O rety – powiedziała i zaczęła smarować nim głowę syna.

– To piecze – po raz pierwszy odezwał się Mandras.

– O, jesteś tam, coś takiego! – rzekła jego matka i pędzlowała dalej.

Gdy głowa Mandrasa została już obwiązana płótnem, obydwie kobiety cofnęły się o krok, podziwiając swoje dzieło. Mandras twarz miał wychudzoną niby oblicze świętego w sarkofagu, a oczy zapadnięte tak głęboko i skórę tak bladą, jak ktoś zmarły wprawdzie niedawno, ale już zimny.

– To naprawdę on? – szczerze zdziwiła się Drosula, a potem zapytała, dlaczego w zadrapania na głowie wdało się zakażenie.

– Dlatego że dostały się tam odchody wszy – odparła Pelagia. – Właściwie to nie same wszy są powodem infekcji.

– Zawsze mu mówiłam, żeby się nie drapał, ale dopiero teraz wiem dlaczego. Zajmiemy się resztą?

Wymieniły spojrzenia i Pelagia spłonęła rumieńcem.

– Nie sądzę... – zaczęła, ale Drosula mrugnęła jednym okiem i uśmiechnęła się szeroko.

– Nie chcesz zobaczyć, co dostaniesz? Większość dziewczyn zabiłaby dla takiej szansy. Obiecuję, że nikomu nie powiem, a jeśli chodzi o niego – kiwnęła głową w kierunku syna – jest tak wycieńczony, że nawet się nie zorientuje.

Pelagia pomyślała nagle: nie chcę za niego wychodzić. Już go widziałam, ale nie mogę się do tego przyznać, a zresztą wtedy był piękny. Nie tak jak teraz. I nie mogę nic powiedzieć, bo za bardzo lubię Drosulę.

– Nie, naprawdę nie mogę.

– No cóż, wobec tego pomożesz mi w innych czynnościach i będziesz musiała powiedzieć zza drzwi, co zrobić z resztą członków. Czy woda jest już gorąca? Powiem ci w zaufaniu, że nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zobaczę, jakiego mężczyznę urodziłam. Myślisz, że okropna ze mnie kobieta?

Pelagia uśmiechnęła się.

– Wszyscy myślą, że jesteś okropna, ale nikt nie ma przez to gorszej opinii o tobie. Po prostu mówią: „O, przyszła po ciebie *kiria* Drosula”.

Po zdjęciu odzieży Mandras nie drżał silniej, niż gdy był ubrany. Skurczył się tak żałośnie, że Pelagia nie wstydziła się zostać nawet wtedy, gdy stał już nagi, i nie musiała się uciekać do wydawania poleceń zza drzwi. Mięśnie biedakowi zanikły, a skóra zwisała mu na kościach sflaczałymi płatami. Brzuch miał wzdęty – z głodu albo od pasożytów, a żebra sterczały tak samo wyraźnie jak kości kręgosłupa. Ramiona i plecy zdawały się wygięte i skręcone, uda zaś i łydki wychudły tak straszliwie, że kolana wydawały się spuchnięte jak banie. Najgorsze było to, co kobiety ujrzały, gdy zdarły zeskorupiałe bandaże ze stóp Mandrasa; Pelagii przypomniła się opowieść o Filoktecie, Argonaucie i konkurencie do ręki Heleny, porzuconym przez Odyseusza na wyspie Lemnos z powodu nieznośnego odoru gnijącej rany na stopie, ze swoim wspaniałym łukiem i strzałami do towarzystwa. Pelagia przypomniła sobie później, że historia ta kończyła się tym, iż Filoktet został uleczony przez Machaona, syna Asklepiosa, i pomógł upokorzyć Trojan. Pomyślała, że sama jest uzdrowicielką, a Włosi użyczyli ziemi własnych przodków.

Kiedy jednak ujrzała stopy Mandrasa, nie czuła się jak uzdrowicielka; trudno było nawet rozpoznać, że to stopy. Były martwiczą, wielobarwną miazgą. Skorupa ropy i strupów przywarła od wewnątrz do zwojów porzuconych bandaży, a w niemal martwym ciele wiły się żółte larwy.

– Święty Jerasimosie! – wykrzyknęła Drosula, wpijając się kurczowym chwytem w

wyschnięte ramiona syna, żeby nie zemdleć. Smród był wręcz odurzający i Pelagia poczuła w końcu przyływ szczerzego współczucia, którego brak tak bardzo ją dotąd zatrwazał.

– Obmyj go całego – powiedziała do Drosuli – a ja zajmę się stopami. – Spojrzała na Mandrasa ze łzami w oczach i ostrzegła go: – *Agapeton*, sprawię ci ból. Bardzo mi przykro.

Odpowiedział spojrzeniem i przemówił po raz drugi:

– To wojna. Pobiliśmy ich na głowę, zmusiliśmy do ucieczki. Pokonaliśmy makaroniarzy. Możesz mi sprawić ból, jeśli chcesz, ale nie mogliśmy walczyć z Niemcami. To przez te czołgi.

Pelagia zmuszała się do patrzenia na jego stopy dopóty, dopóki nie stały się raczej problemem do rozwiązania niż odrażającym źródłem straszliwego cierpienia. Delikatnie wyskubała z nich larwy i wyrzuciła je za mur. Gdy ochłonęła, zajęła się ustaleniem, czy rozkład przeniknął do kości. Jeżeli tak, wchodziła w grę amputacja, i Pelagia wiedziała, że wtedy wszystko trzeba by zostawić innym; prawdopodobnie nawet jej ojciec nie chciałby tego zrobić. Cóż gorszego mógł uczynić lekarz drugiej istocie? Wzdrygnęła się, wytarła ręce w fartuch, zamknęła oczy i podniosła prawą stopę. Obróciła ją w różne strony, obmacała i ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że nie ma ziarniny, a żadna kość nie obumarła i nie rozszczepiła się.

– Nie nastąpiło oddzielenie się martwaka – powiedziała, myśląc jednocześnie: przecież robiłam to przedtem tylko psu.

Drosula odparła:

– Jest jednak mnóstwo brudu.

Pelagia sprawdziła, czy ciało na stopie jest suche. Było, więc westchnęła, jakby kamień spadł jej z serca; wiedziała, że wilgotna odmiana gangreny to coś znacznie gorszego. Spozrzegła, że nie ma linii rozgraniczającej zdrowe i zakażone miejsca, i doszła do wniosku, że to wcale nie gangrena. Obejrzała drugą stopę – nasunął jej się identyczny wniosek. Przyniosła miskę z czystą wodą, posoliła ją mocno i najdelikatniej, jak tylko mogła, obmyła straszną miazgę. Mandras wzdrygnął się, poczuwszy piekący ból, ale nic nie powiedział. Pelagia stwierdziła, że najgorzej wyglądające skrawki ciała odpadają przy myciu i że pod nimi znajduje się żywa tkanka.

Gdy stała w kuchni i ucierała w moździerzu pięć pękatych główek czosnku, odczuwała dumę i triumf. Ostry zapach podniósł ją na duchu. Uśmiechnęła się, słysząc, jak głos Drosuli niesie się z podwórka. Matka łajała syna, jakby nie spędził wielu miesięcy w śniegu, jakby nie był bohaterem, który – podobnie jak jego towarzysze – wytrzymał próbę znacznie trudniejszą, niż wymagało tego poczucie żołnierskiego obowiązku, i odparł przeważające siły wroga,

pokonanego w identycznej próbie. Pelagia rozsmarowała nożem czosnek na dwóch długich bandażach i wyniosła je przed dom.

– *Agapeton*, to będzie piekło jeszcze mocniej niż sól – uprzedziła Mandrasa. Skrzywił się, gdy zabandażowała mu stopy, i gwałtownie wstrzymał oddech, ale nie poskarżył się nawet słowem. Zdumiona jego hartem, zauważyła: – Nie dziwię się, że zwyciężyliśmy.

– Przecież nie zwyciężyliśmy – odparowała Drosula. – Makaroniarze nie potrafili tego zrobić, więc Attyla zrobił to za nich.

– Hitler. Ale to nie ma znaczenia, bo imperium brytyjskie jest po naszej stronie.

– Brytyjczycy odpłynęli do domu. Nasz los jest teraz w rękach Boga.

– Nie wierzę w to – stanowczo oświadczyła Pelagia. – Pomyśl o lordzie Napierze, o lordzie Byronie. Jeszcze tu wrócą.

– Co to jest? – zapytała Drosula, wskazując na całe mnóstwo szram, jątrzących się dziobów i szkarłatnych wzorów na ciele syna. Pelagia przyjrzała się badawczo nędznemu, świeżo umytemu ciału i stwierdziła obecność wszystkich pasożytów, z jakimi kiedykolwiek się zetknęła dzięki praktyce lekarskiej ojca.

– Na ramieniu ma grzybicę woszczynową. Czujesz, pachnie myszami. Potrzebna będzie siarka i kwas salicylowy. To coś w rodzaju liszaja w kształcie plastra miodu. Szczęście, że nie dostało się to do włosów, bo straciłby wszystkie. Te czerwone ukłucia to wszy. Musimy spalić wszystkie rzeczy Mandrasa i ogolić go całego, żeby usunąć jajeczka z jego włosów. Albo możemy go umyć w occie. I posmarujemy go olejem eukaliptusowym i emulsją parafinową. Wysypka na nogach i ramionach to *betes rouges*, trzeba będzie się jej pozbyć za pomocą amoniaku i maści cynkowej. Zresztą i tak sama znika. Ta łata koloru kawy to łupież. Środki, których użyjemy, by zaradzić innym kłopotom, wyleczą go. Jeśli wygolisz Mandrasa na... no, wiesz gdzie, maść usunie wszy łonowe. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, nie będę patrzyła. Na rękach i łydkach ma okropną egzemę. Pęknięcia na skórze będziemy musieli posmarować jodyną, o ile zdołam ją znaleźć, a gdy się zagoją, po prostu nasmarujemy go galmanem zmieszany z wodą wapienną, jeśli tylko gdzieś będą, i będziemy to robić aż do skutku. Taka kuracja może potrwać wiele tygodni. Mogłybyśmy chyba użyć oliwy, ale nie do pachwin. Pachwin nie należy natłuszczać. A te brązowe ślady, jak po nakłuciach, to wybroczyny. – Pelagia umilkła, podniosła wzrok i spostrzegła, że Drosula uśmiecha się do niej, oniemiała z zadziwienia.

– *Koricimu* – wyrzekła wreszcie olbrzymia istota – zdumiewasz mnie. Jesteś pierwszą kobietą, jaką znam, która wie wszystko. Uściśnij mnie.

Pelagia zarumieniła się z zadowolenia i, chcąc odwrócić uwagę od siebie, objęła

Drosulę i powiedziała:

– Wiem, że jesteś ciekawa, co to takiego te czerwone guzki na jego brzuchu i... przyrodzeniu. Maje również między palcami, ale nie martw się, to tylko świerzb. Pozostałe środki, a zwłaszcza siarka i cynk, uleczą i to także. Tak przynajmniej sędzę, ale lepiej będzie, jeśli zapytamy mojego ojca – zakończyła skromnie.

Drosula machnęła ręką w stronę swego skurczonego syna.

– Nie jest zbyt cennym nabytkiem, co?

Pelagia przeklęła się w duchu i odparła:

– Człowiek zakochuje się w osobie, a nie w jej ciele.

Drosula roześmiała się.

– Romantyczne frazesy. Miłość wchodzi oczyma i wychodzi także oczyma, a gdybyś się zastanawiała, dlaczego mój mąż zakochał się we mnie, choć jestem taka brzydka, to ci powiem, że dlatego, iż dzięki Bogu i naszemu świętemu, miał dziwne upodobania. Inaczej wciąż byłabym panną.

– Ani na chwilę w to nie uwierzę – odparła Pelagia, która, podobnie jak wszyscy inni, zawsze się dziwiła, że Drosuli udało się znaleźć męża.

Nazajutrz rano doktor Janis wrócił wyczerpany z gór (odwiedzając po drodze kafenijon) i nie tylko znalazł przypominającego trupa mężczyznę, śpiącego w łóżku jego córki, lecz stwierdził, że Pelagia śpi w jego własnym łóżku razem z wielką, kościstą i odrażającą kobietą. W domu śmierdziało silnie czosnkiem, mydłem, amoniakiem, jodyną, siarką, chorym ciałem, octem i spalonymi włosami, różnymi środkami medycznymi. Potrzęsnał córką i zapytał:

– Kim jest ten starzec w twoim łóżku, córeczko?

– To Mandras, tatku, a to jego matka, *kiria* Drosula. Widziałeś ją już.

– Nie w swoim łóżku – odparował – i to nie jest Mandras. To jakiś okropny starzec ze świerzbem i zabandażowanymi stopami. Już go sobie obejrzałem.

Później owego ranka doktor Janis wysłuchał sprawozdania Pelagii ze wszystkiego, co zrobiła, sapiąc i pykając z fajki przy każdej wstępnej diagnozie i rokowaniach. Gdy skończyła, oblała się rumieńcem, doszukawszy się w zachowaniu ojca wyraźnego potępienia jej arogancji. Potem doktor skrupulatnie zbadał pacjenta, szczególną uwagę zwracając na jego stopy.

Milczał dopóty, dopóki nie sięgnął po swój sponiewierany kapelus. Pelagia nerwowo mięła ścierkę do kurzu i czekała na atak furii.

– Gdybym potrafił gotować – rzekł ku jej zdumieniu – zamienilibyśmy się rolami. Prawdę mówiąc, mogę spokojnie iść na emeryturę. Dobra robota, *koricimu*, jeszcze nigdy nie byłem tak dumny. – Teatralnym gestem pocałował ją w czoło i wyszedł z domu, wypatrując na niebie spodziewanych samolotów. Miał zebranie komitetu samoobrony w kafenijonie.

Drosula uśmiechnęła się z góry do Pelagii. Serce dziewczyny przepełniła tak ogromna wdzięczność i ulga, że aż zadrżały jej ręce.

– Zawsze chciałam mieć córkę – powiedziała Drosula. – Wiesz, jacy są mężczyźni, pragną tylko synów. Masz szczęście, posiadając takiego ojca. O ile pamiętam, mój był skończonym bydlakiem, wiecznie pijanym. Modłę się do świętego, żeby Mandras wydobrzył, a wtedy będziesz moją córką.

– Powinnyśmy jak najszybciej wyprowadzić go na słońce i nad morze. W podobnych przypadkach o wyzdrowieniu decyduje psychika.

Drosula zorientowała się, że Pelagia chytrze zignorowała jej słowa, ale wybaczyła dziewczynie. Rozkoszowała się widokiem młodej kobiety, zakwitającej tym szczególnym rodzajem piękna, które rodzi nagle objawione powołanie.

XXII

Mandras za zasłoną

Rozmawiają o mnie – Pelagia, doktor i moja matka – jakby mnie tu nie było. Rozmawiają o mnie, jakbym był otepiały ze starości albo nieprzytomny, jakby w moim ciele nie było ducha. Jestem zbyt zmęczony i zbyt smutny, żeby zbuntować się przeciw temu poniżeniu. Pelagia widziała mnie nagiego, a moja matka myje mnie wszędzie jak niemowlaka i obie smarują moje ciało maściami i płynami, co pieką, uśmierzają ból i cuchną; jestem niczym nacierany olejem i woskiem mebel, w którym wypełnia się dziury po kornikach i łąta oraz wypycha poduszki. Moja matka ogląda mój stolec i rozmawia o nim z moją narzeczoną. Karmią mnie łyżką, ponieważ nie mają cierpliwości patrzeć, jak zmagam się z drżeniem rąk. Zadaję sobie pytanie, czy można uznać, że w jakimś sensie istnieję.

Przypuszczam jednak, że nie. Wszystko stało się snem. Pomiędzy nami jest zasłona, tamci troje są cieniami, a ja jestem martwy. Ta zasłona to pewnie całun, który przyćmiewa światło i zamazuje obraz. Byłem na wojnie i wojna stworzyła przepaść pomiędzy mną a tymi, którzy nie walczyli; cóż oni wiedzą o czymkolwiek? Odkąd natrafiłem na śmierć, spotykałem ją na każdej górskiej ścieżce, rozmawiałem z nią we śnie, zmagalem się w śniegu, grywałem z nią w kości, doszedłem do wniosku, że nie jest ona przeciwnikiem, lecz bratem. Śmierć to piękny, nagi mężczyzna, który wygląda jak Apollo i nie jest zadowolony z tych, co obumierają na starość. Śmierć to perfekcjonista, lubi młodych i pięknych, pragnie gładzić nas po włosach i pieścić ścięgna, które wiążą mięśnie do kości. Robi wszystko, co może, by nas spotkać, nasze twarze radują jej serce i staje nam na drodze, by nas wyzwąć na pojedynki, bo lubi czystą, uczciwą walkę, a po walce chce się z nami zaprzyjaźnić, poklepać nas po ramieniu i rozśmieszyć małością i szaleństwem żywych. U kresu bitwy wędruje wśród zmarłych, wskrzeszając ich i nakładając wieńce laurowe na czoła najbardziej urodziwych, zbiera ich niby własne dzieci i odprowadza, by napić się z nimi wina, co smakuje jak miód, i daje im poczucie proporcji, którego w życiu nigdy nie doświadczyli.

Ale mnie nie zabrała. Nie wiem dlaczego. Na pewno byłem wystarczająco odważny. Nigdy nie unikałem niebezpieczeństwa i walczyłem nawet wtedy, gdy zniszczono już moje

ciało. Myślę, że przeżyłem, gdyż nasi dowódcy byli zbyt przebiegli, a śmierć uwielbiała Włochów. To ona kazała im nacierać w równej linii na nasze najmocniejsze pozycje, my zaś kosiliśmy ich jak zboże. Nasi generałowie doprowadzili do tego, że oskrzydłaliśmy ich, wyprowadzaliśmy w pole, zasadzaliśmy się na nich, znikaliśmy i pojawialiśmy się na nowo. Nasi generałowie utrudnili śmierci zadanie i ta, zamiast trafić mnie kulami, sprawiła, że moje ciało w ciągu paru miesięcy zgniło, tak jak inne gnije w ciągu sześćdziesięciu lat. To przez zimno, błoto, pasożyty, głód, smutek, strach, zamiecie siekące kryształkami lodu ostrzejszymi niż szkło, deszcz tak gęsty, że ryby mogłyby w nim pływać, przez to wszystko, czego nie ma sensu tłumaczyć, bo cywil nie potrafi sobie tego nawet wyobrazić.

Wiecie, co trzymało mnie przy życiu? Pelagia i poczucie piękna. Dla mnie Pelagia oznaczała dom. Bo widzicie, ja nie walczyłem za Grecję, walczyłem za dom. Próbowałem zakończyć tę walkę, żeby móc wrócić. Niestety, moje marzenie o Pelagii było lepsze niż sama Pelagia. Widzę i słyszę, że ma dość swojego bohatera, który powrócił z wojny. Już zanim na nią poszedłem, wiedziałem, że nie jestem dla Pelagii dość dobry. To znaczy, jeśli nawet ona mnie kocha, traktuje mnie protekcyjnie i poświęca się, a ja nie mogę tego znieść, ponieważ przez to nienawidzę jej i gardzę sobą. Gdy wydobrzeję, mam zamiar znowu wyjechać, żeby móc odzyskać marzenie o Pelagii i kochać ją bez goryczy, tak jak kochałem w tych górach, gdy walczyłem dla niej, walczyłem za ideę domu, a kiedy wrócę, będę przeistoczony i odnowiony, gdyż następnym razem zadbam o to, by dokonać czynów tak wspaniałych, że nawet królowa błagałaby o to, by zostać moją narzeczoną. Nie wiem jeszcze, co to za czyny, ale zadziwią nimi świat i okryją mnie chwałą, przyobleką mnie w szatę tak bogatą i okazałą jak klejnoty świętego.

Muszę znowu wyjechać także dlatego, że nie powinienem wracać do domu. Wróciłem, bo było to możliwe, a także dlatego, że powrót do domu jest niby mrożona woda po bezwietrznym dniu spędzonym na morzu w środku lata. Musiałem się obmyć, zanurzyć w szeleście oliwek, brzęku kozich dzwonek, swarach świerszczy, smaku wina i zapachu soli. Potrzebowałem siły, ziemi, z której wyrosłem, pod gołą stopą, to wszystko.

Stało się tak, że mój oddział został wybity przez Niemców w pobliżu góry Olimp. Tylko ja jeden pozostałem przy życiu. Gdy siedziałem pośród ciał moich przyjaciół, ukazała mi się Pelagia. Podobno takie rzeczy spowodowane są niedożywieniem i ogromnym wysiłkiem, ale mnie się zdawało, że stanęła przede mną i uśmiechnęła się. Gdyby tego nie zrobiła, przyłączyłbym się do innego oddziału, walczyłbym z Niemcami i doszedł aż do Termopil, ale nagle zrozumiałem, że muszę dotrzeć do domu, mimo że nie znałem drogi. Rozejrzałem się wśród zwłok i znalazłem najlepszą parę butów; odłożyły w nich zelówki, ale i

tak te buty były lepsze niż moje. Włożyłem je i skierowałem się na południowy zachód.

Każdego wieczoru obserwowałem, gdzie zachodzi słońce, a rano – gdzie wschodzi. Dzieliłem półokrąg, wybierałem punkt orientacyjny i szedłem. W południe sprawdzałem, czy idąc, mam słońce po lewej stronie. Chaotyczny odwrót zablokował drogi – zdychające osły, porzucone pojazdy, plecaki i broń, ofiary sztukasów – więc szedłem przez bezdroża, bezkresne pustkowia, które, jak teraz wiem, stanowią znaczną część Grecji. Najpierw trafiłem na bezludzie pełne cierni i skarłowaciałych, okrywających się akurat pączkami drzew, ale gdzieś za Elason teren zaczął się wznosić i zmienił się w ponure nieużytki, porośnięte sosnami, z przełomami, kataraktami, jarami, w krainę jastrzębi i nietoperzy. Mijałem mokradła pełne torfiastej wody i dzikich kwiatów, zbocza góry śliskie od łupku i piargów i ścieżki wydeptane przez kozice, kończące się nagle i niespodziewanie na krawędzi przepaści. Moje nowe buty zdarły się i właśnie wtedy owinąłem sobie stopy bandażami. Gdy nocami marzłem w jaskiniach, Pelagia leżała obok mnie, a rano szła przede mną na południe. Widziałem, jak spódnice kołyszą się wokół jej bioder, widziałem, jak schyla się, by zrywać kwiaty, a gdy upadałem, uśmiechała się i czekała na mnie.

Na tych ziemiach żyją niedźwiedzie i dzikie psy, które mogłyby być wilkami, rysie i jelenie. Bywało, że zębami odrywałem surowe mięso od ich porzuconej zdobyczy, a raz jakiś orzeł upuścił gołębia pod moje nogi i spadł za nim jak kamień w dół, tak że drasnął mnie swoimi szponami, gdy rzuciłem się po jego ofiarę. Są również ludzie mieszkający na tych niegościnnych terenach – ludzie, którzy przypominają zwierzęta. Niektórzy mają blond włosy i mówią tak dziwnie, że nie można ich zrozumieć. Mieszkają w kamiennych domkach lub domach z drewna, ubierają się w łachmany i żywią potwornymi gulaszami, przyrządzanymi z mięsa i korzeni, duszonymi w starych garnkach, których pęknięcia uszczelniają gliną. Ludzie ci obrzucili mnie kamieniami, lecz gdy ukląknąłem i pokazałem palcem na usta, wzięli mnie do siebie i nakarmili delikatnie jak dziecko. Właśnie od jednego z nich dostałem moją skórzaną kurtkę.

W miarę jak wędrowałem, zacząłem podejrzewać, że moje ciało się rozpada i że ogarnia mnie obłąd. Nie wiedziałem już, co się dokładnie dzieje. Widziałem nie tylko Pelagię, ale i dziwne potwory, straszące mnie paszczami pełnymi zębów. W jakimś miejscu przechodziłem obok wodospadu, wodospadu tak wysokiego, że woda waliła z góry z hukiem przypominającym odgłos morza podczas gwałtownego sztormu. Wpadała do basenu pełnego wirów pochłaniających wszystko, co tamtędy przepływało. Nie widziałem innego sposobu, by posuwać się dalej na południowy zachód, niż przeprowienie się w pław na drugą stronę. Na lewo ode mnie znajdowała się skalna ściana, stercząca tak pochyło, że nikt, nawet kozica, nie

mógłby się po niej wspiać, i wydawało mi się, że widzę na niej potwora o trzech głowach, który chce mnie pożreć. Stałem tam z pustką w głowie i z rozpaczliwym pragnieniem powrotu do domu, walczącym w moim sercu ze strachem przed wodą i monstrem. Ujrzałem, jak Pelagia idzie przede mną, na pozór po wodzie, jak nasz Pan, i zdałem sobie nagle sprawę, że u podnóża ściany znajduje się podwodny występ, po którym przeszedłem na drugą stronę z taką łatwością, jakbym brodził po mieliźnie zatoki Assos, by dojść do mojej łodzi.

Gdy zrozumiałem, że popadam w obłąd, pojąłem również, iż muszę się zatrzymać, choćby tylko na dzień, i dotarłem do kamiennej szopy wśród drzew, w miejscu gdzie teren wznosił się u stóp góry, a igły sosnowe leżały na ziemi warstwą miękką i grubą jak koc. W środku nie było nikogo. Nie miałem pewności, czy ktoś w tej szopie mieszka. Wszedłem, położyłem się pod ścianą i zasnąłem, tyle że śniło mi się, iż kryję się przed bombami.

Obudziłem się, gdy ktoś szturchnął mnie nogą. Ujrzawszy jakąś starą wiedźmę, zacząłem się zastanawiać, czy może po prostu to tylko mój sen się zmienił, ale nie. Wiedźma była drobna i zasuszone. Nieliczne kosmyki lichych włosów związała z tyłu głowy. Plecy miała wygięte w kabłąk, jej suknia była w strzępach, policzki zapadnięte, a podbródek sterczał do przodu, gdyż nie miała ani jednego zęba.

Pewnego dnia, kiedy będę miał siłę mówić, opowiem tę historię w kafenijonie, żeby rozśmieszyć chłopaków, bo prawdę powiedziawszy, stare straszdyło upodobało mnie sobie. Zapomniałem wspomnieć, że wiedźma miała tylko jedno oko. Drugi oczodół skrywała pomarszczona powieka.

Wiedźma знаła tylko jedno słowo – „Kirke” – które, jak przypuszczam, było jej imieniem; stale wskazywała na siebie i wypowiadała je, tak że musiałem mówić „Mandras” i wskazywać na siebie – a głos staruchy przypominał krakanie kruka. W jej jedynym oku pojawiał się błysk, ilekroć na mnie spojrzała. Karmiła mnie mięsem świń, które hodowała w pobliżu dębowego lasu, żeby mogły się żywić żołędziami. Budziła we mnie odrazę i przerażenie, ale przekonałem się, że jest poczciwiną, której Bóg dał dobre serce.

Trzeciej nocy mojego pobytu w szopie spałem najspokojniej od wielu miesięcy, a ponieważ moje ciało szybko zdrowiało na świninie, nie śniłem już o bombach i trupach, ale o Pelagii, która marszczyła czoło i niecierpliwiła się w tym śnie, że wolno idę, a wtedy po raz pierwszy w owych sennych wizjach podbiegłem do niej i ją pocałowałem. Pelagia rozrzewniła się w moich ramionach i odwzajemniła namiętność, tak że już po chwili tarzaliśmy się po leśnym poszyciu. Przyciągnęła mnie do siebie i dotykała mego ciała, a we mnie rozpałała się żądza. Jej usta były gorące jak ogień. Gryzła mnie w wargę i kwiliła, ja zaś zerwałem z niej ubranie. Moje dłonie poznały jej piersi i uda, drżałem w porywach Dionizosa

i wszedłem w nią. Natychmiast potem poczułem w lędźwiach falę i gdy moment spełnienia targnął moim ciałem, zbudziłem się.

Podę mną, z okiem na wpół przymkniętym w ekstazie, wiła się, jęczała i rechotała stara jędza. Przez chwilę leżałem na niej, zdumiony i zmieszany, a potem z krzykiem przerażenia i wściekłości skoczyłem na równe nogi, bo zrozumiałem, że zakradła się do mojej świadomości i uwiodła mnie pod postacią Pelagii. „Czarownica, czarownica!” – zawołałem, kopiąc ją, a ona usiadła i osłaniała się rękami; cycki opadły jej do pasa, a ropa sączyła się z podobnych do moich owrzodzeń na ciele. Zaczęła wymachiwać rękami i popiskiwać jak ptak w kocim pysku i w tym właśnie momencie rozpoznałem szaleństwo w nas obojgu i w samym urządzeniu świata. Odrzuciłem głowę do tyłu i roześmiałem się. Rozprawiczyła mnie nie kochana przez nikogo, samotna starucha, a to wszystko było tylko drobnym przejawem tego, że Bóg odwrócił się i oddał nas złośliwym i kapryśnym ciemnościom we władanie. Świat wyglądał tak samo, lecz pod jego powierzchnią ropiały wrzody. Położyłem się obok wiedźmy i spaliśmy tak aż do rana. Pojąłem wówczas, że my, ludzie, jesteśmy niewinni.

Starucha próbowała mnie zatrzymać, klęcząc u mych stóp, płacząc i wyjąc, wczepiona kurczowo w moje kolana. Był to żalony widok, ale pamiętam, że pomyślałem, iż skoro nic już się nie liczy, to nie ma przecież żadnego znaczenia, czy ona również ma swój udział w tym cierpieniu, które wzięło świat szturmem i wyjałowiło go zupełnie.

Dotarłem do Trikkali i zdołałem ubłagać kierowcę ciężarówki wracającej z frontu z ładunkiem rannych, żeby mnie podwiózł. Spojrzał na moje pokrwawione stopy i strzępy munduru i uznał, że ja też jestem ranny, więc zająłem miejsce żołnierza, który skończył drogę. Z Lipson przejechałem następną ciężarówką przez Ajos Nikolaos do Arty i Prebezy, a stamtąd już łatwo było dopłynąć na Lefkadę z rybakim, który woził pocztę na wyspę. Łodzią następnego rybaka popłynąłem na Itakę, a jeszcze inną dostałem się na Kefalonię. Do domu Pelagii przyszedłem aż z Sami.

Gdy przybyłem na miejsce, spotkałem się tylko z odrazą dorównującą mojej reakcji na widok staruchy w lesie. Rozpoznała mnie jedynie mała głupia kuna, Psipsina. Rozczarowanie, po tylu marzeniach, tylu walkach i wędrówce z Pelagią prowadzącą mnie niczym światło, zgasło płomień w moim sercu i zmęczenie opadło na mnie jak mgła, która spowija łódź w październiku w cieśninie Zakynthos. Zamknąłem oczy i osunąłem się w mrok, niczym dusze zmarłych.

Powiedziałem już, że to Pelagia i poczucie piękna przywiodły mnie do domu, ale dotąd nie wspominałem nic o poczuciu piękna. Raz, w pobliżu przełęczy Mecowon, w grudniu, gdy temperatura spadła do dwudziestu stopni poniżej zera, ponieważ niebo było

bezczmurne, Włosi wystrzelili pocisk oświetlający. Ekspłodował kaskadą jaskrawego niebieskiego światła na tle tarczy księżyca w pełni, a iskry spływały na ziemię w zwolnionym tempie niczym dusze nieposłusznych aniołów. Gdy to małe magriezjowe słońce kręciło się i płonęło na niebie, czarne sosny wystąpiły z cienia, jakby dotąd, niczym dziewice, kryły się pod welonem, lecz teraz postanowiły wyglądać niczym w niebie. Śnieżne zasy pulsowały żarem absolutnej nieskazitelności lodu, mózdzierz zakasłał posepnie i zahuczała sowa. Po raz pierwszy w życiu zadrzałem od czegoś innego niż zimno; świat zrzucił skórę i ukazał się w postaci energii i światła.

Pragnę wydobrzcć, żeby móc wrócić na front i przeżyć, być może tylko jeszcze jeden jedyny raz, ową niepokalaną chwilę, w której ujrzałem oblicze Gabriela w machinie wojny.

XXIII

30 kwietnia 1941

Krąży opowieść, że w pałacu królewskim, tak rozległym i pustym, że rodzina królewska podróżowała po nim na rowerach, i tak zaniedbanym, że krany wypływały karaluchy, pojawiała się Biała Dama jako zapowiedź katastrofy. Jej kroki były bezgłośnie, a z twarzy biła niechęć; kiedyś, gdy dwaj adiutanci próbowali ją aresztować za napaść na babcię księcia Krzysztofa, Biała Dama ulotniła się. Gdyby błąkała się po pałacu tego dnia, stwierdziłaby, że zajmuje go nie król Jerzy, ale niemieccy żołnierze. Gdyby wyszła do miasta, ujrzałaby flagę ze swastyką powiewającą na Akropolu i musiałaby popłynąć na Kretę, żeby znaleźć króla.

Kefalończycy nie potrzebowali ostrzeżeń ze strony tak złośliwych duchów. Dwa dni wcześniej Włosi zajęli Korfu w groteskowych okolicznościach, mających się dzisiaj powtórzyć, a na wyspie nie było osoby, która nie oczekiwałaby najgorszego.

I właśnie oczekiwanie było torturą. Wielka tęsknota wzbila się niczym namacalna mgła; przypominało to kochanie się po raz ostatni z kimś, kogo uwielbiamy, ale kto na zawsze wyjeżdża. Delektowano się każdą ostatnią chwilą wolności i bezpieczeństwa i zapamiętywano jej smak. Kokolios i Stamatis, komunista i monarchista, zasiedli razem przy stole i czyścili części strzelby myśliwskiej, która przez pięćdziesiąt lat kurzyła się na ścianie. Nie mieli amunicji, ale im – podobnie jak wszystkim na wyspie – wydawało się rzeczą ważną, by zmanifestować jakiś gest oporu. Zajęte palce starały się uspokoić burze niepokoju w sercach i spekulacji w umysłach obu mężczyzn. Rozmawiali ze sobą ściszymi głosami, przyjaźnie i życzliwie, co zadawało kłam latom gwałtownych sporów ideologicznych. Żaden z nich nie wiedział, jak długo jeszcze pożyją, i w końcu wzajemnie docenili swą wartość.

Członkowie rodzin częściej, niż było w zwyczaju, brali się w objęcia: ojcowie, którzy spodziewali się śmiertelnego pobicia, gładzili włosy swoich ślicznych córek, spodziewających się gwałtu. Synowie siadali z matkami na progach domów i cicho snuli wspomnienia. Wieśniacy wytaczali beczki z winem kryjącym w sobie blask słonecznego światła i zakopywali je w ziemi, żeby żaden Włoch nie mógł raczyć się nim z równą przyjemnością jak oni. Babcie ostrzyły kuchenne noże, a dziadkowie wspominali dawne wyczyny, przekonując

siebie, że nie osłabli z wiekiem; w zaciszu swych szop ćwiczyli łopatom i kijami chwyt „na ramię broń”. Wiele osób odwiedzało swe ulubione miejsca, jakby już nigdy nie miało ich zobaczyć, i stwierdzało, że kamienie i kurz, przezroczyste morze i wiekowa skała pograżyły się w aurze smutku, jaki się wyczuwa w pokoju, w którym piękne dziecko znajduje się u progu śmierci.

Ojciec Arsenios klęczał w swoim kościele, próbując znaleźć słowa modlitwy, zdumiony osobliwym wrażeniem, że Bóg sprawił mu zawód. Tak bardzo przywykł do myśli, że już na zawsze jest skazany na rolę tego, który zawiódł Boga, iż nie mógł znaleźć formuły, która nie składałaby się z samych wyrzutów, a nawet zniewag pod własnym adresem. Uciekł się do zwyczajowego frazesu „Panie Jezu, Synu Boży, miej litość nade mną, grzesznikiem”, i pomyślał, że nawet po tych wszystkich latach recytacja owych słów nie trafia mu do serca. W młodości wierzył, że pewnego dnia ta modlitwa odłoni mu wizję boskiej, niestworzonej światłości, ale teraz wiedział, że stała się ona czczymi słowami, barierą dzielącą go od Boga, który jest niemy i niedostępny.

– Panie Jezu, Synu Boga – przemówił w końcu – co Ty, u diabła, wyprawiasz? Jaki sens miała śmierć na Golgocie, skoro szatan nie został pokonany? Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż wygnałeś grzech. Czy w takim razie umarłeś daremnie? Czy masz zamiar pozwolić, byśmy wszyscy umarli na próżno? Może coś zrobisz? Wiem, że w niewidzialny sposób objawiasz się w eucharystii, ale skoro jesteś niewidzialny, skąd mam wiedzieć, że tam jesteś? – Jego tłuste policzki drżały z emocji; czuł się jak chłopiec, który osiągnął pełnoletność i odkrył, że ojciec nie zostawił mu nic w spadku. – Panie Jezu, Synu Boga – modlił się dalej. – Jeżeli nie masz zamiaru interweniować, ja to zrobię.

Doktor Janis jeszcze raz przeczytał przy swoim biurku słynny list otwarty do Hitlera, który Wlachos opublikował w „Kathimerini”. Poruszony szlachetną, górnolotną demonstracją prawa Greków do niezależności narodowej, wyciął go z gazety, wstał i przypiął do ściany pinezką, nieświadom faktu, że wszyscy umiejący czytać ludzie w Grecji uczynili to samo; list pozostał tam aż do 1953 roku, żółknąc i wysychając na pieprz, zawijając się na rogach, a sądy w nim zawarte z każdym mijającym rokiem stawały się głębsze i bardziej aktualne.

Doktor zdjął Psipsinę z biurka, usiadł i napisał:

Mamy zwyczaj porównywać wiele narodów, które uzurpowały sobie prawo do tej wyspy, do Turków. I tak Rzymianie i Normanowie byli gorsi od Turków, katolicy także, sami Turcy prawdopodobnie nie byli tak źli, jak lubimy sobie wyobrażać, i tym samym,

paradoksalnie – lepsi od samych siebie. Rosjanie byli o niebo lepsi, a Francuzi tylko trochę. Ci ostatni lubili budować drogi, ale nie można było im ufać – Turcy nigdy niczego nam nie obiecywali i dlatego z definicji byli niezdolni do wiarołomstwa – a Brytyjczycy byli gorsi niż Turcy przez pewien okres i lepsi od nich wszystkich przez resztę czasu. Powszechna uraza Greków do Brytyjczyków wzięła się stąd, że bezczelnie sprzedali oni Pargę Alemu Paszy, ale na tej wyspie wzbudzał ją gubernator, sir Thomas Maitland, który był skończonym tyranem. Jednakże Charles de Bosset, Szwajcar służący w armii brytyjskiej, zbudował nieoceniony most, biegnący przez zatokę Argostoli. Lord Napier zbudował w Liksuri wspaniałą salę posiedzeń sądu nad targowiskiem Markato z podcieniami i był człowiekiem tak popularnym, że po jego wyjeździe mieszkańcy miasta urządzili składkę na pamiątkowy pomnik. Lord Nugent zyskał tak powszechną sympatię, że nasz parlament wystosował specjalne pismo dziękczynne. Frederic Adam, Stewart McKenzie i John Seaton byli chyba większymi hellenofilami niż my sami, ale generał Howard Douglas był oburzająco, skandalicznie wręcz despotyczny. I tak to trwa. Jaka stąd dla nas nauka?

Taka, że współdziałanie z Brytyjczykami równa się propozycji zawiązania sobie u szyi jednego z dwóch worków – do wyboru. Jeden zawiera żmiję, a drugi złoto. Jeżeli masz szczęście, wybierzesz worek ze złotem, po to tylko, by stwierdzić, że Brytyjczycy zastrzeżli sobie prawo zamiany worków bez uprzedzenia. I na odwrót – pech może sprawić, że wybierzesz worek ze żmiją, po czym Brytyjczycy poczekają, aż gadzina cię ukąsi, i oświadczają, że mieliśmy złych zamiarów. Weź ten drugi worek".

Nie wiemy, co o nich sądzić. Jeśli chodzi o Turków, wiedzieliśmy, że nasi synowie zostaną wcieleni do janczarów, a córki trafią do haremu. Wiedzieliśmy, że zostaniemy zwolnieni ze służby wojskowej, że nie będziemy mogli jeździć konno i że nasi sultani to sabarycy i szaleńcy. Z Brytyjczykami nie można być pewnym niczego z wyjątkiem jednej rzeczy – że potraktują cię nikczemnie, a potem po stokroć ci to wynagrodzą. W pewnym momencie pokochaliśmy ich tak serdecznie, że poprosiliśmy, by księżę Alfred został naszym królem – wciąż też darzymy cziąg lorda Byrona – a innymi czasy oni kopali nas w zęby. Z ciężkim sercem odnotowuję tu fakt, że zostawili nas własnemu losowi, ponieważ sądzili, że wojna nie rozstrzygnie się w Grecji.

Czekam w przygnębieniu, wiedząc, że Korfu padło i że to być może ostatnie słowa, jakie piszę. Powierzam moje wspomnienia potomności i ukochanej córce Pelagii i błagam, by ktoś, kto znajdzie te dokumenty i moją nie dokończoną historię, pozostawił je w nienaruszonym stanie. Modlę się o to, by Brytyjczycy nie opuścili nas nieodwołalnie, i o to,

żeby mogli wywalczyć zwycięstwo, nawet wtedy gdy ja nie będę już żył. Wierzę, że prowadziłem dobre i pożyteczne życie, i gdyby nie córka, która może zginąć, i wnuki, których mogę nigdy nie zobaczyć, to właściwie cieszę się, że umrę w nadziei, iż – jak mówi Platon – śmierć może być zmianą, wędrówką duszy z jednego miejsca na drugie. Nigdy w to nie wierzyłem, ale groźba inwazji przekonuje mnie, że życie może być sprawą smutną i męczącą i że śmierć mogłaby zapoczątkować czas, gdy znowu zaznam spokoju z moją żoną w dowolnym miejscu, do którego mogła odejść. Solon powiedział, że nie powinno się nazywać żadnego człowieka szczęśliwym, dopóki nie umrze, ponieważ do tej chwili w najlepszym razie ma szczęście. Ale ja byłem szczęśliwy – w małżeństwie – a zarazem miałem szczęście – jako ojciec. Obym tylko nie miał szczęścia na próżno.

Doktor sięgnął ręką na najwyższą półkę i zdjął z niej czarne blaszane pudełko. Umieścił w nim plik kartek swojej historii oraz ten ostatni fragment, który jak zwykle zaczął się od jednego tematu, a zakończył na innym, po czym przekręcił klucz. Wsadził pudełko pod pachę, uniósł matę leżącą pod stołem i otworzył drzwi zapadowe, odsłaniając dużą jamę, wydrążoną w 1849 roku, żeby ukryć radykałów, których Brytyjczycy najpierw prześladowali, a potem wprowadzili do rządu. W tej dziurze, w której niegdyś skryli się uchodźcy Josef Momferatos i Jerasimos Liwadas, doktor umieścił swą schedę literacką. Wrócił do biurka, zdjął dwa wielkie tomy „The Complete and Concise Home Doctor” i zaczął przeglądać rozdziały traktujące o „krwawieniu, materiałach opatrunkowych, szoku, opasce uciskowej, ranach od kul, oparzeniach, skaleczeniach, ranach kłutych, aseptyce, drenażu i przepłukiwaniu ran, szczękoscisku, ropie, trepanacji w celu usunięcia bólu spowodowanego wgnieceniem kości czaszki”.

W domu Drosuli, dokąd został przeniesiony Mandras, siedziała nieznośnie zawstydzona córka doktora; zaczęła podejrzewać, że Mandras rozmyślnie ją dręczy.

Jego dolegliwości fizyczne znacznie się zmniejszyły. Czerwone guzki i egzema zniknęły, skóra na stopach zaczęła zdrowieć. Twarz zaokrągliła się trochę, żebra ukryły pod warstewką tłuszczu, włosy zaczęły odrastać, a obłąkańczy blask w oczach przygasł do słabego błysku, ale, zdaniem doktora, nie wskazywało to na poprawę stanu zdrowia psychicznego.

– Szkoda – rzekł – że nie został naprawdę ranny. To dałoby mu konkretny powód do niepokoju.

Uwaga ta zaskoczyła i rozgniewała Pelagię, choć wówczas niczego nie pragnęła bardziej niż wyjąć małego derringera z fartucha i palnąć swemu narzeczonemu w łeb.

Chodziło o to, że Mandras stał się bardziej niesforny niż niemowlę, i Pelagia była przekonana, że się tak zachowuje celowo – za karę lub z chęci zemsty. Pragnął chyba, by czuła rozpaczliwą trwozę, i tak też się stało.

Doktor kwalifikował stan Mandrasa jako stupor wszelkich rodzajów, nie tylko katatoniczny. Niezwykły fakt, że w różnych momentach występowały u chorego wszystkie objawy owych dolegliwości naraz, wskazywał, iż żadna z diagnoz nie jest prawidłowa, lecz Janis nie potrafił znaleźć innego wyjaśnienia. „Szok wojenny” również nie wyjaśniał sprawy do końca i doktor, podobnie jak Pelagia, zaczął odczuwać pokusę przypisania stanu Mandrasa patologicznej potrzebie zniewolenia innych przez popadnięcie w całkowite od nich uzależnienie.

– Myśli, że nikt go nie chce – powiedział doktor Janis – i robi to wszystko, aby zmusić nas do zademonstrowania, że jest inaczej.

Ja też go nie chcę, myślała Pelagia raz po raz, siedząc przy łóżku Mandrasa i szydełkując narzutę, która nigdy nie urosła do rozmiarów większych niż ręcznik.

Mandras rozpoczął swe przejście w stan nieprzystępności, dramatyzując ideę śmierci. Leżał na łóżku zupełnie sztywny, jakby zastygł w stężeniu pośmiertnym, z rękami w powietrzu, wykręconymi w taki sposób, że żaden normalny człowiek nie utrzymałby ich w tej pozycji dłużej niż przez minutę. Ślina ściekała z jego ust na ramię i wsiąkała w siennik. Drosula podłożyła mu ścierkę, ale po paru minutach stwierdziła, że Mandras odwrócił głowę i ślina ścieka teraz po drugim ramieniu. Ze względu na ułożenie rąk syna miała ogromne trudności z jego ubieraniem i rozbieraniem. Doktor zbadał, czy pacjent nie popadł w katatonię, wbijając mu w ciało szpilki; Mandras nie zareagował i nie zamknął powieki, gdy Janis zaczął nakłuwać również jego oko. Karmiono go zupą wlewaną przez rurkę do gardła. Przez wiele dni, dopóty dopóki Drosula nie przestała go do tego przymuszać, nie oddawał moczu ani stolca. Potem zapaskudził pościel tak gruntownie, że musiała wybiec z domu, żeby nie zwymiotować.

Dwudziestego piątego marca Mandras wstał z łóżka, by celebrować święto narodowe, ubrał się i wyszedł; wrócił o trzeciej nad ranem, rozbawiony i pod gazem. Drosula i Pelagia wzięły się za ręce i płąsały wkoło, śmiejąc się z radości i ulgi.

Nazajutrz jednak Mandras wrócił do łóżka – bierny i niemy jak przedtem. Sztywność w jego członkach ustąpiła miejsca stanowi, w którym chory zdawał się wypierać swojego ciała. Doktor podniósł rękę Mandrasa, a gdy ją puścił, opadła z powrotem na łóżko niczym luźno wypchana szmatami pończocha. Temperatura jego ciała obniżyła się, a wargi nabrzmiały i zsiniały, tętno gwałtownie wzrosło; oddychał tak płytko, że można było odnieść

wrażenie, iż wzgardził powietrzem.

Dzień później stan Mandrasa nie uległ zmianie, tyle że teraz dziko, lecz wprawnie zwalczał każdą próbę ruszenia go z miejsca lub nakarmienia. Drosula sprowadziła Kokoliosa, Stamatisa i Welisariosa, ale nawet dwaj krzepcy starcy i olbrzym nie potrafili zmusić Mandrasa do otwarcia ust i jedzenia. Wyglądało na to, że postanowił zagłodzić się na śmierć. Kokolios zaproponował wysmaganie batem, tradycyjne lekarstwo dla obłąkanych, i zademonstrował jego skuteczność, uderzając pacjenta mocno w twarz. Mandras usiadł nagle, przyłożył dłoń do policzka, rzekł: „Cholera. Dostanę cię, ty draniu” – i opadł na pościel. Wszyscy obecni byli już wtedy tak rozwścieczeni i zniechęceni, że pomyśl, by go wybatożyć, wcale nie wydawał im się taki zły.

Mandras trwał w swej taktyce oporu i głodowania aż do dziewiętnastego kwietnia, kiedy to wieczorem cudownie ozdrowiał, akurat na wielkie uroczystości wielkanocne. W Wielki Czwartek zabito i przygotowano do pieczenia jagnięta, jajka ufarbowano na czerwono i natarto oliwą. Mandras z trudem oparł się pokusie tradycyjnej zupy z soczewicy. W Wielki Piątek po wyspie dryfował aromat chleba wielkanocnego, pieczonego przez kobiety, a w sobotę mężczyźni piekli jagnięta na rożnie, dogadywali sobie i upijali się w nieprzyzwoity sposób, podczas gdy ich żony trudziły się przy gotowaniu zupy i wyrobie kielbasy. W tym czasie Mandras leżał bez ruchu w łóżku, robiąc pod siebie i mocząc się, gdy tylko Drosula zmieniła pościel.

W sobotni wieczór jednak wstał, po czym – ubrany na czarno – niosąc nie zapaloną czarną świecę, przyłączył się do ponurej procesji ikon, zmierzającej do klasztoru w Sissii. Wydawał się zupełnie normalny; gdy Stamatis życzył mu powrotu do zdrowia, Mandras odparł: „Oby Bóg cię wysłuchał”, a gdy Kokolios poklepał go po plecach i gratulował mu nagłego pojawienia się wśród żywych, posłał mu swój dawny szeroki uśmiech i odpowiedział porzekadłem: „Jestem Grekiem, a my, Grecy, nie podlegamy prawom natury”.

W zupełnych ciemnościach i ciszy kościoła Mandras czekał z rosnącym napięciem. Stan niepewności był nie do zniesienia, a dogasająca wojna przydała świętom goryczy; czy Chrystus nadal zmartwychwstaje, gdy giną Grecy? Było wielu takich, co zastanawiali się, czy przypadkiem nie był to ich ostatni wielki post na ziemi, i trzymali swoje dzieci za ręce mocniej i czulej. Posiadacze zegarków zauważyli, że minuty dłużą się bardziej niż dawniej, a stojący dalej wierni wyciągali szyje, by lepiej widzieć ikonostas.

W końcu kapłan pojawił się z zapaloną świecą i zagrzmiał:

– *Christos anesti, Christos anesti!*

Wielki okrzyk radości wydobył się z ust pielgrzymów, którzy odpowiedzieli:

– *Alithos anesti, alithos anesti!*

Zaczęli zapalać świece.

– Chrystus zmartwychwstał! – zawołała również Drosula, biorąc syna w objęcia.

– Zaiste! – wykrzyknął Mandras i pocałował Pelagię w policzek. Zastaniając zarumienioną twarz ręką, dziewczyna zastanawiała się, czy i Mandras zmartwychwstał. Napotkała spojrzenie Drosuli i uświadomiła sobie, że obie myślą o tym samym. Dzwony rozdzwoniły się na całej wyspie, ludzie krzyczeli i podskakiwali w triumfalnej radości, psy wyły, osły ryczały, a koty miauczały; fala ożywienia i wiary ulżyła sercom, a ludzie pozdrawiali się słowami *Christos anesti*, niestrudzenie wysłuchując w odpowiedzi *alithos anesti*. Ubiegłotygodniowy post (który, prawdę mówiąc, obowiązywał od miesięcy) dobiegł końca i lada moment miało nastąpić cudowne rozmnożenie chleba, ponieważ ludzie wydawali uczty – długo na nie oszczędzali produkty i improwizowali, jak jedne zastąpić drugimi – uczty mające stanowić wyzwanie dla Duce, akt nieposłuszeństwa i oporu.

Przez cały czas uczty po północy i przy jagnięcinie w niedzielę Mandras wydawał się znowu sobą. Zupa z podrobów i sos jajeczno-cytrynowy znikwały w jego żołądku, jakby właśnie wrócił z całodziennego połowu, a jagnięciem, oproszonym oregano i obficie naszpikowanym ząbkami czosnku, zajadał się z wilczym apetytem, godnym Turka. Ale w niedzielę wieczorem zrzucił ubranie i, jakżeby inaczej, z powrotem powlókł się do łóżka.

Tym razem naśladował nie tylko objawy umierania, ale czynił to z wszelkimi pozorami niesłychanego cierpienia duchowego. Nie ruszał się ani nie odzywał, puls mu osłabł, oddychanie ograniczył do niezbędnego minimum, a wyraz jego twarzy wymownie świadczył o gorzkiej i niezwyklej niedoli. Doktor wyjaśnił Drosuli, że Mandras prawdopodobnie utracił siłę woli, i natychmiast się zmieszał, gdy jego pacjent usiadł i poprosił, by sprowadzić księdza.

Ojciec Arsenios stwierdził, że nie jest w stanie zmieścić się w wąskich drzwiach domu, więc Mandrasa wyniosła za próg jego potwornej brzydoty matka i pozostawiła go na nadbrzeżu, by mógł porozmawiać z duchownym.

– Czyniłem straszliwe rzeczy – wyznał Mandras. – Rzeczy tak straszliwe, że nie potrafię ich nazwać. – Mówił z ogromnym wysiłkiem, wypowiedanie słów sprawiało mu ból, głos był prawie niedosłyszalny.

– Tak czy owak, wymień je – odparł Arsenios, który wciąż pocił się po długim marszu z wioski; podobne sytuacje zawsze przepelniały go bezmiernym lękiem.

– Popełniłem cudzołóstwo. Pieprzyłem się z królową.

– Rozumiem – rzekł Arsenios. Zapadła długa cisza.

– Pieprzyłem się z królową Kirke, ponieważ myślałem, że to ktoś inny.

– Królowa nie ma na imię Kirke, więc nic się nie stało – zauważył Arsenios, żałując, że zgodził się przyjść.

– Boże, pomóż mi, bo nie jestem godzien dalej żyć – ciągnął Mandras chrapliwym, konfidencjonalnym szeptem. – I spotkała mnie kara.

– Kara?

Mandras poklepał się po kolanie i zapytał:

– Widzi ksiądz? Nie mogę poruszyć nogami. A wie ksiądz dlaczego?

– Przed chwilą widziałem, jak nimi ruszasz.

Mandras wolno, mechanicznym ruchem, który przypominał obrót koła zębatego, pokręcił głową.

– Są ze szkła.

Ojciec Arsenios wstał i wrócił na miejsce, gdzie dyskretnie oddalone stały Pelagia i Drosula.

– Wiem, co mu dolega – oświadczył.

– Co takiego, ojcze? – zapytała Drosula głosem pełnym matczynego niepokoju i nadziei.

– On zupełnie oszalał. Powinniście go wysłać do domu wariatów przy klasztorze świętego i czekać na cud. – Gruby kapłan powoli, kaczkowatym krokiem ruszył z powrotem w górę wzniesienia, pozostawiając kręcące głowami kobiety samym sobie. Ku ich zaskoczeniu, Mandras wstał i podszedł do nich, sztywny w biodrach i kolanach. Zatrzymał się przed nimi, z żalu załamał ręce, zerwał płat skóry z pokrytej jeszcze egzemą nogi, pomachał nią im przed oczami, po czym zaczął gmerać przy guzikach swojej nocnej koszuli i zaskrzeczał:

– Ze szkła.

Wrócił do łóżka. Dwa dni później nastąpił okres histerycznej furii. Zaczął się przeciągłym wrzaskiem, zwieńczonym niezwykle próbą amputowania sobie nogi łyżką; potem Mandras rzucił się na Pelagię i Drosulę, a wszystko zakończyło się trzydziestego kwietnia atakiem przerażająco świadomego oburzenia, gdy Mandras całkowicie – jak się wydawało – odzyskawszy rozsądek, oświadczył, że Pelagia powinna przeczytać mu swoje listy. To właśnie wprowadziło ją w stan skrajnego zażenowania i zawstydzenia.

Zaczęła od pierwszych listów – tych, w których miłość i poczucie rozłąki wylewały

się na papier w lirycznych crescendach, godnych poezji romantycznej:

Agapeton, agapeton! Kocham Cię, tęsknię i martwię się o Ciebie, nie mogę się doczekać Twojego powrotu, chcę brać Twą kochaną twarz w dłonie i całować, dopóki moja dusza nie odleci z aniołami, pragnę wziąć Cię w ramiona i kochać Cię tak, by zatrzymał się czas i spadały gwiazdy. Marzę o Tobie w każdej sekundzie każdej minuty i z każdą sekundą coraz wyraźniej rozumiem, że Ty jesteś samym życiem, żeś droższy mi nad życie, żeś jedyną rzeczą, która w życiu może coś znaczyć...

Czuła, jak jej policzki oblewają się rumieńcem irytacji, była przerażona gejzerami uczuć, które wydawały się płodem jej drugiego, gorszego ja. Skurczyła się ze wstydu, jak wtedy gdy ciotka przypominała jej o czymś, co zrobiła lub powiedziała jako naprawdę urocze dziecko. Słowa miłości więzły jej teraz w gardle i zostawiały posmak goryczy na języku, ale ilekroć milkła, Mandras spoglądał na nią z błyskiem w oczach i żądał, by czytała dalej.

Z ulgą, która omal nie przyprawiła jej o mdłości, doszła do listów, w których stopniowo zaczęły przeważać suche fakty. Głos jej nie był już taki napięty i zaczęła się odprężać. Ale Mandras uderzył się nagle pięściami po udach i zawołał:

– Nie chcę tego, nie chcę tych głupstw, nie chcę słuchać o tym, jak wszyscy się denerwują tym, że nie piszę! Chcę innych szczegółów. – Jego głos, płaczliwy niby głos rozwydrzonego dziecka, rozdrażnił ją, ale bała się siły Mandrasa i jego mściwego szaleństwa i dalej czytała listy, pomijając wszystko oprócz fragmentów, w których odmalowywała bogactwo i głębię swego uczucia.

– Listy robią się zbyt krótkie! – wykrzyknął Mandras. – Są zbyt krótkie. Myślisz, że nie wiem, co to znaczy? – Chwyć ostatni list z dołu sterty i wymachiwał jej nim przed oczyma. – Popatrz na to! Cztery linijki i to wszystko. Myślisz, że nie wiem dlaczego? Czytaj.

Pelagia wzięła list i przebiegła go oczyma, z góry wiedząc, co zawiera:

W ogóle do mnie nie piszesz. Początkowo byłam smutna i zmartwiona. Teraz zdaję sobie sprawę, że nie potrafisz kochać, i to sprawiło, że ja także przestałam darzyć Ciebie uczuciem. Chcę, żebyś wiedział, że postanowiłam Cię zwolnić z danego słowa. Przykro mi.

– Przeczytaj go – zażądał Mandras.

Pelagia była przerażona. Niezdarnie obracała kartkę w dłoniach i uśmiechała się uspokajająco.

– Strasznie gryzmołę. Nie jestem pewna, czy potrafię odcyfrować ten list.

– Czytaj.

Odchrząknęła i zaimprovizowała drżącym głosem:

– „Mój kochany, proszę, wróć do mnie szybko. Tak strasznie mi Cię brakuje. Tęsknię za Tobą bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Trzymaj się z dala od kul i... ” – Przerwała, gdyż przyprawiała ją o mdłości obłuda konieczna do odegrania roli w tej szaradzie. Podejrzewała, że tak właśnie musi czuć się kobieta zbezczeszczona przez nieznanego.

– I co? – nie ustępował Mandras.

– „I nie wiem, jak mam wyrazić ogrom mej miłości” – niby to odczytała Pelagia, zamykając w desperacji oczy.

– Przeczytaj wcześniejszy list.

List ten zaczynał się od słów: *Wczoraj wydawało mi się, że widziałam jaskółkę, a to oznacza, że wraca wiosna. Mój ojciec...* , ale Pelagia zawahała się i znowu zaczęła improwizować:

– „Mój kochany! Myślę, że jesteś jak jaskółka, która odleciała, lecz pewnego dnia wróci do gniazda, które wyμοściłam dla Ciebie w moim sercu... ”

Mandras zmusił Pelagię do przeczytania wszystkich listów, wręczając jej jeden po drugim, tak że ze łzami w oczach i drzeniem w głosie przeżyła czyścicową godzinę koszarnej paniki; każdy list był udręką Syzyfa, pot spływał dziewczynie po twarzy i szczypał w oczy. Błagała o przerwę, ale spotkała się z odmową. Czuła się martwa, gdy tak rozpaczliwie wymyślała miłe słówka dla człowieka, którego zaczęła najpierw żałować, a potem nienawidzić.

Uratował ją rytmiczny warkot samolotów. Drosula wbiegła do domu, krzycząc:

– Włosi, Włosi! To inwazja!

Dzięki ci, Boże, dzięki, pomyślała Pelagia, niemal natychmiast uświadamiając sobie nedorzecznosc swojej ulgi. Wybiegła z Drosula przed dom, stała u jej boku, gdy pękate torbacze z rykiem przelatywały nad ich głowami, wyrzucając z siebie długie warkocze maleńkich czarnych laleczek, które nagle podrywały się w górę, gdy otwierały się ich spadochrony. Wyglądały one równie ładnie i miło jak świeże grzyby na polu pełnym wiosennej rosy.

Nic nie było tak, jak przewidywano. Ci, którzy sądzą, że ogarnie ich wściekłość, czuli zdziwienie, zaciekawienie lub popadali w apatię. Ci, którzy spodziewali się, że będą przerażeni, odczuwali lodowaty spokój i przyływ ponurej determinacji. Ci, którzy od dawna czuli straszny niepokój, uspokojali się; była także kobieta, która doświadczała powszechnej

niemal obawy przed zbawieniem.

Pelagia pobiegła na wzgórze, by być razem z ojcem. Kierowała się odwiecznym instynktem, który nakazuje, by ci, co darzą się miłością, jednoczyli się przed śmiercią. Znalazła go w drzwiach domu; stał w nich jak wszyscy inni, osłaniając oczy przed słońcem, i przyglądał się lądującym spadochroniarzom. Zdyszana, wpadła w jego ramiona i poczuła, że ojciec drży. Czyżby się bał? Spojrzała nań, gdy pogładził ją po włosach, i z lekkim niepokojem uświadomiła sobie, że ojciec porusza ustami, a oczy mu błyszczą nie ze strachu, lecz z podniecenia. Janis popatrzył na nią, wyprostował się i machnął ręką w stronę nieba.

– Historia – oświadczył. – Cały czas piszę historię, a teraz historia dzieje się na moich oczach. Pelagio, moja droga córko, zawsze chciałem żyć w historii. – Puścił ją, wszedł do domu i wrócił z notesem i zatemperowanym ołówkiem.

Samoloty zniknęły i nastąpiła długa cisza. Tak jakby nic nie miało się wydarzyć.

Tymczasem na okolicznych przystaniach żołnierze dywizji pancerniej „Acqui” pokornie schodzili na ląd z barek desantowych i radośnie, lecz nieśmiało machali do ludzi stojących w drzwiach domów. Paru pogroziło w odpowiedzi pięściami, inni machali, a wielu wykonywało dobitny gest dłonią, który jest tak obraźliwy, że w późniejszych latach miano zań karać więzieniem.

Pelagia obserwowała wraz z ojcem, jak plutony spadochroniarzy idą spokojnie przez wioskę, a ich dowódcy studiują mapy, marszcząc brwi i ściągając usta. Niektórzy z Włochów byli tak mali, że wydawali się niżsi od swoich karabinów.

– Zabawna zgraja – zauważył doktor. Z tyłu jednego szeregu krokiem defiladowym maszerował szczególnie drobny mężczyzna. Trzymał pod nosem palec, co miało imitować wąsy; kogucie pióra chwiały się na jego hełmie. Wybałuszył oczy i gdy przechodził obok Pelagii, wyjaśnił:

– *Signor Hitler*. – Pragnął, by zrozumiała żart i śmiała się z niego.

Kokolios stojący przed swoim domem wyzywająco wyciągnął rękę z pięścią zaciśniętą w komunistycznym pozdrowieniu, po to tylko, by zmieszać się zupełnie, gdy pozbawiona oficera grupka mijających go żołnierzy wzniosła okrzyk na jego cześć i energicznie, wręcz przesadnie, odpowiedziała takim samym gestem. Opuścił rękę. Szczeka opadła mu ze zdumienia. Czy tamci drwili sobie z niego, czy też w faszystowskiej armii również są towarzysze?

Jakiś oficer szukający swoich ludzi zatrzymał się i, wymachując doktorowi przed oczyma mapą, zapytał niecierpliwie:

– *Ecco una carta della Cephallonia. Dove è Argostoli?*²⁰ Doktor spojrział w ciemne oczy, osadzone w urodziwej twarzy, stwierdził nieuleczalny przypadek skrajnej uprzejmości i odparł po włosku:

– Nie znam włoskiego, a Argostoli leży mniej więcej naprzeciwko Liksuri.

– Jak na kogoś, kto nie zna włoskiego, mówi pan bardzo dobrze – zauważył oficer, uśmiechając się, i dodał: – Więc gdzie leży Liksuri?

– Naprzeciwko Argostoli. Niech pan znajdzie jedno, a znajdzie pan i drugie, tyle że drogę między nimi musi pan pokonać wpływ.

Pelagia szturchnęła ojca w żebra, lękając się o niego. Ale oficer westchnął, uniósł hełm, podrapał się w czoło i zerknął na nich spod oka.

– Pójdę za innymi – rzekł i pośpiesznie odszedł. Chwilę później wrócił, wręczył Pelagii złoty kwiatek i znowu zniknął.

– Niesamowite – mruknął doktor, zapisując coś napędce w swoim notesie.

Kolumna żołnierzy znacznie elegantszych niż większość pozostałych przemaszerowała obok równym krokiem. Na ich czele pocił się kapitan Antonio Corelli z 33. pułku artylerii. Na plecach przewieszony miał futerał na mandolinę, którą nazwał Antonią, ponieważ była jego drugą połową. Spostrzegł Pelagię i zawołał:

– *Bella bambina!* Na le-wo patrz!

Głowy żołnierzy zgodnie obróciły się nagłym ruchem i przez jedną zdumiewającą minutę Pelagia oglądała defiladę najkomiczniejszych i najbardziej groteskowych błazeństw i min, jakie zdołał wymyślić człowiek. Był tam żołnierz, który zrobił zeza i wywinął dolną wargę, drugi, który odął usta i posłał jej całusa, trzeci, który przemienił swój marsz w chód Chaplina, następny, który przy każdym kroku udawał, że potyka się o własne stopy, i jeszcze jeden, który przekręcił hełm na bok, rozdał nozdrza i przewrócił oczami tak straszliwie, że źrenice zniknęły mu pod powiekami. Pelagia przyłożyła dłoń do ust.

– Tylko się nie śmieję – nakazał jej doktor półgłosem. – Mamy obowiązek ich nienawidzić.

²⁰ To mapa Kefalonii. Gdzie jest Argostoli?

XXIV

Niewdzięczni kapitulanci

Na Kefalonię przybyłem dopiero w połowie maja, a przeniesiono mnie tam – do 33. pułku artylerii w dywizji „Acqui” – tylko dlatego, że uszkodzenia mięśni uda uczyniły mnie czasowo niezdolnym do czegokolwiek poza służbą garnizonową. Byłem wówczas tak bardzo rozczarowany wojskiem, że dla świętego spokoju pojechałbym wszędzie tam, gdzie mógłbym snuć wspomnienia i rozdrapywać rany. Przeżywałem coś w rodzaju skrajnej depresji, nachodzącej żołnierzy, którzy zdali sobie sprawę, że walczą po niewłaściwej stronie. Wymaga to bezmiaru wysiłku i całkowicie wyczerpuje odwagę i rozsądek, aż wreszcie wydaje się, że nic już nie zostało; prawdę powiedziawszy, czułem pustkę w głowie i próżnię w klatce piersiowej. Wciąż byłem oniemiały z żalu po śmierci Francesca i wstrząśnięty własną głupotą oraz niezdolnością uznania, że marzenia o przemienieniu moich wad w zalety opierały się na błędnym założeniu; co prawda miłość do Francesca natchnęła mnie do wielkich rzeczy, ale zapomniałem o tym, że on może umrzeć. Wyruszyłem na wojnę jako romantyk, a wyszedłem z niej stroskany, posępny i samotny. Przychodzi mi na myśl określenie „ze złamanym sercem”, tyle że jest nieadekwatne w opisie uczucia kompletnego załamania psychicznego i fizycznego wyczerpania. Wiedziałem, że chcę uciec – zazdrościłem naszym żołnierzom w Jugosławii, którzy przeszli na stronę przeciwnika i przyłączyli się do dywizji „Garibaldi” – ale w końcu nie można uciec od potworów, które pożerają od wewnątrz, a jedyny sposób, by je pokonać, to zmagać się z nimi jak Jakub z aniołami lub Herkules z wężami albo ignorować je, dopóki nie zrezygnują i nie odstąpią. Uczyniłem to drugie, a sprawę ułatwił mi mały cud, który nazywał się kapitan Antonio Corelli. Stał się on dla mnie źródłem optymizmu, swego rodzaju świętym, który nie nosił odpychających znamion pobożności, świętym, który uważał pokusę raczej za coś, z czym należy igrać, niż za coś, czemu należy się opierać, lecz który pozostał człowiekiem honoru, ponieważ nie potrafił być inny.

Po raz pierwszy spotkałem go w obozie w pobliżu Argostoli, zanim jeszcze

kwatremistrzowie zorganizowali nam kwatery u miejscowej ludności. Był środek wiosny, pora, gdy wyspa jest najpiękniejsza i panuje na niej największy spokój. Wcześniej pogoda bywa bardzo burzliwa, a później może być nieznośnie gorąco, ale wiosną powietrze jest balsamiczne, wieje lekka bryza, nocą kropi deszcz, a dzikie kwiaty rozkwitają w nieprawdopodobnych miejscach. Po wojennych udrękach wydawało się, że zstąpiłem z łodzi do Arkadii; wrażenie pokoju było tak przytłaczające, że czułem smutek, wdzięczność i niedowierzanie. Trafiłem na wyspę, gdzie nie można było popaść w przygnębienie, gdzie złe emocje nie mogły zaistnieć. Gdy przybyłem na miejsce, żołnierze dywizji „Acqui” poddali się już jej urokom, opadli na jej poduszki, zamknęli oczy i pogrążyli się w łagodnym śnie. Zapomnieliśmy, że jesteśmy żołnierzami.

Pierwszym zjawiskiem, które mnie zaintrygowało, była bolesna wręcz przejrzystość światła. Byłoby chyba niedorzecznością twierdzić, że powietrze na Kefalonii ma zerową gęstość, ale światło jest tu tak jasne i tak czyste, że oślepia na moment i poraża, choć nie czuje się bólu. Przez parę dni chodziłem, mrużąc przed nim oczy. Stwierdziłem, że na Kefalonii noc zapada nie poprzedzona zmierzchem, a przed deszczem światło przypomina masę perłową. Po deszczu wyspa pachnie sosnami, ciepłą ziemią i ciemnym morzem.

Drugą rzeczą, która mnie, o dziwo, uderzyła, były niewiarygodne rozmiary i wiek drzew oliwnych. Szerniałe i sękaty, powykręcane i grube, sprawiały, że czułem się dziwnie efemeryczny. Drzewa robiły wrażenie, jakby już tysiąc razy widziały ludzi takich jak my i przyglądały się, jak wyjeżdżają. Miały w sobie wytrwałość i wszechwiedzę. We Włoszech ścinamy stare drzewa i sadzimy nowe, ale tutaj można było położyć rękę na starej korze, spojrzeć na skrawki nieba przebłyskujące przez baldachim liści i poczuć się karłem na myśl o tym, że inni mogli robić to samo pod tym samym drzewem przed tysiącem lat. Grecy utrzymują te drzewa przy życiu dzięki ich umiejętnemu przycinaniu, robią to z pokolenia na pokolenie, i być może drzewa przywykają do rodziny w taki sam sposób, jak dom lub stado owiec. Trzecią uderzającą dla mnie sprawą była spokojna, stanowcza godność wyspiarzy; później miałem się przekonać, że nasi żołnierze również byli pod jej wrażeniem. Wielu z naszych chłopaków to hałaśliwa i nieokrzesa zgraja, jaką spotyka się w każdym wojsku, kryminaliści, którzy przypadkiem odkryli legalny sposób dopuszczania się wszelkich draństw; niektórzy byli dostatecznie pijani i podli, by postępować tak, jakby podbój wyspy zapewnił im władzę nad miejscową ludnością, ale faktem jest, że wyspiarze od początku dali wyraźnie do zrozumienia, że nie będą tolerować żadnych niedorzeczności bez względu na to, czy mamy broń, czy nie. Na szczęście oficerowie dywizji byli ludźmi honoru i jestem całkowicie pewien, że gdyby nie to, mieszkańcy wyspy bardzo szybko wznicieliby powstanie,

tak jak uczynili to Grecy w rejonach okupowanych przez Niemców.

Zilustruję dumę tutejszych mieszkańców, opisując, co się wydarzyło, gdy zwróciliśmy się do nich, by się poddali. Usłyszałem tę historię od kapitana Corellego. W swych opowieściach Corelli przejawiał skłonność do teatralnej przesady, ponieważ był oryginałem w każdym calu; zawsze wyolbrzymiał okoliczności i mówił rozmaite rzeczy przez wzgląd na ich walory rozrywkowe, z ironicznym brakiem poszanowania dla prawdy. Życie obserwował najczęściej z uniesionymi brwiami i nie miał w sobie ani krzty owej subtelnej dumy, powstrzymującej ludzi od żartów z samych siebie. Byli tacy, którzy uważali, że jest trochę szalony, ale ja widzę w nim człowieka, który tak bardzo kochał życie, że nie dbał o wrażenie, jakie wywiera na innych. Uwielbiał dzieci; widziałem, jak całuje w czoło małą dziewczynkę i wiruje, trzymając ją w ramionach, podczas gdy cała jego bateria stoi na baczność w oczekiwaniu na inspekcję; uwielbiał też rozśmieszać ładne kobiety, strzelając obcasami i salutując im z tak przesadną elegancją, że zakrawało to na drwinę ze wszystkiego, co wojskowe. Gdy salutował generałowi Gandinowi, jego gesty zdawały się bezczelnie wręcz niedbałe; rozumiecie więc zapewne, jakiego rodzaju był człowiekiem.

Po raz pierwszy natknąłem się na niego w obozowych latrynach. Jego bateria miała latrynę znaną jako La Scala, ponieważ Corelli założył mały klub operowy, którego członkowie wypróżniali się tam każdego rana o tej samej porze, siedząc rzędem na drewnianej desce z opuszczonymi do kostek spodniami. Corelli miał dwóch barytonów, trzech tenorów, basę i kontratenora (który był obiektem ciągłych drwin spowodowanych tym, że musiał śpiewać wszystkie partie kobiece) i chodziło o to, by każdy z nich wypróżniał się lub puszczał bąki w trakcie crescendo, gdy śpiew zagłuszał inne odgłosy. W ten sposób zmniejszali uczucie ponizenia wywołane wspólnym oddawaniem stolca, a cały obóz rozpoczynał dzień, nucąc porywającą melodię, która dolatywała z wychodków. Moim pierwszym doświadczeniem z La Scalą było wysłuchanie o wpół do ósmej rano chóru na kowadła przy akompaniamencie ogromnych, dźwięcznych kotłów. Naturalnie nie mogłem się oprzeć pokusie sprawdzenia, co to takiego, i podszedłem do płóciennego ogrodzenia z napisem „La Scala” namalowanym bryzgami białej farby. Poczulem przerażający smród, ale wszedłem do środka, by ujrzeć rząd żołnierzy strających na swych grzędach, z zaczerwienionymi twarzami, śpiewających z wielką ochotą i walących łyżkami w stalowe hełmy. Byłem zmieszany i zdumiony zarazem, szczególnie gdy zobaczyłem, że wśród nich siedzi oficer, beztrąsko dyrygując tym koncertem za pomocą trzymanego w prawej ręce ptasiego pióra. Oficerowi w mundurze zazwyczaj się salutuje, zwłaszcza gdy ma na głowie czapkę. Mój salut był pośpiesznym i nie dokończonym gestem, towarzyszącym wycofaniu się

– nie znałem przepisów, które regulują salutowanie umundurowanemu oficerowi w bryczesach spuszczonech do połowy masztu podczas ćwiczenia, które polega na chóralnym wydalaniu na terytorium okupowanym.

Później miałem dołączyć do operowej socjety, „zgłoszony na ochotnika” przez kapitana, gdy usłyszał, jak śpiewam, czyszcząc buty, i uznał, że mogę zostać jeszcze jednym barytonem. Wręczył mi kartkę wykradzioną z dziennika rozkazów generała Gandina; przeczytałem, co następuje:

ŚCIŚLE TAJNE Z rozkazu Naczelnego Dowództwa, Supergreccia, bombardier Carlo Pietro Guercio ma się zgłaszać do służby operowej na każde życzenie kapitana Antonia Corellego z 33. pułku artylerii dywizji „Acqui”. Zasady angażu:

1) Wszyscy wezwani do regularnych zadań muzycznych zobowiązani są grać na instrumencie muzycznym (łyżkach, blaszanym hełmie, grzebieniu, itp.)

2) Każdy, kto uparcie odmawia wyciągania wysokich tonów, zostanie wykastrowany, a jego jądra ofiarowane na cele dobroczynne.

3) Każdy, kto twierdzi, że Donizetti jest lepszy od Verdiego, zostanie przebrany za kobietę, wyśmiany przed baterią i jej działami, będzie nosił garnek na głowie, a w skrajnych przypadkach zostanie zmuszony do odśpiewania „Funiculi Funicula” i wszelkich innych utworów o kolejach, jakie kapitan Antonio Corelli zechce wybrać.

4) Wszyscy miłośnicy Wagnera zostaną natychmiast rozstrzelani bez sądu i prawa apelacji.

5) Pijaństwo jest dozwolone jedynie w wypadkach, gdy kapitan Antonio Corelli nie płaci za drinki.

Podpisano: generał Vecchiarelli, Naczelnny Dowódca, Supergreccia, w imieniu Jego Wysokości króla Wiktora Emanuela.

W opowieści kapitana o zdobyciu Kefalonii mowa jest o tym, że w czasie desantu włoscy dowódcy pojechali do ratusza w Argostoli, żeby przyjąć kapitulację od władz miasta.

Stanęli przed ratuszem w towarzystwie oddziału uzbrojonych żołnierzy i wyprawili posłańca z żądaniem przekazania budynku i władzy nad wyspą. Z ratusza nadchodzi wiadomość, która brzmi po prostu: „*Va fanculo*”. Szok i wielka konsternacja wśród naszych oficerów. To nie jest język dyplomacji i chyba niezbyt stosowna odpowiedź ze strony tych, którzy rzekomo trzęsą się ze strachu pod obcasem zdobywcy. Włosi wysyłają zatem następną wiadomość, grożąc szturmem na budynek. Z ratusza nadchodzi oświadczenie, że każdy

Włoch żądający kapitulacji zostanie natychmiast zastrzelony.

Dodatkowa konsternacja, wywołana spekulacjami, czy ludzie w ratuszu rzeczywiście mają broń. Oficerowie są zażenowani na myśl, że naprawdę mieliby planować oblężenie. Wysyłają następną wiadomość, żądając wyjaśnień, i z ratusza nadchodzi propozycja: „Jeśli nie rozumiecie, co znaczy »odpierdolicie się«, to wejdźcie tutaj, a my już wam pokazemy”. „O cholera” – kwitują to oficerowie, stojąc na palącym słońcu. Następuje około półgodzinna zwłoka. Rośnie zamieszanie, po czym z budynku nadchodzi kolejna nota: „Kategorycznie odmawiamy kapitulacji przed narodem, którego wojska rozgromiliśmy, i żądamy prawa poddania się wysokiemu rangą oficerowi niemieckiemu”. W końcu z Zakinthos, Korfu czy skądinąd przylatuje niemiecki oficer i przedstawiciele władz dumnie opuszczają ratusz, upokorzywszy nas i pokonawszy pierwszego dnia naszego podboju.

To właśnie opowiedział mi Corelli. Jestem przekonany, że trochę upiększył swą relację. Prawdą jednak jest, że władze Argostoli stanowczo odmówiły poddania nam wyspy i w końcu rzeczywiście musieliśmy ściągnąć jakiegoś Niemca. Corelli uważał, że ta historia jest bardzo zabawna, i lubił ją opowiadać, mnożąc za każdym razem liczbę przesyłanych wiadomości i zniewag, podczas gdy my rumieniliśmy się ze wstydu.

Myślę, że Corelli potrafił śmiać się z tej historii, ponieważ muzyka była jedyną rzeczą, którą traktował poważnie, dopóki nie poznał Pelagii. Co do mnie, pokochałem go tak bardzo, jak kochałem Francesca, lecz w zupełnie inny sposób. Przypominał jedną z tych saprofitycznych orchidei, która może tworzyć wrażenie harmonii i piękna i zadziwić nawet wtedy, gdy rośnie i rozkwita na stercie gnoju, na cmentarzysku. Corelli pozwolił rdzewieć swojemu karabinowi, a nawet zgubił go raz czy dwa razy, ale wygrywał bitwy, uzbrojony jedynie w mandolinę.

XXV

Opór

Na całej wyspie pojawiały się graffiti, których twórcy złośliwie lub dla zabawy wykorzystywali fakt, że Włosi nie potrafili odcyfrować greckiego alfabetu. Mylili R z P, nie wiedzieli, że G może wyglądać jak Y lub odwrócone L, nie mieli pojęcia, co oznacza trójkąt, sądzili, że E to H, traktowali thetę jako odmianę O, nie zdawali sobie sprawy, że litera w kształcie namiotu jest identyczna z tą, która wygląda jak odwrócone Y, zbijały ich z tropu trzy poziome kreseczki, które można było również zapisywać w postaci zawijasa, pamiętali z lekcji matematyki, że n równa się 22 podzielone przez 7, nie uświadamiali sobie, że niedokładnie zapisane E to S, że Y można również zapisywać jako U i że w rzeczywistości brzmi ono jak I, byli zdezorientowani istnieniem O z pionową kreseczką, które naprawdę było literą F, nie rozumieli, że X to CH, zupełnie nie potrafili znaleźć nic, czego symbolem mogłby być elegancki trójkąt, i odkrywali, że omega przypomina kształtem kolczyk. Tak więc, panowały idealne warunki do nocnego mazania białą farbą napisów wielkimi literami na wszelkich możliwych murach, zwłaszcza że zakrętasy odręcznego pisma potrafiły uczynić je jeszcze bardziej tajemniczym. Napis ENOSIS walczył o miejsce z ELEFThERIA, hasło „Niech żyje król” współistniało bez jawnej sprzeczności z „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”, „Makaroniarze, wypierdalać” sąsiadowało z „Duce, ty gównojadzie”. Jakiś wielbiciel twórczości lorda Byrona napisał chwiejnym pismem łacińskim: „Śniło mi się, że Grecja może odzyskać wolność”, a generał Colakoglu, ów kolaborancki przywódca greckiego narodu, pojawiał się wszędzie w karykaturalnej postaci, popełniając różne nieprzyzwoite czyny z Duce.

W kafenijonach i na polach ludzie opowiadali dowcipy o Włochach: „Ile biegów ma włoski czołg? Jeden do przodu i cztery wsteczne”. „Jaki tytuł nosi najkrótsza książka na świecie? „Księga włoskich bohaterów wojennych»”. „Ilu Włochów potrzeba do wkręcenia żarówki? Jednego do trzymania żarówki i dwustu do obracania pokoju”. „Jak się wabi pies Hitlera? Benito Mussolini”. „Dlaczego Włosi noszą wąsy? Żeby przypominały im ich matki”. Z kolei włoscy żołnierze w obozie pytali: „Skąd wiadomo, że Greczynka ma okres?” Odpowiedź brzmiała: „Stąd, że nosi tylko jedną pończochę”. Nastąpił długi okres

przejściowy, podczas którego te dwie grupy trzymały się z dala od siebie, rozbijając za pomocą dowcipów nerwową podejrzliwość po jednej stronie i gniewną urazę po drugiej. Grecy w tajemnicy dyskutowali zawzięcie o partyzantach, o tworzeniu ruchu oporu, a Włosi nie wystawiali nosa poza obóz i jedynymi przejawami ich aktywności było ustawianie baterii, codzienny rekonesans samolotem wodno-ładowym oraz konny patrol po godzinie policyjnej, który przejeżdżał powolnym klusem o zmierzchu, a jego członkom bardziej zależało na oczarowaniu greckich kobiet niż egzekwowaniu okupacyjnych rygorów. Potem podjęto decyzję o zakwaterowaniu oficerów u wybranych członków miejscowej społeczności.

Pelagia dowiedziała się o tym po raz pierwszy, gdy wróciła od studni i stwierdziła, iż jakiś pulchny włoski oficer stoi w kuchni w towarzystwie sierżanta i szeregowca, rozglądając się i notując swoje obserwacje ołówkiem tak tęnym, że sam musiał odczytywać to, co napisał, trzymając kartkę pod światło.

Pelagia przestała się już bać gwałtu i miała zwyczaj rzucać groźne spojrzenia pożądliwie łypiącym oczyma żołnierzom i uderzać po rękach, które badawczo szczypały ją w tyłek; Włosi okazali się skromnymi Romeami, którzy godzą się z odtrąceniem, ale nie porzucają nadziei. Mimo to gdy weszła do domu i zobaczyła żołnierzy, poczuła przypływ lęku, i gdyby nie chwila wahania, pewnie podałyby tyły i uciekła. Pulchny oficer uśmiechnął się wylewnie, podniósł ręce w geście oznaczającym: „Wyjaśniłbym, gdybym mógł, ale, niestety, nie mówię po grecku”, i westchnął w taki sposób, jakby mówił: „Jak miło mi rozkoszować się widokiem tak urodziwej dziewczyny. To żenujące, że zastaje mnie pani w swojej kuchni, ale cóż mogę na to poradzić?” Pelagia odparła:

– *Aspettami, uengo21* – i pobiegła sprowadzić ojca z kafenijonu.

Żołnierze zaczęli, jak prosiła; niebawem zjawiała się z ojcem, który z lekkim drżeniem gotował się do tego spotkania. Lęk czekał tylko, by wlać się do jego serca i je osłabić, pojawiła się jednak także zimna i obojętna odwaga, nachodząca tych, którzy są

²¹ Proszę poczekać, zaraz przyjdę.

zdecydowani z godnością przeciwstawić się uciskowi; przypomniał sobie swą radę dla chłopaków w kafenijonie: „Używajmy naszego gniewu w rozsądny sposób” – i wyprostował ramiona. Żałował, że nie zachował swoich wąsów z nawoskowanymi końcami i nie może teraz podkreślić ich z surową i złowrogą miną.

– *Buon giorno* – rzekł oficer, ufnie wyciągając dłoń. Doktor dostrzegł pojednawczość tego gestu i brak aroganckiej dumy zdobywcy i ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu uścisnął podaną rękę.

– *Buon giorno* – odparł. – Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z krótkiego, niestety, pobytu na naszej wyspie.

Oficer uniósł brwi i zapytał:

– Krótkiego?

– Przegnano was z Libii i Etiopii – wyjaśnił doktor, ekstrapolację znaczenia swych słów pozostawiając Włochowi.

– Mówi pan bardzo dobrze po włosku – rzekł oficer. – Jest pan pierwszym takim człowiekiem, z jakim się tu zetknąłem. Bardzo potrzebujemy tłumaczy, którzy by nam pomogli w kontaktach z ludnością. Zapewnilibyśmy im przywileje. Mam wrażenie, że tutaj nikt nie zna włoskiego.

– Chyba chodzi panu o to, że żaden z was nie mówi po grecku.

– W rzeczy samej. To właśnie miałem na myśli.

– Jest pan bardzo uprzejmy – zjadliwie zauważył doktor Janis – ale myślę, że szybko przekona się pan, że ci z nas, którzy mówią po włosku, nagle tracą pamięć, gdy będą musieli to robić.

Oficer roześmiał się.

– W tych okolicznościach to zrozumiałe. Nie chciałem pana urazić.

– Jest jeszcze Pasquale Lacerba, fotograf. To Włoch i mieszka w Argostoli, ale chyba nawet on nie chciałby z wami współpracować. Chociaż jest dostatecznie młody, by nie mieć oleju w głowie. Jeśli chodzi o mnie, jestem lekarzem i mam wystarczająco dużo pracy bez kolaborowania z wrogiem.

– Warto spróbować – rzekł kwatermistrz. – Na ogół nie rozumiemy, co się wokół dzieje.

– Nie szkodzi – zauważył doktor. – Może mógłby mi pan wyjaśnić, co was tu sprowadza?

Oficer zachnął się, niespokojnie zmieniając pozycję, świadom niezręczności sytuacji.

– No cóż, mówię to z przykrością i wielkim żalem, ale... będziemy zmuszeni

zakwaterować w tym domu oficera.

– Tu są tylko dwa pokoje, mojej córki i mój. To zupełnie niemożliwe i, jak przypuszczalnie zdaje pan sobie sprawę, oburzające. Muszę odmówić. – Doktor zjeżył się niczym rozwścieczony kot, a kwatermistrz poskrobał się po głowie ołówkiem. Niezręczność sytuacji polegała na tym, że doktor mówił po włosku; w innych domach kwatermistrz unikał scen tego rodzaju, pozostawiając niefortunnym gościom wyjaśnianie sprawy za pomocą pomruków i gestykulacji, w chwili gdy pojawiali się bez zapowiedzi z tornistrami i kierowcami. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie – doktor, unosząc dumnie podbródek, a Włoch, poszukując sformułowań, które byłyby stanowcze i pojednawcze zarazem. Nagle Janis zmienił wyraz twarzy i zapytał:

– Powiedział pan, że jest kwatermistrem?

– Nie, *signor dottore*, sam pan to wydedukował. Owszem, jestem nim. Dlaczego pan pyta?

– Więc ma pan dostęp do artykułów medycznych?

– Naturalnie – odparł oficer. – Mam dostęp do wszystkiego. – Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia, doskonale czytając w swoich myślach.

– Brakuje mi wielu rzeczy, a wojna tylko pogorszyła sytuację – rzekł Janis.

– A mnie brakuje mieszkania. Więc?

– Więc umowa stoi – rzekł doktor.

– Stoi – powtórzył kwatermistrz. – Gdy tylko będzie pan czegoś potrzebował, proszę przesłać mi wiadomość przez kapitana Corellego. Jestem pewien, że będzie pan nim oczarowany. Aha, byłbym zapomniał. Zna pan jakiś sposób na odciski? Nasi lekarze są do niczego.

– Do wyleczenia pana odcisków potrzebna byłaby mi chyba morfina, strzykawki podskórne, maść siarkowa i jodyna, neosalwarsan, bandaże i płótno opatrunkowe, spirytus, kwas salicylowy, skalpele i kolodium – odparł doktor – ale będę tego potrzebował sporo, jeśli mnie pan dobrze rozumie. Tymczasem zaś niech pan zdobędzie buty, które będą na pana pasowały.

Gdy kwatermistrz odjechał, zabierając z sobą szczegółowe zapotrzebowanie Janisa, zaniepokojona Pelagia wzięła ojca pod rękę i zapytała:

– Ale tatusiu, gdzie on ma spać? Czy mam dla niego gotować? Co? Nie mamy prawie nic do jedzenia.

– Dostanie moje łóżko – odparł doktor, doskonale wiedząc, że córka zaprotestuje.

– O nie, tatku, dostanie moje. Będę spała w kuchni.

– Skoro nalegasz, *koricimu...* Pomyśl tylko o wszystkich lekarstwach i sprzęcie, który do nas trafi. – Janis zatarł ręce i dodał: – Sekret życia pod okupacją polega na wykorzystywaniu wyzyskiwaczy. A także na tym, by wiedzieć, jak stawiać opór. Myślę, że będziemy okropni dla tego kapitana.

Wczesnym wieczorem przyjechał kapitan Corelli, przywieziony przez swojego nowego barytona, bombardiera Carla Piera Guercio. Dżip z poślizgiem zatrzymał się przed domem, wzbijając kłęby kurzu i piskliwy popłoch wśród kurczaków na drodze, i na podwórko weszli dwaj żołnierze. Carlo spojrział na drzewo oliwne, zdumiony jego wielkością, a kapitan rozglądał się dokoła, delektując się oznakami spokojnego domowego życia. Był tu koziołek przywiązany do drzewa, pranie wiszące na sznurku rozpiętym od pnia do domu, bugenwilla i winorośl, stary stół, na którym leżała mała sterta posiekanych cebul. Była także młoda, ciemnooka kobieta w chustce na głowie i z dużym nożem kuchennym w dłoni. Kapitan padł przed nią na kolana i teatralnie zawołał:

– Błagam, nie zabijaj mnie, jestem niewinny!

– Niech się pani nim nie przejmuje – doradził Carlo. – Zawsze robi z siebie błazna. Nie potrafi się powstrzymać.

Pelagia uśmiechnęła się wbrew woli i wbrew swoim postanowieniom i napotkała spojrzenie Carla. Był potężny, wielki jak Welisarios. W nogawce jego bryczesów mogłoby się zmieścić dwóch normalnych mężczyzn, a z koszuli, którą miał na sobie, mogłaby uszyć dwie dla swojego ojca. Kapitan poderwał się na nogi i rzekł:

– Kapitan Antonio Corelli, ale jeśli pani chce, może mi pani mówić maestro, a to... – ujął Carla za rękę – ... jeden z naszych bohaterów. Ma sto medali za uratowanie życia i żadnego za odebranie.

– To nic takiego – powiedział Carlo, uśmiechając się nieśmiało.

Pelagia uniosła wzrok na wysokiego żołnierza i intuicyjnie wyczuła, że mimo swych rozmiarów, mimo ogromnych rąk, którymi mógłby objąć kark wołu, jest łagodnym i smutnym człowiekiem.

– Odważny Włoch to wybryk natury – zauważyła z goryczą, przypominawszy sobie ojcowskie zalecenia, by być tak nieuprzejmą, jak tylko potrafi.

Corelli zaprotestował:

– Carlo uratował ранnego towarzysza na polu walki, pod ostrzałem. Zasłynął w całej armii, a w dodatku nie przyjął awansu. To jednoosobowy ambulans. I niesamowity człowiek.

Świadczy o tym grecka kula w jego nodze. A to... – postukał futerał trzymany w ręce – ... jest Antonia. Być może później dokonamy bardziej formalnej prezentacji. Bardzo pragnie panią poznać, podobnie jak ja. Czy mogę zapytać, pod jakim imieniem znają panią ludzie?

Pelagia po raz pierwszy porządnie przyjrzała się kapitanowi i zaskoczona uświadomiła sobie, że to ten sam oficer, który rozkazał swemu plutonowi komediantów patrzeć na nią, gdy maszerowali przed ich domem. Zarumieniła się. Corelli rozpoznał ją w tej samej chwili i zagryzł dolną wargę, udając zawstydzenie.

– Ach! – wykrzyknął i sam wymierzył sobie klapsa w rękę. Znowu upadł na kolana, z szelmowską skruchą zwiesił głowę i łagodnie dodał: – Przebacz mi, Ojczy, bom zgrzeszył. *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa.* – Uderzył się w piersi i otarł wyimaginowaną łzę.

Carlo wymienił spojrzenia z Pelagią i wzruszył ramionami.

– On zawsze się tak zachowuje.

Doktor Janis wyszedł z domu, ujrzał kapitana klęczącego przed swoją córką, dostrzegł wyraz rozbawienia na jej twarzy i rzekł:

– Kapitan Corelli? Chcę z panem zamienić parę słów. Natychmiast.

Corelli, zaskoczony władczą nutą w głosie starszego mężczyzny, wstał speszony i wyciągnął dłoń. Doktor nie podał mu swojej i rzekł szorstko:

– Żądam wyjaśnień.

– W jakiej sprawie? Nic nie zrobiłem. Musi mi pan wybaczyć, żartowałem sobie tylko z pana córką. – Poruszył się nerwowo, świadom smutnego faktu, że chyba kiepsko rozpoczął swój pobyt tutaj.

– Chcę wiedzieć, dlaczego obtłukliście pomnik.

– Pomnik? Pan wybaczy, ale ...

– Pomnik, ten pośrodku mostu, który zbudował de Bosset. Został obtłuczony.

Kapitan ściągnął w zdumieniu brwi, a potem rozpromienił się.

– Ach, chodzi panu o ten most przez zatokę w Argostoli. Co się stało z pomnikiem?

– Miał na obelisku napis „Ku chwale Brytyjczyków”. Słyszałem, że paru waszych żołnierzy odłupało litery. Myślicie, że naszą historię można tak łatwo wymazać? Jesteście na tyle głupi, aby myśleć, że zapomnimy treść napisu? Czy tak właśnie toczycie wojny? Odłupując litery? To ci dopiero bohaterstwo! – Doktor podniósł głos, uderzając w nową, porywczą nutę. – Niech mi pan powie, kapitanie, czy spodobałoby się panu, gdybyśmy poobtłukiwali płyty nagrobne na włoskim cmentarzu?

– Nie miałem z tym nic wspólnego, signor. Obwinia pan niewłaściwego człowieka. Przepraszam za ten karygodny czyn, ale... – wzruszył ramionami – ... to nie ja podjąłem

decyzję i to nie byli moi żołnierze.

Doktor popatrzył nań spode łba i podniósł palec, dziurawiąc nim powietrze.

– Nie byłoby tyranii, kapitanie, ani wojen, gdyby słudzy nie lekceważyli głosu sumienia.

Kapitan spojrział na Pelagię, jakby w oczekiwaniu wsparcia; miał niemile wrażenie, że posłano go z powrotem do szkoły.

– Muszę zaprotestować – powiedział bez przekonania.

– Nie może pan protestować, bo nic tego nie usprawiedliwia. I może mi pan powie, czemu zakazano nauczania historii Grecji w naszych szkołach? Czemu wszyscy muszą się uczyć włoskiego, he?

Pelagia uśmiechnęła się do siebie; nie potrafiła już zliczyć, ile razy jej ojciec snuł dywagacje o absolutnej konieczności i sensowności wprowadzenia w szkołach obowiązkowej nauki włoskiego.

Sam kapitan miał ochotę wić się niczym mały chłopiec, przyłapany na wykradaniu z puszek cukierków przeznaczonych na niedzielę.

– W imperium włoskim – rzekł, czując gorzki smak słów – rzeczą logiczną jest, by wszyscy uczyli się włoskiego... Sądzę, że to z tego powodu. Ale powtarzam, nie jestem za to odpowiedzialny. – Zaczął się wyraźnie pocić. Doktor rzucił mu spojrzenie, które miało być, i było, miażdżące.

– Żalotne – rzekł i odwrócił się na pięcie. Wszedł do domu i usiadł przy swoim biurku, bardzo z siebie zadowolony. Pochylił się, rozłościł Psipsinę, łechcąc ją po wąsach i wyznał kunie: – Dałem mu już popalić.

Kapitan Corelli stał oniemiały na podwórku; Pelagii było go żal.

– Pani ojciec jest... – rzekł kapitan, ale zabrakło mu słów.

– Owszem – potwierdziła.

– Gdzie mam spać? – zapytał Corelli, chętnie korzystając z możliwości odwrócenia jej uwagi od tego, co się zdarzyło; jego dobry humor ulotnił się bez śladu.

– W moim łóżku – odparła Pelagia.

W normalnych okolicznościach Antonio Corelli zapytałby pogodnie: „Więc będziemy je dzielić? Cóż za gościnność!”. Teraz jednak, po słowach doktora, był przerażony tą informacją.

– Wykluczone – rzucił pośpiesznie. – Tej nocy prześpię się na podwórku, a jutro

poproszę o inną kwatere.

Pelagia była zdumiona trwogą, która wezbrała w jej sercu.

Czyżby było w niej coś, co pragnęło, by ten cudzoziemiec, ten intruz, został? Weszła do domu i przekazała ojcu decyzję Włocha.

– On nie może odejść – oświadczył doktor. – Jak mam się z nim szorstko obchodzić, jeżeli go tu nie będzie? A poza tym to przystojny chłopak.

– Tatusiu, przez ciebie poczuł się jak śmieć. Mało brakowało, a zaczęłabym mu współczuć.

– Współczułaś mu, *coricimu*. Widziałem to na twojej twarzy. – Janis wziął córkę za rękę; wrócili na podwórze. – Młody człowieku – rzekł do kapitana – zostanie pan tutaj, czy pan tego chce, czy nie. Całkiem możliwe, że wasz kwatermistrz postanowiłby wcisnąć nam kogoś jeszcze gorszego.

– Ale żebym miał sypiać w łóżku pana córki, *dottore*? To nie byłoby... to byłoby okropne.

– W kuchni będzie jej wygodnie, kapitanie. Nie obchodzi mnie, jak fatalnie się pan czuje, to nie mój problem. Ja nie jestem agresorem. Rozumie mnie pan?

– Tak – odparł kapitan zawstydzony, niezupełnie rozumiejąc, co się z nim dzieje.

– *Kiria* Pelagia przyniesie wodę, trochę kawy i mezedakię. Przekona się pan, że potrafimy być gościnni. Nasza tradycja nakazuje, kapitanie, okazywać gościnność nawet tym, którzy na nią nie zasługują. To kwestia honoru, którego pojęcie jest panu pewnie trochę obce. Pana okazałych rozmiarów przyjaciel może się do nas przyłączyć.

Carlo i kapitan niepewnie zabrali się do jedzenia placków ze szpinakiem, smażonej młodej kałamarnicy i gołąbków z liści winogrodu nadziewanych ryżem. Doktor patrzył na nich groźnie, zachwycony udaną inauguracją swego nowatorskiego planu oporu, a dwaj żołnierze unikali jego spojrzenia, wypowiadając grzeczne i błahe uwagi o pięknie wieczoru, niezwyklej wielkości drzewa oliwnego i wszelkich rzeczach nie związanych z wojną, jakie przyszły im na myśl.

Carlo z przyjemnością odjechał, a przygnębiony kapitan usiadł na łóżku Pelagii. Była pora wieczornego posiłku i mimo zakąsek burczało mu w brzuchu – oto co znaczy siła przyzwyczajenia. Myśl o większej ilości tego wspaniałego jedzenia sprawiła, że zrobiło mu się słabo. Doktor wszedł do pokoju i powiedział:

– Rozwiązaniem pana problemu jest spożywanie dużych ilości cebuli, pomidorów, pietruszki, bazylii, oregano i czosnku. Czosnek zlikwiduje zakażenie odbytu, a pozostałe składniki, razem wzięte, zmiękczą stolec. Bardzo ważną rzeczą jest nieprzeciążanie żołądka, a

jeśli już je pan mięso, to proszę to robić zawsze z dodatkiem sporych ilości płynu i warzyw.

Kapitan patrzył, jak doktor wychodzi z pokoju, i czuł się bardziej upokorzony, niż wydawało mu się to dotąd możliwe. Skąd ten starzec mógł wiedzieć, że on cierpi na hemoroidy?

W kuchni doktor zapytał Pelagię, czy zauważyła, że kapitan stąpa bardzo ostrożnie i od czasu do czasu się krzywi.

Ojciec i córka zasiedli do kolacji, brzękając sztućcami o talerze, i czekali dopóty, dopóki nie nabrali pewności, że Włoch kona z głodu i czuje się jak obdartus, którego bojkotują w szkole. Potem zaprosili go do stołu. Usiadł z nimi i jadł w milczeniu.

– To placek z mięsem po kefalońsku – powiedział doktor pouczającym tonem. – Tyle że, dzięki pana ludziom, nie ma w nim ani grama mięsa.

Po kolacji, gdy nocny patrol przejechał już koło ich domu, doktor oznajmił o swoim zamiarze pójścia na spacer.

– Ale jest godzina policyjna... – zaprotestował Corelli, na co Janis odparł:

– Urodziłem się tutaj, to moja wyspa. – Wziął kapelusz i fajkę i majestatycznie wyszedł.

– Żądam stanowczo... – zawołał na próżno kapitan za doktorem, który roztropnie okrążył dom i przeczekał kwadrans na murku, podsłuchując rozmowę dwojga młodych ludzi.

Pelagia popatrzyła na siedzącego przy stole oficera i poczuła, że musi go podnieść na duchu.

– Co to jest Antonia? – zapytała.

Corelli unikał jej spojrzenia.

– Moja mandolina. Jestem muzykiem.

– Muzykiem? W wojsku?

– Gdy znalazłem się w wojsku, kiria Pelagia, życie tam polegało głównie na otrzymywaniu pieniędzy za zbijanie bąków. Mnóstwo czasu na ćwiczenie. Miałem zamiar zostać najlepszym mandolinistą we Włoszech, a potem odszedłbym do cywila i zarabiał graniem na życie. Nie chciałem być kawiarnianym grajkiem, chciałem grać Hummla, Conforta i Giulianiego. Zapotrzebowanie na mandolinistów jest niewielkie, więc trzeba być bardzo dobrym.

– Chce pan powiedzieć, że został pan żołnierzem przez pomyłkę? – zapytała Pelagia, która nigdy nie słyszała o żadnym z tych kompozytorów.

– Mój plan się nie powiódł. Duce uległ swym wielkim złudzeniom. – Corelli popatrzył

na nią ze smutkiem.

– Po wojnie – powiedziała.

Pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Po wojnie.

– Chcę być lekarką – wyznała Pelagia, która nigdy nie wspomniała o tym zamiarze swojemu ojcu.

Tamtej nocy, w chwili gdy odpływała w sen pod kocami, usłyszała stłumiony krzyk. Wkrótce potem w kuchni zjawił się nieco przerażony kapitan, opasany ręcznikiem. Pelagia usiadła, przyciskając pościel do piersi.

– Pani wybaczy – powiedział, zauważywszy jej zatrwożenie – ale mam wrażenie, że na moim łóżku leży ogromna łasica.

Pelagia roześmiała się.

– To nie łasica, tylko Psipsina. Nasza ulubienica. Zawsze śpi w moim łóżku.

– Co to za zwierzę?

Pelagia nie potrafiła się oprzeć chęci wypróbowania ojcowskiej metody oporu.

– Nie słyszał pan nigdy o greckich kotach?

Kapitan popatrzył na nią podejrzliwie, wzruszył ramionami i wrócił do swojego pokoju. Podszedł do kuny i na próbę pogłaskał ją po głowie palcem wskazującym. Poczul przyjemną miękkość sierści.

– *Micino, micino*²² – zagadał niepewnie i zaczął pieścić jej uszy. Psipsina obwąchała palec, wyczuła, że może być jadalny, i ugryzła go.

Kapitan Corelli wyrwał rękę, przyjrzał się kroplom krwi tryskającej z palca i usiłował powstrzymać zawstydzająco dziecinne łzy, które napływały mu do oczu. Próbował stłumić siłą woli narastające pieczenie w ranie. Miał pewność, że zęby przeszły ciało do kości. Nigdy, w całym swoim życiu, nie czuł się tak nie kochany. Ci Grecy. Gdy mówili *ne*, znaczyło to „tak”, gdy kiwali głowami, oznaczało to „nie”, a im bardziej byli rozzłoszczeni, tym szerzej się uśmiechali. Tutaj nawet koty pochodziły z innej planety, i w dodatku ich złośliwość nie mogła mieć żadnego motywu.

Leżał ponizony na twardej i zimnej podłodze, nie mogąc zasnąć, dopóki Psipsina nie zatęskniła za Pelagią i nie poszła jej szukać. Wtedy kapitan położył się z powrotem na łóżku, wdzięczny losowi za materac.

²² kotek, kicia

– Mmm – mruknął i uświadomił sobie, że rozkoszuje się zanikającym, lecz wciąż wyczuwalnym zapachem młodej kobiety. Przez chwilę myślał o Pelagii, przypominając sobie czyste w rysunku zagłębienie w białym ciele, w miejscu gdzie szyja przechodzi w pierś i ramię, i w końcu zasnął.

Obudził się w nocy z uczuciem obrzydliwego gorąca na karku i łaskotania w podbródek. Gdy oprzytomniał, zrozumiał, że ów okropny grecki kot owinał mu się wokół szyi i śpi jak zabity. Przerażony kapitan próbował się lekko przesunąć. Zwierzę wydało senny pomruk.

Corelli leżał sparaliżowany przez, jak mu się zdawało, wiele godzin, pocąc się, znosząc świerzbień i nienaturalne ciepło i słuchając pohukiwania sów i niesamowitych odgłosów nocy. W pewnej chwili zorientował się, że ciężar na jego szyi wydziela słodki, kojący zapach. Była to woń przyjemnie łącząca się z zapachem Pelagii. W końcu kapitan odpłynął w sen i z jakiegoś powodu śnił bez związku o słoniach, bakelicie i koniach.

XXVI

Ostre krawędzie

Świt zastał kapitana Antonia Corellego u wejścia na podwórko, gdzie na próżno czekał, aż Carlo po niego przyjedzie. On jednak złamał zawieszenie w swoim dziupie i był teraz zajęty kopaniem w opony i przeklinaniem głębokich dziur w jezdni, które zniweczyły trud wczesnej pobudki. Był już śmiertelnie przerażony tym, że zawiódł kapitana – stan znany wszystkim, którzy służyli pod jego komendą – a jego rozdrażnienie wzmoгло się, gdy próbował zapalić papierosa i nagle spostrzegł, że pałeczka sproszkowanego tytoniu wysunęła się z papierowej rurki i tli się beczelnie w pyłe drogi; został mu tylko kawałek palącej się bibułki, który przywarł do jego dolnej wargi. Carlo oderwał bibułkę razem z kawałkiem naskórka. Oblizwał piekącą ranę, dotknął jej palcem i przeklął Niemców za to, że udało im się zmonopolizować dostawy najlepszego tytoniu. Jakiś chudy stary wieśniak siedzący bokiem na grzbiecie osła minął go, spostrzegł zepsuty, przechylony na jedną stronę wehikuł, uśmiechnął się z zadowoleniem i uniósł rękę w geście obojętnego pozdrowienia. Carlo zacisnął zęby i uśmiechnął się.

– Pierdolić tę wojnę – rzekł, ponieważ dla Greka to pozdrowienie było równie dobre jak każde inne.

Wyglądało na to, że tego rana nie będzie koncertu La Scali, chyba że członkowie towarzystwa miłośników opery sami zdołaliby poprowadzić chór żołnierski. Zostawił dżipa i rozpoczął mozolny marsz w kierunku wioski.

Welisarios przeszedł obok i obaj spojrzeli na siebie z czymś na kształt uznania w oczach. Welisarios schudł wprawdzie i osłabł od czasu, gdy poszedł na wojnę, ale nadal był najpotężniejszym mężczyzną, jakiego widziały ludzkie oczy, a Carlo, pomimo podobnych przeżyć po drugiej stronie frontu, dorównywał mu wzrostem. Obaj tytani oswoili się już z przynębiającym podejrzeniem, że są wybrykami natury; rola nadczłowieka była brzemieniem, którego, jak się zdawało, nie można dzielić ze zwykłymi ludźmi i którego nie sposób im unaocznic, bo i tak wszelkie wyjaśnienia przyjęliby z niedowierzaniem.

Obaj byli zdumieni i na chwilę zapomnieli, że są wrogami.

– Hej! – wykrzyknął Welisarios, unosząc ręce w radosnym geście.

Carlo, nie znając okrzyku, który byłby zrozumiały dla Greka, chybił celu nieudanym półśrodkiem, który brzmieniem przypominał „ung”. Poczęstował Welisariosa jednym ze swoich okropnych papierosów. Grek wziął go do ręki i gestykulowali ze skwaszonymi minami, zaciągając się ostrym jak igły dymem.

– Pierdolić tę wojnę – rzekł Carlo na pożegnanie i każdy ruszył w swoją stronę.

Carlo poczuł wielkie zadowolenie. Kilometr dalej Welisarios napotkał unieruchomionego dżipa, przystanął w zadumie i poszedł po znajomego. Wrócił z nim, po czym po kolei podnosił każdy róg samochodu, a jego kompan zdejmował koła. Następnie spuścił wodę z chłodnicy i napełnił ją benzyną z kanistra przymocowanego z tyłu wozu.

Corelli nadal czekał. Doktor minął go w drodze do kafenijonu, zawczasu poirytowany faktem, że kawa tam serwowana ma teraz smak szlamu rzecznoego i smoły i z każdym dniem staje się coraz droższa.

– *Buon giorno!* – zawołał kapitan. Doktor odwrócił się i rzekł:

– Mam nadzieję, że nie zmrużył pan oka.

Kapitan uśmiechnął się z rezygnacją.

– Nie wiedzieć czemu śniły mi się zwierzęta z bakelitu. Przypominały delfiny o ostrych krawędziach i skakały na wszystkie strony. Było to bardzo niepokojące. A w dodatku ugryzł mnie wasz kot. – Corelli pokazał zraniony palec, a doktor przyjrzał mu się badawczo.

– Jest bardzo spuchnięty – orzekł – i prawdopodobnie w ranę wda się zakażenie. Ugryzienia kun mogą być groźne w skutkach. Na pana miejscu pokazałbym palec lekarzowi. – To rzekłszy, ruszył w swoją stronę, pozwalając, by kapitan powtórzył głupekowato:

– Kuny? – Zorientował się, że Pelagia nieszkodliwie zażartowała sobie z niego, ale, o dziwo, poczuł się upokorzony i zawstydzony własną naiwnością.

Gdy Pelagia wyszła przed dom, stwierdziła, że uzurpator jej łóżka podrzuca Lemoni w powietrzu. Dziewczynka wykrzykiwała coś i raz po raz wybuchała śmiechem; okazało się, że przy okazji odbywa się lekcja włoskiego.

– *Bella fanciulla*²³ – mówił kapitan i czekał, aż Lemoni powtórzy jego słowa.

– *Bla fanszla* – mówiła mała, chichocząc, a kapitan podrzucał ją w górę i wołał:

– *No, no, bella fanciulla* – z upodobaniem akcentując podwójne „l”, czekał, aż Lemoni opadnie w jego ramiona i unosił brwi w oczekiwaniu na jej następną próbę.

²³ ładna dziewczynka

– Bla fanszla! – wykrzykiwała Lemoni triumfalnie, by znowu frunąć pod niebo.

Pelagia uśmiechnęła się, widząc tę scenę, i wtedy ujrzała dziewczynę Lemoni. Kapitan skierował spojrzenie w tę stronę, co mała, i wyprostował się, nieco zażenowany.

– *Buon giorno, kiria* Pelagia. Wygląda na to, że mój kierowca się spóźnia.

– Co to znaczy, co to znaczy? – zapytała Lemoni, tak bezwzględnie wierząca we wszechwiedzę dorosłych, iż była przekonana, że Pelagia zdoła jej to wyjaśnić. Pelagia poklepała ją po policzku, odgarnęła kosmyki włosów z jej oczu i odparła:

– To znaczy „śliczna dziewczynka”, *koricimu*. A teraz zmiataj, jestem pewna, że ktoś się za tobą stęsknił.

Dziewczynka odbiegła w swój zwykły, narwany sposób, wymachując rączkami i podśpiewując:

– Klituś baj duś, klituś baj duś.

Corelli zapytał z wyrzutem:

– Czemu ją pani odprawiła? Świetnie się bawiliśmy.

– Fraternalizacja – odparła Pelagia. – To nieprzyzwoite, nawet u dziecka.

Corellemu zrzędała mina. Czubkiem buta odgarnął pył spod nóg. Spojrzał w niebo, spuścił głowę i westchnął. Nie patrząc na Pelagię, z głęboką szczerością powiedział:

– *Signorina*, w takich czasach jak obecne, podczas wojny, wszyscy musimy wykorzystać do maksimum nieliczne niewinne przyjemności, jakie nam jeszcze zostały.

Pelagia dostrzegła w jego twarzy rezygnację i znużenie. Zrobiło się jej wstyd. W ciszy, która zapadła po jego słowach, oboje rozmyślali o własnej niegodziwości.

– Chciałbym pewnego dnia mieć taką śliczną dziewczynkę dla siebie – wyznał po chwili kapitan, i nie czekając na odpowiedź, ruszył w kierunku, z którego miał nadjechać Carlo.

Pelagia przyglądała się, jak odchodzi, i snuła własne myśli. Jego odwrót wzbudził w niej dojmujące poczucie samotności. Weszła do domu, zdjęła z półki dwa tomy „The Complete and Concise Home Doctor”, otworzyła je na stole i z niewinną miną przeczytała rozdziały poświęcone rozmnażaniu, chorobom wenerycznym, porodowi i mosznie. Później wrywkowo czytała o obłożonym języku, odbycie i zaburzeniach jego funkcji oraz o lękach.

W obawie przed rychłym powrotem ojca z kafenijonu w końcu odłożyła tomy z powrotem na półkę i zaczęła obmyślać powody opóźnienia koniecznej wyprawy do studni. Posiekała parę cebul, nie mając pewności, do jakiej potrawy ich użyje, lecz pragnąc, by ojciec dostrzegł konkretne świadectwo jej aktywności, po czym wyszła przed dom, by uczesać swego roztargnionego koziołka. Znalazła dwa kleszcze i mały guz na luźnej skórze zadu.

Martwiła się tym, czy powinna się tym zmartwić, a potem zaczęła rozmyślać o kapitanie. Mandras przyłapał ją na marzeniach.

W dniu inwazji, przeklinając, wygramolił się z łóżka – całkowicie uleczony. Tak jakby nadejście Włochów było czymś na tyle ważnym i doniosłym, że wykluczało luksus zażywania choroby. Doktor udał, że go to nie dziwi, ale Drosula i Pelagia zgodnie uznały, że jest coś podejrzanego w schorzeniu, które można usunąć tak nagle i gruntownie. Mandras zszedł nad morze i pływał ze swoimi delfinami, jakby nigdy nie wyjeżdżał; wrócił odświeżony, ze słoną wodą zasychającą w zmierzwionych włosach, z uśmiechem na ustach i rozluźnionymi mięśniami torsu, i wspiął się na wzgórze z cefalem w darze dla Pelagii. Nastroszył uszy Psipsinie, na chwilę zawisł na drzewie oliwnym i pozostawił narzeczoną w przekonaniu, że jest bardziej szalony w swoim nowym, normalnym stanie psychicznym niż wtedy, gdy był obłąkany. Ilekroć go teraz widywała, czuła się bardzo nieswojo.

Wzdrygnęła się, gdy poklepał ją po ramieniu. Mimo jej prób zdobycia się na promienny uśmiech, Mandras nie omieszkiał dostrzec iskierki niepokoju w oczach dziewczyny. Zignorował to, ale później miał ją sobie przypomnieć.

– Cześć – powiedział. – Zastałem twojego ojca? Wciąż mam chorą skórę na ręce.

Pelagia, zadowolona, że może skupić uwagę na czymś konkretnym, zaproponowała:

– Pozwól, że ją obejrzę.

– Liczyłem na to, że zobaczę się z kataryniarzem, a nie z jego małpką – pogodnie odparł Mandras.

Usłyszał tę metaforę na froncie i bardzo mu się spodobała. Długo czekał na możliwość jej użycia. Wydawała mu się dowcipna, a sądził, że to, co dowcipne, jest także czarujące. Niczego nie pragnął tak bardzo, jak oczarować Pelagię i na powrót rozbudzić w niej miłość, którą – jak się obawiał – na nieszczęście utracił.

Ale w oczach Pelagii błysnął płomień i Mandrasowi zrobiło się słabo.

– Nie mówiłem tego poważnie – wyjaśnił. – To był żart. – Dwoje młodych ludzi spojrzało na siebie, jakby szacowali wartość wszystkiego, co odeszło, po czym Mandras oświadczył: – Mam zamiar wstąpić do partyzantki.

– O – zdziwiła się Pelagia.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam wyboru. Jutro wyjeżdżam. Popłynę łodzią do Manolas.

Pelagia była przerażona.

– A łodzie podwodne? A okręty wojenne? To szaleństwo.

– Jeżeli popłynę nocą, warto zaryzykować. Potrafię żeglować według gwiazd.
Myślałem o jutrzejszej nocy.

Zapadła długa cisza.

– Nie będę mogła pisać.

– Wiem.

Weszła na chwilę do domu i wróciła, niosąc kamizelkę, którą z takim poświęceniem utkała i wyhaftowała, gdy jej narzeczony walczył na froncie. Pokazała mu ją nieśmiało, mówiąc:

– Oto co dla ciebie przygotowywałam na świąteczne tańce. Chcesz ją zabrać już teraz?

Mandras wziął kamizelkę do ręki i uniósł do góry. Przekrzywił głowę i zauważył:

– Nie jest idealnie symetryczna, prawda? Chodzi mi o to, że wzór trochę się różni po obu stronach.

Pelagia poczuła bolesne rozczarowanie, które miało posmak zdrady.

– Tak bardzo się starałam! – wykrzyknęła żałośnie w przypiływie emocji. – Nigdy nie udaje mi się ciebie zadowolić.

Mandras samokrytycznie uderzył się w czoło nasadą dłoni, wykrzywił twarz i rzekł:

– O Boże, przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. – Westchnął i pokręcił głową. – Odkąd wyjechałem, mam wrażenie, że moje usta, moje serce i mój mózg nie są zbyt dobrze połączone. Po prostu mąci mi się w głowie.

Pelagia odebrała mu kamizelkę i powiedziała:

– Postaram się ją poprawić. Co na to twoja matka?

Mandras popatrzył na nią błagalnie.

– Miałem nadzieję, że ty jej to powiesz.

Pelagia zaśmiała się z goryczą.

– Taki z ciebie tchórz?

– Tylko wobec matki – przyznał. – Powiedz jej.

– Dobrze już, dobrze, powiem. Straciła męża, a teraz traci syna.

– Wrócę – zapewnił.

Pelagia powoli pokręciła głową i westchnęła.

– Obiecuj mi jedno. – Mandras skinął głową, więc Pelagia mówiła dalej: – Ilekroć będziesz miał zamiar zrobić coś strasznego, pomyśl o mnie i nie rób tego.

– Jestem Grekiem, a nie faszystą – odparł cicho. – I będę myślał o tobie przez cały czas.

Wyczuła wzruszającą szczerłość w jego głosie i miała ochotę się rozplakać.

Spontanicznie padli sobie w objęcia, jakby byli bratem i siostrą raczej niż parą narzeczonych, a potem przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Bóg z tobą – powiedziała Pelagia i Mandras uśmiechnął się ze smutkiem. – Zawsze będę pamiętała, jak huśtałeś się na drzewie.

– A ja, jak spadłem na doniczkę.

Śmiali się przez chwilę, a potem Mandras popatrzył na dziewczynę tęsknie po raz ostatni i zaczął odchodzić. Zatrzymał się po paru krokach, odwrócił i powiedział cicho, łamiącym się głosem:

– Zawsze będę cię kochał.

W oddali na drodze Carlo i kapitan, obaj pokryci drobnym, beżowym pyłem, z ponurymi minami przyglądali się łazikowi. Nie miał kół, a wewnątrz leżała wysoka, dymiąca sterta gnoju.

Tamtego wieczoru kapitan zauważył wspaniale haftowaną kamizelkę, wiszącą w kuchni na oparciu krzesła. Wziął ją do ręki i uniósł pod światło; aksamit miał barwę soczystego szkarłatu, a satynowa podszewka została wszyta starannymi ściegami, tak drobnymi, że mogły je wykonać tylko palce maleńkiej sylfidy. W sieci złotych i żółtych nici dostrzegł omdlałe kwiaty, szybujące orły i wyskakujące z wody ryby. Powiódł palcem po hafcie i wyczuł spoistość wzorów. Zamknął oczy i uświadomił sobie, że każde stworzenie odtwarzało wypukłością naturalne kształty.

Pelagia weszła do kuchni i zaskoczyła go. Poczowała przyływ zażenowania – prawdopodobnie nie chciała, by wiedział, dlaczego zrobiła kamizelkę, a może, skrytykowana przez Mandrasa, wstydziła się jej niedoskonałości. Kapitan otworzył oczy i wyciągnął ku niej kamizelkę.

– To takie piękne – rzekł. – Równie wspaniałe rzeczy widywałem tylko w muzeum. Skąd pani to ma?

– Sama zrobiłam. I wcale nie jest wspaniała.

– Nie jest wspaniała? – powtórzył z niedowierzaniem. – To arcydzieło.

Pelagia pokręciła głową.

– Wzory po obu stronach nie pasują do siebie. Powinny być swoim zwierciadlanym odbiciem, a jeśli się dobrze przyjrzeć, ten orzeł jest pod innym kątem niż tamten, a ten kwiat powinien być tej samej wielkości co tamten, a nie większy.

Kapitan cmoknął z dezaprobatą.

– Symetria jest cechą rzeczy martwych. Widziała pani kiedyś drzewo lub górę, które byłyby symetryczne? To dobre w wypadku budowli, ale jeśli kiedyś zobaczy pani

symetryczną ludzką twarz, będzie pani miała wrażenie, że powinna pani uznać ją za piękną, a tymczasem stwierdzi pani, że jest tylko zimna. Serce człowieka lubi lekkie zaburzenia w jej geometrii, *kiria* Pelagia. Niech się pani przyjrzy swojej twarzy w lustrze, a zobaczy pani, że jedna brew wznosi się odrobinę wyżej, że powieka lewego oka jest tak wykrojona, iż wydaje się ono nieco szerzej otwarte niż drugie. To właśnie czyni panią atrakcyjną i piękną zarazem, podczas gdy... w przeciwnym razie przypominałaby pani posąg. Symetria jest dobra dla Boga, nie dla nas.

Pelagia zrobiła sceptyczną minę i niecierpliwie szykowała się do odparcia jego twierdzeń na temat swej urody, ale w tej samej chwili zauważyła, że nos kapitana nie jest idealnie prosty.

– Co to jest? – zapytał Corelli, wskazując na orła. – To znaczy, jak to zostało zrobione?

Pelagia pokazała palcem i wyjaśniła:

– To jest *filtire*, a to girlanda. – Corelli potrafił docenić smukłość jej palca wskazującego i zapach rozmarynu we włosach, ale pokręcił głową i oświadczył:

– Nic mi to nie mówi. Sprzeda mi ją pani? Ile pani za nią chce?

– Nie jest na sprzedaż.

– Proszę, *kiria* Pelagia, zapłacę tym, czym pani zechce. Drachmami, lirami, puszkami szynki, oliwkami w butelkach, tytoniem. Proszę podać cenę. Mam też parę angielskich złotych suwerenów.

Pelagia pokręciła głową; teraz nie było powodu, dla którego nie miałyby sprzedać kamizelki, lecz dzięki kapitanowi poczuła się taka dumna, że zapragnęła ją zatrzymać, a poza tym sprzedanie mu jej byłoby, w pewnym trudnym do określenia sensie, wielkim błędem.

– Bardzo żałuję – oznajmił kapitan. – Ale skoro mowa o pieniądzach, ile pani sobie życzy za wynajem?

– Za wynajem? – powtórzyła oniemiała Pelagia.

– Myślała pani, że mam zamiar mieszkać tu za darmo? – Sięgnął do kieszeni i wyjął duży kawałek salami. – Pomyślałem, że pewnie chciałaby pani je pożyczyć z kasyna oficerskiego. Dałem już plasterek „kotu” i chyba się zaprzyjaźniliśmy.

– Zrobił pan z Psipsiny i Lemoni kolaborantki – zauważyła z kwaśną miną Pelagia. – A o wysokość czynszu niech pan lepiej zapyta mojego ojca.

Tydzień później, po wyczyszczeniu dżipa i założeniu nowego kompletu kół, jego silnik eksplodował w widowiskowy sposób w trakcie jazdy serpentynami prowadzącymi do Kastro. Za kierownicą siedział młodziutki starszy bombardier, który był tenorem w

stowarzyszeniu miłośników opery utworzonym przez Corellego i czekał, aż skończy się wojna, by móc poślubić swą szkolną miłość w Palermo.

W tym czasie Mandras znajdował się w sercu Peloponezu, czyniąc włoskie kobiety wdowami i odbudowując swoje marzenie o Pelagii.

XXVII

Dyskusja o mandolinach i koncercie

Doktor wstał o zwykłej porze i wyruszył do kafenijonu, nie budząc Pelagii; popatrzył na córkę skuloną pod pościelą na podłodze kuchni i nie miał sumienia przerywać jej snu. Fakt, że nie wstała skoro świt, obrażał jego poczucie naturalnej przyzwoitości, z drugiej jednak strony, Pelagia ciężko dla niego pracowała i była już wyczerpana trudnościami stawiania czoła wojnie. A poza tym wyglądała ujmująco z włosami rozsypanymi na poduszce, kocem naciągniętym na nos i tylko jednym uchem odsłoniętym. Janis stał nad nią, doceniając ojcowskie uczucia, które wezbrały w jego sercu, a potem, nie mogąc się powstrzymać, nachylił się i zajrzał do ucha córki, by sprawdzić, czy jest w dobrym stanie: na końcu cienkiego jak pajęczka nić włosa u zbiegu małżowiny usznej i przewodu słuchowego wisiał kawałek skóry, ale ogólny obraz świadczył o doskonałym zdrowiu. Doktor uśmiechnął się, po czym odczuł przygnębienie na myśl, że pewnego dnia Pelagia się zestarzeje i przygarbi, cudowna uroda zwiędnie jak liść, tak że nikt nie domyśli się, że kiedykolwiek istniała. Pod wpływem silnego wrażenia drogocенności rzeczy efemerycznych, klęknął i pocałował córkę w policzek. Wyszedł do kafenijonu w tragicznym nastroju, który osobliwie współgrał ze spokojem bezchmurnego poranka.

Kapitan, zbudzony ostrym bólem hemoroidów, wyszedł do kuchni i ujrzał pogrążoną w głębokim śnie Pelagię; nie wiedział, co zrobić. Chciał zaparzyć sobie filiżankę kawy i zjeść jakiś owoc, ale jego również urzekł wzruszający spokój śpiącej dziewczyny. Poczul, że obudzenie jej brzękiem naczyń byłoby świętokradztwem. W dodatku nie chciał wprawiać Pelagii w zakłopotanie, które mogłaby poczuć w nocnym stroju w jego obecności, a poza tym przypomnienie sobie o zajęciu czyjegoś łóżka było okropną rzeczą. Popatrzył na Pelagię i zapragnął wpełznąć pod pościel obok niej – wydawało się, że nie może być nic bardziej naturalnego – ale zamiast to uczynić, wrócił do pokoju i wyjął Antonię z futerału. Zaczął ćwiczyć palcówki, wydobywając tony jak najdelikatniej, uderzając w struny i szarpiąc je palcami. Znudzony wziął plektron i ułożył prawą rękę na gryfie mandoliny, aby móc stłumić dźwięki i grać *eon sordino*. Przypominało to brzmieniem skrzypcowe pizzicato. W wielkim skupieniu przystąpił do wykonywania bardzo trudnego i szybkiego utworu Paganiniego, który

w całości wymagał takich zabiegów. Jego odległy rytm przedostał się do pogodnego pólśnu Pelagii. Wspominała poprzedni dzień, gdy kapitan przybył do ich domu na siwym koniu, pożyczonym od jednego z żołnierzy odbywających nocny patrol po godzinie policyjnej. To kapryśne zwierzę zostało wyćwiczone w harcach, a jego właściciel zaczynał się popisywać przed dziewczynami, zmuszając zwierzę do wykonywania efektownej sztuczki, ilekroć ujrzał którąś z nich. Koń niebawem zaakceptował ten zwyczaj i teraz wykonywał sztuczkę spontanicznie, gdy tylko napotkał długowłosą i jasnooką osobę w spódnicy. Stał się obiektem zazdrości wszystkich żołnierzy. Jego właściciel był zawsze gotów pożyczyć go oficerom pod warunkiem, że wprowadzą korzystne dlań poprawki w harmonogramie służb. W dniu, gdy pożyczył go kapitan, jeździec został zwolniony z karnego czyszczenia latryn.

Gdy Corelli podjechał do wejścia na podwórko i czesząca koziołka Pelagia uniosła wzrok, siwek nastroszył uszy i rozpoczął harce. Kapitan zdjął czapkę, uśmiechając się szeroko, i Pelagia poczuła nagle przyjemność, jakiej nieczęsto dotąd doświadczała. Tego rodzaju przyjemność odczuwa się, gdy tancerz, który dotąd wyrzucał nogi niezwykle wysoko w powietrze, nagle wykonuje salto w tył, lub wtedy, gdy jabłko stacza się z półki, uderza w łyżkę, a ta wylatuje w powietrze, ląduje w filizance trzonkiem ku górze i z brzękiem nieruchomieje, tak jakby wrzucono ją tam celowo. Pelagia ujrzała Corellego i bezwstydного konia, uśmiechnęła się i spontanicznie klasnęła w dłonie; twarz kapitana przecięła uśmiech od ucha do ucha, przypominający radość małego chłopca, który po latach płaczliwych próśb dostał w końcu piłkę nożną.

W jej śnie koń harcował w tempie utworu Paganiniego, a jeździec chwilami miał twarz Mandrasa, a chwilami kapitana. Było to bardzo denerwujące i Pelagia usiłowała zredukować liczbę twarzy do jednej. Stała się ona twarzą Mandrasa, ale to jej nie zadowoliło, więc zmieniła ją na oblicze Corellego. Gdyby ktoś znajdował się wtedy w kuchni, zobaczyłby, jak Pelagia uśmiecha się przez sen; ożywiała w nim brzęk mosiądzu, skrzypienie skóry, ostry, słodki zapach końskiego potu, inteligentne strzyżenie uszami, nieznaczne poprzeczne ruchy kopyt uderzających w kamienie i wzbijających kurz na drodze, widok napinanych i rozluźnianych mięśni na końskim zadzie, wspaniałe, zamaszysty ruch zdejmującego czapkę, uśmiechniętego żołnierza.

Siedząc na łóżku, Corelli tak się zapamiętał w swoich ćwiczeniach, że zapomniał o śpiącej dziewczynie i przyspieszył tremolanda; bardzo denerwował go fakt, iż codziennie musi grać co najmniej przez kwadrans, zanim zdoła nabrać pewności i uniknąć przerw w grze, i rozpoczynał ćwiczenie, mechanicznie przebiegając plektronem po dwóch wyższych strunach.

Pelagia obudziła się po dziesięciu minutach. Otworzyła oczy i przez chwilę leżała bez ruchu, zastanawiając się, czy nadal nie śni. Gdzieś z głębi domu dochodził przepiękny odgłos, jakby jakiś drozd dostosował swój śpiew do ludzkich gustów i otwierał serce na gałęzi przy samym oknie. Przez szybę przedarł się snop światła. Było jej za gorąco; uświadomiła sobie, że zasnęła. Usiadła, objęła kolana rękami i słuchała. Potem wzięła swoje rzeczy ułożone obok siennika i poszła się ubrać do pokoju ojca, nadal przysłuchując się mandolinowym tryłom.

Corelli usłyszał metaliczny brzęk łyżki w rondlu, uznał, że Pelagia wreszcie wstała, i nie odkładając mandoliny, wszedł do kuchni.

– Napije się pan tej lury? – zapytała, podając mu filiżankę gorzkiego płynu, który obecnie uchodził za kawę.

Kapitan uśmiechnął się i wziął naczynko do ręki, uświadamiając sobie, że wciąż jest bardzo obolały od jazdy konnej i nadal odczuwa ulgę na myśl, że nie wylądował na ziemi; gdy koń rozpoczął swój taniec, Corelli był bliski upadku. Bolały go uda, każdy krok przyczyniał mu bólu, więc kapitan usiadł.

– To było bardzo piękne – zauważyła Pelagia.

Corelli popatrzył na mandolinę takim wzrokiem, jakby miał jej coś za złe.

– Ćwiczyłem jedynie skale tremoland.

– Wszystko jedno – odparła. – I tak mi się podobało i bardzo ułatwiło pobudkę.

Corelli wyglądał na zakłopotanego.

– Przepraszam, że panią zbudziłem, nie miałem takiego zamiaru.

– Piękna – zauważyła Pelagia, wskazując instrument łyżką. – Ma cudowne zdobienia. Czy to wszystko poprawia brzmienie?

– Wątpię – odparł kapitan, obracając mandolinę w rękach. Sam już zapomniał o tym, jaka jest piękna. Brzeg pudła rezonansowego zdobiły trapezy z mieniącej się masy perłowej; była też czarna płytką w kształcie powojnika, inkrustowana wielobarwnymi kwiatami, dzieło bujnej wyobraźni lutnika. Przy piątym, siódmym i dwunastym progu skali hebanową szyjkę znaczyły kropkowane wzory z kości słoniowej, a zaokrąglony rezonator zrobiono ze zwężających się pasków klonu o gęstych słojach, misternie oddzielonych cienkimi listewkami z palisandru. Kołeczki wykonano w kształcie starożytnych lir, a – jak zauważyła Pelagia – same struny ozdobiono przy srebrnej płużce małymi kulkami puchu w jaskrawych kolorach.

– Pewnie nie chce pan, żebym jej dotykała – rzekła dziewczyna, a kapitan mocno przycisnął mandolinę do piersi.

– Kiedyś moja matka upuściła ją na ziemię i przez chwilę wydawało mi się, że ją zabiję. A niektórzy ludzie mają tłuste palce.

Pelagia poczuła się obrażona.

– Ja nie mam tłustych palców.

Kapitan zauważył jej rozgniewaną minę i wyjaśnił:

– Wszyscy mają tłuste palce. Zanim dotknie się strun, trzeba je umyć i wysuszyć.

– Podobają mi się te kulki puchu.

Corelli roześmiał się.

– Wyglądają idiotycznie. Nie wiem nawet, po co je założono. To typowa ozdoba.

– Czemu pan gra na mandolinie?

– Cóż za dziwne pytanie! Czemu człowiek coś robi? Chodzi pani o to, co mnie skłoniło do nauki gry?

Wzruszyła ramionami, a kapitan wyjaśnił:

– Dawniej grałem na skrzypcach. Wielu skrzypków grywa na mandolinie, ponieważ mandolina i skrzypce są tak samo strojone. – W zadumie przejechał paznokciem po strunach, chcąc zilustrować, o co mu chodzi; Pelagia udała, że rozumie, żeby nie komplikować sprawy. – Na mandolinie można grać utwory skrzypcowe, tyle że tam, gdzie skrzypce wydają ciągle dźwięk, trzeba stosować tremolanda. – Wykonał szybkie tremolando, by pokazać, o co mu chodzi. – Zrezygnowałem jednak ze skrzypiec, bo choćbym nie wiem jak się starał, po prostu wychodziła z tego kocia muzyka. Unosiłem wzrok, a na podwórku roiło się od miauczących kotów. Nie, poważnie, moja gra przypominała kocią muzykę albo coś jeszcze gorszego. Skargom sąsiadów nie było końca. Pewnego dnia mój wuj dał mi Antonię, która dawniej należała do jego wuja. Wtedy odkryłem, że mając instrument z podziałką na szyjce, mogę być dobrym muzykiem. Oto odpowiedź na pani pytanie.

Pelagia uśmiechnęła się.

– A czy koty lubią brzmienie mandoliny?

– To fakt mało znany – odparł konfidencjonalnie – ale koty lubią każde brzmienie sopranowe. Nie lubią dźwięków altowych, nie można więc grać kotu na gitarze czy altówce. Wtedy po prostu odchodzi z podniesionym ogonem. Ale mandolinę koty rzeczywiście lubią.

– A więc i koty, i sąsiedzi byli zadowoleni ze zmiany?

Kapitan skinął głową i ciągnął dalej:

– I jeszcze jedno. Ludzie nie zdają sobie sprawy, ilu wielkich kompozytorów pisało muzykę na mandolinę. Nie tylko Vivaldi i Hummel, ale nawet Beethoven.

– Nawet Beethoven – powtórzyła Pelagia. Było to jedno z tych tajemniczych, wzbudzających respekt, mitycznych nazwisk, które oznaczały szczyt ludzkich możliwości, nazwisko, które w gruncie rzeczy nie wzbudzało w niej konkretnych muzycznych skojarzeń,

gdyż nigdy świadomie nie wysłuchała żadnego z utworów tego kompozytora. Wiedziała po prostu, że to nazwisko wielkiego geniusza.

– Gdy wojna się skończy – dodał Corelli – zostanę zawodowym muzykiem koncertowym i pewnego dnia napiszę prawdziwy koncert w trzech częściach na mandolinę i małą orkiestrę.

– Więc będzie pan sławny i bogaty? – zapytała Pelagia złośliwie.

– Biedny, ale szczęśliwy. Musiałbym znaleźć jeszcze inne zajęcie. A o czym pani marzy? Mówiła pani o pracy lekarza.

Pelagia wzruszyła ramionami, krzywiąc usta w wyrazie rezygnacji i powątpiewania.

– Nie wiem – odparła w końcu. – Wiem, że chcę coś zrobić, ale nie wiem, co dokładnie. Kobiety nie mogą być lekarzami, prawda?

– Może pani mieć dzieci. Wszyscy powinni mieć dzieci. Ja będę miał trzydzieścioro lub czterdzieścioro.

– Biedna ta pańska żona – orzekła z dezaprobatą Pelagia.

– Nie mam żony, może więc musiałbym je adoptować.

– Mógłby pan zostać nauczycielem. W ten sposób byłby pan z dziećmi przez większość dnia i mieć czas na muzykowanie wieczorami. Może mi pan coś zagra?

– O Boże, ilekroć ludzie proszą, bym coś zagrał, zapominam utworów, które znam. I zawsze muszę mieć przed sobą nuty. To fatalne. Już wiem, zagram pani polkę. Skomponował ją Persichini. – Kapitan ułożył mandolinę i wydobył z niej dwa dźwięki. Przerwał, tłumacząc: – Wyśliznęła mi się. Na tym polega kłopot z neapolitańskimi mandolinami o zaokrąglonym pudle. Często myślę, że powinienem sprawić sobie portugalską, z płaskim, ale gdzie ją dostać w czasie wojny? – Po tym retorycznym pytaniu zagrał, ritardando, te same dwa dźwięki, cztery akordy ósemkowe, a po nich takt, który zniweczył oczekiwania słuchacza wprowadzeniem pauzy i pary szesnastek, po chwili zaś uruchomił kaskady zharmonizowanych i niezharmonizowanych szesnastek, które sprawiły, że Pelagia z wrażenia otworzyła usta. Nigdy jeszcze nie zetknęła się z tak wyszukaną wirtuozerią i nigdy nie słyszała utworu muzycznego, który byłby równie pełen niespodzianek. Na początku każdego taktu pojawiały się nagle błyskotliwe tremolanda, a chwilami muzyka wahała się, nie tracąc tempa, lub utrzymywała tę samą szybkość, mimo że zdawała się ją zwalniać lub nawet podwajać. Najlepsze zaś było to, że miejscami rozbrzmiewał dźwięk tak wysoki, iż ledwie go było słyhać, sprowadzany w radosnym tempie w dół skali i spadający na dźwięczną nutę basową, która nie miała czasu, by wybrzmieć przed nadejściem słodkiej kombinacji basów i sopranów. Ta muzyka wzbudziła w Pelagii chęć zatańczenia lub zrobienia jakiegoś głupstwa.

Z niedowierzaniem patrzyła, jak palce lewej ręki kapitana pełzają niczym potężny i groźny pająk po wszystkich strunach. Widziała ścięgna poruszające się pod skórą, a potem całą symfonię różnych emocji odmalowujących się na jego twarzy – chwilami był to wyraz pogody, chwilami zawziętości, z rzadka radosnego uśmiechu, od czasu do czasu surowości i dyktatorskiego nieubłagania, a potem przymilnej i łagodnej czułości. Pelagia, sparaliżowana tym widokiem, nagle zdała sobie sprawę, że muzyka ma w sobie coś, o czym ona dotąd nie wiedziała – nie sprowadzała się jedynie do dobywania słodkich dźwięków; była, dla tych, którzy ją rozumieli, prawdziwą odyseją emocjonalną i intelektualną. Pelagia obserwowała twarz Corellego i zapomniała o słuchaniu; pragnęła uczestniczyć w tej podróży. Pochyliła się i złożyła dłonie jak do modlitwy.

Kapitan powtórzył pierwszą część i nagle zakończył ją przeciągłym akordem, który natychmiast stłumił, tak że Pelagia poczuła się pokrzywdzona.

– Proszę – rzekł Corelli, ocierając czoło rękawem.

W podnieceniu zapragnęła podskoczyć i wykonać piruet. Zamiast to uczynić, wyznała:

– Nie pojmuję, jak artysta pańskiej miary mógł zniżyć się do tego, by zostać żołnierzem.

Kapitan zmarszczył czoło.

– Niech się pani wyzbędzie niemądrych wyobrażeń o żołnierzach. Tak się składa, że żołnierze mają matki, i na szczęście w większości kończą jako rolnicy i rybacy.

– Chodzi mi tylko o to, że dla pana wojsko musi być stratą czasu.

– Oczywiście, że to strata czasu. – Corelli wstał i spojrzał na zegarek. – Carlo powinien już tu być. Pójdę schować Antonię. – Popatrzył na Pelagię i uniósł brew. – Aha! Przypadkiem zauważyłem, że w kieszeni fartucha trzyma pani derringera.

Pelagii zrobiło się słabo, zaczęła drżeć. Ale kapitan dodał:

– Rozumiem, dlaczego chce go pani mieć przy sobie, i właściwie wcale go nie widziałem. Musi pani jednak zdać sobie sprawę, co by się stało, gdyby zobaczył go ktoś inny. Zwłaszcza Niemiec. Niech pani po prostu będzie ostrożniejsza.

Popatrzyła na niego wymownie i kapitan uśmiechnął się, dotknął jej ramienia, uderzył się palcem wskazującym w nos i mrugnął okiem.

Gdy sobie poszedł, Pelagii przysłała do głowy myśl, że gdyby chcieli, już dawno mogliby otruć kapitana. Potrafili uzyskać akonitynę z tojadu mordownika, mogli zebrać cykutę lub przyprawić Corellego o zawał serca, używając w tym celu liści naparstnicy purpurowej, a władze nigdy by się nie dowiedziały, dlaczego zmarł. Wsunęła rękę do kieszeni szlafroka i ruchem, który ćwiczyła ze sto razy, powiodła palcem wokół cyngla. Zważyła

pistolet w dłoni. To uprzejme ze strony kapitana, że uszanował jej prawo stawienia oporu oraz potrzebę poczucia bezpieczeństwa, które zapewniała broń. No i nie truje się muzyka, choćby nawet był Włochem; byłoby to równie obrzydliwe jak rozsmarowanie ekskrementów na nagrobku księdza.

Tego wieczora doktor sam domagał się koncertu. Zasiadł z Pelagią na podwórku, gdy kapitan rozłożył nuty na stole. Oświecili je i zabezpieczyli przed wiatrem, dociskając ich brzeg lampą. Corelli usiadł i z namaszczeniem zaczął uderzać plektronem w pudło instrumentu.

Zakłopotany doktor uniósł brwi. Wydawało mu się, że to uderzanie trwa stanowczo za długo. Być może kapitan próbował ustalić rytm. A może był to jeden z tych minimalistycznych utworów, które podobno składały się z samych pisków, i pewnie tak brzmiał wstęp. Doktor spojrział na Pelagię. Napotkała jego wzrok i podniosła ręce na znak, że nie rozumie, co się dzieje. Rozległy się następne uderzenia. Doktor zerknął na pogrążonego w głębokim skupieniu kapitana. W podobnie niezrozumiałych sytuacjach artystycznych zawsze czuł, jak zaczynają go świerzbic plecy.

– Wybacz mi, młody człowieku, ale co pan, u licha, wyprawia? Po rozmowie z moją córką oczekiwałem czegoś zupełnie innego.

– Niech to diabli! – krzyknął kapitan, nagle wyrwany z transu. – Właśnie miałem zacząć grać.

– No cóż, my też uważamy, że wypadało to uczynić. Co, u diabła, pan robił? Co to takiego? Jakieś okropne nowoczesne przelewanie z pustego w próżne, zatytułowane „Dwie puszki, marchewka i zmarła ladacznica”?

Corelli poczuł się obrażony i przemówił wyniośle, z wyraźnym tonem lekceważenia:

– Gram jeden z koncertów Hummła na mandolinę. Pierwszych czterdzieści pięć i pół taktu napisano dla orkiestry, allegro moderato e grazioso. Musi pan sobie wyobrazić orkiestrę. Teraz będę musiał zacząć wszystko od nowa.

Doktor popatrzył na niego rozwścieczony.

– Niech mnie diabli porwą, jeśli wytrzymam drugi raz takie stukanie i jeśli potrafię wyobrazić sobie orkiestrę. Po prostu zagraj pan swoją partię.

Kapitan odwzajemnił mu się piorunującym spojrzeniem, wyraźnie potwierdzającym przekonanie, że doktor jest skończonym filistrem.

– Jeśli to zrobię – odparł – zacznę się mylić w momentach, w których powinienem wchodzić, a to w sali koncertowej byłoby katastrofą.

Doktor wstał i z zamaszystym gestem ręki zwrócił się do drzewa oliwnego, koziołka,

domu i nocnego nieba nad głową:

– Panie i panowie! – wrzasnął. – Przepraszam za zakłócenie koncertu. – Odwrócił się do Corellego i zapytał: – Czy to jest sala koncertowa? Czy mnie wzrok myli, czy też brakuje orkiestry? Czy moje oczy dostrzegają choć jeden puzon? Najmniejsze i najmniej znaczące skrzypce? Gdzie, powiedzcie mi, podziewa się dyrygent i gdzie są obwieszani klejnotami członkowie rodziny królewskiej?

Kapitan westchnął z rezygnacją, Pelagia popatrzyła na niego współczująco, a doktor dodał:

– I jeszcze jedno. Gdy pan tak stuka, wyobrażając sobie swoją orkiestrę, zastępuje pan co chwila jedną głupią minę następną. Jak mamy się skupić w tej sytuacji?

XXVIII

Wyzwalanie mas (1)

Gdy Niemcy wycofali się z północnej Afryki, usytuowali swe regionalne centrum operacyjne na Peloponezie, co oznaczało, że Mandras i jego grupka *andartes*, partyzantów, musieli przenieść się za Kanał Koryncki do Rumeli.

Dokonania Mandrasa na Peloponezie były znikome. Związał się z jednym człowiekiem, a potem obaj przyłączyli się do dwóch następnych. Nie mieli ani planu, ani celu działania. Wiedzieli jedynie, że powoduje nimi jakiś impuls z głębi duszy, coś, co nakazuje im oczyścić ojczystą ziemię z obcych lub zginąć, podejmując taką próbę. Podpalali ciężarówkę, a jeden z nich udusił żołnierza nieprzyjacielskiej armii, potem zaś siedział, trzęsąc się ze strachu na myśl o tym, co zrobił, podczas gdy pozostali pocieszali go i wychwalali pod niebiosa. Mieszkali w grocie na skraju lasu, żywiąc się chlebem, ziemniakami i oliwkami dostarczonymi przez księdza z pobliskiej wioski, który zabierał także ich rzeczy do prania. Pewnego dnia podpiłowali podpory drewnianej kładki na drodze prowadzącej do miejscowego garnizonu. W odwecie za konieczność moczenia nóg w strumieniu nieprzyjaciel spalili cztery domy we wsi i ksiądz oraz kierownik szkoły ubłagali ich, by opuścili okolicę, zanim stanie się coś jeszcze gorszego. Czterej właściciele spalonych domów, teraz bez dachu nad głową, przyłączyli się do nich.

W Rumeli stacjonowała brytyjska grupka niedoświadczonych entuzjastów, z których żaden nie mówił po grecku. Szkolili się przez jeden dzień, po czym zostali zrzućeni na spadochronach nowego typu, w których zapasy i radio były przywiązane do górnych linek i waliły po głowie przy lądowaniu. Owi Brytyjczycy koordynowali działania oddziałów partyzanckich, mające na celu wysadzenie w powietrze wiaduktów kolei jednotorowej, głównej linii zaopatrzenia prowadzącej z Pireusu na Kretę, a stamtąd do Tobruku. Zakładali oni, że członkowie autonomicznych grup będą zachwyceni rolą podkomendnych oficerów brytyjskich, a Grecy byli pod tak silnym wrażeniem tego przekonania, że niemal natychmiast odnieśli się do niego z entuzjazmem.

Istniała jednak pewna grupa, zwana ELAS,²⁴ militarne skrzydło organizacji EAM,²⁵ która z kolei była kontrolowana przez komitet w Atenach, złożony z członków KKE. Ludzie inteligentni natychmiast zdali sobie sprawę, że każdy oddział o takiej paranteli musi grupować komunistów, a celem tak bardzo rozmytego systemu nadzoru jest ukrycie przed zwykłymi obywatelami faktu, że przynależą do komunistycznej organizacji. Początkowo dowódcy ELAS werbowali ludzi ze wszystkich warstw społecznych i grup politycznych, łącznie z republikanami Wenizelosa i rojalistami oraz umiarkowanymi socjalistami, liberałami i komunistami, którzy łatwo dawali się przekonać, że uczestniczą w walce narodowowyzwoleńczej, a nie w realizacji pokrętnego, tajnego programu, mającego więcej wspólnego z przejęciem władzy po wojnie niż z walką z państwami Osi. Alianci uzbroili ich, ponieważ nikt w Londynie nie wierzył w ostrzeżenia oficerów brytyjskich, że to tylko stworzy problemy w przyszłości, i nikt nie sądził, że smagli cudzoziemcy mogą w ogóle przysporzyć Brytyjczykom jakichkolwiek problemów. Brygadier Myers i jego oficerowie wruszcali ramionami i po prostu dalej robili swoje, ludzie z ELAS natomiast pomagali i byli im posłuszni tylko wtedy, kiedy mieli na to ochotę. Myers i jego podwładni stanęli przed niemożliwym do wykonania zadaniem, ale zrealizowali wszystkie swoje zamierzenia, łącząc wytrwałość z cierpliwością i zapałem. Zwerbowali nawet dwóch Palestyńczyków, o których jakoś zapomniano w ogólnym zamieszaniu 1941 roku.

Mandras mógł wstąpić do EKKA 26 czy EDES,²⁷ ale tak się złożyło, że pierwsi *andartes*, na jakich natknął się w Rumeli, należeli do ELAS, a dowódca, który przyjął go do swej osobliwej bandy, był dumnym i zdeklarowanym komunistą. Miał dość oleju w głowie, by dostrzec, że Mandras to zbłąkana dusza, człowiek trochę rozgoryczony i nie zdający sobie sprawy ze źródła tego rozgoryczenia, dostatecznie młody, by powiązanie dźwięcznych nazw ze wzniosłymi koncepcjami wzbudzało w nim zachwyt, i na tyle smutny, by przyjął ofiarowaną pomoc.

Mandras nienawidził gór. W jego rodzinnych stronach były, rzecz jasna, góry, ale góry otoczone bezkresnym pierścieniem morskiej kipieli. Nie chodziło jedynie o to, że góry Rumeli przesłaniały horyzont i otaczały go niczym ramiona zwałistej, brzydkiej i wylewnej ciotki, ale i o to, że przypominały mu o wojnie na albańskiej granicy, gdzie postradał zmysły, towarzyszy i zdrowie. Góry zgnębiły go i ukarały, mimo że znał ich zwyczaje. Wiedział już,

²⁴ Grecka Armia Wyzwoleńcza

²⁵ Front Wyzwolenia Narodowego

²⁶ Narodowa Liga Społeczna

jak to jest, gdy człowiek przypieka sobie uda i brzuch przy ognisku, mając jednocześnie plecy i tyłek przemarznięte do szpiku kości, wiedział, jakie to uczucie rozebrać się i zimą, nago, z ubraniami trzymanym wysoko nad głową, brnąć przez strumienie, których lodowate zimno zapiera dech w piersi i pozbawia ciało uczucia. Wiedział już, że aby pokonać Włochów, trzeba mieć mniej więcej połowę ludzi z liczby, jaką dysponują oni, wiedział też, jak jedną ręką załadować i strzelić z mannlicera, gdy druga ręka krwawi, tamując jednocześnie upływ krwi z następnej rany. Wiedział, jak to jest czerpać siły do życia z marzeń o Pelagii i bratać się po pijanemu z ukochanymi towarzyszami, którzy być może zginą następnego ranka.

Mandras przyłączył się do oddziału ELAS, ponieważ nie miał wyboru. On i jego kompani wylegiwali się w małej, wymoszczonej liśćmi kryjówce z krzewów, gdy zaskoczyło ich i otoczyło dziesięciu ludzi. Wszyscy byli ubrani w strzępy mundurów, obwieszani ładownicami, za pasami mieli zatknięte noże i tak obfity zarost, że wyglądali niemal identycznie. Ich przywódca wyróżniał się czerwonym fezem, który stanowiłby kiepski kamuflaż, gdyby nie był tak wypłowiały i zabrudzony.

Mandras i jego przyjaciele spojrzeli w lufy tworzących półokrąg lekkich karabinów maszynowych, a mężczyzna w fezie rozkazał:

– Wychodzić.

Wstali z ociąganiem i wyszli, lękając się o swoje życie, z rękami założonymi z tyłu głowy, a paru *andartes* wkroczyło do ich schroniska i wyrzuciło zeń broń, która spadała na ziemię z osobliwym grzechotem ciężkiego metalu, stłumionym przez drewniane łożyska.

– Z kim jesteście związani? – zapytał fez.

– Z nikim – odparł zmieszany Mandras.

– Należycie do EDES?

– Nie, działamy na własną rękę. Nie mamy nazwy.

– I bardzo dobrze – orzekł fez. – A teraz wracajcie do swoich wiosek.

– Nie mam już do czego wracać – odparł jeden z więźniów. – Włosi puścili moją wieś z dymem.

– Albo wracacie do swoich wiosek i zostawiacie nam swoją broń, albo walczyście o nią do końca i giniecie z naszych rąk, albo przyłączacie się do nas i przechodzicie pod moją komendę. To nasze terytorium i nikt nie będzie nam tu wchodził w paradę, zwłaszcza EDES.

²⁷ Narodowo-Demokratyczna Liga Grecji

Więc jak?

– Przyszliśmy tutaj, żeby walczyć – wyjaśnił Mandras. – Kim jesteście?

– Jestem Hektor, to nie jest moje prawdziwe imię, bo tego nikt nie zna, a to... – pokazał na swą grupę – ... miejscowa filia ELAS. – Mężczyźni wyszczerzyli do Mandrasa zęby w bardzo przyjaznym uśmiechu, zupełnie nie pasującym do postawy człowieka w fezie, a Mandras potoczył wzrokiem po swoich ludziach.

– Zostajemy? – zapytał i wszyscy kiwnęli głowami na znak zgody. Zbyt długo pozostawali w polu, by zrezygnować, i dobrze było znaleźć przywódcę, który być może wie, co należy robić. Włóczęga z miejsca na miejsce, z dala od domu, i improwizowane akty oporu, z których nic właściwie nie wynikało, były deprymujące.

– Dobra – rzekł Hektor. – Chodźcie z nami. Zobaczymy, co jesteście warci.

Wciąż rozbrojeni, zostali poprowadzeni małą kolumną do maleńkiej, oddalonej o trzy kilometry wioski, złożonej z paru zapadających się domów, których kamienne mury utrzymywała wyłącznie siła grawitacji i przyzwyczajenia, oraz ścieżki obiecująco rozszerzającej się chwilami w pokrytą pyłem ulicę. Wydawało się, że zamieszkują wieś tylko długonogie psy. Jednego domu strzegł *andarte* i temu człowiekowi Hektor polecił:

– Wyprowadź go.

Partyzant wszedł do środka i, kopiąc, wypchnął na zewnątrz jakiegoś wychudzonego starca. Ten, obnażony do pasa, stał na słońcu, trzęsąc się i mrużąc oczy. Hektor wręczył Mandrasowi kawałek pokrytej węzłami liny i, wskazując starca, rzekł:

– Spierz go.

Mandras z niedowierzaniem popatrzył na Hektora, który posłał mu dzikie spojrzenie.

– Jeśli chcecie być z nami, musicie się nauczyć wymierzać sprawiedliwość. Ten człowiek... – wskazał na starca... – został uznany winnym. A teraz spierz go.

Sytuacja przedstawiała się dość obrzydliwie, ale pobicie kolaboranta nie było rzeczą niemożliwą. Mandras uderzył mężczyznę raz, lekko, przez szacunek dla jego wieku, i Hektor niecierpliwie zawołał:

– Mocniej, mocniej! Jesteś mężczyzną czy babą? – Mandras uderzył starca jeszcze raz, trochę mocniej. – Jeszcze – rozkazał Hektor.

Z każdym uderzeniem bicie było łatwiejsze. Stało się wręcz źródłem radości. Tak jakby cała furia z najwcześniejszych lat dzieciństwa wzbierała w Mandrasie, uzdrawiała go, odmładzała i oczyszczała. Starzec, który skowyczał i odskakiwał na bok przy każdym ciosie, odwracając się i kuląc, w końcu z żalonym jękiem padł na ziemię, a Mandras nagle zrozumiał, że może być bogiem.

Jakaś młoda dziewczyna, chyba niespełna dziewiętnastoletnia, wyrwała się z rąk jednego z *andartes* i padła Hektorowi do stóp. Ze strachu i rozpaczycy straciła oddech.

– To mój ojciec, mój ojciec! – wykrzyknęła. – Zlituj się nad nim, zlituj, to stary człowiek. O mój biedny ojczu!

Hektor oparł but na ramieniu dziewczyny i przewrócił ją na ziemię.

– Zamknijcie się, towarzyszeko, przestańcie jęczeć, bo nie będę odpowiadał za konsekwencje. Niech ktoś ją stąd zabierze.

Proszącą i płaczącą dziewczynę odciągnięto na bok i Hektor wziął linę od Mandrasa.

– To się robi tak – rzekł, jakby wyjaśniał jakiś zawiły problem naukowy. – Zaczynasz od góry... – dodał i smagnął liną, zostawiając szerokie rozcięcie na ramionach mężczyzny. – Potem robisz to samo na dole... – wyciął następną krwawą smugę na krzyżu nieszczęśnika... – a następnie wypełniasz miejsce między równoległymi liniami, dopóki nie posieczesz całej skóry. To właśnie mam na myśli, gdy mówię „spierz go”.

Mandras nawet nie zauważył, że mężczyzna znieruchomiał, przestał krzyczeć i jęczeć. Zaciskając usta wypełnił lukę pomiędzy liniami, powtarzając uderzenia, które mogłyby pozostawić tylko podejrzaną zaróżowienie skóry. Mięśnie jego ramion krzyczały z bólu i w końcu przerwał, by otrzeć czoło rękawem. Na posiekanych na miazgę plecach starca usiadła mucha; Mandras rozgniół ją jeszcze jednym uderzeniem. Hektor wystąpił naprzód, wyjął mu linę z ręki, włożył do niej pistolet i rzekł:

– A teraz zabij go. – Przytknął palec wskazujący do swej skroni i użył kciuka, by wyobrazić iglicę.

Mandras ukląkł i przyłożył starcowi lufę do głowy. Zawahał się, w głębi duszy przerażony samym sobą. Nie potrafił tego zrobić. Chcąc to ukryć, odciągnął kurek i zaczął naciskać. Nie, nie potrafił tego zrobić. Mocno zacisnął powieki. Nie mógł stracić twarzy. Chodziło o pokazanie innym, że się jest mężczyzną, to była kwestia honoru. Tak czy owak, to Hektor był katem, a on jedynie jego narzędziem. Ten człowiek został skazany na śmierć i miał zginąć. Rzadkimi siwymi włosami i wypukłą potylicą przypominał trochę doktora Janisa. Doktora Janisa, który uważał, że Mandras nie jest wart posagu. Kogo obchodzi kolejny niepotrzebny starzec? Mandrasowi stężały mięśnie i pociągnął za spust.

Potem z niedowierzaniem patrzył nie na krwawą miazgę z kości i mózgu, ale na dymiący wylot lufy pistoletu. Hektor odebrał mu go i oddał karabin. Poklepał Mandrasa po plecach i orzekł:

– Będą z ciebie ludzie. – Mandras usiłował wstać, ale był zbyt wyczerpany, więc Hektor wsunął mu rękę pod pachę, żeby go podnieść. – Rewolucyjna sprawiedliwość,

historyczna konieczność – dodał.

Gdy opuszczali wioskę, krocząc po wyszczerbionym bruku drogi, która znowu skurczyła się do pokrytej pyłem ścieżki, Mandras stwierdził, że nie potrafi spojrzeć nikomu w twarz, i nieprzytomnie wlepił wzrok w ziemię.

– Czym on zawinił? – zapytał w końcu.

– Był parszywym starym złodziejem.

– Co ukradł?

– No cóż, to niezupełnie była kradzież – odparł Hektor, zdejmując fez i drapiąc się po głowie. – Chodziło o brytyjskie rzuty dla nas i dla EDES. Surowo nakazaliśmy ludziom z tej okolicy meldować nam o każdym zrzucie, żebyśmy mogli dotrzeć do niego jako pierwsi. W tych okolicznościach to uzasadnione. Ten człowiek poszedł i poinformował o zrzucie EDES, a potem otworzył jeden z pojemników i zabrał butelkę whisky. Znaleźliśmy go leżącego pod spadochronem i pijanego jak szewc. To była kradzież i nieposłuszeństwo. – Z powrotem włożył fez. – Z tymi ludźmi trzeba postępować stanowczo, bo inaczej zaczną robić, co im się podoba. Mają błędną świadomość i ją właśnie musimy wyplenić. W ich własnym interesie. Nie uwierzysz, ale połowa tych wieśniaków to rojaliści. Pomyśl tylko! Utożsamiają się z ciemieżcami!

Mandrasowi nigdy nie przyszło do głowy, by być kimś innym niż rojalistą, ale przytaknął, a potem zapytał:

– Czy to był zrzut dla EDES?

– Tak.

Za nimi, w wiosce, w panującej dotąd ciszy rozległ się nieludzki lament. Narastał i cichł jak syrena, odbijając się echem od urwiska nad nimi i biegnąc do skał po drugiej stronie doliny, powracając i mieszając się z wariacjami własnego brzmienia. Mandras nie dopuszczał do swej świadomości wyraźnego obrazu tego, co musiało się tam dziać – płaczącej dziewczyny, czarnowłosej i młodej jak Pelagia, kiwającej się i jęczącej nad okaleczonym ciałem przedwcześnie uśmierconego ojca – i skoncentrował się na samym lamencie. Jeżeli tylko nie myślało się o tym, co on oznacza, brzmiał dziwnie pięknie.

XXIX

Etykieta

Pewnego jasnego ranka we wczesnym okresie okupacji wyspy kapitan Antonio Corelli obudził się, jak zwykle, z nieczystym sumieniem. To uczucie porażało go każdego rana i pozostawiało w ustach niesmak, a jego źródłem była świadomość, że sypia w nie swoim łóżku. Gdy zmagął się z myślą, że zajął miejsce Pelagii, że ona śpi owinięta w koce na zimnych płytach kuchennej posadzki, czuł, jak z dnia na dzień maleje w nim poczucie własnej godności. Wprawdzie Psipsina wczołgiwała się do pościeli dziewczyny w zimniejszą noc, a on przywiózł jej dwie wojskowe maty, tworzące po ułożeniu jednej na drugiej materac, lecz nadal czuł, że jest niegodziwcem, i zastanawiał się, czy Pelagia już zawsze będzie uważała swoje łóżko za splugawione. Martwiło go także to, że dziewczyna musi dla przyzwoitości bardzo wcześnie wstawać i zwijać posłanie, zanim on wejdzie do kuchni. Zastawał ją ziewającą, z palcem sunącym po trudnych angielskich wyrazach encyklopedii medycznej, lub pracującą z chęci zemsty nad szydełkowanym pledem, którego wymiary zdawały się pozostawać wciąż takie same. Codziennie uchylał czapki i mówił:

– *Buon giorno, kiria Pelagia.* – Codziennie też stwierdzał, że to niedorzeczne, iż zna greckie słowo „panna”, ale nie wie, jak powiedzieć po grecku „dzień dobry”. Nic nie sprawiało mu większej radości niż widok jej uśmiechniętej twarzy i dlatego postanowił nauczyć się greckiego „dzień dobry”, by móc witać ją niedbale w drodze do czekającego w dziupie Carla. Poprosił doktora Janisa o wskazówki.

Doktor był poirytowany, gdyż tego właśnie ranka podobało mu się być w takim właśnie nastroju. Znajomość z grubym kwatermistrzem sprawiła, że prowadzenie praktyki lekarskiej było teraz znacznie łatwiejsze, łatwiejsze nawet niż w okresie pokoju, a ponieważ kwatermistrz okazał się zdeklarowanym hipochondrykiem, widywali się wystarczająco często, by podstawowe środki medyczne płynęły nieprzerwanym strumieniem. O dziwo, teraz, gdy Janis miał ich pod dostatkiem, by zaspokoić wszelkie potrzeby pacjentów, wyspiarze przestali chorować. Solidarna społeczna niechęć do chorowania w czasach biedy i kłopotów była zjawiskiem, o którym doktor słyszał już wcześniej, ale którego nigdy dotąd nie obserwował na własne oczy, i ilekroć dowiadywał się o sukcesie aliantów, zaczynał się

obawiać nieuchronnego napływu pacjentów, który nastąpi po wyzwoleniu. Miał coraz bardziej za złe Włochom, że przez nich stał się mniej przydatny, i chyba właśnie dlatego poinformował Corellego, iż greckim odpowiednikiem „dzień dobry” jest „*e gamisu*”.

– *E gamisu* – powtórzył parę razy Corelli, a potem dodał: – Teraz mogę powiedzieć to Pelagii.

Doktor przeraził się i zaczął gorączkowo myśleć, jak wybrnąć z sytuacji.

– Ależ nie – odparł. – Nie może pan tego powiedzieć Pelagii. Do kobiety mieszkającej w tym samym domu mówi się *kalimera*. To jedna z tych dziwnych reguł, które obowiązują w niektórych językach. A gdy ktoś pana pozdrowi – ciągnął dalej doktor – musi pan odpowiedzieć *putanas je*.

– *Putanas je* – przecwicył kapitan. Wychodząc z domu dumnie powiedział: – *Kalimera, kiria* Pelagia.

– *Kalimera* – odparła Pelagia, prując oczka bezskutecznie szydełkowanej narzuty. Corelli czekał, aż okaże zaskoczenie lub uśmiechnie się, ale nie zareagowała. Rozczarowany wyszedł, a gdy zniknął jej z oczu, na twarz Pelagii wypłynął uśmiech.

Przed domem Corelli stwierdził, że Carlo jeszcze się nie pojawił, więc postanowił przecwicyć nowe pozdrowienie na mieszkańcach wsi.

– *E gamisu* – rzucił radośnie do Kokoliosa, który posłał mu piorunujące spojrzenie spode łba i splunął na ziemię.

– *E gamisu* – rzekł do Welisariosa, który natychmiast skrzył ku niemu i wyrzucił z siebie grad obelg, na szczęście niezrozumiałych dla kapitana. Corelli uniknął pobicia przez rozgniewanego olbrzyma tylko dzięki temu, że poczęstował go papierosem. Może po prostu nie powinienem się odzywać do Greków, pomyślał.

– *E gamisu* – powitał Stamatisa, który ostatnio radził sobie z żoną w ten sposób, że udawał nawrót głuchoty.

– *Putanasje* – wymamrotał starzec, przechodząc obok.

Tamtego wieczora w Argostoli kapitan z dumą wypróbował nowe pozdrowienie na Pasquale Lacerbie, gamoniowatym włoskim fotografie, który został zmuszony do pracy w charakterze tłumacza, i po wyjaśnieniu kilku nieporozumień z przerażeniem przekonał się, że doktor wprowadził go w błąd. Zasiadł w kawiarni w pobliżu ratusza, zasmucony raczej niż zły. Czemu doktor to zrobił? Corelli sądził, że zaczęli się wzajemnie darzyć pewnym szacunkiem, a mimo to Janis nauczył go mówić „odpierdol się” i „skurwysynu” i pozwolił, by on przez cały dzień robił z siebie głupca, z uśmiechem unosząc czapkę i wypowiadając te okropne słowa. Na litość boską, przecież skierował je nawet do kapłana, łaszącego się psa i

małej dziewczynki o brudnej, lecz wzruszająco niewinnej buzi.

XXX

Porządny nazista (1)

Jedną z osobliwości rządzącej dawniej brytyjskiej administracji było to, że wyraźnie dostrzegała, co szwankuje w jej ojczystym kraju i nigdy nie próbowała tego naprawiać. Zamiast to czynić, stosowała środki zaradcze potrzebne raczej w kraju w swoich zagranicznych posiadłościach. Już filozof Josiah Tucker zauważył w swojej „Rozprawie o rządzie cywilnym” z 1781 roku, że Londyn ma stanowczo zbyt wielu przedstawicieli w parlamencie i niezasłużony monopol na przywileje, które powinny być wspólne dla wszystkich. Co ważniejsze, napisał też:

PONADTO wszystkie nadmiernie rozrośnięte miasta są groźne z innego względu i dlatego nie należy ich wspierać nowymi przywilejami, by nie stały się jeszcze niebezpieczniejsze; są one bowiem, i zawsze były, siedliskami warcholstwa i buntu oraz wylęgarniami anarchii i zamętu. Śmiały i doprowadzony do rozpacy przywódca w dowolnej wielkiej metropolii na cele licznego tłumu jest strasnym zagrożeniem dla pokoju społecznego, nawet w starciu z najbardziej despotycznymi zadaniami...

Powtazam raz jeszcze, jeżeli ktoś wie, co to prawość i dobre obyczaje lub pozostała w nim odrobina dobroci i cłowieczeństwa, nie może zwabiać ludzi do wielkich miast nowymi pokusami. Takie miejsca stały się już zmorą rodzaju ludzkiego pod każdym względem, zdrowotnym, losowym, moralnym, religijnym, itd, itp. Szcególnie w Londynie można zaobserwować, że gdyby nie świeże nabytki płci obojga psybywające ze wsi, by naprawić zniszczenia, które są trwałym efektem rozpusty, nieumiarkowania, lupanarów i wyroków śmierci przez powieszenie, zasoby ludzkiego gatunku w tym mieście wkrótce by się wycerpały, albowiem liczba zgonów przewyższa każdego roku liczbę urodzeń o co najmniej siedem tysięcy.

Filozofowie, którzy mają tylko jedną ideę i głoszą ją w postaci barbarzyńskich neologizmów w trzydziestu kolejnych tomach, mają zapewnioną przyszłość na uniwersytetach, lecz nieszczęsny Josiah Tucker, postać tak wpływowa w swoich czasach, uszedł uwagi współczesnych katedr filozofii, ponieważ był niedostatecznie niezrozumiały, nie

głosił wystarczająco szalonych teorii i powiązał swą myśl z konkretnymi przykładami. W Wielkiej Brytanii, zamiast przenieść stolicę do Yorku, pozwolono, by Londyn rozrósł się w najohydniejszą w dziejach świata ludzką kloakę. Na Kefalonii jednak władze brytyjskie spostrzegły, że Argostoli robi się zbyt duże, skorzystały z rady Tuckera i przystąpiły do budowy pięknego miasta Liksuri.

W Liksuri znajdowała się rozległa agora i wspaniałe gmach sądu, górujący nad targiem, gustownie łączący korzyści płynące z handlu i wymiaru sprawiedliwości z przyjaznym cieniem, chroniącym przed atakami słońca i deszczu. Po dziś dzień mieszkańcy Liksuri i Argostoli uważają siebie wzajemnie za zбочeńców i ekscentryków i zawzięcie rywalizują ze sobą w tańcu, muzyce, handlu i dumie obywatelskiej, ale w 1941 roku pasożytnicze mocarstwa narzuciły im nową i złowieszczą rywalizację. Włosi rozmieścili swoje wojska w Argostoli, a Niemcy w Liksuri.

Niemiecki garnizon był niewielki i skromny i niewątpliwie utworzono go tylko dlatego, że naziści doskonale wiedzieli, iż Włochom nie należy ufać, i chcieli mieć ich na oku. Hitler określił wprawdzie Mussoliniego mianem „wielkiego człowieka po drugiej stronie Alp”, ale wiedział również, że Duce i jego stronnicy to jedyni prawdziwi faszyci we Włoszech. Wiedział, że włoscy generałowie są staroświeccy i tępi, widział na własne oczy, że żołnierze są niezdyscyplinowani, krnąbrni i myślą swoje, a w północnej Afryce dbał o to, by trzymano ich z dala od linii frontu w czasie ważnych starć. Niczym Bóg sprowadzający na niebo tęczę, żeby przypomnieć Izraelitom, kto jest ich panem, Hitler wysłał do Liksuri trzy tysiące grenadierów z 996. pułku pod komendą pułkownika Bargego.

Nikt ich nie lubił, chociaż stosunki pomiędzy Niemcami i Włochami były na pozór przyjazne i pełne nadziei na współpracę. Niemcy uważali Włochów za przedstawicieli gorszej rasy negroidalnej, a Włochów zdumiewał nazistowski kult śmierci. Pasy i mundury ponuro zdobione trupimi główkami i piszczelami, podobnie jak żelazna dyscyplina, irracjonalna i denerwująca jednolitość poglądów oraz niepojęte umiłowanie hegemonii wydawały im się czymś patologicznym. Włosi, którzy wykazywali uporczywą skłonność do wzajemnego zarzucania sobie rąk na ramiona, nie czuli podobnej chęci w towarzystwie Niemców, jakby mieli doznać porażenia prądem, jakby od tego ich ręce mogły zamienić się w lód lub zagubić w pustce. Wiezorami słychać było dobiegającą z niemieckich kasyn „Liii Marlenę”, wesoły gwar rozmów, ryki śmiechu, odgłosy hucznej zabawy, ale to był ich zamknięty świat. Za dnia Niemcy byli poważni, nie rozumieli ironii, obrażali się w uprzejmy sposób i byli bezlitośnie i brutalnie skuteczni w kontaktach z miejscową ludnością. Kapitan Corelli zaprzyjaźnił się z jednym z nich – chłopakiem, który mówił trochę po włosku – i odkrył, że tamten staje się

prawdziwie ludzki dopiero wtedy, gdy zrzuca z siebie mundur, wkłada kąpielówki i pluska się w morzu.

Günter Weber rozpaczliwie pragnął być blondynem i z tego właśnie powodu po służbie chodził na skąpane w słońcu plaże, w nadziei że rozjaśni mu ono włosy. W żaden sposób nie był jednak w stanie zmienić piwnego koloru swoich oczu na niezaprzeczalnie aryjski błękit. I właśnie na plaży w zatoce Lepada poznał człowieka, który stał się jego przyjacielem i którego miał zdradzić judaszowym pocałunkiem w postaci gradu kul otwierających szkarłatne krwawiące usta w ciałach towarzyszy broni, których pokochał.

Zatoka Lepada znajduje się koło Liksuri, u stóp klasztoru, w którym Anthimos Kuruklis toczył rozmowy z Bogiem; na wzgórzu nad klasztorem wznosi się zrujnowane korynckie miasto Pale, gdzie w starożytności rozkwitał niewinny kult Persefony. Plaża zakreśla tu elegancki łuk, a na jednym jego końcu znajduje się prążkowana skała, która przypomina do złudzenia przechylony, zniszczony galeon. To kamień idealnie przystosowany przez naturę do siedzenia na słońcu lub spoglądania zeń na nieokiełznane morze i setki maleńkich ryb, które przemykają wśród wodorostów.

Właśnie na wieży rufowej tego kamiennego okrętu siedział Günter Weber, gdy usłyszał, jak do pierścienia wyschniętych traw podjeżdża ciężarówka i wyrzuca z siebie wesoły ładunek śpiewaków i kurew.

Gdyby nie oczywista nieprecyzyjność słowa „świeżo”, ktoś określiłby te kurwy mianem świeżo przybyłych z północnej Afryki. Grupka podstarzałych, lecz sympatycznych kociaków, pokąsana przez insekty i wyniszczona suchym upałem szarej pustyni, niedawno przybyła do swego nowego wyspiarskiego rajy i wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Wszystkie uwielbiały, jak starym wieśniakom opadają szczęki, gdy one przechadzają się żwawo obok nich z parasolkami w rękach, w kusych sukienkach, z twarzami pokrytymi grubą warstwą pudru i różu, z wargami umalowanymi w kształt stanowiący karykaturę łuku Kupidyna. Uwielbiały także świeży smak wody, jedwabisty dotyk morza na swych bezwstydnie obnażonych do pływania ciałach, cudowny sposób, w jaki słońce leczy skazy na skórze oraz miłą ospałość chwil beczynności w wojskowym burdelu, gdy wylegiwały się, malując paznokcie i wyrzekając na mężczyzn w ogóle i w szczególności. Najbardziej zaś były zadowolone, gdy udało im się zarazić chorobami zmuszającymi lekarzy wojskowych do kierowania ich na rekonwalescencję, która pozwalała na wielotygodniowe urlopy. Oznaczało to przerwę we wczesnym wstawaniu i jeźdzeniu jak bydło z bazy do bazy po to tylko, by wracać na miejsce do kolejnych zmagania z przeszywającymi ich ciała atletami i niezmiennego repertuaru stękań. Ich egzystencja sprowadzała się jedynie do tarcia (nic

dziwnego, że miały gładką skórę) i wiecznego oglądania sufitów.

Wszystkie kurwy, podobnie jak młody niemiecki grenadier, chciały być blondynkami, lecz one cel, do którego on dążył, wylegając się na słońcu, osiągały za pomocą silnie stężonego perhydrolu. Czarne odrosty przy przedziałku u nasady ich kruchych, szorstkich włosów sprawiały, że kurwy miały zawiedzione i rozczarowane miny, jakby im brakowało – niczym utalentowanemu, lecz wyzbytemu motywacji artyście – owego końcowego impulsu, który mógłby uwiecznić magiczną iluzję.

Uroda tych steranych, lecz heliotropicznych kwiatów była całkowicie samorodna i własnoręcznie konserwowana, złudny, fałszywy blask młodości i wdzięku zdawał się emanować z nich niczym mglisty czar uczynionego na próbę zaklęcia, ale w rzeczywistości wykreowany został ich własnym wysiłkiem, wysiłkiem świadomym, stanowiąc efekt wytrwałości raczej niż nadziei. Wysiłek ów był bezcelowy, choć one usiłowały uwierzyć w jego sens. Posłuszne wykonywanie zawodu sprawiało, że ich ciała pozostawały szczupłe i jędrne, ale w kącikach oczu pojawiały się zmarszczki nie do usunięcia, a pod piersiami, w miejscach gdzie zaczęły one niemal niedostrzegalnie obwisać, małe fałdki. Zęby tych kobiet były białe i czyste, ale ich uśmiechy automatyczne nawet wtedy, gdy uśmiechały się szczerze. Nogi i pachy miały wygolone, pachniały szklarnią pełną hiacyntów, a włosy łonowe przycinały i czesały tak skrupulatnie, że żołnierze lubiący myszkować i zanurzać się w porządnej, bujnej i prawdziwej mufce odchodzili niezaspokojeni, oszukani, jakby w ogóle nie doszło do penetracji. Kobiety były wyszorowane i lśniące i Corelli wraz ze swym klubem miłośników opery zabierał je czasem ciężarówką na plażę, gdyż sądził, że to poprawi im humor. One zaś, dobrze obeznane z różnymi męskimi fantazjami, przyjeżdżały, ponieważ życie zawsze miało nimi na wszystkie strony niczym wodorostami na skraju przypiływu, a mężczyźni byli rybami, które je zjadały.

Günter Weber przyglądał się ze swej skały, jak grupa włoskich żołnierzy otwiera butelki z winem i zaczyna śpiewać i wymachiwać ramionami. Obserwował, jak nagie nimfy odłączają się od mężczyzn i wbiegają do morza, piszcząc i ochlapując się niewprawnie; uśmiechnął się z poczuciem wyższości, myśląc, że wszyscy Włosi to szaleńcy. Uzgodniono w kasynie, uzgodnił to cały naród zjednoczonych na powrót Niemiec, że Włosi są jak dzieci – a więc pod koniec przyjęcia zostaną odesłani do domu, ściskając w lepkich palcach balony i lizaki. Inaczej mówiąc, zdobędą Albanię i wszystko, czego posiadanie Führer uznał za pozbawione sensu.

Weber miał dwadzieścia dwa lata i nigdy dotąd nie widział nagiej kobiety – nie był jednym z zawziętych i nieubłaganych gwałcicieli, takim jak Chorwaci i Niemcy sudeccy,

którzy zaciągnęli się do wojska; zresztą gwałt „wojskowy” nie wymagał zdejmowania kobiecego ubrania; jego brutalność była powierzchowna i zwykle wieńczyło ją zabójstwo. Weber pozostawał wciąż prawiczkim (jego ojciec był luterańskim pastorem, Günter wychował się w austriackich górach), który nienawidził Żydów i Cyganów tylko dlatego, że nigdy dotąd ich nie spotkał. Podszedł do grupy Włochów, powodowany rozpaczliwym, ukrytym pod maską obojętności pragnieniem, by zobaczyć wreszcie nagą kobietę.

Corelli spojrział na szczerą, młodą twarz Niemca i natychmiast ją polubił. Była niewinna i przyjazna.

– *Heil Hitler* – powiedział Weber i wyciągnął rękę.

– *Heil Puccini* – odparł Corelli, wyciągając swoją.

– Porucznik Günter Weber z pułku grenadierów w Liksuri. Zobaczyłem waszą grupę i pomyślałem, że podejdę i się przedstawię.

– Rozumiem – rzekł Carlo, mrugając okiem. – Chciał pan popatrzeć na kobiety.

– Nie o to chodzi – zaprzeczył chłodno Weber. Oczywiście było to kłamstwo. – Naturalnie widziało się już takie rzeczy.

– Antonio Corelli – przedstawił się kapitan. – I naturalnie nie można się na nie napatrzeć, jeżeli się jest mężczyzną.

– Właśnie – skłamał tym razem zakłopotany Carlo, któremu obecność kobiet sprawiała głęboką przykrość. Nadal pamiętał Francesca i lojalność wobec niego przeniósł na kapitana, przekonany, że w jego wypadku to uczucie samo w sobie będzie musiało stanowić nagrodę. Z Franceskiem nigdy nie miał co do tego całkowitej pewności, mimo że Francesco był zonaty i przejawiał gwałtowną awersję do homoseksualistów. Carlo cieszył się, że Corelli nie jest miłośnikiem burdelu i nie namawia go, jak czynili to inni, do składania w nim wizyt. Carlo wiedział, że Corelli zakochał się w Pelagii, zanim jeszcze Corelli sam to zrozumiał, i ta miłość wraz z umiłowaniem muzyki i uwielbieniem dla dzieci i mandoliny tworzyły dostatecznie urozmaiconą mieszanicę uczuć, jak na jednego mężczyznę.

– Nie jest pan potomkiem tego wielkiego kompozytora? – zapytał Corelli, a Niemiec odparł:

– Powiedziałem „Weber”, a nie „Wagner”.

Kapitan roześmiał się.

– Wagner nie był wielkim kompozytorem. Jest zbyt nadęty, zbyt napuszony, zbyt pompatyczny i arogancki. Nie, chodzi mi o Carla Marię von Webera, tego, który napisał „Wolnego strzelca”, dwa koncerty na klarnet i symfonię C-dur.

Weber wzruszył ramionami.

– Żałuję, *signor*, że nigdy o nim nie słyszałem.

– A pan powinien zapytać, czy ja jestem potomkiem wielkiego kompozytora – rzekł Corelli z uśmiechem. Weber znowu wzruszył ramionami i kapitan dodał: – Arcangela Corellego. Zna pan „Concerti grossi”? Nie jest pan miłośnikiem muzyki?

– Nie, lubię... – Porucznik przerwał, gdyż nie potrafił wymienić niczego, co by naprawdę lubił. – Zapomniał pan podać mi swój stopień.

– Jestem nutą, stojący tu Carlo półnutą, on jest ćwierćnutą, on ósemką, ten chłopak w morzu to szesnastka, a mały Piero to trzydziestka dwójka. W klubie operowym mamy nasz własny system klasyfikacyjny, ale poza tym jestem kapitanem. Trzydziesty trzeci pułk artylerii. Proszę się do nas przyłączyć, mamy mnóstwo wina, ale dziewczęta są po służbie, a pan ma pewnie własną. Byłbym zapomniał, doskonale zna pan włoski.

Günter Weber zasiadł na piasku, w pewnej odległości od tych wszystkich smagłych i jowialnych cudzoziemców, i odparł:

– Pochodzę z Tyrolu. Wielu z nas mówi po włosku.

– Więc nie jest pan Niemcem?

– Oczywiście, że jestem Niemcem.

Corelli wyglądał na zakłopotanego.

– Myślałem, że Tyrol leży w Austrii.

Weber poczuł, że zaczynają mu puszczać nerwy; wystarczająco nieprzyjemna była konieczność wysłuchiwanie ubliżających uwag na temat muzyki Wagnera, jednego z największych prekursorów faszyzmu.

– Nasz Führer jest Austriakiem, a nikt nie twierdzi, że nie jest Niemcem. Ja jestem Niemcem.

Zapadło niezręczne milczenie, które przerwał Corelli, wręczając mu butelkę czerwonego wina.

– Pij i bądź szczęśliwy.

Günter Weber wypił i był szczęśliwy. Wino, iskrzący się żar słońca i przynosząca ulgę balsamiczna bryza, zapach aloesu, porywające chóralne śpiewy, niewiarygodna nagość dziewczyn oraz alfabet Morse'a z dziewiczego światła oglądającego się za bezustannym ruchem wody zawiązały spisek i zmiękczyły jego skamieniałe serce.

Pozwolił Adrianie strzelić ze swojego lugera, zasnął, został zrzucony ze skały do morza, pławił się w blasku podziwu nagich dziewczyn, którym bardzo spodobała się jego złota opalenizna i jasne włosy, i został tamtego wieczora odwieziony do bazy w oproszonym

piaskiem, rozchełstany mundurze, jako pełnoprawny członek klubu miłośników opery, zgodziwszy się po pijanemu, że jeśli kiedyś wyrazi podziw dla Wagnera, zostanie rozstrzelany bez sądu i prawa apelacji. Był jedynym, który nie potrafił wyśpiewać żadnej nuty, i otrzymał rangę kropkowanej pauzy po trzydziestce dwójce.

Problemy z oczami

Pelagia traktowała kapitana najgorzej, jak tylko potrafiła. Jeżeli podawała mu jedzenie, stawiała przed nim talerz z hałasem, rozbryzgując i rozlewając zawartość, a jeśli przypadkiem zupa lub gulasz wylewały się na mundur Corellego, przynosiła wilgotną ścierkę, zapominała ją wykręcić i rozsmarowywała je szerokim kręgiem po bluzie, przez cały czas cynicznie przepraszając za okropne plamy.

– Ależ proszę, *kiria* Pelagia, to niepotrzebne – na próżno protestował kapitan.

W końcu zauważyła, że wyrobił w sobie nawyk czekania z przysunięciem krzesła dopóty, dopóki nie rozlała stawy na stół.

Niemożliwość czynienia jej wymówek i zupełna niechęć do rzucania gróźb, których można by się spodziewać po oficerze wojsk okupacyjnych, tylko ją irytowały. Chciałyby, żeby krzyczał, żądał, by zaprzestała swoich zuchwałych poczynań, gdyż jej gniew był tak zajadły i tak głęboki, że wydawało się, iż tylko otwarta konfrontacja może go uśmierzyć. Pelagia pragnęła dać mu upust, wymachiwać rękami jak protestantki kaznodzieja, ale odnosiła wrażenie, że kapitan koniecznie chce ją do tego zniechęcić. Pozostał uległy i grzeczny, a ona ćwiczyła na osobności mrużenie oczu i ściąganie warg, które towarzyszyłyby hipotetycznym lawinom zarzutów i wzgardy, które codziennie z radością zrzucałaby na jego głowę. Po dwóch miesiącach spowodowanej furją bezsenności, gdy spędzała noce zwinięta w kłębek w pościeli na kuchennej podłodze, ułożyła kilka wersji jadowitej przemowy, którą zamierzała wprawić go w pomieszenie. Kiedy jednak nadarzy się okazja, by ją wygłosić? Jak tu wybuchnąć słusznym rozgoryczeniem, gdy obiekt tego wybuchu pozostaje skromny i nieśmiały?

Kapitan nie wydawał jej się typowym Włochem. To prawda, że czasami przychodził do domu lekko nietrzeźwy i że z rzadka miewał napady niepoprawnego optymizmu; od czasu do czasu wpadał przez próg i osuwał się na kolana, wręczając jej kwiat, który ona przyjmowała, by potem złośliwie i otwarcie nakarmić nim koziołka; bywało, że nagle obejmował ją prawą ręką w talii, a lewą chwycił jej prawą dłoń i porywał w przyprawiający o zawroty głowy wir, jakby tańczył walca, lecz to zdarzało się tylko wtedy, gdy jego bateria

wygrywała mecz w piłkę nożną. Był zatem impulsywny jak typowy Włoch i wydawał się zupełnie beztroski, ale z drugiej strony, sprawiał wrażenie bardzo rozważnego człowieka, który to po mistrzowsku ukrywa. Dość często widywała, go stojącego przy murku jak Niemiec, z rękami splecionymi na plecach i szeroko rozstawionymi stopami, w głębokim skupieniu przyglądającego się górcom lub czemuś, co było jedynie wytchnieniem dla jego oczu. Wydawało jej się, że ma w sobie smutek, który bardzo przypomina nostalgię, nie będąc nią właściwie. Gdyby tylko, myślała, był taki jak inni Włosi, którzy syczą, gdy przechodzę obok, lub próbują mnie podszczypywać. Wtedy mogłabym go uderzyć, obrzucić przekleństwami i powiedzieć na przykład: „*Testa d'asino*”²⁸ Zaraz poczułabym się o niebo lepiej.

Pewnego dnia Corelli zostawił na stole pistolet. Pelagia pomyślała, że łatwo byłoby go ukraść i obarczyć winą jakiegoś złodzieja, który skorzystał z nadarzającej się sposobności. Przyszło jej do głowy, że może nawet zabić kapitana, gdy ten przestąpi próg, a potem uciec z bronią, by się przyłączyć do *andartes*. Kłopot w tym, że nie był on już tylko zwykłym Włochem, był kapitanem Antonio Corellim, który grał na mandolinie, człowiekiem czarującym i pełnym szacunku. Mogła zresztą zastrzelić go z derringera, mogła roztrzaskać mu głowę patelnią, ale pokusa nie nadeszła. Prawdę powiedziawszy, sama myśl o tym przyprawiała Pelagię o mdłości; w każdym razie takie morderstwo byłoby bezcelowe i przeciwnie skuteczne, doprowadziłoby do straszliwych represji i chyba nie zapewniłoby zwycięstwa w wojnie. Postanowiła zanurzyć jego pistolet na parę minut w wodzie, tak aby lufa zardzewiała od środka i zablokował się mechanizm.

Kapitan wszedł do kuchni i przyłapał ją na gorącym uczynku, w chwili gdy wyjmowała broń z wody. Stała z palcem wskazującym, wsadzonym w kabłąk spustowy, poruszając zaskakująco ciężkim kawałem żelastwa w górę i w dół, żeby strząsnąć krople. Usłyszała za sobą głos i tak się przeraziła, że upuściła pistolet z powrotem do miski.

– Co pani wyprawia?

– O Boże! – wykrzyknęła. – Przestraszył mnie pan!

Kapitan popatrzył na zanurzoną w wodzie broń z wyrazem naukowego obiektywizmu na twarzy, uniósł brwi i rzekł:

– Widzę, że figle się pani trzymają.

Nie tego się spodziewała, ale mimo to serce boleśnie łomotało w jej piersi z

²⁸ Ośli łeb

przerażenia, i to straszliwe przerażenie na chwilę odebrało jej mowę.

– Myłam go – wymamrotała w końcu. – Był strasznie tłusty.

– Nie miałem pojęcia, że jest pani tak wzruszająco nieświadoma – rzekł lakonicznie kapitan. Pelagia zarumieniła się pod wpływem bardzo osobliwego uczucia, uczucia wywołanego przez jego sarkazm i ironiczną sugestię, że jest słodkim i głupiutkim dziewczęciem, które robi idiotyczne rzeczy, ponieważ jest zbyt słodkie i głupiutkie, by mieć więcej oleju w głowie. Corelli udawał, że traktuje ją protekcjonalnie, i było to dla niej równie irytujące jak prawdziwie protekcjonalne traktowanie. Wciąż jeszcze była przerażona, nadal lękała się tego, co kapitan zrobi, i nadal, w głębi serca, czuła wściekłość, że nie udało jej się go sprowokować.

– Nie jest pani wystarczająco obłudna, by umiejętnie kłamać.

– Czego pan oczekuje? – zapytała po to tylko, by w tej samej chwili zastanawiać się, co właściwie miała na myśli.

Jednakże kapitan wydawał się to wiedzieć.

– Konieczność znoszenia naszej obecności musi być dla was wszystkich bardzo przykra.

– Nie ma pan prawa... – zaczęła pierwszymi słowami swojej dobrze przećwiczonej mowy i natychmiast zapomniała całej reszty.

Corelli wyłowił pistolet z miski, westchnął i rzekł:

– Chyba wyświadczyła mi pani przysługę. Już dawno powinienem był rozłożyć go do czyszczenia i naoliwienia. Człowiek jakoś o tym zapomina albo wciąż odkłada sprawę.

– Więc nie gniewa się pan? Dlaczego?

Spojrzał na nią figlarnie.

– Co gniew ma wspólnego z frazą muzyczną? Naprawdę sądzi pani, że nie mam nic ważniejszego na głowie? Myślmy o rzeczach istotnych i zostawmy się nawzajem w spokoju. Dam pani spokój, a pani może dać spokój mnie.

Ta myśl wydała się Pelagii zarazem oryginalna i nie do przyjęcia. Wcale nie chciała zostawić kapitana w spokoju, chciała na niego krzyczeć i bić go. Nagle, zawstydzona i cynicznie świadoma, że w niczym sobie tym nie zaszkodzi, uderzyła go boleśnie, z całej siły, prosto w lewy policzek.

Kapitan próbował cofnąć się, ale było już za późno. Nieco oszołomiony i zmieszany, odzyskał równowagę i dotknął dłonią twarzy, jakby dodawał sobie otuchy. Wyciągnął w jej

stronę rękę z pistoletem i rzekł:

– Niech go pani włoży z powrotem do wody. Może wtedy będzie mniej bolało.

Ta nowa sztuczka, mająca momentalnie położyć kres jej furii, rozwścieczyła Pelagię. Zniechęcona do granic ludzkiej wytrzymałości, wzniosła oczy ku niebu, zacisnęła pięści, zazgrzytała zębami i wyszła. Na podwórku kopnęła z całej siły w żeliwny garnek, poważnie uszkadzając sobie przy tym duży palec. Podskakiwała na jednej nodze, dopóki ból nie ustąpił, a potem wyrzuciła złośliwy garnek za mur. Z desperackim uporem przekuśtykała parę razy tam i z powrotem i zerwała z drzewa niedojrzałą zieloną oliwkę. Przyniosło jej to ukojenie, więc zerwała jeszcze parę. Gdy miała ich pełną garść, zadowolona wróciła do kuchni i mocno cisnęła nimi kapitanowi w twarz. Corelli zrobił daremny unik; twarde owoce odbiły się od niego, nie czyniąc mu krzywdy, więc z rozbawieniem pokręcił głową, widząc, że Pelagia znowu zniknęła. Te greckie dziewczyny, tyle w nich energii i ognia. Zastanawiał się, dlaczego jeszcze nikt nie wybrał jako miejsca akcji żadnej opery współczesnej Grecji. Na dobrą sprawę może to oni oboje właśnie stworzyli temat. Może sam powinien tę operę napisać. W jego głowie pojawiła się melodia i kapitan zaczął ją nucić, stale jednak przechodziła w „Marsylianę”. Stuknął się w skroń, by wyrzucić intruza, i melodia perwersyjnie zmieniła się w „Marsz Radetzky'ego”.

– *Carogna!*²⁹ – zawołał, zirytowany do najwyższych granic.

Pelagia usłyszała jego krzyk na podwórzu, przestraszyła się spóźnionej reakcji i uciekła w dół wzgórza, by skryć się w domu Drosuli, do czasu aż Corelli ochłonie.

Z upływem kolejnych miesięcy zauważyła, że ubywa w niej złości; fakt ten zaintrygował ją i wytrącił z równowagi. Corelli z wolna stał się takim samym domownikiem jak koziołek bądź jej własny ojciec. Przywykła do widoku kapitana przy stole, gryzmołającego coś zawzięcie lub skupionego, siedzącego bez ruchu z ołówkiem tkwiącym między zębami. Wczesnym rankiem z przyjemnością gospodyni oczekiwała na moment, gdy wyłaniał się ze swojego pokoju i mówił: „*Kalimera, kiria* Pelagia. Czy Carlo już przyjechał”?, a wieczorem zaczynała się wręcz niepokoić, jeżeli się trochę spóźniał; wzdychała z ulgą, gdy przekraczał próg, i wbrew woli uśmiechała się.

Kapitan miał kilka ujmujących cech. Potrafił przywiązać korek do kawałka sznurka i biegać dookoła domu z zawzięcie goniącą go Psipsiną, a wieczorem, gdy miał się już kłaść spać, wychodził i wołał ją, ponieważ rozsądna kuna zwykle w sprawiedliwy sposób dzieliła

²⁹ Ścierwo jedno!

noc, rozpoczynając ją z nim, a kończąc z Pelagią. Często można go było zastać, jak klęczał z ręką na brzuszku Psipsiny i przetaczał ją tam i z powrotem po kamiennych płytach, a ona udawała, że go gryzie i drapie pazurami. Jeżeli zwierzę przypadkiem siadało na nutach, kapitan wołał pójść po inny utwór niż jej przeszkadzać.

Poza tym był obdarzony wielką ciekawością. Potrafił siedzieć i z onieśmielającą cierpliwością obserwować, jak w jej, Pelagii, rękach płasa szydelko, aż w końcu odnosiła wrażenie, że jego oczy emitują jakąś dziwną i potężną energię, która wywołuje skurcze w palcach i powoduje, że ona wciąż gubi oczka.

– Ciekaw jestem – rzekł pewnego dnia – jak brzmiałby utwór muzyczny, ilustrujący poruszenia pani palców.

Ta pozornie niedorzeczna uwaga bardzo zaintrygowała Pelagię, a gdy kapitan powiedział, że nie podoba mu się jakaś melodia, gdyż ma szczególnie ohydny odcień brązu, zaczęła podejrzewać, że albo posiada on dodatkowy zmysł, albo ma źle poukładane w głowie. Myśl, że Corelli jest lekko obłąkany, wzbudziła w niej opiekuńcze uczucia w stosunku do niego i przypuszczalnie właśnie to rozwiąło jej skrupuły. Prawdę – niefortunną – powiedziaławszy, bez względu na to, czy kapitan był włoskim najeźdźcą, czy nie, czynił jej życie bardziej urozmaiconym, bogatszym i osobliwym.

W miejsce starej odkryła w sobie nową irytację, tyle że teraz sama była jej obiektem. Wydawało się, że Pelagia po prostu nie może się powstrzymać od patrzenia na kapitana, a on stale przyłapywał ją na tym.

Gdy siedział przy stole, tonąc w stertach papierkowej roboty, by zaspokoić wymogi bizantyńskiej wręcz biurokracji wojskowej, miał w sobie coś, co sprawiało, że regularnie, jakby w odruchu warunkowym, spoglądała na niego. Niewątpliwie myśli miał zaprzątnięte rozwiązywaniem problemów rodzinnych swych żołnierzy; zapewne taktownie sugerował żonie bombardiera, by zgłosiła się na badania do kliniki; zapewne podpisywał formularze zamówień w czterech egzemplarzach; zapewne usiłował ustalić, dlaczego przesyłka pocisków przeciwlotniczych w tajemniczy sposób trafiła do Parmy i dlaczego zamiast nich otrzymał skrzynię żołnierskiej bielizny. Zapewne – niemniej ilekroć unosiła wzrok, jego spojrzenie biegło ku jej oczom i kapitan chwycił ją w jego sieć tak mocno, jakby złapał ją za nadgarstki.

Przez parę sekund patrzyli na siebie, po czym Pelagia peszyła się, na policzki wypływał jej lekki rumieniec i powracała do swojej robótki, wiedząc, że być może taką ucieczką okazuje kapitanowi lekceważenie, ale też zdając sobie sprawę, że wytrzymanie jego spojrzenia choćby o mgnienie dłużej byłoby bezczelnością. Parę sekund później ukradkowo podnosiła wzrok i w tej samej chwili Corelli odwzajemniał się spojrzeniem. To było

niesamowite. Doprowadzało ją do wściekłości. Nie tylko zawstydzalo, ale wręcz upokarzało.

Muszę przestać to robić, postanawiała i – przekonana, że kapitan jest pochłonięty pracą, podnosiła wzrok i znowu dawała się przyłapać. Próbowala zapanować nad swym odruchem, obiecując sobie: „Nie spojrzę na niego przez następne pół godziny”. Ale to wszystko nie zdawało się na nic. Zerkała ukradkiem, jego oczy biegły ku jej spojrzeniu i oto znowu wpadała w niewolę nieobecnego uśmiechu i uniesionej brwi.

Wiedziała, że Corelli prowadzi z nią grę, że dokucza jej i naigrawa się z niej tak subtelnie, iż ona nie może zaprotestować ani zrobić z tego problemu. Przecież nigdy nie przyłapała go na patrzeniu na nią, więc oczywiście sama była wszystkim winna. Mimo to w tej grze Corelli panował nad nią całkowicie i w tym sensie Pelagia padła jej ofiarą. Postanowiła zmienić taktykę w owej wojnie spojrzeń. Zdecydowała, że nie będzie tą, która przełamie impas; poczeka, aż jemu zabraknie energii, aż to on ucieknie wzrokiem. Opanowała się, wykrzesala z siebie resztki stanowczości i podniosła spojrzenie na kapitana.

Wydawało się jej, że patrzy na siebie przez wiele godzin, i zastanawiała się nedorzecznie, czy ma prawo mrugnąć. Twarz Corellego rozmazała się i Pelagia skupiła uwagę na grzbiecie jego nosa. Nos także zaczął tracić ostrość i Pelagia znów spojrzała kapitanowi w oczy. Nie mogła się jednak zdecydować, w które z nich ma patrzeć. Przypominało to dylemat osła Buridana zdychającego z głodu między dwiema wiązkami siana. Skupiła uwagę na lewym oku Corellego, które wydawało się rozrastać w ogromną drżącą pustkę, skoncentrowała się zatem na prawym. Jego źrenica przeszywała ją jak szydło. Jakie to dziwne, że jedno oko jest bezdenną rozpadliną, a drugie bronią ostrą niczym włócznia. Poczula okropny zawrót głowy.

Kapitan nie odwrócił wzroku. W chwili gdy dolegliwość wprawiła Pelagię w prawdziwe zakłopotanie, Corelli zaczął stroić miny, ani przez chwilę nie spuszczał dziewczyny z oka. Rytmicznie rozdymał nozdrza, a potem poruszał uszami. Wyszczerył zęby i zaczął przesuwać czubek nosa z boku na bok. Potem niczym odrażający satyr łypnął oczami, a następnie wykrzywił wargi.

Uśmiech zaczął rozciągać kącki ust Pelagii i rozciągał je coraz mocniej. W końcu nie była w stanie go powstrzymać i nagle roześmiała się na głos i zamrugala oczami. Corelli skoczył na równe nogi, płasając z radości i krzyząc:

– Wygrałem, wygrałem!

Doktor uniósł wzrok znad książki i zawołał:

– Co jest? Co się stało?

– Oszukiwał pan – ze śmiechem zaprotestowała Pelagia. Zwróciła się do ojca ze

skargą: – Tatusiu, on oszukiwał. To nieuczciwe.

Doktor przeniósł spojrzenie z korybanta w kapitańskim mundurze na swą błogo uśmiechającą się córkę, poprawił okulary i westchnął.

– Co dalej? – zapytał retorycznie, doskonale znając odpowiedź na to pytanie i zawczasu obmyślając, jak najlepiej sobie z tym poradzić.

XXXII

Wyzwalanie mas (2)

Hej, ty, co robisz? Wynoście się stąd! Zostawcie moje owce w spokoju!

Hektor nie upuścił młodej owieczki, którą zarzucił sobie na ramię. Mandrasowi przypominał wizerunki Dobrego Pasterza w katechizmach, które katolicycy misjonarze rozdawali w prawosławnych wioskach, i biblijnego Jezusa. Hektor był taki natchniony, tak jasno wszystko tłumaczył. Był człowiekiem, który wszystko rozumiał. Miał książkę zatytułowaną „Co robić?” i dokładnie wiedział, gdzie szukać w niej wskazówek. Książka była stara i bardzo sfatygowana, rozpadała się, ale napisał ją człowiek nazwiskiem Lenin, który był kimś jeszcze ważniejszym niż Jezus. Mandras był pod ogromnym wrażeniem sposobu, w jaki Hektor potrafił patrzeć na wszystkie te powykrzywiane robaczki wydrukowanych liter i łączyć je w słowa. Hektor obiecał, że nauczy czytać jego oraz kilku innych analfabetów; mieli stworzyć robotniczą grupę samokształceniową. Mandras poznał już alfabet i wygłosił mowę o sztuce połowów morskich. Wszyscy bili mu brawo. Od Hektora dowiedział się, że nie jest rybakiem, lecz robotnikiem, dowiedział się również, że jego, cieślę i pracownika z fabryki łączy to, że kapitaliści zgarniają wszystkie zyski z ich pracy. Tyle że owe zyski nazywają się wartością dodatkową. Nie pojmował jeszcze, jak to się dzieje, że ta wartość dodatkowa trafia do cudzej kieszeni, ale zrozumienie tego było tylko kwestią czasu. Czuł wielką złość na króla za urządzenie tego w ten sposób i nauczył się patrzeć wilkiem lub śmiać się sarkastycznie, ilekroć ktoś wspominał o Brytyjczykach bądź Amerykanach. Tak właśnie reagowali wszyscy pozostali. Rozśmieszał ludzi, wyzywając swój karabin od „burżujów”, gdy ten nie działał jak trzeba. Burżujami byli urzędnicy i właściciele statków, i farmerzy zatrudniający innych ludzi, byli nimi również lekarze. Mandras pomyślał o tych wszystkich rybach, którymi zapłacił doktorowi Janisowi za leczenie, i poczuł rozgoryczenie. Doktor był bogatszy od niego i w sprawiedliwym świecie wartość dodatkowa jego pracy przypadłaby w udziale Mandrasowi, który powinien zjednoczyć się z innymi rybakami i odmawiać sprzedaży ryb po zbyt niskiej cenie. Teraz to wszystko było oczywiste.

Mandras poczuł się światły i wykształcony i darzył czcią Hektora – tego silniejszego i

starszego mężczyznę, który poznał największy ogień walk w Guadalajarze i gromił włoskich faszystów. Gdzie leży Guadalajara? W Hiszpanii. No, ale gdzie dokładnie leży Hiszpania? Spokojna głowa, kiedyś zrobimy sobie lekcję geografii. Klepięcie w plecy. Dziękuję wam, towarzyszu. To był świat ludzi dojrzałych, tu nie mówiło się „proszę pana” ani „proszę pani”, tylko „towarzyszu”. Po żołniersku, uspokajająco, rozważnie, po męsku. Towarzyszu. Serdeczne, pełne solidarności słowo.

Hektor uśmiechnął się do rozgniewanego chłopca małorolnego i powiedział:

– Zabieramy tę owcę na mocy rozkazów Naczelnego Dowództwa Wojsk Sprzymierzonych w Kairze.

Wieśniak odetchnął z ulgą.

– A już żem myślał, że jesteście rabusiami.

Hektor roześmiał się, więc Mandras także wybuchnął śmiechem. Mężczyzna wyciągnął rękę. Hektor popatrzył na zrogowaciałą, brudną dłoń i przez jego twarz przemknął wyraz dezaprobaty.

– Należy się jeden złoty suweren – wyjaśnił wieśniak.

– Spadaj – doradził Hektor. – Czyżbyś sam był faszystą?

– Brytyjczycy zawsze płacą za owcę jednego złotego suwerena. To normalna zapłata. Nie należycie do EDES? Chyba o tym wiecie?

– Jesteśmy z ELAS i nie uważamy utraty owcy za wielkie nieszczęście, gdy zważyć, czego staramy się dokonać w twoim imieniu. Zapłacimy ci później. A teraz rób, co mówię, i spadaj. Zgodnie z nowym rozkazem Brytyjczyków my zabieramy owce, a później oni wam płacą.

Wieśniak popatrzył na swoje buty i rzekł:

– Dziś rano ludzie z EDES dali mi za owcę złotego suwerena.

– Jeżeli znowu się dowiem, że zaopatrujesz EDES, będziesz gryzł piach – zagroził Hektor. – Więc lepiej zamknij gębę. Nie wiesz, że oni kolaborują z faszystami?

– Wczoraj wysadzili most – nie ustępował pechowiec.

– Na litość boską! – wybuchnął Hektor. – Czy jesteś aż tak głupi, że nie poznajesz operacji maskującej?

Gdy odchodzili z przywłaszczoną owcą, beczącą z rozpaczy na ramieniu partyzanta, a okradziony mężczyzna w oszołomieniu drapał się po głowie, Mandras zachichotał i rzekł:

– Pokazaliśmy, kto tu rządzi. – Umilkł, a że milczenie, choćby między towarzyszami,

bywa przykre, z lekkim wahaniem, lecz ze stosowną pogardą dodał: – Faszystowska oferta.

XXXIII

Problemy z rękami

To była prawdziwie styksowa noc. Za oknem sływały ściany deszczu, niesionego porywistym wiatrem ze wschodu. Wicher powodował, że nieznanne przedmioty z brzękiem przetaczały się po drodze, a doktor niepokoił się o stan dachu, którego dwułukowe dachówki głośno ocierały się o siebie, podnosząc się, osiadając i przesuając na łąkach. Siedzieli w kuchni we troje – Pelagia, prując swą coraz mniejszą narzutę, doktor, czytając tomik wierszy, a kapitan, komponując sonatę w stylu Scarlattiego. Pelagia była zafascynowana sposobem, w jaki zdawał się słyszeć muzykę w swojej głowie, i od czasu do czasu podchodziła, by sprawdzić rosnącą ilość niepojętych znaczków na papierze. W pewnym momencie stanęła z ręką opartą na ramieniu kapitana. Wydawało się to pozą bardzo naturalną, właściwie w tej sytuacji nieuchronną, i dopiero po paru minutach zdała sobie sprawę z tego, co czyni.

Ze zdziwieniem spojrzała na swą rękę, spoczywającą na ciele mężczyzny, jakby czyniła jej wymówki za tak samowolne zachowanie pod nieobecność odpowiednio dojrzałego nadzorcy. Zastanawiała się, co zrobić. Gdyby cofnęła rękę gwałtownie, chyba wydałoby się to niegrzeczne. Poza tym zdradziłoby fakt, że położyła ją tam nieświadomie, i kapitan domyśliłby się, że świadczy to o uczuciach, do których Pelagia nie chce się przyznać ani przed nim, ani przed sobą. Ale gdyby zostawiła ją tam, niby czyjąś własność, mogłaby po prostu wyprzeć się odpowiedzialności za jej działania. Co jednak, jeśli kapitan nagle zauważyłby, gdzie ręka się znalazła – co wtedy? Gdyby ją ruszyła, mógłby natychmiast uświadomić sobie, że rzeczywiście spoczywała na jego ramieniu; gdyby tego nie uczyniła, mógłby w końcu zdać sobie sprawę, że jej dłoń się tam znajduje, i zinterpretować jako ten fakt. Pelagia popatrzyła wrogo na swą rękę i poczuła niepokój, który przeszkadzał w zrozumieniu wyjaśnień kapitana o frazowaniu i harmonii. Po krótkim wahaniu uznała, że najlepiej będzie pozostawić dłoń na miejscu i udawać, że należy do kogoś innego. Pochyliła się i przyoblekła twarz w wyraz najwyższej powagi, bez krzty naturalnej słabości lub pociągu fizycznego.

– Mmm, to bardzo ciekawe – powiedziała.

Psipsina poskrobała w drzwi, piszcząc żałośnie, i Pelagia z ulgą pobiegła, by ją

wpuścić; w tym momencie kapitan uświadomił sobie, że od paru minut na jego ramieniu lekko wspierała się czyjaś ręka. Brak jej ciężaru był dość oczywisty, a jego dotychczasowa obecność, bardzo przyjemna i podnosząca na duchu. Uśmiechnął się ze skrywaną radością; gdyby tylko miał okazję przemówić, w jego głosie pojawiłaby się nuta triumfu.

Przyjemną zadumę Corellego brutalnie przerwała Psipsina; jej mokry ciężar na jego kolanach całkowicie wyparł wszelką radość lub triumf, które kapitan mógł być odczuwać. Podczas ulewy kuna zawsze starała się jak najbardziej zmoknąć, a potem skoczyć na najbliższe i najcieplejsze kolana, by się możliwie najskuteczniej osuszyć. Tym razem jej ofiarą padł kapitan, ponieważ doktor przezornie wstał, by uniknąć nieszczęścia. Corelli z przerażeniem popatrzył na przemoczony kłębek futra i poczuł, że ma mokro w pachwinie.

– Aaaa! – zawołał, wyrzucając ręce w górę.

Uradowana Pelagia roześmiała się złośliwie i przepędziła przemoczone zwierzę z kolan kapitana. Corelli poczuł na udach przelotne muśnięcie jej palców i chwilowy dreszcz zaskoczenia, które wzrosło niemal nieskończenie, gdy Pelagia zaczęła omiatać rękami jego bryczesy.

– Co za paskudztwo, biedaku, popatrz tylko na ten piasek i błoto...

Kapitan zdumiony spojrział w dół na poruszające się dłonie i wtedy uświadomił sobie, że Pelagia spostrzegła wyraz malujący się na jego twarzy. Wyprostowała się szybko, posłała mu miażdżące, oskarżycielskie spojrzenie i wyniośle powróciła do prucia narzuty, a wtedy uparta Psipsina znowu wskoczyła Corellemu na kolana. Gdy woda w jego pachwinach ogrzała się pod ciepłym ciężarem kuny, kapitan poczuł na twarzy ów osobliwy rumieniec zadowolenia, którego doznał jako mały chłopiec, gdy zmoczył się we śnie, wyobrażając sobie, że sika na mur. Było to takie samo pocieszające ciepło, jakie człowiek odczuwał, zanim ze wstydem i przerażeniem się przebudził. Corelli zapomniał o Scarlattim i myślał o rękach Pelagii. Takie smukłe palce, takie różowe paznokcie. Wyobraził je sobie nocą, zajęte miłosnymi zabiegami, i zorientował się, że niepokoi Psipsinę. Usiłował zatem stłumić swą lubieżną wyobraźnię, myśląc o Vivaldim.

Popełnił błąd, ponieważ natychmiast przypomniał sobie, że Vivaldi uczył młode dziewczyny w klasztorze. Nieobliczalny umysł kapitana wyczarował obraz całej klasy, pełnej pociągających małych Pelagii; wszystkie bez wyjątku niedwuznacznie obliżywały końce ołówków i kusily go płomiennymi spojrzeniami ciemnych oczu. Obraz był naprawdę uroczy. Wyobraził sobie, jak wszystkie one stoją przy jego biurku i pochylają się nad nim, gdy coś tłumaczy, przesuwając palcem po wierszach tekstu, podczas gdy czarne włosy dziewcząt laskoczą go w policzki i wypełniają mu nozdrza zapachem rozmarynu.

Jedna z nich wsunęła mu rękę pod koszulę, a druga zaczęła gładzić go po włosach i karku. Wkrótce poczuł na sobie dziesiątki identycznych szczupłych rąk i w okamgnieniu wyobraził sobie siebie nagiego, jak go Pan Bóg stworzył, na rozłożystym stole ze wszystkimi cudownie rozebranymi Pelagiami, wczolgującymi się nań, przystępującymi do rozkosznego natarcia piersiami, rękami oraz gorącymi, tulącymi się do jego skóry wargami. Zaczął ciężko oddychać i pocić się.

Psipsina stwierdziła, że dłużej nie zniesie tego parcia od dołu i zeskoczyła kapitanowi z kolan. Jego cudowna zaduma przerodziła się w panikę. Gdyby Pelagia przypadkiem uniosła wzrok, dostrzegłaby aż nadto wyraźnie imponującą wypukłość w tym szczególnym miejscu na jego spodniach, wypukłość, która mogła mieć tylko jedno przekonywające wytłumaczenie.

Rozpaczliwie próbował pomyśleć o czymś bardzo nieprzyjemnym, a tymczasem okręcił się na krześle, by odwrócić się nieco od niej. Ułożył swoje papiery na kolanach i udawał, że studiuje je w tym położeniu. Bezpieczny teraz, powrócił myślami do Pelagii na stole oraz wielu rąk sunących po jego ciele i wielu piersi napierających na jego usta niczym chłodne i soczyste owoce.

Prawdziwa Pelagia westchnęła, uświadamiając sobie, że ma już dość szydełkowania. U jej stóp leżała sterta sprutej wełny, która splątała się w próbie powrotu do węzłowej konfiguracji swego poprzedniego stanu. Pelagia nie rozumiała, skąd w wełnie bierze się taka nostalgia, ale z pewnością było to denerwujące. Zaczęła ją zbierać z podłogi. Nieprzejednany upór włóczki sprawił ją w lekkie oszołomienie.

– Kapitanie, mógłby mi pan poświęcić jedną chwilę? Potrzebuję pary rąk do nawinięcia wełny.

Kryzys jego świadomości osiągnął szczytową fazę; kapitan tak bardzo pograżył się w krainie baśni, że właśnie kochał się z każdą z nagich Pelagii po kolei. Głos dziewczyny przeciął sen o Elizjum niczym nóż krający melon. Corelli niemal słyszał chrzęst tnącego ostrza i głuchy stuk o deskę do krojenia, w chwili gdy melon rozpadł się na dwie części.

– Słucham? – zapytał.

– Niech mi pan pomoże. Cała jestem zaplątana w wełnę.

– Nie mogę. Właśnie doszedłem do decydującego punktu. W sonacie. Zechce pani chwilę poczekać? – Sytuacja była rozpaczliwa; nie mógł teraz w żaden sposób wstać, nie ukazując nabrzmiałego pod spodniami członka. Zaczął się umartwiać myślami o swojej babci, pływaniu w lodowatym morzu, o zwłokach konia, które muchy obsiadły na poboczu drogi, gdzie zwierzę padło po bitwie. Wzwiedziony członek pochylił lekko, lecz niewystarczająco, główkę.

Nie pozostawało kapitanowi nic innego, niż zachować się idiotycznie – na szczęście Pelagia była do tego przyzwyczajona. Opadł na kolana i podszedł do niej na czworakach. Pokręcił tyłkiem jak merdający ogonem pies, wywiesił język i spojrzał na nią z wyrazem bezgranicznej psiej wierności. Przy odrobinie szczęścia, jeśli zyska trochę na czasie, będzie mógł się wyprostować. Pelagia popatrzyła na niego i skrzywiła się.

– Straszny z pana głupiec.

– Hau! – warknął Corelli i znowu pokręcił tyłkiem. Wystawił obie ręce jak służący pies łapy, a Pelagia rozprostowała te ręce władczym ruchem, rozsuwając je o parę centymetrów, tak by mogły zostać wykorzystane do nawinięcia wełny. Rozpaczliwie usiłowała zachować powagę.

Kapitan wywiesił język z jeszcze większą gorliwością i spojrzał Pelagii w twarz z takim psim uwielbieniem, że dziewczyna przerwała zwijanie i powiedziała:

– Jak mam to porządnie zrobić, jeżeli ciągle mnie pan rozśmiesza? Wariat.

– Hau! – powtórzył Corelli, tak pochłonięty swą komiczną maskaradą, że już zapomniał, po co ją rozpoczął; jego problem zniknął bez śladu. Zaskomlił, jakby prosił o wypuszczenie na dwór, a potem zaczął warczeć na wełnę, niby to przekonany, iż ma do czynienia z niebezpiecznym i niepojętym przeciwnikiem.

– Głupi pies – powiedział Pelagia, delikatnie trzepnąwszy kapitana po nosie.

– Czy zdajecie sobie sprawę, jak idiotycznie wyglądacie? – z wyrzutem zapytał doktor. – Na litość boską, to żenujące. Gdybyście tylko mogli siebie zobaczyć!

– Nic na to nie poradzę – oświadczyła z rozdrażnieniem Pelagia, mając ojcu za złe, że przerwał ich infantylną zabawę. – On jest szalony, a szaleństwo jest zaraźliwe.

Kapitan odrzucił do tyłu głowę i zawył na melodię „Sola, perduta, abandonata”. Doktor skrzywił się i pokręcił głową, a Psipsina podbiegła do drzwi i zaczęła w nie drapać, wołając wyjść na niesiony wiatrem deszcz niż zostać w pokoju i znosić ten przerażający lament; prawdziwe psy wystarczająco dały się jej we znaki. Pelagia wstała, wzięła ze stołu brzoskwinię, wróciła na miejsce i w chwili gdy kapitan odrzucił głowę do tyłu, by zawyc jeszcze bardziej płaczliwie, wepchnęła mu ją do ust. Jego wybałuszone oczy i wykrzywiona w zdumieniu twarz stanowiły doprawdy przyjemny widok.

– Czy wie pan, jak głupio pan wygląda? – zapytała Pelagia. – Na kolanach, obwiązany wełną i z brzoskwinią w ustach?

– Najeźdźcy powinni się zachowywać z większą godnością – zauważył doktor, urażony trochę w swym poczuciu historycznej stosowności.

– Hau! – warknął w odpowiedzi kapitan.

Pelagia, co zrozumiała, była roztargniona, i gdy skończyła zwijać motek, okazało się, że robiła to coraz ciasniej. Kapitan wstał i zdał sobie sprawę, że ma zatkany nos, ponieważ nie może oddychać ustami. Odgryzł kawałek brzoskwini i pozwolił, by reszta owocu spadła na podłogę. Psipsina przyglądała się owocowi najpierw z pewnym zaciekawieniem, a potem uciekła razem z nim. Kapitan usiłował uwolnić ręce, ale nie udało mu się.

– Spisek! – wykrzyknął. – Zdradziecki spisek Greków przeciwko ich włoskim wyzwolicielom!

– Nie będę tego znowu rozwijać – odparła Pelagia. – I tak trwało to dosyć długo.

– Związani na całe życie – oświadczył kapitan i oboje odruchowo spojrzeli sobie w oczy. Pelagia uśmiechnęła się nieśmiało i bez uzasadnionego powodu znowu spuściła wzrok.

– Niedobry pies – powiedziała.

XXXIV

Wyzwalanie mas (3)

Wysłuchiwanie nagan podpułkownika Myersa było upokarzające i żenujące, ale Hektorowi i Arisowi, jego dowódcy, przydarzyło się już tyle razy, że stało się niemal grą. Trzeba było jedynie udawać ignorancję, oburzenie lub pełne skruchy przerażenie, ilekroć Brytyjczycy otrzymywali meldunek o wykroczeniach i okrucieństwach twojego oddziału, a potem twierdzić, że podpisywanie wszelkich umów bez zgody komitetu w Atenach jest niemożliwe i że w tym celu trzeba by wysłać kuriera, który wróci za dwa tygodnie. Zawsze potem można było powiedzieć, że kurier został schwyty i zabity przez Włochów lub Niemców albo przez jedną z pozostałych grup oporu, można też było obarczyć winą Brytyjczyków, mówiąc, że w oczywisty sposób faworyzują EDES. Ba, można było nawet obwinie greckich wieśniaków, których Niemcy uzbroili, aby mogli bronić swych kurczaków przeciwko bezlitosnym rekwizycjom patriotów z ELAS. Wyjaśnienia owe miały tę zaletę, że czasem bywały prawdziwe i niemal zawsze nie do sprawdzenia.

Hektor poprawił swój fez i stanął przed podpułkownikiem Myersem; czuł się jak niegrzeczny uczeń. Mandrasa zostawił za drzwiami, nie chcąc, by ten był świadkiem jego klęski. Mandras przyglądał się wchodzącym i wychodzącym brytyjskim oficerom łącznikowym i znowu był pod wrażeniem ich wielkiego wzrostu, czerwonych i łuszczących się nosów i ogromnej przyjemności, jaką sprawiało im przekomarzanie się. Niektórzy byli Nowozelandczykami i Mandras domyślił się, że Nowa Zelandia to specjalne miejsce gdzieś w Wielkiej Brytanii, w którym żołnierzy ćwiczą specjalnie w tym celu, by skakali na spadochronach z liberatorów i wysadzali wiadukty. Byli stale zakatarzeni, ale niewiarygodnie wytrzymali, i opowiadali niezrozumiałe dowcipy, gdyż ich sens całkowicie ginął w tłumaczeniu. Szczerze pragnęli nauczyć się nowogreckiego, ale znajdowali wielkie upodobanie w niewłaściwej wymowie; jeżeli jakaś kobieta miała na imię Antygona, nazywali ją *auntie Gonie*,³⁰ a Hektor był znany jako *my sector*.³¹ Mandras nie mógł wiedzieć, że to dlatego, iż słowa: „To jest mój sektor” były typową ripostą jego mentora na zarzuty obłudy,

³⁰ ciocia Gonie

nieuczciwości i barbarzyństwa.

– To mój sektor – powiedział Hektor do Myersa – a rozkazy dostaję z Aten, a nie od was. Czy jesteście Grekami, że stale nam rozkazujecie?

Cierpliwy Myers wydał głębokie westchnienie. Nie szkolono go w dyplomacji, nie uprzedzono, że dziewięćdziesiąt procent jego pracy będzie polegało na zapobieganiu morderczej wojnie między Grekami. Tęsknił do prostego życia, w którym jedyne, co człowiek miał do roboty, to była walka z Niemcami. Omal nie umarł na zapalenie płuc i wciąż był bardzo chudy i zmęczony, ale mimo to nie miał zamiaru narazić na szwank zasad etycznych w imię jakiegoś ideału. Wszyscy przywódcy ELAS nie znosili go za to, że traktował ich jak zera, lecz nigdy nie odważyli się lekceważyć go zbyt otwarcie, ponieważ to on był źródłem całego uzbrojenia i złotych suwerenów, które gromadzili przed przyszłą rewolucją. Musieli zamknąć mu usta, godząc się na część jego planów, od czasu do czasu prowadząc drobne działania wojenne przeciwko żołnierzom Osi i znosząc jakoś wymówki, które zawsze im robił z płonąym wzrokiem i niezbitą pewnością siebie.

– Uzgodniliśmy od początku, że wszystkie grupy partyzanckie będą pod kontrolą Kairu. Bądź łaskaw nie zmuszać mnie do powtarzania tych samych rzeczy za każdym razem, gdy cię widzę. Jeżeli będziecie dalej postępować w równie przeciwny sposób, nie zawaham się przerwać dostaw dla was. Zrozumiano?

– Niczego nam nie dajecie, wszystkie dostawy trafiają do EDES. Nie traktowaliście nas sprawiedliwie.

– Znowu ten sam nonsens – odparł z wyrzutem podpułkownik. – Ile razy mam powtarzać, że w tej wojnie mamy wspólnego wroga? Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że walczyliśmy z Niemcami? Naprawdę sądzisz, że wystarczy wysadzić wiadukt nad Gorgopotamos? Bo to była ostatnia pożyteczna rzecz, jaką zrobili ludzie ELAS, i wtedy po raz ostatni współpracowaliście z EDES.

Hektor zarumienił się.

– Powinieneś porozmawiać z Arisem. Ja otrzymuję rozkazy od niego, a on dostaje je z Aten. Czepianie się mnie na nic się nie zda.

– Rozmawiałem z Arisem. Wielokrotnie. A teraz rozmawiam z tobą. Aris kazał mi z tobą porozmawiać, ponieważ, jego zdaniem, to ty ponosisz odpowiedzialność za te ostatnie gwałty.

– Gwałty? Jakie gwałty?

Podpułkownik poczuł przyływ pogardy. Miał ochotę uderzyć obłudnego partyzanta, ale zdołał się powstrzymać. Mówiąc, wyliczał swoje zarzuty na palcach:

– Po pierwsze, w ubiegły piątek miał miejsce zrzut dla EDES, która – pozwól, że ci przypomnę – jest jedyną dużą grupą faktycznie walczącą z wrogiem. Ty i twoi ludzie zaatakowaliście tych z EDES, przepędziliście ich i ukradliście cały zrzut.

– Nie ukradliśmy – bronił się Hektor. – A w każdym razie nie musielibyśmy tego robić, gdybyście sprawiedliwie dzielili dostawy. Nikt nie zginął.

– Po drugie, zabiliście pięciu ludzi z oddziału Zerwasa, w tym brytyjskiego oficera łącznikowego. Po trzecie, daliśmy wam mnóstwo forsy, a mimo to nigdy nie płacicie wieśniakom za to, co im zabieracie. Czy jesteś tak głupi, że nie widzisz, że wpędzasz ich w ramiona wroga? Dostaję niekończące się skargi, mam do czynienia z wieśniakami wędrującymi osiemdziesiąt kilometrów, żeby zażądać rekompensaty. Puściliście z dymem trzy wioski, których mieszkańcy sprzeciwili się waszej grabieży, pod pretekstem, że kolaborują z wrogiem. Widziałem ciała, Hektorze, i nie jestem ślepy. Jaki jest cel kastracji, wydlubowania oczu i rozcinania ust, tak żeby konali z uśmiechem?

– Jeżeli nie chcą nas zaopatrywać, to najwyraźniej są kolaborantami, a jeśli wy nie będziecie tego robić, co mamy począć? Skoro to kolaboranci, nie mogę winić moich ludzi, że ich poniosło, prawda? A zresztą, kto mówi, że to nasza robota?

Myers był już gotów wybuchnąć. Omal nie odparł: „mieszkańcy wsi”, ale zdał sobie sprawę, że to by tylko ściągnęło na nich kolejne komunistyczne represje. Zamiast tego powiedział:

– Widział to jeden z naszych oficerów.

Hektor wzruszył ramionami i mruknął:

– Kłamstwo.

Myers powiedział oziębło:

– Brytyjscy oficerowie nie kłamią. – Gorzko ubolewał nad ową konieczną hipokryzją. Popatrzył z pogardą patrycjusza na partyzanckiego przywódcę; kłopot z tymi czerwonymi faszystami polegał na tym, że nie byli dżentelmenami. Nie mieli ani krztyny poczucia osobistego honoru. – Po czwarte – ciągnął – nie pozwalacie mieszkańcom wiosek w górach wchodzić na obszary kontrolowane przez EDES w celu zakupu pszenicy, bez której będą głodowali. Czy tak robią patrioci? Nie puszczacie ich, jeżeli nie wstąpią do ELAS, a potem wymierzacie „dezterom” karę śmierci, mimo że nie macie takiego prawa. Po piąte,

ściągnęliście represje na jedną z wiosek, zabierając ziemniaki zarekwirowane wcześniej przez Włochów. Po szóste, sam źle skierowałeś jednego z naszych oficerów łącznikowych, gdy szukał Arisa, zamierzając poskarżyć się na was. Po siódme, prowadzisz politykę rozbijania innych grup partyzanckich i mordowania ich oficerów.

Hektor był biegły w sztuce odwracania uwagi od własnej osoby i teraz sam wystąpił z oskarżeniem:

– My też znamy brytyjską politykę. Myślisz, że jesteśmy durniami? Macie zamiar sprowadzić z powrotem króla, nie pytając naszego narodu o zdanie.

Myers uderzył pięścią w blat stołu, zrzucając na podłogę kubek.

– Po ósme – ryknął – porwaliście i zamordowali dowódcę żandarmerii, który organizował masową dezercję swoich ludzi do EDES, i pod karą śmierci zmusiliście ich do przejścia na waszą stronę. Po dziewiąte, ogłosiliście, że każdy, kto nie wstąpi do ELAS, jest zdrajcą i zostanie rozstrzelany. Po dziesiąte, fundusze, które wam dajemy, przekazujecie EAM, która przekazuje je KKE w Atenach, i zamiast pieniędzy dajecie wieśniakom weksle bez pokrycia. Po jedenaste, paru ludzi z twojego oddziału haniebnie zaatakowało ze skrzydła oddział EDES, gdy toczył rozstrzygającą bitwę z oddziałem SS. To plama na dobrym imieniu Grecji, podłość, która nie może się więcej powtórzyć. Czy to jasne? – Podpułkownik umilkł i wziął z biurka kartkę papieru. – Mam tutaj porozumienie podpisane przez ludzi z EDES, EKKA i EOA, którzy zgodzili się je przyjąć jako zasady działania. Zamierzam zmusić Arisa do podpisania tego porozumienia i chcę, żebyś je przeczytał i dał mi jako dżentelmen słowo honoru, że będziesz go przestrzegał. Jeżeli nie, zmusi nas to do zastanowienia się nad możliwością pozbawienia was dostaw.

Hektor spojrzał na niego wyzywająco. Podpułkownik próbował tej taktyki dziesiątki razy.

– Nie mogę, a Aris nie podpisze niczego, jeżeli nie otrzymamy rozkazów od komitetu w Atenach. Będziemy musieli wysłać kuriera. Kto wie, ile to potrwa.

– Oto warunki – rzekł Myers, wręczając mu kartkę. Hektor wziął ją, zasalutował niedbale i wyszedł.

– Czego chciał? – zapytał Mandras, gdy schodzili stromą i śliską ścieżką, wijącą się w dół doliny z jaskini, którą Myers wykorzystywał jako swą lokalną kwaterę główną.

– E tam, sranie po ścianie – odparł Hektor. – Musisz zrozumieć, że Brytyjczycy to faszyci i po prostu chcą mieć Grecję w swoim imperium, a ludzie tacy jak Zerwas i jego sługusy pomagają im w tym. Właśnie dlatego Zerwas dostawał wszystko, a my nie.

– Mamy całe tony sprzętu i materiałów wybuchowych – zauważył Mandras. – Dość,

by wysadzić w powietrze wszystkich nazistów w Grecji.

Hektor zignorował go; Mandras był młody i niedouczony.

– Ci wieśniacy donieśli na nas Myersowi. Chyba powinniśmy pójść i dać im nauczkę. Kolaboranckie sukinsyny.

– Było tam parę miłych kobiet – rzekł Mandras z uśmiechem.

– Je też nauczymy paru rzeczy – odparł Hektor i obaj roześmiali się, przepelnieni konspiracyjną satysfakcją. Ci wieśniacy byli sympatykami *petit-bourgeois*, rojalistami, republikanami, którzy tylko udawali, że są w opozycji do króla, którego wszyscy pogardliwie nazywali Glucksburgiem. Wszyscy oni jechali na jednym wózku z faszystami i wszyscy pluli na naukowy socjalizm. Należało sprawić, by zdrajczynie piszczały i wiły się pod ciężarem męskiego ciała, i nie warto było obciążać siebie tym sumienia, ponieważ zasłużyły na znacznie gorsze traktowanie; właśnie mieli zbudować nową i lepszą Grecję i z wybrakowanymi cegłami, które i tak były zbyteczne, można było robić, co tylko się chciało. Podobnie wyrzuca się skorupki jajek, przyrządzając omlet.

W swojej grocie Myers znów pomyślał o tym, by poprosić o przeniesienie. Kair ignorował wszystko, czego dowiadywał się od niego o ELAS i chyba nie rozumiał, że raczej prędzej niż później komuniści wywołają w Grecji wojnę domową. Tutaj marnował tylko czas. Otarł czoło chustką i rozczesał palcami swędzącą brodę, z którą wciąż nie mógł się oswoić. Do groty, po zniszczeniu mostu z pomocą ludzi Zerwasa i pięciodniowej wędrownicy, wszedł Tom Barnes. Usiadł ciężko na starym drewnianym krześle, zdjął buty i obejrzał krwawiące pęcherze na stopach i palcach. Myers zaczął go wypytywać o akcję. Barnes spojrzał nań i uśmiechnął się.

– Pierwszorzędna eksplozja – powiedział, cedząc po nowozelandzku słowa. – Pieprznięto, że mucha nie siada. Belki wspornikowe leżą gdzie popadnie. Makaroniarze i szkopy mają zajęcie na wiele tygodni.

– Wspaniale – pochwalił Myers. – Filiżankę herbaty? Właśnie gościłem tu tego Hektora. To prawie równie okropny typ jak Aris, skończona świnią.

– Na tym polega kłopot z kanałiami – odparł Barnes. – Zawsze, choćby nie wiem co, lądują na czele innych.

XXXV

Pamflet rozpowszechniany na wyspie z faszystowskim hasłem „Wierz, walcz i posłusznym bądź” w tytule

Włosi! Uczcijmy wspólnie życie i dokonania Benita Andrei Amilcare Mussoliniego, który poprowadził nas od nie zapowiadających nic dobrego początków ku zatraceniu.

W dzieciństwie uważano, że jest niemową, ale później okazał się niepoprawnym gadulą i puszczał więcej gazów niż wszystkie stada krów skubiących trawę na alpejskich pastwiskach razem wzięte. Jako chłopiec oślepił schwywane ptaki, wrywał kurczętom skrzydła, miał opinię okrutnika i szczypał małe dziewczynki w szkole, żeby doprowadzić je do lez. Przewodził gangom, wszczynał bójkę, nie prowokowany szukał zwady i nie chciał płacić za przegrane zakłady. W wieku dziesięciu lat przy kolacji dźgnął nożem chłopaka, a wkrótce potem kogoś innego. Dawał do zrozumienia, że wie dzie prym w swojej klasie, podczas gdy naprawdę było zupełnie inaczej, a na początku okresu dojrzewania płciowego zaczął odwiedzać co niedziela burdel w Farti. I dzięki temu swoje życie rozpoczął w aureoli wiecznej chwały.

Pewnego razu zgwałcił młodą dziewczynę na klatce schodowej, a gdy oplakiwała utratę dziewictwa, zganil ją za stawianie nie dość silnego oporu. Mussolini, mizantrop i odludek, był człowiekiem odrażającym, źle wychowanym, niezdolnym do podjęcia jakiegokolwiek pracy; z domu wychodził dopiero po zapadnięciu zmroku. Jakże wspinał rozwijał swoje zdolności!

Jako nauczyciel szkolny zastłynął z „tyranii”, lecz nie potrafił utrzymać swoich uczniów w ryzach. Zaczął pić igrac w karty, cudzołożył z żoną żołnierza, który pełnił służbę, a potem pchnął ją nożem. Wtedy też nabył kastet. Chcąc uniknąć wierzycieli, kochanek i służby wojskowej, uciekł do Szwajcarii, gdzie uchylał się od pracy. Zamiast pracować, zaczął żebrać, pomagając sobie pogroźkami. Aresztowany za włóczęgostwo, uroczyście zapewniał policjantów, że nienawidzi innych włóczęgów i dlatego nie może być jednym z nich. Ujawnił

wówczas dar wyrozumowanego krasomówstwa, który odtąd stał się nam tak dobrze znany.

Podjął pracę u handlarza winem, ale wyleciał za wypicie całego zapasu. W swojej wersji tej historii podaje, że odbywał wówczas spotkania z Leninem, który wyrażał się o nim z największym podziwem. W 1904 roku zaczął namawiać włoskich żołnierzy do dezercji, co było całkowicie zgodne z Jego późniejszym żądaniem (które obecnie jest nam wszystkim znane), by rozstrzeliwano każdego dezertera.

Przeniósł się do Paryża, gdzie zarabiał na chleb, przepowiadając przyszłość. Zainteresował się filozofią. Niedawno ujawnił, że studiował na uniwersytetach w Genewie i Zurychu. To oczywiście prawda, mimo że nie ma żadnych dowodów potwierdzających fakt zapisu bądź uczęszczania na zajęcia. Prawdą jest również to, że nie pozwolił umrzeć swej matce w nędzy ani ojcu gnąć w więzieniu. Jak nam wszystkim wiadomo, DUCE wierzy we własną propagandę i dlatego my także w nią wierzymy.

Objął posadę nauczyciela i po roku został zwolniony za organizowanie hucznych przyjęć na cmentarzach. Podczas kolejnego cudzołożnego romansu nabawił się również syfilisu. Nie można jednak uznać tego za przyczynę jego obecnego pomieszania zmysłów, ponieważ gdy doszło do zarażenia, był już obłąkany. To właśnie wówczas napisał swą znakomitą historię filozofii, którą – jak twierdzi – podarła zawistna kochanka, lecz którą wszyscy nasi profesorowie uważają za dzieło geniusza, nie widziawszy jej nawet. Został usunięty z następnej posady nauczycielskiej i wystąpił z nową doktryną polityczną, głoszącą, że człowiek powinien najpierw działać, a dopiero potem wymyślać powody swojego działania, co jest jedynym względem, pod jakim jego doktryny stoją w sprzeczności z doktrynami Stalina, który zawsze z góry wiedział, co zamierza osiągnąć.

DUCE zaczął nasuwać kapelusz na oczy, żeby uniknąć konieczności rozpoznawania ludzi i rozmów z nimi; rozmyślnie również miał swoje ubranie i przeklinał. Napisał doskonałą powieść w stylu Edgara Alana Poe, która z niewytłumaczonych przyczyn została odrzucona przez wszystkich wydawców. Było to dzieło geniusza, przypuszczalnie zbyt wyrafinowane jak na ich gusta. Wkrótce potem został zastępcą redaktora naczelnego „Il Popolo” i odkrył, że może zaoszczędzić na honorariach dziennikarzy, samodzielnie wymyślając informacje. Nakłady gazety były konfiskowane za publikację oszczerstw, a Jego samego aresztowano za niezapłacenie grzywny. Ludzie nietuzinkowi, jak wiadomo, zawsze bywali prześladowani.

DUCE zyskał znaczny rozgłos, oskarżając Jezusa Chrystusa o spółkowanie z Marią Magdaleną i redagując paszkwil zatytułowany „Bóg nie istnieje”. Niedługo potem został aresztowany za podżeganie do buntu w armii. Ożenił się ze swoją przyrodnią siostrą, będącą

nieślubnym dzieckiem jego własnego ojca, dodając w ten sposób kazirodztwo do listy swoich dokonań, a potem sam splodził nieślubne dziecko w Trydencie. Posłuszni synowie powinni gorliwie naśladować swych ojców, w ten bowiem sposób jedno pokolenie stanie się światłem, które po wieczne czasy będzie przyświecać wszystkim pozostałym. W tym czasie opowiadano o nim, że rozmawiając, nie potrafi patrzeć ludziom w oczy, nie ma poczucia humoru, jest przestępcą i paranoikiem; znany był wszystkim jako „Szaleniec”. Co, rzecz jasna, jest nieprawdą, mimo że każdy, kto go wówczas znał, doskonale to pamięta. W 1911 roku sprzeciwiał się wojnie z Libią, a zdobywszy władzę w późniejszych latach, prowadził w tym samym kraju politykę bestialskich represji, dowodząc w ten sposób swej niezwyklej umiejętności adaptacji do nie zmieniających się okoliczności.

Będąc redaktorem „Avanti”, nawiązał romans z Idą Dalser, która zaszła z nim w ciążę i pozwoliła mu żyć na swój koszt. Zostawił ją, a potem zamknął w zakładzie dla umysłowo chorych, wykazując tym niezwyklej zdolność do dochowania wierności. Podobnie uczynił swoją kochanką Margheritę Sarfatti, a później nakazał ją uwięzić na mocy ustaw antyżydowskich. Należy zauważyć, że każda z Jego rozlicznych kochanek była nadzwyczaj szkaradna i, zadając się z nimi, DUCE bez wątpienia dawał upust swym dobroczynnym skłonnościom. Uroda jawi się w oku patrzącego, a DUCE prawdopodobnie cierpi na astygmatyzm. W tym miejscu powinniśmy zaznaczyć, że Leda Rafanelli nie zgodziła się zostać jedną z Jego kobiet, ponieważ uważała Go za łgarza i szaleńca, i za tę potwarz DUCE poddał ją później policyjnym szykanom, co było całkowicie usprawiedliwione i nie miało nic wspólnego z małostkowością i mściwością żadnego odwetu mężczyzny.

DUCE udoskonalil swą ideologię do tego stopnia, że zawsze całkowicie zgadzał się z ostatnią osobą, z którą rozmawiał. W 1915 roku próbował uniknąć poboru do wojska i uczestniczenia w wojnie, którą przy różnych okazjach popierał, a nawet był przeciw. Z niezrozumiałych powodów odmówiono mu patentu oficerskiego. Twierdził również, że Austriacy specjalnie ostrzelali szpital, w którym był leczony z ran od szrapnela, z wyłącznym zamiarem zlikwidowania Go, ponieważ był najważniejszą osobą we Włoszech. Swoją gazetę utrzymywał już wtedy całkowicie z wpływów z ogłoszeń producentów broni, co nie miało nic wspólnego z Jego nagłym nawróceniem się na pomoc sprzymierzonym.

DUCE przejął fundusze przeznaczone na wyprawę do Fiume i wykorzystał je na rzecz swojej kampanii wyborczej. Został aresztowany za nielegalne posiadanie broni, wysłał w paczkach bomby arcybiskupowi Mediolanu i jego burmistrzowi, a po wyborach był, jak dobrze wiadomo, sprawcą zamachów na Di Vagna i Matteotiego. Ponosi odpowiedzialność za późniejsze morderstwa Don Mizzonego Amendoli, braci Rosellich oraz dziennikarza Piera

Gobettiego, a także setek ludzi, którzy padli ofiarą Jego Czarnych Koszul w Ferrarze, Rawennie i Triescie, i tysiacy tych, którzy stracili życie w obcych, niepotrzebnie i bezsensownie podbijanych krajach. My, Włosi, pozostajemy mu wdzięczni za to i uważamy, że tyle przemocy uczyniło z nas rasę wyższą, podobnie jak zastosowanie rewolwerów w parlamencie i całkowite zniszczenie demokracji konstytucyjnej wyniosły nasze instytucje na szczyty cywilizacji.

Od chwili nielegalnego przejścia przez niego władzy Włochy doświadczały przeciętnie pięciu aktów przemocy politycznej dziennie. DUCE zadekretował, że 1922 rok to nowy Annus Domini, i udawał katolika, żeby podstępnie uzyskać poparcie Ojca Świętego w walce z komunistami, choć w rzeczywistości sam jest komunistą. Całkowicie podporządkował sobie prasę, demolując siedziby niezależnych gazet i czasopism. W 1923 roku bez wyraźnego powodu najechał na Korfu i został zmuszony do wycofania wojsk przez Ligę Narodów. W roku 1924 dokonał matactw wyborczych i gnębił mniejszości w Tyrolu i na północnym wschodzie kraju. Wysłał żołnierzy, by wzięli udział w pogwałceniu neutralności Somali i Libii, kalając ręce krwią niewinnych, podwoił liczbę urzędników, by obłaskawić burżuazję, zniósł samorząd lokalny, ingerował w działalność sądów i rzekomo w boski wręcz sposób, samym aktem woli, zatrzymał wypływ lawy z Etny. Przybierał napoleońskie pozy, pozwalając, by wykorzystano jego władczy wizerunek w reklamie czekolad Perugina. Ogolił głowę, ponieważ wstydzi się tego, że łysieje. Musiał zatrudnić nauczyciela, żeby nauczyć się prawidłowego zachowania przy stole, wprowadził rzymskie pozdrowienie jako bardziej higieniczną alternatywę dla uścisku ręki, udaje, że nie potrzebuje okularów, w swoim repertuarze ma tylko dwa wyrazy twarzy, przemawiając stoi na ukrytym podium, gdyż jest zbyt niski, udaje, że studiował ekonomię u Pareta, przyjął rolę człowieka nieomylnego i zachęcił rodaków do noszenia swojego wizerunku podczas marszów, jakby był świętym. Bo też jest nim, rzecz jasna.

Ogłosił, że (a kimże my jesteśmy, by mieć odmienne zdanie?) przewyższa Arystotelesa, Kanta, Tomasza z Akwinu, Dantego, Michała Anioła, Waszyngtona, Lincolna i Bonapartego, i mianował ministrów, którzy są bez wyjątku wazeliniarzami, sprzedawczykami, gangsterami, karierowiczami i ludźmi niższymi niż On. Boi się złych spojrzeń i zniósł drugą osobę liczby pojedynczej jako sposób zwracania się do innych. Doprowadził do pobicia Toscaniniego za

odmowę zagrania „Giouinezzy”³² i mianował akademików, którzy mieli dowieść, że wszystkich wielkich wynalazków dokonano we Włoszech, a Szekspir to pseudonim włoskiego poety. Zbudował drogę biegnącą przez forum, burząc piętnaście antycznych kościołów, i zlecił wykonanie posągu Heraklesa, wysokiego na osiem metrów, który będzie miał Jego oblicze, a który, jak dotąd, składa się z części twarzy i jednej olbrzymiej stopy i nie można Go dokończyć, ponieważ do jego budowy zużyto już sto ton metalu.

Wszystko w przemówieniach DUCE stoi w sprzeczności z tym, co mówi w innych wystąpieniach, ponieważ z właściwą sobie przenikliwością zauważył, że my, Włosi, wyławiamy tylko te tezy, z którymi sami się zgadzamy, i w ten sposób uczynił siebie wszystkim dla wszystkich ludzi. Palił książki i poprawił podręczniki w szkołach, prześladował filozofa Benedetta Crocego, wyznaczył trybunały rewolucyjne z prawem wydawania wyroków śmierci i zmienił sielskie wyspy w więzienia, w których można torturować Jego przeciwników. Zmusił nas do składania przysięgi posłuszeństwa w wieku osiemnastu lat, tak by tylko nieszczerzy hipokryci i nieuleczalni głupcy mogli poczuć się lepiej, i usiłował zmienić nas w ponurych purytanów, twierdząc, że prawdziwi mężczyźni uśmiechają się jedynie w wyrazie skrajnego sarkazmu.

Naruszył integralność Dodekanezu, obtłukując tam nawet nagrobki Greków, otworzył w Parmie szkołę, by nauczać w niej terroryzmu Chorwatów i Macedończyków, przekabacił Ligę Narodów, penetrując jej administrację, zablokował negocjacje pokojowe pomiędzy Albanią i Jugosławią, dozbroił Niemcy, Belgię i Austrię, pozwalając swojej armii toczyć zupełnie niepotrzebne wojny bez uzbrojenia, a mimo to podpisał pakt Kelloga-Brianda, potępiający uciekanie się do wojny jako narzędzia polityki zagranicznej.

Ów utrzymujący stosunki pozamałżeńskie syfilityk uczynił zarażenie syfilisem wykroczeniem karanym więzieniem, ten ojciec niezliczonych skarłowaciałych bękartów zdelegalizował antykoncepcję, ten wieśniak o niewyparzonej gębie zakazał przeklinania i ograniczył tańce i spożycie alkoholu, usiłując uczynić nas poważniejszymi. Ustanowił prawa, które zmieniły kobiety w kury domowe, stłumił wszelkie swobody wyznaniowe, sprawił, by wszystkie odnoszące się do Niego zaimki pisano dużymi literami, a słowo DUCE drukowano w gazetach wersalikami. Utworzył obozy koncentracyjne w Libii i raz po raz gotował się do najazdu na Francję, Jugosławię, Somali Francuskie, Etiopię, Tunezję, Korsykę, Hiszpanię i Grecję. DUCE powiedział: „Lepiej przeżyć jeden dzień jako lew niż sto lat jako owca”, i dlatego został papierowym lwem, a my, Włosi, owcami, które idą za nim na rzeź i wmawiają

³² włoski hymn faszystowski

sobie, że również są lwami. Powiedział: „Im więcej wrogów, tym większy zaszczyt przynosi zwycięstwo”, więc stwarzaliśmy sobie wrogów z niczego i szliśmy walczyć z nimi bosą i w wozach pancernych z drewnianymi lufami.

Ten śmieszny bufon, właściciel tysiąca krzykliwych mundurów pokrytych podrobionymi baretkami medali za męstwo, którym nigdy się nie wykazał, sprawił, że fotografowaliśmy nasze dzieci ubrane w czarne koszule, zmusił nas do ćwiczenia oklasków podczas jego przemówień za pomocą kartoników z podpowiedziami i dzwonek, zapoczątkował „wyjście naprzeciw młodym”, które wyniosło do władzy zbirów i ludzi katastrofalnie niedoświadczonych. Wbrew nauce Kościoła katolickiego wprowadził sterylizację osób „gorszych rasowo”, zawarł pakt o nieagresji z ZSRR i Wielką Brytanią, z którymi obecnie jesteśmy w stanie wojny bez wyraźnego powodu, wprowadził obowiązkowe szkolenie wojskowe w wieku ośmiu lat, aby nasze dzieci zamienić w ołowianych żołnierzów. Nazwał Hitlera „żałosnym kłownem”, „potwornym degeneratem seksualnym” i człowiekiem „niełojalnym i niegodnym zaufania”, a mimo to przyjmuje od niego rozkazy. Rozgłosił, że brzmienie Jego nazwiska należy wykorzystywać w szpitalach jako środek znieczulający przed operacjami, a także – jakby znieczulono mu Jego własny mózg – w swej głupocie stwierdził, że Brytyjczycy są zbyt dekadency, by się nam przeciwstawić. Od tego czasu Brytyjczycy w dekadentki sposób zatopili połowę naszej floty, przez co zostaliśmy bez żywności, i pokonali nas w północnej Afryce, gdzie nasi kolorowi żołnierze jednogłośnie postanowili zdezerterować. Najechaliśmy na Etiopię kosztem życia pięciu tysięcy Włochów, całorocznego dochodu narodowego i sprzętu pozwalającego na wyposażenie siedemdziesięciu pięciu dywizji i w ten sposób bezpośrednio spowodowaliśmy, że dekadency Brytyjczycy zdobyli broń, której teraz używają przeciwko nam.

Ten karzeł moralny i intelektualny sprawił, że modlitwę „Felix Mater” odmawiano do Jego zmarłej matki, doprowadził do śmierci sześciu tysięcy żołnierzy w wojnie domowej w Hiszpanii, nie uzyskawszy żadnych korzyści. Ponieważ byliśmy lwami prowadzonymi przez osła, pod Guadalajarą pokonała nas armia amatorów, a co gorsza, DUCE na zawsze splamił nasze dobre imię, nakazując masakrę hiszpańskich jeńców na Majorce. W równie haniebny sposób rozkazał torpedować statki państw neutralnych i odmówił zgody na wylawianie rozbitków. Wszedł w sojusz z Japonią i polecił dziennikarzom nazywać Japończyków „Aryjczykami”, uczynił nas lokajami Niemiec, zmuszając do maszerowania krokiem defiladowym, dokonał nieprawdopodobnego wyczynu semantycznego, mianując zarówno siebie, jak i króla „pierwszymi marszałkami”, prześladował włoskich Żydów, żeby zadowolić Hitlera, i oświadczył, że nie możemy przegrać z Brytyjczykami, ponieważ noszą parasole

niczym kobiety.

Żołnierze! Nie mamy mundurów, gdyż DUCE nakazał je nosić wszystkim nauczycielom i pracownikom państwowym, zostaliśmy porzuceni na pastwę losu w północnej Afryce, przeszedłszy latem, z braku środków transportu, sześćset kilometrów przez pustynię. Straciliśmy jedną trzecią okrętów naszej floty handlowej, ponieważ zapomnieliśmy nakazać im powrót do Włoch przed wypowiedzeniem wojny, przekonano nas, że zmniejszenie wielkości dywizji o połowę oznacza podwojenie liczby jej żołnierzy, zmuszono nas do inwazji na Grecję od północy w porze deszczowej, bez umundurowania zimowego, zdemobilizowawszy wpierw w portach na Adriatyku (gdzie nie można było zejść na ląd) bez wiedzy szefa sztabu armii, który usłyszał o tym w radiu. Wszyscy nasi albańscy żołnierze natychmiast zdezerterowali, a my dowiadujemy się, jaka jest nasza sytuacja, słuchając BBC. Brytyjczycy doszczętnie zniszczyli część naszej floty wojennej pod Taranto i przylądkiem Matapan (kosztem utraty jednego swojego samolotu), a w północnej Afryce trzysta tysięcy naszych żołnierzy przegrało z liczącymi trzydzieści pięć tysięcy ludzi wojskami wroga, ponieważ nie mamy lotnictwa, nasze lekkie czołgi są zrobione z papieru, a jednostki zmotoryzowane nie mają motocykli na wyposażeniu. W czasie gdy my niepotrzebnie ginimy, DUCE lokalizuje swoją kwaterę główną w pobliżu Watykanu, żeby nie została zbombardowana.

Żołnierze! Zmuszono nas do najazdu na niewinny kraj dzielnych ludzi, wiedząc, że w razie zwycięstwa nigdy nie zdołamy ich wyżywić, tak więc głodują teraz bardziej niż my. Wbrew wszelkim zasadom wojennym i nakazom sumienia DUCE nakazał zabijać dwudziestu Greków za każdego z naszych, który straci życie, i fakt, że większość z nas zignorowała Jego rozkaz, przyniesie nam wieczną chwałę.

Żołnierze! Zapłaczm nad tym, co się stało w naszej ojczyźnie, skąd trzysta pięćdziesiąt tysięcy Włochów wywieziono do Niemiec jako niewolniczą siłę roboczą i gdzie DUCE doprowadził do nieprawdopodobnego bezrobocia w czasie wojny, gdzie jest beznadziejnie wysoka inflacja i gdzie trzy czwarte produktów żywnościowych można otrzymać jedynie na czarnym rynku, kontrolowanym przez Jego urzędników, gdzie bez przeszkód podrabia się kartki żywnościowe i gdzie jest czterdzieści rozdzielających żywność agencji o pokrywających się ze sobą funkcjach, co gwarantuje, że nic nie zdołają załatwić.

Zapłaczm nad naszym krajem, gdzie medale przyznawane są za urojone zatopienia nie istniejących statków brytyjskich, gdzie mamy obowiązek stać i salutować podczas nadawania radiowych biuletynów informacyjnych, gdzie przemówienia jakiegoś wariata są

traktowane jak objawienie i drukowane w milionach egzemplarzy, gdzie wspomniany wariat przypomina dyrygenta, który sam próbuje jednocześnie grać na wszystkich instrumentach, który jest niczym elektrownia połączona z jedną pękniętą żarówką, który kazał filmować siebie w roli zwycięzcy meczów tenisowych z zawodowcami, sędziowanych przez ministra propagandy, i który jest najmniej słuchanym przywódcą w dziejach, ponieważ wszyscy wiedzą, że każdy Jego rozkaz zostanie wkrótce odwołany.

Żołnierze! Oto Człowiek, który nakazał nam stosować iperyt i fosgen przeciwko dzikusom uzbrojonym we włócznie. Oto błazen, którego nikczemni bandyci i podpalacze odziani w czarne koszule uciekają z pola bitwy, ale mordują naszych ojców, matki i wujów, zmuszając ich do picia oleju rycynowego z dodatkiem benzyny. Oto człowiek, który zniszczył gospodarkę i na zawsze okrył nas hańbą.

Żołnierze! Słusznie powiedziano, że każdy naród ma takich przywódców, na jakich zasługuje. VIVA IL BUFFONE. VIVA IL BALORDO. VIVA LASSASSINO. VIVA IL DUCE.

33

³³ Niech żyje błazen. Niech żyje idiota. Niech żyje morderca.

XXXVI

Edukacja

Chłopcy przyrządzili *kokorici* z jelit i podrobów kozy, którą zabrali oburzonemu zarządcy wsi, i teraz przyglądali się, jak smakowity wyrób skwierczy w popiołach ogniska. Ten widok zaostriżył apetyty i w oczekiwaniu na to, aż strawa będzie gotowa, Hektor postanowił jeszcze raz obdarzyć ich dobrodziejstwem swojej nauki. Niektórzy z partyzantów ziewali z ledwie skrywanej nudy. Inni, którzy zostali siłą wcieleni do grupy i pogodzili się z tym z braku wszelkiej alternatywy, siedzieli w pełnym urazy zasępieniu i myśleli o tym, jak dobrze byłoby zatkać temu gburowi gębę kozim gównem. Nocą dwóch z nich zabrało swoją broń i zniknęło w poszukiwaniu grupy, która walczyła z okupantem zamiast wojować z rodakami. Wiedzieli, że zginą, jeżeli zostaną schwytani, ale nawet to wydawało się lepsze od pozostania w bandzie Hektora. Rojalista napisał *erchetai* na pokrytej pyłem ziemi i starannie zasłonił napis igłami sosnowymi, tak aby Hektor go nie zobaczył; wyrażał on żarliwą nadzieję („nadchodzi”), ale nadzieja ta z konieczności była tajemnicą. Czterej republikanie Wenizelosa słuchali Hektora i z goryczą zastanawiali się, jak to się dzieje, że wszystkie grupy trafiają nie wiedzieć czemu pod kontrolę komitetu trzech przywódców, komunistów wrogo nastawionych do Wielkiej Brytanii, jedyne kraju, który próbował im pomóc, odkąd wybuchła wojna. Gdy Hektor coś powiedział, naturalne było przypuszczenie, że prawda wygląda zupełnie inaczej; w ten właśnie sposób uzyskiwało się informacje – słuchając Hektora i biorąc jego słowa na opak. Tylko Mandras i dwaj pozostali nominalni przywódcy słuchali go uważnie, gdy chodził tam i z powrotem z uświęconym egzemplarzem „Co robić?” pod pachą. Sowa zahuczała w oddali, drwiąc jakby z jego przemowy, a noc stała się zimniejsza od podmuchów północnego wiatru, który poruszał gałęziami pinii. Za nimi, pomiędzy dwiema pulsującymi jasno gwiazdami, tkwił w niemej zadumie wierzchołek góry, przytłaczając sobą ten bezkresny las i jego wymieszaną populację bohaterów, kun, dzików, bandytów i złodziei i wisząc nad nimi niczym groźba.

– A teraz, towarzysze, chcę do was przemówić, gdyż wielu z was nie pojęło chyba

jeszcze, że ruch rewolucyjny nie może istnieć bez teorii rewolucyjnej i że rolę awangardowego bojownika może spełniać tylko partia, która kieruje się najświatlejszą teorią. Sęk w tym, że wielu z was nie ma dokładnego pojęcia, jak rozumieć nasze doświadczenie historyczne, to zaś prowadzi do krótkowzrocznego poprawiactwa, ekonomizmu, koncesjonizmu i demokratyzmu. Otóż prawdą jest, że socjalizm burżuazyjny tego rodzaju, burżuazyjny reformizm społeczny i socjalizm oportunistów to przejawy świadomości w postaci embrionalnej; zupełnie nie uwzględniają one niezbędnego i nieprzejednanego antagonizmu między interesami proletariatu a interesami reakcyjnego obskurantyzmu. Ich wyznawcy nie rozumieją dialektyki społecznych sprzeczności. Bo widzicie, interesy proletariatu różnią się diametralnie od interesów burżuazji. Ujawnia to nie tylko teoria, ale i praktyka, i jest to tak oczywiste, że nie muszę tu tego udowadniać. Stale powinniśmy mieć natomiast na uwadze fakt, że historyczne i ogólnoswiatowe znaczenie naszej walki wymaga bezpośredniej ingerencji proletariatu w życie społeczne, a nie jakiegoś parlamentarnego republikanizmu czy wojskowego półabsolutyzmu. Chodzi o to, że komunizm zawsze będzie szybciej niż wszystkie inne nauki dostarczał najskańniej rewolucyjnych ocen każdego zjawiska i że zawsze pozostanie najbardziej nieprzejednany w walce z wszelkimi wrogami postępu. Nie chcę, byście myśleli, że możemy demaskować i zwalczać rewizjonistyczne i eklektyczne historio-ideologie klas rządzących, organizując po prostu strajki i tworząc związki, ponieważ polityka związków zawodowych nie jest niczym więcej jak drobno-burżuazyjną polityką klasy robotniczej. My idziemy o wiele dalej.

Z naukowego punktu widzenia jest prawdą oczywistą, że nasz cel to polityczna i ekonomiczna emancypacja mas, ale doskonale wiemy, iż proletariatu musi być poprowadzony przez inteligencję, dysponującą niezbędnym doświadczeniem i dostateczną ilością wolnego czasu na snucie teoretycznych rozważań. Marks, Engels, Plechanow i Lenin byli burżuazyjnymi intelektualistami, którzy poświęcili własne interesy dla podniesienia świadomości światowego proletariatu, ale on wciąż nie w pełni rozumie charakter struktur, które należy stworzyć. Dążymy do usunięcia wszelkich różnic między robotnikami a intelektualistami, potrzeba nam więc na tyle wykształconych, rozwiniętych i doświadczonych przywódców, by odwiekli spontanicznie budzące się masy od błędnych teorii, które przesłaniają nieuchronność materialistycznej koncepcji dziejów.

Potrzebujemy przywódców, którzy nie poddają się odruchom stadnym, przywódców, którzy nie uznają obecnych aspiracji klasy robotniczej, lecz pomagają jej wykształcić prawidłowe i słuszne dążenia. Dzięki właściwym przywódcom nie trzeba wynosić robotników

do poziomu intelektualistów, ponieważ muszą oni jedynie pokładać wiarę i zaufanie w przywódcach, którzy zapewnią trwałą organizację, dbającą o ciągłość i osiągnięcie naukowego zrozumienia obecnie istniejących specyficznych warunków.

Wiem, że niektórzy z was narzekali na to, że nie poddajemy decyzji pod demokratyczne głosowanie, ale musicie zrozumieć, że przeciw nam występuje tyłu rewanzystów, recydywistów, szowinistów i sił reakcyjnych, że musimy zatajać nasze kierownictwo. To bardzo istotne. A skoro musi ono być utajone, to jak może być demokratyczne? Demokracja oznacza otwartość, która w naszym wypadku byłaby samobójcza. To chyba oczywiste, prawda? Dajmy więc sobie spokój z głosowaniem. To bezużyteczna i szkodliwa zabawa.

I jeszcze jedno. Dla każdego, kto ma trochę oleju w głowie, jest jasne, że kierownictwo to specjalizacja funkcjonalna, w nieunikniony sposób implikuje zatem centralizację. Przestańcie więc jęczeć, że nie dość aktywnie walczyliśmy z Niemcami i że musicie walczyć z EDES i EKKA. Centralne kierownictwo dobrze wie, co robi. Dostrzega całościowy obraz, podczas gdy my widzimy jedynie drobny jego wycinek, i właśnie dlatego nie wolno nam działać na własną rękę. Być może istnieje jakiś większy plan, który zaprzepaścimy, jeżeli zaczniemy popadać w oportunizm. Oportunizm oznacza brak dokładnie określonych i trwałych zasad. Wśród rewolucjonistów musi panować pełne wzajemne zaufanie, a my musimy wspierać się niezawodnie w decydującej walce. A jeżeli macie zamiar znowu narzekać, że zwalczamy reakcyjnych i faszystowskich tak zwanych partyzantów z EDES, pozwólcie, że wam przypomnę, iż zły pokój jest gorszy od dobrej kłótni. Oni twierdzą, że walczą z tym samym wrogiem, ale osłabiają nas, biorąc rekrutów, którzy powinni przyjść do nas, i wpajając im błędną świadomość w kwestii rzeczywistego charakteru dziejowej walki. Pozbycie się ich jest naszym historycznym obowiązkiem, ponieważ partia zawsze rośnie w siłę, gdy oczyszcza swoje szeregi.

To oznacza, że cały czas musimy zachowywać solidarność i żelazną dyscyplinę. I właśnie dlatego fakt, że kierownictwo postanowiło, iż każdy odszczepieniec zasługuje na wyrok śmierci, pozostaje w zgodzie z najściślejszymi wymogami sprawiedliwości. Ponieważ jestem tutejszym przedstawicielem tego kierownictwa, to wszystko sprowadza się do jednego warunku: winniście mi bezwarunkowe posłuszeństwo. W tym momencie dziejów nie ma miejsca dla wątpiących, pieczeniaryzy i fałszywych filantropów. Musimy skupić uwagę wyłącznie na jednym celu, ponieważ czynienie czegokolwiek innego jest zdradą nie tylko Grecji i klas pracujących, ale i samej historii. Są jakieś pytania?

Mandras podniósł z szacunkiem rękę.

– Nie rozumiałem wszystkiego, towarzyszu Hektorze, ale chcę powiedzieć, że możecie na mnie liczyć. – Pewnego dnia być może sam będzie mógł przeczytać tę książkę Hektora. Będzie mógł ją trzymać w dłoniach z takim namaszczeniem, jak gdyby wydrukowano ją na arkuszach ze złota. Nocą będzie mógł całować jej okładki i zasypiać, ułożywszy na niej głowę, jakby jej niepojęta mądrość mogła przesączyć się do jego mózgu. Pewnego dnia będzie intelektualistą i ani doktor, ani Pelagia nie będą mogli temu zaprzeczyć. Wyobrażał sobie siebie w roli nauczyciela szkolnego, nazywanego przez wszystkich *daskalos* i przedstawiającego swoje sądy chciwie słuchającym go ludziom – w kafenijonie. Wyobrażał sobie siebie w roli burmistrza Liksuri.

W rzeczywistości Mandras nigdy nie miał przeczytać tej książki i los oszczędził mu rozczarowania – odkrycia, że to nużąca i irracjonalna tyrada przeciwko konkurencyjnej komunistycznej gazecie. Nadszedł jednak czas, gdy rozumiał każde słowo Hektora i upajał się jego wizjami dyktatury proletariatu niczym objawieniami jakiegoś świętego.

Tamtego wieczoru jednak jeden ze zwolenników Wenizelosa, który miał narazić życie, przechodząc na stronę EDES, zbliżył się do Mandrasa w ciemności, życzliwie poczęstował go papierosem i wyjaśnił:

– Posłuchaj, nie musisz rozumieć całej tej gadaniny naszego wygadanego przyjaciela, gdyż wszystko sprowadza się do tego, że musisz robić tak, jak mówi, bo inaczej poderżnie ci gardło. To proste jak drut. – Mężczyzna, w cywilu prawnik, poklepał go po ramieniu i, odchodząc, dodał zagadkowo: – Żal mi cię.

– Dlaczego? – zawołał za nim Mandras, ale nie otrzymał odpowiedzi.

XXXVII

Epizod utwierdzający Pelagię w przekonaniu, że mężczyźni myślą odwagę z brakiem zdrowego rozsądku

Potężny głos zagrzemiał za jego plecami i kapitan Corelli, pochłonięty lekturą pamfletu, omal nie padł trupem z wrażenia.

– Ci, którzy poszukują mojej duszy, aby ją zniszczyć, zstąpią do piekieł, padną od miecza i zostaną rzućeni lisom na pożarcie, Bóg strzeli do nich z łuku i nagle rany odniosą.

Corelli skoczył na równe nogi i znalazł się twarzą w twarz z ojcem Arseniosem, jego patriarchalną brodą i płonącymi oczyma, które tamten wytrzeszczał nań znad muru. Duchowny zaczął ostatnio straszyć niczego nie podejrzewających włoskich żołnierzy gromkimi improwizacjami, opartymi na tekstach biblijnych i wygłaszanymi w języku greckim. Obaj patrzyli na siebie – Corelli z ręką na sercu, Arsenios, wymachując pastorałem domowej roboty.

– *Kalispera, patir* – powiedział Corelli, który wykazywał coraz lepszą znajomość greckiej etykiety, na co Arsenios splunął na pokrytą pyłem ziemię i oświadczył:

– W chwili swego gniewu uczynisz ich niczym pałący piec, w chwili oburzenia pochłoniesz ich i ogień ich strawi. Zetrzesz ich owoce z powierzchni ziemi i ich nasienie spośród potomków ludzi, powzięli bowiem szkodliwy zamysł, którego nie potrafią wykonać.

Kapłan przewrócił proroczo oczyma, a Corelli rzekł pojednawczo:

– Właśnie, właśnie – mimo że nie zrozumiał ani słowa.

Arsenios znowu splunął, wtarł ślinę stopą w ziemię i wskazał palcem na kapitana, by zaznaczyć, że zostanie wtarty w ziemię w ten sam sposób.

– Właśnie – powtórzył Corelli, uśmiechając się uprzejmie, po czym Arsenios odszedł, kołyszając się na boki, co miało wyrazić obrzydzenie, a zarazem absolutną pewność jego racji.

Kapitan powrócił do lektury, po to tylko, by niebawem zakłócili mu ją doktor i Pelagia wracający z wyprawy medycznej oraz Carlo Guercio nadjeżdżający dżipem. Pośpiesznie

ukrył pamflet w bluzie munduru, lecz doktor zdołał go dojrzeć.

– Ach, widzę, że pan też ma kopię. Zabawne, co? – zauważył.

– Pieprzyć wojnę – powiedział Carlo wesoło. Zawsze wchodził na podwórko z tym zwyczajowym pozdrowieniem. Uderzył czołem w dolną gałąź oliwki, na której zwykł huścić się Mandras, i – chwilowo ogłuszony – wyszczerzył zęby w nieśmiałym uśmiechu. – Zawsze to robię. Można by pomyśleć, że powinienem już pamiętać o tej oliwce.

– Nie powinien pan być tak rosnąć – rzekł doktor. – To dowód braku przezorności i zdrowego rozsądku. We Francji był kiedyś król, który zmarł, walnąwszy o coś głową tak jak pan.

– Wygląda na to, że ja jeszcze żyję – odparł Carlo, dotykając siniejącego miejsca palcem wskazującym. – Widział pan pamflet?

Corelli posłał mu gniewne spojrzenie, a Pelagia zauważyła:

– Pojawił się chyba nocą, na całej wyspie.

– Prawdę mówiąc, w tej chwili kapitan właśnie próbuje ukryć jedną kopię – dodał wesoło doktor.

– Brytyjska propaganda – orzekł Corelli, udając zupełny brak zainteresowania.

– Zeszłej nocy nie było żadnych nalotów – powiedział Carlo. – Gdy nadlatują, wszystko się trzęsie i dudni, ale tym razem nic nie słyszałem.

– A zatem to nie może być robota Brytyjczyków – z radością wywnioskował Janis. – Myślę, że macie tu kogoś, kto ma dostęp do prasy drukarskiej i doskonale zorganizowany kolportaż. – Spostrzegł, że Carlo rumieni się i spogląda na niego gniewnie, i uświadomił sobie, że lepiej milczeć. – Ale skoro pan tak twierdzi, to pewnie rzeczywiście brytyjska propaganda – dodał nieprzekonywająco i wzruszył ramionami.

– Autorem musi być ktoś, kto sporo wie, bo wszystko w tym pamflecie jest prawdą – zauważyła Pelagia.

Corelli zarumienił się z gniewu i gwałtownie wstał. Przez sekundę bała się, że kapitan ma zamiar ją uderzyć. Wyjął ulotkę z bluzy i teatralnie przedarł ją na pół, rzucając kawałki koziółkowi.

– To tylko stek bzdur – oświadczył i wszedł do domu.

Pozostała trójka wymieniła spojrzenia, a Carlo wykrzywił twarz w grymasie imitującym paniczny strach. Po czym zrobił bardzo poważną minę i rzekł do Pelagii:

– Proszę wybaczyć kapitanowi i nie mówić mu, że to powiedziałem, ale musi pani zrozumieć, że w jego sytuacji... Jest przecież oficerem.

– Rozumiem, Carlo. Nie przyznałby, że to prawda, nawet gdyby sam był jego autorem. Myśli pan, że pamflet mógł napisać jakiś Grek?

Doktor popatrzył na nią spod oka i oświadczył:

– Co za idiotyczny pomysł!

– Po prostu myślałam...

– Ilu Greków mogłoby wiedzieć o tym wszystkim, ilu Greków umie pisać po włosku i ilu Greków dysponuje takim środkiem transportu, aby móc porzucić egzemplarze na całej wyspie? Nie bądź niemądra.

Pelagia jednak zapaliła się do swej hipotezy:

– Wiele R zostało napisanych jak P, a to typowy grecki błąd, więc Włoch mógł przekazać wszystkie informacje jakiemuś Grekowi, mogli ułożyć pamflet i go wydrukować, a potem ten Włoch mógł dostarczyć go wszędzie na motorze lub w inny sposób. – Uśmiechnęła się z triumfem i uniosła ręce, by pokazać, jakie to wszystko proste. – A zresztą wszyscy wiedzą, że ludzie słuchają BBC. – Pomyślała, że wspomnienie w obecności Carla o tym, że mężczyźni w wiosce słuchają brytyjskich audycji stłoczeni w dużej spiżarni kafenijonu, paląc zawzięcie, a potem wychodzą z niej, dławiąc się i bełkocąc, by zanieść wieści swoim żonom, które z kolei przekazują je sobie w kuchniach i przy studni, jest nieostrożnością. Nie miała się nigdy dowiedzieć, że włoscy żołnierze robili mniej więcej to samo w swoich koszarach i na kwaterach, co by wyjaśniało, dlaczego wszyscy na wyspie znali identyczne dowcipy o Mussolinim.

Carlo i doktor popatrzyli na siebie, bojąc się, że skoro Pelagia zdołała to zrozumieć, to inni również.

– Nie mędrkuj za bardzo, bo jeszcze ci mózg wytryśnie uszami – doradził doktor, zwracając się do niej jak do dziecka.

Pelagia zauważyła zaniepokojenie na twarzach ojca i Carla i przypomniała sobie, że przed wojną Kokolios dostał od partii komunistycznej małą ręczną prasę drukarską do odbijania broszur propagandowych i że Carlo ma dostęp do dżipa. Pokręciła głową, jak gdyby chciała odpędzić te myśli, po czym zaczęła się zastanawiać, skąd mogli zdobyć łacińskie czcionki. Chwilowe uczucie ulgi pierzchno, gdy uświadomiła sobie, że jej ojciec ma jakieś konszachty z kwatermistrzem-hipochondrykiem, który cierpi z powodu tak trudnych do wyleczenia nagniotków. Przeniosła wzrok z Carla na swego ojca i poczuła ucisk gniewu w gardle; jeżeli to ich sprawka i jeżeli był to spisek, to do jak głupich i nieodpowiedzialnych czynów mogą się jeszcze posunąć? Czy nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa?

– Kłopot z mężczyznami... – zaczęła i weszła za kapitanem do domu, nie kończąc

zdania. Zgarnęła Psipsinę z kuchennego stołu, jakby tulenie się do zwierzęcia mogło osłabić w niej poczucie zagrożenia.

Carlo i doktor unieśli ręce i opuścili je bezwładnie. Przez chwilę stali w wymownym i pełnym zażenowania milczeniu.

– Powiniennem był wychować ją na idiotkę – rzekł w końcu Janis. – Gdy kobiety stają się zdolne do dedukcji, nie wiadomo, gdzie szukać końca kłopotów.

XXXVIII

Geneza „Marsza Pelagii”

Pewnego dnia tak się złożyło, że kapitan Corelli nie poszedł do pracy, ponieważ w głowie huczało mu jak podczas trzęsienia ziemi. Leżał w łóżku Pelagii, starając się nie otwierać oczu i nie ruszać. Najmniejszy promyk światła przeszywał mu mózg, a gdy się poruszał, nabierał przekonania, że jego mózdzek się oderwał i obją się teraz wewnątrz czaszki. Gardło miał suche i sztywne jak derma i nie było cienia wątpliwości, że ktoś ostrzył sobie kiedyś na nim brzytwy. Od czasu do czasu czuł w przełyku wzbierającą falę mdłości, rozchodzącą się równomiernie w kierunku żołądka i ust; z odrazą starał się powstrzymać gorzkie strumienie żółci, które najwyraźniej usiłowały znaleźć ujście i ozdobić mu pierś.

– O, Boże – jęczał. – Boże, zlituj się.

Otworzył oczy i przytrzymał powieki palcami. Bardzo powoli, żeby zanadto nie wstrząsać mózgiem, rozejrzał się po pokoju i doznał niepokojącej halucynacji. Zmrużył oczy; owszem, jego mundur naprawdę leżał na podłodze i poruszał się o własnych siłach. Upewnił się, że uniform porusza się niezależnie od okrężnego ruchu pokoju, i znowu zamknął oczy. Z wnętrza munduru wyłoniła się Psipsina i wskoczyła na stół, żeby zwinąć się w kłębek w jego czapce, która była jej ulubionym miejscem wypoczynku, odkąd odkryła uroki cyrkowej gimnastyki. Wypełniała czapkę i wylewała się z niej, tworząc taką płataninę wąsów, uszu, ogona i łap, że nie sposób było rozróżnić części jej ciała. Spała w niej, gdyż przypominała jej o prezentach w postaci salami i skórki kurczaka. Kapitan otworzył oczy i zobaczył, że jego wymiętoszony mundur obraca się teraz w harmonii z resztą świata, i dopóki jakiś oszalały perkusista nie zaczął walić mu w skronie niczym w kotły, dopóty spokojnie myślał, że zdrowieje. Wykrzywił twarz i przycisnął dłonie do głowy. Poczul, że musi opróżnić pęcherz, ale zaraz potem stwierdził z rezygnacją, że to jedna z tych okazji, gdy będzie potrzebował oparcia, będzie się chwiał w przód i w tył, nie załatwi się i w końcu nie wiedzieć czemu się przewróci, obsikując sobie stopę. Czul się udręczony oznakami własnej śmiertelności i rozważał, czy nie byłoby lepiej umrzeć niż cierpieć.

– Chcę umrzeć – wyjęczał, jakby artykulacja tej myśli mogła przydać jej precyzji i siły

dramatycznej.

– Musi pan to wypić do dna – powiedziała Pelagia stanowczo. – Woda to jedyne lekarstwo na kaca.

– Ja nie mam kaca – odparł żałośnie kapitan. – Jestem bardzo chory, i to wszystko.

Pelagia napełniła szklankę i przytknęła mu ją do warg.

– Niech pan wypije – rozkazała. Wypił podejrzliwie, małymi łykami, i zdumiał się oczyszczającym wpływem, jaki woda wywarła na jego stan psychofizyczny. Pelagia ponownie napełniła szklankę. – Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś tak pijanego – oznajmiła z wyrzutem. – Nawet podczas uroczystości ku czci świętego.

– O Boże, co ja zrobiłem?

– Carlo przywiózł pana o drugiej nad ranem. Mówiąc dokładnie, uderzył dżipem w mur przed domem, wniósł pana do środka na rękach, jak niemowlę, potknął się, poranił sobie kolana i wszystkich, którzy jeszcze się nie zerwali ze snu, obudził swoim wrzaskiem i przekleństwami. Potem położył się na stole na podwórku i zasnął. Nadal tam leży. Zmoczył się w nocy.

– Naprawdę?

– Tak. A potem pan się obudził, ukląkł pan przede mną, wymachiwał rękami i śpiewał: „Io sono ricco e tu sei bella” na całe gardło, strasznie fałszując, i zapomniał pan słów. A potem próbował pan całować moje stopy.

Kapitan przeraził się nie na żarty.

– Fałszując? Nigdy nie zapominam słów, jestem muzykiem. Co pani wtedy zrobiła?

– Kopnęłam pana i upadł pan na plecy, po czym wyznał mi pan wieczną miłość, a potem pan zwymiotował.

Kapitan z rozpaczą i wstydem zamknął oczy.

– Upiłem się. Bo widzi pani, moja bateria wygrała mecz piłkarski. A to nie zdarza się codziennie.

– Porucznik Weber wpadł tutaj wczesnym rankiem. Powiedział, że wasza drużyna oszukiwała i że druga połowa meczu opóźniła się o pół godziny, gdyż dwaj mali chłopcy ukradli piłkę, gdy przeleciała przez ogrodzenie.

– To był sabotaż – odparł kapitan.

– Nie lubię porucznika Webera. Patrzy na mnie tak, jakbym była zwierzęciem.

– To nazista. Sądzi, że ja także jestem zwierzęciem. Nie ma na to rady. Lubię go. Jest jeszcze małym chłopcem, wyrośnie z tego.

– A pan jest zwykłym pijakiem. Mam wrażenie, że wy, Włosi, nic tylko pijecie,

kradniecie, uganiacie się za miejscowymi dziewczynami lub gracie w piłkę nożną.

– Pływamy także w morzu i śpiewamy. I nie może pani obwiniać chłopaków za to, że uganiają się za dziewczynami, ponieważ nie mogą robić tego u siebie, a zresztą niektóre z dziewczyn bardzo dobrze na tym wychodzą. Niech mi pani poda jeszcze trochę wody.

Pelagia zmarszczyła brwi; w uwagach kapitana było coś, co wydawało się jej obraźliwe, a nawet okrutne. Poza tym była w sam raz w nastroju do kłótni. Wstała, chlusnęła mu wodą ze szklanki w twarz i powiedziała porywczo:

– Doskonale pan wie, że robią to z konieczności. A wszystkie są zawstydzone obecnością waszych dziwek. Jak, pana zdaniem, się czujemy?

Kapitanowi tak mocno pulsowało w głowie, że nie miał ochoty na kłótnię; pulsowało nawet zbyt mocno, żeby zareagował na nagłe oblanie wodą przez rozzłoszczoną pannę. Mimo to nagle doznał poczucia wielkiej niesprawiedliwości. Usiadł prosto i rzekł Pelagii:

– Wszystko, co pani mówi i robi, spowodowane jest tym, że chce pani, żebym przeprosił, w każdym pani spojrzeniu widzę tylko wyrzuty. Jest tak, odkąd tu przybyłem. A jak, pani zdaniem, ja się czuję? Czemu nie zadaje sobie pani tego pytania? Myśli pani, że jestem dumny? Myśli pani, że mam zamiłowanie do poskramiania Greków? Sądzi pani, że jestem Duce, który nakazał mi tu mieszkać? To wszystko bagno, ale nic nie mogę na to poradzić. No dobrze, już dobrze, przepraszam. Jest pani zadowolona? – zapytał i opadł na poduszki.

Pelagia wsparła ręce na biodrach, wykorzystując fakt, że sama stoi, a on leży. Wykrzywiła twarz i zapytała:

– Naprawdę uważa pan, że jest pan ofiarą w takim samym stopniu jak my? Biedny chłopczyk, biedactwo. – Podeszła do stołu, zauważyła senną obecność Psipsiny w czapce kapitana i uśmiechnęła się do siebie, wyglądając przez okno. Rozmyślnie unicestwiała zamierzony efekt każdej jego odpowiedzi, dbając o to, by nie mógł patrzeć jej w oczy, gdy ich udzielał. Było go Pelagii naprawdę żal, nie mogła pozostać wrogo usposobiona do człowieka, który pozwala kunie spać w swojej czapce, ale też nie miała zamiaru okazywać mu swej sympatii, gdy w grę wchodziły zasady.

Nie usłyszała odpowiedzi. Corelli patrzył na jej sylwetkę na tle wlewającego się przez okno światła i w jego głowie pojawiła się melodia. Mógł sobie wyobrazić wędrówkę swych palców po gryfie mandoliny, słyszał posłuszne nuty, rozbrzmiewające w wiolinie, sławiące Pelagię, a zarazem ukazujące jej gniew i opór. Był to marsz, marsz dumnej kobiety, która oskarżała wojnę przy użyciu mocnych słów i wyświadczanych mu przysług. Usłyszał trzy

proste akordy i wojskową melodię, nasuwającą myśl o świecie przyzwoitości i miłości. Słyszał, jak melodia wznosi się, nabrzmiewa, wybuchając strumieniem pogodnych tremolad, czystszym niż pieśń drozdów i bardziej przejrzystym niż niebo. Z pewną irytacją uświadomił sobie, że ów marsz będzie wymagał dwóch instrumentów.

XXXIX

Arsenius

Ojciec Arsenios został uratowany przez wojnę, jak gdyby cały cykl jego życia był jedynie krzywą wiodącą przez czyściec, która w końcu przebiła się przez niewidzialną skorupę i ukazała mu cel życiowej misji. Ustąpiły paroksyzmy odraży do samego siebie, zachłanność, lenistwo oraz nadużywanie alkoholu szły jedno za drugim na cmentarz przeszłości i wydawało się, że kapłan urósł o cały łokieć. Jego teologia chytrze zmieniła skórę niczym wąż i przeistoczyła jego duszę, tak że o ile w przeszłości wiedział, że zawiódł swego Boga, o tyle teraz miał świadomość, iż to Bóg zawiódł świętą ziemię Grecji. Dotarła doń myśl, że jako człowiek może przewyższyć Boga, który go stworzył, i uczynić dla Grecji to, czego Bóg nie uczynił. Odkrył w sobie dar przepowiadania przyszłości.

Przyszło mu do głowy, że powinien kupić dużego psa i nauczyć go gryzienia okupantów. W tym celu kupił od Stamatisa zwierzę, które miało być patriotyczne, ponieważ jego ojciec od dawna cieszył się zaszczytną sławą bestii wgrzyzającej się w łydki włoskich żołnierzy. Jednakże jego kundel, myląc nauki nowego właściciela z rozkazami gryzienia opon przejeżdżających ciężarówek wojskowych, przedwcześnie odszedł w zaświaty i Arsenios przygarnął następnego, mniej pobudliwego mieszańca. Wyruszył pieszo, obciążony jedynie torbą pielgrzyma i krzyżem z drewna oliwnego, który służył mu jako pastorał.

Chodził i wygłaszał kazania. Jego grube uda ocierały się o siebie, wywołując wysypkę i owrzodzenia w pachwinach; w środku lata pot lał mu się z czoła i spod pach, tak że na czarnej sutannie wykwiwały mokre, ciemne pierścienie naznaczone na obwodzie nieregularnymi białymi obwódkami z drobnych kryształków soli, a broda lśniła i ociekała niczym źródło Aretuzy. W skórzanych podszwach czarnych butów wytarły się dziury, aż w końcu Arsenios szedł obuty jedynie w przyszwę, ciągnąc za sobą długie kawałki dratwy, pozostawiające w bladym pyłe ślady podobne do cienkich jak włos węży. Zimą Arsenios odkrył, że nie marznie ten, kto jest stale w ruchu, i napierał całym ciałem na nieczuły wiatr i padający bez umiaru deszcz, podczas gdy jego nędzny pies szedł za nim, przemoczony na wskroś, z ogonem między nogami, głową zwieszoną żałośnie, prawdziwy obraz niemądrego, ślepego przywiązania.

Od krzaków mantykowca i cyprysów północy po kamieniste piaski Skali na południu, od podziemnych jezior Sami na wschodzie po przyprawiające o zawrót głowy zbocza Pętani na zachodzie – wszędzie tam Arsenios wędrował z mozołem i wygłaszał kazania. Gdy szedł, z głową tak samo opuszczoną jak łeb jego psa, budował frazy pełne sprawiedliwego gniewu, któremu dawał wyraz w gwałtownych tyradach przed obozowiskami Włochów. W niemieckich garnizonach ignorowano go lub brutalnie przepędzano kolbami karabinów nie dlatego, że Niemcy byli okrutni, ale dlatego, że nie podzielali zamiłowania do dramatu, jakie okazywali ich sojusznicy. Dla Teutonów Arsenios był źródłem rozdrażnienia raczej niż rozrywki, ale Włochom przynosił wytchnienie od nie kończących się gier karcianych i wypatrywania brytyjskich bombowców. Wyglądali jego wizyt z takim utęsknieniem, jak przyjazdu ciężarówki z dziewczkami, a Arsenios był witany tym chętniej, że zjawiał się i znikał zupełnie nieprzewidzianie.

Gdy przychodził, żołnierze gromadzili się wokół niego, zahipnotyzowani operowymi gestami ogorzałego kapłana i ogłuszającymi tyradami w biblijnej grece, z których nie rozumieli ani słowa. Arsenios przenosił spojrzenie z jednej uśmiechniętej i zachwyconej twarzy na drugą, wiedząc, że nikt nic nie rozumie, ale mimo to mówił dalej, gdyż wydawało mu się, że właściwie nie ma wyboru. Wzbierały w nim słowa, słowa pełne nadprzyrodzonej siły. Miał wrażenie, że popycha go ręka Maryi Panny, że wlano weń Chrystusowy żal, że przepelniał on jego duszę i teraz trzeba go oddać tej udręczonej ziemi.

– Rzymscy odszczepieńcy, bracia, których utraciliśmy, dzieci Chrystusa, który was oplakuje, baranki ofiarne, pionki w rękach tyranów, wy, którzy niesprawiedliwymi jesteście, wy, którzy jesteście plugawi, którzy czynicie nieprawość, wy, którzy jesteście psami i alfonsami, czarnoksiężnikami i bałwochwalcami, wy, których serca pogrążone są w mroku, wy, którzy nie macie w sobie Boga, synowie narodu, który nie dostąpi zbawienia, wy, którzy czynicie obrzydliwe rzeczy, wy, którzy bezczęście Maryję Dziewicę, wy, którzy pragniecie prawdy i nie możecie zaspokoić pragnienia; wy, którzy jesteście zepsuci i nie uczyniliście nic dobrego, postępowaliście nikczemnie, pożeraliście mój lud, tak jak on spożywa chleb, nie wzywaliście Boga, rozłożyliście się obozem pod naszymi miastami, okryto was wstydem, a Bóg wzgardził wami i rozrzucił wasze kości. Patrzcie, Pan da posłuch moim słowom, albowiem wspomaga mnie, jest z tymi, co podtrzymują mię na duchu, On nagrodzi złem moich wrogów, pozbawi ich swej prawdy, albowiem obcy powstali przeciwko mojemu ludowi, ciemńcy szukają naszych drzew oliwnych i naszych panien, a niegodziwość zamieszkuje pośród nich. Moja dusza jest pośród lwów i odpłacam się tym, co płoną, odpłacam synom człowieczym, których zęby to włócznie i strzały, a ich języki to ostre

miecze.

Zaiste, w sercach swych popełniacie niegodziwości, obarczacie ziemię brzemieniem przemocy, odsunęliście się od łona, błakacie się od urodzenia, kłamiecie, wasza trucizna jest niczym jad węża, jesteście niby głucha żmija, która zatkała swoje ucho.

My zaś jesteśmy niczym zielone drzewo oliwne w domu Bożym i zawsze będziemy ufać w łaskę Pana, albowiem Bóg wyciągnął rękę i wyrzekł słowo i oto usłyszałem, jak mówi na potężnym wietrze i pośród burz, w kamieniach Assos i górskich grotach. Rozsypał swą sól w jeziorze Melissani, zgromadził żelazo na niebie Liksuri.

Rzymscy odszczepieńcy, Pan przygotował pułapkę, ułożył sieć pod waszymi stopami i dosięgną was nieszczęścia, albowiem Szatan zostanie uwolniony ze swego więzienia, Gog i Magog zaś wyjdą, by mamici narody z czterech stron świata, by je zgromadzić na bój, a liczba ich jak piasek morski. I zstąpi ogień z nieba na miasto umiłowane, i pochłonie was, i wszyscy, nawet niewinni i czyści jak niemowlęta, zostaniecie wrzuceni do jeziora ognia i siarki, tam gdzie jest bestia i fałszywy prorok, a wasze ciało zostanie oddzielone od kości, albowiem nie zostaliście zapisani w księdze życia i będziecie wtrąceni w płomienie.

I Pan Bóg otrze łzy z oczu mego ludu, i nie będzie już więcej łez ni płaczu, ani nie będzie już więcej bólu, bo pierwsze rzeczy przeminą i On, który zasiada na tronie, wszystko uczyni nowym i memu spragnionemu ludowi da darmo pić ze źródła wody życia. Albowiem weźmie bestię i fałszywego proroka i armie zgromadzone przeciw nam, którzy czyniliśmy cuda na ich oczach, i porazi ich, ptaki zaś najedzą się ich ciał do syta, oni zostaną wrzuceni do jeziora ognia i siarki, a pozostali będą uśmierceni.

Żołnierze zaopatrywali Arseniosa i jego psa w chleb i wodę, resztki posiłków i oliwki, a w klasztorach tak oddalonych od siebie jak klasztory w Agrilion i Kipurion troszczyły się o niego zakonnice i mnisi. Jednakże spartańskie noce w jaskiniach, postna dieta i dwa lata niestrudzonego wędrowania sprawiły, że obfita tusza kaznodziei znikła, aż w końcu obszerna sutanna łopotą na jego ciele, zamienionym w szkielet obciążony owrzodzoną skórą. Żywe oczy Arseniosa płonęły nad zapadniętymi policzkami, pergamin na rękach i twarzy zrobił się ciemny jak drzewo tekowe i po raz pierwszy w życiu kapłan znalazł spokój w swym sercu i był szczęśliwy. To prawda, że zupełnie zaniedbał własną parafię, ale gdyby żył dłużej, prawdopodobnie zostałby świętym.

XL

Problemy z ustami

Mijali się w drzwiach – ona wychodząc, a on wracając z pracy. Bez żenady uniosła rękę ku jego lewemu policzkowi i w przelocie pocałowała go w prawy.

Kapitan zdumiał się, zdumiała się również Pelagia, ponieważ dopiero gdy dotarła do wejścia na podwórze, zdała sobie sprawę, co zrobiła. Stała jak wryta, jakby weszła prosto na metafizyczny, lecz namacalny kamienny mur. Krew napłynęła jej do skroni i dziewczyna uświadomiła sobie, że nie ma odwagi odwrócić się i spojrzeć na Corellego. On niewątpliwie także wrósł w ziemię. Pelagia czuła niemal, jak oczy kapitana wędrują od jej stóp do głowy, w końcu zatrzymując się na potylicy w oczekiwaniu, że ona się odwróci. Tak jak się spodziewała, zawołał:

– *Kiria* Pelagia!

– Słucham? – zapytała szorstko, jak gdyby mogło to wymazać bezmyślny, głupkowaty czyn, którym zdradziła się ze swym uczuciem.

– Co będzie na obiad?

– Niech pan mi nie dokucza.

– Ja pani dokuczam?

– Niech pan sobie nic nie obiecuje. Myślałam, że to mój ojciec. Zawsze całuję go w ten sposób, gdy wchodzi.

– To zrozumiałe. Obaj jesteśmy starzy i niscy.

– Jeżeli ma pan zamiar się ze mną droczyć, już nigdy się do pana nie odezwę.

Corelli obszedł ją od tyłu i rzucił się przed nią na kolana.

– Och nie! – wykrzyknął. – Wszystko, tylko nie to. – Pochylił głowę do ziemi i jęczał żałośnie: – Litości. Niech mnie pani zastrzeli, wysmaga batem, ale niech pani nie mówi, że już nigdy się pani do mnie nie odezwie. – Objął ją za kolana i udał, że płacze.

– Cała wieś patrzy – zaprotestowała Pelagia. – Niech pan natychmiast przestanie. Jest pan naprawdę okropny. Niech pan się ode mnie odczepi.

– Mam złamane serce! – zajęczał, chwycił jej rękę i zaczął okrywać ją pocałunkami.

– Głupi capie, jesteś obłąkany.

– Jestem udręczony, płonę, rozpadam się, z oczu tryskają mi łzy. – Odchylił się do tyłu i wykonał poetyczny ruch palcami, by unaocznic spienioną kaskadę niewidocznych łez. – Niech się pani ze mnie nie śmieje – ciągnął, wpadłszy na pomysł nowej taktyki. – O, światło moich oczu, nie drwij z utrapienia biednego Antonia.

– Znowu pan pił?

– Jestem pijany żalem, pijany śmiertelną udawką. Mów do mnie jeszcze, pani.

– Czy pana bateria wygrała kolejny mecz piłkarski?

Corelli skoczył na równe nogi i z radością rozpostarł ramiona.

– Tak. Wygraliśmy z kompanią Güntera cztery do jednego i kontuzjowaliśmy trzech jego żołnierzy, a potem wszedłem do domu i pocałowała mnie pani. Wspaniały dzień dla Italii.

– To była pomyłka.

– Istotna pomyłka.

– Nieistotna. Bardzo mi przykro.

– Niech pani wejdzie do środka. Chcę pani pokazać coś bardzo interesującego.

Uspokojona tą nagłą zmianą tematu, Pelagia przeszła za nim przez próg po to tylko, by stwierdzić, że kapitan znowu mija ją w drodze na podwórko. Zacisnął ręce na jej skroniach, pocałował ją przeciągle, teatralnie w czoło i zawołał:

– *Mi scusi*, przepraszam, myślałem, że to doktor, niech pani sobie nic nie obiecuje! – po czym wybiegł nagłym sprintem z podwórka na ulicę. Pelagia wsparła ręce na biodrach i patrzyła za nim w zdumieniu, kręcąc głową i ze wszystkich sił próbując nie wybuchnąć śmiechem ani się nie uśmiechnąć.

XLI

Ślimaki

Doktor wyrzał przez okno i zobaczył, jak kapitan Corelli skrada się za Lemoni, żeby zrobić jej niespodziankę. W tym samym czasie Psipsina bez wahania wskoczyła na stronę, na której pisał o francuskiej okupacji, i ten zbieg okoliczności natchnął go wspaniałą myślą. Odłożył fajkę i pióro i odważył się wyjść na rozżarzone słońce wczesnego popołudnia.

– *Fischio!*³⁴ – zawołał kapitan i Lemoni zapiszczała.

– Wybaczcie mi, dzieci – rzekł doktor.

– Ach – odparł Corelli, prostując się nieśmiało. – *Kalispera, jatre*. Właśnie...

– Bawiliście się? – Doktor zwrócił się do dziewczynki: – *Koricimu*, czy pamiętasz, jak znalazłaś Psipsinę, gdy była jeszcze bardzo mała i wisiała na płocie? A ty zmusiłaś mnie, bym przybył jej na ratunek?

Lemoni przytaknęła z poważną miną, a doktor rzekł:

– Czy są tam jeszcze te wszystkie ślimaki?

– Tak – odparła. – Mnóstwo. Ogromniastych. – Wskazała na Corellego. – Większych nawet od niego.

– Kiedy najlepiej ich szukać?

– Wczesnie i późno.

– Rozumiem. Możesz przyjść dziś wieczorem i znowu mi pokazać, gdzie były?

– Najlepiej po zmroku.

– Nie możemy wyjść po zmroku, jest godzina policyjna.

– To przed zmrokiem – zgodziła się Lemoni.

– O co chodziło z tymi ślimakami? – zapytał kapitan, gdy Lemoni sobie poszła.

– Dzięki wam nie ma prawie nic do jedzenia. Dziś wieczorem idziemy szukać ślimaków – odparł oziębło doktor.

Kapitan zachnął się.

– Blokadę stosują Brytyjczycy. Wpadli na pomysł, że najlepiej wam pomogą, morząc

³⁴ Świst!

was głodem. Jak panu bardzo dobrze wiadomo, zrobiłem, co tylko można, żeby pomóc.

– Ależ doceniamy pana pożyczki kosztem włoskiej armii, szkoda tylko, że w ogóle znaleźliśmy się w takiej sytuacji. Potrzebujemy białka. Widzi pan, do czego doszło.

– W moim kraju ślimaki są kosztownym luksusem.

– A tutaj są pożałowania godną koniecznością.

Kapitan otarł pot z czoła i rzekł:

– Pozwoli pan, że wybiorę się z panem i pomogę.

Tak więc wieczorem, na godzinę przed zachodem słońca, kiedy się już trochę ochłodziło, Pelagia, jej ojciec, Lemoni i kapitan czołgali się przez niesamowitą płataninę łądyg dzikiej róży i zwierzęcych tuneli, sforsowawszy najpierw rozsypujący się mur i przelazszy pod gałęziami starych i zaniedbanych drzew oliwkowych.

Doktor pełzył za Lemoni, która nagle zatrzymała się i obejrzała na niego.

– Mówił pan – zauważyła z wyrzutem – mówił pan, że gdyby pan szukał ślimaków, zabrałiby pana i zamknęli.

– W Pireusie – odparł doktor. – Powiedziałem, że zabrałiby mnie do Pireusu. Zresztą, w chwili obecnej wszyscy właściwie jesteśmy pod kluczem.

Wkrótce w zamglonym świetle stało się oczywiste, że na spodzie niższych liści znajduje się cała masa tłustych ślimaków, rywalizujących ze sobą różnorodnością wzorów. Były tam brązowe ślimaki z prawie niewidocznymi plamkami na skorupie, były jasne ze spiralnymi paskami, były ślimaki w kolorze ochrowej żółci i jasnocytrynowe oraz w czerwone cętki i czarne kropki. Na wierzchołkach drzew gajówki sycylijskie zadzierały głowy i przefruwały z jednej gałęzi na drugą, nasłuchując stłumionego odgłosu wrzucania łupów do wiader.

Poszukiwania tak zaabsorbowały dziewczynkę i trójkę dorosłych, że niepostrzeżenie się rozdzielili. Doktor i Lemoni zniknęli w jednym tunelu, a kapitan i Pelagia w drugim. W pewnym momencie Corelli znalazł się sam i przystanął na chwilę, żeby rozważyć osobliwy fakt, iż nie pamięta, by kiedykolwiek czuł takie zadowolenie. Niedbale zbadał stan swoich bryczesów i, mrużąc oczy, spojrzął na czerwieniejące słońce, którego purpurowe światło bladło właśnie pomiędzy gałązkami i liśćmi. Zacerpnął powietrza głęboko w płuca i westchnął, przysiadając na piętach. Trącił palcem wskazującym ślimaka, który próbował wypełznąć z wiadra.

– Niedobry ślimak – powiedział i z ulgą stwierdził, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby usłyszeć, jakie niedorzeczności wygaduje. W oddali zaterkotało działo przeciwlotnicze. Corelli wzruszył ramionami. Przypuszczalnie nie chodziło o nic poważnego.

– No nie – rozległ się nieopodal głos, należący bez wątpienia do Pelagii. – Och, na litość boską!

Przerażony okropną myślą, że pewnie została trafiona spadającym szrapnelem, kapitan opadł na ręce i kolana i szybko przeczołgał się z powrotem w kierunku miejsca, z którego dobiegł okrzyk.

Znalazł Pelagię, unieruchomioną w dziwacznej pozycji, z wykręconą do tyłu szyją. Była na czworakach, długa cienka strużka krwi ściekała jej ukośnie po policzku, i dziewczyna wyraźnie znajdowała się w stanie skrajnej irytacji.

– *Che succede?*³⁵ – zapytał Corelli, pełznąc w jej stronę. – *Che succede?*

– Zaczepiłam o coś włosami – odparła z oburzeniem. – Jakiś cierń zadrasnął mi policzek, szarpnęłam głowę, zaczepiłam włosami o te dzikie róże i teraz nie mogę ich wyplątać. Niech się pan nie śmieje.

– Nie śmieję się – odparł, wybuchając śmiechem. – Bałem się, że się pani zraniła.

– Zraniłam się. Policzek mnie piecze.

Corelli wyjął z kieszeni chustkę i przytknął do zadraśnięcia. Potem pokazał ją Pelagii i rzekł pogodnie:

– Będę jej strzegł jak relikwii.

– Jeżeli mnie pan nie uwolni, zamorduję pana. Niech się pan przestanie śmiać.

– Jeżeli pani nie uwolnię, to się nigdy nie stanie, prawda? Niech się pani nie rusza. – Corelli musiał wyciągnąć ręce nad ramionami Pelagii i zerkać za jej ucho, żeby widzieć, co robi. W pewnym momencie stwierdził, że przyciska klatkę piersiową do jej twarzy. Pelagia czuła szorstką fakturę i dławiącą woń jego munduru.

– Rozgniata mi pan nos – zaprotestowała.

Corelli z przyjemnością wciągnął powietrze; Pelagia zawsze pachniała rozmarynem. Był to niewinny, świeży zapach – przypominał mu świąteczne posiłki w domu.

– Chyba będę musiał je obciąć – powiedział, bezskutecznie usiłując uwolnić czarne pasma owinięte wokół cierni.

– Auu, auu, niech pan przestanie ciągnąć, proszę uważać. Nie obetnie ich pan, nie ma mowy.

– Jest pani w bardzo kiepskim położeniu – zauważył kapitan – więc niech się pani postara przynajmniej udawać wdzięczność. – Wyciągał włosy, pasmo po paśmie, dbając o to, by w bolesny dla niej sposób nie ślizgały mu się między palcami. Ręce zaczęły go boleć od

³⁵ Co się dzieje?

trzymania ich w nienaturalnie poziomej pozycji, więc oparł łokcie na ramionach Pelagii. – Zrobione – rzekł, zadowolony z siebie, i zaczął się cofać. Pelagia z ulgą potrząsnęła głową. W chwili gdy jego usta mijaly jej policzek, kapitan pocałował ją delikatnie koło ucha, w miejscu pokrytym miękkim, niemal niewidocznym puszkim.

Pelagia przytknęła palce do tego miejsca i oznajmiła z przyganą:

– Nie powinien pan tego robić.

Corelli ukląkł i wytrzymał jej spojrzenie.

– Nie mogłem się powstrzymać.

– Wykorzystał pan sytuację.

– Przepraszam. – Patrzyli na siebie przez długą chwilę, a potem, z przyczyn, których nawet ona sama nie była w stanie pojąć, Pelagia zaczęła płakać.

– O co chodzi? Co się stało? – pytał Corelli z czołem zmarszczonym ze zdumienia. Łzy spływały jej po policzkach i wpadały do wiadra między ślimaki. – Potopisz je – zauważył. – O co chodzi?

Uśmiechnęła się żałośnie i znowu wybuchnęła płaczem. Chwycił ją w ramiona i poklepał po plecach. Poczula, że zaczyna jej cieknąć z nosa, i przestraszyła się, że może zostawić śluz na epoletach munduru. Pociągnęła mocno nosem, żeby temu zapobiec, i nagle wyrzuciła z siebie:

– Nie zniosę tego dłużej. Przepraszam.

– Wszystko jest parszywe – przyznał kapitan, zastanawiając się, czy on również mógłby ulec pokusie wybuchnięcia płaczem.

Ujął delikatnie głowę dziewczyny i przytknął usta do zażawionych policzków. Pelagia popatrzyła nań z niedowierzaniem i nagle – pod gałęziami dzikiej róży, w zachodzącym słońcu, pomiędzy dwoma wiadrami wypełzających ślimaków, z otartymi i brudnymi kolanami – złączyli się w pierwszym niepatriotycznym i potajemnym pocałunku. Złaknieni i doprowadzeni do rozpaczy, przepelnieni wewnętrznym światłem, nie mogli się od siebie oderwać, a gdy w końcu o zmroku wrócili do domu, podejrzenie, haniebnie wręcz znikomy plon ich wspólnych poszukiwań nie zdołał dorównać ilości ślimaków zebranej przez

mała Lemoni.

XLII

O tym, jak bardzo mandolina podobna jest do kobiety

Jak bardzo mandolina podobna jest do kobiety, jakże jest wdzięczna i urocza! Wieczorem, gdy psy wyją i świerszcze cykają, gdy wielki księżyc wisi nad wzgórzami, a szperacze w Argostoli szukają pretekstu do wszczęcia fałszywego alarmu, biorę do ręki mą słodką Antonię. Delikatnie gładzę jej struny i mówię do niej: „Jak to możliwe, by zrobiono cię z drewna?” Tak samo, widząc Pelagię, bezgłośnie pytam: „Naprawdę jesteś z krwi i kości? Czy to nie ogień? Niknący ślad po aniołach? Coś zupełnie innego niż ciało?” Chwytam w przelocie jej spojrzenie, jej oczy, tak szczere i figlarne, wpatrzone we mnie. Odwraca głowę, posyła mi uśmiech, łobuzerski i znaczący, i już jej nie ma. Widzę, jak idzie po wodę, a potem wraca z dzbanem na ramieniu, żywa kariatyda; mijając mnie, pozwala, by woda prysnęła mi na epolety. Przeprasza, śmiejąc się, ja mówię: „Wypadki chodzą po ludziach”, ona zaś doskonale wie, że to nie był przypadek. Zrobiła to, ponieważ jestem żołnierzem i Włochem, ponieważ jestem wrogiem, ponieważ jest zabawna, ponieważ lubi mi dokuczać, ponieważ to akt oporu, ponieważ mnie lubi, ponieważ to kontakt, ponieważ jesteśmy bratem i siostrą, a dopiero potem ona jest Greczynką, a ja najeżdźcą. Jej nadgarstki przypominają mi smukłe gryfy mandolin, dłonie rozszerzają się od nich niczym główka utrzymująca kołki, a miejsce, w którym gryf wybrzusza się, dochodząc do pudła rezonansowego, ma taki sam kształt jak linia jej szyi i podbródka i tak samo lśni delikatny blask młodości i sosnowego drewna.

Nocą śnię o Pelagii. Pelagia przychodzi do mnie, zdejmuje ubranie i widzę, że jej piersi to spody mandolin wytłaczane w Neapolu. Biorę je w dłonie: są zimne jak drewno i ciepłe jak ciało rodzącej matki. Pelagia odwraca się i widzę, że każdy pośladek to krągła, gruszkowata, śpiewająca mandolina, rozrastająca się w wypukłych częściach pudła, ozdobiona masą perłową i paskami hebanu. Tracę orientację, ponieważ jestem rozdarty pomiędzy szukanie strun i ból pożądania. Budzę się mokry od żądz, kurczowo ściskając Antonię, pokłuty końcami strun, spocony. Odkładam Antonię i mówię: „Och, Pelagio”, i leżę przez chwilę, myśląc o niej, zanim z powrotem przymuszę się do snu, bo wtedy szybciej

nadejdzie ranek i znowu ją zobaczę.

Myszę o Pelagii w kategoriach akordów. Antonia ma trzy akordy, które żyją razem w pierwszych trzech podziałkach, C-dur, D-dur i G-dur, i każdy z nich trzeba uciszać dwoma palcami. Gram G-dur, przesuwam je o jeden odstęp i wykonuję C-dur, a one wybrzmiewają w sobie niczym sopran i alt w tej samej tonacji w tokańskiej piosence. Gram D-dur, skręcając rękę, robiąc podwójny odstęp, i D-dur wybrzmiewa razem z pozostałą dwójką, lecz wtedy jest smutne i niespełnione, niczym dziewica. Błaga: „Zabierz mnie z powrotem tam, gdzie mogę znaleźć spokój”, i wracam do G-dur, i wszystko jest doskonałe, a ja czuję się jak sam Bóg, który stworzył kobietę i uznał swój świat za ukończony ostatnim, dopełniającym dotknięciem.

Pelagia uczestniczy w tych prostych wesołych akordach. Bawi się z kotem i śmieje się, i to jest G-dur. Unosi brew, gdy przyłapuje mnie na tym, że ją obserwuję, i udaje, że gani mnie i potępia za grzeszne uwielbienie, i to jest C-dur. Pyta, czy nie mam nic pożytecznego do roboty, i to jest jak D-dur, wymagające zdecydowania. Odpowiadam: „II Duce i ja podbijamy dziś Serbię”, a ona wybucha śmiechem i wszystko jest na powrót jasne. Odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem, jej białe zęby błyszczą i wie, że jest piękna i że ja też tak uważam. Przypominają mi się połyskujące domy na odległym wzgórzu w Candii. Pelagia jest zadowolona, dumna i powściągliwa, wszystko zatoczyło krąg i powróciło do punktu wyjścia. Pelagia wróciła do G-dur. Stwierdzam, że ja także się śmieję; dzieli nas parę oktaw, śmiejemy się razem w swoich oktawach – mandola i mandolina – a w oddali jakieś działo ryczy do nie istniejących brytyjskich samolotów, rozlega się fałszywy terkot karabinów maszynowych i spójrzcie, oto nasz kocioł. Pelagia słyszy działa i marszczy czoło. Byliśmy szczęśliwi, siedząc na tym balkonie ocienionym bugenwillą odwiedzaną przez pszczoły, ale teraz jest wojna; wojna wróciła i Pelagia ściąga brwi i marszczy czoło. Chcę powiedzieć: „Przepraszam, Pelagio, to nie był mój pomysł, to nie ja zagarnąłem Jonie. Nie chciałem zabierać waszych kóz i palić waszych gajów oliwnych. Nie jestem urodzonym pasożytem”. Nie mogę jednak nic takiego powiedzieć i Pelagia wie o tym. Rozumie, dlaczego nie mogę, lecz mimo to obwinia mnie o brak energii. Słyszała, jak mówiłem o nowym *pax Romana*, ustanowieniu na nowo antycznej władzy, która niegdyś przyniosła wszystkim ład i pokój, najdłuższy znany człowiekowi okres rozwoju cywilizacyjnego, i teraz boczy się na mnie.

Gdy Pelagia marszczy brwi na dźwięk odległych wystrzałów, przypomina to akord septymowy w emoll ze zmniejszoną kwintą; wystarczy uderzyć mocno i dźwięk staje się wojowniczy i zły, akord w sam raz dla partyzantów. Ale gdy delikatnie przeciągnąć po strunach, zabrmi to jak wyraz bezdennego, tęsknego przygnębienia. Pelagia jest smutna. Podnoszę Antonię i gram d-moll. Pelagia podnosi wzrok i mówi: „Tak właśnie się czułam.

Skąd wiedziałeś?" I chciałbym rzec: „Pelagio, kocham cię i dlatego wiem”, ale odpowiadam: „Ponieważ jesteś zadumana i czekasz na coś”. „Na co?” – pyta, a ja mówię: „Sama mi powiedz, Pelagio”, ale wiem, że nigdy mi nie powie, że czeka na nowy świat, w którym Greczynka może kochać Włocha i wcale się tym nie martwić.

„Komponuję dla ciebie marsza, posłuchaj – oznajmiam i gram d-moll, raz dwa, a potem C-dur, raz i dwa i... i wracam do d-moll, raz dwa... – i dodaję: – Kłopot w tym, że potrzebuję drugiego muzyka, by nałożył na to grecką melodię, może *rebetiko*. Może uda mi się znaleźć w batalionie kogoś z mandoliną i wtedy mogę grać akordy oktawę niżej na mandoli. Myślę, że to by bardzo dobrze brzmiało”.

„Ktoś musi mieć gitarę” – sugeruje Pelagia, a ja wyjaśniam: „Akord lub melodia, która brzmi w określony sposób na mandolinie, na gitarze będzie brzmiała zupełnie inaczej. To jeden z niewytłumaczalnych faktów muzycznego życia. Te dwa akordy na gitarze brzmią niewiarygodnie banalnie, bez cienia dramatyzmu, chyba że zagra je Hiszpan”.

Pelagia uśmiecha się, a ja wiem, że nie rozumie ani słowa z tego, co mówię, ale to nie ma znaczenia. Zaczynam myśleć o melodii w tremolandach tańczących nad akordami. Pelagia uwielbia, gdy gram tremolanda. Twierdzi, że to bardzo poruszający i wspaniały dźwięk.

Jednakże fakt, że wzruszył ją najeźdźca i okupant, ktoś, kto żąda dostaw sera i wina, obraża jej uczucia i Pelagia wstaje. Widzę, że serce jej płonie. Kiwa na mnie palcem i zaczyna krzyczeć przez zaciśnięte zęby: „Jak możesz być taki? Co się z tobą dzieje? Jak ty, muzyk, człowiek wykształcony, możesz przychodzić tu ze swoją mandoliną i grać piękne melodie Greczynce, gdy wszędzie dokoła żołnierze grabią i plądrują? I nie wciskaj mi kitu o odbudowie imperium rzymskiego. Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, to Grecy wyedukowali Rzymian i wcale nie dokonali tego drogą podboju. Co się z tobą dzieje? Jak możesz znosić pobyt tutaj? Rozkazy? Czyje rozkazy? Próżnego, wyszczezanego megalomana, który dostał Kefalonię dzięki szaleńczej przemocy innego czarnowłosego megalomana, który chce, żeby wszyscy oprócz niego byli blondynami? Nie wiesz, że to wy jesteście szaleni? Nie rozumiesz, że was wykorzystują? Myślisz, że Hitler pozwoli wam zachować nowe imperium rzymskie, gdy wykończy wszystkich pozostałych? Jak możesz siedzieć na bombie i grać na mandolinie? Może zabierzecie wasze działa i opuścicie wyspę? Nie rozumiecie, kto jest waszym prawdziwym wrogiem?”

Pelagia zbiega po weneckich schodach i wydostaje się na słońce. Zatrzymuje się i ogląda na mnie, z oczu tryskają jej łzy gniewu i goryczy, i wiem, że mnie nienawidzi, bo mnie kocha, płacze dlatego, że jestem człowiekiem, któremu brak odwagi, by chwycić zło za gardło i zdusić je. Jest mi wstyd. Gram obniżony akord, ponieważ sam jestem ponizony.

Zdemaskował mnie mój flirt i próba roztoczenia swego czaru. Jestem człowiekiem bez czci i wiary.

Zaokrąglony, wydatny brzuch mandoliny ślizga się, jak zawsze, po moim brzuchu i, jak zawsze wtedy, myślę: może przydałaby mi się płaska mandolina portugalska, która się nie ślizga? Odpędzam jednak takie idiotyczne myśli; skąd wytrzasnąć portugalską mandolinę w czasie wojny? I znowu myślę: jak bardzo mandolina podobna jest do kobiety, jak bardzo podobna jest do Pelagii, jakże wdzięczna i urocza, i nachodzi mnie następna myśl, paradoks godny samego Zenona z Elei, że wojna nas połączyła i wojna nas rozdziela. Brytyjczycy nazywają to „dawaniem jedną ręką i zabieraniem drugą”. Co mam przeciwko Brytyjczykom, że aż musiałem przyjechać do Grecji? Racja jest po stronie Pelagii, ale kto powie to pierwszy? Jak dotąd, tylko Antonia to powiedziała, rozbrzmiewając „Marszem Pelagii”, śpiewając pod moimi palcami.

XLIII

Ogromna kolczasta zardzewiała piłka

Pelagia nie przepadała za przyrządzaniem ślimaków. Po pierwsze, otrzymała sprzeczne instrukcje w kwestii właściwego sposobu uczynienia ich smacznymi, a nie znosiła uczucia niepewności wywołanej własną dezorientacją. Przerazała ją myśl o podaniu do jedzenia czegoś, co okaże się śluzowate i nieapetyczne. Obawiała się, że jeżeli ugotuje niedobry posiłek, może stracić w oczach kapitana. Serdecznemu i triumfalnemu zapałowi, który czuła po uświadomieniu sobie ich wzajemnej miłości, zagrażało teraz nie tylko skrywane poczucie winy, ale i zatrwazająca myśl, że gdyby niewłaściwie przyrządziła ślimaki, w najlepszym razie wzbudziłaby w nim odrazę, a w najgorszym otrułałaby jego i ojca.

Drosula twierdziła stanowczo, że należy jedynie pozostawić ślimaki na noc w garnku pełnym wody, przykrytym pokrywką dla zapobieżenia ich ucieczce, a rano trzeba je porządnie umyć. Potem podgrzewało się je na żywo w wodzie i czekało, aż na powierzchni pojawi się piana. W tym właśnie momencie trzeba było dosypać trochę soli i zacząć mieszać ślimaki zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara („Jeżeli będzie się je mieszać w przeciwnym kierunku, będą miały okropny smak”). Po kwadransie należało zrobić dziurę w każdej muszli, „aby wypuścić diabła i wpuścić sos”, a potem wypłukać ślimaki do czysta w wodzie, w której się gotowały. Drosula nie wyjaśniła Pelagii, jak należy, wykonując całą tę operację, zanurzać palce we wrzątku. Utrzymywała również, że jadalne są tylko ślimaki żywiące się tymiankiem, i Pelagia, choć nie wierzyła w to ani przez chwilę, zrobiła się jeszcze bardziej niespokojna.

Żona Kokoliosa powiedziała jej przy studni, że przepis Drosuli jest niedorzeczny, ponieważ pamięta, że jej babka robiła to inaczej.

– Nie chcesz chyba słuchać tej Drosuli? Przecież to prawie Turczynka. Nie, trzeba chwycić każdego ślimaka, a jeżeli się poruszy, to znaczy, że żyje.

– Ale jak mam go chwycić, skoro jest w skorupie? – zapytała Pelagia.

– Poczekaj, aż wyjdzie – odparła Kokoliosowa.

– Ale jeżeli wyjdzie, to najwyraźniej żyje, więc nie muszę go chwytać.

– I tak musisz to zrobić. Lepiej mieć pewność. Następnie bierzesz spiczasty nóż i

oczyszczasz otwór muszli, a potem płuczysz każdego ślimaka w czystej wodzie dwadzieścia jeden razy. Nie więcej, bo to zabija smak, i nie mniej, bo wtedy nadal będzie brudny. Później odstawiasz ślimaki na pół godziny, żeby ociekły, wysypujesz sól do otworu muszli i cały ten ohydny żółty, musujący śluz zaczyna wypływać. Stąd właśnie wiesz, że są już gotowe. Potem smażyysz je pojedynczo w oleju, otworem muszli do dołu, dodajesz wina i gotujesz je dokładnie przez dwie minuty. A potem jesz.

– Ale Drosula twierdzi, że powinno się...

– Nie słuchaj tej starej wiedźmy. Zapytaj każdego, kto się na tym zna – powie ci to samo co ja, a jeżeli powie coś innego, to znaczy, że nie wie, o czym mówi.

Pelagia zapytała żonę Arseniosa, a ona żonę Stamatisa. Dziewczyna zajrzała nawet do encyklopedii medycznej, ale nie znalazła hasła „ślimaki”. Miała ochotę wyrzucić je na klepisko podwórka i zdeptać. Prawdę powiedziawszy, czuła tak wielkie zniechęcenie, że chciało się Pelagii płakać i krzyczeć. Powiedziano jej o pięciu różnych sposobach przygotowania samych mięczaków i podano cztery różne przepisy: na ślimaki gotowane, ślimaki smażyzone, ślimaki duszone po kreteńsku i *pilafi* ze ślimakami. Nie było ryżu, więc pilaw nie wchodził w grę. Na wspomnienie ryżu ślinka napłynęła jej do ust i dziewczyna znowu zapragnęła, by wojna dobiegła końca.

Skąd jednak wiadomo, ile ślimaków przyrządzić? Drosula mówiła, że kilogram na cztery osoby. Ale kilogram z muszlami czy bez? No i jak, u licha, miała je wydostać z muszli? I jak je ważyć, nie brudząc wagi śluzem? Śluzem, którego nie zmywała nawet gorąca woda z mydłem i który przywierał do wszystkiego, czym się go dotknęło, jakby miał nadprzyrodzoną zdolność zwiększania swej objętości w nieskończoność.

Pelagia patrzyła na swój lśniący ładunek śluzowatych stworzeń i szturchała je palcem, gdy próbowały wypełznąć z rondla. Zaczęła im strasznie współczuć. Ślimaki, ze swoimi wyprężonymi rogami i bezradnym, powolnym wiciem się, gdy trzymała je do góry nogami, były nie tylko groteskowe, ale i bardzo żałosne w smutnej i naiwnej wierze w to, że pancierz zapewnia im bezpieczeństwo. Przypomniła sobie swoje dzieciństwo, gdy szczerze wierzyła, że jeśli zamknie oczy, to ojciec nie będzie widział, że robi coś nieprzyzwoitego. Poszturchując ślimaki, posmutniała na myśl o okrucieństwie świata, w którym żywi potrafią utrzymywać się przy życiu, jedynie żerując na stworzeniach słabszych niż oni sami; wydawało się to dość marnym sposobem na zaprowadzenie ładu we wszechświecie.

Z tych praktycznych i moralnych dylematów wyrwał ją okrzyk podniecenia:

– *Barba Crelli, barba Crelli!*

Uśmiechnęła się, rozpoznawszy głos podnieconej i wniebowziętej Lemoni.

Dziewczynka zaczęła nazywać kapitana „staruszkciem” i przychodziła co wieczór, żeby zdawać w zziąjanej dziecinnej grece relację ze wszystkich wydarzeń dnia. *Barba* Corelli cierpliwie słuchał, nie rozumiejąc ani słowa, po czym gładził ją po głowie, nazywał *koricimu* i zaczynał podrzucać w powietrze. Pelagia nie mogła zrozumieć, jaką każde z nich znajduje w tym przyjemność, ale pewnych rzeczy nie sposób wyjaśnić, a przenikliwe, radosne piski Lemony stanowiły ostateczne potwierdzenie nieprawdopodobnego. Pelagia, zadowolona z chwili przerwy w pracy, wyszła na podwórko.

– Widziałam ogromną kolczastą zardzewiałą piłkę – poinformowała kapitana Lemony.

– Wdrapałam się na nią.

– Mówi, że widziała ogromną kolczastą zardzewiałą piłkę i wdrapała się na nią – przetłumaczyła Pelagia.

Carlo i Corelli wymienili spojrzenia i pobledli.

– Znalazła minę – orzekł Carlo.

– Zapytaj, czy to było na plaży – powiedział Corelli, zwracając się do Pelagii.

– Czy to było na plaży?

– Tak, tak, tak – odparła z radością Lemony i dodała: – Wdrapałam się na nią.

Corelli znał grecki na tyle, by zrozumieć słowo „tak” i nagle wstał, po czym również nagle usiadł.

– *Puttana!*³⁶ – wykrzyknął, biorąc małą w ramiona i tuląc mocno. – Mogła zginąć.

Carlo wyraził to bardziej realistycznie:

– Powinna była zginąć. To cud. – Przewrócił oczyma i dodał: – *Porco Dio*.

– *Puttana, puttana, puttana* – zaśpiewała ni w pięć, ni w dziewięć Lemony głosem stłumionym przez pierś kapitana. Pelagia skrzywiła się i powiedziała:

– Antonio, ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie używał brzydkich słów w obecności tego dziecka? Jak myślisz, co powie jej ojciec, gdy Lemony wróci do domu i odezwie się w ten sposób?

Corelli popatrzył na nią z zawstydzeniem, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Prawdopodobnie zapyta: „Co za *figlio di puttana*³⁷ nauczył moją dziewczynkę mówić *puttana*?”

³⁶ Kurwa mać!

W wiosce nie było nikogo, kto potrafił się oprzeć pokusie dołączenia do długiej procesji ciekawskich, która ciągnęła urwiskami na piaszczystą plażę. Gdy ujrzeli minę, pokazywali palcami i wołali:

– Tam, tam jest mina! – I rzeczywiście, była tam, umiejscowiona w zwodniczo niewinny, naturalny wręcz sposób na samym skraju pawiego morza kula wysokości człowieka, no, może trochę szersza niż wyższa, nabita tępymi kolcami, upodabniającymi ją do nienaturalnie wielkiego kasztana lub ogromnego jeża morskiego, którego kolce wyszły przed chwilą spod maszynki wojskowego fryzjera.

Zebrawi się w sporej odległości od miny, a kapitan wraz z Carlem podeszli bliżej, żeby się jej dokładnie przyjrzeć.

– Jak myślisz, ile zawiera materiału wybuchowego? – zapytał Carlo.

– Bóg jeden wie – odparł kapitan. – Dosyć, by wysadzić okręt wojenny. Będziemy musieli otoczyć ją kordonem i wysadzić. Nie mam pojęcia, jak zrobić to bezpiecznie.

– Wspaniale! – wykrzyknął Carlo, który mimo wciąż żywych wspomnień o albańskich okropieństwach, z całego serca kochał eksplozje i nigdy nie stracił chłopięcego upodobania do nieszkodliwej destrukcji.

– Wracaj do bazy i zdobądź trochę dynamitu, przewód i jeden z tych detonatorów elektrycznych. Ja zostanę tutaj i zrobię porządek z mieszkańcami.

– To turecka mina – powiedział Carlo, wskazując na wijące się litery, ledwie widoczne wśród wielkich łusek i wżerów rdzy.

– Musiała pływać przez dwadzieścia lat lub dłużej, od pierwszej wojny światowej.

– *Merda*, to niewiarygodne – zdumiał się Corelli. – Prawdziwy potwór. Przypuszczam, że cały ładunek już zgnił.

– Więc nici z wielkiego wybuchu? – ponuro zapytał Carlo.

– Będzie, jeśli zdobędziesz wystarczająco dużo dynamitu, *testa d'asino*.

– Zrozumiałem aluzję – rzekł Carlo i ruszył plażą w kierunku wioski.

Corelli odwrócił się do Pelagii, która nadal wpatrywała się z niedowierzaniem w ogromną starą minę.

– Powiedz Lemoni, że jeśli kiedykolwiek znajdzie gdzieś coś, co jest wykonane z metalu, i nie będzie wiedziała, co to takiego, nie wolno jej tego dotykać i musi od razu

przybiec i zawiadomić mnie o tym. I niech powie to samo wszystkim pozostałym dzieciom.

Corelli poprosił Pelagię, by pełniła rolę jego tłumaczki, i ruchem ręki pokazał mieszkańcom wsi, żeby się zebrali wokół niego.

– Przede wszystkim – powiedział – będziemy musieli wysadzić to urządzenie. To może być naprawdę wielka eksplozja, więc chcę, byście wrócili na szczyt urwiska i obserwowali wybuch stamtąd, gdy nadejdzie pora, bo inaczej może nastąpić wielka masakra. Ponieważ dopiero czekamy na dynamit, potrzebuję teraz paru silnych mężczyzn z łopatami do wykopania w odległości około pięćdziesięciu metrów od tego draństwa, o tam, okopu, z którego będę mógł bezpiecznie zdetonować minę. Okop musi być mniej więcej wielkości grobu. Są ochotnicy?

– Spojrzał po twarzach; oczy w nich tkwiące odwracały się od niego. Przyjście z pomocą Włochowi nie było dobrym uczynkiem i, choć wszyscy chcieli zobaczyć wielki wybuch, każdy wstydził się zgłosić pierwszy. Corelli zaczerwienił się na widok tych wojowniczych twarzy.

– Dostaniecie kurczaka do podziąłu – oznajmił.

Kokolios uniósł dwa palce i rzekł:

– Dwa kurczaki.

Corelli kiwnął głową na znak zgody, a Kokolios dodał:

– Zrobię to ze Stamatisem i żądamy po dwa kurczaki dla każdego z nas.

Pelagia przetłumaczyła jego słowa. Kapitan skrzywił się, z irytacją przewrócił oczyma i mruknął pod nosem:

– *Rompiscatore*. 38

I tak Kokolios i Stamatias, rojalista i komunista, lecz mimo to dwaj starzy przyjaciele, zjednoczeni w głodzie i roztropnej przedsiębiorczości, poszli do swych domów i wrócili z łopatami. W miejscu wskazanym przez kapitana zaczęli kopać prostokątny dół, zwalając piach od strony miny, by utworzyć wał ochronny. Gdy dół osiągnął głębokość zaledwie czterech stóp, zaczął się napęlić wodą. Kapitan spoglądał na brunatnożółtą breję z dezaprobatą i pewnym przestraszaniem.

– Napęlić się wodą – niepotrzebnie powiedział do Pelagii, która stała wraz z resztą

³⁸ Natręt.

zebranych i przyglądała się pracy dwóch starców. Dziewczyna popatrzyła na niego i roześmiała się.

Corelli zmarszczył brwi i zaczął mieć wątpliwości co do całego przedsięwzięcia, ale to sprawiło jedynie, że był jeszcze bardziej zdecydowany go zrealizować.

Carlo powrócił nie tylko z dynamitem i resztą saperskiego wyposażenia, ale i całą ciężarówką żołnierzy; wszyscy byli uzbrojeni po zęby i zdumiewająco spragnieni ujrzenia na własne oczy szykującego się widowiska. Corelli wpadł w złość.

– Czemu nie zawiadomiłeś Hitlera i nie zaprosiłeś całej armii niemieckiej?

Carlo nie okazał skruchy; poczuł się wręcz dotknięty.

– Zmusili mnie do przywiezienia wszystkich tych ludzi, ponieważ transportowanie ładunków wybuchowych bez eskorty jest sprzeczne z regulaminem. To z powodu partyzantów, więc niech mnie pan nie wini.

– Partyzantów? Jakich partyzantów? Masz na myśli tych bandytów, którzy grabią wsie, gdy ich nie pilnujemy? Nie rozśmieszaj mnie.

– Ten dół jest w złym miejscu – przerwał im drobny mężczyzna w mundurze saperskim.

– Ten dół jest tam, gdzie go kazałem wykopać! – krzyknął kapitan, coraz bardziej zdenerwowany perspektywą utraty kontroli nad swym rekreacyjnym ekscesem.

– Jest za blisko – obstawał przy swoim saper. – Fala uderzeniowa przejdzie nad wykopem i wyssie panu oczy i mózg, a potem będziemy musieli pana odkopać, chyba że pragnie pan spoczywać tutaj w pokoju.

– Pozwólcie, żołnierzu, że wam zwrócę uwagę: ja jestem kapitanem, a wy tylko kapralem. To ja tu dowodzę.

Żołnierz nie zniechęcił się.

– Pozwoli pan, że zwrócę panu uwagę, że ja jestem saperem, a pan tylko szalonym sukinsynem.

Corelli otworzył szeroko oczy ze zdumienia, a potem jeszcze szerzej z wściekłości.

– To niesubordynacja! – wrzasnął. – Postawię was w stan oskarżenia.

Saper wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Może pan robić, na co pan ma ochotę, ponieważ umarłak nie może oskarżać. Jeśli chce pan zginać, w porządku, chętnie się temu przyjrzę.

– *Carogna*³⁹ – wybełkotał Corelli.

³⁹ Podlec

– Szalony sukinsyn – powtórzył żołnierz i odszedł. Nie akceptując kapitańskich poczynań, wspiał się na szczyt urwiska, zapalił papierosa, zmrużył oczy przed blaskiem zachodzącego słońca i obserwował toczące się niżej przygotowania. Widok był przepiękny. Morze przeistoczyło się w masę cieni o barwie akwamaryny i lazuru, pod falami widać było ciemne wzniesienia skał i kołyszące się warkocze wodorostów. Saper liczył na to, że zobaczy, co się stanie z tym kretyńcem z oficerskimi szlifami.

Corelli umieścił dynamit pod miną i rozwinął przewód, który był akurat na tyle długi, by sięgnąć rozmokłego okopu. Potem, z obawy, że to, co mówił saper, może być prawdą, lecz mimo to zdecydowany dopiąć swego, wraz z grupą przejętych akcją żołnierzy usypał wokół miny gruby wał z piasku, tak aby skierować większość podmuchu w górę. W końcu pierścień wykopu zawierający pośrodku słup piasku, zwieńczony nędzną szczecina zarzewiałych i ściętych na górze kolców, wyglądał jak nadgryziony pączek. Drosula nie była jedyną kobietą, która pomyślała, że przypomina nadnaturalnej wielkości członek w spoczynku.

– *Avanti!* – wykrzyknął w końcu kapitan.

Żołnierze i gapie ruszyli wężykiem po zboczu urwiska, pocąc się i dysząc, mimo że skwar wieczornego słońca znacznie już zelżał. Z góry Corelli wydawał się niewiele większy od myszy. Żołnierze usiedli i zaczęli się sprzeczać o to, czy po wybuchu plaża będzie się nadawała do gry w piłkę nożną. Kapral z oddziału inżynierskiego rozwodził się gwałtownie i zjadliwie nad szaleństwem oficera i proponował zakłady o jego życie. Pelagia zaczęła odczuwać głęboki niepokój i zauważyła, że Carlo poci się ze strachu. Widziała, jak zegną się raz po raz i modli pod nosem. W pewnej chwili napotkał wzrok Pelagii i posłał jej błagalne spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Jesteś jedyną osobą, która może go powstrzymać”.

Znalazłszy się w okopie, Corelli zerknął ponad obrzeże swojego bunkra. Uderzyła go niewiarygodna bliskość miny. Im dłużej na nią patrzył, tym bliższa i większa się robiła, aż w końcu wydawała się mieć dwadzieścia metrów wysokości i spoczywać na jego kolanach

niczym groteskowa, ogromna i natrętna dziwka w burdelu, który ktoś w swej naiwności pomylił z barem. Postanowił nie patrzeć na minę. Poczłł niepokojącą rewolucję w jelitach i uświadomił sobie, że jest przemoczony do kolan, a jego buty napełniły się zapiaszczoną, przykro zimną wodą. Położył obie dłonie na ręczce zapalnika i nacisnął ją parę razy, żeby przywyknąć do myśli o spowodowaniu wybuchu. Potem podłączył zaciski.

Zaniepokojony wyraźną możliwością utraty oczu i mózgu, przeciwiczył w wyobraźni błyskawiczny manewr naciśnięcia nurnika i natychmiastowego przeniesienia rąk na skronie z jednoczesnym zaciśnięciem powiek. Uniósł wzrok ku niebu, przeżegnał się, uspokoił i szybko nacisnął zapalnik.

Usłyszał ostry trzask, po nim zapadła niemal nieskończenie krótka cisza, a następnie rozległ się basowy huk. Ludzie na urwisku ujrzeni, jak wielki słup gruzu unosi się na ich oczach z majestatyczną pewnością i gracją w niebo. Z lękiem malującym się na twarzach rozpoznali obracające się powoli ciemne płytki stali, promienne krople wody, chwilami mieniające się barwami tęczy, błotniste i rozdęte grudy mokrego piachu, pyłowe nawałnice suchego piasku oraz falujące wykwyty czarnego dymu i pomarańczowego ognia.

– *Era!* – wykrzyknęli rozradowani Grecy.

– *Figlio di puttana di stromo d'un cane d'un culo d'un porco d'un pezzo di merda!* – ryknęli żołnierze.

Dość nieoczekiwanie fala uderzeniowa zwała się na jednych i drugich i przewróciła ich na plecy niczym bezsilnych śmiertelników, których w zamierzonych czasach powalała ręka gromowładnego Zeusa.

– *Putanas je!* – mamrotali oszołomieni Grecy.

– *Porco cane!* – wtórowali im żołnierze. Poczłłi dźwigać się z ziemi; unieśli wzrok i zobaczyli, że ustał pozornie niewyczerpany gejzer odłamków. W rzeczywistości nie tylko nie ustał, lecz nieubłaganie rozbryzgiwał się na boki, zataczając wielki, wszechogarniający łuk. Ludzie na urwisku, przerażeni i zahipnotyzowani, przyglądali się i zadzierali głowy, gdy niebezpieczna, lecz piękna ciemna chmura rozciągnęła się nad nimi. Pelagia, podobnie jak Carlo i wielu innych, poczuła lodowaty i paralizujący spokój, okropne, bezradne przerażenie, a potem, tak jak oni, rzuciła się na ciernistą darń urwiska i zakryła głowę rękami.

Potęzne, złośliwe smagnięcie mokrego piasku spadło boleśnie na jej plecy, pozbawiając ją tchu w piersiach, a w ziemię obok jej głowy wbił się rozgrzany do białości kawałek metalu, z głośnym sykiem wypalając sobie drogę do znajdującej się niżej skały.

Jeden z odłamków z suchym trzaskiem trafił w podeszwę jej buta, dokładnie odcinając ją od obcasa. Płonące pyłki rdzy osiadły na ubraniu dziewczyny, wypalając maleńkie jak ziarna pieprzu dziurki i zadając tortury ciału. Pelagia skręcała się z bólu ostrego jak użądlenia szerszeni i os, pełne piekącego jadu. W myślach miała próżnię rezygnacji, która w bezpośredniej bliskości śmierci ogarnia ludzi wyzbytych nadziei.

Gdy minęła już cała wieczność, przedstawienie zakończyło się kojącym deszczem suchego piasku, który z łagodnym szmerem bezwładnie opadł wokół nich, tworząc symetryczne stożki na ich głowach, przyklejając się niczym lukier do nieregularnych bryzgów i pręg mokrego piachu, wkradając z wprawą spiskowca za kołnierze ubrań i w przyszwę butów. Piasek był ciepły i metafizycznie nieomal przyjemny w dotyku. Ludzie, drżący i słabi jak szczenięta, zaczęli chwiejnie stawać na nogi. Niektórzy upadali, gdy tylko się wyprostowali, a inni dlatego, że ktoś w pobliżu wyciągnął rękę, by się podeprzeć. Trwał kołowrót wstawania i przewracania się, festiwal chodzenia po omacku i błędzenia, karnawał zagadkowo osłabionych stawów kolanowych i niepokojąco białych twarzy pokrytych strużkami zakrzepłego już lub ściekającego jeszcze piasku. Odbywało się pełne godności i namaszczenia przyczesywanie dziwacznie zmienionych fryzur i wygładzanie postrzępionych ubrań, nieziemski, styksowy taniec ślaniających się ciał i płas niewinnych, wytrzeszczonych oczu, osadzonych jak na ironię w twarzach minstreli ucharakteryzowanych na Murzynów.

Uspokajająca piaskowa mżawka była bezlitosna; upudrowała ludzi, osiadła im na rzęsach i brwiach w postaci maleńkich żółtych okruchów, przywarła z nieustępliwą, elektrostatyczną siłą do włosów w nozdrzach, wkradła się w okropny sposób do ust, przedostała nieprzyzwoicie do bielizny, przerażając kobiety, przykleiła się z wdzięcznością do spoconych pach i przypadkowo odmłodziła starców, wypełniając bruzdy ich zmarszczek.

Ludzie w milczeniu Ignęli do siebie, oszołomieni i zaskoczeni, obserwując, jak efektowna czarna chmura ohydneho dymu rozrasta się i rozprzestrzenia, skrywając słońce i niebo i usuwając światło. Ścierali rękawami piasek z twarzy, ale udawało im się jedynie rozmazać brudne smugi. Jedna lub dwie osoby zaczęły oglądać swe skaleczenia i obserwować z zafascynowaniem, jak purpurowa krew zbiera się pod warstwą piaskowego pyłu, ciemnieje i krzepnie.

Ludzie nie byli w stanie się rozpoznać. Włosi i Grecy patrzyli sobie w twarze, zdenacjonalizowane przez kaszel, brud i wzajemne zdumienie. Nagle rozległ się zdławiony okrzyk.

Ludzie, jakby zelektryzowani, zebrali się wokół zwłok zarozumiałego sapers; jego równo odcięta głowa uśmiechała się anielsko spod warstwy białego piaskowego pudru. Ciało

leżało nieopodal, piersią do ziemi, zdekapitowane dymiącym krążkiem z zardzewiałej i poszczerbionej stali, który tkwił pogrążony do połowy w darni.

– Zginał szczęśliwy – powiedział ktoś. Pelagia rozpoznała głos Carla. – Nie można sobie życzyć niczego więcej. Nie będzie już jednak przyjmował zakładów.

– *Puttana* – rozległ się niepewny i trzy razy cichszy głosik, który zapewne należał do Lemoni. Komuś zaczęło się zbierać na wymioty i pięć lub sześć osób natychmiast poczuło podobną skłonność, dodając odgłosy bolesnego dławienia się do ogólnej plagi kaszlu.

Zdjęta nagłym przerażeniem Pelagia pobiegła na brzeg urwiska i z panicznym strachem w sercu spojrzała przez opadający piasek. Co się stało z kapitanem?

Zobaczyła krater szeroki na trzydzieści metrów, który wypełniło już ciekawskie morze. Na przestrzeni setek metrów rozrzucone zostały splątane wstęgi metalu i potworzyły się księżycowe kraterki i wzgórki, ale nie było śladu kapitana i jego okopu.

– Carlo! – jęknęła, zaciskając ręce na piersi.

Nieprzytomna z żalu opadła na kolana i zaczęła płakać.

Carlo zbiegł ścieżką na plażę, równie oszalały z przerażenia jak Pelagia, ale bardziej nawykły do konieczności przewycięzania go. Jego umysł wypełniło wspomnienie Francesca z roztrzaskaną głową umierającego w jego ramionach w Albanii i tylko bieg mógł powstrzymać huragan żałobnych uczuć, które lada moment miały rozsadzić mu pierś.

Dotarł do punktu, w którym przypuszczalnie znajdował się okop i zatrzymał się. Nic. Wszystko zostało zatarte i zmieniło się nie do poznania. Uniósł ręce, jak gdyby czynił wyrzuty Bogu, i już miał rwać włosy z głowy, gdy kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie.

Corellego nie sposób było dostrzec wśród mokrego piasku, ponieważ był nim zupełnie zasypany. Wybuch spowodował u niego wstrząs mózgu, a wstępujący prąd powietrza porwał go w górę, potem zaś cisnął w dół. Kapitan leżał teraz na plecach, pod warstwą piasku, idealnie wkomponowany w plażę. Gdy nieudolnie i bezskutecznie usiłował usiąść, bardzo przypominał jakiegoś filmowego potwora. Carlo roześmiał się głośno, ale w tej samej chwili jego wesołość stłumiła obawa, że człowiek, którego tak bardzo kocha, mógł doznać jakichś strasznych obrażeń. Nie przyszło mu do głowy nic innego niż wzięcie go na ręce i zanieśenie do morza, to zaś znowu przywróciło wspomnienie o tym, jak niósł Francesca z miejsca, gdzie jego ukochany upadł. Znowu też słyszał rycerskie wiwaty Greków.

Obmył swego kapitana w falach i stwierdził, że jest on całkowicie zdezorientowany, ale najwyraźniej nie odniósł żadnych zewnętrznych obrażeń.

– Fajnie wyszło? – zapytał Corelli. – Nie zdążyłem zobaczyć.

– To była naprawdę diabelna eksplozja. O niebo lepsza niż wszystkie, jakie dotąd widziałem.

Corelli widział, jak Carlo porusza ustami, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. Prawdę powiedziawszy, słyszał jedynie przeciągłe bicie ogromnego dzwonu.

– Mów głośniej – poprosił.

Wiele można by powiedzieć o następstwach tego epizodu. Corelli był głuchy przez dwa dni i straszliwie się bał, że na zawsze utracił możliwość obcowania z muzyką. Przez resztę życia cierpiał na okresowe szумы w uszach, będące trwałą pamiątką z Grecji. Generał Gandin postawił go przed sądem polowym z powodu śmierci sapera i za to, że doprowadził do natychmiastowej mobilizacji wszystkich wojsk Osi na wyspie, gdyż z odgłosów przerażającego wybuchu i widoku majestatycznego grzyba wywnioskowano, że alianci dokonali niespodziewanej inwazji. Corelli był bliski degradacji, generał Gandin uznał jednak, że skoro to Niemcy płacą żołd żołnierzom włoskiego garnizonu, Włochy zostałyby poszkodowane materialnie. W każdym razie fakt, że Niemcy nie zezwalali Włochom na przyznawanie jakichkolwiek awansów ze względu na koszty ponoszone przez ich kancelarię, był już powodem tarć i generał nie miał zamiaru stwarzać szkopom okazji do minimalnej choćby oszczędności. Oskarżył Corellego o samowolne działanie bez zgody przełożonych, o nieprzekazanie kierowania akcją kompetentnemu zwierzchnikowi, o lekkomyślne narażanie się na niebezpieczeństwo i o postępowanie nie licujące z godnością oficera. Kapitan został ukarany surową naganą, która miała pozostać w jego aktach przez dalsze lata kariery wojskowej. Corelli sprezentował atrakcyjnej sekretarce generała czerwoną różę i pudełko szwajcarskich czekoladek z przemytu i dzięki temu efektownemu gestowi nagana zniknęła z akt, tłąc się w nich złowieszczą przez zaledwie trzy dni.

Kapitan cieszył się luksusem niespotykanej pobłażliwości i troskliwych zabiegów Pelagii, która wyrażała swą ulgę lawiną pocałunków, czułych słów i obietnic. Wszystko to całkowicie przyćmiło wspomnienie piaszczystego deszczu. Günter Weber przywiózł swój gramofon na korbkę i siedział przy łóżku Corellego, ucząc go słów „Mein blondes Baby” oraz „Leben ohne Liebe”, a Carlo przychodził raz po raz, donosząc o stałej i zasmucającej erozji nadmorskiego krateru. Któregoś dnia wpadła Lemoni, będąca teraz niezrównaną specjalistką od znajdowania kawałków zardzewiałego metalu, i zmusiła go, by wstał z łóżka i zidentyfikował stary lemiesz, głowicę pocisku przeciwlotniczego i zgniecioną puszkę. Jej rozczarowanie na wieść o tym, że żadnej z tych rzeczy nie można wysadzić w powietrze, przewyższało nieskończenie zdolność pojmwania dorosłych.

Wieczorem jednak w dniu tego wspaniałego wydarzenia rozwścieczony doktor wyłonił się z kuchni, mając zamiar odnaleźć Pelagię i ją zwymyślać, ale na podwórku zjawiała się nie tylko jego córka, lecz cały tłum niesamowicie brudnych, osłabionych i obszarpanych ludzi. Mężczyzna, którego nie sposób było rozpoznać, a który później okazał się Carlem, niósł na rękach mającące ciało kogoś, kto później okazał się kapitanem. Wyjaśniło się również, że młoda kobieta, wyglądająca niczym ostatnia zdzira z najuboższej dzielnicy Kairu, to Pelagia, a maleńkie stworzenie, które mogło być chłopcem lub dziewczynką wykopaną z prehistorycznego grobu, to Lemoni. Janis był zajęty przez całą noc, czyszcząc rany i skaleczenia, i uzyskał pokaźną zapłatę w oberżynach, na które właśnie zaczynał się sezon.

Jednakże w tamtym momencie, stojąc twarzą w twarz z żalnym tłumem oszołomionych i wynędzniałych żołnierzy i Greków, potrafił jedynie myśleć o odrażającym i zdumiewającym spektaklu, jaki właśnie obejrzał w kuchni.

– Kto – zagrzmiął retorycznie – miał czelność wypełnić mój dom ślimakami?

Nie kłamał. Ślimaki były wszędzie. Na oknach, pod blatami stołów, na ścianach i w misce Psipsiny, w dzbanku na wodę, przyklejone nieroztropnie do mat, z determinacją sunące ku koszykowi z warzywami i lgnące z donkiszotowskim upodobaniem do trzonka fajki doktora i szkieł jego okularów, które lekkomyślnie zostawił na parapecie.

Pelagia przyłożyła rękę do ust z przerażeniem winowajczynie, a Lemoni, dostrzegłszy srebrzyste, połyskliwe, wijące się zakolami i krzyżujące się ślady oraz rozkosznie przypadkowe rozmieszczenie samych ślimaków, z radości klasnęła w dłonie.

– *Porca puttana!* – wykrzyknęła, a mężczyzna, który zapewne był jej ojcem, uderzył ją mocno po głowie.

XLIV

Kradzież

W środku nocy Kokoliosa obudziły rozpaczliwe ptasie piski. Najpierw pomyślał, że to kuna należąca do doktora dostała się do jego kurnika; stale powtarzał, że trzymanie w domu tak notorycznego złodzieja drobiu jest szkodliwe społecznie. Już dwa razy przyłapał kunę na wynoszeniu jajek z jego kurnika. Zaklął i wyskoczył z łóżka; miał zamiar zdrowo zdzielić tego małego rabusia pałką po głowie. Wtedy byłoby po sprawie bez względu na to, czyby się to podobało doktorowi Janisowi, czy nie.

Wciągnął buty i sięgnął po pałkę, którą od wybuchu wojny trzymał na gzymsie kominka. Był to ciężki i sękaty kawał gałęzi ciernistego krzewu. Kokolios wywiercił otwór w jego cieńszym końcu, żeby założyć tam pętlę z rzemienia. Teraz wsunął w rzemień przegub ręki i otworzył drzwi domu, szorując ich brzegiem po kamiennych płytach. Od dziesięciu lat miał zamiar poprawić ich osadzenie. Na szczęście zgrzyt utonął w oszalałym kwoktaniu i piskach kur. Kokolios wyszedł w noc.

Było bardzo ciemno, ponieważ pomiędzy ziemią a księżycem zawisła gęsta chmura; hałas był okropny, gdyż świerszcze zaraziły się podnieceniem kurczaków i właśnie rzępoliły podwójne forte. Kokolios zmrużył oczy i patrzył w ciemność. Wyraźnie słyszał rzucane pod nosem przekleństwa. Zdumiony, wytężył wzrok. Ujrzał dwóch drobnych włoskich żołnierzy, biegnących po kurniku i rozpaczliwie próbujących schwytać kurę.

Opanowany wściekłością, działał bez zastanowienia. Mimo iż Włosi mieli karabiny na plecach, Kokolios wydał z siebie przerażający okrzyk wojenny i rzucił się do walki.

Obaj żołnierze przetrzymali kampanię albańską i wykazali się w niej odwagą, ale w ciemności nie mieli szans z jakimś dzikim, nagim czarcim stworem, który okładał ich po plecach i głowach, kopał po nogach i wydawał z siebie piekielne wrzaski.

– *Puttana!* – wołali i osłaniali głowy rękami, po to tylko, by stwierdzić, że następne miażdżące ciosy gruchoczą im kłykcie i łokcie. Padli na kolana, jęcząc żałośnie, wyciągnęli ręce i błagali, by przestał.

Kokolios nie znał ani słowa po włosku, ale potrafił ocenić, kiedy przeciwnik ma dość. Odrzuciwszy pałkę, chwycił złodziei za kołnierz i postawił na nogi. Kopiając ich w tyłki przy

każdym kroku, popędził obu w kierunku domu doktora; od czasu do czasu tłukł ich o siebie głowami niczym oszalały dyrektor szkoły.

Przed domem Janisa, nie przestając potrząsać Włochami i kopać, zaczął wołać:

– *Jatre! Jatre!*

Wkrótce w drzwiach pojawił się doktor Janis, odziany w szlafrok; wyszli także kapitan i Pelagia. Przy świetle na nowo odsłoniętego księżyca ujrzeli Kokoliosa – zupełnie nagiego od ciężkich butów w górę i trzęsącego się z wściekłości. U każdej jego ręki wisiał jeden włoski żołnierz. Najciekawsze, że obaj nadal mieli na plecach swoje karabiny.

– Natychmiast wejdź do środka – polecił Janis córce z obawy, że ten rozwścieczony i nie ubrany mężczyzna o pałakowatych nogach i z klatką piersiową jak beczka narazi na szwank jej dziewczęcą skromność. Pelagia posłusznie wycofała się do kuchni, aby delektować się tym spektaklem z ocienionego okna.

Kokolios wskazał na Corellego, ale krzyczał na doktora:

– Powiedz temu makaroniarskiemu sukinsynowi, że ci ludzie to kurokrady, to zwykłe kurokrady. Rozumiesz?

Doktor Janis przekazał tę informację Corellemu, który stał przez chwilę, jakby się zastanawiał, jaką podjąć decyzję. Zniknął z powrotem wewnątrz domu i doktor powiedział do Kokoliosa:

– Chyba byłoby lepiej, gdybyś się trochę uspokoił. – Janis wykorzystał nieobecność oficera, by dokuczyć sąsiadowi. – Myślałem, że jesteś komunistą – zauważył.

– Oczywiście, że jestem komunistą – odparował zwięźle Kokolios.

– Wybacz, ale jeśli mnie pamięć nie myli, wszelka własność jest złodziejstwem. Skoro więc posiadasz kury, też jesteś złodziejem.

Kokolios splunął na pokrytą pyłem ziemię i rzekł:

– Złodziejstwem jest własność bogaczy, a nie biedoty.

Tę filozoficzną debatę przerwało pojawienie się kapitana z pistoletem w ręku. Przez jedną straszną chwilę zarówno Pelagia, jak i jej ojciec myśleli, że Corelli ma zamiar zastrzelić Kokoliosa. Pelagia zastanawiała się rozpaczliwie, czy powinna poszukać swojego derringera, ale nie była w stanie zrobić żadnego ruchu. Kokolios patrzył na kapitana z wyrazem przerażenia połączonego z pogardą i słusznym gniewem. Dumnie wypiął pierś, jakby pragnął umrzeć za prawo greckich kurcząt do życia w spokoju nawet na terytorium okupowanym.

Ku zaskoczeniu wszystkich, kapitan wycelował pistolet prosto w twarz jednego z winowajców i kazał mu położyć się na ziemi. Złodziej uśmiechnął się przymilnie, a Corelli odciągnął kurek. Mężczyzna w komicznym pośpiechu opadł na ziemię i zaczął się jęklonie

usprawiedliwiać; Corelli zignorował jego wymówki. Ruchem ręki nakazał drugiemu żołnierzowi pójść w ślady kompana.

Potem wziął Kokoliosa za rękę i przesunął go o mniej więcej metr. Trącił stopą obydwu leżących mężczyzn i rozkazał:

– A teraz czołgać się.

Żołnierze popatrzyli na siebie podejrzliwie.

– Powiedziałem „czołgać się”! – wykrzyknął kapitan. Jego tłumiony dotąd gniew przerodził się w pełną odrazy furję. Jeden z mężczyzn wsparł się na rękach i kolanach. Corelli oparł mu stopę na krzyżach i brutalnie przyduśił go do ziemi. – Na brzuchach, sukinsyny.

Ruszyli naprzód, wijąc się jak węże, aż w końcu dopełzli do linii butów Kokoliosa.

– Wylizcie je – rozkazał kapitan.

Protesty nie zdały się na nic. Corelli zdzielił jednego z nich w skroń, a doktor zamknął oczy, krzywiąc się na myśl o uszkodzeniach ciała, które mogły z tego wyniknąć. Pelagia w szoku przytknęła rękę do ust; serce dziewczyny wyrwało się ku płaszczącym się złodziejaszkom. Nigdy nie przypuszczała, że jej kapitan potrafi być tak okrutny, tak bezlitosny. Chyba jednak muzyk rzeczywiście może być żołdakiem.

Obaj żołnierze lizali buty Kokoliosa. Grek spoglądał na nich w niemym zdumieniu, a o tym, że jest bez ubrania, przypomniał sobie dopiero wtedy, gdy natrafił wzrokiem na mięsiste wypukłości intymnych części swego ciała. Rozdziawił usta, pośpiesznie umieścił obie dłonie nad swym najcenniejszym dobytkiem i uciekł w popłochu do domu.

Pelagia nie mogła powstrzymać się od śmiechu, ale kapitan nie był w nastroju do żartów, gdy wrócił z podwórka.

– Ci południowcy! – wykrzyknął. – Nic, tylko Camorra i *mafiosi*! Renegaci! – Rabusie siedzieli przy stole, podczas gdy Corelli walił ich po głowach przy każdym wypowiedzianym epitecie. Wyglądali żałośnie, jak karły, i doktor zrobił gest ręką, by powstrzymać ciosy kapitana. Corelli, podobnie jak wcześniej Kokolios, podniósł złodziejaszków za kołnierze, zaciągnął do drzwi i wyrzucił w mrok nocy. Runęli jak dłudzy na kamienie, po czym pozbierali się i uciekli.

Kapitan znowu wszedł do kuchni; jego oczy płonęły wściekłością. Rzucił Pelagii i jej ojcu piorunujące spojrzenie, jak gdyby sami byli czemuś winni, i zawołał:

– Wszyscy jesteśmy głodni! – Uniósł ręce, jakby zwracał się do Boga, pokręcił głową, uderzył się pięścią w pierś i wykrzyknął z niedowierzaniem: – Hańba! – po czym wkroczył do swojego pokoju i zatrzasnął drzwi.

Dwa dni później, gdy Pelagia wyszła na podwórko, uderzył ją brak czegoś. Rozejrzała

się, ale nie mogła pojąć, co zniknęło. I nagle zrozumiała. Kapitan znalazł ją zalaną łzami, z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Zabrali mojego koziołka! – lamentowała. – Mojego pięknego koziołka! – Mogła sobie wyobrazić jego rzeź, widziała, jak rąbią go na kawałki, i ten obraz był dla niej zbyt przerażający.

Kapitan położył dłoń na ramieniu szlochającej dziewczyny; straciła ją i nadal rozpaczała.

– Wszyscy jesteście draniami, złodziejami i draniami!

Corelli wyprostował się sztywno i rzekł:

– *Tesoro Mio, 40* przysięgam na życie mojej matki, że znajdę ci innego koziołka.

– Nie rób tego! – wykrzyknęła, odwracając do niego zalaną strugami łez twarz. – Niczego bym od ciebie nie przyjęła.

Corelli odwrócił się i odszedł; gorzki wstyd niczym robak toczył mu serce.

XLV

Czas niewinności

Zostali kochankami w staroświeckim znaczeniu tego słowa i kochali się w równie staroświecki sposób. W ich mniemaniu polegało to na całowaniu się w ciemności pod oliwką po godzinie policyjnej lub obserwowaniu delfinów ze skały przez lornetkę kapitana. Corelli za bardzo kochał Pelagię, by wystawiać jej szczęście na niebezpieczeństwo, ona zaś była zbyt rozsądna, by nie zważać na względy ostrożności. Wiele razy widziała cierpienia dziewczyn z nie uznanym przez ojca dzieckiem i wciąż stykała się z przypadkami posocznicy, z przewlekłym konaniem tych, które poddały się zabójczej skrobance szydełkami i drutami. Leczyła dziewczyny razem z ojcem, a potem odwiedzała z duchownymi, i wiedziała, że kapitan rozumie, iż nie sypiają ze sobą nie dlatego, że Pelagia tego nie pragnie, ale dlatego, że w rzeczywistości po prostu nie ma wyboru.

Kradziony czas wykorzystywali do maksimum. Stało się to łatwiejsze, gdy Günter Weber załatwił Corellemu motocykl „wypożyczony” z Wehrmachtu w zamian za parmeńską szynkę, chianti i mozzarellę. Motor został oficjalnie skreślony z ewidencji po sfigowanym wypadku, a Weber po prostu oddał go do naprawy i dostarczył przyjacielowi.

Pelagia dowiedziała się o tym po raz pierwszy, gdy za ogrodzeniem rozległ się odgłos eksplozji z rury wydechowej i warkot, nastąpił strzał do gaźnika, po czym zapadła cisza. Psipsina wbiegła do kuchni i schowała się pod stołem. Pelagia wyszła przed dom i ujrzała Corellego, w pilotce i goglach, z twarzą ciemną od brudu, odkaszlującego pył na siodelku czarnej maszyny. Zobaczył, że Pelagia nadchodzi, i podniósł gogle. Dziewczyna roześmiała się, gdyż wokół oczu miał dwa jasne krążki, osadzone w szarym i brudnym obliczu, a jego wargi przybrały nienaturalnie różowy kolor, jakby nałożył na nie szminkę. Corelli wyszczerzył zęby w uśmiechu, sądząc, iż Pelagia po prostu cieszy się na jego widok, i zapytał:

– *Vuole farę un giro?*⁴¹

Założyła ręce na piersi i pokręciła głową.

⁴¹ Chcesz się przejechać?

– Nigdy nie jeździłam motorem. Prawdę mówiąc, samochodem także nie, i na pewno nie zacznę jeździć teraz.

– Ja także nigdy nie jeździłem motorem, ale to bardzo łatwe. I czy to nie piękna maszyna?

– Ma tylko dwa koła, musi się wywrócić. To oczywiste. Trzeba być szaleńcem, żeby na tym jeździć.

Corelli spojrział na nią i odparł:

– Zgadzam się, że powinien się wywracać, ale tego nie robi. Tyle że nie zawsze jedzie w linii prostej. Ale stopniowo nabieram wprawy. No i posłuchaj tylko. – Zsiadł z motocykla, kopnął pedał rozrusznika, zwiększył obroty silnika, a potem manipulował rączką gazu dopóty, dopóki silnik nie zaczął radośnie pracować na jałowym biegu. – Po prostu posłuchaj! – zawołał. – Chodzi jak metronom. Można by zagrać do tego melodię. To doskonałe tempo, nie gubi ani jednego taktu, ani śladu wahania. To maszyna muzyczna, drum, drum, drum, i wydech, ona śpiewa. Spójrz, to jednocylindrowy silnik BMW z pionowym wałem. Żadnego łańcucha, który mógłby pęknąć lub spaść. Wspina się na te góry, tak jakby ich nie było. Wybierz się ze mną. Nie istnieje nic lepszego od uczucia, że ma się wiatr we włosach.

– I błoto na całej twarzy – sceptycznie zauważyła Pelagia. – Wyglądasz jak małpa. A zresztą ktoś mógłby nas zobaczyć.

Kapitan rozważył ten problem.

– W porządku, jutro przywiozę ci hełm, gogle i obszerny skórzany płaszcz i wtedy nikt cię nie pozna. Umowa stoi?

– Nie.

Ale nazajutrz spotkali się przy zakręcie i Pelagia pośpiesznie włożyła przebranie. Kapitan przekonał się, że panowanie nad maszyną z dodatkowym ciężarem jest niemal niemożliwe i z początku kluczyli i raz po raz wjeżdżali na kamienisto-trawiaste pobocza. Przewrócili się dwukrotnie, na szczęście bez żadnych urazów, po czym ustalili, że Pelagia powinna próbować siedzieć nieruchomo. Kurczowo chwyciła więc Corellego w pasie i jechała z kłykciami pobielalymi z przerażenia i twarzą ukrytą między jego łopatkami; pod sobą czuła drzenie pracującego z łoskotem silnika – bardzo przyjemne, a zarazem głęboko niepokojące. Gdy przybyli do Fiskardo, zsiadła z motoru, cała rozdygotana, i uświadomiła sobie, że nie może się doczekać powrotu na siodełko. Antonio miał rację – jazda motocyklem to rzeczywiście coś wspaniałego. Kapitan był uszczęśliwiony.

Jeździli tam, gdzie ludzie nie mogli znać Pelagii, oraz w miejsca, które zostały opuszczone. Brała Antonia pod ramię i szła obok, wspierając się na nim, bezustannie

roześmiana. Później zawsze pamiętała, że śmiała się w jego towarzystwie. Czasem zabierali ze sobą butelkę i dzięki winu śmiała się jeszcze bardziej, aczkolwiek czyniło ono powrót do domu przedsięwzięciem ryzykownym; Corelli nawet na trzeźwo jeździł dość niepewnie i nieraz mylili drogę, nie zdążywszy zwolnić przed skrętem. W ten właśnie sposób odkryli zrujnowaną pasterską chatę.

Chata była tak stara, że podłoga zapadła się w ziemię, a w środku nie było nic oprócz zardzewiałego rondla i dwóch zielonych butelek. Łaty popękały i osunęły się, a dach niebezpiecznie wygiął. Wewnątrz pachniało mchem, kapryfolium i starymi ubraniami. Światło rozszczepiało się między kamieniami w miejscach, z których zaprawa już dawno się wykruszyła. Nazywali go Casa Nostra 42 i czasem zamiatali podłogę miotłą z gałązek, z radością dzieląc się szaląsem z małą kolonią dyskretnych nietoperzy i trzema rodzinami jaskółek. W tym ukrytym domu rozkładali pled i leżeli, obejmując się, całując i rozmawiając, a kapitan od czasu do czasu grał na mandolinie.

Grywał sentymentalne piosenki z zamierzchłych czasów, zazwyczaj melodramatyczne lub żartobliwe; był świadom, że nie ma mocnego głosu, chciał jedynie rozśmieszyć Pelagię:

*Alma del core, spirito dell'alma,
Sempre costante, t'adorero.
Saro contento nel mio tormento,
Sequel bel labro baciare potro...*

Gdy czuł się frywolny i beztroski od nadmiaru wina, śpiewał:

*Danza, danza, fanciulla, al mio cantar;
Danza, danza, fanciulla gentile, al mio cantar.
Girò leggera, sottile al suono, al suono del'onde del mar...*

I rzeczywiście z oddali dobiegał szum morza, a Pelagia tańczyła prześmiewczo wokół chaty, kręcąc piruety i chichocząc, odymając wargi, by sparodiować wojskowe prostytutki, które tak często widywała, jak robiły miny i posyłały całusy mężczyznom, mijając ich rozklekotaną ciężarówką.

Czasami Corelli popadał w przygnębienie i robił się sentymentalny, dumając nad wieczną niemożliwością spełnienia ich miłości. Wtedy jego lekki, tenorowy głos przybierał

tragiczny ton i sprawiał, że łzy pojawiały się, jeśli nie w jej, to w jego oczach. Nastawał czas oplakiwania i kapitan śpiewał „Donna non vidi mai... ” nie dlatego, że była to smutna pieśń, ale dlatego, że śpiewało się ją *andante lento*, a w refrenie „Manon Lescaut me chiamo” dawała mnóstwo sposobności do maksymalnej ekspresji *eon anima*.

Wszystkie ich miłosne rozmowy rozpoczynały się od słów: „po wojnie”.

Czy po wojnie, gdy weźmiemy ślub, zamieszkamy we Włoszech? Są tam ładne miejsca. Ojciec sądzi, że nie spodobałoby mi się tam, ale nie ma racji. Bylebym tylko była z tobą. Czy po wojnie, jeżeli będziemy mieli córkę, możemy ją nazwać Lemoni? Po wojnie, jeżeli będziemy mieli syna, musimy dać mu na imię Janis. Po wojnie będę mówiła do dzieci po grecku, a ty możesz mówić do nich po włosku i w ten sposób staną się dwujęzyczne. Po wojnie napiszę koncert i zadedykuję go tobie. Po wojnie mam zamiar kształcić się na lekarkę i nie obchodzi mnie, czy nie przyjmują kobiet, bo i tak to zrobię. Po wojnie zdobędę pracę w klasztorze żeńskim, jak Vivaldi, będę uczył muzyki i wszystkie dziewczęta zakochają się we mnie, a ty będziesz zazdrosna. Po wojnie jedźmy do Ameryki, mam krewnych w Chicago. Po wojnie nie będziemy wychowywać naszych dzieci w żadnej religii, wybiorą ją sobie same, gdy będą starsze. Po wojnie kupimy sobie własny motocykl i będziemy jeździli po całej Europie. Ty możesz dawać koncerty w hotelach i tak właśnie będziemy żyli, a ja zacznę pisać wiersze. Po wojnie kupię mandolę, żeby móc grać utwory na altówkę. Po wojnie będę cię kochał, po wojnie będę cię kochał, będę cię kochał aż do śmierci, po wojnie.

XLVI

Bunnios

Na szczycie góry Enos Alekos wstał o świcie z wysłanego skórami łóżka i przypomniał sobie, że jeżeli ma zrobić ser, powinien wydoić parę kóz. Ale przede wszystkim nadeszła pora, by wyjść na dwór ze strzelbą i sprawdzić, czy nie brakuje żadnej z jego podopiecznych. Niedawno spotkał ludzi nazywających siebie *andartes*, którzy pojawili się znikąd i próbowali ukraść jego kozy. Zastrzelił dwóch z nich i pozostawił ich ciała sępom.

Nie mógł tego zrozumieć. Tego rodzaju rzeczy nie zdarzały się od czasów jego pradziadka, czasów gdy tych *andartes* nazywano kleftami.⁴³ No cóż, mniejsza o to, dzięki złodziejom kóz zdobył dwa nowe karabiny i sporo amunicji i bardzo wątpił, by inni kiedykolwiek się pojawili. Wspinaczka na tę górę wymagała nieprawdopodobnej wytrwałości i wytrzymałości, i przypuszczalnie zastrzelił jedynych, którzy mieli dostatecznie mocne nogi i płuca.

Być może miało to coś wspólnego z wojną. Już wcześniej doszedł do wniosku, że musi toczyć się wojna, ponieważ czasami nocą całe niebo jaśniało od światła odległych szperaczy, bardzo często też widywał błyski armatnich wystrzałów, poprzedzające odległe dudnienie. Siedzenie nocą przed szalasem, obserwowanie fajerwerków i jedzenie sera maczanego w oliwie i tymianku było przyjemną rozrywką. Sprawiało, że czuł się o wiele mniej samotny. Miał tęskną nadzieję, że wojna nie skończy się przed uroczystościami ku czci świętego. Gdy doktor wszedł na górę, potwierdził, że rzeczywiście trwa wojna, i powiedział, że niektórym głód doskwiera tak bardzo, iż małe dzieci zmieniają się od razu w drobnych starców z miękkimi brodami i zgarbionymi plecami. Wydawało się, że ich żołądki oświadczyły im, że nie ma sensu zawracać sobie głowy młodością, wydawało się również, że niebawem matka natura dopilnuje, by niemowlęta wychodziły z łon kobiet od razu w zabitych gwoździach trumnach.

⁴³ rabusiami

Gdy liberator zawarczał nad jego głową, Alekos nie zwrócił na to specjalnej uwagi, jako że brytyjskie samoloty często latały tędy dwójkami lub trójkami, znikając niczym hałaśliwe nietoperze nad stałym lądem.

Tym razem jednak, chyba instynktownie, uniósł wzrok i ujrzał szczególnie ładny widok. Z nieba opadało coś w rodzaju białego grzyba z małym człowiekiem zawieszonym pod jego kapeluszem, a najpiękniejsze w tym widoku było to, że zanim wschodzące słońce zdążyło się stać czymś więcej niż odrobiną blasku na horyzoncie, jego promienie odbijały się od jedwabiu. Alekos wstał i przyglądał się zafascynowany. Być może to anioł. Z pewnością odziany był w biel. Pasterz przeżegnał się i usiłował przypomnieć sobie słowa modlitwy. Nigdy nie słyszał o aniele, który szybowałby pod grzybem, ale kto ich tam wie. Wydawało się również, że duży głaz, a może jakiś pakunek, zwisa na linie z nogi anioła.

Anioł mocno pociągnął z jednej strony za linki, którymi był przymocowany do grzyba, i w ostatniej minucie zdawał się opadać tak szybko, że musiał zderzyć się z ziemią. Alekos poczuł pewną satysfakcję na myśl o tym, że miał rację, gdy anioł rzeczywiście spadł z głuchym odgłosem, przewrócił się na bok, trzasnął głową o głaz i teraz wlokła go po ziemi wzdęta na wietrze jedwabna czasza. Alekos chwycił jeden ze swoich karabinów i podbiegł do grzyba; najlepiej się upewnić, może nawet anioły są teraz tak wygłodzone, że zaczęły kraść kozy.

Anioł miał bardzo czerwoną twarz i był straszliwie zaplątany w linki i tkaninę półprzezroczystego grzyba. Alekos odciągnął kurek strzelby i wycelował ją prosto w jego twarz. Anioł otworzył oczy, popatrzył na niego łagodnie, rzekł: „Co też... ”, i natychmiast zasnął.

Wyplątanie go z taśm i sznurków zajęło Alekosowi trochę czasu. Przy okazji doszedł do wniosku, że z cudownego materiału grzyba sprawi sobie luksusowe prześcieradło. Grzyb miał też na środku bardzo pomysłowy otwór, można by wkładać materiał przez głowę i w ten sposób nosić go jako togę. Alekos stwierdził, że włoży grzyb na uroczystość ku czci świętego, jeżeli anioł ofiaruje mu go i pozwoli odciąć linki.

Przeniósł niebiańskiego gościa do swojej chaty i poszedł otworzyć duży pakunek, który spadł wraz z nim; zawierał on ciężką metalową skrzynkę z tarczami z podziałką oraz mały silnik. Alekos bynajmniej nie był głupi i doszedł do wniosku, że anioł przypuszczalnie sprowadził silnik po to, by móc zbudować sobie jakiś wehikuł.

Przez dwa dni karmił anioła miodem, jogurtem i innymi przysmakami, które uznał za

odpowiednie dla takiego stworzenia z innego świata, i był zachwycony, gdy anioł zaczął siadać, masować głowę i rozmawiać.

Kłopot w tym, że Alekos za nic nie potrafił zrozumieć, co tamten mówi. Rozpoznawał niektóre słowa, ale rytm anielskiej mowy był dlań zupełnie obcy, dźwięki wydawały się nie pasować do siebie, a anioł mówił tak, jakby miał kamyk w gardle i muchę w nosie. Wysłannik niebios najwyraźniej był bardzo zły i zniechęcony faktem, że nie jest rozumiany, a Alekos zachowywał się przez to bojaźliwie i czuł się winny, choć przecież nie mógł ponosić za to odpowiedzialności. Musieli się uciekać do rozmowy na migi.

Najbardziej intrygujące było to, że gdy anioł pragnął rozmawiać z Bogiem lub z jednym ze świętych, gmerał przy metalowej skrzynce i dobywał z niej wiele interesujących jęków, gwizdów oraz trzasków. A potem Bóg odpowiadał w anielskiej mowie, wydając się istotą tak odległą i nadnaturalną, że Alekos po raz pierwszy uświadomił sobie, jak trudno jest Bogu dotrzeć swym głosem do kogokolwiek. Zaczął rozpoznawać często powtarzane słowa, takie jak „Charlie”, „Bravo”, „Wilco” i „Roger”. Następną dziwną rzeczą w anielskim stworze było to, że nosił pistolet, lekki automat, oraz wiele bardzo ciężkich sosnowych szyszek z żelaza koloru khaki z metalowymi dźwigniami, których Alekosowi nie wolno było dotykać. Wszystkie anioły, jakie dotąd widział na obrazach, uzbrojone były w miecze lub włócznie, i fakt, że Bóg uznał za stosowne pójść z duchem czasu, wydał mu się osobliwy.

Po czterech dniach anioł wyraźnie dał do zrozumienia, że chciałby dokądś pójść, i Alekos, zwalczywszy w sobie niechęć do pozostawiania swoich kóz na pastwę rabusiów z partyzantki, postukał się w pierś, uśmiechnął i pokazał, że anioł powinien pójść za nim. Ten przystał na to z wdzięcznością i dał Alekosowi czekoladę, którą pasterz od razu zjadł; potem zrobiło mu się trochę niedobrze. Anioł jednak nie chciał wyruszyć w świetle dnia i Alekos musiał poczekać aż do zmroku. Wysłannik niebios pragnął też wymienić swoje tornistry z taśmami na dużą kozłą skórę. Jeśli chodzi o Alekosa, była to najlepsza transakcja, jaka kiedykolwiek mu się nadarzyła, i zgodził się na nią skwapliwie, mimo drobnych wyrzutów sumienia, że – mimo woli, co prawda, i za jego zgodą – okpił anioła. Anioł owinął skórą metalową skrzynkę i mały silnik, przewiązał pakunek sznurkiem i zarzucił go sobie na ramię.

Alekos wiedział, że jedyną osobą, która miałaby szansę zrozumienia anielskiej mowy, jest Janis, zabrał więc anioła do domu doktora. Niepotrzebnie, jego zdaniem, ukradkowa podróż zajęła im cztery noce; przez trzy dni kryli się w krzakach w okropnym żarze, śmiertelnie gryzieni przez moskity, próbując rozmawiać szeptem. Wydawało się rzeczą dość

prawdopodobną, że Bóg wyrzucił anioła z nieba, ponieważ ten dostał pomieszania zmysłów. Lecz Alekos nie zamierzał protestować; anioł miał bardzo jasne włosy, był niezwykle wysoki, nadzwyczaj wytrzymały i posiadał wszystkie zęby, które odsłaniał w bardzo pociągającym uśmiechu. Rzucił też dzikie spojrzenia, gdy w pobliżu pojawiali się żołnierze włoscy lub niemieccy, z czego Alekos wywnioskował, że Bóg bez wątpienia walczy po stronie Greków.

O trzeciej nad ranem doktora Janisa obudziło delikatne pukanie do okna. Przez chwilę leżał bez ruchu, zastanawiając się z irytacją, co to za gałąź, skoro w pobliżu nie ma żadnego drzewa. W końcu wytoczył się z łóżka i odryglował okiennice. Ujrzał nie tylko Alekosa, co było dość zaskakujące, ale i bardzo wysokiego, jasnowłosego mężczyznę, ubranego w fustanellę⁴⁴ piechura elitarnych jednostek greckiej armii. Alekos dostrzegł wyraz zdumienia na twarzy doktora, uniósł ręce, wzruszył ramionami i rzekł:

– Przyprowadziłem ci anioła – po czym odszedł, zanim Janis zdołał go wciągnąć w jakikolwiek spór na temat odpowiedzialności za przybysza z niebios.

Anioł uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Bunnios – powiedział. – Takoż mnie zwa.

Doktor uściśnął podaną dłoń przez okno i odparł:

– Doktor Janis.

– Panie, pozwól łaskawie, że z twojego przyzwolenia wyluszcę na osobności pewną kwestię.

Doktor ściągnął w zdumieniu brwi.

– Co takiego?

Dziwny mężczyzna dał znak, że chce wejść do środka i doktor westchnął niecierpliwie na myśl, że musi powiedzieć mu, by obszedł dom, gdyż drzwi są z drugiej strony. Gdy tylko jednak skinął głową, mężczyzna chwycił się ramy okiennej i wskoczył do pokoju. Zwalił swój pełen sprzętu toboł na podłogę i znowu uściśnął dłoń doktora. Pelagia, z zaspanymi oczami, weszła, usłyszawszy hałas, i ujrzała mężczyznę ubranego w ozdobioną chwastami czapkę, białą spódnicę i rajtuzy, haftowaną kamizelkę i pantofle z pomponami, które składały się na odświętny strój niektórych ludzi na stałym lądzie. Strój był bardzo brudny, ale bez wątpienia nowy. Popatrzyła na gościa ze zdumieniem i zakryła dłonią usta.

– Kto to jest? – zapytała ojca, szeroko otwierając oczy.

– Kto to jest? – powtórzył doktor. – A skąd niby mam wiedzieć? Alekos powiedział,

⁴⁴ Krótka, sztywna spódnica, zwykle plisowana, uszyta z białej bawełny lub lnu, noszona przez mężczyzn w niektórych regionach Bałkanów.

że to anioł, a potem dał nogę. Mówi, że nazywa się Bunnios, i mówi po grecku jak hiszpańska krowa.

Dziwaczny mężczyzna uklonił się grzecznie i uścisnął rękę Pelagii. Rozluźniła ją w jego dłoni i nie potrafiła ukryć swego zdumienia. Mężczyzna uśmiechnął się czarująco i powiedział:

– Sławię twą świeżą urodę i młody, jak tuszę, wiek.

– Jestem Pelagia – odparła, po czym zapytała ojca: – Co on wygaduje? To nie jest katarewusa!

– Oczywiście, że nie. I z pewnością nie jest to język nowogrecki.

– Myślisz, że to bułgarski, turecki lub coś w tym rodzaju?

– Greka z dawnych epok – powiedział mężczyzna i dodał: – Perykles, Demostenes, Homer.

– Starożytna greka? – zawołała z niedowierzaniem Pelagia.

Cofnęła się z obawy przed kontaktem z duchem. Od dzieciństwa słyszała wszystkie opowieści o Marmurowym Cesarzu, którego anioł zaniósł do jaskini, skąd powróci pewnego dnia, by wypędzić ciemności. Ale była to tylko niemądra legenda, a ten człowiek wydawał się raczej z krwi i kości niż z marmuru. Krążyła również inna opowieść o jasnowłosych przybyszach z północy, którzy przyniosą wyzwolenie. Kto wie?

Doktor postukał się palcem wskazującym w czoło, triumfalnie uniósł wzrok i zapytał.

– Anglik?

– *Engelonde* – przyznał mężczyzna. – Wszelako proszę cię, panie, jak mi Bóg miły...

– Oczywiście, nikomu nie powiemy. Czy możemy rozmawiać po angielsku? Pana wymowa jest naprawdę okropna. Aż głowa mnie boli. Pelagio, przynieś szklanekę wody i trochę ciasteczek.

Anglik uśmiechnął się z wyrazem ogromnej ulgi. Bezskuteczne posługiwanie się greką wyuczoną w najlepszej szkole prywatnej było dlań ciężkim przeżyciem. Powiedziano mu, że jest najlepszym „Grekiem”, jakiego można było znaleźć w zaistniałych okolicznościach. Doskonale wiedział, że greka nauczana w Eton różni się znacznie od współczesnego języka greckiego, nie miał jednak pojęcia, że okaże się ona zupełnie niezrozumiała. Najwyraźniej również w brytyjskim wywiadzie miano zupełnie wypaczone wyobrażenie o tym, jak się ubierają mieszkańcy Kefalonii.

– W pokoju mamy zasypiającego włoskiego oficera – rzekł doktor, którego angielszczyzna nie była tak dobra, jak raczył sobie wyobrazić – więc proszę, jesteśmy bardzo cicho.

Anglik rozwiązał toból z koziej skóry i wyjął zeń rewolwer. Pelagia była przerażona. Co do niej, nie miała zamiaru pozwolić, by ktokolwiek zastrzelił Antonia. Mężczyzna zauważył jej przerażenie i wyjaśnił:

– To tylko środek ostrożności. Nie chciałbym stosować represji, dopóki nie muszę.

– Szpieg? – zapytał doktor. – Wywiad?

Mężczyzna skinął głową i odparł:

– To ściśle tajna misja. Ma pan jakieś ubranie, które mógłbym na siebie włożyć? Byłbym strasznie wdzięczny.

Doktor wskazał na fustanellę.

– Ona nie jest kefaloński strój. – Pokazał na oprawione zdjęcie młodego mężczyzny w bryczesach do kolan, z białą szarfą wokół pasa, w białej miękkiej czapce na głowie i kamizelce z dwoma rzędami dużych srebrnych guzików, wiszące na ścianie. – On jest nasz strój – wyjaśnił – ale tylko od święta. Ubieramy się tak samo jak pan. Ja przynoszę panu ubranie, pan daje mi fustanellę, *okay?*

Doktor zawsze chciał mieć fustanellę i nigdy nie mógł sobie na nią pozwolić.

– Dziękuję ci, Wistonie Cercil – powiedział, wyjmując zwykłe rzeczy do ubrania i wznosząc oczy ku niebu, jakby Churchill był istotą boską. Pewnego dnia zaskoczy wszystkich na jakiejś uroczystości. Zachichotał, już zawczasu ciesząc się na to. Przyjaciele w kafenijonie pomyśleliby, że zrezygnował z bycia zeuropeizowanym alafrangą i przeistoczył się w jednego z tradycjonalistycznych *fustanellofori*. Zastanawiał się, gdzie mógłby znaleźć *cibuki*, starannie wykonaną, tradycyjną fajkę, aby dopełnić obrazu całości.

Wtłoczenie szpiega w rzeczy mniejszego mężczyzny wcale nie było łatwe, ale drobną pocięchę stanowił fakt, że obaj potrzebowali kapeluszy tego samego rozmiaru. Skrępowany strojem Anglik wyruszył do Argostoli o świcie, z mankietami spodni w połowie różowych łydek i w nie dopinającej się marynarce, niosąc swój ekwipunek w jutowym worku, także dostarczonym przez doktora, który nie pozwolił przybyszowi odejść, nie udzieliwszy mu paru rozsądnych rad:

– Pan posłucha, *okay?* Strasznie-strasznie pan akcentuje. Pan nie rozmawia, rozumie pan? Siedzi pan cicho, dopóki się pan nie uczy. Poza tym pan uważa na *andartes*. To złodzieje, nie żołnierze, mówią, że komuniści, ale to złodzieje. Nie interesują walka, rozumie pan? Włosi w porządku, Niemcy nie, rozumie pan?

Tak więc porucznik „Bunny” Warren, przeniesiony do SOE45 z Królewskiej Gwardii Konnej, człowiek zdumiewająco przedsiębiorczy i śmiały, znalazł lokum w dużym domu, w którym kwaterowało już czterech włoskich oficerów. Wprawiał ich w zakłopotanie, próbując się z nimi porozumieć po łacinie, i co tydzień wędrował do opuszczonej chaty, w której zainstalował radiostację i zasilacz do ładowania baterii. Przesyłał szczegółowe meldunki do Kairu, informując dowództwo o liczebności i ruchach wojsk, na wypadek gdyby alianci postanowili dokonać desantu w Grecji zamiast na Sycylii.

Prowadził życie samotnika i irytowało go odgrywanie roli szaleńca, ale z drugiej strony szaleństwo było chyba najlepszym kamuflażem. Z pasem pełnym złotych suwerenów przemierzał pieszo Kefalonię, zapamiętując wszystko, co widział, a raz lub dwa wspiął się na górę Enos, by złożyć wyrazy szacunku swojemu pierwszemu gospodarzowi, który nigdy nie wyzbył się do końca przekonania, że Warren jest aniołem. Czasami przyłączał się do wędrującego ojca Arseniosa, uchodząc dzięki temu za następnego wieszczącego fanatyka religijnego.

Radiostacja nigdy go nie zawiodła. Używał browna B2. Miała tylko dwa prostowniki selenowe firmy Loctal, antenę, która do złudzenia przypominała sznurek do wieszania bielizny, pracowała zasilana z sieci lub sześciowoltowej baterii, a ważąc marne piętnaście kilo, stanowiła cud miniaturyzacji.

⁴⁵ Special Operations Executive – Dowództwo (samodzielny wykonawca) Operacji Specjalnych

XLVII

Doktor Janis udziela rad swojej córce

Doktor Janis napełnił swą fajkę zabójczo drażniącą mieszanką, która w czasach okupacji uchodziła za tytoń, ubił ją, zapalił i nierozważnie zaciągnął się mocno. Ostry dym podrażnił mu gardło, a oczy wyszły na wierzch. Parsknął, chwycił się ręką za szyję i gwałtownie zakaszłał. Odrzucił fajkę i wymamrotał:

– Gówno, skończone gówno. Do czego doszedł świat, skoro jestem zmuszony palić koprolity? No cóż, dosyć tego, już nigdy nie wezmę fajki do ust.

Fajka przysparzała mu ostatnimi czasy więcej kłopotów niż przyjemności. Po pierwsze, nie sposób było zdobyć przetyczek do niej i Janis zmuszony był do szukania ptasich piór w ogrodzie. Przekupił nawet małą Lemoni, by zeszła na plażę i tam ich poszukała, to zaś wymagało nakłonienia Pelagii, żeby upiekła małe miodowe ciasteczka, za którymi tak przepadała Lemoni, i groziło powrotem do ciągłej, trudnej do przerwania korupcji. Janis próbował przeciąć ów węzeł gordyjski, rezygnując z czyszczenia fajki, ale w rezultacie wdychał nieopisanie wstrętne, potwornie gorzkie i przerażająco śluzowate kawałki zimnego, nie dopalonego tytoniu. Czuł wówczas takie mdłości jak pies, który zjadł ostrą paprykę moczoną w benzynie, a wszystko po to, by móc pofolgować nałogowi, co było nie mniej bolesne niż usunięcie migdałków w wykonaniu amatora. Czuł się zdradzony i poirytowany. Używał fajki St Claude, którą kupił kiedyś w Marsylii i która powinna dochować mu wiernej przyjaźni. Owszem, była nadpalona na obrzeżu główki, a cybuch pozółkł i był już nadgryziony, ale nigdy dotąd nie zaatakowała go tak złośliwie. Zostawił ją na podłodze i powrócił do pisania:

Ponieważ wyspa jest prawdziwym klejnotem, już od czasów Odyseusza była zabawką w rękach ludzi wielkich, potężnych, bogatych i godnych nienawiści. Nie wdający się w filozoficzne rozważania Rzymianie, biegli jedynie w sztuce wysługiwania się niewolnikami i podboju militarnego, złupili miasto Sami i okrutnie potraktowali jego mieszkańców po czterech miesiącach ich heroicznego oporu. Rozpoczął się długi i godny ubolewania okres, w którym miasto było przekazywane z rąk do rąk jako dar, a jednocześnie padało ofiarą

wielokrotnych najazdów korsarzy z licznych zakątków ogarniętego korupcją basenu Morza Śródziemnego. A zatem Kefalonia była wyspą wiecznie plądrowaną, wyspą, której sławny muzyk Melampos zdobył nagrodę za grę na kitarze na igrzyskach olimpijskich jeszcze w 582 roku p. n. e. Od czasów Rzymian jedyną nagrodą dla nas było przetrwanie.

Doktor przerwał i podniósł fajkę z podłogi, zapominając, że przed paroma minutami wyrzekł się jej na zawsze. Pojawił się odwieczny problem; pisał nie tyle historię, ile elegię. Lub tyradę. Albo filipikę. Nagle uderzyła go pouczająca myśl, że być może nie chodzi o to, iż on nie potrafi pisać historii, ale o to, że sama historia jest niemożliwa do napisania. Usatysfakcjonowany głębią tej refleksji, w nagrodę głęboko zaciągnął się fajką, co znowu doprowadziło go do nieopanowanych paroksyzμών kichnięć i kaszlu.

Wstał, owładnięty furją. Zamierzał złamać fajkę na pół. Już miał to uczynić, gdy furia ustąpiła uczuciu zbawczej w tym wypadku paniki. Rzecz polegała na tym, że rezygnacja z palenia była równie niemożliwa jak napisanie historii. Stało się jasne, że między doktorem a jego fajką musi dojść do jakiejś ugody. Zawołał Pelagię, która starannie wybierała łyżką kawowe fusy z filiżanek, żeby można je było znowu wykorzystać. Brak kawy był równie okropny jak kryzys tytoniowy.

– Córko, chcę, żebyś rozpuściła odrobinę miodu w brandy, a potem wymieszała z tym tytoniem. W tej postaci jest po prostu nie do zniesienia. Wywołuje potworne kichanie – powiedział.

Pelagia spojrzała na ojca krzywo i wzięła puszkę, którą jej podał. Miała właśnie odejść, gdy Janis dodał:

– Nie odchodź. Jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać.

Doktor sam był tym zaskoczony. „O czym ja chcę z nią rozmawiać? – zadał sobie w duchu pytanie. Tak jakby zbierał pewne wrażenia, wrażenia, które trzeba było omówić, ale które nie skryształizowały się jeszcze w ciąg myśli.

Pelagia usiadła naprzeciwko, odgarnęła parę zabłąkanych włosów, które opadły jej na twarz, i zapytała:

– O co chodzi, tatusiu?

Janis patrzył na córkę siedzącą ze splecionymi na kolanach rękami, z wyrazem oczekiwania błąkającym się w oczach i przesadnie skromnym uśmiechem na ustach. Jej niewinna powierzchowność przypominała mu o tym, co chciał powiedzieć. Było dlań rzeczą

zupełnie oczywistą, że każdy, kto potrafi wyglądać tak dziewiczo i słodko, a zwłaszcza córka, figluje i źle się prowadzi.

– Nie uszło mojej uwagi, Pelagio, że zakochałaś się w kapitanie.

Pelagia zarumieniła się gwałtownie. Wyglądała na ciężko przerażoną i zaczęła się jąkać.

– W k... kapitanie? – powtórzyła niemądrze.

– Tak, w kapitanie, naszym nieproszonym, ale czarującym gościu. W tym, który gra na mandolinie w blasku księżyca i przynosi ci ciastka i cukierki, choć nie zawsze uznajesz za stosowne podzielić się nimi ze swoim ojcem, człowiekiem, którego uważasz za ślepcę i głupca zarazem.

– Tatusiu! – zaprotestowała, zbyt zaskoczona, by dodać jakąś wyraźną kodę do tego wykrzyknika.

– Nawet twoja szyja i uszy zrobiły się czerwone – zauważył doktor, ciesząc się ze zmieszania córki i rozmyślnie je podsycając.

– Ależ tatku...

Doktor zatoczył w powietrzu krąg fajką.

– Tej kwestii naprawdę nie warto roztrząsać, nie masz się co wypierać, bo rzecz jest zupełnie oczywista. Diagnoza została postawiona i potwierdzona. Powinniśmy omówić ewentualne konsekwencje. Jest zresztą dla mnie jasne, że on także zakochał się w tobie.

– Nic takiego nie powiedział, tatusiu. Dlaczego próbujesz mi dokuczyć? Zaczyna mnie to bardzo denerwować. Jak możesz mówić takie rzeczy?

– To się nazywa charakter – odparł z satysfakcją. – Widać, że jesteś moją córką.

– Zaraz cię uderzę, naprawdę.

Pochylił się do przodu i wziął ją za rękę. Pelagia odwróciła wzrok i zarumieniła się jeszcze bardziej. W typowy dla siebie sposób wzbudził w niej wielkie oburzenie, a potem udobruchał ją subtelnym gestem. Był niesfornym ojcem, apodyktycznym rozkazodawcą w jednej chwili, szelmą i pochlebcą w następnej, a chwilę później kimś wyniośle, arystokratycznie wręcz obojętnym.

– Jestem lekarzem, ale także człowiekiem, który ma za sobą kawał życia i który je baczenie obserwował – rzekł. – Miłość to rodzaj odurzenia o bardzo wyraźnych i często powtarzających się objawach. Rumienicie się w swojej obecności, oboje kręcicie się stale w miejscach, gdzie spodziewacie się natknąć na siebie, oboje trochę bełkoczeć, oboje śmiejecie się zbyt długo i z nie wyjaśnionych powodów, ty stajesz się obrzydliwie dziewczęca, a on absurdalnie szarmancki. Robicie się także trochę otepiali umysłowo. On dał

ci różę parę dni temu, a ty sprasowałaś ją w mojej książce medycznej. Gdybyś nie była zakochana i pozostała ci odrobina rozsądku, włożyłabyś ją do jakiejś innej książki, z której nie korzystam na co dzień. Myślę, iż fakt, że ta róża znalazła się w części traktującej o erotomanii, jest również bardzo znamienity.

Pelagia obawiała się rychłego rozwiania tysięcy pięknych marzeń. Przypomniała sobie poufną radę swojej ciotki: „Kobieta, żeby odnieść zwycięstwo, zmuszona jest płakać, zrzędzić albo się dąsać. Musi być gotowa czynić to przez lata, jest bowiem własnością mężczyzn ze swojej rodziny, a mężczyźni, niczym skały, ścierają się bardzo długo”. Pelagia próbowała się rozpłakać, ale powstrzymała ją przed tym narastający paniczny strach. Wstała nagle i równie nagle usiadła z powrotem. Ujrzała otchłań otwierającą się u swych stóp i turecką armię w osobie ojca, gotującą się do zepchnięcia jej w przepaść. Wydawało się, że beznamietna analiza uczuć Pelagii dokonana przez doktora przegnała już magię ze świata jej wyobraźni.

Lecz Janis ścisnął jej dłoń, żalując swej szorstkości i współczując córce pod dobroczynnym wpływem niezaprzeczalnego faktu, że oto rozpoczął się następny piękny dzień. Podkreślił palcem wskazującym koniec wąsa i obojętnie obserwował jej próby wyciśnięcia łez z oczu. Rozpoczął długi monolog:

– Nie można lekceważyć faktu, że źródłem honoru rodziny jest prowadzenie się należących do niej kobiet. Nie wiem, dlaczego tak jest, i przypuszczalnie gdzie indziej sprawy mają się inaczej. My jednak żyjemy tutaj i odnotowuję ów fakt naukowo w taki sam sposób, w jaki zauważam, że w styczniu na górze Enos leży śnieg i że nie ma u nas rzek. Nie chodzi o to, że nie lubię kapitana. Oczywiście jest trochę szalony, co dość łatwo wytłumaczyć faktem, że jest Włochem, ale nie do tego stopnia, by wzbudzać jedynie śmiech. Prawdę mówiąc, bardzo go lubię, a to, że gra na mandolinie jak anioł, w znacznej mierze równoważy jego cudzoziemskie pochodzenie. – W tym momencie doktor zaczął się zastanawiać, czy powinien ujawnić swoje podejrzenie, iż kapitan cierpi na hemoroidy. Odkrycie fizycznych niedoskonałości lub ułomności często okazywało się potężnym antidotum na miłość. Z szacunku dla córki postanowił jednak nie wspominać o tym. Ostatecznie nie należy wkładać psiego gówna do łoża Afrodyty. Mówił dalej: – Musisz jednak pamiętać, że jesteś zaręczona z Mandrasem. Pamiętasz o tym, prawda? Formalnie rzecz biorąc, kapitan jest naszym wrogiem. Możesz sobie wyobrazić, jak inni ludzie będą się nad tobą pastwić, gdy dotrze do nich, że wyrzekasz się miłości greckiego patrioty na rzecz obcego najeźdźcy, ciemniźcyela? Nazwą cię kolaborantką, faszystowską dziwką, znajdą jeszcze tysiąc innych epitetów. Będą cię obrzucać kamieniami i opluwać, zdajesz sobie chyba z tego sprawę? Gdybyś chciała z nim zostać, musiałabyś przenieść się do Włoch, bo tutaj nie moglibyście bezpiecznie żyć. Jesteś

gotowa opuścić tę wyspę i tych ludzi? Co wiesz o tamtejszym życiu? Sądzisz, że Włosi potrafią przyrządzić placek z mięsem i mają kościoły pod wezwaniem świętego Jerasimosa? Nie, nie mają. I jeszcze jedno. Miłość to chwilowe szaleństwo, wybucha jak wulkan, a potem ustaje. A gdy ustanie, musisz podjąć decyzję. Musisz ocenić, czy wasze korzenie spłotły się tak mocno, że rozstanie byłoby rzeczą niemożliwą. Ponieważ tym właśnie jest miłość. Nie jest brakiem tchu, nie jest ekscytacją, nie jest wypowiedaniem obietnic wiecznej namiętności, nie jest pragnieniem cielesnego obcowania ze sobą co chwila, nie jest nocnym czuwaniem i wyobrażaniem sobie, że on całuje każde zagłębienie twego ciała. Nie, nie rumień się, przekazuję ci tylko parę prawd. Nie chodzi jedynie o bycie „zakochanym”, co potrafi każdy głupiec. Sama miłość jest tym, co pozostaje, gdy wypali się miłosne uniesienie; to zarówno sztuka, jak i szczęśliwe zrządzenie losu. Ja i twoja matka zaznaliśmy tego, mieliśmy korzenie, które rosły ku sobie pod ziemią, i gdy wszystkie piękne kwiaty opadły z naszych gałęzi, stwierdziliśmy, że jesteśmy już jednym drzewem. Ale czasami płatki opadają, a korzenie nie są ze sobą splecione. Wyobraź sobie, że porzucisz swój dom i swoją rodzinę po to tylko, by po sześciu miesiącach, roku bądź trzech latach odkryć, że drzewa waszej miłości nie mają korzeni i przewróciły się. Wyobraź sobie tę pustkę. Wyobraź sobie swoje uwięzienie. Mówię ci, że poślubienie kapitana jest niemożliwe dopóty, dopóki nasza ojczyzna nie zostanie wyzwolona. Grzech można wybaczyć jedynie wtedy, gdy grzesznik przestanie go popełniać; nie możemy sobie pozwolić na jego odpuszczenie w czasie, gdy wciąż jest popełniany. Dopuszczam taką możliwość, z radością wręcz bym na to przystał. Być może nie kochasz już Mandrasa. Być może należy zbilansować rachunek – miłość po jednej stronie, hańba po drugiej. Nikt nie wie, gdzie jest Mandras. Może nie ma go już wśród żywych. To jednak oznacza, że będziesz musiała powstrzymywać swą miłość, Pelagio, a wiesz równie dobrze jak ja, że powstrzymywana miłość wzmagą pożądanie. Nie, nie patrz na mnie w ten sposób. Nie jestem nieświadomy ani głupi i nie urodziłem się wczoraj. W dodatku jestem lekarzem i nie zajmuję się niewykonalnymi nakazami moralnymi, ale dającymi się udowodnić faktami. Nikt mi nie powie, iż tylko dlatego, że ktoś jest młody, urodziwy, wykształcony i rozsądny, nie jest również rozpalony. Myślisz, że nie wiem, iż młode dziewczyny może trawić pożądanie? Godzę się nawet z ewentualnością, że w takim stanie znajduje się moja droga córeczka. Nie zwieszaj głowy, nie powinnaś być zawstydzona. Nie jestem księdzem, jestem lekarzem, mam antropologiczne podejście do tych spraw, a poza tym, gdy sam byłem młody... no cóż, wystarczy. Dość powiedzieć, że nie mam zamiaru popadać w hipokryzję ani udawać nagłej amnezji, co byłoby chowaniem głowy w piasek. To jednak stwarza nam jeszcze więcej problemów, prawda? Gdy jesteśmy szaleni, tracimy panowanie nad sobą. Powodują nami

uczucia. Dlatego właśnie nasi przodkowie postanowili ograniczać naturalne szaleństwo młodych, zabarwiając je wstydem. Właśnie dlatego w niektórych miejscowościach po nocy poślubnej wciąż rozwiesza się poplamione prześcieradło. Widziałem je w Assos w zeszłym tygodniu, gdy wezwali mnie do tego mężczyzny ze złamaną ręką, pamiętasz? Gdyby tej pięknej rzeczy nie uczyniono zarazem rzeczą wstydliwą, nie robilibyśmy nic innego. Nie pracowalibyśmy, tonelibyśmy w morzu dzieci i nie nastąpiłby rozwój cywilizacji. Krótko mówiąc, nadal byłibyśmy jaskiniowcami parzącymi się niestrudzenie i z kim popadnie. Gdybyśmy nie zarezerwowali na te sprawy czasu i miejsca i nie zakazali ich w innych sytuacjach, żylibyśmy jak psy, a życie miałoby w sobie niewiele piękna i spokoju. Pelagio, nie każę ci się wstydzić. Jestem lekarzem, a nie twórcą cywilizacji, który chce, żeby ludzie przestali używać życia. Ale wyobraź sobie, co by było, gdybyś zaszła w ciążę! Przestań udawać, że cię to szokuje, kto wie, do czego zdolny jest człowiek w chwili miłosegno uniesienia? Takie rzeczy się zdarzają, są naturalną konsekwencją praw natury. Jak myślisz, co by się wtedy stało? Pelagio, nie pomógłbym ci w usunięciu ciąży, mimo że wiem, jak to zrobić. Mówiąc otwarcie, nie przyłożyłbym ręki do zamordowania niewinnej istoty. Co byś zrobiła? Czy poszłabyś do jednej z tych akuserek, które połowę swych klientek wyprawiają na tamten świat, a resztę czynią niezdolnymi do poczęcia na resztę życia? Czy urodziłabyś to dziecko, by się przekonać, że żaden mężczyzna nie zechce być twoim mężem? Wierz mi, wiele takich kobiet kończy w domach publicznych, ponieważ nagle stwierdzają, że nie mają już nic do stracenia i nie znajdują innego sposobu, by związać koniec z końcem. Ja jednak nie opuściłbym cię, dopóki żyję, nawet w takich okolicznościach. Ale wyobraź sobie, że bym umarł. Nie krzyw się, wszyscy winni jesteśmy śmierć naturze, nie ma na to rady. A gdyby kapitan nie mógł się z tobą ożenić, bo zabronią mu tego przełożeni? Co wtedy? Czy zdajesz sobie sprawę, że nieprzezornemu postępowaniu w sprawach seksu towarzyszą paskudne choroby? Czy możesz mieć całkowitą pewność, że nasz kapitan nie odwiedza burdelu? Młodzi mężczyźni są niezmiernie podatni na tego rodzaju pokusy bez względu na to, jak bardzo prawi bywają pod innymi względami, a armia ułatwia im ich realizację, sprowadzając tu prostytutki. Czy wiesz, co potrafi działać syfilis? Doprowadza ciało do rozkładu, a umysł do szaleństwa. Wywołuje ślepotę. Dzieci syfilityków rodzą się głuche i skretyniałe. A jeśli kapitan chodzi tam, zamyka oczy i wyobraża sobie, że to ciebie trzyma w ramionach? To bardzo prawdopodobne, choć mówię te słowa z bólem – młodzi mężczyźni już tacy są.

Pelagia zalała się prawdziwymi łzami. Nigdy jeszcze nie czuła się tak zdruzgotana i upokorzona. Ojciec sprowadził wszystkie jej różowe marzenia do poziomu zdrowego rozsądku i medycznych plugastw. Popatrzyła nań przez łzy i stwierdziła, że ojciec spogląda

na nią z ogromnym współczuciem.

– Jesteś w tarapatkach – rzekł po prostu. – Wpakowałaś nas oboje w tarapaty.

– Wszystko plugawisz – zauważyła z gorzkim wyrzutem. – Nie wiesz, jak to jest.

– Przeszedłem przez to z twoją matką – odparł. – Była zaręczona z kimś innym.

Dobrze wiem, jak to jest. I właśnie dlatego rozmawiam z tobą jak człowiek z człowiekiem i nie chodzę z wrzaskiem i nie zabraniam ci wszystkiego, choć tak powinien uczynić ojciec.

– Więc nie zabraniasz mi wszystkiego? – zapytała z nadzieją.

– Nie, nie zabraniam. Mówię tylko, że musisz bardzo uważać na to, co robisz, i musisz postępować uczciwie w stosunku do Mandrasa. To wszystko. Musisz spojrzeć na to od pozytywnej strony. Im dłużej znasz kapitana, tym łatwiej będzie ci ocenić, czy korzenie waszej miłości zdołają zrosnąć się pod ziemią. Nie ulegaj mu. Odmawiaj sobie, gdyż wtedy oczu nie przesłoni ci szaleństwo, nad którym nie potrafisz zapanować, i będziesz mogła nauczyć się postrzegać go takim, jakim naprawdę jest. Rozumiesz?

– Tatusiu – odparła cicho – kapitan nigdy nie próbował mnie skompromitować.

– To porządny człowiek. Wie, że jest w niezręcznym położeniu. Módl się o wyzwolenie wyspy, Pelagio, bo wtedy wszystko stanie się możliwe.

Pelagia wstała i wzięła puszkę z tytoniem.

– Miód i brandy? – zapytała spokojnie, a jej ojciec potwierdził skinieniem głowy.

– Nie pozwól, by dotknęło cię cokolwiek z tego, co powiedziałem. Nie chciałem cię urazić. Sam kiedyś byłem młody.

– Zatem nie wszystko w twoich czasach było inne – odparła Pelagia złośliwie, wychodząc z pokoju.

Doktor uśmiechnął się z zadowoleniem, słysząc tę kąśliwą uwagę, i bardzo ostrożnie pyknął z fajki; doszedł do wniosku, że zuchwała odpowiedź Pelagii oznacza, iż on ma wciąż tę samą córkę. Prawdopodobnie łatwiej jest być ojcem niż historykiem. Powrócił do pliku kartek i napisał:

Wyspa przeszła pod panowanie cesarstwa bizantyjskiego, którego zaletą był grecki rodowód, a wadą bizantyjskie oblicze.

XLVIII

La Scala

To prawda, Antonio, niektórzy z twoich żołnierzy oszukują ludzi, a moim zdaniem oraz zdaniem moich kolegów oficerów, dzieje się tak z ujmą dla ciebie. Nie dla ciebie osobiście, ale dla całej włoskiej armii. To równie skandaliczne jak ten pamflet o Duce, który wszyscy czytają. To objaw tej samej choroby. Corelli zwrócił się do Carla:

– Czy to, co mówi Günter, jest prawdą?

– Mnie nie pytaj. Musiałbyś zapytać Greka.

– *Jatre!* – zawołał Corelli. – Czy to prawda?

Doktor wyszedł z kuchni, gdzie starannie ostrzył stare skalpele na kamieniu szlifierskim, i zapytał:

– Że co?

– Że niektórzy z naszych żołnierzy kupują od głodujących mieszkańców różne rzeczy, płacąc kartkami żywnościowymi, a potem inni ludzie przychodzą i konfiskują kartki, ponieważ zostały nabyte nielegalną drogą.

– To nie „inni ludzie” – odparł doktor. – To po prostu druga połowa tego samego gangu. Kartki wędrują w zamkniętym obiegu. W ten sposób w zeszłym tygodniu załatwili Stamatisa. Stracił cenny zegar i dwa srebrne świeczniki i został bez kartek żywnościowych i z żołądkiem tak samo pustym jak przedtem. Bardzo pomysłowy proceder. – Doktor odwrócił się, by odejść, ale zatrzymał się. – I jeszcze jedno. Wasi żołnierze okradają nasze warzywniki. Tak jakby nie wszyscy z nas przymierali głodem.

– My, Niemcy, nie robimy tego – rzekł zarozumiale Günter Weber, odczuwając względem Corellego odrobinę złośliwej satysfakcji.

– Niemcy nie potrafią śpiewać – odciął się nie na temat Corelli. – A zresztą zarządzę śledztwo w tej sprawie i położę temu kres. Wielka szkoda.

Weber uśmiechał się.

– Słyszysz z obrony praw Greków. Czasem się zastanawiam, czy rozumiesz, po co tu jesteś.

– Nie po to, żeby być draniem – odparł Corelli. – Mówiąc szczerze, nie jest mi z tym dobrze. Staram się myśleć o tym jak o wakacjach. Nie mam twoich zalet, Günterze.

– Zalet?

– Tak. Nie jestem zdania, że inne rasy są gorsze od mojej. Nie czuję, bym miał do tego prawo, to wszystko.

– To kwestia nauki – rzekł Weber. – Nie można zmienić faktu naukowego.

Corelli zmarszczył czoło.

– Nauka? Marksiści uważają się za uczonych i myślą coś wręcz odwrotnego. Nie obchodzi mnie nauka. Ona nie ma tu nic do rzeczy. To zasad moralnych nie można zmienić, a nie faktu naukowego.

– Nie zgadzamy się – odparł pojednawczo Weber. – Jest dla mnie oczywiste, że etyka zmienia się z upływem czasu tak samo jak nauka. Etyka zmieniła się pod wpływem teorii Darwina.

– Masz rację, Günterze – wtrącił Carlo – ale nie wszystkim musi się to podobać. Mnie się to nie podoba, tak samo jak nie podoba się kapitanowi, i to wszystko. W nauce chodzi o fakty, a w etyce o wartości. Różnią się one od siebie i nie rosną razem. Nikt nie dojrzy wartości na szkiełku pod mikroskopem. Może to i prawda, że Żydzi są źli lub gorsi od nas, nie wiem, bo skąd miałbym wiedzieć? Ale dlaczego ma to oznaczać, że powinniśmy ich traktować niesprawiedliwie? Nie pojmuję takiego rozumowania.

– Czy pamiętasz, Antonio – zapytał Weber, odchylając się w swoim krześle – jak wyciągnąłeś na mnie pistolet, gdy miałem zamiar zatłuc tę kunę, by odrzeć ją ze skóry? Nie zabiłem jej. W każdym razie nie wiedziałem, że to wasze ulubione zwierzę. Nie byłem w stanie dyskutować z pistoletem. To właśnie jest nowa moralność. Siła nie potrzebuje usprawiedliwień i nie musi przedstawiać racji. Jak już mówiłem, to właśnie jest darwinizm.

– Człowiek musi pozostawić racje historii – zauważył Corelli – bo inaczej skazuje się na potępienie. To także kwestia spokoju wewnętrznego. Pamiętasz, jak ten bombardier próbował zgwałcić dziewczynę, którą uleczył rzekomy cud? Mina, tak brzmiało jej imię. Czy wiesz, dlaczego wtedy to zrobiłem?

– Masz na myśli to, że kazałeś mu stać na baczność na słońcu w samym hełmie i z plecakiem na grzbiecie?

– Z plecakiem pełnym kamieni. Owszem. Zrobiłem to, ponieważ wyobraziłem sobie, że ta dziewczyna jest moją siostrą. Zrobiłem to, ponieważ gdy bombardier już porządnie się przypiekł, ja poczułem się o wiele lepiej. Oto moja moralność. Wyobrażam sobie, że wszystko dotyczy mnie osobiście.

– Przyznaję, że jesteś dobrym człowiekiem.

– Nawiasem mówiąc, powstrzymałem cię przed zatłuczeniem Psipsiny, żeby uratować ci życie – rzekł Corelli. – Gdybym cię nie powstrzymał, zginąłbyś z rąk Pelagii.

– Eeeegh – wybełkotał Weber, udając, że się dusi. – Gdzie ona jest? Myślałem, że lubi, jak śpiewamy.

– Lubi, ale to, że jest jedyną kobietą w gromadzie młodych mężczyzn, sprawia, że czuje się zażenowana. Przypuszczam, że słucha nas z kuchni.

– Wcale nie! – zawołała Pelagia.

– No proszę – rzekł Weber. – Antonio właśnie zasugerował, że powinniśmy przywieźć parę dziewczyn z Casa Rosetta, by wyrównać siły. Co ty na to?

– Mój ojciec wyrzuciłby całą La Scalę z domu i musielibyście powrócić do śpiewania w latrynach.

– Moglibyśmy sprowadzić dwa wozy opancerzone i wkroczyć mimo to – odparł Niemiec. – Powiódł spojrzeniem po twarzach, które nie uśmiechnęły się, słysząc jego uwagę, i dodał: – To tylko taki żarcik.

– Nasze wozy opancerzone nie byłyby w stanie wjechać na to wzgórze – zauważył jeden z barytonów. – Musielibyśmy pożyczyć jeden z waszych.

– To kłamstwo i potwarz – odparł któryś z tenorów. – Jeżdżą bardzo dobrze, jeżeli tylko zdejmie się z nich pancierz. No, zaśpiewajmy coś.

– „Giovinezze” – entuzjastycznie zaproponował Weber, a cała reszta jęknęła. – Dobrze, już dobrze, przyniosę gramofon z samochodu i możemy pośpiewać z Marleną.

– A potem możemy przejść do piosenek miłosnych – rzekł Corelli – ponieważ mamy dziś piękną noc, w przyrodzie panuje spokój i powinniśmy być romantyczni.

Weber poszedł do swojego dzipa i wrócił z gramofonem. Postawił go na stole z dumą właściciela i przekręcił igłę w dół. Rozległ się dźwięk podobny do szumu odległego morza, a potem pierwsze wojskowe takty „Lili Marlene”. Dietrich zaczęła śpiewać głosem pełnym tęsknej melancholii, zamiłowania do ziemskich rozkoszy, smutku zrodzonego z wiedzy o życiu i pragnienia miłości.

– Och, ona jest ucieleśnieniem seksu! – wykrzyknął Weber. – Na myśl o niej rozpływam się z pożądania.

Niektórzy przyłączyli się do śpiewu, a Corelli zaczął ćwiczyć melodię na mandolinie.

– Antonii się to podoba – orzekł. – Antonia będzie śpiewać. – Zaczął wprowadzać muzyczne ozdobniki, a potem fragmenty błyskawicznych palcówek, które wypełniały game między nutami. W ostatniej zwrotce wkomponował w melodię tremolando wznoszące się nad nią dyszkantem, ozdobił je figlarnymi glissandami, pauzami i ritardandami, wspiął się

ambitnie ku najwyższym dźwiękom instrumentu, a potem opadł w zachwycający sposób na donośny środkowy zakres trzeciej i drugiej struny. Ludzie w wiosce przerwali swoje zajęcia i słuchali, jak Corelli wypełnia noc dźwiękami. Gdy muzyka umilkła, westchnęli, a Kokolios rzekł do swojej żony:

– Ten człowiek jest stuknięty, i w dodatku to makaroniarz, ale w palcach ma słowniki.

– To lepsze niż słuchanie, jak chrapiasz i pierdzisz przez całą noc – odparła Kokoliosowa.

– Pierdnięcie proletariusza jest wspanialszą muzyką niż piosenka burżuazja – oświadczył, a ona skrzywiła się i powiedziała:

– Chciałbyś.

Pelagia wyszła z kuchni, przypominając w przyćmionym świetle świecy ducha.

– Zagraj to jeszcze raz – poprosiła. – To było takie piękne. – Poglądziła wypolerowane drewno Weberowskiego gramofonu. Urządzenie to, podobnie jak motocykl Corellego, stanowiło kolejny cud współczesnego świata, który dotąd unikał kefalońskiej ziemi. Było czymś pięknym i wspaniałym w świecie zagubienia i rozłąki, utraty i lęku.

– Podoba ci się? – zapytał Weber i Pelagia melancholijnie skinęła głową. – W porządku – ciągnął dalej – gdy po wojnie pojedę do domu, zostawię ci gramofon. Będziesz go mogła zatrzymać. Sprawi mi to wielką radość, a ty na zawsze zapamiętasz Güntera. Bez trudu kupię inny w Wiedniu. Możesz go przyjąć w imieniu Psipsiny, na dowód przeprosin.

Pelagia była wzruszona, nie posiadała się niemal z radości. Popatrzyła na uśmiechniętego młodzieńca w eleganckim mundurze, o krótko przystrzyżonych jasnych włosach i piwnych oczach, i jej serce przeppełniło się wdzięcznością.

– Jesteś taki miły – powiedziała i w bardzo naturalny sposób pocałowała go w policzek.

Chłopcy z La Scali wzniesli gromkie okrzyki, a Weber splonął rumieńcem, zakrywając ręką oczy.

XLIX

Doktor udziela rad kapitanowi

Doktor i kapitan siedzieli w domu przy kuchennym stole; Corelli zdejmował zerwaną strunę z mandoliny i biadał nad niemożnością zdobycia nowych.

– Może wystarczy drut chirurgiczny? – zapytał Janis, pochylając się i uważnie oglądając uszkodzoną strunę przez okulary. – Chyba mam parę tej samej grubości.

– Struna musi być odpowiednia – odparł Corelli. – Jeśli jest zbyt gruba, trzeba ją naciągnąć ponad wytrzymałość instrumentu, a wtedy ten składa się wpół. Jeżeli jest zbyt cienka, robi się zanadto wiotka, by wydawać porządny dźwięk, i brzęczy.

Doktor przechylił się do tyłu i westchnął. Nagle zapytał:

– Czy macie zamiar się pobrać? Jako jej ojciec mam chyba prawo wiedzieć.

Kapitan był tak zaskoczony obcesowością pytania, że zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Wszystko dotąd mogło się odbywać na zasadzie, że nikt nie poruszał tej kwestii otwarcie; wszystko mogło w ogóle funkcjonować pod warunkiem, że była to mroczna tajemnica, którą wszyscy znali. Corelli patrzył w zdumieniu na doktora, poruszając bezgłośnie ustami niczym nieostrożna ryba, która pozwoliła się wyrzucić znienacka fali na piaszczystą mierzeję.

– Nie możecie tutaj mieszkać – rzekł Janis. Wskazał na mandolinę. – Jeżeli chcesz zostać muzykiem, to ta wyspa jest ostatnim miejscem, w którym można by nim być. Musiałbyś pojechać do domu lub do Ameryki. A nie sądzę, by Pelagia mogła żyć we Włoszech. Jest Greczynką. Umarłaby jak kwiat pozbawiony światła.

– Ach – odparł kapitan, daremnie szukając w głowie jakiegokolwiek inteligentnej uwagi.

– To prawda – ciągnął doktor. – Wiem, że nie myślałeś o tym. Włosi zawsze działają bez zastanowienia, to źródło wielkości i przyczyna upadku waszej cywilizacji. Niemiec planuje z miesięcznym wyprzedzeniem, co będzie trawił na Wielkanoc, a Brytyjczycy planują wstecz, więc zawsze wygląda na to, że wszystko wydarzyło się zgodnie z ich zamierzeniami. Francuzi planują wszystko, udając, że się dobrze bawią, a Hiszpanie... no cóż, Bóg jeden ich wie. W każdym razie chodzi mi o to, że Pelagia jest Greczynką. Czy zatem to się może udać?

Nawet jeśli pominiemy ewidentne przeszkody?

Kapitan odwinął splątany przy kołkach strojących drut i odparł:

– Z całym szacunkiem, ale nie o to chodzi. To sprawa bardziej osobista. Pozwoli pan, że się panu zwierzę, *dottore*. Pelagia powiedziała mi, że ja i pan jesteśmy bardzo do siebie podobni. Moją obsesją jest muzyka, pańską zaś – medycyna. Obaj jesteśmy ludźmi, którzy postawili przed sobą konkretny cel i żaden z nas nie dba o to, co inni mogą o nas myśleć. Pelagia mogła mnie pokochać tylko dlatego, że najpierw nauczyła się kochać innego mężczyznę, do którego ja jestem podobny. I ten mężczyzna to właśnie pan. Tak więc narodowość jest tu rzeczą drugorzędną.

Doktor był tak wzruszony tą hipotezą, że aż go coś ścisnęło w gardle. Stłumił jednak emocje i rzekł:

– Nie rozumiesz nas.

– Oczywiście, że rozumiem.

Doktor Janis zirytował się trochę.

– Ależ skąd – odparł nieco porywczo. – Myślisz, że dostaniesz miłą i uległą dziewczynę i że wszystkie wasze ścieżki będą usłane różami? Nie pamiętasz już, jak pytałeś, dlaczego Grecy uśmiechają się, gdy są rozgniewani? No cóż, pozwól, że ci coś powiem, młody człowieku. Każdy Grek, mężczyzna, kobieta i dziecko, ma w sobie dwóch Greków. Mamy nawet na to techniczne określenia. Są oni częścią nas, równie nieuchronną jak fakt, że wszyscy piszemy wiersze, oraz to, że każdy z nas uważa, iż wie wszystko, co warto wiedzieć. Wszyscy jesteśmy gościnni dla cudzoziemców, wszyscy za czymś tęsknimy, każda grecka matka traktuje swoich dorosłych synów jak niemowlęta, każdy grecki syn traktuje swoją matkę jak świętą i bije swoją żonę, nikt z nas nie lubi samotności, każdy próbuje dowiedzieć się od obcego, czy nie jest z nim spokrewniony, każdy stosuje wszystkie znane mu długie słowa najczęściej, jak to możliwe, każdy wychodzi wieczorem na spacer, żeby zaglądnąć do sąsiadów przez płot, każdy myśli, że dorównuje najlepszym. Rozumiesz?

Kapitan był zakłopotany.

– Nie powiedział mi pan o dwóch Grekach w duszy każdego Greka.

– Nie powiedziałem? No cóż, chyba odbiegłem od tematu. – Doktor wstał i zaczął chodzić dookoła, gestykulując wymownie prawą ręką, w lewej zaś ściskając swą fajkę. – Posłuchaj, zwiedziłem cały świat. Widziałem Santiago de Chile, Szanghaj, Sztokholm, Addis Abebę, Sydney, wszystkie te miasta. Cały czas uczyłem się, by zostać lekarzem, i zapewniam cię, że ludzie są najbardziej sobą wtedy, gdy chorują lub są ranni. Wtedy właśnie wychodzą na jaw cechy ludzkiego charakteru. Prawie zawsze pływałem na statkach, których załogi

składały się głównie z Greków. Rozumiesz, co to znaczy? Jesteśmy plemieniem uchodźców i marynarzy. Chcę powiedzieć, że lepiej niż większość ludzi wiem, jacy naprawdę są Grecy. Najpierw powiem ci o Hellenach. Hellen posiada cechę, którą zwiemy *sofrosyne*. Ten Grek unika przesady, zna swoje ograniczenia, tłumi w sobie przemoc, szuka harmonii i rozwija poczucie proporcji. Wierzy w rozum, jest duchowym spadkobiercą Platona i Pitagorasa. Ci Grecy nieufnie traktują własną wrodzoną impulsywność i zamiłowanie do zmian dla samych zmian i narzucają sobie dyscyplinę, żeby mimo woli nie stracić panowania nad sobą. Kochają wykształcenie dla samego wykształcenia, w ocenie innych nie biorą pod uwagę ich pozycji ani bogactwa, skrupulatnie przestrzegają prawa, wydaje im się, że Ateny to jedyne ważne miejsce na świecie, mierzą ich haniebnymi kompromisami; uważają oni w dodatku, że są uosobieniem europejskości. Źródłem tych cech jest krew naszych starożytnych przodków, która wciąż w nas płynie. – Doktor przerwał, pyknął z fajki, po czym mówił dalej: – Ale egzystując obok Hellenów, musimy również żyć z *Romei*. Chyba mogę zwrócić ci uwagę, kapitanie, że to słowo pierwotnie znaczyło „Rzymianie”, i uosabiało te właśnie cechy, które nabyliśmy od twoich przodków – a podczas setek lat panowania nie dokonali oni żadnego postępu technologicznego i zniewolili całe narody, całkowicie lekceważąc wszelkie zasady moralne. To ludzie bardzo podobni do waszych faszystów, tak że z nimi powinieneś się czuć swobodnie, gdyby nie to, że – jak mi się zdaje – osobiście nie posiadasz żadnej z ich wad. Oni są improwizatorami, dążą do władzy i bogactwa, działają nieracjonalnie, ponieważ kierują się instynktem i intuicją, tak że wszystko partaczą. Nie płacą podatków i przestrzegają prawa tylko wtedy, gdy nie ma innej możliwości, wykształcenie postrzegają jako sposób wysuwania się na czoło, zawsze poświęcają ideał dla własnego interesu. Lubią się też upijać, tańczyć i śpiewać, i tłuc sobie butelki na głowach. Mają w sobie nikczemną złośliwość i brutalność, które mogę ci unaocznić, tylko odwołując się do gazowania przez was tubylców w Etiopii i waszych bombardowań szpitali polowych Czerwonego Krzyża. Jedynym punktem styczności między tymi dwiema stronami Greka jest miejsce opatrzone etykietą „patriotyzm”. Zarówno *Romei*, jak i Helleni z radością zginają Grecję, ale Helleni będą walczyli mądrze i po ludzku, a tamci uciekną się do każdego podstępu i barbarzyństwa i w beztroski sposób niepotrzebnie poświęcą życie swoich żołnierzy, tak jak robi to wasz Mussolini. W gruncie rzeczy swą chwałę mierzą liczbą ludzi posłanych na śmierć, a bezkrwawe zwycięstwo jest dla nich zwykłym rozczarowaniem.

Kapitan potraktował słowa Janisa bardzo sceptycznie.

– Cóż zatem chce pan przez to powiedzieć? Czy to, że Pelagia posiada oblicze, którego nie znam i które wstrząsnęłoby mną, gdybym je ujrzał?

Doktor pochylił się do przodu i przeszył powietrze palcem.

– Właśnie. I jeszcze jedno – ja także mam to oblicze. Nigdy go nie widziałeś, ale je mam.

– Z całym szacunkiem, *dottore*, ale nie wierzę w to.

– Bardzo się cieszę z tego powodu. Ale nawet w lepszych chwilach mojego życia wiem, jak wygląda prawda.

Między dwoma mężczyznami zapadło milczenie. Doktor zasiadł przy stole, by ponownie zapalić swą nieposłuszną fajkę, wypełnioną wstrętną mieszanką płatków róży, podbiału i innych ziół, która nawet w przybliżeniu nie przypominała tytoniu. Parsknął i zakaszłał gwałtownie.

– Kocham ją – rzekł w końcu Corelli, jak gdyby te słowa były dla niego rozwiązaniem problemu. Nagle coś go zaniepokoiło. – Chyba potrafiłby pan się z nią rozstać? Czy też próbuje mnie pan zniechęcić?...

– Musielibyście zamieszkać tutaj, i to wszystko. Gdyby Pelagia wyjechała do Włoch, umarłaby z tęsknoty za domem. Znam moją córkę. Może musiałbyś wybierać między miłością do niej a zawodem muzyka.

Doktor wyszedł z pokoju, dla efektu raczej niż z innego powodu, a potem wrócił.

– I jeszcze jedno. To bardzo stara ziemia i przez dwa tysiące lat doświadczaliśmy tutaj ciągłych rzezi. Ofiary, wojny, morderstwa, nic oprócz śmierci. Mamy tyle miejsc pełnych zawziętych duchów, że każdy, kto zbliża się do tych miejsc lub w nich mieszka, staje się nieczuły lub obłąkany. Nie wierzę w Boga, kapitanie, i nie jestem przesądny, wierzę natomiast w duchy. Na tej wyspie przeżyliśmy masakry w Sami i Fiskardo i Bóg jeden wie, gdzie jeszcze. Będą następne. To tylko kwestia czasu. Nie snujcie więc żadnych planów.

L

Czas rozziewu

Alianci dokonali inwazji na Sycylię z przyczyn strategicznych; czyniąc to, zdradzili swojego najdawniejszego i najwaleczniejszego sojusznika, Grecję. Dali komunistom rok na przygotowanie zamachu i rok na prowadzenie wojny domowej. ELAS zniszczyła EKKa i odsunęła EDES tak daleko od ośrodków władzy, że Zerwas, jej przywódca, przez resztę swego życia czuł się zdradzony przez Brytyjczyków. Sojusznicy rzucili się Rzeszy do gardła we Włoszech i położyli na szali mały naród, który dał Europie jej kulturę, rozmach i ducha. Wściekli Grecy dowiadywali się z BBC wszystkiego o zniszczeniu faszyzmu w Italii i chcieli wiedzieć, dlaczego ich zlekceważono. Brytyjscy oficerowie łącznikowi, bezsilni i zniechęceni, załamywali ręce i bezradnie przyglądali się rozpadowi kraju. Komuniści w armii greckiej w Syrii podżegali żołnierzy do buntu, który jeszcze bardziej opóźnił zwycięstwo we Włoszech. Wtedy właśnie wybuchła zimna wojna i zaczęła opadać żelazna kurtyna. Na Zachodzie podziw i szacunek dla heroizmu Sowietów zaczął słabnąć i stało się rzeczą zupełnie jasną, że jeden rodzaj faszyzmu zostanie lada chwila zastąpiony następnym. W Wielkiej Brytanii i Ameryce początkowo nikt nie wierzył, że komuniści w Grecji popełniają okrucieństwa na niewyobrażalną skalę; dziennikarze przypisywali to prawicowej propagandzie, a nie dający temu wiary Grecy – bułgarskim renegatom.

Jeśli jednak nawet nie na Morzu Jońskim, to przynajmniej na niektórych morzach powrócił czas cudów i niezwykłości. Podczas operacji „Arka Noego” Brytyjczycy nękali wycofujące się na beaufighterach i łódkach wojska Osi, przekształcając żelazny pierścień w żelazną klatkę. Na Lesbos komuniści przejęli władzę i ogłosili utworzenie niezależnej republiki. Na Chios odkryto siedzibę gestapo, w której zmuszano więźniów do spędzania nocy w piwnicy w towarzystwie kościotrupa. Niemiecki dowódca zginął od bomb lotniczych podczas stosunku z kochanką. U wybrzeży Inusii Brytyjczycy odkryli wyspę, gdzie każdy tubylec mówił płynnie po angielsku i gdzie wszyscy nazywali się albo Lemmos, albo Pateras. Żołnierze wojsk inwazyjnych zabili dowódców na Nisiros, Simi i Piscopi, a Patrick Leigh-Fermor i Billy Moss porwali komendanta Krety. Na Santorynie najeźdźcy uśmiercili dwie trzecie garnizonu w odwet za utratę dwóch żołnierzy. Z kolei na Krecie puścili z dymem

dziewięćset tysięcy litrów paliwa. Na Mikonos i Amorgos zniszczono stacje radiowe i pięciu ludzi wzięło kupę jeńców. Na Chios paru żołnierzy Królewskiej Marynarki Wojennej zniszczyło dwa niszczyciele, mimo że wbrew uzgodnieniom miejscowi partyzanci nie pojawili się, „straciwszy zainteresowanie” akcją. Bardzo nie lubili przyłączać się do ataków, które zaplanował ktoś inny, i nie chcieli w nich uczestniczyć, nawet gdyby ludzie z ich szeregów wpadli na ten sam pomysł. Na Samos tysiąc Włochów poddało się Maurice'owi Cardiffowi i dwudziestu trzem jego żołnierzom, a potem wspólnie zasiedli do śniadania; Cardiff odkrył, że z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu wszyscy miejscowi lekarze mówią po francusku. Na Naksos niemiecki komendant miejscowego garnizonu poddał się przez pomyłkę; podpłynął łodzią wiosłową, by powitać statek płynący, jak mu się wydawało, pod czerwoną banderą ze swastyką, a w rzeczywistości pod banderą brytyjskiej marynarki handlowej. Wpadł z tego powodu w tak głęboką depresję i płakał tak gorzkimi łzami, że załoga statku musiała go pocieszać, ucząc grać w *ludo*. W tym czasie jeden funt szterling był wart dwa miliardy drachm, a jedno cygaro kosztowało siedem i pół miliona. Przedsiębiorczy mieszkańcy Lesbos oferowali korzystny kurs wymiany i trafiała tam, z pozoru samorzutnie, każda moneta i każdy banknot z całego regionu. Na Syros widziano grupę Niemców uciekających bez spodni. Komuniści przyzwyczaili się żądać dwudziestu pięciu procent od wszystkiego w formie podatku i w wielu miejscowościach rozczarowani ludzie odchodzili z partii. Później na Krecie i na Samos zwrócili się przeciwko komunistom i pokonali ich. Powiadają, że Kreteńczycy żądali oddania wyspy pod panowanie Brytyjczyków, ale ci odmówili, tłumacząc, że wystarczająco kłopotliwe są dla nich próby zarządzania Cyprzem. Razem wzięwszy, kosztem dziewiętnastu ofiar śmiertelnych, czterystu żołnierzy sił specjalnych powstrzymywało czterdziestotysięczne wojska Osi, składając trzysta osiemdziesiąt jeden wizyt na siedemdziesięciu różnych wyspach. Plaga dokonywanego na chybił trafił podrzynania gardeł i niewytłumaczalnych eksplozji tak silnie naruszyła germańskie morale i zmysł robienia wszystkiego we właściwy sposób, że Niemcy stali się zupełnie bezradni, a Włosi, którzy nigdy nie widzieli sensu prowadzenia walk, poddawali się grzecznie i z przyjemnością.

Na Kefalonii włoscy żołnierze słuchali radia i zaznaczali na mapie trasę marszu alianców po cholewie włoskiego buta, podczas gdy załoga niemieckiego garnizonu kipiała z oburzenia. Corelli i jego koledzy oficerowie wyczuwali w powietrzu lodowaty chłód. Braterskie wizyty żołnierzy z baz dwóch sojuszników ustały. Gdy Weber pojawiał się na spotkaniach La Scali, wydawał się bardzo wyciszony i sztywny, a w jego spojrzeniu widać było przyganę.

Pewnego dnia, w trakcie tych wydarzeń, Pelagia zastała Corellego na murku, jak błądząc gdzieś myślami, głaskał Psipsinę. Gdy odwrócił się twarzą do dziewczyny, w oczach miał niepokój.

– Co zrobimy, jeżeli będziemy musieli się poddać, zanim zrobią to Niemcy? – zapytał.

– Pobierzemy się.

Pokręcił ze smutkiem głową.

– Zapanuje zupełny chaos. Nie ma szans na wejście Brytyjczyków. Idą prosto na Rzym. Nikt nas nie uratuje, jeżeli sami się nie uratujemy. Wszyscy chłopcy uważają, że powinniśmy rozbroić Niemców już teraz, dopóki ich garnizon jest niewielki. Wysłaliśmy poselstwo do Gandina, ale on nic nie robi. Twierdzi, że powinniśmy im ufać.

– A nie ufacie?

– Nie jestem durniem. A Gandin to jeden z oficerów, którzy awansowali na szczyty, posłusznie wypełniając rozkazy. Nie wie, jak się je wydaje. Jest po prostu kolejnym typowym osłem w generalskim mundurze, który nie ma rozumu ani odwagi.

– Wejdz do domu – zaproponowała Pelagia. – Ojca nie ma i możemy przytulić się do siebie. Ma teraz do wyleczenia mnóstwo przypadków gruźlicy.

– Przytulanie się tylko pograżyłoby mnie w smutku, *koricimu*. Jestem pełen obaw.

Obok przeszedł ojciec Arsenios w towarzystwie Bunny'ego Warrena – obaj sponiewierani, w pokrytych kurzem łachmanach.

– Antonio, muszę ich o coś zapytać, zaraz wrócę – powiedziała szybko Pelagia.

Arsenios stanął przy studni i wymachiwał swoim pastorałem. Jego nieszczęsny piesek osunął się na zacienione kamienie i zaczął się lizać. Na opuszkach łap miał krew.

– Jakże ciemnieje złoto! Jakże się zmienia najczystszy kruszec! Język ssącego spragnionego dziecka przyłgnął mu do podniebienia; dzieci proszą o chleb, lecz żaden człek nie dzieli go pomiędzy nie. Ci, którzy jedli przysmaki, żyją w osamotnieniu na ulicy, a tym, których wychowano w luksusach, zostały gnojowiska... – zaczął Arsenios, a Pelagia wzięła Warrena pod rękę i odprowadziła na stronę.

– Bunnios, kiedy przyjdą Brytyjczycy? Muszę to wiedzieć. Co się stanie z Włochami, gdy skapitulują? Proszę, powiedz mi.

– Tego powiedzieć nie mogę – odparł Warren – albowiem sam tego nie wiem i nie wie tego żaden człek.

– Twój grecki ogromnie się poprawił – zauważyła zdumiona – ale akcent nadal jest... dziwny. Proszę, powiedz mi. Martwię się. Czy Niemcy sprowadzili więcej żołnierzy? To ważne.

– Nie, myślę, że nie.

Pelagia zostawiła go. Słyszała potem, jak co jakiś czas wykrzykuje „amen”. Może Brytyjczycy rzeczywiście byli narodem aktorów i szarlatanów. Wróciła do Corellego i powiedziała:

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

– Mówisz poważnie? Idziesz, pytasz o zdanie jakiegoś religijnego pomyleńca i oczekujesz, że w to uwierzę?

– Och, człowieku małej wiary. No, wejdź do środka. Psipsina schwytała mysz i wypuściła zdobycz pod stołem. Chyba ty powinienes ją dla mnie złapać. Ostatnio widziałam, jak zmykała za kredens.

– Po wojnie, gdy się pobierzemy, będziesz sobie sama łapać myszy. Po trzydziestce nie będę już taki rycerski.

W czasie gdy Corelli grzebał kijem od miotły za kredensem, powietrze niesło przez okno muzykę gwałtownych „amen” Bunny'ego Warrena i proroczego głosu Arseniosa:

– ... Nasze dziedzictwo przekazuje się cudzoziemcom, a nasze domy obcym. Zostaliśmy osieroceni, nasze matki są niczym wdowy... Karki nasze zginają się pod batem prześladowców, trudzimy się bez chwili wytchnienia... Słudzy zapanowali nad nami i nie ma nikogo, kto wyrwałby nas z ich rąk... skóra szerniała nam jak sadza od straszliwego głodu... Czemuś zapomniał o nas na zawsze i opuścił na tak długo?

– Ten duchowny ma cudowny basowy głos – zauważył Corelli, wyrzucając przez okno mysz, którą przed chwilą złapał za ogon. – To mi przypomina dzień, w którym zszedłem do portu, by posłuchać rybaków. Mieli jakieś bardzo dziwne instrumenty, których nigdy wcześniej nie widziałem. I ten ich śpiew, to było fantastyczne. Zapisałem sobie niektóre melodie.

– Układają je w trakcie śpiewu. Zawsze są inne.

– Nie do wiary. Była jedna piosenka, którą zaśpiewali parę razy. Namówiłem ich, żeby mnie jej nauczyli... – Zanucił uroczystą marszową melodię, wymachując palcem jak batutą. Przerwał dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że Pelagia się śmieje. – Co cię tak bawi?

– Przecież to nasz hymn narodowy – odparła.

LI

Paraliż

Wyobraźmy sobie widmo Homera piszącego:

Nic nie sieje w silnym człowieku, nawet w najsilniejszym, takiego spustoszenia jak morze. Nie było jednak niewyobrażalnego bezmiaru słonej wody, grubiańskiej arogancji fał wstrząsających ładem i uskrzydłonego padlinożerstwa wichru równie destrukcyjnych jak paraliż generała Gandina. Brzemię kłopotów skłaniało go do bezczynności, a jego zabiegi były bardziej daremne niż uprawa winogron na pustyni i hodowla ryb w słonym jeziorze. Był człowiekiem przerażonym, najbardziej niezdecydowanym ze śmiertelników, natychmiast uciekającym w nieprzytomne milczenie. Znosił nieubłagane cierpienia, zrodzone z konieczności podejmowania decyzji, i w swej dezorientacji był równie bezradny, jak ludzie w moich czasach, którzy przyglądali się chmarom ptaków latających tam i z powrotem w jaskrawym świetle słońca, nie wiedząc, które z nich mogą nieść przesłanie niebios.

Jeżeli w ogóle istniała podnieta, wzmagająca jego bezczynność, to była nią szaleńcza nadzieja i rozpaczliwa potrzeba oszczędzenia krwi nieszczęsnych ludzi, których miłował. Skierował się w ślepią uliczkę i wkrótce skazał ich na przerażający los, nie dostrzegając w obietnicach nazistów maski fałszu tak grubej, że ufając im, skazał swoich pięknych młodzieńców na pastwę psów i drapieżnych ptaków lub spoczynek pod całunem wiecznie falującego morza. Chory ze strachu, skrywający niepokój za parawanem bezmyślnych pertraktacji i jawnie absurdalnych rozkazów, wyznaczył swym żołnierzom czas rozstania nie tylko z piękną wyspą, ale i z samym życiem.

Tak właśnie mógłby napisać ociemniały bard, było bowiem rzeczą pewną, iż generał Gandin nie miał bystrych oczu przebiegłego Odyseusza, nie prowadziła go również Atena, bogini przenikliwości. Rzym wydawał sprzeczne polecenia, a Vecchiarelli słał z Aten rozkazy, których nie był władny wydać. Gandin nie miał na czym się oprzeć i dlatego nie potrafił poruszyć ziemi.

Ale to wszystko następowało powoli. Zaczęło się od radia. Szyby brzęczały od

przelatujących w górze angielskich i amerykańskich samolotów, a Carlo chaotycznie manipulował pokrętłami urządzenia, które tak długo nadawało z Włoch jedynie denerwujące gwizdy i piski. Na Sycylii włoscy żołnierze poddali się z radosną ulgą, a tajemnicą poliszynela było to, że Badoglio ma zamiar zakończyć wojnę. Dziewiętnastego lipca Amerykanie zrzucili na Rzym tysiąc ton bomb burzących, niszcząc linie kolejowe, lotniska, fabryki i budynki rządowe, pozostawiając setki ofiar, lecz oszczędzając zabytki starożytności i Watykan. Papież zalecił zwaśnionej ludności cierpliwość. Dwudziestego piątego lipca król Wiktor Emanuel uwięził swego nieprawdopodobnie wojowniczego premiera i mianował na jego miejsce sędziwego marszałka Badoglio, tego samego, który sprzeciwiał się wszelkim planom inwazji na Grecję i którego, mimo że był szefem sztabu, nie poinformowano o niej nawet wtedy, gdy już nastąpiła. Dwudziestego szóstego lipca Badoglio ogłosił stan wyjątkowy, aby zapobiec wojnie domowej. Dwudziestego siódmego poprosił podejrzliwych aliantów o określenie warunków kapitulacji. Ludzie szaleli z radości, świętując na ulicach cudowny i zadziwiająco nagły upadek Benito Mussoliniego. Dwudziestego ósmego Badoglio rozwiązał partię faszystowską, dwudziestego dziewiątego uwolnił więźniów politycznych, którzy gnili w więzieniach bez postawienia w stan oskarżenia, niektórzy od ponad dziesięciu lat, ale wojna przeciągała się. Niemcy bardzo wzmocnili swoje siły i walczyli z Brytyjczykami i Amerykanami ze zdumiewającym męstwem, podczas gdy ich włoscy sojusznicy ustępowali pola. Brytyjscy żołnierze wspominają, że włoskie oddziały nabrały zwyczaju przechodzenia na stronę potencjalnych zwycięzców zgodnie z własną oceną sytuacji, a na obszarach przechodzących z rąk do rąk miejscowa ludność obrzucała każde nacierające wojska kwiatami, zbierając je później po to, by ponownie ich użyć.

Trzeciego września Badoglio podpisał z aliantami tajne zawieszenie broni, ale Niemcy przewidzieli to i dokonali desantu na jednym z teatrów toczącej się wojny. Doszło do tego na wyspie Kefalonii, miejscu, które podróżnicy przyrównują do pozbawionego masztów okrętu wojennego, a miastem, w którym wylądowali, było Liksuri. Przybyli pierwszego sierpnia, dając sobie trzydzieści dni na przygotowania, a Włochom miesiąc, w którym mogli obserwować, jak się szykują. Gandin natomiast nie zarządził żadnych kontrprzygotowań.

Po drugiej stronie zatoki, w Argostoli, włoscy żołnierze umilkli po raz pierwszy od czasu inwazji aliantów na Sycylię. La Scala nie zbierała się już w domu doktora, a muzyka orkiestry wojskowej na rynku stała się nierówna i ponura. Włoscy żandarmi nadal dezorganizowali ruch na ulicach przenikliwymi dźwiękami gwizdków, ale tylko nieliczni niemieccy oficerowie spacerowali po mieście i popijali w kawiarniach ze starymi włoskimi przyjaciółmi. Günter Weber przebywał w koszarach, przepelnięny coraz bardziej jadem

wściekłości na wieść o kolejnych zdradach Włochów. Nigdy jeszcze nie czuł się tak upokorzony, choć na samej wyspie włoscy żołnierze nie uczynili nic haniebnego. Myślał o swoim przyjacielu Corellim i zaczął nim gardzić. Obecnie gardził nawet mieszkankami włoskiego burdelu, smutnymi i pustogłowymi dziewczynami o pięknych ciałach i nienaturalnych twarzach, które wciąż dokazywały nago wśród fal, jakby nic się nie stało. Był tak zły, że choć wcześniej pragnął je kupić, teraz chciał je tylko gwałcić. Gdy na drodze z Liksuri ukazała się kawalkada motocykli i ciężarówek, bardzo się ucieszył; ktoś musiał wreszcie pokazać Włochom, jak walczyć, jak się nie załamywać, jak stawiać czoło śmierci zamiast okryć się hańbą.

Corelli rzadziej wracał na noc do domu doktora, ponieważ dniem i nocą prowadził ćwiczenia ze swoją baterią. Podciąganie przodków dział, ładowanie, zatraskiwanie zamka, celowanie, strzelanie, pomiar odległości celu, zmiana celu, usuwanie przodków w razie ataków lotniczych, żeby umieszczone na nich pociski, eksplodując, nie zniszczyły dział po bezpośrednim trafieniu. Jego żołnierze ciężko pracowali w apokaliptycznym upale sierpnia, spływając stróżkami potu, które żłobiły nierówne rynienki na osmolonych twarzach i rękach. Skóra ich ramion pokryła się pęcherzami, które pękając, pozostawiały łąty purpurowych oparzeń, jątrzących się i swędzących, oni jednak się nie skarżyli. Wiedzieli, że kapitan ma rację, zarządzając ćwiczenia.

On sam przestał grać na mandolinie; czasu na to było tak niewiele, że gdy brał ją do ręki, w porównaniu z bronią wydawała się obca. Musiał odegrać wiele gam, zanim palce nabrały właściwego tempa, a jego tremolanda stały się nierówne i ospałe. Od czasu do czasu, gdy liczył na to, że nie zastanie ojca Pelagii, jeździł do niej na motorze; przywoził ze sobą chleb, miód, butelki wina, podpisaną fotografię ze słowami: „Po wojnie...”, wykaligrafowanymi eleganckim i obco wyglądającym charakterem pisma, oraz swą zmęczoną poszarzałą twarz z posmutniałymi oczyma fatalisty i wyrazem spokojnej godności.

– Mój miły biedaku, nie martw się, nie martw, nie martw – mówiła Pelagia, obejmując go rękami za szyję – a on odsuwał się trochę i odpowiadał:

– *Koricimu*, pozwól mi tylko patrzeć na ciebie.

A potem nadszedł moment, gdy Carlo słuchał radia, próbując znaleźć jakiś sygnał. Był ósmy dzień września i wieczory stały się znacznie chłodniejsze niż przedtem. Sen był teraz mniej gorączkowy, a bryza od morza bardziej orzeźwiająca. Carlo często rozmyślał w ostatnich dniach o swoim dawnym ukochanym i teraz lepiej niż kiedykolwiek rozumiał, że to wszystko było jedynie marnotrawstwem i że czas spędzony na Kefalonii stanowił tylko

interludium, wakacje od wojny, która krąży wokół jak lwica i jest gotowa znowu się na nich rzucić. Żałował, że nie istnieje prawo natury, które wykluczałoby możliwość następnej podróży przez Hades. Usłyszał jakiś głos i szybko obrócił pokrętko z powrotem, by go odnaleźć.

– ... wszelkie agresywne działania włoskich sił zbrojnych przeciwko wojskom brytyjskim i amerykańskim ustaną natychmiast na całym froncie. Włoskie oddziały muszą być przygotowane do odparcia ataków z innej strony.

Za oknem zaczęły bić dzwony na wyspie, weneckie dzwonnice rozbrzmiewały płonną nadzieją na pokój, tak jak kiedyś we Włoszech były z radosnej dumy z okazji rozpoczęcia wojny. Wrzawa rozniosła się po okolicy: Argostoli, Liksuri, Sulari, Dorizata, Assos, Fiskardo. Po drugiej stronie Cieśniny Itackiej dzwony były w Wathi i Frikes, były również daleko na Zakynthos, Lefkase i Korfu. Wysoko na górze Enos stał i słuchał Alekos. To nie mógł być dzień świąteczny, może więc skończyła się wojna. Przyłożył rękę do czoła i spojrzął na doliny; taki właśnie głos dało się pewnie słyszeć w niebie, gdy nocą Bóg zapędzał wszystkie swoje owieczki do zagrody.

Carlo wysłuchał tekstu obwieszczenia marszałka Badoglio, a potem odczytano jeszcze komunikat samego Eisenhowera:

– ... wszyscy Włosi, którzy teraz pomagają wyrzucić niemieckiego agresora z włoskiej ziemi, otrzymają pomoc i wsparcie sprzymierzonych...

Carlo wybiegł przed dom i zobaczył, że Corelli właśnie zatrzymuje motocykl, wzbijając za sobą wielki kłęb niebieskiego dymu.

– Antonio, Antonio, wszystko skończone, a alianci obiecali przyjść nam z pomocą. Wojna skończona. – Objął człowieka, którego kochał, i podniósł go do góry, zataczając w tańcu koło.

– Carlo – przywołał go do porządku kapitan – postaw mnie na ziemi. Nie podniecaj się tak. Alianci nie troszczą się o nas. Jesteśmy w Grecji, pamiętasz? *Merda*, Carlo, nie zdajesz sobie sprawy ze swej siły. Omal mnie nie udusiłeś.

– Oni nam pomogą – powiedział Carlo, ale Corelli pokręcił głową.

– Jeżeli teraz nie przystąpimy do akcji, to po nas. Musimy rozbroić Niemców.

Tej nocy włoskie okręty wojenne w portach Kefalonii podniosły kotwice i uciekły w kierunku Włoch. Były wśród nich trałowce, kutry torpedowe i jeden pancernik. Ich dowódcy nie uprzedzili o tym nikogo i nie zabrali ze sobą ani jednego Włocha z wyspy. Ani jednego żołnierza, ani jednej bezradnej wojskowej dziwki. Zabrali ze sobą potężną siłę ognia okrętowych dział i pozostawili jedynie wilgotny siarkowy smród tchórzostwa i palonego

węgla. Niemieccy żołnierze uśmiechali się drwiąco, a ludzie Corellego węszyli zdradę. Kapitan czekał przy telefonie na rozkazy, a gdy żadne nie nadeszły, zasnął na swoim krześle, postawiwszy podwójne warty przy działach baterii. Śnił o Pelagii i szalonym kaznodziei, który twierdził, że wszyscy zostaną wtrąceni w ogień. W czasie gdy spał, radio nadawało apele aliantów o podjęcie walki z Niemcami. Zadzwoił telefon i ktoś z kwatery generała powiedział kapitanowi, by nie atakował i zachował spokój.

– Oszalał pan? – zawołał Corelli, ale na linii zapadła głucha cisza.

Porucznik Günter również drzemał z przerwami na swoim krześle w oczekiwaniu na rozkazy. Czuł niezmiernie zmęczenie i stracił całą śmiałość. Tęsknił za swoimi przyjaciółmi, a co gorsza, brakowało mu pewności, którą dawały minione sukcesy. Rasa panów przegrywała we Włoszech i Jugosławii, rosyjski front załamywał się, Hamburg został zniszczony. Weber nie czuł się już dumny i niezwyciężony; czuł się gorszy i upokorzony, tak obrzydliwie nabrany i zdradzony, że gdyby był kobietą, rozplakałby się. Myślał o motcie swojego pułku, „Bóg z nami”, i zastanawiał się, czy rzeczywiście tylko Włosi zdradzili. W każdym razie wszystkie rachuby brały w łeb; cała włoska dywizja miała przeciwko sobie jedynie trzy tysiące żołnierzy 996. batalionu grenadierów i nawet z boską pomocą nie miał szans. Próbował się modlić, ale czuł w ustach gorycz słów luteriańskiej wiary.

Rano pułkownik Barge, dowódca wojsk niemieckich, przeniósł parę wozów opancerzonych z Argostoli do Liksuri, a generał Gandin bezskutecznie próbował nawiązać kontakt zarówno z nowym rządem w Brindisi, jak i dawnym Naczelnym Dowództwem w Grecji. Nie spał całą noc. Był zbyt dobrze wyćwiczony, by wiedzieć, co ma robić.

Pelagia i jej ojciec zorganizowali całe wyposażenie medyczne i podarli stare prześcieradła na pasy, żeby móc je wygotować i zwinąć w bandażę. Podejrzewali, że część Greków może dostać się w krzyżowy ogień walk, a w każdym razie musieli coś zrobić, żeby złagodzić napięcie. Corelli odwiedził ich na swoim motorze, prosząc, by mu powiedzieli, jak się skontaktować z partyzantami. Oni jednak nie mieli pojęcia, co w tym celu zrobić, i kapitan, strapiiony, szybko odjechał w kierunku Sami. Miał nadzieję, że partyzanci przerwą swój długi powszedni wypoczynek i pomogą jakoś powstrzymać Niemców.

W Sami nie wiedział, od czego zacząć, a miejscowi Grecy nie znali go. Podróż okazała się stratą czasu. W drodze powrotnej zatrzymał motocykl i usiadł na poboczu przy walącym się murze, w cieniu drzewa oliwnego. Myślał o powrocie do Włoch, o ratowaniu własnej skóry, o Pelagii. Prawdę powiedziawszy, nie miał domu i właśnie dlatego nigdy o nim nie mówił. Duce zmusił jego rodzinę, by przeniosła się do Libii w ramach programu kolonizacji i tam zginęła z rąk rebeliantów, w czasie gdy on leczył się w szpitalu z czerwonki.

Który z domów jego krewnych, gdzie mieszkał, był jego domem? Nie miał rodziny poza swoimi żołnierzami i mandoliną, a sercem pozostawał tutaj, w Grecji. Czy zniósł tyle cierpienia, tyle samotności, czy w końcu znalazł swoje miejsce po to tylko, by mu je zabrano? Próbował sobie przypomnieć rodziców. Ich obraz był tak blady i niewyraźny, tak mglisty jak wyobrażenie ducha. Przypomniawszy sobie przyjaznego młodziutkiego Araba, z którym nie pozwalali mu się bawić rodzice. Rzucił razem z nim kamieniami w ustawione rzędem butelki i stale wracał z tych zabaw do domu z udarem słonecznym i biegunką. Zabroniono mu jeść owoce granatu, żeby przypadkiem nie zaraził się żółtaczką. Świadomość, że zapamiętał tak wiele, a zarazem tak mało, była bardzo gorzka i po raz pierwszy zaczął tęsknić za Pelagią w taki sposób, jakby należała już do przeszłości. Przypomniała mu się opowieść doktora o Lotofagach, wędrowcach, którzy kiedyś zjedli owoce lotosu i wyzbyli się tęsknoty za domem. Był jednym z nich. Myślał o umieraniu i zastanawiał się, jak długo Pelagia będzie po nim płakała. Zeszpecenie jej pięknej twarzy łzami wydawało się rzeczą bezwstydną; żal było już samo wyobrażenie sobie tego. Pragnął dodać jej otuchy zza grobu, mimo że jeszcze żył.

Gdy w końcu wrócił do koszar, stwierdził, że żołnierze jego baterii podnieśli bunt. Z Supergreccii nadszedł rozkaz poddania się nazistom nazajutrz rano.

LII

Nowe wydarzenia

(1)

Przepenia mnie taka wściekłość, że głos więźnie mi w gardle. Antonio mówi do mnie: „Carlo, uspokój się, musimy być sprytni, złość na nic się nie zda, rozumiesz?” Ale mnie zmęczyła już rola zabawki w rękach szaleńców, ludzi nieudolnych i głupców, którzy myślą, że nadal trwa pierwsza wojna światowa, gdy wszystko odbywało się w bezpośrednim starciu i przeciwnicy traktowali się z honorem.

To niewiarygodne. Niemcy ściągają samolotami posiłki, na niebie aż roi się od junkersów, pułkownik Barge poleciał do Gandina, by zgodnie z rozkazami Supergreccii żądać kapitulacji, a Gandin nie robi zupełnie nic poza radzeniem się swych kapelanów i starszych oficerów. Czyż nie jest generałem? Czy to nie on ma decydować i szybko działać? Kto mu dał prawo decydowania o moim losie? O moim – człowieka, który przeżył miesiące zimna i udręki w Albanii, który trzymał w ramionach ciało ukochanego człowieka w okopie pełnym szczurów i zamarzającego szlamu. Czy Gandin nie słucha radia? Czy tylko on jeden nie wie, że Niemcy we Włoszech grabią i dokonują rzezi? Czy nie wie, że zaledwie dzień lub dwa temu stłoczyli sto osób w jednej sali i wysadzili je w powietrze? Czy nie słyszał, że w odwet za śmierć jednego Niemca zastrzelili w Aversie osiemdziesięciu policjantów i dwudziestu cywilów? Czy nie wie, że rozbrojonych żołnierzy transportuje się w wagonach bydłowych Bóg jeden wie dokąd?

Dostaję szału z gniewu. Dowódcy, wszyscy z wyjątkiem dwóch, zgodzili się poddać. Jest nas dziesięć tysięcy, a ich trzy. Przecież to szaleństwo! Czy rząd nie rozkazał, byśmy rozbrajali Niemców i brali ich do niewoli? O co chodzi? Dlaczego Gandin chce spełniać rozkazy faszystów, których partia została rozwiązana, a ignoruje wolę premiera i króla?

(2)

– Pułkownik Barge? W dowód dobrej woli wycofałem 3. batalion 317. pułku piechoty z Kardakaty. Jak pan wie, bez tej pozycji wyspy nie da się obronić i dlatego mam nadzieję, że uzna pan, iż nie żywimy wrogich zamiarów, i nie będzie domagał się rozbrojenia moich żołnierzy.

– Muszę tego zażądać, mój drogi generale. Zaręczyłem, że pana żołnierze zostaną wysłani prosto do Włoch, i zamierzam dotrzymać słowa. Muszą jednak zostać rozbrojeni, bo inaczej ich broń może być użyta przeciwko nam, gdy już dotrą do domu. Musi pan zrozumieć, że z naszego punktu widzenia to tylko przejaw zdrowego rozsądku. Apeluję do pana jako starego przyjaciela.

– Pułkowniku, nadal czekam na wyjaśnienie rozkazów. Mam nadzieję, że zrozumie pan moje bardzo trudne położenie.

– Generale, otrzymał pan rozkazy z Supergreccii, a bez względu na to, jakie polecenia otrzymuje pan z samych Włoch, są one nieważne, ponieważ ten rząd jest nielegalny. Jesteśmy żołnierzami, generale, i musimy wypełniać rozkazy.

– Pułkowniku, powiadomię pana, gdy tylko będę mógł.

Pułkownik Barge odłożył słuchawkę i zwrócił się do jednego ze swoich majorów:

– Niech pan zbierze kompanię żołnierzy i zajmie Kardakatę. Ci idioci właśnie ją opuścili, więc nie powinno być z tym żadnego problemu.

(3)

Byłem zobaczyć się z Pelagią i doktorem. Poprosiłem, żeby zaopiekowali się Antonią. Pelagia zawinęła ją w koc i schowała pod podłogą, w piwnicy, w której ukrywali się uchodźcy polityczni w czasach brytyjskiego panowania. Powiedzieli, że Carlo również ich odwiedził i zostawił u nich gruby plik swoich zapisków, które mieli przeczytać dopiero po jego śmierci. Ciekawe, co takiego pisał? Nie wiedziałem, że ma pisarskie skłonności. Człowiek nie spodziewa się ich u takiego potężnego i muskularnego mężczyzny. Pelagia sprawia wrażenie bardzo chudej, niemal chorej. Uznaliśmy, że nie możemy pojechać do naszej małej kryjówki, ponieważ w każdej chwili mogą nadejść rozkazy dla mojej baterii. Pogładziła mnie po policzku z takim smutkiem, że nie bardzo wiedziałem, jak powstrzymać łzy. Próbowwała nawiązać kontakt z partyzantami przez człowieka, którego nazywa Bunnios. Bez powodzenia.

(4)

Porucznik Weber rozłożył i naoliwił swą broń. Bez czolgów, które towarzyszyły mu w wędrówce przez Europę, odczuwał lekką obawę. Ulżyło mu na wieść, że do Liksuri dociera tyle nowego uzbrojenia, ale niepokoił fakt, że dotąd nie otrzymali zbyt wielu posiłków. Było dobrze wiadomo, że pułkownik dostarczył ostateczne ultimatum generałowi Gandinowi i zadał mu parę kłopotliwych pytań o jego lojalność i zamiary. Zostało osiem godzin. Weber pomyślał o Corellim i zastanawiał się, co tamten robi, po czym zdjął srebrny krzyżyk z szyi i po prostu na niego popatrzył. Generał Gandin odmówił całkowitej kapitulacji, zażądał swobody poruszania się dla swoich oddziałów i poprosił o pisemne gwarancje bezpieczeństwa dla swych żołnierzy. Weber uśmiechnął się i pokręcił głową. Ktoś będzie musiał dać mu nauczkę.

(5)

– Co powinienem zrobić, panowie? – zapytał generał Gandin i kapelani spojrzeli po sobie, ciesząc się swym nowo odkrytym znaczeniem, delektując tą rzadką okazją zostania strategami, u których zasięga rad sam generał. Było to o wiele bardziej podniecające niż wysłuchiwanie spowiedzi ludzi, którzy w gruncie rzeczy nie traktowali duchownych zbyt poważnie. Owo wyrażanie pojednawczych sądów o ogromnym ciężarze gatunkowym i znaczeniu moralnym wywoływało w nich poczucie własnej świętości.

– Złożmy broń, uzyskawszy gwarancje na piśmie – rzekł jeden – a potem, z wolą boską, popłyniemy do domu.

– Zupełnie się z tym nie zgadzam – oświadczył inny. – Moim zdaniem, byłoby to z gruntu nierozważne.

– Sami możemy ich rozbroić – zauważył generał – ale nie poradzilibyśmy sobie potem z Luftwaffe. Musimy pamiętać o stukasach. Zostalibyśmy bez wsparcia z powietrza i morza i Niemcy z pewnością wybiliby nas do nogi. – Generał miał obsesję na punkcie stukasów. Myśl o tych przeraźliwie wyjących ptakach zniszczenia o zakrzywionych skrzydłach przyprawiała go o gwałtowne bóle żołądka. Prawdopodobnie nie wiedział, że z wojskowego punktu widzenia stukasy należą do najmniej skutecznych broni, jakie kiedykolwiek wynaleziono; prawda, że były przerażające, ale to ogień dział ranił i zabijał. Gandin miał ich znaczenie więcej niż Niemcy i mógł zetrzeć swych przeciwników w proch w ciągu kilku godzin.

– Ach, te stukasy – zgodził się kapelan, który także nic o nich nie wiedział, ale potrafił mądrze kiwać głową z miną prawdziwego znawcy.

(6)

– A więc złożymy broń i popłyniemy do domu? – zapytał jeden z chłopaków.

– Tak, mój synu – odparł kapelan oddziału. – Bogu niech będą dzięki.

Do pokoju wbiegł Carlo.

– Słuchajcie, garnizon na St Maura poddał się, Niemcy wzięli ich do niewoli i rozstrzelali kapitana Ottalewiego.

– *Puttana!* – krzyknął Corelli, wyciągając pistolet i uderzając nim o blat stołu. – Dosyć tego. Głosujmy.

– To pewnie tylko plotka – zasugerował kapelan.

– Powinniśmy urządzić głosowanie w całej dywizji – zauważył Carlo, ignorując duchownego. Odkąd zdał sobie sprawę, że został zaocznie skazany na ogień piekielny za to, kim się urodził, nigdy nie miał cierpliwości do Kościoła i jego przedstawicieli.

– Dobra, chłopaki – odparł Corelli. – Pomówię z każdym oficerem baterii, jakiego zdołam znaleźć, i zorganizujemy głosowanie. Zgoda?

– A co z Gandinem? – zapytał młodzian z Neapolu.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i wszyscy pomyśleli o tym samym.

– W razie czego aresztujemy go – odparł Corelli.

(7)

Rano generał Gandin nie podjął żadnych działań. Nie wydał żadnych rozkazów, mimo że z Brindisi nadeszło polecenie, by brać Niemców do niewoli. Spędził dzień, załatwiając papierkową robotę i wyglądając przez okno z założonymi na plecach rękami. Jego umysł zaciął się na dobre i Gandin mógł jedynie myśleć o tym, co powinien był zrobić zamiast zostać żołnierzem. Pobiegł myślami do błogich czasów swojej młodości i uświadomił sobie, że nawet one nie miały większego znaczenia. Czuł się jak osiemdziesięcioletek, który patrzy wstecz na swoje puste życie i zastanawia się, czy cokolwiek z tego życia było warte zachodu.

Tymczasem zaś pułkownikowi Bargemu przyszła do głowy genialna myśl. Wiedział, że Włosi mu nie ufają, i dlatego zaczął ich dzielić, dając próbkę przykładowego postępowania. O zmierzchu wysłał oberleutnanta z kompanią grenadierów, by ukradkiem otoczyli włoską baterię. Kapitan Aldo Puglisi nie miał innego wyjścia, jak poddać się bez walki, gdy tylko zdał sobie sprawę, co się stało. Jego ludzie zostali rozbrojeni i odesłani bez jednego

wystrzału. Po drodze mijali wojskowy burdel, ale nie mieli ochoty wejść do środka. Zgodnie z planem pułkownika, przez szeregi dywizji „Acqui” przeszła fala optymizmu i ulgi, rozmów o domu i pokoju. Był to przygotowany po mistrzowsku podstęp, sposób na zdobycie zaufania. Nazajutrz rano włoski sierżant zastrzelił swojego kapitana, który chciał się poddać, i nagle ni stąd, ni zowąd pojawiły się czołgi, tygrysy, przysiadając na rozstajach dróg niczym złowieszcze potwory o pancerzach wydzielających niehumanitarną woń oleju i rozgrzanej stali. Wielu dowódców włoskich baterii ignorowało je, jakby były skałami pelagicznymi, które pojawiły się przypadkowo i mogą równie samorzutnie zniknąć, lecz inni, jak kapitan Antonio Corelli, odwrócili część swoich dział od morza i wycelowali je w czołgi, zmęczony się oczekiwaniem na rozkazy, które nigdy nie nadeszły.

Do wiadomości pułkownika Bargego. Bezpośredni rozkaz od Führera. Dołączone jest do niego hasło, po którego telegraficznym otrzymaniu rozpocznie pan atak i całkowitą likwidację wszystkich włoskich sił antyfaszystowskich na Kefalonii. Tymczasem niech pan dalej prowadzi negocjacje w taki sposób, by zyskać ich zaufanie. Wszystkie zwłoki mają zostać usunięte, najlepiej przy użyciu barek obciążonych balastem i następnie zatopionych w morzu. Ponieważ Włochy formalnie nie wypowiedziały wojny Niemcom, wszystkich stawiających opór żołnierzy włoskich należy traktować jak partyzantów, a nie jak jeńców wojennych.

(8)

Wydawało się, że generał Gandin w ciągu paru dni wyraźnie się postarzał.

– Panowie, sytuacja jest następująca. Mam przed sobą dyrektywę OP44 z trzeciego września. Instruuje nas ona, że mamy działać przeciwko Niemcom tylko w razie ataku z ich strony. Mam także rozkaz numer N2 z szóstego, który stwierdza, że nie możemy współdziałać z żadnymi wojskami, stawiającymi opór Niemcom. Ten ostatni rozkaz jest sprzeczny z warunkami rozejmu zawartego przez Castellana, jak więc mamy go rozumieć?

– Generale, to po prostu oznacza, że alianci nam nie ufają. Rozkaz jest idiotyczny. Czy wiadomo coś o tym, by alianci przygotowywali się do przyjścia nam z pomocą?

– Nie, majorze. Mieli na to ponad czterdzieści dni i nic nie zrobili. Ministerstwo Wojny również nic nie zrobiło. Mamy powody podejrzewać, że alianci wiedzą o zamiarach Niemców i nas o nich nie poinformowali. Najwyraźniej nie ma żadnych planów współpracy.

– Ale generale, Niemcy mają na stałym lądzie setki samolotów, a my nie mamy

żadnego. Dlaczego alianci nas opuścili?

– Dobrze pytanie. W dodatku mam ten rozkaz, numer 24202, który mówi, że musimy negocjować z Niemcami, żeby zyskać na czasie i że ich próśb o relokację naszych oddziałów nie należy traktować jako aktów wrogości. Jak wiecie, wypełniliśmy to zalecenie, ale w rezultacie Niemcy mają wszystkie najważniejsze pozycje strategiczne i taktyczne na wyspie. Czy myślicie, że powinniśmy z własnej inicjatywy przestać stosować się do tego rozkazu?

– Czy rozkaz jest legalny, generale? Czy nie stoi w sprzeczności z rozkazem OP44?

– Ale który z nich jest ważniejszy? Nie mogę uzyskać wyjaśnień w tej sprawie. Po przeniesieniu Ministerstwa Wojny z Rzymu do Brindisi panuje ogólny chaos. A teraz otrzymaliśmy od Vecchiarrellego rozkaz złożenia broni. Zawiadania w nim, że generał Lanz repatriuje nas po dwóch tygodniach, nie mogę jednak uzyskać potwierdzenia tej informacji z Brindisi. Co więc mamy uczynić? Vecchiarelli wierzy generałowi Lanzowi, a my?

– Ja nie, generale. W każdym razie żołnierze są temu całkowicie przeciwni. Zrobili głosowanie i trzech oficerowie, którzy zalecali swoim ludziom złożenie broni, zostali zastrzeleni. Byłoby to bardzo nierozsądne. W każdym razie mamy rozkaz z Ministerstwa Wojny z zeszłej nocy mówiący, że powinniśmy traktować Niemców jak wrogów.

– Dlatego też zadepeszowałem do Vecchiarrellego, że nie możemy spełnić jego rozkazu. Nawiasem mówiąc, mam obowiązek poinformować was, że zaproponowano mi dowództwo małej armii Mussoliniego w jego nowej tak zwanej republice. Odrzuciłem propozycję, ponieważ przede wszystkim winien jestem lojalność królowi. Ufam, że postąpiłem właściwie.

– Rzeczą właściwą, generale, jest unikanie konfrontacji z Niemcami. Przed paroma dniami byli jeszcze naszymi sojusznikami i konieczność zwrócenia się przeciwko nim jest dla naszych sił zbrojnych hańbą nie do zniesienia. Wielu z nich to nasi osobiści przyjaciele. Myślę również, że domaganie się przez aliantów naszej bezwarunkowej kapitulacji jest dla nich czymś równie nikczemnym jak dla nas to samo żądanie ze strony Niemców. Lepiej zginąć niż ulec któremuś z tych żądań.

– Zgadza się z panem całkowicie, majorze, i poleciłem, by pułkownika Bargego zastąpił w naszych negocjacjach prawdziwy generał. Zyskamy cenny czas do przyjazdu generała Lanza, a w najgorszym wypadku oszczędzimy sobie dyshonoru odstępowania broni zwykłemu pułkownikowi.

– Słuchajcie, moi panowie, z Berlina dotarł do nas rozkaz rozpoczęcia przedstawienia na Kefalonii. Sierzancie, wykażcie się odwagą i poinformujcie o tym Jumba.

Generał Jumbo Wilson zapoznał się z treścią komunikatu i postanowił nie reagować. Miał do dyspozycji mnóstwo żołnierzy, okrętów, samolotów i sprzętu, wszystko gotowe do akcji. Ale przecież nie wypadało dać szkopom do zrozumienia, że wie, jak rozszyfrować ich komunikaty, prawda?

LIII

Pierwsza krew

Żołnierze dywizji „Acqui” głosowali za tym, by stawić opór Niemcom, ale nie mieli czasu utworzyć skutecznego dowództwa, by skoordynować działania pododdziałów. Gdy walka już się zaczęła, w końcu zaczęły napływać rozkazy od generała Gandina i jedni stosowali się do nich, a drudzy nie. Niewiele wiadomo o dokładnej kolejności zdarzeń, ale dwie rzeczy są bezsprzeczne. Jedną to fakt, że komunistyczni partyzanci z ELAS nie brali udziału w walce, nie widząc powodu, by otrząsać się ze swego pasożytniczego letargu; drugą jest to, że opór Włochów w niczym nie wynikał z działań wojskowej hierarchii. Był to spontaniczny przypływ odwagi i determinacji w sercach ludzi, którzy niejasno pojmowali, że nadszedł w końcu czas, by zrobić coś uczciwie.

Kto wie, co naprawdę skłoniło kapitana Fienza Appollonio do samowolnego otwarcia ognia do flotyli niemieckich barek desantowych?

Być może był człowiekiem honoru, który nie mógł dłużej znieść odgrywania haniebnej roli w dziejach nędznego, upadłego imperium. Być może czuł szczerą sympatię dla Greków, z którymi tak długo mieszkał, i chciał teraz wymazać wstyd, jaki odczuwał na myśl o wyzuciu ich z praw i uciemieniu, do którego się przyczynił. Być może wstydział się żalonych dokonań swojej armii i zapragnął wydrzeć kontrolę nad jej niewielką częścią z rąk zadowolonych z siebie pechowców i wazelinarzy, którzy ze swych bezpiecznych bunkrów doprowadzili ją do tyłu pewnych i bezsensownych klęsk, którzy wielokrotnie obracali zwycięstwo w porażkę. Ale być może chodziło tylko o to, że zrozumiał aż nadto wyraźnie, że pozostaje Włochom jedynie walka o przeżycie.

Bez względu na to, co czuł i jakie myśli krążyły w zakamarkach umysłu kapitana, jego żołnierze podzielali wnioski, do których doszedł. Naładowali już i wycelowali swoje haubice, podczas gdy Appollonio obserwował, jak barki desantowe niezdarnie prują fale wzburzonego morza z ładunkiem pojazdów i pobladłych żołnierzy. W sposobie, w jaki wszyscy nosili swe karabiny, przewieszane pionowo przez ramię, tak że jeżyły się niczym kolce ułożone na dnie pułapki, dostrzegł nadmierne, lecz osobliwie znamienne zdyscyplinowanie. Mrużąc oczy, patrzył przez lornetkę i dzielił dystans pomiędzy nim a statkami na stumetrowe odcinki.

Uwzględnił niewidoczny obszar lądu między baterią a brzegiem morza i z pewnością w głosie, której wcale nie czuł, rozkazał obsłudze najbliższego działu ustawienie określonego przez siebie zasięgu i wystrzelenie jednego pocisku.

Działo szarpnęło się do tyłu z metalicznym trzaskiem i podskoczyło jak podniecony pies, skaczący po smaczny kąsek. W ciągu tych wszystkich lat kapitan Appollonio nie przywykł jeszcze do bolesnego dzwonienia metalu w uszach i skrzywił się, widząc, jak maleńka czarna kropka szybuje z niesamowitą prędkością (tak szybko, że zastanawiał się, czy rzeczywiście ją widzi) wysoko w powietrze. Stracił ją z oczu, a po paru sekundach ujrzał pióropusz wody wzbijający się z morza niespełna pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym pocisk miał spaść według jego obliczeń. Na barkach nastąpiło gorączkowe poruszenie, które wydało mu się niemal komiczne. Wtedy podał dokładne namiary i rozkazał, by strzelać do woli.

Żołnierze nabrali animuszu. Nareszcie mieli przywódcę, którego odwaga w tajemniczy sposób spłynęła do ziemi u jego stóp, przedostała się pod nią i jak gdyby cudem wytrysnęła w ich sercach, napełniając je gwałtownym poczuciem wolności ludzi, którzy w końcu odkryli, że są jednak żołnierzami. Uśmiechali się do siebie, ich oczy płonęły zadowoleniem, dumą, której nigdy przedtem nie czuli, i ze zdumieniem przyglądali się, jak efektowne fontanny wody zamazują regularne zarysy z wolna wznoszących się fal. Powietrze zrobiło się ciężkie od słodkiego swądu kordytu, niewymownie męskiej i piekielnej woni rozgrzanych do czerwoności luf oraz dymiącego, aromatycznego oleju. Zgięcia na dłoniach artylerzystów wypełniły się brudem, a twarze poczerniały tak, że wargi sprawiały wrażenie dziwnie bladych i różowych, gdy je zwilżali językami. Pot niespokojnego podniecenia zmoczył włosy pod ich czapkami; rzucili na ziemię niedopałki, które dawniej dawały uspokojenie, lecz teraz utrudniały działanie i oddychanie.

Oszołomieni powodzeniem, niewiarygodną i bezprecedensową skutecznością bombardowania, przerwali ostrzał, gdy ostatnia z barek desantowych zniknęła pod powierzchnią fal. Przyglądając się, jak dwie szalupy ratunkowe wypływają z Liksuri i kierują się ku miejscu rzezi i szczątkom rozbitych barek, z satysfakcją zaciskali pięści. Nikt z nich nie miał ochoty strzelać do prowadzących akcję ratunkową; zaczęli ścisnąć sobie ręce i obejmować się. Powtarzali wciąż, że na zawsze zapamiętają ten dzień. Był to obrzęd rytualnej przemiany niczym konfirmacja lub ślub.

Jakiś hydroplan nadleciał znad grzbietu góry w kierunku Argostoli, spuszczaając chaotyczną, lecz zabójczą serię bomb, które rozsadzały dachy jednego skromnego i niewinnego domu po drugim w idealnie prostej linii. Karabiny maszynowe i działa

przeciwlotnicze otworzyły ogień, gdy następnii dowódcy samowolnie zignorowali rozkazy i rzucili się w wir walki. Na ulicach Argostoli włoscy piechurzy, część wraz ze swoimi oficerami, nacierali pod osłoną lekkich czołgów na tygrysy, natchnieni heroizmem, jakiego nigdy nie okazywali, walcząc po stronie faszystów dla swojego śmiesznego dyktatora.

Niemieckie czołgi otworzyły ogień do włoskich baterii. Ogłuszający huk ich wystrzałów rozbrzmiewał echem na wąskich ulicach, wstrząsając murami i powodując, że łuski farby klejowej spadały deszczem pyłu we wnętrzach domów. Artylerzyści Appollonia wycelowali do nich swoje działa, ogień otworzyła także usytuowana nieopodal bateria kapitana Corellego. Niemieckie czołgi ruszyły naprzód, a nikły i niepotrzebny kamuflaż z zarośli opadał z ich ścian niczym odzienie pijanej ulicznicy. Ich silniki ryczały i skowyczały, szarpały przy każdej zmianie biegu, a czarne kłęby spalin buchały z nich, jakby czołgi już zostały trafione.

Pociski spadły pomiędzy nie, wzbijając bryzgi czerwonej ziemi i białego pyłu. Wszystkie tygrysy zastygły w bezruchu, jak gdyby ich załogi były zbyt zdumione oporem, na jaki natrafiły, jakby opór Włochów był dla nich rzeczą niepojętą. Ku niedowierzaniu tychże, na starym brytyjskim moście biegnącym przez mielizny zatoki, pojawił się niemiecki wóz opancerzony. Nad jego wieżyczką łopotała duża biała flaga. Bombardierzy z obu baterii triumfowali, czuli się usprawiedliwieni; może teraz to Niemcy poproszą Gandina o podanie warunków kapitulacji?

Żołnierze czekali i palili papierosy w świetle zachodzącego słońca; bibułki przesiąkały gryzącym smarem z palców. Duża eskadra junkersów przeleciała nad głowami Włochów, przywożąc posiłki dla nazistów. Kapitan Appollonio wyrzucił w górę ręce w geście irytacji.

– Czemu baterie dział przeciwlotniczych nie otwierają ognia? Co się stało tym kretynom? – Nie po to tyle ryzykował, żeby wszystko stracić przez czyjeś niezdecydowanie. Na próżno, dla własnej satysfakcji, wystrzelił z karabinu do znikających w oddali samolotów. Terkot wystrzałów zabrzmiał dziwnie grzecznie i nieśmiało w porównaniu z niedawnymi salwami dział.

Zadzwonił telefon polowy. Generał Gandin, zamiast stosownie do sytuacji zażądać od Niemców kapitulacji, zgodził się na zawieszenie broni. Appollonio z niedowierzaniem przewrócił oczyma i zaczął tak głośno krzyczeć do telefonisty, że dopiero po pewnym czasie uświadomił sobie, iż przeklina do głuchej linii.

– Szalony sukinsyn! – zawołał, rzucając słuchawką.

Niewielkim pocieszeniem była dlań przywieziona przez kuriera wiadomość od kapitana Antonia Corellego:

*Jeżeli staniesz przed sądem wojennym, zażądam, by wyświadczone mi zaszczyt bycia
sądzonym razem z Tobą.*

LIV

Pożegnanie Carla

Antonio, mój kapitanie,

żyjemy w złych czasach i mam bardzo wyraźne przeczucie, że ich nie przetrwam. Wiesz, jak to jest, gdy kot odczołguje się gdzieś w odosobnione miejsce, by zdechnąć, lub gdy człowiek, chorując, widzi ducha własnej matki obok swego łóżka, albo wręcz spotyka własnego ducha, nadchodzącego z naprzeciwka na rozstajach dróg.

Razem z tym listem znajdziesz wszystkie moje zapiski, które prowadziłem od chwili przybycia na tę wyspę. Gdy je przeczytasz, odkryjesz, jakim jestem człowiekiem. Mam nadzieję, że nie będziesz oburzony i że, ponieważ masz wielkie i wspaniałomyślne serce, zdołasz mi wybaczyć i będziesz mnie wspominał bez wzgardy. Ufam, że zapamiętasz te wszystkie chwile, gdy obejmowaliśmy się jak towarzysze i bracia i że nie będziesz się wzdragał z odrazą na myśl o nich jako o pieszczotach jakiegoś degenerata. Zawsze starałem się okazać Ci przywiązanie, które czułem, nie biorąc od Ciebie nic i nie dając Ci nic, czego byś nie chciał otrzymać.

Gdy przeczytasz te stronicę, zrozumiesz, że w Albanii byłem głęboko zasmucony utratą mojego towarzysza Francesca. Pragnę Ci też wyjawić, że ranę, którą otrzymałem na tamtej wojnie, sam sobie zadałem. Nie wstydzę się tego. Zrobiłem to, co było słuszne. Gdy zginął Francesco, ja również chciałem umrzeć. Życie straciło dla mnie cały urok i nic już nie miało znaczenia, ale zabrakło mi wrodzonej odwagi, której potrzebuje człowiek, by palnąć sobie w łeb. Przybyłem na tę piękną wyspę z umysłem wypełnionym szarą mgłą i z bolącym, pustym sercem, nieutulonym w żalu i pękającym ze smutku i goryczy. Kim jest człowiek, który ma pierś obwieszoną medalami, lecz serce w niej zbyt strapione, by mogło bić?

Mój drogi Antonio, chcę, żebyś wiedział, iż w podzięce za Twój niepowstrzymany śmiech, Twoją wspaniałą muzykę i Twój niezrównany umysł kochałem Cię z takim samym zadziwieniem i wdzięcznością, które widzę w Twoich oczach, gdy jesteś z Pelagią, i że nie zapomnę o Tobie nawet po śmierci. Usunąłeś smutek z mego serca i sprawiłeś, że znowu się uśmiechnąłem. Przyjąłem Twoją przyjaźń i cieszyłem się nią (zawsze świadom mojej niegodziwości) stale walcząc z pragnieniem zbrukania jej. Ufam, że nie będziesz za to myślał

o mnie z (zasłużoną, zdaniem niektórych) pogardą.

Antonio, tyle mam wspomnień z tych niewielu krótkich miesięcy. Płacę, gdy pomyślę o nich teraz, gdy minęły. Tyle radosnych wspomnień. Czy przypominasz sobie, jak omal nie wysadziłeś się w powietrze, a ja zaniósłem Cię do domu doktora? Wiedziałem wówczas, że oszalałbym, gdybyś umarł, i dziękuję teraz Bogu, że umrę przed Tobą, tak że nie będę musiał znosić żalu po Twojej śmierci.

Antonio, mówię do Ciebie zza grobu, zupełnie poważnie. Kochałem Cię z całego niegodziwego serca, tak mocno jak kiedyś kochałem Francesca, i przemogłem w sobie wszelką zazdrość. Jeżeli nieboszczyk może mieć jakieś życzenie, to chciałbym, żebyś związał swą przyszłość z Pelagią. Jest piękna i łagodna, nikt bardziej od niej na Ciebie nie zasługuje i nikt inny nie jest Ciebie godzien. Pragnę, byście mieli dzieci, i chcę, byście raz bądź dwa opowiedzieli im o wujku Carlo, którego nigdy nie zobaczą. Co do mnie, to zarzucam plecak na ramiona i zapinam taśmy, naciągam rzemień karabinu na ramię i rozsuwam całun, by jak żołnierz pomaszerować w nieznane. Nie zapomnij mnie.

Carlo

LV

Zwycięstwo

Mimo wyraźnego żądania swoich żołnierzy, by zmusić Niemców do kapitulacji i skonfiskować ich uzbrojenie, generał Gandin odegrał rolę świętego i uzgodnił z pułkownikiem Bargem, że włoscy żołnierze powinni mieć prawo do zatrzymania broni i opuszczenia wyspy. Nie było jednak statków, którymi można by ich ewakuować, co chyba nie wydawało mu się istotne. Na Korfu Niemcy zgodzili się w bardzo dżentelmeński sposób sami dostarczyć transportowce, i w czasie gdy włoscy żołnierze brnęli ku nim przez fale, wystrzelali ich wszystkich, co do jednego, z karabinów maszynowych i pozostawili pływające ciała w morzu. Niezrównanie odważny pułkownik Lusignani, zupełnie opuszczony przez Brytyjczyków, przez kilka dni na przekór wszystkiemu wytrzymywał napór Niemców. Wszyscy jego żołnierze, którzy przeżyli, docierając do niemieckich transportowców, zginęli, gdy Brytyjczycy zbombardowali ich na morzu. Ci, którzy zdołali wskoczyć do wody, zostali zastrzeleni z karabinów maszynowych przez Niemców, a ich zwłoki pozostawiono w wodzie.

Na Kefalonii Niemcy mieli teraz dwa tygodnie wytchnienia, w ciągu których mogli się przygotować oraz ściągnąć posiłki i dodatkowe uzbrojenie, podczas gdy zdeorientowani Włosi z braku jakiegokolwiek dowództwa działali (lub nie) zgodnie z inicjatywą poszczególnych oficerów. Niektórzy, jak Appollonio i Corelli, przygotowali swoich żołnierzy na wszystko, lecz inni, upojeni i zaślepieni perspektywą powrotu do domu, pograżyli się w samobójczym letargu, przyprawiającym podwładnych o gniew i przerażenie; ci przewidywali, że zostaną przewiezieni do obozów pracy w wagonach dla bydła bez światła, urządzeń sanitarnych i żywności – czyż wszystkim nie było wiadomo, że Grekom przytrafia się to od miesięcy? – przewidywali również masakry. Jedni wpadali w fatalistyczne przygnębienie, drudzy z determinacją zaciskali zęby i tak mocno chwyтали za kolby karabinów, że aż bielaly im palce.

Grecy, a wśród nich Pelagia i doktor Janis, patrzyli na siebie niespokojnie, z sercami wzburzonymi przez złowrózne znaki. Żałosne dziwki z wojskowego burdelu zapominały o makijażu i snuły się bezradnie z pokoju do pokoju w szlafrokach niczym smutne, nieprzytomne cienie, odsuwając żaluzje, wyglądając za okno, znowu je zasuwając i

przyciskając dłonie do kołających w piersiach serc.

Gdy wczesnym popołudniem nadleciały stukasy, pochyliły skrzydła i całą formacją z rykiem zanurkowały ku włoskim bateriom, artylerzyści przyjęli to niemal z ulgą. Teraz wszystko było jasne; nareszcie stało się rzeczą oczywistą, że Niemcy są perfidni, że każdy włoski żołnierz musi ze wszystkich sił walczyć o przeżycie. Günter Weber zrozumiał, że będzie zmuszony zwrócić broń przeciw swoim przyjaciołom, Corelli wiedział, że jego palce muzyka, tak bardzo przywykłe do sztuki czasu pokoju, muszą teraz zacisnąć się na spuście karabinu. Generał Gandin zbyt późno pojął, że przez skrajne niezdecydowanie i konsultacje ze zniewieściałymi duchownymi skazał swoich żołnierzy na śmierć; pułkownik Barge wiedział, że udało mu się zepchnąć naiwnych dawnych sojuszników w niekorzystne położenie; prostytutki zrozumiały, że mężczyźni, którzy dawniej zawładnęli ich szczęściem, teraz zamierzali pozostawić je na pastwę losu, a Pelagia – że wojna, która dotąd zawsze toczyła się gdzieś indziej, właśnie wybrała sobie za cel jej dom i miała rozbić go w pył.

Artylerzyści, zdezorientowani i doprowadzeni do oblędu mechanicznym wyciem stukasów, gradem kul z karabinów maszynowych i seriami bomb, które spadały wśród dział i zasypywały ich ziemią i strzępami ciał towarzyszy, usiłowali usunąć przodki i zapobiec wybuchowi ułożonej na nich amunicji. Potem, zanim dowódcy baterii zdolali odpowiedzieć ogniem, stukasy poderwały się niczym stado szpaków i zwróciły ku kolumnie wojsk przybywających do Argostoli z przeciwległej strony boiska, na którym w przeszłości włoscy żołnierze spędzali służbę na pełnej ochrypłych krzyków i emocji grze w piłkę nożną i gdzie nocą Włosi zakochani w greckich dziewczynach odbywali schadzki, które nawet w ciemności nie były potajemne.

Dla Corellego i Appollonia, dla Carla i pozostałych członków La Scali było rzeczą oczywistą, że Niemcy próbują sparaliżować Argostoli, tam bowiem znajduje się największe skupisko włoskich oddziałów; przeciwnik starał się chronić rozproszone i niedostatecznie obsadzone stanowiska swoich placówek na wyspie. Nie było to jednak oczywiste dla Gandina, który sprowadzał coraz większą liczbę żołnierzy do miasta, gdzie Niemcom byłoby oczywiście łatwiej ich odizolować i wyciąć w pień. On sam nie chciał opuścić swoich wspaniałych biur w pięknym gmachu komunalnym. Posterunki obserwacyjne umieścił jak dyletant w najbardziej widocznych miejscach, weneckich wieżach kościelnych, i w ten sposób stworzył Niemcom wspaniałą okazję do namierzenia celu i wstrzelania się weń. Zapomniał wyposażyć te posterunki w radiostacje i telefony polowe i obserwatorzy musieli porozumiewać się ze swoimi artylerzystami za pośrednictwem kurierów na motorach i gońców, którzy po długim okresie wojennej bezczynności szybko tracili siły. Obserwatorzy,

ociekający krwią, z odłamkami w osmalonych ciałach, wśród kul uderzających z brzękiem w dzwony i odbijających się rykoszetem w ciasnych murach nad ich głowami, utrzymywali swoje stanowiska tak długo, jak tylko mogli, wiedząc, że z zapadnięciem ciemności stukasy muszą odlecieć.

Tej nocy Alekos, okryty luksusową togą z jedwabnej czaszy spadochronu, obserwował fajerwerki ze szczytu góry Enos. Na wzgórzu nad Argostoli widział, jak pociski smugowe z gracją lecą łukiem ku niemieckim pozycjom, i słyszał pojedyncze i podwójne wybuchy spadających szrapneli, hałas bardzo przypominający delikatne uderzenia miękką pałką w skórę starego bębna. Gdy ujrzał dwa jaskrawe snopy światła, jarzące się po drugiej stronie zatoki, pociągnął za rękaw stojącego obok mężczyznę, człowieka, którego kiedyś przez pomyłkę wziął za anioła i który teraz pośpiesznie rozmawiał przez radiostację. Bunny Warren podniósł lornetkę i zobaczył, że flota inwazyjna, sklecona na poczekaniu z łodzi paradnych, wypłynęła z Liksuri i trafiła w światła szperaczy niczym nierozważny królik uwięziony w oślepiającym blasku reflektorów samochodu.

– Brawo! – wykrzyknął, gdy włoskie baterie otworzyły ogień i zatapiały łodzie jedną po drugiej, Alekos zaś podziwiał piękne błyski pomarańczowego płomienia, które migotały niczym świetliki na wzgórzu nad miastem. – Ci makaroniarze mają jednak jaja – zauważył Warren, którego greka poprawiła się do tego stopnia, że upodobniła się do dimotiki. Po raz kolejny próbował uzmysłwić swoim zwierzchnikom ogromne znaczenie dostarczenia obłożonym Włochom wsparcia lotniczego i morskiego, lecz kompetentny głos po drugiej stronie linii powiedział: „Strasznie mi przykro, stary, ale nie da rady. Czołem! Bez odbioru”.

Doktor Janis i jego córka, nie mogąc spać, siedzieli obok siebie przy kuchennym stole i trzymali się za ręce. Pelagia płakała. Doktor chciał zapalić wygasłą fajkę, ale z szacunku dla rozpaczycy swej córki pozwolił, by jego ręce pozostały w jej dłoniach, i powtórzył:

– *Koricimu*, na pewno nic mu się nie stało.

– Ale nie widzieliśmy go od wielu dni – odparła Pelagia płacząco.

– Gdyby zginął, ktoś by nam o tym powiedział, ktoś z La Scali. Oni wszyscy byli bardzo mili, pamiętaliby o tym, żeby nas zawiadomić.

– Byli? – powtórzyła. – Sądysz, że wszyscy nie żyją? Uważasz, że oni też zginęli, prawda?

– O Boże – mruknął, nieco zirytowany. Rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszli Stamatis i Kokolios. Janis uniósł wzrok i obaj mężczyźni zdjęli kapelusze.

– Cześć, chłopaki – powiedział doktor.

Stamatis przestąpił z nogi na nogę i rzekł, jak na spowiedzi:

– *Jatre*, postanowiliśmy iść i zastrzelić paru Niemców.

– Aha! – odparł doktor, niepewny, co ma zrobić z tą informacją.

– Chcemy wiedzieć – dodał Kokolios – czy mamy pana błogosławieństwo.

– Moje błogosławieństwo? Nie jestem duchownym.

– Prawie – wyjaśnił Stamatis. – Kto wie, gdzie się podziewa ojciec Arsenios.

– Jasne, że macie moje błogosławieństwo. Niech Bóg wam sprzyja.

– Welisarios odkopał swoje działo i też z nami idzie.

– On także ma moje błogosławieństwo.

– Dziękujemy, *jatre* – kontynuował Kokolios – i chcemy wiedzieć, czy... jeśli nas zabiją... zaopiekuje się pan naszymi żonami?

– Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy. Czy one wiedzą?

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia i Stamatis wyznał: – Jasne, że nie. Próbowalyby nas tylko powstrzymać. Nie zniósłbym całego tego wrzasku i płaczu.

– Ja też – dodał Kokolios.

– Chciałem też panu podziękować za wyleczenie mojego ucha. Będzie mi teraz potrzebne do nasłuchiwania, czy nie nadchodzą Niemcy.

– Cieszę się, że się na coś przydało – odparł doktor. Obaj mężczyźni wahali się przez chwilę, jakby chcąc coś dodać, po czym wyszli. Doktor odwrócił się do córki.

– Popatrz, ci dwaj starcy idą, by walczyć za nas. Nie trać ducha. Dopóki mamy takich ludzi, Grecja nie zginie.

Pelagia odwróciła zapłakaną twarz do ojca i zapytała ze szlochaniem:

– Kogo obchodzi Grecja? Gdzie jest Antonio?

Antonio Corelli szedł w ciemnościach wśród ruin Argostoli. Wydawało się, że ze ślicznego miasta nie pozostało nic oprócz pochylonych murów, mieszkań, które zostały otwarte jak domy lalek, odsłaniając całe piętra – na ścianach wciąż wisiały obrazy, a na stołach leżały obrusy w wesołych barwach. Wszędzie dokoła leżały sterty gruzu. Z jednej z nich sterczała czyjaś ręka z omdlałymi, rozluźnionymi palcami. Była bardzo brudna, lecz drobna i młoda. Antonio zaczął grzebać w kawałkach skały, kamieniach, z których od czasów weneckich ludzie wznosili malownicze schronienia, i natrafił na zmiażdżoną głowę małej dziewczynki mniej więcej w tym samym wieku co Lemoni. Patrzył na blade wargi, na sympatyczną buzię i nie wiedział, czy dławić się wściekłością, czy łzami. Z poczuciem tragedii w sercu, jakiego nigdy dotąd nie zaznał, starannie ułożył włosy dziecka, tak aby bardziej naturalnie opadały na policzki.

– Tak mi przykro, *korcimu* – zwierzył się trupowi. – Gdyby nas tu nie było, żyłabyś

jeszcze. – Był wyczerpany, już dawno wyzbył się strachu, a znużenie wprawiło go w filozoficzny nastrój. Małe dziewczynki, równie niewinne i słodkie jak ta, umierały niepotrzebnie na Malcie, w Londynie, w Hamburgu, w Warszawie. Tamte były jednak dziewczynkami ze statystyk, dziećmi, których nigdy nie widział. Pomyślał o Lemoni, a potem o Pelagii. Niewymowna potworność tej wojny nagle złamała mu serce, tak że z trudem oddychał, i w tym samym momencie uzyskał absolutną pewność, że nie ma nic ważniejszego niż zwycięstwo w niej. Przytknął palce do swoich ust, a potem do martwych warg obcego dziecka.

Tyle było do zrobienia. Uchodźcy z wiosek zrównanych z ziemią i ostrzelanych z karabinów maszynowych przez Niemców napływali do miasta. W tym samym czasie jego mieszkańcy, pchając ręczne wózki, tamowali ruch na ulicach, próbując uciec na wieś. Przewożenie dział i żołnierzy stało się prawie niemożliwe, a co gorsza, żołnierze z odległych rejonów wyspy przybywali tłumnie do Argostoli z rozkazu Gandina, stając się łatwym celem niemieckich ataków i potęgując zator. Nie było gdzie ich pomieścić, rozpadł się system dowodzenia i wszyscy mieli już świadomość, że żadne okręty ani samoloty nie przyjdą im z pomocą. Kefalonia była wyspą pozbawioną znaczenia strategicznego, nie trzeba było ratować jej małych dzieci, nie trzeba było zachować dla potomności jej starych i pochylonych budynków, jej mieszkańcy nie byli cenni dla ludzi beztrוסko prowadzących wojnę z wyżyn politycznego Olimpu. Dla Kefalonii nie było Winstona Churchilla, Eisenhowera, Badoglia, nie było eskadr okrętów ani samolotów. Z nieba spadały jedynie śnieżyce niemieckich ulotek propagandowych, zawierających fałszywe obietnice i kłamstwa, przez radio z Brindisi docierały tylko słowa zachęty, a w przepięknej białej zatoce Kiriaki wylądowały dwa bataliony wypoczętych żołnierzy piechoty alpejskiej pod dowództwem majora von Hirschfelda.

Następnego dnia o świcie posągowy oberleutnant i jego ludzie najechali na uśpiony obóz, złożony z personelu kuchni polowej i kompanii poganiaczy mułów. Gdy wszyscy oni poddali się, oberleutnant kazał ich rozstrzelać i zepchnąć zwłoki do rowu. Stamtąd poprowadził swoich żołnierzy do porośniętego sosnami grzbietu góry w Dafni i czekał do godziny ósmej, aż świeżo przysłani żołnierze majora von Hirschfelda dotrą z drugiej strony, zamykając pierścień okrążenia. Włosi znowu zostali zaskoczeni i znowu musieli się poddać. Oberleutnant poprowadził ich do Kuruklaty, a potem znudziło mu się to, więc zabrał ich na skraj wąwozu i rozstrzelał cały batalion. Z czysto naukowej ciekawości kazał następnie wysadzić zwłoki w powietrze; był pod wrażeniem efektu. Region ten słynął z

krwistoczerwonego wina, zwanego thiniatiko.

Nie skrępowany obecnością jeńców, ruszył dalej do Farsy, sympatycznej wioski, którą bataliony von Hirschfelda obróciły już w gruzy przy użyciu moździerzy i gdzie Włosi z powodzeniem stawiali zaciekły opór. Zaatakowani teraz z dwóch stron, walczyli i padali w boju dopóty, dopóki nie została ich tylko garstka, zapędzona potem na rynek i rozstrzelana. W Argostoli kolejne fale bombowców o czarnych skrzydłach stopniowo rozwalaly włoskie baterie, aż w końcu umilkły wszystkie działa.

Rankiem dwudziestego drugiego września, po trzech nie przespanych nocach, kapitan Antonio Corelli z 33. pułku artylerii, wiedząc, że nad kwaterą główną w Argostoli ma zawisnąć biała flaga, wsiadł na swój motocykl i popędził w kierunku domu doktora. Wtedy właśnie z rozpalonym wzrokiem rzucił się Pelagii w objęcia, wsparł czoło na jej ramieniu i powiedział:

– *Siamo perduti.*⁴⁶ Skończyła się nam amunicja, a Brytyjczycy zdradzili nas.

Błagała, by został, żeby ukrył się w domu, w jamie pod podłogą, razem ze swoją mandoliną i zapiskami Carla, ale on ujął jej twarz w dłonie, pocałował ją, zbyt zmęczony i zrezygnowany, by ronić łzy, a potem kołysał dziewczynę w ramionach, ściskając tak mocno, że myślała, iż popękają jej żebra. Znowu ją pocałował i rzekł:

– *Koricimu*, już więcej cię nie zobaczę. Ta wojna była haniebna, ale muszę zostać z moimi chłopcami. – Zwiesił głowę. – *Koricimu*, nie wyjdę z tego żywy. Ukłoń się ode mnie ojcu. Dziękuję Bogu, że żyłem dostatecznie długo, by cię kochać.

Odjechał na motocyklu; chmura pyłu wzbiła się ponad jego głowę. Pelagia obserwowała, jak Antonio się oddala, a potem weszła do domu. Wzięła Psipsinę na ręce i usiadła przy kuchennym stole. Na jej sercu zaciskały się zimne szpony przerażenia. Mężczyźni niekiedy kierują się motywami, które kobiecie wydają się pozbawione sensu, ale Pelagia rozumiała, że Antonio musi być ze swoimi żołnierzami. Honor i zdrowy rozsądek; każda z tych wartości jest w zestawieniu z drugą absurdalna.

Zagłębiła twarz w futrze kuny, ukojona jego ciepłą, słodką wonią, i uśmiechnęła się. Wspominała ów niedawny, a zarazem odległy moment, gdy wmówiła kapitanowi, że to specjalny gatunek greckiego kota. Siedziała, uśmiechając się blado, gdy jedne wspomnienia

⁴⁶ Jesteśmy zgubieni.

po drugich, połączone jedynie romantyczną, niknącą w oddali postacią kapitana, wirowały jak widma w jej głowie. Wsłuchiwała się przez chwilę w złowieszczą ciszę poranka i uświadomiła sobie, że słuchanie piorunujących odgłosów wojny jest bardziej kojące.

LVI

Porządny nazista (2)

„Ojciec mój, jeśli możesz, odsuń ode mnie ten kielich". Ile razy słyszał, jak jego ojciec recytuje te słowa w małym kościele w rodzinnej wsi? Każdej Wielkanocy od czasów dzieciństwa, z wyjątkiem lat wojny.

Porucznik Günter Weber stanął sztywno na baczność przed majorem i z wyrazem determinacji na twarzy powiedział:

– Panie majorze, muszę prosić, by przydzielono tę misję komu innemu. Uczciwie mówiąc, nie mogę jej wykonać.

Major z niedowierzaniem uniósł brew, ale jakoś nie poczuł złości. Prawdę powiedziawszy, w zaistniałej sytuacji chciałby myśleć, że postąpiłby tak samo.

– Czemu? – zapytał. Pytanie było niepotrzebne, ale narzucała je wojskowa etykieta.

– Panie majorze, mordowanie jeńców wojennych jest sprzeczne z konwencją genewską. Jest także rzeczą niegodną. Muszę prosić o zwolnienie mnie z tego zadania. – Przypomniał sobie następne zdanie z biblijnej opowieści i dodał: – Ich krew spadnie na nasze głowy i na głowy naszych dzieci.

– To nie jeńcy wojenni, lecz zdrajcy. Zwrócili się przeciwko swojemu legalnemu rządowi i przeciw nam, swoim sojusznikom, na mocy prawnie ustanowionego traktatu. Jak pan dobrze wie, egzekucja zdrajców nie jest sprzeczna z konwencją genewską. I nigdy nie była.

– Przepraszam, ale rząd włoski może być formowany lub odwoływany przez króla – nie ustępował Weber. – Król postawił Badoglio na czele rządu i Badoglio wypowiedział nam wojnę. Dlatego też żołnierze dywizji „Acqui" są jeńcami wojennymi i z tego powodu nie możemy ich stracić.

– Na litość boską, nie sądzi pan, że to zdrajcy? – zdziwił się major.

– Tak, panie majorze, ale to, co myślę, i sytuacja prawna to dwie różne rzeczy. Uważam, że rozkazywanie młodszemu oficerowi, by dokonał aktu bezprawia, jest sprzeczne z kodeksem wojskowym. Nie jestem przestępcą, panie majorze, i nie chcę nim zostać.

Major westchnął.

– Wojna to brudna sprawa, Günterze, powinien pan zdawać sobie z tego sprawę. Wszyscy musimy robić okropne rzeczy. Ja, na przykład, lubię pana i podziwiam pańską uczciwość. Szczególnie w tym momencie. Muszę jednak panu przypomnieć, że karą za odmowę wykonania rozkazu jest śmierć od kul plutonu egzekucyjnego. To nie jest groźba, lecz stwierdzenie faktu. Wie pan o tym równie dobrze jak ja. – Major podszedł do okna, po czym odwrócił się na pięcie. – Bo widzi pan, ci włoscy zdrajcy i tak zostaną rozstrzelani, bez względu na to, kto naciśnie na spust. Po co więc dodawać własną śmierć do ich śmierci? Szkoda byłoby takiego świetnego oficera. Cały wysiłek daremny.

Günter Weber z trudem przełknął ślinę. Drżały mu usta. Stwierdził, że nie może wydobyć głosu. W końcu rzekł:

– Proszę, by mój protest został odnotowany i umieszczony w moich aktach, panie majorze.

– Pańska prośba zostanie spełniona, Günterze, ale rozkaz musi pan wykonać. *Heil Hitler.*

Weber zasalutował w odpowiedzi i wyszedł z biura majora. Za drzwiami oparł się o ścianę i zapalił papierosa, ale ręce drżały mu tak mocno, że natychmiast go upuścił. W biurze zaś major tłumaczył sobie, że ponieważ rozkaz przyszedł z góry, odpowiedzialność spoczywa na pułkowniku Bargem lub może na kimś w Berlinie. Ostatecznie zaś, rzecz jasna, spadnie na Führera.

– To jest wojna – powiedział głośno i postanowił nie umieszczać protestu porucznika Webera w jego aktach. Nie było sensu, by zaprzepaścić swą karierę w imię jakichś szlachetnych skrupułów.

– Zaśpiewajmy, chłopaki – powiedział Corelli, gdy ciężarówka, którą jechali, przechylała się, wpadając z jednej koleiny w drugą. Przeniósł spojrzenie z beznamiętnych twarzy niemieckich strażników na swoich żołnierzy. Jeden z nich bełkotał już płacząco, inni modlili się z głowami pochylonymi do kolan i tylko Carlo siedział sztywno wyprostowany, wypiąwszy potężną pierś, jakby nie mogła jej przebić żadna kula. Corelli czuł dziwną euforię, niczym człowiek upojony zmęczeniem i nie słabnącym podnieceniem pewnością swych racji. Czemu nie mieliby się uśmiechać w obliczu śmierci? – Zaśpiewajmy, chłopaki – powtórzył. – Carlo, śpiewaj.

Carlo utkwiał w nim oczy pełne niezmiernego smutku i bardzo cicho zanucił „Ave Maria”. Nie była to ani wersja Schuberta, ani Gounoda, lecz coś, co sączyło się z jego duszy, i jego pieśń była piękna dzięki swej łagodności i liryzmowi. Żołnierze przestali się modlić i

śluchali. Jedni rozpoznali w niej nuty kołysanki zapamiętanej z dzieciństwa, drudzy usłyszeli urywki piosenki miłosnej. Carlo powtórzył dwa razy: „Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej”, a potem umilkł i otarł oczy rękawem. Jeden z tenorów La Scali zaintonował „Nucący chór” z „Madame Butterfly” i już po chwili dołączyli do niego inni, w miarę jak pozwalały im na to łamiące się głosy. W tej melodii było coś kojącego i bardzo na miejscu; pasowała jakoś do tych wyczerpanych, brudnych i obszarpanych mężczyzn, stojących u progu śmierci, zbyt przytłoczonych niedolą, by patrzeć na ukochane twarze towarzyszy, których niebawem mieli utracić. Łatwo było nucić, myśląc o matkach, wioskach, dzieciństwie spędzonym pośród winnic i pól, o objęciach ojców, pierwszym pocałunku adorowanej dziewczyny, weselu siostry. Łatwo było niemal niedostrzegalnie kołysać się w takt melodii i dumać o tej wyspie, miejscu tyłu pijanych nocy, hałaśliwych meczów i pięknych dziewczyn. Łatwiej było nucić niż rozmyślać o śmierci; serce miało dzięki temu jakieś zajęcie.

Gdy ciężarówka zbliżyła się do różowych murów burdelu, pod Günterem Weberem ugięły się nogi. Tuż przed jej przyjazdem zrozumiał chyba, że los wezwał go do zabicia przyjaciół.

Nie spodziewał się, że przybędą ze śpiewem na ustach, nucąc tę samą piosenkę, którą razem z członkami La Scali śpiewał późną nocą przed domem doktora, gdy byli zbyt pijani, by pamiętać i wymówić słowa jakiegokolwiek innej. Nie spodziewał się, że tak lekko zeskoczą z ciężarówki – myślał, że będą z niej spychani bagnetami i kolbami karabinów. Nie liczył, że Antonio Corelli rozpozna go i pomacha mu ręką. Być może sądził, że twarz człowieka zmienia się, gdy staje się on oprawcą. Wyznaczył sierżanta, by stłoczył jego przyjaciół pod ścianą, zapalił następnego papierosa i odwrócił głowę. Przez chwilę przyglądał się, jak jego żołnierze drepczą w milczeniu, i postanowił poczekać, na wypadek gdyby nadeszła wiadomość o odroczeniu egzekucji. Wiedział, że nigdy nie nadejdzie, ale mimo to czekał. W końcu odwrócił się na pięcie, wiedząc, że musi zachować chociaż odrobinę przyzwoitości, i zbliżył się do Włochów. Ponad połowa z nich modliła się, klęcząc na ziemi, a pozostali płakali jak dzieci przed śmiercią. Antonio i Carlo obejmowali się. Weber sięgnął po paczkę papierosów i podszedł do nich.

– Papierosa? – zapytał i Corelli wziął jednego.

Carlo odmówił ze słowami:

– Doktor powiedział, że palenie mi szkodzi.

Corelli popatrzył na swego dawnego protegowanego i zauważył:

– Ręce ci się trzęsą, nogi też.

– Antonio, bardzo mi przykro, próbowałem...

– Jestem tego pewien, Günterze. Wiem, jak to jest. – Wciągnął dym głęboko w płuca i dodał: – Zawsze zdobywałeś najlepszy tytoń, nicponiu, i wkurzałeś tym doktora.

– *Così fan tutte*⁴⁷ – odparł Weber, dobywając z siebie krótki i nieszczerzy śmiech. Kaszlnął i gwałtownie przyłożył rękę do ust.

– Tylko nas nie zaraż – poprosił Carlo.

Twarz Webera drżała z rozpacz i tłumionych łez. W końcu wyrzucił z siebie:

– Wybaczcie mi.

– Na to nie licz – szyderczo odparł Carlo, lecz Corelli uniósł rękę, by uciszyć przyjaciela i spokojnym głosem powiedział:

– Wybaczam ci, Günterze. Bo jeśli ja tego nie zrobię, to kto?

Carlo chrząknął z odrazą. Weber wyciągnął rękę.

– Żegnaj – powiedział Corelli. Przytrzymał dłoń dawnego przyjaciela, uścisnął ją krótko po raz ostatni i puścił. Wziął Carla pod ramię i uśmiechnął się do niego. – Chodź, my dwaj byliśmy kompanami za życia. Pójdźmy więc razem do raju.

Los wyznaczył im piękny dzień na umieranie. Kilka miękkich, wygiętych w łuk chmur spoczywało beczynnie na szczycie Enos. Nieopodal zadźwięczał pasterski dzwonek i rozległo się beczenie stada kóz. Antonio uświadomił sobie, że drżą mu nogi, i nie mógł w żaden sposób temu zapobiec. Pomyślał o Pelagii, o jej ciemnych oczach, porywczosci, czarnych włosach. Myślał o niej, stojącej w drzwiach Casa Nostra, śmiejącej się, gdy ją fotografował. Seria obrazów: Pelagia czesząca Psipsinę i mówiąca do niej piskliwie, głosem

⁴⁷ Tak czynią wszystkie (kobiety). Tytuł opery Mozarta.

imitującym głos zwierząt; Pelagia szatkująca cebulę, ocierająca łzy z oczu i uśmiechnięta; Pelagia bijąca go, gdy ukradziono koziołka (uświadomił sobie, że wbrew obietnicy nigdy nie dał jej następnego – może więc powinien poprosić o odroczenie egzekucji?); Pelagia zachwycona, gdy po raz pierwszy zagrał „Marsz Pelagii”; Pelagia całująca Güntera Webera w policzek za obietnicę ofiarowania gramofonu; Pelagia szydełkująca narzutę, która w rzeczywistości kurczyła się z każdym dniem szydełkowania; Pelagia zażenowana asymetrią haftu na kamizelce; Pelagia krzycząca mu do ucha, gdy w motocyklu wysiadły hamulce i pędzili po zboczu góry; Pelagia pod rękę z ojcem, wracająca znad morza. Pelagia, taka krągła i tryskająca zdrowiem, a teraz tak blada i wychudzona.

Do porucznika podszedł sierżant. Był on Chorwatem, jednym z tych zbirowatych fanatyków, bardziej narodowosocjalistycznych niż sam Goebbels, za to obdarzonych znacznie mniejszym urokiem osobistym. Weber nigdy nie zrozumiał, jak taki człowiek mógł trafić do grenadierów.

– Panie poruczniku, niedługo przyjadą następni. Nie możemy dłużej zwlekać.

– W porządku – odparł Weber, zamknął oczy i zaczął się modlić.

Była to modlitwa bez słów, skierowana do apatycznego Boga.

Rzeź nie miała w sobie ani trochę rytualnej oficjalności, jaką mogłyby sugerować filmy i malarstwo. Ofiary nie stały rzędem pod ścianą. Nie miały zawiązanych oczu, nie były odwrócone plecami ani twarzami do strzelających. Wielu Włochów pozostało na klęczkach, modląc się, płacząc lub błagając o życie. Niektórzy leżeli na trawie, jakby już padli, wyszarpując ją rękami, w desperacji drapiąc ziemię. Część przecisnęła się na tyły grupy. Niektórzy obojętnie palili papierosy, jak gdyby byli na jakimś przyjęciu, a Carlo stał na baczność obok Corellego, zadowolony, że nareszcie umrze, i całkowicie zdecydowany zginąć śmiercią żołnierza. Corelli włożył rękę do kieszeni bryczesów, by uspokoić drżenie nogi, rozpiął kurtkę i głęboko wciągnął kefalońskie powietrze, którym oddychała Pelagia. Czuł woń eukaliptusów, koziego łajna i morza. Nagle przyszło mu na myśl, że śmierć przed burdelem przypomina trochę epizod z życia bandytów.

Młodzi Niemcy usłyszeli komendę „ognia” i z niedowierzaniem strzelili. Ci z nich, którzy nie zamknęli oczu, celowali w bok lub w górę, albo tak, by nie spowodować śmierci. Karabiny podskakiwały i brzękały w ich rękach, a paniczny strach i wibracje sprawiały, że żołnierzy łapały skurcze i drętwiały im ręce. Chorwat celował, by zabić, strzelając krótkimi seriami, przejęty jak cieśla lub rzeźnik wykrawający udźce.

Weberowi zakręciło się w głowie. Jego dawni przyjaciele, obracający się i płasający w horyzontalnym deszczu kul, krzyczeli. Padali na kolana, wyrzucając przed siebie ręce, a swąd

kordytu, osmalonego sukna i oleju wnikał w ich nozdrza, usta wypełniały się mdłym posmakiem krwi. Niektórzy znowu wstawali, rozkładając ramiona niczym Chrystus, obnażając piersi w nadziei na szybszą śmierć, krótszą drogę przez ból, dopełnienie przegranej. Nikt, nawet Weber, nie dostrzegł natomiast, że w momencie gdy padł rozkaz otwarcia ognia, Carlo przytomnie zrobił krok w bok niczym żołnierz formujący dwuszereg. Otumaniony tęsknotą i nie zważający dotąd na nic Antonio ujrzał nagle, że ma przed sobą ogromny korpus Carla Guercio, że potężne dłonie sierżanta zacisnęły się boleśnie na jego nadgarstkach i że nie może się poruszyć. Ze zdumieniem wpatrywał się w plecy Carla, gdy pojawiły się na nich poszarpane, okropne dziury, strzępy ciała i purpurowe plamy krwi.

Carlo stał niewzruszenie, gdy kule jedna po drugiej wbijały się niczym rozgrzane do białości noże w jego umięśnioną pierś. Czuł je niczym uderzenia siekiery rozszczepiające kości i tnące żyły. Stał zupełnie nieruchomo, a gdy krew wypełniła mu płuca, wstrzymał oddech i liczył:

– *Uno, due, tre, quattro, cinque, sei, sette, otto, nove...* – Uparcie niezłomny w swym męstwie, postanowił stać i doliczyć do trzydziestu. Przy każdej liczbie parzystej myślał o Francescu konającym w Albanii, a przy każdej nieparzystej mocniej zaciskał dłonie na rękach Corellego. Doliczył do trzydziestu akurat wtedy, gdy pomyślał, że może mu się nie powieść, a potem spojrzął w niebo, poczuł, jak kula wybija mu dziurę w szczęce, i runął na plecy. Corelli leżał pod nim, sparaliżowany ciężarem Carla i cały skąpany w jego krwi, oszołomiony aktem miłości tak niepojętej i niewymownej, tak przepełnionej boskim szaleństwem, że nie usłyszał głosu sierżanta:

– Wszystko skończone. Jeżeli któryś z was żyje, to wstańcie, a darujemy wam życie.

Nie widział, jak dwóch lub trzech wstało z rękami przyciśniętymi do ran, jeden z rozprutą pachwiną. Nie widział, jak chwieją się na nogach, ale za to usłyszał ponowny terkot automatu, gdy sierżant kładł ich pokotem. Potem słyszał pojedyncze strzały, gdy Weber, odurzony przerażeniem, wędrował wśród zabitych i udawał, że dobija ich ostatnim strzałem z drżącej ręki. Ujrzał obok swojej głowy wysoki skórzany but Webera i zobaczył, jak Weber pochyła się i patrzy mu prosto w oczy. Leżąc uwięziony pod ciężarem Carla, ujrzał, jak drżąca lufa lugera zbliża się do jego twarzy, dostrzegł bezdenny żal w piwnych oczach Niemca, a potem cofający się bez wystrzału pistolet. Usiłował odetchnąć swobodniej i uświadomił sobie, że ma z tym problemy nie tylko z powodu ucisku, ale również dlatego, że kule, które zmasakrowały ciało jego przyjaciela, trafiły także w niego.

LVII

Ogień

Corelli leżał pod zwłokami przyjaciela przez wiele godzin, ich krew mieszała się w ziemi, na ich mundurach i ciałach. Dopiero wieczorem Welisarios natknął się na tę splątaną stertę żałosnych szczątków i rozpoznał mężczyznę wielkiego jak on, który kiedyś wyciągnął rękę ponad barierę wrogości i zaproponował mu papierosa. Spojrzał w nieprzytomne, wytrzeszczone oczy, wzdrygnął się na widok roztrzaskanej i przesuniętej szczęki i sięgnął, by zamknąć mu powieki. Nie zdołał. Pozostawienie takiego człowieka na pastwę much i ptaków wydało mu się nieprzyzwoitością. Uklęknął więc i wsunął ręce pod masywny tors i przypominające kształtem pnie drzewa nogi. Z ogromnym trudem podniósł Carla, omal nie przewróciwszy się z wysiłku, i spojrzał w dół. Spozstrzegł szalonego kapitana, który mieszkał w domu doktora, tego, o którego starannie skrywanej miłości do Pelagii wiedzieli i dyskutowali wszyscy na wyspie. Jego oczy nie były nieprzytomne i zamrugały. Wargi poruszyły się, mówiąc:

– *Aiutarmi.48*

Welisarios oparł ciało Carla o różową, pokrytą dziobami od kul ścianę, i wrócił, by klęknąć obok kapitana. Patrzył na okropne rany Włocha, ciemną, czerniejącą już kałużę krwi, i zastanawiał się, czy nie przysłużyłby mu się lepiej, po prostu dobijając go.

– *Jatros* – rzekł umierający mężczyzna. – Pelagia. – Siłacz ostrożnie podniósł kapitana, poczuł, jaki jest lekki, i ruszył przez kamieniste pola, by uratować mu życie.

Nikt nie zna dokładnej liczby Włochów, którzy polegli na kefalońskiej ziemi. Wymordowano ich co najmniej cztery, a być może dziewięć tysięcy. Czy było to 288 000 kilo mięsa zarżniętych ludzi, czy 648 000? Czy było to 18 752 litrów jasnej młodej krwi, czy 42 192? Dowody strawił ogień.

Ze szczytu góry Enos Alekos spoglądał na swą ojczystą ziemię i przez jedną szaloną

⁴⁸ Pomóż mi.

chwilę zastanawiał się, czy to dzień dwudziestego czwartego czerwca. Czy noc świętojańska wypada we wrześniu? Czy ktoś ją przeniósł? Olbrzymie ogniska ukazywały się w regularnych odstępach czasu, w miejscach gdzie nigdy nie rozpalano ich dla świętego. Czuł woń oliwkowego drewna i pinii, nafty, suchych ciernistych krzewów, żywicy, oleju i przypalających się ciał; pociągnął z odrazą nosem. Włosi nigdy nie potrafili piec mięsa. Nawet na tej wysokości czuł ohydny smród palących się włosów i kości i z przerażeniem obserwował, jak brudny dym przesłania gwiazdy. Może tak właśnie wygląda koniec świata.

Tymczasem w dolinach Niemcy zmagali się z prawdą historyczną, niszcząc dowody, okazując pełną świadomość swej winy poprzez obracanie ciał zabitych w popiół. Kursowali ciężarówkami wyładowanymi paliwem. Żołnierze ścinałi tysiącletnie drzewa oliwne i okładali nimi sterty leżących bezwładnie zwłok tak wysokie, że wyższych nie można już było ułożyć. Wzgardliwie wskazywali na poszczególne trupy, mówiąc: „Ten się zeszczął” lub: „Ten śmierdzi gównem”, ale niewielu potrafiło się śmiać. Śluz i krew plamiły im ręce i mundury, słodki i lepki zapach świeżego mięsa odurzał ich jak alkohol, a pot spływał im po skroniach, gdy zarzucali sobie na ramiona jednego młodego nieboszczyka za drugim i zwalali ich na stosy. Pracowali tak długo, aż nogi odmawiały im posłuszeństwa, a płomień robił się zbyt gorący, by się do nich zbliżyć, końca pracy nie było jednak widać. Przyjeżdżały następne trupy, zastygłe w niemym wyrzucie i upiorne w migotliwym świetle. Przybywały na ciężarówkach, w dżipach, rzucone na wozy opancerzone i muły, raz czy dwa razy na noszach.

Prócz Arseniosa nie było żadnych innych duchownych. Od miesięcy prorokował, że ci właśnie chłopcy skończą w płomieniach i gdy to się stało, był zdruzgotany i przerażony. Prawdę mówiąc, czuł się odpowiedzialny. Tego wieczoru, gdy wszyscy Grecy ukrywali się w swoich domach, zerkając z za żaluzji w mrok nocy, ojciec Arsenios przyszedł ze swoim małym psem do ogniska w Trojanacie, największego ze wszystkich, niedaleko klasztoru pod wezwaniem świętego, i ujrzał scenę jak z Armagedonu. Niczym niewidzialny kroczył pośród bladych twarzy nieboszczyków, przypominających mu katolickie obrazy dnia Sądu Ostatecznego. Wszędzie wokół niego widać było ciemne sylwetki oszalałych ze zmęczenia niemieckich żołnierzy, którzy trudzili się i charczeli jak wieprze, rzucając kolejne zwłoki w płomień. Wtem usłyszał w pobliżu zduszony, przyprawiający o atak serca krzyk, gdy jakiś chłopak, który jeszcze nie skonał, miotał się w śmiertelnej udręce kremacji.

Ojciec Arsenios poczuł, jak duch się w nim burzy, rozłożył szeroko ręce, i odchyliwszy gwałtownie głowę do tyłu, zawołał, stając swym głosem w zawody z okrzykami żołnierzy oraz sykiem i trzaskiem płomieni:

– Zważyłem na dawne dni, na lata zamierzchłych czasów. Przypominam sobie mą

nocną pieśń: rozmawiam z własnym sercem. – Wymachując pastorałem z oliwnego drewna, dodał: – Czy Pan odrzuci nas na zawsze? Czy nie będzie nam już życzliwy? Czy na zawsze utraciliśmy Jego łaskę? Czy Jego obietnica nigdy już się nie spełni? Czy Bóg zapomniał o swym miłosierdziu? Czy w gniewie pozbawił nas swoich dobrodziejstw? Biada tobie, który szerzysz zepsucie, a sam nie byłeś zepsuty! Biada tobie, który zdradzasz, gdy oni cię nie zdradzili! Gdy przestałeś szerzyć zniszczenie, sam zostaniesz zniszczony! Biada ci, albowiem oburzenie Pana spada na wszystkie narody, a jego gniew na ich wojska. Zgładził ich całkowicie, oddał na rzeź! Mordercy także zostaną wygnani, smrodliwa woń dobywać się będzie z ich ścierwa, a góry spłyną ich krwią! Biada ci, albowiem ziemskie potoki zostaną przemienione w smołę, ich pył w siarkę, a ziemia, po której płyną, stanie się wrzącą lawą! I płonąć będzie dniem i nocą, a dym będzie się wznosił po wsze czasy; z pokolenia na pokolenie ziemia leżeć będzie odłogiem i nikt jej nie przebedzie.

Pobudzony apokaliptycznym gniewem ojciec Arsenios – nieświadom faktu, że nikt go nie słyszy – chwycił pastorał w obydwie ręce, ryknął:

– Odślonię nagość twoją, zaiste, widać będzie twój wstyd. Zemszczę się i nie poznam w tobie człowieka. Skalałeś dziedzictwo moje! – i rzucił się w wir walki.

Wymachując pastorałem, dobrał się do głów i ramion niemieckich żołnierzy. Zadźwiewał czyjś hełm, zmęczone ramiona zadrżały od stanowczych ciosów, ręce uniosły się, by chronić głowy, po to tylko, żeby pastorał zmiażdżył im palce. Ludzie, którzy skutecznie wymordowali tysiące, wydawali się teraz bezradni. Rozległy się okrzyki: „Cholera, zabierzcie go stąd, na litość boską!” oraz komentarze w rodzaju: „Spójrzcie na tego zwariowanego księdza!” ze strony gapiów, którzy z ulgą przerwali pracę, by go obserwować. Szturchali się wzajemnie i śmiali z klęski zaatakowanych. W pomarańczowej poświacie Arsenios wyglądał jak śmiertelnie blady nietoperz, trzepocząc obszerną czarną riasą, a jego broda proroka, dziko połyskujące oczy i wysoki postrzępiony kłobuk potęgowały tylko wrażenie szaleństwa wyniesionego z innego świata. Mały kundel Arseniosa płasał i skakał wokół niego, szczekając nedorzecznie z podniecenia i gryząc łydki wybranych ofiar.

Skończyło się to dopiero wtedy, gdy jeden żołnierz znalazł się na ziemi i groziło mu roztrzaskanie czaszki i połamanie rąk. Jakiś oficer grenadierów wyciągnął pistolet automatyczny, podszedł do Arseniosa od tyłu i strzelił mu raz w kark, rozsadzając mózg i płaty czaszki. Arsenios skonał w jaskrawym błysku białego światła, biorąc je za objawienie twarzy Boga, a jego wychudzone, kościotrupie zwłoki wrzucone zostały na stos razem z młodzieńcami, których los przewidział, nie wiedząc, że sam go podzieli.

Jego pies zaskowyczał, przerażony płomieniami i obecnością obcych ludzi;

parokrotnie próbował podejść do swego płonącego pana, lecz za każdym razem musiał się cofnąć. Niezrozumienie sytuacji wyrażał, unosząc na przemian łapy. Pozostał przy stosie – osmalony i wyjący – dopóty, dopóki żołnierze nie odeszli i nie pojawili się oburzeni Grecy.

Mężczyźni i kobiety oraz nieliczni Włosi, którzy uniknęli śmierci, podeszli do ognisk na tyle blisko, na ile pozwalał bijący od nich żar. Nie radząc się siebie wzajemnie, zaczęli wyciągać leżące na skraju stosów ciała, gdy tylko umożliwiał to zmieniający kierunek wiatr. Wiele ofiar wciąż leżało niczym zniekształcone lalki w miejscach, do których jeszcze nie dotarły płomienie. Każdy trudzący się człowiek myślał o tym samym: czy tak właśnie będzie pod rządami Niemców? Ilu może tu leżeć tych chłopców? Ilu z nich znałem? Czy potrafię sobie wyobrazić okropieństwo ich śmierci? Czy mogę pojąć, jakie to uczucie, gdy człowiek umiera z upływu krwi, powoli? Czy, jak powiadają, gdy kula miażdży kość, przypomina to kopnięcie konia?

Wydawało się, że wszystkim drżą ręce i łzawią oczy. Ludzie odzywali się jak najrzadziej, gdyż trudno było mówić, dusząc się od wstrętnego swędu skwierczących ciał lub głosem zdławionym przez dręczący żal. Parami i trójkami wynosili ciała do jaskiń i skalnych szczelin, do wykopanych pośpiesznie, lecz ogromnych grobów, do jam, w których w przeszłości ukrywano towary i pieniądze przed poborcami podatkowymi i celnikami. Grupami chodzili w miejsca, gdzie wcześniej toczyły się walki, i odnajdywali tych, których nie znaleźli naziści. Za dusze katolików naprędce odmawiali prawosławne modlitwy, zauważyli też, że żaden z zabitych nie miał obrączki ani pieniędzy. Ich zwłoki zostały ograbione, odrąbano im palce, powyrywano złote zęby, zdjęto z szyi srebrne łańcuszki z krzyżykami.

Czarna kleista chmura zawisała o świcie nad ziemią i przesłoniła słońce. Ludzie wrócili do domów i pozamykali drzwi; otworzyli je dopiero o zmroku. Na kefalońskim niebie dym z ciała generała Gandina – jednego z pierwszych, którzy zginęli, honorowego, rycerskiego wiarusa z dawnej szkoły, co zaufał swoim wrogom i próbował uratować własnych ludzi – zmieszał się z dymem ze zwłok jego żołnierzy. Generał zginął wyprostowany, ze stoickim spokojem, świadom faktu, że częste zmiany decyzji i ich celowe odwlekanie uśmierciły go tak niezawodnie, jak kule, które teraz rozbryzgiwały jego krew na kamieniach. Niebawem reszta oficerów Gandina została zabrana z koszar Mussoliniego w Argostoli; teraz oni także skwierczeli w płomieniach.

Tej nocy Grecy znowu wyszli z domów i wyciągali zwłoki z sadzów i rynsztoków. Znowu zauważyli, że żaden nieboszczyk nie ma zegarka, pióra i jednej choćby monety. Znajdowali fotografie roześmianych dziewczyn, listy miłosne, zdjęcia pozujących rzędem

krewnych. Stwierdzili, że wielu żołnierzy, uznających, że zagłada jest bliska, lecz zdecydowanych przemówić nawet z zaświatów, naprędce zapisało adresy na odwrocie kart i fotografii w gorzkiej nadziei, że może znajdzie się ktoś, kto napisze list, ktoś, kto przekaże wiadomość. W wielu listach tusz był rozlany, jak gdyby parę dużych kropel deszczu zaskoczyło ich adresata pod gołym niebem.

Grecy nie wiedzieli, że Niemcy, szybko wyciągnawszy naukę z poprzedniej nocy, oszczędzali siły, zmuszając włoskich oficerów do noszenia martwych podwładnych do ciężarówek, rozstrzeliwując ich dopiero wtedy, gdy wykonali swą pracę. Nie wiedzieli, że istnieje porucznik Weber, który nie był jedynym nazistą przyprawionym o utratę zmysłów przez sumienny udział w okrutnej akcji. Ale znowu ujrzeli takie same ogniska i kręcili głowami, gdy ten sam odór nasycił ich domy i ubrania. I jeszcze raz zrobili, co tylko mogli, by uratować zabitych pośród nocy, której rozmyte i tańczące cienie drzew i ludzi, rzucane w drżącym blasku pomarańczowych stosów, nadawały grobowy wyraz.

Nazajutrz powstała pogłoska, że święty Jerasimos błąkał się w ciemnościach, a potem wrócił do swojego katafalku, i że zakonnice znalazły go ponoć rano ze śladami łez na czarnych pomarszczonych policzkach i karmazynowej krwi na pozłocie atlasowych butów.

LVIII

Operacja i egzekwie

Kiedy o zmroku ktoś kopniakiem otworzył drzwi, Pelagia pomyślała, że to Niemcy. Wiedziała bowiem, że wszyscy Włosi zginęli.

Podobnie jak reszta mieszkańców wyspy, najpierw usłyszała odgłosy bitwy – mechaniczne trąkotanie erkaemów, trzask karabinów, krótkie serie z automatów, stłumione basowe werble pocisków – a potem nie kończące się trzaski salw plutonów egzekucyjnych. Przez żaluzje widziała, jak przejeżdżają kolejne ciężarówki, wyładowane zwycięskimi grenadierami lub leżącymi bezwładnie zwłokami Włochów ze strużkami zakrzepłej krwi w kącikach ust i oczyma utkwionymi w bezkresie. Nocą wyszła z ojcem, którego policzki drżały od wywołanego furii i litością płaczu, i ruszyła na poszukiwanie i ratowanie żywych wśród ciał rozrzuconych przy monstrualnych ogniskach.

Tej nocy oniemiała – nie ze strachu ani żalu, lecz z poczucia bezsensu.

A więc życie dobiegło kresu. Wiedziała, że Niemcy wywożą młode i ładne kobiety – burdele Wehrmachtu nie opierały się na pracy wolontariuszek. Wiedziała, że pełno w nich terroryzowanych i torturowanych dziewcząt z każdego kraju, od Polski po Słowenię, i że naziści rozstrzelują je przy pierwszych oznakach oporu lub choroby. Siedziała przy stole, zajęta wspomnianiem, od czasu do czasu rozglądając się wokół siebie i po raz ostatni chłonąc ziemskie szczegóły życia; sęki na nodze stołu, powyginane rondle, które wyszorowała niemal na wylot, niewytlumaczalne odbarwienie jednej z płytek podłogowych, zdjęcie Metaksasa na ścianie, które wbrew zakazowi zawiesił jej ojciec, mimo że sam był nieprzejednanym zwolennikiem Wenizelosa. Trzymała rękę w kieszeni fartucha i gdyby przyszli Niemcy, zastrzeliłaby jednego z nich, tak aby potem musieli ją zastrzelić. Mały derringer wydawał się bronią niewystarczającą do tego zadania, ale jej ojciec miał włoski pistolet i pięćdziesiąt nabojów, które ktoś, chyba jakiś członek La Scali, zostawił przed drzwiami ich domu jako ponure dziedzictwo.

Tak więc gdy drzwi otworzyły się gwałtownie, Pelagia była przestraszona, sytuacja miała jednak w sobie nieuchronność epizodu z mocno szczonej książki. Dziewczyna

błyskawicznie wstała, zaciskając rękę na pistolecie, pobladła i ujrzała zdyszanego jak pies Welisariosa; ociekał krwią od pasa w dół, jego oczy płonęły nadprzyrodzoną siłą, z którą miał szczęście się urodzić.

– Biegłem – wyjaśnił i ruszył do stołu, delikatnie układając na nim swój żalony ładunek, równie bezwładny i spokojny jak każdy z tysiąca nieboszczyków, których widziała przez ostatnie noce.

– Kto to? – zapytała Pelagia, zastanawiając się, czemu siłacz zatroszczył się o jednego spośród tylu ludzi.

– On żyje – rzekł Welisarios. – To ten szalony kapitan.

Pochyliła się nad stołem, przerażenie w jej sercu zmagало się z nadzieją. Nie rozpoznała go. Zbyt dużo było zakrzepłej krwi, zbyt wiele maleńkich strzępów ciała, zbyt dużo dziur w mundurze na jego piersi, z których wciąż sączyła się krew. Twarz mu lśniła i lepiły się włosy. Pelagia pragnęła go dotknąć, lecz cofnęła rękę. W którym miejscu dotyka się człowieka w takim stanie? Chciała go wziąć w objęcia, ale jak się obejmuje kogoś tak poranionego?

„Trup” otworzył oczy, na jego ustach pojawił się uśmiech.

– *Kalimera, koricimu* – powiedział. Pelagia poznała ten głos.

– Jest wieczór – odparła w idiotyczny sposób z braku innych słów, które nie byłyby banalne.

– W takim razie *kalispera* – wymamrotał i zamknął powieki.

Pelagia spojrzała na Welisariosa okrągłymi z rozpaczycy oczyma i powiedziała:

– Welisarios, nigdy nie dokonałeś równie wspaniałej rzeczy. Pójdę po ojca. Zostań z nim.

Wtedy po raz pierwszy kobieta weszła do kafenijonu. Nie był on już tym miejscem co niegdyś, ale dla mężczyzn pozostał świętym przybytkiem, i gdy Pelagia wpadła do środka i otworzyła drzwi wielkiej spiżarni, w której wszyscy mężczyźni słuchali BBC (o tym, że cała włoska dywizja „Venezia” przyłączyła się do partyzantów Tity), eksplodowali wręcz dezaprobatą. Wewnątrz kłębiła się chmura papierosowego dymu; Pelagia zastała w ciasnym pomieszczeniu ojca i czterech mężczyzn – wszyscy zerwali się na równe nogi, spoglądając na nią ze zgorzeniem graniczącym z nienawiścią. Kokolios ryknął na nią, ale Pelagia chwyciła ojca za rękę i wywlokła protestującego ze spiżarni.

Doktor popatrzył na kapitana. Nigdy nie widział nic gorszego. Krwi było dostatecznie dużo, by wypełnić nią tętnice konia, dość wyrwanych kawałków ciała, by miesiącami karmić

nimi kruki. Po raz pierwszy w swej lekarskiej karierze czuł się pokonany i bezużyteczny; opadły mu ręce.

– Lepiej byłoby go dobić – rzekł i nim Welisarios zdołał powiedzieć: „Też sobie tak pomyślałem”, Pelagia okładała pierś ojca obiema rękami, kopiąc go w golenie, oburzona i doprowadzona do wściekłości. Welisarios zbliżył się do niej, chwycił ją ręką w tali, podniósł i oparł na naturalnym występie swego biodra. Pelagia zawisła w pozycji zajmowanej zazwyczaj przez kolubrynę, młóciła siłacza po udach i wyła.

Tak więc woda została zagotowana, a strzepy kapitańskiego munduru odcięte. Pelagia w zapamiętaniu porwała na paski nie tylko swoją pościel, ale i pościel ojca. Potem przyniosła wszystkie butelki spirytusu ukryte przez doktora oraz, na wszelki wypadek, jego umiłowany zapas kefalońskiego wina.

Doktor Janis skarżył się, zmywając krew.

– Co ja mam robić? Nie mam kwalifikacji. Nie jestem prawdziwym chirurgiem. Nie mam fartucha, czepka i rękawiczek, ani tej penicyliny, o której tyle słyszałem. Bez aparatu rentgenowskiego, bez prawdziwie sterylnej wody, bez surowicy, bez osocza, bez krwi...

– Cicho bądź! – krzyknęła Pelagia, z sercem tłukącym się w piersiach z panicznego strachu i determinacji zarazem. – Widziałam, jak łączyłeś złamaną kość dziesięciocentymetrowym gwoździem. Więc po prostu zamknij się i zrób to.

– Chryste Panie – jęknął onieśmielony doktor.

Ponieważ nie zdawał sobie sprawy, że większość krwi i kawałków ciała pochodzi z szerokich pleców Carla Guercio, fakt, że Antonio ma tak niewiele ran, uznał za cud świętego. Gdy kapitan został umyty, a sterta zakrwawionych szmat podniesiona z podłogi i wrzucona do wrzątku, okazało się, że ma sześć kul w klatce piersiowej, jedną w brzuchu, jeden nabój przeszedł przez prawe ramię, nie naruszając kości, a przez policzek biegnie okropna, lecz niegroźna bruzda.

Mimo to stan kapitana wydawał się beznadziejny. Doktor zbyt dobrze znał swój fach, by być optymistą, i nie dość dobrze, by uwolnić się od złych myśli. W dziurach od kul tkwiły pewnie kawałki munduru, porobiły się kieszenie powietrzne wybite przez ołów. Niektórych odłamków roztrzaskanego żebra z pewnością nie zdoła się umiejscowić, istnieje ryzyko zapalenia szpiku wywołane setkami bakterii, które przenoszą truciznę przez szpik do żył, powodując śmiertelną posocznicę. Doktor wiedział, że kule mogą tkwić w miejscach, w których ich wyjęcie spowodowałoby potężny krwotok, a pozostawienie – nieuleczalną infekcję. Na opłucnej mógł się już zrobić krwiak, krew była z pewnością w przestrzeni pomiędzy ścianą klatki piersiowej a płucem. Niebawem mogła pojawić się zgorzel gazowa.

Były też pewnie martwaki do usunięcia, których rozmieszczenia nie potrafił w żaden sposób określić. Otworzył jedną z butelek *raki*, wypił spory łyk i podał wódkę Welisariosowi, który przez solidarność uczynił to samo. Olbrzym pozostał na miejscu, urzeczony całą procedurą.

Doktor Janis ochłonął i zdał sobie sprawę, że przedwczesne wyciąganie wniosków nie ma sensu. Chirurg najpierw bada, a potem myśli. Czując w ustach smak nasion anyżu i kojące palenie odrobiny alkoholu w żołądku, sięgnął po zgłębnik i wsuwał go delikatnie do każdej rany, dopóki nie poczuł, że dotarł do kuli. Spostrzegł, że dziury są zaskakująco szerokie i że każdą otacza żółty pierścień siniaków. Czemu są takie szerokie?

Wyprostował się, zdumiony. Dziury nie były nawet głębokie. Nagle uświadomił sobie, że w rzeczywistości kule powinny były przejść na wylot, pozostawiając na plecach ofiary kraterę bryzgającą krwią.

– Córko, przysięgam na wszystkich świętych, że ten człowiek ma ciało ze stali. Chyba wyżyje. – Sięgnął po stetoskop i słuchał. Serce biło słabo, lecz regularnie. – Antonio! – zawołał i Corelli otworzył oczy. Próbował się nawet uśmiechnąć. – Antonio, będę cię operował. Mam mało morfiny. Możesz pić? To rozrzedzi twoją krew, ale nie ma na to rady.

– Pelagio – powiedział Corelli.

Welisarios uniósł kapitanowi głowę, a Pelagia wlała mu do gardła filiżankę *raki*. W tym czasie doktor przygotował trzy czwarte grama morfiny. W razie potrzeby co pół godziny wstrzykiwałby tę samą ilość narkotyku, a gdyby to nie wystarczyło, kapitan piłby co trzydzieści minut wódkę.

– Chcę mieć jak najwięcej światła – rzekł Janis.

Pelagia poprzynosiła z każdego pokoju wszystkie lampy, a Welisarios zapalił je w kuchni. Za oknem było ciemno. Sowy pohukiwały wśród metalicznych chrobotów świerszczy oraz wszelkich naturalnych odgłosów obłudnie i zwodniczo spokojnej nocy. Psipsina weszła z pierwszą ze złowionych myszy w zaciśniętych zębach i Pelagia wypłoszyła ją z kuchni.

Do żyły na jednej ręce kapitana doktor wstrzyknął morfinę, a do drugiej, na wszelki wypadek, intuicyjnie i bez konkretnego powodu, dziesięć mililitrów cukru i roztworu fizjologicznego soli, które Pelagia wymieszała w dzbanku. Nie chciała oglądać, jak ciało ukochanego człowieka jest klute i gruntownie badane, ale wiedziała, że wkrótce ujrzy, jak ojciec kroi je i nacina. Patrząc jednak na te blade i podziurawione członki, bezradne niczym marny robak, zrozumiała, że to nie ciało darzy się miłością. Miłością obdarzało się człowieka, który miał blask w oczach, a ust używał do śmiania się i mówienia. Trzymała w dłoni palce muzyka i patrzyła na starannie przycięte paznokcie. Przynajmniej skórki były różowe. Nie

uwielbiała jednak ręk, lecz człowieka, który zmuszał je do wędrówki po gryfie mandoliny. Jak często wyobrażała sobie, że wędrują po jej piersiach? Doktor zauważył zadumę córki i rzekł:

– Nie siedź beczynnie. Opatrz mu rany na głowie i ręce. Oczyść je, wytnij strzępy, zdezynfekuj i zaszyj. Chcesz być lekarką czy nie? Będziemy też potrzebowali więcej wrzątku, całe mnóstwo. I umyj ręce, wyszoruj zwłaszcza paznokcie.

Pelagia wstała i zmrużyła oczy, biorąc się pod boki.

– Na pewno jest nieprzytomny? Nie chcę sprawić mu bólu.

– Ja zadam mu znacznie większy ból niż ty – odparł doktor. Uderzył Corellego w twarz i zawołał: – Antonio, twoja matka to kurwa! – Kapitan nie zareagował i Janis stwierdził: – Jest bez przytomności.

– Jego matka nie żyje – powiedziała z wyrzutem Pelagia. – Nie pij więcej *raki*, skoro potem wygadujesz takie *rzeczy*.

Za oknem z turkotem przejechał niemiecki wóz opancerzony. Wszyscy troje stali bez ruchu, dopóki nie ucichł w oddali.

– Sukinsyny – mruknął Welisarios.

Pelagia ujrzała wkrótce całą potworność tego, o co poprosiła ojca. Ręce jej drżały i ledwie potrafiła się zdobyć na dotknięcie obrażeń na ciele Antonia. Początkowo na próbę przykładała do nich tampony, z przerażeniem patrząc, jak ojciec wycina szerokie dziury wokół ran od kul.

– Nazywa się to chirurgicznym opracowaniem rany – wyjaśnił jej. – Mnie także się nie podoba, ale jest skuteczne, więc jeśli nie możesz, nie patrz. Usuвам całą uszkodzoną tkankę. Powinnaś zrobić to samo. – Pelagia stłumiła odruch wymiotny, a Welisarios cofnął się i usiadł na podłodze, opierając się plecami o drzwi. Przyglądał się ich pracy, ale wolał oszczędzić sobie szczegółów.

– To cud – rzekł doktor, pokazując kulę Pelagii, która wycinała poszarpany kawałek tkanki płaskimi nożyczkami chirurgicznymi. – Jak to wytłumaczysz?

– Stał za tym wielkoludem, tak dużym jak ja – podsunął wyjaśnienie Welisarios. – Wielkolud trzymał go z tyłu, w ten sposób. – Wstał i wsunął ręce za plecy, by zademonstrować, jak jeden mógł chwycić drugiego za nadgarstki. – Gdy go podnosiłem, wciąż trzymał szalonego kapitana. Wpierw myślałem, że nie dam rady, taki był ciężki. Sądzę, że próbował uratować tego człowieka.

– Carlo – powiedziała Pelagia, wybuchając nagłym płaczem. Ojciec zamierzał ją pocieszyć, ale uświadomił sobie, że tylko uwala jej głowę krwią. Carlo był pierwszym z

chłopaków z La Scali, którego śmierci byli teraz pewni.

– Nikt, kto umarł w ten sposób, nie umarł niepotrzebnie – rzekł doktor zdławionym głosem. Zwalczył w sobie potrzebę uronienia łez i, chcąc odegnąć złe myśli, wyjął z wnętrza rany kawałek spalonego materiału i przyjrzał mu się uważnie. Pelagia otarła oczy rękawem sukienki.

– Antonio zawsze mówił, że Carlo to najodważniejszy człowiek w armii – powiedziała.

– Wszystko na marne – zauważył doktor, nieświadomie zaprzeczając swej wcześniejszej opinii. – Welisarios, czy ciało tego człowieka jeszcze tam leży? Chcielibyśmy je pochować i nie patrzeć, jak go palą.

– Jest już po godzinie policyjnej, *jatré* – odparł siłacz – ale pójdę tam, jeżeli pan chce. Kto wie, może po drodze uda mi się zakatrupić jakiegoś szkopa? – Wyszedł, z radością opuszczając ten przerażający warsztat, gdzie emocje były zbyt intensywne, widoki zaś mogły człowieka przyprawić o chorobę. Przez parę chwil wdychał chłodne jesienne powietrze, a potem jeszcze raz ruszył przez pola.

Doktor skończył oczyszczać ranę, przemył ją alkoholem i napełnił sproszkowanym sulfamidem. Dostał go od kwatermistrza-hipochondryka z nagniotkami. Jego dusza z pewnością uleciała z martwego ciała razem ze wszystkimi wyimaginowanymi schorzeniami, a fałdy tłuszczu pogodnego grubasa przedwcześnie wytopiły się w ogniu. W powietrzu wisiała bezkresna chmura smutku, z której mogli czerpać wszyscy, jeśli tylko mieli ochotę. Lepiej jednak było skupić uwagę na kapitanie. Wyciął płat skóry, odwrócił go i zakrył nim dziurę, którą wcześniej wydrążył.

– Gdy skończysz – rzekł do córki – zaszyj to. W mojej torbie jest linka spadochronowa, więc po prostu rozplącz ją na nitki. Nic lepszego nie mamy.

W Pelagii narastało oburzające poczucie nierealności całej tej sytuacji. Oto ona, zaszywająca ciało swego kochanka starannie, z dokładnością i wprawą, które zawdzięczała pracy nad asymetryczną kamizelką i cierpliwemu instruktażowi ciotki, oraz jej ojciec, ostrożnie wyciągający odłamki żebra i spłaszczone kule z klatki piersiowej tego samego mężczyzny, a jednocześnie mówiący o trzeszczeniu, twarzy Hipokratesa i masie innych potencjalnych problemów, których znaczenie było zbyt niejasne, by groźba ich wystąpienia mogła przerażać. Zbliżyła się do twarzy kapitana i oczyściła bruzdę po kuli. Zastanawiała się, czy pozwolić, by zagoiła się sama, czy ją zaszyć.

– To zależy od tego, czy chcesz, by się krzywo uśmiechał, czy nie – odparł doktor,

przygotowując następny zastrzyk morfiny. – Masz wybór między krzywym uśmiechem a szeroką blizną. Każde z nich może być urocze, prawda?

– Blizna wyglądałaby romantycznie – zauważyła Pelagia.

– Te blizny – rzekł doktor, wskazując skalpelem na pierś Corellego – będą wyglądały okropnie. O ile przeżyje.

Tej nocy Welisarios pochował zwłoki Carla Guercio na podwórku domu doktora. Idąc przez pola i przelaząc z wysiłkiem przez kamienne mury w towarzystwie kleistego zapachu śmierci, ze śliskimi rękami, czuł się niczym Atlas obciążony ciężarem świata. Szybko stwierdził, że ładunek jest zbyt ciężki, by nieść go na rękach, tak jak wcześniej niósł kapitana, i w końcu szedł chwiejnie z ogromnym ciężarem na grzbiecie, jakby niósł wielki wór pszenicy. W ciemnościach obwiązał pogruchotaną szczękę Carla kawałkiem prześcieradła, a potem kopał kilofem, przecinając korzenie oliwnego drzewa, odkrywając stare warstwy kamieni i węgla, wyrzucając skorupy garnków i pochodzące z zamierzchłych czasów łopatki owiec. Nie zdawał sobie z tego sprawy, lecz pochował Carla w ziemi z epoki Odysusza, tak jakby od początku w niej właśnie było jego miejsce.

Pelagia uczesała Carlowi włosy i ucałowała go w czoło, a doktor, człowiek, którego zawsze wzruszały starożytne obyczaje, ułożył mu na obu powiekach srebrne monety i umieścił w grobie flaszkę wina. Welisarios stanął na jego dnie i ściągnął ciało Guercia. Gdy się wyprostował, przysłała mu do głowy pewna myśl. Wyciągnął z kieszeni zgniecioną paczkę papierosów, wyjął jednego, rozprostował i umieścił w ustach nieboszczyka.

– Byłem mu winien – wyjaśnił i wygramolił się z grobu.

Doktor wygłosił mowę pogrzebową, mając u boku płaczącą Pelagię i Welisariosa mnącego w rękach kapelusz.

– Nasz przyjaciel, który przybył tu jako wróg, przechadza się już po łąkach asfodelowych. Przekonaliśmy się, że miał w sobie więcej dobroci niż jakikolwiek śmiertelnik. Pamiętamy, iż swe liczne orderzy otrzymał za ratowanie życia, a nie za jego niszczenie. Pamiętamy, że zginął równie szlachetnie jak żył, dzielny i silny. Jesteśmy stworzeniami dnia, lecz blask jego ducha nigdy nie przygaśnie. Był ozdobą życia i został zatrzymany w połowie drogi przez krwiożerczych ludzi, którzy okryli niesławą swe imiona. Oni także odejdą, tyle że nie opłakiwani przez nikogo i bez rozgrzeszenia. Śmierć jest dla nas wszystkich zapłatą za nasze życie. Gdy przyjdzie do tych ludzi, staną się duchami snującymi się bezużytecznie w ciemności, albowiem życie ludzkie jest bardzo krótkie, a człowiek, który dopuszcza się okrucieństw, po śmierci leży przeklęty i staje się pośmiewiskiem dla żywych. Lecz duch Carla Guercio żył będzie w jasności tak długo, jak długo będziemy o nim mówić i opowiadać

naszym przyjaciołom. Powiada się, że spośród wszystkich pełzających i oddychających istot, które rodzi ziemia, najsłabszą jest człowiek. Co prawda, Carlo nieszczęśliwym zrządzeniem losu musiał przemierzać świat jako żołnierz, ale nie znaleźliśmy w nim słabości. Nie było w nim ordynarnej arogancji, nie był nikczemnym łotrem, który nadużywa czyjejś gościnności. Przekonaliśmy się, że ma w sobie dziewczęcą łagodność i siłę skały, że jest uosobieniem doskonałego mężczyzny. Był człowiekiem, który mógłby rzec: „Jestem obywatelem, nie Aten ani Rzymu, ale świata”. Był kimś, o kim powiedzielibyśmy: „Nic nie może zaszkodzić dobremu człowiekowi, ani za życia, ani po śmierci”. Zapamiętajcie te oto prawdy, które pochodzą z dawnych czasów: „Młodo umierają ci, których kochają bogowie”, „Człowiek jest snem cienia”, „Nawet bogowie nie potrafią odmienić przeszłości”, „Ludzie są jak liście drzew. Wiatr zawieje i zrzuci jesienne liście na ziemię; lecz gdy nadchodzi wiosna, drzewa rozkwitają i przywdziewają szaty z świeżych liści”. Pamiętam też, że, jak mówi poeta, jest pora na długie przemowy i pora na sen. Śpij długo i dobrze. Starość cię nie przygarbi, nie utracisz sił, nie zaznasz smutków ani niedołęstwa. W naszej pamięci pozostaniesz piękny i młody. Zaliczać się do strażników twych kości to dla Kefalonii największy zaszczyt.

Doktor i jego córka, wsparci o siebie, wrócili do domu, słuchając zgrzytania łopaty o kamienie i odgłosów spadającej ziemi. Ostrożnie przenieśli Corellego na łóżko Pelagii. Za oknem rozległ się śpiew pierwszych ptaków.

LIX

Historyczna kryjówka

Po upływie bardzo krótkiego czasu Niemcy wzmocnili swoje pozycje i zaczęli się interesować szabrem. Doktor nie tylko musiał ukryć swoje kosztowności, co stało się udziałem wszystkich i nie było niczym dziwnym, ale stwierdził, że zawstydzą go obecność włoskiego oficera, unieruchomionego w łóżku córki. Pelagia przygotowała więc pościel na dnie kryjówki pod podłogą kuchni i sprowadzili Welisariosa, bo ani doktor, ani ona nie mieli siły przenieść Antonia bez ryzyka kontuzji. Kapitan spotkał się tam ponownie ze swoją mandoliną, a zapiski Carla zostały chwilowo usunięte. Ze względu na zdrowie Corellego, jeżeli w pobliżu nie było niemieckich żołnierzy, kłapa piwniczki pozostawała otwarta – podpierał ją kawałek kija od szczotki, który można było szybko usunąć kopnięciem, a potem z powrotem przykryć podłogę matą i ustawić w tym miejscu stół. Miał nadejść czas, gdy Antonio i Pelagia tkwili bezradnie w ciemnościach kryjówki, a Niemcy kradli rodzinną zastawę stołową, pobiwszy i znieważwszy doktora.

Przez kilka dni po operacji Corelli spał, nieświadom niczego, ale gdy po raz pierwszy się ocknął, uczył straszny ból i miał wrażenie, że kiszki mu się ruszają. Sam jednak nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. Miał wrażenie, że przewalił się po nim tabun byków lub zmiądzono go drzwiami, na których – niczym w średniowiecznej torturze – ustawiono stertę obciążników.

– Nie mogę oddychać – wyznał doktorowi.

– Gdybyś nie mógł oddychać, nie mógłbyś mówić. Powietrze przechodzi z płuc przez struny głosowe.

– Ból jest nie do zniesienia.

– Masz kilka połamanych żeber. Sam parę złamałem, żeby usunąć kule. – Doktor umilkł i dodał: – Jestem ci winien przeprosiny.

– Przeprosiny?

– Użyłem części strun twojej mandoliny do połączenia kości. Nie było nic innego.

Przypuszczam, że zrobiłeś struny sopranowe z mojego drutu chirurgicznego, i musiałem ci go odebrać. Gdy kości się pozzrastają, trzeba będzie drut usunąć operacyjnie.

Kapitan skrzywił się.

– Kiedy będzie cię bardzo bolało, musisz pamiętać, że jeśli jesteś mężczyzną, Antonio, to nie ból powinieneś odczuwać, lecz smutek. Wszyscy twoi towarzysze zginęli.

– Wiem. Byłem przy tym.

– Przykro mi. – Doktor zawahał się. – Zdaje się, że Carlo uratował ci życie.

– Nie „zdaje się”. Wiem o tym. Z nas wszystkich on był najlepszy i zostawił mnie, żebym o tym pamiętał.

– Nie powinieneś płakać, kapitanie. Wyleczymy cię, a potem wyprawimy z wyspy.

– Ja cuchnę, *dottore*. Niech pan nie pozwoli, by Pelagia oglądała mnie w takim stanie.

– Jeśli sobie tego życzysz, będę cię pielęgnował. Tutaj jest bardzo ciasno, prawda? Ale poradzimy sobie. W tej norze przebywało wielu wspaniałych wolnomyślicieli, traktuj więc leżenie w tak historycznym miejscu jako zaszczyt. Musisz wiedzieć, że bez względu na ból powinieneś jak najczęściej zmieniać pozycję, bo inaczej dostaniesz odleżyn. Jeśli zaczną gnić, mogą zabić – równie pewnie jak kula. Śpij tak długo, jak tylko możesz, ale musisz się ruszać. Jeżeli ból będzie nie do zniesienia, mogę ci dać morfinę, ale zostało jej bardzo niewiele, a dzięki tutejszym Niemcom na pewno będę jej jeszcze potrzebował. Jeżeli ci to nie przeszkadza, wolałbym, żebyś się upijał. Mam również trochę waleriany i maruny, które Pelagia zebrała na wiosnę. Muszę cię prosić, byś znosił ból najbardziej po męsku, jak potrafisz. Zapewniam, że cierpienie w czasie choroby sprawi, że gdy już wyzdrowiejesz, poczujesz się dwa razy lepiej. I zwiększy twoje poczucie wdzięczności.

– *Dottore*, nic nie potrafiłoby zwiększyć mojej wdzięczności.

– Mógłbyś jeszcze umrzeć – odparł doktor bez ogródek. Pochylił się i rzekł konfidencyjnie: – Miałem zamiar zapytać, czy hemoroidy mniej dają ci się we znaki. Wybacz, że nie zrobiłem tego wcześniej. Uznałem, że byłoby to niedyskretne.

– Zastosowałem się do pana rady – odparł kapitan – i poskutkowało.

– Tutaj będziesz miał niewiele okazji do ćwiczeń i kiepskie wyżywienie, choć zrobimy, co w naszej mocy. Z pewnością dostaniesz obstrukcji i być może będę zmuszony zrobić ci lewatywę. Nie chcę używać do tego rurki mojego stetoskopu, ale może będę musiał. Jeżeli tego nie zrobimy, twoje hemoroidy pojawią się na powrót wskutek wysiłku przy wypróżnieniach. Z góry przepraszam za upokorzenie.

Kapitan położył dłoń na ręce doktora.

– Niech pan nie pozwoli, by Pelagia to widziała.

– Oczywiście, że nie pozwolę. I jeszcze jedno. Zapuścisz brodę jak jakiś Grek. Zaczniij też już myśleć jak Grek. Będę cię uczył greckiego, Pelagia także zostanie twoją nauczycielką. Nie wiem tylko, gdzie zdobyć dokumenty i kartki żywnościowe; być może będziemy musieli obyć się bez nich.

– Gdy wydobrzeję, musi mnie pan stąd przenieść, *dottore*. Nie chcę was narażać. Jeżeli mnie złapią, powinienem umrzeć sam.

– Możemy cię przenieść do domu, do którego chodziliście z Pelagią. Tylko nie rób takiej zdziwionej miny. Wszyscy wiedzieli. Żadna staruszka nie plotkuje równie zawzięcie jak pastuch strzegący kóz. To z powodu samotności – ona sprawia, że robią się gadatliwi. Pamiętaj, że możesz nie poczuć się lepiej. Jeśli nie dość dobrze oczyściłem rany, jeżeli gdzieś jest przetoka przepuszczająca jakiś płyn, jeżeli dostało się powietrze... Musisz mi natychmiast powiedzieć, gdy poczujesz ucisk. Będę wtedy musiał wyciąć dziurę w twoim ciele i wypuścić jego źródło.

– *Madonna Maria, dottore*, niech mi pan powie parę kłamstw.

– Nie jestem Pinokiem. Prawda nas wyzwoli. Przewyciężamy przeszkody, patrząc jej prosto w oczy.

Dwa dni później kapitanowi wróciła gorączka i Pelagia przebywała w kryjówce razem z nim, zwilżając mu gąbką czoło i słuchając, jak bełkocze, nękany koszmarnymi snami. Zmieniała mu opatrunki i sprawdzała, czy rany nie wydzielają charakterystycznej woni ropy. Ojciec uspokoił ją wyjaśnieniem, że ludzka skóra przybiera pod wpływem toksyn żółtokremowy odcień, ale w głębi duszy wątpił, czy kapitan przeżyje. Nie miał pewności, czy dobrze wykonał operację, ale nadal co jakiś czas aplikował mu dożylnie roztwór glukozy i soli fizjologicznej, pokazał córce, jak przy pomocy poduszek zmieniać ułożenie ciała i zmniejszać w ten sposób stały ucisk, który wywołuje odleżyny, ale kazał jej wychodzić na czas dokonywania wszystkich tych powinności, które normalnie przypadają w udziale kobiecie i w których spełnianiu przejawia się największa miłość.

Gorączka nasiliła się czwartego dnia. Corelli bełkotał i pocił się tak obficie, że zarówno doktor, jak i Pelagia zaczęli tracić nadzieję. Janis ostrożnie włożył do każdej rany grubą igłę weterynaryjną, chcąc sprawdzić, czy nie zrobił się w nich ropień z trucizną, ale nic nie znalazł i przyczyny złego stanu kapitana pozostały dla niego tajemnicą. Pelagia włożyła mu do lewej dłoni gryf Antonii, jego ukochanej mandoliny. Corelli zacisnął na nim palce, uśmiechnął się, a doktor zauważył w duchu, że jego córka zademonstrowała w ten sposób

prawdziwie lekarski zmysł.

Dwa dni później gorączka ustąpiła i pacjent otworzył zdumione oczy, jakby po raz pierwszy uświadomił sobie fakt, że istnieje. Czuł się słabszy, niż powinien się czuć, ale wypił kociołek mleko przyprawione brandy i stwierdził, że nareszcie może o własnych siłach podnieść się w łóżku. Tego samego wieczoru zdołał wstać z pomocą doktora i pozwolił się umyć. Nogi miał drżące i cienkie jak patyki, ale Janis kazał mu dreptać w miejscu dopóty, dopóki kapitan nie stracił sił i nie poczuł mdłości. Żebra bolały go bardziej niż kiedykolwiek; dowiedział się, że prawdopodobnie będą mu dokuczać miesiącami, przy każdym wdechu. Powinien więc wykorzystywać do oddychania mięśnie brzucha. Gdy spróbował to uczynić, poczuł ból w ranie na brzuchu. Pelagia przyniosła lustro i pokazała mu siną bliznę, biegnącą przez twarz, oraz szczecinę – załazek jego „helleńskiej” brody. Swędziała go i przeszkadzała mu niemal tak bardzo jak blizny, nadając w dodatku kapitanowi zbójcką powierzchowność.

– Wyglądam jak jakiś Sycylińczyk – zauważył.

Tego wieczoru zjadł swój pierwszy normalny posiłek. Ślimaki.

LX

Początek jej smutków

Pelagia miała zapamiętać rekonwalescencję Antonia i jego ucieczkę nie jako okres oszałamiającej przygody ani nawet jako interludium strachu i nadziei, lecz jako powolny początek swoich smutków.

Wojna osłabiła ją. Jej skóra zrobiła się półprzezroczysta z niedożywienia i ciasno napięta na kościach, co nadawało Pelagii zmizerowany i uduchowiony wygląd, który stał się modny dopiero dwadzieścia pięć lat później. Jej kształtne piersi zwiędły trochę i opadły, przestały być oznakami piękna i przedmiotem pożądania. Czasami krwawiły jej dziąsła, a gdy jadła, przeżuwała ostrożnie, żeby nie stracić któregoś zęba. Jej bujne czarne włosy zwiotczały, straciły elastyczność i można było wśród nich dostrzec pierwsze srebrne nitki; pojawiły się co najmniej o dziesięć lat za wcześnie. Doktor, który z uwagi na swój wiek ucierpiał mniej niż córka, często ją badał i wiedział, że od początku okupacji straciła połowę tkanki tłuszczowej. Na podstawie analizy zawartości azotu w jej moczu stwierdził, że Pelagia zużywa zapasy białka w organizmie, co powoduje stały zanik mięśni, i z trudem wytrzymuje jakąkolwiek aktywność ruchową dłużej niż przez parę minut. Mimo to nadal miała zdrowe serce i płuca; gdy tylko mógł, oddawał jej większą część mleka i ryb (jeśli udało się je nabyć), symulując brak apetytu. Ona z kolei oddawała swoje jedzenie Corellemu pod identycznym i równie łatwym do rozszyfrowania pozorem. Gdy doktor widział ją tak zmizerniałą, serce mu się krajało i przypominały mu się postrzępione róże, które potrafią przetrwać jesień i czepiają się kurczowo resztek swej urody aż do grudnia, jak gdyby podtrzymywane przez los, tęskniący do przeszłości, ale zdecydowany je w końcu zniszczyć. Teraz, gdy żaden zawstydzony włoski oficer nie wykradał dla nich racji żywnościowych i gdy nie można było omotywać grubego kwatermistrza, doktor musiał zastawiać sidła na jaszczurki i węże, ale na razie nie był jeszcze gotów eksperymentować z jedzeniem kotów i szczurów. Sytuacja wyglądała zresztą lepiej niż w Holandii, gdzie koty serwowano jako „króliki dachowe”, i nie była aż tak poważna jak na kontynencie. Zawsze pozostawało morze, źródło istnienia wyspy, a zarazem całej jej burzliwej przeszłości i znaczenia strategicznego, które teraz były osobliwym wspomnieniem, to samo morze, które w przyszłości spowoduje kolejne najazdy

Włochów i Niemców, smażących się wspólnie na plażach i pozostawiających plamy olejku do opalania na wodzie, turystów zaintrygowanych nieprzytomnymi i podejrzliwymi spojrzeniami sędziwych Greków w caerni, którzy będą mijali ich, nie odwzajemniając pozdrowień ani słowem, ani gestem.

Gdy tylko Corelli tył w stanie chodzić, ciemną nocą wyruszył w towarzystwie doktora i Welisariosa do Cosa Nostra. Pelagia została w domu w kryjówce, do której na powrót trafiły mandolina, „Historia” doktora i zapiski Carla. Dopóki na wyspie przebywali niemieccy gwałciciele, prawie nie opuszczała domu i w jamie po:, podłogą snuła wspomnienia, szydełkowała i pruća swą narzutę i myślała o Antoniu. Dał jej swój, zbyt duży na jej palec sygnet, który obracała teraz w świetle lampy, patrząc na półsokoła wlatującego z gałązką oliwną w dziobie i widniejące poniżej słowa *semper fidelis* – zawsze wierny. W głębi duszy obawiała się, że wróciwszy do domu, Antonio przestanie o niej myśleć, że te słowa odnoszą się tylko do niej, że zostanie tu już na zawsze, wierna i zapomniana, czekając niczym Penelopa na człowieka, który w końcu nigdy nie przybył.

Ale Antonio mówił – co innego. Przychodził często po zmroku, narzekając, że w ich schronieniu jest zimno i wieje, i snuł jeżące włosy na głowie opowieści o tym, jak ledwie uniknął schwywania, z których tylko część była prawdziwa. Jego broda drapała Pelagię w policzki, gdy wtuleni w siebie leżeli w ubraniach na jej łóżku, rozmawiając o przyszłości i przeszłości.

– Już zawsze będę nienawidziła Niemców – wyznała.

– Günter uratował mi życie.

– Wymordował wszystkich twoich przyjaciół.

– Nie miał wyboru Nie zdziwiłbym się, gdyby zastrzelił się potem. Próbował powstrzymać łzy.

– Zawsze jest jakiś wybór. Mówimy u nas, że w cokolwiek wdaje się ciało, winę za to ponosi umysł.

– Nie miał tyle odwagi co Carlo. Carlo odmówiłby wykonania rozkazu, ale Günter był innym człowiekiem.

– Czy ty byś odmówił?

– Mam nadzieję, że tak, ale nie pewność. Być może wybrałbym łatwiejszą drogę. Jestem tylko człowiekiem, a Carlo był niczym jeden z bohaterów naszych legend, niczym Horacjusz Kokles lub człowiek, jakkolwiek brzmi jego imię, który powstrzymał całą armię

Porsenny na moście na Tybrze. Tylko jeden na milion rodzi się takim i nie wolno ci winić biednego Güntera.

– Mimo to nigdy nie przestanę nienawidzić Niemców.

– Wielu Niemców nie jest Niemcami.

– Co takiego? Nie bądź niemądry.

– Nie możesz sądzić tylko po mundurach. Naziści wcielali do wojska żołnierzy ze Śląska i Pomorza, werbowali ich na Ukrainie, Łotwie, Litwie oraz w Czechosłowacji, Chorwacji, Słowenii i Rumunii, gdzie tylko chcesz. Nie wiesz o tym, ale na kontynencie mają w swoich szeregach Greków, którzy tworzą tak zwane Bataliony Bezpieczeństwa.

– To nieprawda!

– A jednak. Przykro mi, ale tak jest. Każdy naród ma swoją porcję kanalii. Wszystkich tych zbirów i zera, którzy chcą czuć się lepsi. Dokładnie to samo zdarzyło się we Włoszech, wszyscy oni przyłączyli się do faszystów, by sprawdzić, czego mogą się dochrapać. Wszyscy synowie urzędników i wieśniaków, którzy chcieli być czymś. Same ambicje i żadnych ideałów. Nie rozumiesz, jak wielki jest urok armii? Jeśli potrzebujesz dziewczyny, to ją zgwałć. Jeśli potrzebujesz zegarka, weź go sobie. Jeżeli jesteś w podłym nastroju, zabij kogoś. Czujesz się lepiej, czujesz się silny. Dobrze jest należeć do grona wybranych, możesz robić, co chcesz, i wszystko usprawiedliwić, głosząc, że takie jest prawo natury lub wola Boga.

– Mamy takie porzekadło: „Daj wieśniakowi odwagę, a skoczy ci do łóżka”.

– Podoba mi się to drugie, które mi cytowałaś.

– „Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka”? Co ono ma z tym wspólnego?

– Nie, nie to. „Kto w ul dmuchnie, temu gęba spuchnie”. Spuchła mi gęba, *koricimu*, i teraz żałuję, że poszedłem do wojska. Wówczas wydawało się to dobrym pomysłem, ale widzisz, jak się skończyło.

– Antonia straciła struny, a ty jesteś cały podrutowany. Tęsknisz za chłopcami? Bo ja tak.

– *Koricimu*, kochałem ich, byli dla mnie jak własne dzieci. Jak się miewa Lemoni? Gdy będziemy mieli córkę, nazwiemy ją Lemoni. Po wojnie.

– Jeśli będziemy mieli dwóch synów, drugi musi mieć na imię Carlo. Jego imię powinno żyć, powinno nam przypominać o nim każdego dnia.

– Każdej minuty.

– *Carino*, czy wierzysz w Boga i niebo, i całą resztę?

– Nie. Nie po tym wszystkim, to nie ma żadnego sensu. Czy gdybyś była Bogiem,

pozwoliłabyś na to?

– Zapytałam, bo chcę, by Carlo i chłopcy trafili do raju. Nic na to nie poradzę, może więc rzeczywiście wierzę.

– Gdy zobaczysz Boga, powiedz mu, że mam ochotę dać mu w nos.

– Pocałuj mnie, już prawie świta.

– Muszę iść. Jutro przyniosę ci królika. Odkryłem norę i jeżeli położę się nad nią, mogę schwytać go, gdy będzie wychodził. I znajdę dla nas następne ślimaki.

– Psipsina łapie króliki, ale nie pozwala ich sobie odebrać. Prycha i ucieka.

– Gdyby była wiosna, mógłbym poszukać jajek.

– Przytul mnie.

– *Santa Maria*, moje żebra.

– Strasznie przepraszam, stale o tym zapominam.

– Szkoda, że ja nie mogę zapomnieć. *Merda*. Ale i tak cię kocham.

– Aż po grób?

– Na Sycylii powiadają, że wieczna miłość trwa dwa lata. Na szczęście nie jestem Sycylijczykiem.

– Grecy kochają siebie i swoje matki aż do śmierci. Żony – przez sześć miesięcy. Na szczęście jestem kobietą.

– Na szczęście.

– Wrócisz? Po wojnie?

– Zostawię Antonię jako zakładniczkę. Dzięki temu zrozumiesz, że możesz mi zaufać.

– Mógłbyś sobie sprawić następną.

– Ona jest niezastąpiona.

– A ja nie jestem?

– Czemu mi nie ufasz? Czemu tak na mnie patrzysz? Nie płacz. Jakże mógłbym stracić szansę na posiadanie takiego teścia?

– Drań.

– Au! Moje żebra.

– O, *carino*. Tak mi przykro.

– Muszę już iść. Do jutra. Pocałuj mnie. Kocham cię.

Wyszedł w mrok nocy i skradał się od żywopłotu do muru, podrywając głowę przy najcichszym odgłosie; świt zastał go śniącego pod kocami, z grudkami wapnia kostniejącymi stopniowo pod skórą, z serdecznym wspomnieniem zaludniającym jego myśli obrazami Pelagii i jego śpiewających chłopców. Budził się wczesnym popołudniem i szukał jagód,

ćwiczył, by zachować giętkość palców, i szukał ślimaków w poszyciu leśnym. Janis nie tylko kazał mu jeść te paskudztwa, ale polecił jeszcze tłuc i ucierać muszle w moździerz; cała rodzina piła potem ziarniste kawałki razem z winem, intencją doktora było bowiem, by każdy, choćby najchudszy i najbardziej zmęczony, zachował doskonały kościec; i tak było to lepsze niż stare zapasy suszonej fasoli, która zapełniała żołądek, ale przyprawiała o kolkę.

Pelagia była w rozterce. Chciała zatrzymać swego kapitana na wyspie, wiedziała jednak, że w ten sposób skazałaby go na śmierć. Byli ludzie, którzy dla chleba popełniliby każdą zdradę i prędzej czy później naziści dowiedzieliby się o potajemnej obecności kapitana w życiu doktora i Pelagii. W dodatku psuła się pogoda, dach Casa Nostra przeciekał i kapitan nie miał jak się bronić przed smagającym wichrem i mściwym zimnem. Pelagia i jej ojciec mieli coraz mniej żywności i czasami zdarzało się dziewczynie wodzić tęsknym spojrzeniem za pajakami na ścianach. Kazała Kokoliosowi i Stamatisowi odnaleźć szaleńca, który niegdyś wędrował z Arseniosem, i powiedzieć mu, by wstąpił do niej, jeśli może.

Bunny Warren od pewnego czasu stosował się do brytyjskiej polityki – realizowanej za pomocą złotych suwerenów – zniechęcania posiadaczy łodzi do użyczenia ich Niemcom. Dzięki temu dość sporo pozostałych przy życiu włoskich żołnierzy wypływało nocą do Syrakuz, Bianco lub Valetty na statkach, które zdawały się zrobione z zapalek, lecz w których ich właściciele pokładali niezachwianą wiarę. Spadając z grzbietu fali w jej dolinę, przemykały one obok łodzi alarmowych i szperaczy, okrętów liniowych i min, ze śpiewającymi z wigorem marynarzami na pokładzie i wypatrującymi oczy, zmarzniętymi i udręczonymi przez mdłości pasażerami, którzy w końcu docierali na suchy ląd i odkrywali, że od jego bezruchu robi im się niedobrze.

Dlatego też organizacja wyjazdu kapitana nie była dla Warrena niczym wyjątkowym. O trzeciej nad ranem wstąpił do domu Pelagii, stukając delikatnie do okna jej pokoju. Gdy wyplątała się z objęć Corellego, podniosła żaluzje i ujrzała człowieka, którego pomocy szukała i obawiała się zarazem.

– Serwus – powiedział, znalazłszy się za progiem i dodał: – *Kalimera, kiria Pelagia*. – Bardzo oficjalnie uścisnął jej rękę i rzucił jakąś uwagę o pogodzie.

Greka Bunny'ego Warrena była teraz barwna i prawdziwie potoczna. Nadal jednak mówił z akcentem angielskiego arystokraty. Ponieważ zasób przymiotników i przysłówków, jakim normalnie dysponował, był nieprzekładalny, wciąż podkreślał swoje wypowiedzi angielskimi słowami, takimi jak *spiffing*, *simply ripping* oraz *absolutly ghastly*,⁴⁹ które

⁴⁹ świetny, byczy, potworny

dezorientowały rozmówców i były zbędne raczej niż bezsensowne.

– Kim jest ten człowiek? – zapytał Corelli, który przez chwilę bał się, że to rewizja.

– Bunnios, to włoski oficer. Musimy go stąd wywieźć – zwróciła się Pelagia do Warrena, nie odpowiadając na pytanie kapitana.

Warren uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– *Ave* – rzekł, nie mając wcześniej podobnej sposobności do uwspółcześnienia swojego włoskiego. Corelli poczuł, że zmiażdżono mu dłoń. Miał odtąd przesadne wyobrażenie o sile Brytyjczyków. Nie wiedział, że w Anglii taka próba złamania palców drugiej osobie świadczy zarówno o męskości, jak i jowialnej galanterii.

Brytyjczyk wprowadził go w osłupienie swą chudością i wzrostem, a niebieskimi, bardzo nordyckimi oczyma irytująco przypominał Niemca.

Okazało się, że następnej nocy, o ile dopisze pogoda, w kierunku Sycylii wypłynie kaik i nie będzie najmniejszych trudności z umieszczeniem kapitana na pokładzie.

– Choć być może będziemy musieli zabić paru tych zdemoralizowanych łobuzów.

Wystarczy po prostu pójść nad zatokę o pierwszej w nocy z osłoniętą lampą i błysnąć nią w kierunku morza w odpowiedzi na sygnały z łodzi.

Warren obiecał, że będzie tam, i zapewnił, że wszystko pójdzie jak z płatka.

Każde rozstanie jest zapowiedzią śmierci

Corelli nie wrócił przed świtem do Casa Nostra, lecz za zgodą doktora został z Pelagią w domu. Ten dzień tak nagle okazał się ich ostatnim spędzonym razem, że przystanie na ryzyko wydawało się rzeczą humanitarną, a zresztą w ubraniu wieśniaka i ze wspaniałą brodą, która jeszcze nie przesłoniła sonej blizny na policzku, Corelli wyglądał jak prawdziwy Grek. W dodatku teraz mówił po grecku na tyle dobrze, by zwieść Niemców, którzy w ogóle nie znali tego języka. Uderzał nawet, w typowy dla Greków sposób, palcami w grzbiet ręki, by podkreślić czyjąś głupotę, oraz odrzucał głowę do tyłu i cmokał na znak odmowy. Od czasu do czasu śnił w grece, co ogromnie przeszkadzało śpiącemu umysłowi, gdyż siłą rzeczy zwalniało tempo narracji w snach. Kapitan zauważył też, że mówienie po grecku zmienia jego osobowość. Czuł się wtedy człowiekiem bardziej gwałtownym i – z jakiegoś niezwykłego powodu, który nie miał nic wspólnego z jego brodą – bardziej owłosionym.

Siedzieli we troje w tej tak znajomej kuchni, zasmuceni i pełni lęku, rozmawiając po cichu i kręcąc głowami przy każdym wspomnieniu.

– Tyle jest rzeczy, których nigdy nie zapomnę – rzekł Corelli. – Takich jak sikanie na ziola. Gdy zachęcił mnie pan do tego, zrozumiałem, że zostałem zaakceptowany.

– Szkoda, że mój ojciec nie zaniechał tego zwyczaju – zauważyła Pelagia. – Boję się przez to ich używać. Marnuję masę czasu na płukanie.

– Mam poczucie winy, że wyjeżdżam stąd żywy, podczas gdy wszyscy moi przyjaciele zginęli, a Carlo spoczywa na podwórku.

– W „Odysei” Achilles mówi coś takiego: „Ześlij mnie znowu na ziemię, bo wolałbym być niewolnikiem w domu człowieka bez ziemi niż królem tych wszystkich, którzy stracili życie”, i ma rację – oświadczył doktor. – Gdy umierają nasi ukochani, musimy żyć w ich imieniu. Oglądać wszystko ich oczyma. Pamiętać, jak się wyrażali, i samemu używać tych słów. Być wdzięczni, że możemy czynić to, czego oni uczynić nie mogą, i czuć smutek z tego powodu. Tak właśnie żyję bez matki Pelagii. Nie interesuję się kwiatami, ale dla niej spoglądam na posłonka pospolitego lub lilię. Dla niej jem oberżyny, ponieważ przepadała za nimi. Dla swoich chłopców powinienes muzykować – i radować się, czyniąc to dla nich. A

zresztą – dodał – może nie przeżyjesz podróży na Sycylię.

– Tatusiu – zaprotestowała Pelagia. – Nie mów tak.

– Ma rację – rzekł Corelli. – Ale człowiek może również oglądać świat dla żyjących.

Po tak długim czasie spędzonym w towarzystwie was dwojga będę patrzył na wszystko i wyobrażał sobie, co wy powiedzielibyście o tym. Będę za wami strasznie tęsknił.

– Wrócisz – zapewnił doktor. – Stałeś się wyspiarzem, jak my.

– We Włoszech nie mam domu.

– Musisz się przeświecić. Bóg jeden wie, co zostawiłem pod twoją skórą, muszą ci też wyjąć struny.

– Zawdzięczam panu życie, *jatre*.

– Przepraszam za blizny. Ale zrobiłem, co mogłem.

– A ja przepraszam, *jatre*, za pogwałcenie neutralności wyspy. Nie przypuszczam, by kiedykolwiek nam to wybaczone.

– Wybaczyliśmy Brytyjczykom i Wenecji. Chyba nie wybaczymy Niemcom. Nie wiem. W każdym razie obecność barbarzyńców zawsze była nam na rękę, bo mieliśmy kogo winić za nasze klęski i katastrofy. Łatwo nam będzie wam wybaczyć, ponieważ wszyscy jesteście martwi.

– Tatusiu – znowu zaprotestowała Pelagia. – Nie mów tak. Czy trzeba nam o tym przypominać, gdy Carlo spoczywa na naszym podwórku?

– To prawda. Tylko żywi potrzebują przebaczenia i, jak wiesz, kapitanie, musiałem ci wybaczyć, bo inaczej nie pozwoliłbym ci poślubić mojej córki.

Pelagia i Corelli popatrzyli na siebie i kapitan rzekł:

– Właściwie nigdy nie prosiłem pana o pozwolenie... wydawało mi się to bezczelnością. No i...

– Mimo to masz je. Nic nie sprawiłoby mi większej radości. Jest jednak jeden warunek. Musisz pozwolić Pelagii zostać lekarką. Pelagia jest nie tylko moją córką. Ponieważ nie mam syna, jest najbliższą synowi istotą, jaką spłodziłem. Musi mieć synowskie przywileje, gdyż po mojej śmierci będzie kontynuowała moje życie. Nie wychowałem jej na niewolnicę domową z tej prostej przyczyny, że takie towarzystwo byłoby po prostu męczące. Przyznaję, że postąpiłem samolubnie. Teraz Pelagia jest zbyt inteligentna, by być potulną żoną.

– Więc jestem mężczyzną honorowym?

– *Koricimu*, jesteś wyjątkowa, ale mimo to taka, jaką cię uczyniłem. Powinnaś być wdzięczna losowi. W każdym innym domu szorowałabyś podłogę w czasie naszej rozmowy z

Antoniem.

– W każdym innym domu nie dawałabym ci spokoju. Powinieneś być wdzięczny losowi.

– I jestem, *korricimu*.

– Naturalnie Pelagia będzie lekarką, jeżeli tego pragnie. Muzyk nigdy by się nie utrzymał z własnych dochodów – rzekł Corelli, natychmiast otrzymując bolesne uderzenie w potylicę od swej narzeczonej.

– Powinieneś stać się bogaty. Jeżeli nie, nie wyjdę za ciebie! – wykrzyknęła Pelagia.

– Żartowałem tylko. – Antonio zwrócił się do doktora: – Postanowiliśmy, że jeżeli będziemy mieli syna, otrzyma imię Janis.

Doktor był wyraźnie wzruszony, choć w tych okolicznościach dokładnie tego się spodziewał. Zapadło przeciągłe i żalosne milczenie, w którym wszyscy troje rozmyślali nad rychłym rozbiem ich małej społeczności. W końcu doktor Janis uniósł zażawione oczy i rzekł po prostu:

– Antonio, jeżeli kiedykolwiek miałem syna, to byłeś nim ty. Przy tym stole zawsze będzie dla ciebie miejsce.

Zamiast udzielić oczywistej odpowiedzi, która właśnie przez swą oczywistość musiałaby zabrzmieć fałszywie, Corelli wstał i podszedł do starszego człowieka. Janis podniósł się z krzesła. Objęli się i pokleпали po plecach, po czym doktor, nie wyraziwszy jeszcze wszystkich swoich uczuć, objął również córkę.

– Wrócę, gdy skończy się wojna – rzekł Corelli. – Dopóki trwa, wciąż jestem w wojsku, a przecież trzeba pozbyć się Niemców.

– Przegrywają – z przekonaniem orzekł doktor. – To nie potrwa długo.

– Nie wracaj na pole walki! – wykrzyknęła Pelagia. – Czy nie dość się nawalczyłeś? Mało ci śmierci? A ja? Czy ty w ogóle o mnie nie myślisz?

– Oczywiście, że myśli o tobie. Myśli o uwolnieniu się od nich, żebyś mogła bez obawy wychodzić z domu.

– Carlo też by tak zrobił. Nie mogę postąpić inaczej.

– Wy, mężczyźni, jesteście tacy głupi! – zawołała. – Powinniście oddać świat w ręce kobiet i zobaczyć, czy wówczas będą wojny.

– Wielu partyzantów u was na kontynencie oraz w Jugosławii to kobiety – odparł Corelli. – Walki toczyłyby się tak samo. Świat poznał już kilka spragnionych krwi królowych. Ważne jest, by pokonać nazistów; to najzupełniej oczywiste.

Pelagia popatrzyła na niego z wyrzutem i zauważyła cicho:

– Ważne było, by pokonać faszystów, ale ty walczyłeś dla nich.

Antonio zarumienił się. Doktor wmieszał się do ich rozmowy:

– Nie psujmy sobie ostatniego wspólnego dnia. Człowiek popełnia błędy, porywają go różne rzeczy, czasem jest bezwolny jak owca, a potem czerpie wiedzę z doświadczeń i staje się lwem.

– Nie chcę, żebyś walczył – nie ustępowała Pelagia, nie spuszczać wzroku z Corellego. – Jesteś muzykiem. W starożytności, gdy plemiona mordowały się wzajemnie, bardów oszczędzano.

Kapitan dążył do kompromisu.

– Być może nie będę musiał, a może mi nie pozwolą. Jestem pewien, że uznają mnie za niezdolnego do służby wojskowej.

– Rób coś pożytecznego – powiedziała Pelagia. – Wstąp do straży pożarnej.

– Gdy dotrę do domu – rzekł Corelli po chwili żenującego milczenia – postawię na parapecie doniczkę z bazylią, żeby mi przypominała Grecję. Może to przyniesie nam szczęście. – Chodził po kuchni, przypominając sobie wszystko, co mieściła; nie tylko znajome przedmioty, ale również historię doznanych w niej uczuć. Było to miejsce, w którym wciąż jeszcze rozbrzmiewały echa nadziei, wzajemnych zwierzeń i żartów, dawnych antagonizmów i początkowej urazy oraz wspomnienie ratowania życia. Snuł się w niej jeszcze zapach muzyki i serdecznych uścisków, który mieszał się z wonią ziół i mydła. Corelli przystanął, gładząc po smukłym, płaskim grzbiecie Psipsinę wylegującą się na ogołoconej zjedzenia półce i poczuł, że wzbiera w nim niewymowny smutek. Doktor przyglądał się Corellemu, jak stoi, samotny niczym skazaniec czekający na egzekucję, a potem spojrzął na Pelagię, siedzącą z rękami na podołku i pochyloną głową.

– Zostawię was – powiedział. – Pewna mała dziewczynka umiera na gruźlicę i powinienem ją odwiedzić. Ma zaatakowany kręgosłup i nic nie można już zrobić, niemniej...

Wyszedł z domu i dwoje kochanków usiadło naprzeciw siebie; nie znajdując słów, pieścili w milczeniu swoje palce. W końcu po policzkach Pelagii zaczęły bezgłośnie spływać łzy i Antonio ukląkł obok, objął ją i złożył głowę na jej piersi. Był na nowo wstrząśnięty chudością ukochanej; zacisnął powieki, wyobrażając sobie, że są na innym świecie.

– Tak się boję – powiedziała Pelagia. – Wyobrażam sobie, że nie wrócisz, wojna będzie trwała w nieskończoność, a ja zostanę bez nadziei, bez poczucia bezpieczeństwa, z pustymi rękami.

– Mamy niezatarte wspomnienia – odparł Corelli. – To, czy radują nas, czy smucą,

zależy od nas. Nie zapomnę o tobie i wrócę. Obiecuję. Dałem ci mój sygnet i zostawiłem ci Antonię.

– Nie przeczytaliśmy zapisków Carla.

– To zbyt bolesne. Przeczytamy je, gdy wrócę, gdy to nie będzie już takie... takie świeże.

Przez dłuższy czas w milczeniu gładziła go po włosach, po czym powiedziała:

– Antonio, żałuję, że nie... spaliśmy ze sobą. Jak mężczyzna z kobietą.

– Wszystko w swoim czasie, *koricimu*.

– Ten czas może nie nadejść.

– Nadejdzie. Nadejdzie taki czas. Masz moje słowo.

– Psipsina będzie za tobą tęsknić. Lemoni również.

– Lemoni na pewno myśli, że zginąłem.

– Po twoim wyjeździe powiem jej, że *barba Crelli* żyje. Bardzo się ucieszy.

– Musisz powiedzieć Welisariosowi, żeby od czasu do czasu popodrzucał ją za mnie.

I tak ciągnęli tę rozmowę, obracając się w kręgu tych samych tematów i potwierdzając wciąż na nowo wypowiedziane już słowa, dopóki doktor nie wrócił z wybiciem godziny policyjnej, strapiiony jak zawsze, ilekroć musiał się bezradnie przyglądać choremu dziecku, które po omacku stawia ostatnie kroki na drodze ku śmierci. Szedł do domu, snując myśli, do których zawsze skłaniały go takie sytuacje: czy można się dziwić, że straciłem wiarę? Co tam robisz, bezczynny Boże? Myślisz, że tak łatwo nabić mnie w butelkę dwoma cudami na uroczystości *i* ku czci świętego? Uważasz, że jestem głupi? Że nie mam oczu? Obracał w kieszeni złotego suwerena, którym zapłacił mu ojciec dziewczynki. Brytyjczycy rozdali ich tyle, wspomagając *andartes*, że straciły wartość. Nawet złoto, pomyślał, jest mniej warte od chleba.

Tego wieczoru zjedli wspólnie chude udo starego koguta; Kokolios zabił stworzenie, żeby nie przywłaszczyli go sobie rabusie, a Pelagia zachowała kość na zupę, która zawierała także kości jeża. Gdyby gotowała je dostatecznie długo, byłyby wystarczająco miękkie, aby je żuć. Potem zaparzyła słabą i gorzką herbatę z owoców dzikiej róży, które zebrała jesienią, zadowolona, że ma do zrobienia coś, co pozwala choć na chwilę zapomnieć o własnych obawach. Siedzieli we troje w półmroku, czekając, a godziny mijały zbyt wolno i zbyt szybko zarazem.

O jedenastej porucznik Bunny Warren poskrobał palcem w szybę i doktor wpuścił go

do środka. Warren wszedł z wyrazem zdecydowania i spokoju na twarzy, jakże odmiennym od jego zwykłej nieśmiałości. Za pasem miał zatknięty duży i najwyraźniej dobrze naostrzony nóż. Pelagia słyszała, że członkowie brytyjskich oddziałów specjalnych posiadli ewidentnie bałkańską zdolność cichego podrzynania gardel, i zadrżała na widok noża. Trudno było sobie wyobrazić Bunniosa robiącego coś takiego, a myśl, że przypuszczalnie czynił to dość często, sprawiła jej przykrość.

Usiadł na brzegu stołu i przemówił w zwykłej mieszance potocznej greki i brytyjskiego żargonu i dopiero w tej chwili Corelli zaczął się zastanawiać, jak to się stało, że Pelagia i doktor zdołali zawrzeć znajomość z brytyjskim oficerem łącznikowym. Na wojnie tyle jest rzeczy dziwacznych, że człowiek czasami zapomina o wątpliwościach i zadaniu stosownego pytania.

– Obowiązują standardowe procedury operacyjne – zaczął Warren. – Żadnych jasnych ubrań. Nie chcę, by te dranie nas zobaczyły. Żadnych rozmów, jeżeli nie jest to absolutnie konieczne. Co dwadzieścia sekund przystanek i nasłuchiwanie. Stąpać płasko, *ergo* mniej chrzęstu pod stopami. Przy schodzeniu z góry stopy stawiać równoległe, *ergo* bez ślizgania się i spychania ziemi. Pójdę na czele, doktor i *kiria* Pelagia za mną, Corelli na końcu. Corelli musi oglądać się za siebie przy każdym przystanku. – Wręczył kapitanowi kawałek drutu, na którego obu końcach znajdowały się krótkie kołki. Trwało parę sekund, nim Antonio zdał sobie sprawę, że to garota i że Warren oczekuje od niego jej użycia. – Żadnego strzelania bez rozkazu – ciągnął dalej porucznik. – Jeżeli niespodziewanie nawinie się jeden szkop, wykończę gnoja własnoręcznie. Gdy będzie ich dwóch, każdy z nas załatwia jednego. W razie napotkania trzech lub więcej, leżymy bez ruchu i na mój znak dajemy tyły i obchodzimy ich z boku. – Potoczył spojrzeniem po twarzach zebranych i zapytał: – Czy to jasne jak słońce?

Doktor przełożył te instrukcje dla Corellego i wszyscy zgodzili się, że są jasne jak słońce. Warren znowu przemówił:

– Dziś wieczorem zrobiłem rekonesans. Szkopy nie wysuwają nosa z koszar. Nie lubią zimna. Niezbędne jest ciepłe ubranie. Zrozumiano?

Pelagia wstała i weszła do swojego pokoju, wracając z kocami i czymś jeszcze.

– Antonio, weź to. Chcę, żebyś ją miał – powiedziała. – Corelli rozwinął miękki papier i zobaczył, że to haftowana kamizelka, którą przed wielu miesiącami chciał kupić. Uniósł ją do góry i złote nici zaślniły w przyćmionym świetle.

– Och, *korcimu* – powiedział, czując pod kciukiem wspaniały aksamit i śliski atlas

podszewki pod palcem wskazującym. Wstał, zdjął kurtkę i włożył kamizelkę. Zapiął guziki, potrząsnął ramionami, żeby się ułożyła i zawołał: – Pasuje jak ulał!

– Włóżysz ją do tańca na naszym weselu, a teraz ogrzeje cię na łodzi.

Za wioską Spartia, na przylądku Liaka, znajduje się bardzo strome urwisko, które opada wprost do morza i na które wówczas można się było dostać jedynie długą, wydeptaną przez kozy ścieżką, wijącą się jak wąż przez makie. Ścieżka służyła właściwie wyłącznie rybakom, rozstawiającym w lecie gęste sieci do połowu ławic sardynek, które nie podejrzewając niczego, zbierały się pod osłoną wielkich, sterczących nad wodą skał. Plażę u stóp urwiska w miejscach, których nie zajmował zwietrzały kamień, tworzyły szerokie na zaledwie dwa metry pasma piasku. Samo dno morza, na pozór skaliste i niebezpieczne, pokryte było niemal wyłącznie drobnym piaskiem i idealnie nadawało się na miejsce desantu nawet dla dość dużych łodzi, ponieważ opadało stromo, a sterczące nad nim urwiska utrudniały obserwację z góry. Od przylądka Aja Pelagia aż po zatokę Lurdas Niemcy rozmieścili w regularnych odstępach posterunki obserwacyjne, ale ich załogi były nieliczne i nieruchawe, zwłaszcza podczas zimnych grudniowych nocy. Poza tym, podobnie jak wcześniej Włosi, Niemcy dobrze wiedzieli, że prawdziwa wojna toczy się gdzie indziej. Pod nieobecność oficerów wartownicy grali w karty i palili papierosy w swoich małych drewnianych barakach, wychodząc niekiedy rozprostować kości lub za potrzebą, i cały czas wypatrywali Gwiazdy Polarnej, która wskazywała drogę do domu.

Dlatego też wędrówka naszej czwórki na plażę nie obfitowała w wielkie przygody. Zimny wiatr szumiał wśród ciemnych krzewów, księżyc nie świecił. Lekki deszcz postraszył ich paroma przelotnymi kroplami, a ciemność była tak nieprzenikniona, że chwilami Pelagia bała się, iż straci kontakt z idącym przed nią ojcem. Pod wpływem zimna na każdym z bezgłośnych przystanków Warrena nikła w oczach, a fakt, że jej ojciec ma w ręce pistolet, nie wiedzieć czemu bardziej ją chyba przerażał niż to, że sama zaciska derringera w dłoni. Zmagiała się zarówno z pustką, jaka zdawała się otwierać w jej sercu, jak i lęklwym, pośpiesznym waleniem tegoż serca. Antonio miał bardzo podobne odczucia, mimo że konieczność chronienia idącej przed nim narzeczonej wymagała siły. Pytał siebie, dlaczego wplątał się w to wszystko, buntując się przeciw temu i odrzucając to, ale uznając zarazem konieczność swych działań. Przytłaczała go melancholia i osłabiało poczucie daremności i pragnął niemalże, by napotkali niemiecki patrol, tak aby mógł zginąć, walcząc i zabijając, kończąc to wszystko z hukiem, ale natychmiast. Wiedział, że opuszczenie wyspy oznacza wykorzenie.

Stłoczyli się we czworo na małym skrawku piasku, z dala od zimnych szponów

wiatru, czekając na błysk światła, który miał dotrzeć do nich od strony morza. Warren zapalił własną lampę i osłonił jej blask swą peleryną, podczas gdy pozostali na przemian ogrzewali przy lampie ręce. Corelli podszedł do linii wody i ujrzał unoszące się i opadające czarne fale; zastanawiał się, czy i jak wyjdzie z tego cało. Wspominał inne plaże, widząc chłopców z La Scali śpiewających i popijających, w czasie gdy nagie prostytutki pluskały się na mieliznach morza tak spokojnego i przejrzystego, jakby było jeziorem w Arkadii. Oczyma duszy oglądał niesamowity turkus zatoki Kiriaki widzianej latem z góry, w drodze powrotnej z Assos, i piękno tego wspomnienia spotęgowało poczucie straty. Przypomniawszy sobie to, co doktor mówił mu o *ksenitia*, strasznej, nostalgicznej miłości do ziemi ojczystej, na którą cierpią Grecy na wygnaniu, i poczuł, jak obraca się ona w jego piersi niczym bagnet. Teraz miał swoją wioskę, swą własną *patrida* i nawet jego myśli i mowa się zmieniły. Wrzucił do morza czarny kamień, by zaczarować szczęście, i wrócił do Pelagii. W ciemności ujął jej twarz w dłonie, a potem przytulił dziewczynę. Jej włosy nadal pachniały rozmarynem; wciągnął tę woń tak głęboko, że zabolowały go zrastające się żebra. Zimne świeże powietrze wzmocniło aromat i Antonio zrozumiał, że rozmaryn już nigdy nie będzie miał woni równie przejmującej i doskonałej. Odtąd będzie pachniał wygasłym światłem i pyłem.

Gdy od strony morza trzykrotnie błysnęło światło, a Warren odpowiedział tym samym sygnałem, Corelli uściśnął dłoń porucznikowi, ucałował swojego teścia w obydwie policzki i wrócił do Pelagii. Wszystko zostało już powiedziane. Wiedział, że jej usta drżą z żalu, sam też czuł, jak ten sam spazm ścisnął mu gardło. Czule pogładził ją po policzku i ucałował jej oczy, jak gdyby chciał uśmierzyć łzy. Usłyszał głuchy odgłos wiosła uderzających w okrężnicę skifu i skrzypienie drewna na skórze; uniósł wzrok, by ujrzeć sylwetkę podpływającej łodzi z cieniami dwóch wiosłujących z wysiłkiem mężczyźni. Cała czwórka zbliżyła się do wody i doktor rzekł:

– Powodzenia, Antonio. I wróć do nas.

– Niech Bóg wysłucha twoich słów – rzekł kapitan po grecku i po raz ostatni przytulił Pelagię.

Gdy przebrnął przez przybrzeżne fale i wdrapał się na pokład, znikając w ciemnościach niczym duch, Pelagia wbiegła do morza, zanurzając się aż po uda. Usiłowała ujrzeć go ostatni raz i nic nie zobaczyła. W głowie miała pustkę. Pętla bólu zacisnęła się na jej sercu niczym szpony drapieżnego ptaka. Przyłożyła ręce do twarzy i rozplakała się; jej ramiona podnosiły się i opadały, a niesiony wiatrem gwałtowny szloch ginął w szumie morza.

LXII

O okupacji niemieckiej

Na temat niemieckiej okupacji niewiele można powiedzieć poza tym, że sprawiła, iż mieszkańcy wyspy nieomal pokochali Włochów, których stracili. Rzadko się zdarza, by ludzie potrafili się zmusić do obdarzenia miłością swoich ciemiężców, lecz od czasów imperium rzymskiego nie rządzono tu w inny sposób. Teraz nie było już Włochów pracujących wśród winorośli u boku miejscowych wieśniaków, żeby uciec od nudy garnizonowego życia, nie było meczów między drużynami, których gracze kłócili się, oszukiwali i rzucali z pięściami na sędziego, skończyło się flirtowanie miejscowych dziewczyn z nie ogolonymi bombardierami w czapkach na bakier, z połówkami papierosa tłącymi się w kącikach ust. Nie było już tenorowych głosów posyłających fragmenty neapolitańskich pieśni i sentymentalnych arii przez górskie lasy piniowe. Nie było nieudolnych żandarmów, powodujących korki w centrum Argostoli wymachiwaniem ramion i piskliwym gwizdaniem na wszystkich naraz, nie było niepunktualnego hydroplanu, z furkotem odbywającego leniwy i niezdecydowany rekonesans po wyspie, nie było gorszących wojskowych kurew, z umalowanymi wargami i parasolkami, kąpiących się nago w morzu i obwożonych furmanką przez zamrozonego starego Greka. Nie wiadomo, co się stało z tymi dziewczynami; przypuszczalnie zostały wysłane do niewolniczej pracy do jakiegoś nieznanego obozu w Europie Wschodniej, możliwe też, że zostały zgwałcone i zabite, znajdując grób wśród mężczyzn, z którymi kochały się z obowiązku, lub na biblijnych stosach, co zasnuwały niebo czarnym dymem, pozostawiając w wypalonej ogromnymi kręgami murawie ich prochy zmieszane z prochami żołnierzy, i drażniąc nozdrza odorem nafty i zwęglających się kości. Adriana, La Triestina, Madama Nina – wszystkie przepadły bez śladu.

Po wojnie zebrano nieliczne szczątki włoskich żołnierzy. Parę nie uszkodzonych ciał wykopano z włoskiego cmentarza; wywieziono je do Włoch na pomalowanym na czarno okręcie wojennym i usiłowano zidentyfikować. Identyfikacja okazała się niemożliwa i ponoć zdarzało się, że rodziny ofiar dostawały kości i popioły nie swoich krewnych. Były zatem matki, które lamentowały nad martwymi dziećmi innych matek, lecz większości pozostała

świadomość, że prochy ich synów – uśmierconych w kwiecie młodości i na zawsze straconych dla świata, który zignorował ich los za życia i nie zważał na nich po śmierci – mieszają się z kefalońską glebą lub zostały rozwiane w jońskim powietrzu.

Odeszli czarujący złodzieje kur, komiczni indywidualiści i piosenkarze, i rozpoczęło się interregnum, które doktor nazwał w swej „Historii” czasami najstraszniejszymi w dziejach.

Wyspiarze pamiętają, że Niemcy zachowywali się jak zwierzęta. Byli automatami bez zasad, maszynami doskonale wyspecjalizowanymi w sztuce brutalnych grabieży, wyzbytymi wszelkich uczuć z wyjątkiem umiłowania siły i nie wierzącymi w nic prócz naturalnego prawa do zdeptania przedstawicieli gorszych ras.

Włosi byli wprawdzie złodziejami, ale ich nocne wypadki, ich zabiegi, by uniknąć schwytania, ich wstyd, gdy łapano ich na gorącym uczynku, świadczyły o tym, że wiedzieli, iż to, co robią, jest złem. Niemcy wchodzili do domów o dowolnej porze dnia, kopnięciami przewracali meble, bili mieszkańców bez względu na ich wiek i stan zdrowia i na ich oczach wynosili, co tylko im się spodobało. Ozdoby, pierścionki przekazywane w rodzinie od pokoleń, lampy oliwne, piecyki na benzol, marynarskie pamiątki ze Wschodu – wszystko to przepadło bez śladu. Upokarzanie negroidów o tak nędznej kulturze było rzeczą zabawną i pożyteczną. Niemcy beztrąsko pozwalali ludziom głodować i unosili kciuki, gdy trumny z Grekami mijały ich w drodze na cmentarz.

Zarówno Pelagia, jak i jej ojciec zostali pobici w różnych sytuacjach bez wyraźnego powodu. Psipsina, winna zbrodni niepłochliwości, została wyrwana z ramion swej pani i zatłuczona na śmierć kolbą karabinu. Drosuli, za to, że spojrzała krzywo na jakiegoś oficera, przypalano piersi niedopałkami papierosów. Całe cenne wyposażenie medyczne doktora, skrupulatnie gromadzone przez dwadzieścia lat niedostatku, zostało zniszczone w jego obecności przez czterech żołnierzy, którzy nosili trupie czaszki na pasach i których serca były równie mroczne, zimne i puste jak jaskinie Drogarati. W roku niemieckiej okupacji święte węże nie pojawiły się w kościele Naszej Pani w Markopulo, nie pojawił się również kwiat świętej lilii w Demucandacie.

Gdy w listopadzie 1944 roku niezwyciężeni przedstawiciele rasy panów z wiecznej Rzeszy otrzymali rozkaz opuszczenia wyspy, zburzyli każdy budynek, na którego zniszczenie znaleźli czas, i mieszkańcy Kefalonii spontanicznie powstali przeciw nim i toczyli z nimi bój, który ciągnął się aż do samego morza.

W noc poprzedzającą ewakuację Günter Weber, który od czasu masakry wstydliwie trzymał się z dala od domu doktora, przywiózł swój gramofon i kolekcję nagrań Marleny

Dietrich i zostawił je przed drzwiami, tak jak obiecał w pomyślniej szych czasach. Pod wiekiem zostawił kopertę, i gdy Pelagia ją otworzyła, znalazła zdjęcie przedstawiające Antonia Corellego i porucznika na plaży, splecionych ramionami. Corelli był w damskim czepku ze sztucznymi owocami i różami z postrzępionego papieru i wymachiwał do aparatu butelką wina, Günter zaś miał na głowie włoską czapkę z daszkiem z przodu i z tyłu włożoną na bakier. Oczy mieli na wpół przymknięte i najwyraźniej obaj byli pijani. Pelagia z trudem rozpoznała postać nagiej kobiety, brodzącej w wodzie przy brzegu, w oficerskiej czapce niemieckiego grenadiera na głowie. Ręce rozpostarła w geście zachwytu, a słońce rozświetliło łuk wody, którą rozpyliła w powietrzu stopą. Nie wiedzieć czemu Pelagia nie była zaskoczona ani nie poczuła zazdrości na widok tej postaci; jej obecność wydawała się rzeczą właściwą, stosowną do rajskich znaków, które Corelli zwykł był wyczarowywać z powietrza.

Odwróciła fotografię i znalazła cztery wiersze z „Fausta”, których znaczenie odkryła dopiero wtedy, gdy pokazała je nieśmiałej niemieckiej turystce trzydzieści pięć lat później. Brzmiały one:

*Mein Ruh ist hin,
Mein Herz ist schwer;
Ich finde sie nimmer
Und nimmermehr. 50*

Poniżej Weber napisał po włosku: *Niech Bóg będzie z Tobą, nigdy o Tobie nie zapomnę.*

Gramofon został ukryty pod podłogą, razem z mandoliną Antonia i wyznaniem Carla, i przetrwał czas bratobójstwa.

Historia lubi się powtarzać, najpierw jako tragedia, a potem znowu w postaci tragedii. Niemcy wymordowali około czterech tysięcy młodych Włochów, w tym stu sanitariuszy z opaskami Czerwonego Krzyża na rękawach, paląc potem ich zwłoki lub zatapiając je w

⁵⁰ Spokój mój przeminął, w sercu płomień burz, nie zaznam spokoju nigdy, nigdy już. (przełożył Emil Zegadłowicz)

morzu w wypełnionych balastem barkach. Jednakże następne cztery tysiące przeżyły i, dokładnie tak jak na Korfu, Brytyjczycy zbombardowali okręty, które wiozły ich do obozów pracy. Większość utonęła pod pokładem, a ci, którzy zdołali wskoczyć do morza, zostali wystrzelani z karabinów maszynowych przez Niemców. I znowu morze niosło martwe ciała.

LXIII

Wyzwolenie

Niemcy opuścili wyspę i rozpoczęło się świętowanie, ledwie jednak zagrały dzwony, gdy *andartes* z ELAS, teraz noszącej nazwę EAM, wyszli ze stanu hibernacji i narzucili narodowi swe rządy przy użyciu brytyjskiego uzbrojenia, dostarczonego w naiwnej wierze, że zostanie spożytkowane w zwycięskiej walce z nazistami. Działając ponoć z rozkazu Tity, utworzyli rady i komitety robotnicze i zaczęli nawzajem wybierać się jednogłośnie na każdy urząd oraz zdierać dwudziestopięcioprocentowy podatek ze wszystkiego, o czym tylko zdołali pomyśleć. Na Zakynthos wieśniacy sympatyzujący z rojalistami uzbroili się i obwarowali swoje domy, a na Kefalonii komuniści zaczęli deportować niewygodnych ludzi do obozów koncentracyjnych; przez lata z bezpiecznej odległości obserwowali nazistów i byli dobrze wprawieni w sztuce okrucieństwa i ucisku. Hitler byłby dumny z tak pojętnych uczniów. Ich tajna policja – OPLA – ustalała tożsamość wszystkich zwolenników Wenizelosa i regalistów i uznawała ich za faszystów.

Na kontynencie komuniści konfiskowali zapasy żywności Czerwonego Krzyża, zatruli studnie wrogich wsi ścierwem zdechłych osłów i zwłokami dysydentów, żądali jednej czwartej wyładowywanej w Pireusie żywności dla głodujących mieszkańców Aten, rozprawdzali gazetę ironicznie zatytułowaną „Alitheia” („Prawda”), która pełna była kłamstw o ich bohaterstwie i dowodów na tchórzliwość wszystkich innych, pozbywali się na chybił trafił ludzi niewygodnych, tłumacząc to faktem, że podczas wojny byli oni „kolaborantami”, wynajmowali prostytutki do zwabiania brytyjskich żołnierzy pod ostrzał, przebierali się za brytyjskich żołnierzy, pracowników Czerwonego Krzyża, policjantów lub członków Brygady Górskiej i wykorzystywali dzieci z białymi flagami do podstępnego wciągania przeciwników w pułapkę. Ostrzeliwali z dział ludzi robiących zakupy oraz brytyjskich żołnierzy, rozdających jedzenie głodującym, wzięli dwadzieścia tysięcy młodocianych zakładników, zastrzelili stu czterestu przywódców socjalistycznych, a więc niekomunistycznych, związków zawodowych i niszczyli fabryki, doki i linie kolejowe zachowane przez Niemców w stanie nienaruszonym. Trupy Greków, którzy zostali wykastrowani, których usta nacięto w „uśmiech” i którym wylupiono oczy, wrzucali do zbiorowych grobów. Z powodu komunistów

sto tysięcy osób uciekło z kraju, a co najgorsze, porwali oni trzydzieści tysięcy małych dzieci i wysłali je przez granicę do Jugosławii na indoktrynację. Żołnierze ELAS schwytani przez Brytyjczyków prosili, by nie wymieniać ich za jeńców – tak bardzo bali się swoich przywódców – a zwykli Grecy błagali brytyjskich oficerów o pomoc. Pewien dentysta w Atenach proponował wojskowym bezpłatne wykonanie protez.

W tym wszystkim dostrzec można było zarówno ironię, jak i tragedię. Ironia sytuacji polegała na tym, że gdyby komuniści kontynuowali swą politykę zupełnej bezczynności z czasów wojny, z pewnością stworzyliby pierwszy komunistyczny rząd na świecie, pochodzący z wolnych wyborów. Komuniści we Francji zyskali należne poważne miejsce w życiu politycznym, podczas gdy komuniści greccy na zawsze stracili szanse na zwycięstwo wyborcze, ponieważ nawet ludzie będący komunistami z przekonania nie potrafili się zmusić do głosowania na nich. Tragedią było zaś to, że komunizm uczynił w Grecji jeszcze jeden krok na drodze swego nieuchronnego rozwoju do stadium najwspanialszej i najbardziej ludzkiej ideologii, której nie wprowadzono w czyn nawet wówczas, gdy jej wyznawcy byli u władzy, lub do poziomu najszlachetniejszej sprawy, jaka przyciągnęła największą liczbę zwyrodnialców i oportunistów.

Doktor i Pelagia byli dwojgiem spośród milionów ludzi, którym owi zwyrodnialcy zniszczyli życie w sposób nieodwracalny. Doktor został wywleczony nocą z domu przez trzech uzbrojonych mężczyzn, którzy uznali, że skoro jest republikaninem, musi być faszystą, a skoro jest lekarzem, to musi być burżujem. Pelagię pchnęli w róg pokoju i pobili krzesłem do nieprzytomności. Gdy Kokolios wyszedł ze swego domu, by stanąć w obronie doktora, jego również wywieźli, choć sam był komunistą. Swoimi poczynaniami dowiódł, że jego wiara nie jest nieskażona. Gdy pędzili go do doków, wspierał się na ramieniu monarchisty Stamatisa.

Pelagia nie wiedziała, co się stało z jej ojcem ani dokąd został zabrany, nie chcieli jej tego wyjawić żadni przedstawiciele władz. Sama w domu, bezradna i bez grosza przy duszy, pogrążona w drugiej fali nieutulonej rozpacz, po raz pierwszy w swoim życiu myślała o tym, by położyć wszystkiemu kres samobójstwem. Nie widziała dla siebie żadnej przyszłości (gdyż jeden rodzaj faszyzmu został zastąpiony innym) na wyspie, najwyraźniej przeklętej i na zawsze skazanej na udział w czyjejś grze, grze, której uczestnicy się zmieniali, lecz żetony były wykonane z krwi i kości, ciał ludzi niewinnych i słabych. Kiedy powróci Antonio? Wojna w Europie przeciągała się, a on przypuszczalnie już nie żył. W tym życiu nędza strawiłaby jej urodę, a głód – zdrowie. Błąkała się z pokoju do pokoju, w pustym, nawiedzonym domu rozbrzmiewało echo jej kroków, a serce krajało się Pelagii na myśl o

sobie samej i o ludzkości. Naziści wymordowali sześćdziesiąt tysięcy greckich Żydów (tak w każ» dym razie podało radio), teraz zaś jej rodacy zabijali ich braci, jak gdyby naziści byli jedynie oddziałem policji, której wyjazdu gorliwie wyczekiwali bratobójcy. Słyszała, że komuniści zabijali także włoskich żołnierzy, którzy przyszli walczyć wraz z nimi przeciwko Niemcom. Wspominała szczęśliwych chłopców z La Scali, pamiętała swoje zapewnienie, że nigdy nie przestanie nienawidzić nazistów. Czy wreszcie nadszedł czas, by na zawsze znienawidzić Greków? Wydawało się, że spośród nacji, których przedstawiciele wdzierali się do jej domu, by ją bić i rozkradać jej dobytek, tylko Włosi są niewinni. Rozmyślała o tym, jak Brytyjczycy zwlekają z interwencją, i zastanawiała się, co się stało z porucznikiem Warrenem. Nie byłaby zaskoczona, gdyby się dowiedziała, że wkrótce po wyzwoleniu został zaproszony przez komunistów na przyjęcie i zastrzelony. To był człowiek, który powiedział jej: „Dla Greków zrobiłbym wszystko. Pokochałem ich”. Jeżeli więc nienawidziła Greków, to do jakiego narodu przynależała? Nie miała ojca, dobytku, żywności, miłości, nadziei, własnego kraju.

Na szczęście miała przyjaciółkę. Drosula od dawna wiedziała, że Pelagia utraciła miłość do Mandrasa, że ślubu nie będzie i że jej syn pozbawił się należnych mu praw przez swą długą nieobecność i milczenie. Wiedziała również, że Pelagia czeka na Włocha, a mimo to nie czuła goryczy i nigdy nie potępiła jej ani słowem. Gdy pokrwawiona Pelagia, powłócząc nogą, przestąpiła próg jej domu i rzuciła się w jej ramiona po tym, jak uprowadzono jej ojca, Drosula, która również wiele wycierpiała, gładziła ją po włosach i pocieszała jak matka. W niespełna tydzień później pozamykała drzwi i okiennice swego domku na nabrzeżu i przeprowadziła się na wzgórze do domu doktora. W szufladzie znalazła włoski pistolet i amunicję i trzymała go przy sobie na czas powrotu faszystowskich świń.

Drosula, podobnie jak Pelagia, zmaląła w okresie wojny. Jej wielka, brzydka i okrągła jak księżyc w pełni twarz skurczyła się, nabierając – pomimo grubych warg i potężnych brwi – wyrazu uduchowienia. Obfite fałdy tłuszczu na udach i biodrach kobiety zniknęły, a potężny wznórek matczynej piersi opadł na miejsce zwolnione przez okazały niegdyś brzuch. W kolanie i obydwu stawach biodrowych zaczął dokuczać jej artretyzm i stąpała teraz powoli, ciągnąc i szarpiąc nogą, aż przykro było patrzeć. Ta nowa i niezwykła szczupłość przydała jednak dostojności jej wysokiej postaci, a siwe włosy wzbudzały szacunek i czyniły ją kimś jeszcze groźniejszym niż dotąd. Drosula była niezłomna duchem i dała Pelagii siłę.

Sypiały razem w łóżku doktora, a za dnia wymyślały sposoby wynajdywania pożywienia oraz słuchały wzajemnie swoich skarg i opowieści. Szukały korzonków w makii. Hodowały na półmiskach pędy ze starej fasoli, śmiertelnie zakłócały zimowy sen jeżom, a

Drosula zabierała młodą przyjaciółkę na skały, by uczyć ją łowienia ryb i szukania krabów pod kamieniami; wracały stamtąd z wodorostami, które jadały do posiłków zamiast warzyw, i z solą.

Kiedy wrócił Mandras, pełen rzekomej chwały i nowych idei, oczekując pełnej szacunku i podziwu troski ze strony narzeczonej, której nie widział przez lata, i zdecydowany się zemścić, Drosuli nie było akurat w domu doktora.

Wszedł bez pukania, zrzucił plecak z ramion i oparł swojego lea enfielida o ścianę. Pelagia siedziała na łóżku i wykańczała narzutę, którą szydełkowała na swój ślub i która w cudowny sposób, bez skaz, rozrosła się od dnia wyjazdu kapitana. Tym sposobem kreowała swoje wspólne życie z Antoniem pod jego nieobecność, a każdy ścieg i każda pętelka były związane z zagmatwaną tęsknotą w jej samotnym sercu. Gdy usłyszała hałas w kuchni, zawołała:

– Drosula?

Do pokoju wszedł jakiś mężczyzna, którego nie poznała, choć wyglądem bardzo przypominał Drosulę sprzed wojny. Miał tak samo rozdęte uda i brzuch, taką samą okrągłą, pospolitą twarz, identyczne gęste brwi i zgrubiałe wargi. Trzy lata bezczynnego życia z brytyjskich subwencji i łupów skradzionych wieśniakom zmieniło przystojnego rybaka w ludzką ropuchę. Pelagia wstała zakłopotana.

Mandras także był zmieszany. W tej wystraszonej, chudej dziewczynie było coś, co przypominało mu Pelagię.

Jednakże owa pozbawiona piersi kobieta miała srebrne nitki w rzadkich czarnych włosach, jej gładka spódnica zwisała z kościstych, pozbawionych wszelkiej krągłości bioder, wargi były popękane i spieczone, a policzki zapadnięte. Rozejrzał się szybko po pokoju, by sprawdzić, czy nie ma w nim Pelagii, zakładając, że pewnie trafił na jej kuzynkę lub ciotkę.

– To ty, Mandrasie? – zapytała kobieta i wtedy rozpoznał ten głos.

Stał, zdumiony, zmieszany i zatrwożony; większość jego nienawiści ulotniła się. Pelagia z kolei patrzyła na grube i zmienione rysy i czuła dręczące przerażenie.

– Myślałam, że nie żyjesz – powiedziała w końcu.

Mandras zamknął drzwi i oparł się o nie.

– Chcesz powiedzieć, że miałaś taką nadzieję. Ale, jak widzisz, żyję. Jestem żywy jak skowronek i dobrze się czuję. Nie dostanę całusa od swojej narzeczonej?

Ruszyła bojaźliwie i niechętnie naprzód i pocałowała go w prawy policzek.

– Cieszę się, że żyjesz – powiedziała.

Chwycił ją za nadgarstki i mocno trzymał.

– Nie sędzę. Aha! Jak się miewa twój ojciec? Nie ma go tu?

– Puść mnie – powiedziała cicho i Mandras spełnił jej prośbę. – Wróciła na łóżko i dodała: – Zabrali go komuniści.

– No cóż, musiał sobie czymś na to zasłużyć.

– Nie zrobił nic złego. Leczył chorych. A mnie pobili i wszystko zabrali.

– Na pewno były jakieś powody. Partia nigdy się nie myli. Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam.

Pelagia zauważyła, że Mandras nosi mundur włoskiego kapitana, a z przodu czapki ma niezdarnie naszytą czerwoną gwiazdę ELAS.

– Jesteś jednym z nich – powiedziała.

Mandras oparł się jeszcze silniej o drzwi, napierając na nie całym ciężarem i potęgując w Pelagii lęk i poczucie uwięzienia.

– Nie tylko jednym z nich – odparł z samozadowoleniem. – Kimś ważnym. Wkrótce zostanę komisarzem – dodał szyderczo – i będziemy mieli piękny duży dom. Kiedy się pobierzemy?

Pelagia zadrżała. To rozsierdziło Mandrasa.

– Nie pobierzemy się – odparła i spojrzała nań tak pojednawczo, jak tylko potrafiła. – Byliśmy bardzo młodzi i naiwni, to nie było to, co nam się wydawało.

– Nie to, co nam się wydawało? A ja, walcząc za Grecję, myślałem o tobie przez cały dzień i śniłem przez całą noc. A gdy myślałem o Grecji, dawałem jej twoją twarz i walczyłem jeszcze zaciekłej. I teraz nareszcie wracam i znajduję jakąś wychudłą źdźzirę, która o mnie zapomniała. Czy powiedziałem „pobierzemy się”? Zapomniałem się. Zapomniałem, że małżeństwo to fikcja. – Zacytował „Manifest komunistyczny”: – „Burżuazyjne małżeństwo jest w rzeczywistości wspólnością żon”.

– Co ci się stało? – zapytała.

– Co mi się stało? – Wyjął z kurtki gruby plik poszarpanych kartek. – Oto co mi się stało. – Cisnął jej kartki pod nogi. Pelagia podniosła je powoli; mdliło ją od złych przeczuć. To były jej listy do niego wysłane na front albański.

– Moje listy? – zapytała, obracając kartki w dłoniach.

– Twoje listy. Jak wiesz, nie umiem czytać, więc wróciłem, żeby posłuchać, jak znowu je czytasz. Myślę, że zrobisz to na moją prośbę. Chciałbym, żebyś zaczęła od ostatniego – będziemy się cofać w czasie. No, czytaj.

– Och, proszę cię. Po co? Czy to konieczne? To wszystko odeszło już w przeszłość.

– Czytaj – powiedział, unosząc rękę do uderzenia. Pelagia skuliła się, osłaniając twarz

rękoma, a potem niezdarnie walczyła z cienkim drutem, spinającym listy. Odnalazła ostatni, ale nie była w stanie go przeczytać. Udawała, że go nadal szuka, i wybrała jeden z pierwszych. Zaczęła niepewnie:

– „Agapeton. Nadal nie ma od Ciebie wieści i, o dziwo, zaczynam traktować to ze stoickim spokojem. Panajis wrócił z wojny bez ręki i powiedział mi, że na froncie jest zbyt zimno, by w ogóle można było utrzymać pióro... ”

Mandras przerwał jej:

– Myślisz, że jestem głupi, ździro jedna? Powiedziałem: ostatni.

Pelagia, przerażona, przeszukiwała kartki, by znaleźć ostatni list. Uprzytomniła sobie, że Mandras zadaje jej takie same tortury, jakie znosiła przed tylu miesiącami. Spojrzała na otwarte przesłanie swego ostatniego listu i przerażenie odebrało jej siły.

– „Agapeton – zaczęła łamiącym się głosem – Tak bardzo za Tobą tęsknię... ”

Mandras ryknął z oburzenia i wyrwał jej list z rąk. Uniósł kartkę do światła i przeczytał:

– „W ogóle do mnie nie piszesz. Z początku smuciło mnie to i martwiło. Teraz zdaję sobie sprawę, że nie możesz mnie kochać, i to spowodowało, że ja także straciłam moją miłość. Chcę, żebyś wiedział, że zwolniłam cię z Twoich przyrzeczeń. Przykro mi”. – Uśmiechnął się sardonicznie, szczerząc zęby w ponurym i złowieszczym zarazem grymasie. – Słyszałaś kiedyś o samokształceniu robotników? Tak, umiem czytać. I to właśnie odkryłem w listach, które nosiłem na sercu. To dziwne, ale gdy kiedyś czytałaś mi ten list, wydaje mi się, że mówił on coś innego. Zastanawiam się, jak list mógł sam się napisać na nowo. Niewiele brakuje, a uwierzę w istnienie aniołów. Dziwne, co? Ciekawe, jak można by to wytłumaczyć.

– Nie chciałam cię ranić. Przepraszam. Ale teraz przynajmniej znasz prawdę.

– Prawdę? – wykrzyknął. – Prawdę? Prawda jest taka, że jesteś dziwką. I wiesz, czym jeszcze? A wiesz, co usłyszałem zaraz po powrocie? „Hej, Mandras, znasz nowinę o swojej dawnej narzeczonej? Ma zamiar wyjść za Włocha”. A więc znalazłaś sobie faszystę, co? Czy po to walczyłem? Zdradliwa ździra.

Pelagia wstała; drżały jej usta.

– Wypuść mnie, Mandrasie – powiedziała.

– Wypuść mnie, wypuść mnie – powtórzył sarkastycznie. – Małe biedactwo jest wystraszone, co? – Podszedł do niej wielkimi krokami i uderzył w twarz tak brutalnie, że zatoczyła się, nim upadła. Kopnął dziewczynę w okolice nerek i pochylił się, by podnieść ją za rękę. Rzucił Pelagię na łóżko i, wbrew swym początkowym zamiarom, zaczął zdzierać z niej ubranie.

Wydawało się, że chęć gwałcenia kobiet jest czymś, czemu nie potrafił się oprzeć. Była jakimś nieodpartym odruchem, który wypływał z głębi serca, odruchem nabytym przez trzy lata wszechmocy i nietłumaczenia się przed nikim, które zaczęły się od zbrojnego zaboru mienia, a zakończyły przywłaszczaniem sobie wszystkiego. Gwałty stanowiły naturalne prawo, rzecz zrozumiałą samą przez się, a zwierzęca furia, z jaką ich dokonywał, była nieskończenie bardziej podniecająca niż słabe bóle pożądania, którymi się kończyły. Czasem trzeba było zabić, by odzyskać maleńką resztkę, ślad uprzedniej radości. A potem pojawiała się znużenie, pustka, która ponaglała do kolejnych aktów przemocy.

Corelli i Pelagia walczyła. Wbijała paznokcie w jego skórę, okładała go rękami, szturchała kolanami i łokciami, pisała i wiała się. Dla Mandrasa jej opór był niedorzeczny i nie usprawiedliwiony zarazem; mimo całego swego ciężaru i siły, poczuł się bezradny. Odchylony do tyłu, raz po raz bił dziewczynę po twarzy, usiłując ją ujarzmić. Głowa latała jej z boku na bok przy każdym ciosie; nagle Mandras spróbował zadrzeć Pelagii spódnicę. W tym samym momencie odrzucił też do tyłu jej fartuch, a masywny derringer wypadł z jego kieszeni i wylądował na poduszce przy głowie dziewczyny. Mandras, dysząc ciężko, z oczyma przesłoniętymi dziką furią, nie zauważył pistoletu, i gdy kula przebiła się przez obojczyk, siła uderzenia wprawiła go w osłupienie. Postawił nogę na ziemi i zatoczył się do tyłu, kurczowo zaciskając dłoń na ranie. Jego spojrzenie było zdumione i oskarżycielskie zarazem.

Drosula usłyszała strzał, w chwili gdy przestąpiła próg kuchni. Początkowo nie rozpoznała tego dźwięku. Potem jednak zrozumiała, co oznacza, i wyciągnęła włoski pistolet spod kawałków czerstwego chleba, o które walczyła z tyłoma zgłodniałymi ludźmi pod oknami biur partii komunistycznej. Bez namysłu, wiedząc, że po chwili zastanowienia straciłaby resztki odwagi, pchnęła drzwi do pokoju Pelagii i ujrzała widok nie do pojęcia.

Sądziła, że Pelagia mogła się zastrzelić, że w domu grasują złodzieje, kiedy jednak wpadła do środka, ujrzała córkę doktora wspartą na łokciach, z dymiącym jeszcze pistoletem w prawej ręce, z twarzą zbitą na kwaśne jabłko i zakrwawioną, z rozciętymi wargami, w podartym ubraniu, z opuchniętymi już i siniejącymi oczami. Drosula powiodła wzrokiem za spojrzeniem dziewczyny i jej wycelowanym w Mandrasa palcem i ujrzała człowieka, który mógł być jej synem, opierającego się o ścianę za drzwiami. Podbiegła do Pelagii, objęła ją i kołysała w ramionach, uciszając. Usłyszała, jak spomiędzy jęków przerażenia dobywają się słowa:

– On... chciał... mnie... zgwałcić.

Drosula wstała. Matka i syn przyglądali się sobie uważnie i z niedowierzaniem. Tak

wiele się zmieniło. Gdy w piersiach kobiety wzbierała furia, ogień w sercu Mandrasa powoli dogasał. Powaliła go fala litości nad samym sobą i teraz pragnął tylko płakać. Jego wysiłki nie zdały się na nic, wszystko było stracone. Wojenne cierpienia w skutej lodem Albanii, lata spędzone w lesie, złudna pewność siebie, którą czerpał ze swej biegłości w piśmie oraz leksykograficznej znajomości rewolucyjnej terminologii, jego świeżo zdobyta władza i znaczenie – to wszystko było chimerą i snem. Znowu był małym chłopcem, trzęsącym się ze strachu przed macierzyńskim gniewem. I tak bardzo bolało go ramię. Pragnął pokazać je matce, zyskać jej współczucie i uwagę, chciał, by dotknęła go i uleczyła.

Ona jednak wycelowała weń pistolet, którego lufa drżała od jej niepohamowanego gniewu, i wyrzuciła z siebie jedno słowo, które zdawało się znaczyć najwięcej:

– Faszysta!

Głos Mandrasa był żalorny i błagalny:

– Matko...

– Jak śmiesz nazywać mnie matką? Nie jestem nią, a ty nie jesteś moim synem. – Przerwała i otarła rękawem usta. – Mam córkę... – wskazała na Pelagię, która leżała skulona z zamkniętymi oczami, dysząc jak podczas porodu... – a ty robisz coś takiego. Wypieram się ciebie, nie znam cię, nie waż się tu wrócić, nie chcę cię więcej widzieć, zapomniałam o tobie, bądź przeklęty! Obyś już nigdy nie zaznał spokoju, oby serce rozsadziło ci pierś, obyś umarł w samotności! – Splunęła na podłogę i pokiwała z pogardą głową. – Wynoś się, zanim cię zabiję, nazistowski gwałcicielu.

Mandras zostawił swój plecak i karabin oparte o ścianę kuchni. Potykając się, wyszedł na blade grudniowe słońce i odetchnął głęboko; jasnoszkarłatna krew ściekała strużkami pomiędzy palców jego prawej ręki, którą wciąż uciskał ranę. Patrzył przez łyżę na drzewo oliwne, na którym niegdyś huśtał się i śmiał i w pobliżu którego, jak mgliście sobie przypominał, przechadzał się koziołek. Temu drzewu brakowało Pelagii takiej, jaką była – świeżej i pięknej, krającej pod nim cebulę i uśmiechającej się przez łyżę. Było to drzewo wyjątkowe – znak nieobecności i straty. Mandrasem zawładnęła fala smutku i tęsknoty i żal ścisnął mu gardło, gdy chwiejnym krokiem ruszył wzdłuż kamieni.

Nie przyszło mu do głowy, że jest częścią statystyki, następnym życiem wypaczonym i zrujnowanym przez wojnę, bohaterem o zszarganej reputacji, któremu pisane jest poczucie pustki. Zdawał sobie sprawę tylko z tego, że raj zniknął, optymizm obrócił się w pył, a radość, która niegdyś jaśniała bardziej niż letnie słońce, teraz znikła i stopiła się z czarnym światłem i lodowatym żarem masakry i narosłych wyrzutów sumienia. Walczył o nowy, lepszy świat, a doprowadził zaledwie stary do ruiny.

Kiedyś istniało miejsce, w którym wszystko iskrzyło się zachwytem i niewinnością. Mandras stał przez chwilę bez ruchu, przypominając sobie, gdzie się znajdowało. Kołysał się, omal nie upadł do tyłu. Wieśniacy wyglądali z domów i nie mogli się nadziwić. Nie znali go, choć wydawał się znajomy, i doszli do wniosku, że lepiej się nie mieszać. Dość już było żołnierzy, dość krwi. Patrzyli nań przez żaluzje i obserwowali, jak przechodzi obok, ciężko stąpając.

Mandras zszedł nad brzeg morza. Stał na linii wody, przyglądając się pęcherzykom piany połyskującym i pękającym na jego butach. Włoskich butach, przypomniał sobie, od człowieka, który marnie skończył. Zrzucił je z nóg i obserwował, jak wpadają łukiem między fale. Sprawną ręką rozpiął guziki bryczesów, pozwolił, by opadły, i zsunął je z nóg. Ostrożnie zdjął kurtkę, uważając na zranione ramię. Ze zdumieniem przyglądał się, jak coraz większy krąg na jego koszuli nasiąka krwią wokół maleńkiej postrzępionej rany. Rozpiął koszulę i jej także pozwolił opaść na piasek.

Mimo przejmującego zimna stał nago na wprost morza i wypatrywał mew na niebie. Poprowadziłyby go do ryb. Uświadomił sobie, że niczego nie pragnie tak bardzo, jak poczuć morze na swym ciele, piasek sunący po skórze, skurcz w pachwinach pod wpływem zimnych pieszczot słonej, jedwabistej wody. Czuł smaganie wiatru i rana sprawiała mu teraz mniejszy ból. Musiał się obmyć.

Przypomniał sobie dni spędzone na łodzi, gdy nie miał nic do roboty poza łowieniem ryb i mrużeniem oczu przed światłem, przypomniał sobie swą triumfalną radość, gdy w cedzaku pojawiała się jakaś piękna sztuka dla Pelagii, przyjemność, jaką sprawiało mu jej zadowolenie z prezentu, pocałunki kradzione wieczorami, gdy grały świerszcze, a słońce opadało nagle na niebie nad Liksuri. Pamiętał, że był wtedy szczupły i piękny, że mięśnie rysowały się dumnie i wyraźnie na jego ciele i że istniały wówczas trzy dzikie i pełne życia stworzenia, które kochały go i ufały mu. Stworzenia obojętne w swej prostocie i gracji na sprawy posagów i kobiecej niestałości, obojętne na przekształcanie świata, stworzenia obdarzające go miłością, lecz nie komplikujące życia.

– Kosmas! Nionios! Kristal! – wykrzyknął Mandras i zaczął z wysiłkiem posuwać się w głąb morza.

Rybacy, którzy znaleźli opasłe ciało, opowiadali, że gdy je zobaczyli, trzy delfiny na przemian pchały je w kierunku brzegu. Podobne opowieści krążyły jednak od czasów starożytnych i, prawdę mówiąc, nikt już nie wiedział, czy to tylko romantyczna metafora, czy też fakt.

LXIV

Antonia

Na wyspie dokonano tylu gwałtów i osierocono tyle dzieci, że Pelagia i Drosula nie były zaskoczone, znalazłszy dziecko w beciku porzucone na progu ich domu. Przyszło na świat w takim czasie, że jego ojcem mógł być jakiś nazista albo komunista, a matką każda pechowa dziewczyna. Kimkolwiek była ta żalosna i pohańbiona osoba, troszczyła się o swoje dziecko na tyle, by zostawić je na progu drzwi domu doktora, wiedząc, że jego mieszkanki będą wiedziały, co zrobić. Nie kontrolowany zamęt przybrał wówczas takie rozmiary, że Pelagia i Drosula uznały, że i tak mogą jedynie spróbować zatroszczyć się o niemowlę. Sądziły, że z czasem powinno zostać adoptowane przez jakieś bezdzietne małżeństwo lub trafić pod opiekę Czerwonego Krzyża.

Wniosły dziecko do domu i wyjęły z becika, odkrywając przy okazji, że to dziewczynka. Od razu też spostrzegły, że jest ona istotą, która z usposobienia stworzona została do życia w lepszym świecie. Dziewczynka była spokojna i pogodna, nie szukała pretekstów do oszalałego ryku, jakim niektóre niemowlęta dręczą swych rodziców, spokojnie ssła kciuk prawej rączki (tego nawyku nie wyzbyła się nawet w starości) i uśmiechała się często i szczerze, z rozkoszą zginając ręce i nóżki i wydając z siebie odgłosy, które Pelagia nazywała „ćwierkaniem”. Można ją było sprowokować do przeciągłych gruchań samym przyciśnięciem palca do czubka jej noska, wywołując dźwięk tak bardzo podobny do powolnego tremolanda na basowej strunie mandoliny, że Pelagia postanowiła dać jej imię po instrumencie kapitana Corellego.

Obie kobiety, których dusze tak długo hartowały się w tyglu żałoby i nieszczęść, znalazły w Antonii nowy, wzruszający cel swego życia. Nie było tak bolesnego niedostatku, którego dziewczynka by nie uczyniła możliwym do zniesienia, nie było tragicznego wspomnienia, którego nie potrafiłaby wymazać, i zajęła swoje miejsce w owym opatrnościowym matriarchacie, jak gdyby to sam los je wyznaczył. Przez całe życie nigdy nie zapytała o swojego ojca, jak gdyby uznała za rzecz naturalną, że przyszła na świat drogą dzieworódtwa, i dopiero gdy wystąpiła o paszport przed wyjazdem w podróż poślubną za granicę, odczuła niezwykle stan jakby nieważkości na wieść, że z formalnego punktu

widzenia nie istnieje.

Miała za to dziadka. Gdy doktor Janis wrócił po dwóch latach do domu i, powłócząc nogami, wszedł do kuchni wsparty na ramionach dwóch pracowników Czerwonego Krzyża, zupełnie rozbity ciągłym strachem przed codzienną brutalnością swych oprawców, na zawsze oniemiały i sparaliżowany emocjonalnie, pochylił się i pocałował dziewczynkę w głowę, po czym usunął się w zacisze swojego pokoju. Tak jak Antonia nie rozmyślała o swoim ojcu, tak Janis nie wdawał się w spekulacje na temat pochodzenia dziecka. Jego widok wystarczył, by doktor zrozumiał, że świat poszedł drogą, która była dlań niepojęta, obca i mroczna. Obecność dziewczynki stała się lustrem, niewyraźnie odzwierciedlającym groteskę, demoniczność oraz hegemonię śmierci. Janis pogodził się z faktem, że jego córka i Drosula będą spały w jego łóżku, a on zajmie łóżko Pelagii, ponieważ bez względu na miejsce śnił te same sny o przymusowym kilkusetkilometrowym marszu bez butów, które mu skradziono, bez jedzenia i kropli wody. Słyszał krzyki mieszkańców wsi, gdy płonęły ich domy, wrzaski towarzyszące kastracji i wyłupywaniu oczu oraz trzask wystrzałów, gdy wykonywano egzekucje na maruderach, wielokrotnie też miał przed oczyma Stamatisa i Kokoliosa, monarchistę i komunistę, prawdziwy obraz samej Grecji, umierających w swoich ramionach i błagających, by zostawił ich na drodze i sam nie narażał się na rozstrzelanie. W jego myślach bezustannie rozbrzmiewał hymn ELAS, panegiryk na cześć jedności, bohaterstwa i miłości, pamiętał też gorzką ironię faktu, że tytułowano go towarzyszem, gdy bito go po grzbiecie i przyciskano mu lufę pistoletu do karku w pozorowanych próbach egzekucji, które jego strażnikom wydawały się komiczne.

W swojej niemocie, operując w myślach obrazami zamiast słów, gdyż słowa były zbyt słabe i za mało trafne, doktor Janis czerpał takie samo ukojenie z kontaktu z Antonią, jakie czerpał z kontaktu z córką po śmierci swojej młodej żony. Huśtał dziewczynkę na kolanie, gładząc jej czarne włosy, łaskocząc ją w uszka, ciekawie zaglądając w jej piwne oczy, jak gdyby już samo to było sposobem mówienia, a każdy jej uśmiech napelniał mu serce żalem, wiedział bowiem, że gdy dziewczynka dorośnie i utraci niewinność, zrozumie, że tragedia niszczy mięśnie twarzy, aż uśmiech przestaje być możliwy.

Doktor Janis znowu zajął się medycyną, tym razem w innej roli – pomagając córce. Pelagię niepokoił widok jego trzęsących się rąk, gdy w milczeniu opatrywał rany i owrzodzenia; wiedziała, że ojciec pracuje tylko na przekór przytłaczającemu poczuciu nieskuteczności własnych poczynań. Po cóż chronić życie, skoro wszyscy i tak musimy umrzeć, skoro nie istnieje coś takiego jak nieśmiertelność, a zdrowie to efemeryczna przypadłość młodego wieku. Czasami Pelagia nie mogła się nadziwić niezłomnej sile jego

odruchowego człowieczeństwa, świadczącego w równie niepojęty sposób o odwadze, braku nadziei i donkiszoterii jak trudy Syzyfa, sile równie szlachetnej i niezrozumiałej jak ta, która skłania męczennika do wykrzykiwania błogosławieństw na płonącym stosie. Wieczorami córka tuliła doktora do siebie i trzymała go w ramionach, gdy on w myślach, z oczyma załzawionymi smutkiem, roztrząsał przeszłość, i sama skrywała twarz na ojcowskiej piersi, rozumiejąc, że to właśnie jego rozpacz zmniejsza brzemień jej rozpaczy.

Próbowała zainteresować go dalszą pracą nad „Historią”, i gdy wyjęła zapiski z kryjówki i ułożyła przed nim na stole, wydawało się, że jest skłonny powrócić do pisania. Przeczytał je, ale pod koniec tygodnia Pelagia stwierdziła, że dodał tylko jeden krótki ustęp pismem, które z dawnego i pewnego przekształciło się w pajęczą gmatwaninę chwiejących się kresek i rozciągniętych pętli. Odcyfrowała ten fragment i przypomniała sobie to, co ojciec powiedział Antoniemu. U dołu ostatniej strony doktor napisał na ukos:

W przeszłości mieliśmy barbarzyńców. Teraz możemy winić jedynie siebie.

W piwniczce Pelagia odkryła na nowo karabin Mandrasa, mandolinę Antonia i zapiski Carla. Z treścią zapisków zaznajomiła się w ciągu jednego wieczora, poczynając od rozdzierającego serce proroczego listu pożegnalnego i czytając dalej o Albanii i śmierci Francesca. Nigdy nie przypuszczała, że ów męski i dobroduszny tytan tak bardzo cierpiał z powodu swej nieszczęsnej, skrywanej skłonności, która na zawsze zmieniła go w człowieka obcego samemu sobie, wysuszając źródła szczęścia. W końcu jednak zrozumiała, skąd naprawdę wzięły się jego hart ducha i poświęcenie i uzmysłowiła sobie, że najmniej oczywiste jest w człowieku to, co wydaje się niewątpliwe. Zrozumiała, że Carlo był równie zdecydowany stracić własne życie, jak uratować życie Corellego, i zdała sobie sprawę, że zagrożenie jej adoptowanego dziecka wzbudziłoby w niej samej równie niezachwianą odwagę.

Antonia wyrastała na wysoką i smukłą dziewczynkę, z każdym dniem coraz bardziej upodabiając się do klasycznego wizerunku amazonki przedstawianej na antycznych wazach. Gdy szła, stawiała duże kroki, podrywając lekko pięty. Bardzo szybko wybrała biel jako kolor swoich ubrań. Nie potrafiła się nagiąć do zachowania form towarzyskich, i gdy siedziała w fotelu swego dziadka, nie tylko ssała kciuk, lecz kołysała nogą przewieszoną niedbale przez poręcz fotela, przybierając leniwe i zupełnie nie przystające młodej kobiecie pozy. Zarzuty matki i Drosuli zbywała śmiechem i okrzykami w rodzaju: „Nie bądź taka staroświecka”! Pelagia przyznawała, że w domu prowadzonym przez ekscentryczki tylko siebie mogłaby

obarczyć winą, gdyby Antonia kontynuowała proces zapoczątkowany, dzięki ojcu, przez nią samą i stała się kobietą-odmieńcem.

Bo też uważano je za ekscentryczki. Plotki rozsiewane we wsi przez pustogłowych zmieniały Drosulę, kobietę niesłuchanej brzydoty, i Pelagię, okazującą wyzywający brak poważania dla mężczyzn, w parę czarownic. Fakt, że doktor jest tak milczący i bezsilny, tłumaczono stosowaniem wyjaławiających napojów i wywarów oraz otomańskich zaklęć, a to, że ubóstwo zmusza Pelagię do korzystania z waleriany i tymianku zamiast wyrafinowanych nowoczesnych leków, tylko wzmagало przekonanie o podejrzanym i okultystycznym charakterze jej działań. Dzieci obrzucały obie kobiety kamieniami, ubliżając im, a dorośli przestrzegali swych synów i córki przed zbliżaniem się do nich i szczuli je psami. Mimo to Pelagia zarabiała na chleb, gdyż po zmroku ludzie przybywali ukradkiem do jej domu, wierząc, że lekarstwa i płyny do przemywania, które sporządza, są niezawodne.

Pierwszy wielki kryzys w życiu rodziny nastąpił w 1950 roku, gdy panie domu nie zdołały zgromadzić wystarczającej sumy, by skłonić łapówką urzędnika ministerstwa zdrowia do zignorowania faktu, że ani doktor, ani Pelagia nie posiadają dyplomów lekarskich. Wydawało się, że po otrzymaniu zakazu prowadzenia praktyki pisana im będzie skrajna nędza i powrót do żywienia się jeżami, jaszczurkami i ślimakami, jak w czasach wojny.

Wtedy jednak bodaj po raz pierwszy uśmiechnął się do nich los – na wyspę przybył w poszukiwaniu zakwaterowania ponury poeta z Kanady, specjalizujący się w wierszach na temat prób samobójczych oraz w metafizycznych trenach. Był on pierwszą osobistością w nowej awangardzie romantycznych intelektualistów z Zachodu o bajronicznych skłonnościach i szukał skromnego domu wśród prostych ludzi wsi, gdzie mógłby się wziąć za bary z naprawdę surowymi realiami życia.

Znalazł ten skromny dom pośród prostych ludzi morza. Drosula, zawstydzona i pokorna, oprowadziła go po obydwu pokojach jej pozbawionego urządzeń sanitarnych, wilgotnego, łuszczącego się z farby i tynku i lekko cuchnącego domku na nadbrzeżu, który był zamknięty przez pięć lat i stał się schronieniem dla karaluchów, jaszczurek i szczurów. Gotowała się już na pogardliwą odmowę, gdy Kanadyjczyk wyraził swój zachwyt, proponując czynsz dziewięć i pół raza wyższy od tego, który wstępnie sama chciała zaproponować. Doszła do wniosku, że mężczyzna jest bez wątpienia bogatym szaleńcem, a on nie mógł uwierzyć, że udało mu się znaleźć dom za sumę tak symboliczną, iż nawet poeta może sobie pozwolić na jej zapłacenie. Czuł się nawet winny z tego powodu i do koperty, którą wsunął przez żaluzję, włożył więcej pieniędzy. Uczciwa Drosula zwróciła mu potem nadpłatę.

Mieszkał w jej domu przez trzy lata, aż do katastrofy 1953 roku, wypełniając pokoje neurotycznymi blondynkami ze sfer artystycznych oraz modnymi marksistowskimi powieściopisarzami, którzy całymi nocami, z coraz większym zapałem i coraz bardziej bełkotliwie, tłumaczyli swoje teorie spiskowe przy kolejnych butelkach pospolitego czerwonego wina; jego moc i szkodliwy wpływ na intelekt były znacznie większe, niż myśleli. Poeta pozostałby na wyspie nawet po katastrofie, ale coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że relaks, światło słońca i zadowolenie z życia wyrządzają niepowetowane szkody jego muzie. W końcu pisanie przygnębiających wierszy stało się niemożliwe i rzeczą dla niego najważniejszą okazał się powrót do Montrealu *via* Paryż, gdzie wolność zaczęło uznawać za główne źródło twórczego niepokoju.

Jednakże Pelagia, Drosula i Antonia upajały się wolnością, którą przyniosło im ich niesłychane bogactwo. Jadły teraz baraninę co najmniej dwa razy w tygodniu i mogły kupować fasolę, którą zasuszono tego samego roku, a nie rok wcześniej. W dodatku butelka wina dziennie miała uzdrawiający wpływ na doktora i jego urazy psychiczne, wyzwalając wspomnienia, a zarazem zmniejszając ich brzemię, aż w końcu uśmiechał się i wybuchał śmiechem, choć nadal się nie odzywał. Zaczął chodzić na długie, powolne spacerunki z Antonią i obserwował, jak mała dziewczynka zachwyca się motylami i przemyka od jednego skarbu do drugiego w sposób, który przypominał mu Lemoni z czasów dzieciństwa. Obecnie jedyną komplikacją w ich życiu było to, że wzięli kota.

Nie była to komplikacja poważna, niemniej jednak wprowadzała zamieszanie. Wydawało się, że koty na wyspie, z bardzo oczywistego powodu, zostały wytępione podczas wojny, lecz po paru latach rozmnożyły się do dawnej liczby. I znowu pojawiły się tłuste i zadowolone stworzenia, czekające przy nabrzeżach na skrawki ryb, oraz żałosne, zarobaczone, chude i karłowate koty, żebrzące po domach, gdzie czekały ich jedynie razy i kopniaki.

Tak się złożyło, że Drosula zaczęła nazywać Antonię „kotkiem”, co wcale nie było ani niezwykle, ani bezpodstawne, i to określenie, po grecku *psipsina*, przylgnęło do dziewczynki i spodobało się Pelagii; w końcu mała zapomniała niemal, jak brzmi jej prawdziwe imię. Przyzwyczała się do niego, pasowało do jej kociej natury i sennego wdzięku, przywykła do tego, że tym imieniem wzywano ją na obiad. Trwało trochę, nim członkowie rodziny zrozumieli, dlaczego pewnego wieczoru, a potem przez siedem następnych, mały cętkowany kot wskakuje przez kuchenne okno na stół tuż po tym, jak wołali Antonię do domu.

Początkowo przepłaszali go, machając ścierkami do naczyń i rękami, ale kot oczywiście uparcie wracał i w końcu został. To zaś znaczyło, że Antonia słyszała: „Psipsina, złaż ze stołu”, gdy niewinnie bawiła się w ogrodzie, lub: „Psipsina, czas na obiad”, by wejść do domu i stwierdzić, że na kafelkach podłogi wylądowało właśnie małe i nieapetyczne danie z surowych i okrwawionych rybich wnętrzności. Kiedy nagle rozległ się okrzyk: „Psipsina, nie wolno!”, Antonia zamierała w trakcie płatania jakiegoś figla i spłoszona usiłowała się zorientować, czy to ją właśnie przyłapano na gorącym uczynku. Drosula rozsądnie zaproponowała, by Antonia zamieniła się z kotem imionami, tak aby kot stał się Antonią, a dziewczynka Psipsina, ale próby wykazały, że jest to niewykonalne.

Przez te lata Pelagia nabrała przekonania, że Antonio Corelli nie żyje, i – podobnie jak jej ojciec, pewności, że duchy rzeczywiście istnieją.

Po raz pierwszy zdarzyło się to w październiku 1946 roku, gdy pewnego dnia, mniej więcej w rocznicę niemieckiej masakry, Pelagia stała przed domem z maleńką Antonią na rękach. Gruchała do niej i podawała jej do ssania palec wskazujący, gdy nagle coś skłoniło ją do podniesienia oczu i ujrzała postać mężczyzny w czerni. Stał dokładnie w miejscu, w którym znajdował się Mandras, gdy Welisarios postrzelił go ze swej kolubryny. Mężczyzna patrzył na nią, zastygły w pół kroku. Pelagii mocno zabiło serce. Roztaczał wokół siebie atmosferę melancholii dziesięciu tysięcy zasmuconych duchów, a jego twarz emanowała żalem równie wyraźnie, jak światło przebija się przez koszulkę żarową lampy gazowej. Pelagia była pewna, że to on. Był wprawdzie chudy i brodaty, ale wyraźnie widziała bliznę na jego policzku i te same piwne oczy, te same opadające włosy, tę samą symetrię postawy. W radosnym podnieceniu postawiła dziecko na ziemi, by podbiec do mężczyzny, ale gdy uniosła wzrok, już go nie było.

Ruszyła biegiem z łomoczącym sercem. Na zakręcie drogi zatrzymała się i rozejrzała dokoła, bliska obłądu. „Antonio! – wykrzyknęła. – Antonio!” Nie odpowiedział jej jednak żaden głos i żaden mężczyzna nie ruszył jej na spotkanie. Zniknął. Jej ręce uniosły się do nieba w geście niezrozumienia i opadły z rozpaczą. Stała, wypatrując oczy i wołając, dopóki gardło nie rozbolało jej od okrzyków i nie oślepla od łez. Następnego ranka znalazła jedną czerwoną różę na miejscu, w którym spoczywał Carlo Guercio.

Ten sam duch pojawił się w tym samym miejscu w 1947 roku i każdego następnego roku ukazywał się mniej więcej w podobnym czasie, ale nigdy dokładnie. Co rok też pewnego październikowego dnia pojawiała się róża. To właśnie doprowadziło Pelagię do wniosku, że

Antonio honoruje swą obietnicę powrotu i że można dotrzymać ślubu i nadal kochać nawet z więzienia grobu. Mogła więc żyć spokojnie, wiedząc, że nie została opuszczona i porzucona, pełna radosnych myśli o tym, że jest pożądana i kochana nawet w swym jałowym i więdnącym staropanieństwie, i licząc na to, że śmierć przywróci to wszystko, co umknęło jej za życia.

LXV

Rok 1953

Gdy Zeus zapragnął ustalić dokładne położenie pępka świata, wypuścił dwa orły z najdalszych jego kresów i obserwował, gdzie przetną się linie ich lotu. Nastąpiło to w Delfach – i w ten sposób Grecja stała się miejscem, które oddziela Wschód od Zachodu i Północ od Południa, miejscem spotkania wzajemnie wykluczających się kultur i skrzyżowaniem dróg przemarszu niesytych krwi armii z całego świata.

Pelagia szczyliła się tym, że żyje w samym centrum, ale teraz, o ile coś takiego jest w ogóle możliwe, przestała być Greczynką. Widziała na własne oczy, z jaką pogardą traktowano Drosulę tylko dlatego, że owdowiała, a wdowieństwo oznaczało przejście w stan niebytu. Dzięki prawdziwie idealistycznym próbom leczenia chorych Pelagia zyskała sławę czarownicy, a co gorsza, barbarzyństwo wojny domowej na zawsze pozbawiło ją helleńskiej wiary, którą wpoił jej ojciec. Nie mogła już dłużej wierzyć, że jest dziedziczką najwspanialszej i najsubtelniejszej kultury w dziejach świata; starożytna Grecja mogła znajdować się w tym samym miejscu, co Grecja współczesna, ale nie była tym samym krajem i zamieszkiwali ją inni ludzie. Papandreu nie był Peryklosem, a królowi daleko do Konstantyna.

Pelagia udawała przed sobą, że jest Włoszką, i z daleka potrafiła się czuć częścią Włoch dlatego, że odległość od nich oraz fakt, że nigdy tam nie była, pozbawiły ją możliwości przekonania się, że jest tam równie niewielu prawdziwie ludzkich mandolinistów, co w Grecji. Przecież, powtarzała sobie w duchu, miałam poślubić Włocha, mówię po włosku i przypuszczalnie we Włoszech mogłabym zostać lekarką.

W rezultacie nauczyła Antonię mówić po włosku, tak że dziewczynka uczyła się dimotiki od Drosuli i nigdy nie posługiwała się katarewusą. Pelagia kupiła radioodbiornik od kogoś, kto z radością rozstał się z nim prawie za darmo, ponieważ coś się zepsuło w mechanizmie strojenia i radio odbierało tylko włoskie stacje. Kupiła je w 1949 roku, tuż po tym, jak bitwa pod Wici zakończyła wojnę domową, i mogła go słuchać w październiku, w rocznicę masakry. Kochała radio z całego serca, polerowała jego odrapany fornit, aż się świecił, i zaniedbywała swe obowiązki, godzinami przesiadując przy nim, nie tylko słuchając

go, ale i obserwując uważnie, jak gdyby w oczekiwaniu, że Antonio przesączy się nagle niczym dym przez siatkę głośnika.

Z trudem znosiła chwile rozstania z odbiornikiem i przez całe godziny wysłuchiwała nużących nedorzecznosci w nadziei, że w końcu usłyszy „Non ti scorda di me”, „Core'n grato”, „Parla mi d'amore” czy „La donna e mobile”. Najbardziej jednak pragnęła przenieść się z powrotem do czasów La Scali i słuchać „Torna a Sorrento”, ulubionej piosenki klubu, tej, którą najczęściej śpiewali; gdy słyszała jej melodię, zamykała oczy, pograżając się w błogiej melancholii, i wyobrażała sobie chłopców pod drzewem oliwnym, niezbyt świadomych melodramatyczności własnych gestów, gdy wkładali swe serca i całe pożądanie, brzmiące w ich głosach, we wzruszająco piękne mordenty i wdzięczne nuty ostatniej frazy. Siedzieli potem przez chwilę w nostalgicznym milczeniu, po czym wzdychali, kręcili głowami i ocierali rękawami łzy. Również dzięki radiu odkryła, że istnieją piękne piosenki dla kobiet, i śpiewała na całe gardło „O mio bambino caro”, szorując podłogę na czworakach. Wzbogacała ją orientalnymi mikrotonami i ozdabiała lamentami, już samą tą próbą wypierając się idei zostania Włoszką.

Nadśluchiwała także (i zwłaszcza) dźwięku mandolin i powtarzała sobie, że pewnego dnia musi uwolnić mandolinę kapitana z kryjówki. Gdy wróciła kiedyś z wyprawy na jagody, mogłaby przysiąc, że słyszała ostatnie takty „Marszu Pelagii”, ale uświadomiła sobie, że to niemożliwe, ponieważ kapitan nie żyje. Cóż, po prostu ten rozrzutny świat posiadał innych instrumentalistów, którzy mogli zastąpić Corellego. Często zastanawiała się, gdzie dosięgło go przeznaczenie; najprawdopodobniej na morzu, w małej łodzi, a może we Włoszech pod Anzio lub gdzieś na linii Gotów. Myśl o jego szkielecie bielejącym pod ziemią, o mięśniach i ścięgnach, które tworzyły i dobywały taką muzykę, teraz unieruchomionych i bezużytecznych, zmieniających się w gnijące rzemienie, przepelniała ją poczuciem zupełnego osierocenia. Być może rozpościerająca się nad nim ziemia była równie niewzruszona i cicha jak ta, która skrywała trupy w makii, lub też kryła przejście – jak ziemia, która przyjęła szczątki Carla Guercio. Ona sama nie lubiła przechodzić nad grobem Carla, choć naśmiewała się w duchu ze swych nedorzecznych obaw, że zmarły może przeniknąć wzrokiem z głębi i zajrzeć pod jej spódnice.

Jednakże obłudna ziemia Kefalonii bynajmniej nie spoczywała w bezruchu; była niczym pies, który zasnął na deszczu, a potem podnosi się, by strzasnąć z siebie krople.

Podobno w zamierzchłych czasach wszystkie łądy tworzyły całość. Wydaje się, że

kontynenty wyrażają tęsknotę za tym pierwotnym stanem, tak jak bywają ludzie, którzy twierdzą, że przynależą nie do swego narodu, lecz do świata, żądając paszportu międzynarodowego i prawa pobytu w dowolnie wybranym miejscu. Tak więc Indie, rozorywując Himalaje, prą na północ, zdecydowane nie być półwyspem, lecz obarczyć Azję wilgotnym brzemieniem swego tropikalnego pożądanego. Półwysep Arabski przebiegle bierze rewanż na Turkach, opierając się niedbale na ich kraju w nadziei, że zepchnie go do Morza Czarnego. Afryka – zmęczona białymi, którzy uważają, że jest cuchnąca, niebezpieczna, niepoznawalna i niepraktyczna – napiera na północ z mocnym postanowieniem, że Europa choć raz spojrzy jej w twarz i jednak przyzna, iż cywilizacja europejska została poczęta w Egipcie. Tylko Ameryki uciekają na zachód, tak bardzo zdecydowane odizolować się i wywyższyć, że zapomniały, iż świat jest kulisty i że pewnego dnia z konieczności przywrą w złowieszczy sposób do Chin.

Po fakcie wydawało się oczywiste, że od początku wszystko na to wskazywało, jednakże ostatni raz taki wypadek miał miejsce nie na Kefalonii, ale na Lefkadzie, na północ od niej, w 1948 roku, gdy Grecja była tak głęboko pogrążona w barbarzyństwie, że nikt nie zauważył; teraz znaki i zapowiedzi owego szczególnego poranka uznano za dziwne raczej niż złowróżbne.

Niedawno zakończyła się wojna w Korei, ale francuscy spadochroniarze właśnie wylądowali w Indochinach. Nadszedł piękny trzydziesty pierwszy dzień sierpnia 1953 roku, tuż po święcie Wniebowzięcia, po winobranii. Była rzadka mgła, prążkowane chmury niczym smugi pary zwisały z nieba pod przeróżnymi kątami, jakby umieścił je tam jakiś malarz ekspresjonista, uczulony na porządek i mający poważne zastrzeżenia estetyczne wobec symetrii i formy. Drosula zauważyła, że nad ziemią unosi się dziwny zapach i poświata, a Pelagia ujrzała, że woda sięga najwyższego poziomu studni, choć wcześniej nie padał deszcz. Parę minut później wróciła z wiadrem i w ogóle nie znalazła w niej wody. Doktor Janis, który dokręcał maleńkie śrubki swoich okularów, stwierdził ku swemu zdumieniu, że lgną one do śrubokręta z niewiarygodną siłą. Antonia, licząca teraz osiem lat, lecz wysoka jak dwunastolatka, próbowała podnieść z podłogi kartkę papieru, ale ta podfrunęła do góry i przykleiła się do jej ręki. „Jestem wiedźmą, jestem wiedźmą!” – krzyknęła, wyskakując przez drzwi, by zobaczyć, że jeż z dwoma młodymi czmycha przez podwórko, a sowa – także nocne zwierzę – przygląda się jej uważnie z dolnej gałęzi oliwki, otoczona z obu stron przez nowe kurczęta Pelagii, które zasiadły obok niczym na grzędzie, niepomne na nic, z głowami schowanymi pod skrzydła. Gdyby Antonia popatrzyła w niebo, nie dojrzałyby na nim żadnego ptaka, a gdyby zesza nad brzeg morza, ujrzałyby płastugi przemykające pod

powierzchnią wody i inne ryby skaczące w górę, tak jakby nagle zapragnęły być ptakami i pływać w powietrzu, podczas gdy wiele innych zawczasu obracało się do góry brzuchami i usypiało.

Wężę i szczury opuściły swoje nory, a kuny śmigające wśród kefalońskich sosen zebrały się na ziemi i siedziały, czekając niczym miłośnicy opery na odegranie uwertury. Przed domem doktora muł przywiązany do muru napinał linę i kopał w kamienie; głuchy łoskot jego kopyt rozbrzmiewał w całym domu. Wiejskie psy wyły i szczekały tym samym nieskładnym i zawziętym chórem, jaki zwykle rozbrzmiewa o zmierzchu, a przez drogi i podwórka płynęły strumienie świerszczy, by zniknąć pośród ciernistych krzewów.

Dziwne zdarzenia następowały jedno po drugim. Gliniane naczynia grzechotały, a sztuce brzęczały tak jak podczas wojny, gdy nad wioską przelatywały brytyjskie bombowce. Na podwórku przed domem przewróciło się wiadro z wodą, Antonia zaś twierdziła zdecydowanie, że to nie ona je potrafiła. Drosula weszła do domu spocona i roztrzęsiona i powiedziała do Pelagii:

– Jestem chora, czuję się okropnie, coś się porobiło z moim sercem. – Usiadła ciężko, przyciskając dłoń do piersi i dysząc ciężko ze strachu. Nigdy jeszcze nie czuła takiej słabości w nogach, nigdy nie dokuczało jej tak klucie w stopach. Ostatnim razem miała równie silne mdłości podczas uroczystości ku czci świętego. Pelagia ugotowała jej kleik na wzmocnienie.

Na podwórku Antonia poczuła ból i lekkie zawroty głowy oraz nagle przerażenie, którego człowiek doświadcza, patrząc w przepaść z obawą, że zaraz go wciągnie. Pelagia wyszła z domu i powiedziała:

– Chodź zobaczyć, jak druga Psipsina dostaje szału.

Mówiła prawdę. Kotka zachowywała się dziwniej niż jakiegokolwiek koty od czasu Kleopatry i Ptolemeuszów. Drapała podłogę, jak gdyby chciała coś zakopać lub wydobyć spod ziemi, a potem tarzała się w tym miejscu jakby dla wyrażenia rozkoszy lub wytrzeźpania z futra gryzących pcheł. Nagle odskoczyła w bok, a potem poderwała się niezwykle wysoko do góry. Skierowała na ułamek sekundy spojrzenie na ludzi, wykonała salto z wybałuszonymi oczami i miną, która mogła oznaczać tylko zdumienie, a potem wypadła jak pocisk przez drzwi i wskoczyła na drzewo, ignorując siedzące na nim kurczęta. Chwilę później była z powrotem w domu i zaczęła szukać miejsca, w którym mogłaby się schować. Sprawdziła wymiary wiklinowego koszyka, wsunęła głowę i przednie łapy do torby z szarego papieru, przez minutę siedziała w rondlu, który okazał się jednak zbyt mały, i wdrapała się po ścianie, by zasiąść, mrugając ślepiami jak sowa, na krawędzi żaluzji, która kołysała się niebezpiecznie na boki i trzeszczała pod jej ciężarem.

– Zwariowany kot – zganiła ją Pelagia, a zwierzę zeskoczyło i skakało z półki na półkę, muskając je tylko łapami. Miotало się po pokoju nie dotykając podłogi, w sposób, który przypomniał Pelagii poprzedniczkę kotki, noszącą to samo imię. Psipsina zatrzymała się nagle, z ogonem roztrzepanym do okazałych rozmiarów, z sierścią zjeżoną na wyprężonym w łuk grzbiecie, i syknęła dziko na niewidzialnego przeciwnika, który zdawał się czyhać na nią w okolicach drzwi. Potem spokojnie wróciła na ziemię, chyłkiem, jak gdyby skradając się, wyszła na podwórko i, usiadłszy na murze, zaczęła tragicznie lamentować, niczym matka zdumiona utratą kociąt lub zwierzę bolejące nad swym okrutnym losem. Antonia, która klaskała w dłonie i śmiała się z zachwytu, nagle wybuchnęła płaczem.

– Mamo, muszę stąd wyjść! – zawołała i wybiegła za drzwi.

Drosula i Pelagia wymieniły spojrzenia, jak gdyby mówiąc:

„Pewnie to oznaki wczesnego pokwitania”, gdy spod ziemi wydobył się nagle ogłuszający łoskot, tak niski, że wyczuwało się go raczej, niż słyszało. Obydwie kobiety poczuły, jak ich piersi falują i drżą pod wpływem skurczu mięśni, wydawało im się, że coś rozrywa im żebra, jakby Bóg walił potężnie w bęben ukryty w ich płucach. To atak serca, rozpaczliwie pomyślała Pelagia, Boże, co ja miałam z tego życia? W tej samej chwili ujrzała Drosulę z rękami na brzuchu i wybałuszonymi oczyma, stąpającą ku niej niepewnie, niczym po uderzeniu siekierą.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu, a niesamowite wycie ziemi nigdy się nie skończy. Doktor wypadł przez drzwi pokoju, który dawniej należał do Pelagii, i przemówił po raz pierwszy od ośmiu lat:

– Wychodźcie! Wychodźcie! To trzęsienie ziemi! Ratujcie się! – Jego donośny głos brzmiał metalicznie i wydawał się nieskończenie daleki na tle narastającego głuchego dźwięku. Nagły wstrząs gwałtownie rzucił nim w bok.

Obydwie kobiety, panicznie wystraszone i oślepięone dzikimi wierzgnięciami i drżeniem otaczającego je świata, ślaniając się na nogach, ruszyły ku drzwiom. Kolejny wstrząs powalił je na podłogę, więc próbowały się do nich doczołgać. Do piekielnego, rozsadzającego mózg łoskotu ziemi dołączyła się kakofonia spadających rondli i półmisków, groźna i dzika, lecz afektowana tarantela krzesel i stołu, karabinowy trzask pękających belek i ścian, bezładne brzęczenie kościelnego dzwonu i dławiąca chmura pyłu niosącego smród siarki, który drażnił gardło i oczy. Kobiety nie mogły się posuwać na czworakach, gdyż raz po raz rzucało nimi w górę i na boki, rozpostarły więc ręce i nogi i pełzły niczym węże ku drzwiom, dotarłszy do nich w chwili, gdy zaczął zapadać się dach.

Wydostały się na falujące podwórko; z nieba wymazane zostały wszelkie ślady

światła, w ich głowach i piersiach wybuchł okropny krzyk, z ziemi powoli wzbijał się pył, przyciągany jakby przez księżyc. Wiekowa oliwka skłoniła się głęboko ku ziemi i rozszczepiła w środku pnia, po czym poderwała się do góry, potrząsając gałęziami. Spieniona i brudna trąba wodna wytrysnęła ze środka drogi na wysokość dwunastu metrów, po czym znikła tak, jak gdyby nigdy jej tam nie było, pozostawiając po sobie kałużę wody, która błyskawicznie wypełniła się pyłem i także zniknęła. Wyżej, na wzgórzu niewidocznym zza zasłon jasnego dławiącego kurzu, płyta ze skały i czerwonej gliny oderwała się od zbocza i zsunęła niczym sanie w dół, wpadając na drogę, pociągając za sobą drzewa oliwne i przemieszczając pole, z którego wcześniej wyniosły się świerszcze. Jeszcze raz niespokojny olbrzym w trzewiach ziemi poderwał swą potężną pięść, aż domy podskoczyły na fundamentach, a solidne kamienne ściany pomarszczyły się jak papier na wietrze, potem zaś nagle zapanował śmiertelny bezruch. Niczym ze spóźnionego żalu z powodu tak straszliwej katastrofy zapadła nad wyspą niesamowita grobowa cisza i Pelagia – brudna i krztusząca się, przepełniona niezmiernym poczuciem bezsiły i własnej małości – zaczęła wstawać z ziemi. Wciąż brakowało jej tchu po ostatnim potężnym ciosie, który trafił ją w przeponę i sparaliżował płuca. Podźwignęła się z klęczek i chwiejnie stanęła na nogach. Przedwieczne milczenie zostało nagle przerwane wściekłymi i dzikimi okrzykami duchownego, który wypadł ze swojej świątyni. Krążył teraz i zataczał się z rękami wzniesionymi ku niebu, z oczami błyskającymi na pobrudzonej twarzy. Wbrew początkowym przypuszczeniom Pelagii, nie robił tego po to, by błagać Boga o powstrzymanie żywiołu, ale po to, by go zwymyślać.

– Ty draniu! – ryknął. – Ty nędzny psie! Zawszony sukinsynu! Kurewska zarazo! – Wypluwał z siebie zakazane słowa, cały spokój jego pobożnej duszy zmienił się w jednej chwili w pogardę. Ksiądz padł na kolana, zaczął okładać ziemię pięściami, a ponieważ ciało nie mogło pomieścić jego furii, znowu poderwał się na nogi i gwałtownym pchnięciem skierował ku niebu pięść. Łzy napłynęły mu do oczu, gdy zapytał: – Czyż nie kochaliśmy cię? Niewdzięczny gnoju! Diabelski pomioście!

W tym momencie, jak gdyby w odpowiedzi, na nowo rozległ się narastający pomruk. I znowu plutoniczna pięść wystrzeliła w górę z najdalszych głębin i znowu skalna skorupa Kefalonii zadrżała i zatańczyła, a szczyty gór zachwiały się niczym maszty żaglowców. Pelagia, na powrót zwalona z nóg, wczepiła się palcami w drgającą z głuchym odgłosem ziemię. Własna bezradność i przerażenie zawstydzaly ją i tłumily nawet rozpaczliwe pragnienie przeżycia. Cały świat skurczył się do rozmiarów ciemnej kuli ognia, który zdawał się wybuchać w jej żołądku i ogarniać płomieniami komórki mózgu, a ona wila się i krztusiła

w tym odludnym piekle – nie dowierająca, zdziwiona tak bardzo, że nie czuła już zaskoczenia ani przerażenia, zabawka w rękach zuchwałej i podstępnej ziemi.

Na południe od Kefalonii, na wyspie Zakynthos, jej stolica płonęła w deszczu rozżarzonych popiołów, które spadały na ciała ludzi i psów, zadając im takie tortury, że jedni i drudzy dostawali szału. Pewien ratownik, człowiek, który kiedyś był świadkiem tragedii w Nagasaki, twierdził później, że ta była jeszcze gorsza. Na wszystkich Wyspach Jońskich ludziom zostały jedynie rzeczy, które w nedorzecznym sposób próbowali ratować, gdy wyskakiwali ze swoich domów: nocnik, list, poduszka, dzbanek bazylii lub pierścionek. Na Kefalonii skała w Paliki, zwana Kunopetrą, która drżała przez całe stulecia i której nawet brytyjskie okręty wojenne nie zdołały przesunąć, znieruchomiła i znalazła wytchnienie wśród zniszczeń na lądzie. Gdy cała wyspa przeszła magiczną metamorfozę, popadając w ruinę i odtwarzając scenię Armagedonu, ona stała się po prostu jeszcze jedną skałą morską.

Pelagia, Drosula i Antonia stały, trzymając się siebie kurczowo, i patrzyły na dom w przerwach, podczas których tytan-apoplektyk gromadził na nowo siły i wymyślał nowe i coraz bardziej nieodparte dowody swej złośliwości. Gdy skalne płyty i szczeliny pękały z hałasem wystrzałów artylerii i czołgów, gdy drogi deformowały się i falowały, a filary weneckich balkonów skręcały, trzy kobiety słaniały się na nogach z wyrazem niedowierzania i rozpacz na twarzach. Psipsina, z futrem zanieczyszczonym przez biały pył i wąsikami ozdobionymi pajęczyną, ukazała się znikąd i przyłączyła do nich. Antonia podniosła ją z ziemi i trzymała w ramionach.

Ze starego domu zostało niewiele; mury obniżyły się o połowę, a to, co przetrwało, zawierało jedynie gruz i pozostałości dachu. Pomieściło również pozbawioną złudzeń duszę i zmęczone, stare ciało doktora, który układał przedśmiertne słowa od lat, lecz w końcu nie wypowiedział żadnego.

LXVI

Ratunek

Wielka Brytania nie była wówczas tak bogatym krajem, jak obecnie, ale za to o wiele mniej zadowolonym z siebie i o wiele bardziej użytecznym. Brytyjczycy mieli poczucie odpowiedzialności humanitarnej i pielęgowali mit o własnym znaczeniu, po donkiszotowsku prawdziwy i powszechnie akceptowany tylko dlatego, że sami weń wierzyli i wyznawali tę wiarę na tyle głośno, by zrozumieli ich cudzoziemcy. Nie nabrali jeszcze zwyczaju czekania miesiącami na pozwolenie z Waszyngtonu, by zwlec się z postimperialnego łoża, włożyć buty, zaparzyć filiżankę przesłodzonej herbaty i podjąć ryzyko wyjścia za drzwi własnego domu.

W rezultacie przybyli jako pierwsi, byli tymi, którzy zostali najdłużej, najwięcej zrobili i ostatni wyjechali. W ciągu nocy marynarze HMS „Daring” załadowali na pokład ładunek wody i żywności, leki, wolnych lekarzy i sprzęt ratunkowy i wypłynęli z Malty, docierając na miejsce o świcie następnego dnia, by stwierdzić, że woda w basenie portu w Argostoli kipi i pieni się od wybuchów czegoś, co wyglądało na ładunki głębinowe i miny magnetyczne. Wodolot marki Sunderland przywiózł głównodowodzącego wojskami na Morzu Śródziemnym, HMS „Wrangler” zawiózł żywność i lekarstwa na Itakę, a niebawem pojawiły się HMS „Bermuda”, „Forth”, „Reggio” i nowozelandzki okręt „The Black Prince”. Przywiozły one trzysta czterdzieści kilometrów bandaży, dziesięć tysięcy litrów środków dezynfekujących, pięćdziesiąt baraków Nissena, sześć tysięcy koców, buldożery, butelki do karmienia niemowląt, sześćdziesiąt tysięcy puszek z mlekiem, zapasy żywności na trzy posiłki dziennie dla piętnastu tysięcy osób na siedem dni oraz niepotrzebnie aż dwie i pół tony waty i płótna opatrunkowego.

Jugosłowianie, których port w Dubrowniku znajdował się najbliżej, nie przysłali kapitalistom niczego, wkrótce jednak pojawiły się cztery nieśmiałe stateczki izraelskiej marynarki wojennej. Włochy, pomne swojej haniebnej przeszłości i wynikających z niej zobowiązań, wysłały najwspanialsze duże jednostki z elitą strażaków z Neapolu, Mediolanu i Rzymu i rozpoczęły ewakuację ofiar do Patras. Przybyły okręty „Franklin D. Roosevelt” i „Salem”, załadowane maszynami do robót ziemnych i helikopterami, a wkrótce potem

przyplęły cztery okręty transportowe z trzema tysiącami żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej. Grecka marynarka wojenna, powstrzymywana z początku przez biurokratyczne przepychanki, zjawiała się późno, lecz pełna zapалу, a generał Iatrides został mianowany gubernatorem Wysp Jońskich na czas kryzysu. Król i jego rodzina wykorzystali tę okazję do objazdu wysp incognito w dżipie, a pulchne małe mniszki sumiennie, lecz z radością wychodziły ze swoich klasztorów, by zasmakować życia wraz z towarzyszącą mu czekoladą oraz okazjami do pracy i rozmowy.

Dzięki szerokim ulicom ofiar w miastach na Kefalonii było niewiele; stały tu głównie jednokondygnacyjne domy oddzielone podwórkami i śmietniskami. Zdarzały się typowe cuda, gdy ludzie, którzy stracili poczucie czasu, po dziewięciu dniach wyłaniali się spod gruzów, sądząc, że upłynęło parę godzin.

Brytyjscy marynarze pocili się i trudzili w obezwładniającym upale, gorzko narzekając na smród fekaliów w porcie i oparzenia łuszczące płatami spaloną słońcem skórę. Czerwoni jak raki, wysadzali dynamitem niebezpieczne budynki; okazało się, że wszystkie są niebezpieczne, tak że ich zabiegi poczyniły jeszcze większe spustoszenie i wzbudziły dodatkowy strach w oszalałych wyspiarzach, którzy nie potrafili odróżnić wstrząsów następczych od eksplozji i do których marynarze, słabo zorientowani zarówno w geografii, jak i w regułach obowiązujących w grzecznych rozmowach o niczym, zwracali się dobrodusznie per „czarnuchy”. Na ich tablicach ogłoszeń, wśród regulaminów i specjalnych instrukcji wisiały regularnie aktualizowane wyniki meczu w krykieta między Anglią a Australią.

Pracownicy zagranicznych instytucji, niosących pomoc, wznosili miasteczka namiotowe i przygotowywali olbrzymie parkingi dla swoich dżipów i ciężarówek. Do pomruków niespokojnej ziemi doszedł otepiający terkot helikopterów oraz ryk spychaczy usiłujących zlikwidować osuwiska, które odcięły dojazd do odleglejszych miejscowości; ich mieszkańcy przez trzy dni myśleli, że zupełnie o nich zapomniano i pozostawiono ich na pastwę głodu lub śmierci z pragnienia. Mieszkańcy jednej z wiosek na Zakynthos byli już bliscy rozpacz, gdy z samolotu zrzucano im najsmaczniejszy chleb, jakiego kiedykolwiek kosztowali; jego smak na zawsze pozostał w ich zbiorowej pamięci jako zapowiedź raj, której żadna gospodyni domowa nie byłaby w stanie odtworzyć. Następnie zrzucano konserwową wołowinę i czekoladę (która zaczęła się rozpuszczać niemal w chwilę po zrzuceniu); łączyli ją z cynfolii ludzie, a potem dwa razy łączyli psy, zanim pożarły samo opakowanie.

Załoga „Franklina D. Roosevelta” wypiekała siedem tysięcy bochenków chleba

dziennie i dostarczała je do zburzonych portów i na plaże barkami desantowymi, wykorzystywanymi raczej do przewozu haubic, czołgów i żołnierzy. Jakiś amerykański oficer z rozmówkami greckimi w rękę chodził, powtarzając: „Głodny?” niedostatecznie pytającym tonem i wskazywał na swoje usta, by lepiej wyrazić, o co mu chodzi; w końcu paru wieśniaków ulitowało się nad nim i urządziło mu ucztę z tej znikomej ilości jedzenia, które zdołali jeszcze znaleźć. Gdy Amerykanie opuścili wyspę, ich namioty oraz kubły na śmieci zostały splądrowane, a cudowne, nie większe od ostrza brzytwy otwieracze do konserw przez całą dekadę zastępowały monety i scyzoryki w wymianach towarowych i negocjacjach miejscowych małolatów.

Sami Grecy reagowali w różny sposób, zależnie od tego, czy znajdowali w swym gronie naturalnego przywódcę. Ci, wśród których nie pojawił się nikt taki, popadali w melancholię, tracili poczucie czasu i cel życia, stawali się apatyczni i cierpieli na dręczące koszmary o spadaniu w bezdenną otchłań. Nie sposób było płakać nad nimi, nikt też nie wylewał łez. Urządzając spotkania z krewnymi i przyjaciółmi, nie rozmieszczali nawet, jak to czyniono gdzie indziej, informacji na ten temat.

Podczas samego trzęsienia ziemi jedna czwarta ludności, podobnie jak doktor, nie wpadła w panikę, lecz cała reszta pamiętała później o tym, że porzuciła swe dzieci i sędziwych rodziców, i znosiła udrękę dotkliwego upokorzenia. Silni mężczyźni czuli się jak tchórze i głupcy, a do groźnego i zdradliwego poczucia braku własnej wartości dołączyło się przekonanie, że Bóg poraził ich pochopnie i bez dania racji. Serca biły im mocno przy każdym ryku muła, skrzypnięciu drzwi i miauknięciu kota. »

Co bardziej przedsiębiorczy Grecy natychmiast przystąpili do robienia interesów, sprzedając za paskarskie ceny przedmioty stanowiące własność rządu, takie jak pieczętki i licencje. Inni otwierali stragany z owocami, a dyrektor banku w Argostoli ustawił stół przed ruinami swojej firmy i przeprowadzał normalne transakcje, po raz pierwszy czerpiąc radość ze swej pracy. Na Itace ktoś rozwiesił ekran z prześcieradła i otworzył kino. Członkowie klubów młodzieżowych z całej Grecji napływali masowo na wakacyjne obozy pracy, śmiejąc się i szydząc z siebie nawzajem, jeżeli któryś okazał strach przy lada drzeniu i westchnieniu skalnego podłoża.

Wybawcami okazali się ludzie, po których najmniej można się było tego spodziewać. We wsi Pelagii przywództwo objął Welisarios, mimo że zawsze uważano, iż jest zbyt powolny i łagodny. Miał teraz czterdzieści dwa lata i bez zbędnej zarozumiałości wiedział, że

jest silniejszy niż kiedykolwiek, choć brakowało mu już młodzieńczego wigoru i wyzbył się radosnych marzeń o zachowaniu wiecznej młodości. Trzęsienie ziemi w jakiś niewytłumaczalny sposób rozjaśniło mu umysł, podobnie jak Drosulę uleczyło z reumatyzmu – jak gdyby jakaś lampa oświetliła jego zwierzęcą spostrzegawczość i instynktowny refleks.

To właśnie Welisarios podjął się trudu wskrzeszenia wioski, a jego śladem poszli jej wdzięczni mieszkańcy. Z siłą zdającą się przewyższać siłę trzęsienia ziemi odrzucił belki i kamienie, które uwięziły skręcone ciało doktora, świadom, że gnijące zwłoki stwarzają groźbę chorób, potem zaś zgromadził zdezorientowanych i zrozpaczonych i zorganizował ich w małe brygady robocze, wyznaczone do rozmaitych prac. Sam zszedł do studni i zaczął usuwać wypełniający ją gruz, pracując tak zawzięcie, że wyczerpał dwie grupy pomocników, nie dając samemu sobie chwili wytchnienia. Tylko dzięki Welisariosowi nikt we wsi ani przez chwilę nie odczuwał pragnienia.

Rozeszła się pogłoska, że wyspa pogrąży się w morzu i że rząd nakazał całej ludności uciekać na łodziach. Gdy naiwni i łatwowierni pobiegli do ruin swoich domów po wszystko, co tylko mogli uratować, Welisarios chodził od jednego do drugiego, odwołując się do ludzkiej zachłanności i zdrowego rozsądku:

– Zgłupieście? To jakieś brednie rozgłaszane przez ludzi, którzy chcieliby sobie poszabrować. Chcecie wszystko stracić i wyjść na głupców? Jeżeli ktoś wyjedzie, to obiecuję, że będzie żałował. Kefalonia nie tonie, ona pływa. Nie bądźcie idiotami, bo tego właśnie się po was spodziewają. – Gdy ludzie rozpierzchali się i krzyczeli przy każdym z tysięcy drobnych wstrząsów następczych, to właśnie Welisarios nakazywał im wziąć się w garść i wracać do pracy, niejednokrotnie też wyciągał próżniaków i przerażonych z ich kryjówek i groził, że połamie im kości, jeżeli nie podejmą przerwanych zajęć. Widok jego rozkudłanych siwych włosów, spoconych skroni, nagiej piersi, bardziej owłosionej niż pierś niedźwiedzia, i nóg grubszych niż kamienne kolumny sprawiał, że nie było osoby, której strach nie zmusiłby do opamiętania się i pracy. Nawet Pelagię przekonał, by przykryła zwłoki ojca i poszła opatrywać ludziom rany. Nastawiła i unieruchomiła w szynach dwie złamane nogi, umieszczając je potem nawet na wyciągu z lin i kamieni, smarowała też miodem skaleczenia oraz usuwała dzieciom piasek z oczu przy użyciu piórka i śliny. Drosuli, która z początku tylko krzyczała histerycznie: „Nic nam nie zostało, nic prócz oczu do ronienia łez!", powierzono nadzór nad dziećmi, tak żeby ich rodziców można było posłać do pracy. Bawiły się w chowanego w ruinach i w berka, wznosiły też kamienne piramidy – to był ich drobny wkład w uprzątnięcie domów i ulicy. Gdy niosący pomoc w końcu przebili się przez osuwisko na drodze, odkryli małą społeczność, mieszkającą w szałasach z blachy falistej,

przymocowanej do ocalałych belek, z dyskretnie rozmieszczonymi latrynami, wykopanymi w bezpiecznej odległości od studni, i naprawioną wiejską prasą do wyciskania oliwy, dzięki czemu ludzie nadal zarabiali na sobie i nie pozwolili, by szerzył się głód. Kierował nimi olbrzym, którego do późnej starości darzono większą czcią i szacunkiem niż nauczyciela i księdza.

Ziemia falowała jeszcze przez trzy miesiące, wydobywając z siebie takie odgłosy, jakby wstrzymywała oddech, po czym wypuszczała powietrze. Wszyscy mieszkali w szałasach, które najpierw zmył i poszarpał na strzępy przedwczesny lodowaty sztorm, a potem pospinali i ustawili z powrotem ludzie. Przez wczesną zimą, drżąc, chronili się w nich przed chłodem, czasami w piętnastoosobowych grupach, potem zaś stanęły drewniane szopy, nieprawdopodobnie przestronne w porównaniu z szałasami, ale niemal równie zimne. Antonia wyjechała na trzy miesiące na wakacje zorganizowane przez królową w obozach pierwotnie zbudowanych dla dzieci osieroconych podczas wojny domowej, skąd wróciła zawszona, z szokująco bogatym zasobem przekleństw oraz wulgarnych określeń intymnych części ciała. Po roku zaczęła się odbudowa; zakończono ją po trzech latach. Stare i piękne miasta weneckie pojawiły się na nowo w postaci niczym się nie odznaczających skupisk bielonych wapnem, betonowych pudełek. Jedną wioskę odbudował jakiś emigrant-filantrop, który nie żałował swego bogactwa na bieżącą wodę, kanalizację, pokryte tłucznem ulice i latarnie z kutego żelaza. Stała się ona równie urocza jak Fiskardo – jedyne miasto nie naruszone przez kataklizm. Wioska Pelagii została odbudowana niżej na zboczu wzgórza (bliżej nowej drogi, którą zbudowali pomysłowi francuscy inżynierowie), jej stary dom opuszczony, a jego skarby i pamiątki w kryjówce nieodwołalnie, jak się wtedy wydawało, pogrzebane.

Ponieważ trzęsienie ziemi wywołane zostało wyłącznie falami ściskającymi, w ziemi otworzyło się bardzo niewiele szczelin. Jednak tuż po katastrofie jakiś włoski strażak odkrył jedną z nich. Przyjechał z Argostoli dżipem pożyczonym od pewnego Amerykanina i zatrzymał się przed opuszczonym, zrujnowanym domem Pelagii; oglądał go z przerażeniem, drżąc cały. Przeszedł przez podwórko obok rozdartej oliwki i zauważył, że pęknięcie w ziemi poszerzyło się. Spojrzał w dół i ujrzał ludzki szkielet z rozłupaną klatką piersiową, z pogruchofaną szczęką potężnej czaszki, rozchyloną jakby w pół słowa, i zaśniedziałymi srebrnymi monetami w oczodołach, nadającymi jej wyraz smutku, zdumienia i niemego wyrzutu.

Strażak patrzył na szkielet przez parę minut, dopóki nie targnął nim nowy wstrząs. Zerwał złocisty mak rosnący wśród kamieni, rzucił go na zwłoki, a potem wrócił do dżipa po łopatę. Ledwie zaczął je na nowo grzebać, zachwiał nim następny dreszcz i czerwona ziemia

raz jeszcze zamknęła się nad olbrzymimi szczątkami Carla Guercio.

LXVII

Lament Pelagii

Było to miejsce, w którym czułam się bezpieczna, moje jedyne schronienie, jądro moich wspomnień. W tym domu moja matka o błyszczących piwnych oczach trzymała mnie w ramionach i w tym domu umarła. A mój pograżony w smutku ojciec zebrał całą swą miłość i obdarzył nią tylko mnie, wychował mnie i przyrządzał mi niesmaczne, typowo męskie posiłki, sadzał na kolanach i, opowiadając swoje historyjki, sprawiał, że nogi wrastały mi w ziemię. Rozmawiał ze mną z tak wielką miłością, pracował dla mnie, pozwolił mi być dzieckiem. Gdy byłam zmęczona, podnosił mnie do góry i zanosił do łóżka, gładził po włosach, a w ciemności słyszałam, jak mówi: „*Koricimu*, gdyby nie ty, gdyby nie ty... ”, kręcąc głową, ponieważ brakło mu słów, jego serce było zbyt wielkie, by je utrzymać. Zamykałam oczy i zasypiałam, czując zapach leczniczych maści i tytoniu, a w moich snach nie było Turków ani strasznych potworów. Czasem tylko w nocy wydawało mi się, że widzę, jak moja matka wchodzi przez drzwi i się uśmiecha.

Rano budził mnie, przynosił mi czekoladę i mówił: „*Koricimu*, wychodzę do kafenijonu. Pamiętaj, że masz wstać, zanim wrócę”. Mówił tak nawet wtedy, gdy miałam już dwadzieścia lat. A ja leżałam radosna jak skowronek, rozmyślając o wszystkim, co mogę robić tego nowego dnia, i nasłuchiwałam jego kroków na płytach chodnika, i w ostatniej chwili wyskakiwałam z łóżka, a on wchodził do domu i mówił: „Mój mały leniuszku, tym razem omal cię nie przyłapałem”, aż w końcu sama to mówiłam, a on wybuchał śmiechem i obiecywał: „Dobrze, dzisiaj opowiem ci wszystko o Pitagorasie, a wieczorem wybierzesz wiersz, który mi przeczytasz, a ja wybiorę wiersz, który przeczytam tobie, a potem wyjaśnię, dlaczego twój mi się nie spodobał, a ty możesz powiedzieć, dlaczego nie spodobał ci się mój, a potem możemy się rozzłościć i stoczyć bitwę”. Ja zaś podskakiwałam do góry i proponowałam: „Bijmy się teraz, bijmy się teraz!”, a on łaskotał mnie tak długo, aż mi się prawie robiło niedobrze ze śmiechu. Później sadzał mnie na krześle i cesał moje włosy, ciągnąc je o wiele za mocno i opowiadając przerażające historie o opatach z Krety, którzy woleli spalić się na śmierć ze swoimi mnichami niż poddać się Turkom. Opowiadał mi też o wyspach, które widział, na których kobiety miały po czterech mężów i wszyscy chodzili

nago, oraz o krajach w Afryce, gdzie ludzie byli szersi niż wyżsi, i miejscach tak zimnych, że nawet morze zamarzało i wszystko było białe.

Ale to już przeszłość. Przychodzę i siadam w ruinach mojego domu i widzę jedynie duchy. Teraz nie ma tu nic oprócz wyschniętej trawy, spękanych kamieni i rozdartego drzewa. Nie ma stołu, przy którym śpiewali chłopcy z La Scali, nie ma Psipsiny łapiącej myszy, koziołka, który beczał i budził mnie o świcie, nie ma Antonia uwodzącego mnie kwiatami i grą na mandolinie, nie ma tatusia, który wracał z kafenijonu i mówił: „Kokolios powiedział dziś coś zupełnie niedorzecznego... ”

Moim domem jest teraz tylko smutek, milczenie, ruina i pamięć. Zostałam zdegradowana, jestem moim własnym duchem, moja uroda i młodość zwiędły, nie ma takich złudzeń szczęścia, które by mnie poruszyły. Życie to więzienie pełne niedostatku i poronionych marzeń, to tylko powolna wędrówka do piachu, to boski spisek, zmierzający do uwolnienia nas od ciała, krótkotrwały błysk płomienia w misce z oliwą między jedną ciemnością a drugą, która kładzie wszystkiemu kres.

Siedzę tu i wspominam dawne czasy. Pamiętam muzykę nocą i wiem, że wszystkie radości zostały wyrwane z moich ust niczym zęby. Będę głodna i spragniona i już na zawsze pełna tęsknoty. Gdybym chociaż miała dziecko, dziecko, które by ssało mą pierś, gdybym miała Antonia. Zostałam zjedzona jak chleb. Leżę w ciernistych krzewach, a moja studnia jest wypełniona kamieniami. Całe moje szczęście rozwiało się niczym dym.

Mój biedny ojciec, milczący i nieruchomy, doprowadzony do ruiny i na zawsze utracony. Mój ojciec, który sam mnie wychował i uczył, który wszystko mi wyjaśniał, który brał mnie za rękę i spacerował ze mną. Już nigdy więcej nie ujrzę twej twarzy i nigdy już nie obudzisz mnie rano. Już nigdy więcej nie zobaczę, jak siedzisz w naszym zburzonym domu, pisząc, zawsze pisząc, z fajką zaciśniętą między zębami, z zadumą w lśniących, bystrych oczach. O mój biedny ojciec, który leczyłeś niestrudzenie, który nie potrafiłeś uleczyć siebie i zginąłś samotnie z dala od swojej córki; od chwili twej samotnej śmierci czuję bolesny ucisk w gardle.

Trwam na tych stertach potłuczonych kamieni i wyobrażam sobie, jak to się odbyło. Pamiętam Welisariosa podnoszącego dachówki i belki, jak gdyby to jego ojciec leżał martwy pod nimi. Pamiętam też, jak wyciągnął mojego ojca, pokrytego białym pyłem, ze zwieszoną głową, z rozdziawionymi ustami, z bezwładnie zwisającymi członkami. Pamiętam, jak położył go na ziemi i uklęknął obok, oślepy i pijany od łez, a ja ujęłam w dłonie zakrwawioną głowę ojca i spostrzegłam, że w jego oczach jest pustka. W jego starych oczach, wpatrujących się nie we mnie, lecz w ukryty świat poza mną. I wtedy po raz pierwszy

uświadomiłam sobie, jaki był drobny i wąty, jak pobity i zdradzony, i spostrzegłam, że bez duszy jest tak lekki i chudy, że nawet ja mogłabym go udźwignąć. Podniosłam jego ciało i przytuliłam głowę do swej piersi. Rozległ się wielki krzyk, który musiał wydobyć się z moich ust, i nagle ujrzałam tak wyraźnie, jak wyraźnie widzi się górę, że był jedynym mężczyzną, jakiego kochałam, który kochał mnie do końca, nigdy nie zranił mi serca i nigdy nawet na chwilę mnie nie zawiódł.

LXVIII

Wskrzeszenie historii

Trzęsienie ziemi zmieniło życie ludzi na wyspie tak gruntownie, że po dziś dzień stanowi najważniejszy temat rozmów. Gdy rodziny gdzie indziej spierają się o to, czy socjalizm ma przyszłość, lub o to, czy zniesienie monarchii to dobry pomysł, Kefalończycy zastanawiają się, czy nastąpi kolejne trzęsienie i czy będzie równie groźne jak ostatnie. Żyją w cieniu apokalipsy, a gdy rozmawiają o socjalizmie bądź monarchii, w rzeczywistości myślą o roku 1953. Zaznacza się to chwilą ogólnego milczenia, podczas której ktoś zapomina, o czym mówił, albo chwilowym zatrzymaniem widelca w drodze do ust. Podobnie jak stary wilk morski, Kefalończycy nie mogą się oprzeć chęci zanudzania obcych ludzi, żeby poinformować ich o faktach, a przewodnicy wycieczek muszą znaleźć sposób, by skłonić ich do wygłaszania opinii dotyczących widoków na lepszą pogodę. Starzy ludzie określają rozpamiętywany rok zależnie od tego, czy poprzedzał trzęsienie ziemi, czy też nastąpił po nim, tak samo jak nadal zwyczajowo zdarzenia w roku sytuuje się przed lub po uroczystościach ku czci świętego. Kataklizm sprawił, że ludzie wspominali wojnę jako rzecz stosunkowo błahą i nieistotną i odzyskali sens życia. Człowiek mógł teraz budzić się rano i być zdumionym i wdzięcznym losowi za to, że nadal żyje i mieszka w solidnym domu, a wieczorem kłaść się do łóżka z ulgą, że przeżył zwyczajny dzień, nie zakłócony żadnymi wypadkami.

Kochankowie, którzy dotąd zwlekali z zamiarem małżeństwa, zawierali związki, a małżonkowie niezadowoleni z długoletniego pożycia patrzyli na siebie, zdumieni tak ogromnym marnotrawstwem czasu, i natychmiast się rozwodzili. Serdeczne więzi rodzinne stawały się jeszcze serdeczniejsze, a skłóceni bracia i siostry emigrowali do różnych krajów, chcąc, by wreszcie rozdzieliło ich morze.

Trzy mieszkanki nowego matriarchalnego domu stały się sobie jeszcze bliższe i skoncentrowane na sobie. Budowały swoje życie na fundamencie straszliwego poczucia winy Pelagii. Pelagia, cierpiąca na bezsenność i okresowe napady hysterii, bezlitośnie wyrzucała sobie, że przyczyniła się do śmierci ojca.

– Miał siedemdziesiąt lat – przytomnie zauważyła Drosula – i był winny śmierć Bogu.

Lepiej, że zginął w ten sposób, próbując nas uratować, i że stało się to tak szybko.

Ale Pelagia nie chciała tego słuchać. Wiedziała, że w chwili katastrofy nie myślała o niczym innym, tylko o tym, że musi się ratować, wiedziała też, że gdy ojciec upadł, powinna była spróbować, nawet kosztem własnego życia, wyciągnąć go za próg, zanim runął dach. Bezustannie odtwarzała w myślach moment, gdy stała się bezsilna niczym mucha w oku cyklonu, gdy ten straszliwy ryk i podrygi ziemi zerwały więzi krwi i serca. To jednak nie zdało się na nic. Niezależnie od wszelkich racjonalnych wyjaśnień i usprawiedliwień pozostawał jeden oczywisty fakt, że opuściła własnego ojca w chwili największego zagrożenia; on uratował ją, mobilizując do działania, a ona pozwoliła mu zginąć. Nie tak powinna się odplacać kochająca i troskliwa córka.

Pelagia wpadła w grzęzawisko poczucia winy i wyrzutów sumienia. Zaniedbała swój wygląd i obowiązki domowe; wołała przesiadywać przy grobie ojca i przyglądać się wiecznemu płomieniowi w czerwonej szklanej lampce, którego strzegła, zagryzając wargi do krwi z żalu, że nie może ze zmarłym porozmawiać. Mogłaby to zrobić przez płytę z czarnego marmuru ze starą, lecz uśmiechniętą fotografią, ale czuła się niegodna, by się do ojca zwrócić. Siwiejąca kobieta z włosami w nieładzie i bladą twarzą po prostu siedziała i patrzyła, jakby oczekując, aż jego cień powstanie spod ziemi i obarczy ją brzemieniem wyrzutów. Gdy w styczniu wiał paskudny wschodni wiatr lub szalała wściekła burza, Pelagia narzucała na głowę swój czarny szal, wstawała z krzesła przy piecu i z pochyloną głową ruszała, by walczyć z żywiołami; wspinała się z mozołem po zboczach wzgórz w bezustannie powtarzanej pielgrzymce, opętana myślą, że płomień na grobie ojca nie powinien zgasnąć. Klęczała w szumiącym wietrze, schylając się nad lampą, by osłonić ją przed deszczem, ogrzewając drżące dłonie na szkle, zmieniając swe życie w jedną wielką pokutę i przeprosiny. Była wówczas zdolna uwierzyć, że Bóg zabrał Antonia, ponieważ dzięki swej boskiej intuicji przewidział, iż pewnego dnia Pelagia zawiedzie własnego ojca; obmyślił to pierwsze jako karę, przeczuwając drugie jako grzech. Drosula straciła już rachubę, ile razy musiała chodzić z Antonią na cmentarz i odciągać Pelagię od grobu, udręczoną i błagającą, wymachującą rękami i wierzgającą nogami, jakby były pozbawione stawów.

Pewnego dnia miały już dość; ich współczucie niepostrzeżenie zmieniło się w gniew i irytację i stara kobieta i młoda dziewczyna uknuły spisek, by przywrócić Pelagii rozsądek.

– Kłopot w tym – zauważyła Drosula – że podczas wojny straciła kogoś, kogo kochała, a ta dodatkowa śmierć przepełniła czarę.

– Chodzi o tego ducha, o którym zawsze opowiada?

– Tak. Nazywał się Corelli, był muzykiem.

– Myślisz, że naprawdę go widzi, czy uważasz, że oszalała?

– Wcześniej nie była szalona. Z duchami jest tak, że potrafią ukazywać się każdemu, kogo wybiorą, i nikt inny ich nie widzi. To śmierć dziadka poprzestawiała jej klepki w głowie.

Dziewczynka wzdrygnęła się.

– Biedny dziadzio – powiedziała.

– Mam zamiar pójść po radę do księdza – wyznała Drosula.

– Ale od czasu trzęsienia ziemi on też jest szalony. A gdybyśmy tak przebrały się za ducha dziadka, przyszły i powiedziały mamie, że to nie była jej wina?

Drosula zmarszczyła brwi.

– Dobry pomysł, ale ona nie jest idiotką, nawet jeśli jest obłąkana. Nielatwo odegrać rolę ducha. Ja jestem za wysoka, a ty zbyt mała, i nie umiemy mówić tak jak on. Wiesz, mam na myśli wszystkie te słowa długie na trzy strony, gdy je zapisać, i zdania, w których można by pomieścić całą książkę. No i musisz pamiętać, że to mogłoby jeszcze pogorszyć sprawę.

– To może po prostu przywiążemy ją do łóżka i spierzemy?

Drosula westchnęła tęsknie do tego przyjemnego wyobrażenia i zastanawiała się, czy ten właśnie sposób by nie poskutował. W dawnych czasach, kiedy jeszcze była dzieckiem i mieszkała w Turcji, szaleńców leczono, bijąc ich tak długo, aż stawali się zbyt wystraszeni, by nadal trwać w swym szaleństwie. Wtedy okazywało się to dość skuteczne, ale nie sposób było ocenić, jak bardzo od tamtego czasu zmieniła się natura ludzka. Drosula podejrzewała, że obłąd Pelagii ma w sobie coś z pobłażania samej sobie, że to rodzaj skrajnie masochistycznego egotyzmu, i pacjentka mogłaby uznać bicie raczej za karę aż nadto zasłużoną niż za środek zapobiegawczy. Kobieta chwyciła dziewczynkę za rękę i ucałowała w czubek głowy; oczy jej zajaśniały.

– Mam pomysł – powiedziała.

W rezultacie następnego ranka przy śniadaniu Antonia oznajmiła nagle:

– W nocy przyśnił mi się dziadek.

– To dziwne – odparła Drosula. – Mnie też.

Spojrzały na Pelagię w oczekiwaniu jakiejś reakcji, ale ona nadal spokojnie rozrywała kromkę chleba na maleńkie kawałki.

– Powiedział mi, że cieszy się, że nie żyje, bo teraz może być z matką mamy.

– Mnie powiedział co innego – odparła Drosula i wtedy Pelagia zapytała:

– Czemu rozmawiacie tak, jakby mnie tutaj nie było?

– Bo cię tu nie ma – brutalnie zauważyła Drosula. – Nie było cię od dłuższego czasu.

– Więc co takiego ci powiedział? – dociekliwie pytała Antonia.

– Powiedział, że chce, by mama napisała historię Kefalonii, bo jego książka została pogrzebana w czasie trzęsienia ziemi. Żeby zrobiła to dla niego. Mówił, że myśl o tym, że książka przepadła, psuje mu całą radość z życia w zaświatach.

Pelagia obrzuciła je podejrzliwym spojrzeniem, ale one nadal ją ignorowały. Antonia przekonywała się, że ta komedia może być ogromnie zabawna.

– Nie wiedziałam, że pisał historię.

– O tak, było to dla niego ważniejsze od leczenia.

Antonia odwróciła się do Pelagii i zapytała niewinnie:

– Masz zamiar ją napisać?

– Nie ma sensu jej o to pytać – wtrąciła Drosula. – Za daleko od nas odeszła.

– Wciąż tu jestem – zaprotestowała Pelagia.

– Witaj – rzekła sarkastycznie Drosula.

Pelagia wróciła na cmentarz i uzupełniła oliwę w lampie. Stała wpatrzona w napis (*Ukochany ojciec i dziadek, wierny mąż, przyjaciel ubogich, uzdrowiciel wszystkich żywych stworzeń, człowiek niezmiernej wiedzy i wielkiej odwagi*) i przyszło jej do głowy, że rzeczywiście istnieje sposób podtrzymania płomienia jego życia, nawet jeżeli wszystkie te opowieści o snach są tylko głupotą i niedorzecznością. Pojechała do Argostoli, podwieszona furmanką ciągniętą przez muła, i wróciła do domu z piórami oraz grubą ryzą papieru.

Pisanie okazało się zaskakująco łatwe. Czytała rękopis ojca tyle razy, że wszystkie stare zwroty wyłaniały się zza drzwi kuchni i zza okna, stawały się słyszalne, choć nieuchwytnie dla ucha, spływały po jej prawej ręce i dłoni, wyłaniając się ze stalówki i zapelniając kartkę za kartką:

Na poły zapomniana Kefalonia wyrasta nieprzezornie i nieroztropnie z Morza Jońskiego; jest wyspą tak bezgranicznie antyczną, że same skaty tchną nostalgią, a czerwona ziemia leży otępiała nie tylko od słońca, ale i od niezwykłego brzemienia dziejów...

Drosula i Antonia podglądały Pelagię, gdy niczym uczony siedziała przy stole, stukając końcem pióra o zęby i od czasu do czasu spoglądając przez okno bez konkretnego powodu. Dwie konspiratorki wymknęły się ukradkiem w bezpieczne miejsce, objęły się i zatańczyły z radości.

Pelagia do złudzenia przypominała obecnie doktora. Podobnie jak w czasie, gdy pograżała się w rozpacz, i podobnie jak on sam przez całe swoje życie, w sprawach

związanych z domem nie robiła prawie nic, pozostawiając je całkowicie Drosuli i Antonii. Spośród nielicznych pamiątek po ojcu, wygrzebanych z ruin domu, zachowała się jego fajka i teraz Pelagia wtykała ją tak jak on między zęby, wdychając słabą woń smolistych pozostałości nie dopalonego tytoniu i odciskając na śladach po jego zębach na cybuchu ślady własnych. Nie zapalała jej, ale traktowała jako instrument pośredniczący w duchowym kontakcie z ojcem, tak że dawno wymyślone słowa wydawały się teraz przepływać przez pustą główkę fajki, gromadzić w cybuchu i rozbrzmiewać w mózgu Pelagii. Zaczęła, najpierw ostrożnie, na próbę, nadawać kobiecie szlif pełnemu męskich uprzedzeń tekstowi doktora, wprowadzając szczegóły dotyczące sposobu ubierania się i technik wypieku w wioskowym piecu, ekonomicznego znaczenia pracy dzieci i okrutnej, lecz uświęconej tradycją pogardy dla wdów. Pisząc, odkrywała własne pasje, nakładające się na pasje ojca, pasje, których istnienia nigdy nie podejrzewała; i oto z kart jej historii wzbijały się gromkie słowa potępienia i surowe wyroki, konkurujące z werdyktami doktora i przewyższające je zjadliwością.

Radość pisania zmieniła Pelagię. Akt przywiązania do ojca przeistoczył się w wielki zamysł, wymagający wypraw do biblioteki i listów do poważnych, uczonych instytucji, muzeów morskich, British Library, biografów Napoleona oraz amerykańskich profesorów, badających dzieje potęgi imperialnej. Ku swemu zdumieniu i satysfakcji Pelagia odkryła, że na całym świecie istnieją entuzjaści tak rozkochani w wiedzy i jej spójnym objaśnianiu, że całymi miesiącami zasięgają informacji w jej imieniu i w końcu wysyłają jej ich znacznie więcej, niż prosiła, wraz z słowami osobistej zachęty i wykazami innych specjalistów i instytucji, których mogłaby się poradzić. W miarę jak piętrzyły się sterty korespondencji, Pelagia zaczęła się obawiać, że skończy na pisaniu „Historii powszechnej”, gdyż wszystko łączyło się ze wszystkim w bardzo zawily, pośredni, a zarazem elegancki sposób. W końcu wcisnęła pliki kartek do dużego segregatora i zaczęła się zastanawiać, co dalej począć. Należało rzecz opublikować jako wspólną pracę jej i ojca, lecz rozstanie się z tekstem, wysłanie tworu własnego intelektu w świat bez matczynej obrony i opieki wydawało się Pelagii aktem nieznośnie wprost bolesnym. Chciałaby znaleźć się u boku każdego czytelnika, żeby odpowiedzieć na jego zastrzeżenia i radzić, by nie opuszczał żadnych rozdziałów, dostarczyć mu dodatkowych informacji. Niemniej jednak spróbowała zasięgnąć języka u czterech wydawców, którzy wyrazili swą sympatię i poparcie, uprzedzili, że tego rodzaju książka nie znajdzie nabywców i orzekli, że najlepszą rzeczą byłoby ofiarowanie jej jakiemuś uniwersytetowi. Zrobię to, gdy umrę, pomyślała Pelagia i położyła rękopis na swej półce jako widoczne świadectwo niezaprzeczanego teraz faktu, że jest poważną intelektualistką, kontynuującą wspaniałą tradycję helleńskiego dziejopisarstwa.

Sprawa książki zaprzętała ją aż do roku 1961, kiedy to Karamanlis wygrał wybory z Papandreu. Pod koniec zimy Pelagia przejrzała swe obszerne dzieło i zdała sobie sprawę, że w jego kompozycji i stylu ujawnia się magiczna przemiana, która w niej zaszła.

Jej pismo na początku było równie pajęczyno watę i rozchwiane jak pismo ojca z okresu długoletniego milczenia, ale w miarę upływu czasu stało się stateczniejsze i bardziej zaokrąglone, śmielsze i pewne. Ale co jeszcze ważniejsze, sam proces pisania skryształizował opinie i zapatrywania filozoficzne, z których posiadania Pelagia nawet nie zdawała sobie sprawy. Odkryła, że jej rozumienie procesów gospodarczych jest w zasadzie marksistowskie, ale paradoksalnie uważała, że kapitalizm radzi sobie najlepiej z problemami ekonomicznymi. Sądziła, że tradycje kulturalne oddziałują na bieg historii z większą siłą niż przekształcenia gospodarcze i że natura ludzka jest w gruncie rzeczy irracjonalna aż do granic szaleństwa, co tłumaczy skwapliwość, z jaką ludzie akceptują wszelką demagogię i niewiarygodne wręcz sądy. Doszła do wniosku, że wolność i porządek nie wykluczają się, ale wzajemnie warunkują.

Drosula miała zbyt dużo zdrowego rozsądku, by wysłuchiwać wielkich teorii, tak więc Pelagia wbijała te idee do głowy bystrej i zdolnej Antonii. Siedziały do późna w nocy, zbyt odurzone filozofowaniem, by oderwać się od rozmowy i opróżnić pęcherze rozsadzane przez herbatę miętową lub położyć się do łóżek i zamknąć wreszcie piekące ze zmęczenia oczy.

Antonia, będąca teraz w najświeższym i najdoskonalszym stadium dziewczęcej urody i naturalnej przekory, sprzeciwiała się wszystkim ideom swej przybranej matki nie tylko dla merytorycznego sporu, ale dla zasady, i Pelagia szybko odkryła niezmierną rozkosz, jaką sprawia zmuszenie oponenta do zadania kłamu pogładowi, który głosił dzień wcześniej. Doprowadzała tym oniemiałą Antonię do wściekłości, obwarowując uwagi córki zastrzeżeniami, które pogrążały ją w następnych sprzecznościach lub wiodły do konkluzji tak wyważonej, że równała się zupełnemu brakowi opinii. Pelagia wznagała zniechęcenie i złość dziewczyny, powtarzając raz po raz: „Gdy będziesz w moim wieku, spojrzysz wstecz i zobaczysz, że miałam rację”.

Antonia nie miała najmniejszego zamiaru osiągać wieku Pelagii i natychmiast dała temu wyraz:

– Chcę umrzeć, zanim skończę dwadzieścia pięć lat. Nie chcę zrobić się stara i stetryczała. – Ujrzała przed sobą wieczność nieskończonej młodości i z ogniem w oczach dodała: – Najpierw to wy, starcy, stworzyliście wszystkie problemy, a teraz do nas, młodych, ma należeć ich rozwiązanie.

– Ciesz się swymi marzeniami – rzekła sentencjonalnie Pelagia, która wprawdzie nie

była zaskoczona, lecz zarazem przeżyła szok, gdy Antonia w wieku siedemnastu lat nie tylko oznajmiła, że ma zamiar wyjść za mąż, ale że odtąd będzie komunistką.

– Założę się, że i tak będziesz płakała, gdy umrze król – oświadczyła.

LXIX

Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka

W tym mniej więcej czasie z całego świata zaczęły przychodzić tajemnicze pocztówki, pisane w dość kulawej grece. Z Santa Fe nadeszła kartka o następującej treści: *Spodobałoby Ci się tutaj. Wszystkie domy zrobione są z gliny.* Z Edynburga: *Wicher na szczycie zamku zwala człowieka z nóg.* Z Wiednia: *Jest tutaj pomnik radzieckiego żołnierza i wszyscy nazywają go „Pomnikiem Nieznanego Gwałciciela”.* Z Rio de Janeiro: *Pora karnawału. Ulice pełne uryny i oszalamiająco pięknych dziewczyn.* Z Londynu: *Zwariowani ludzie, potworna mgła.* Z Paryża: *Znalazłem sklep, w którym sprzedaje się tylko pasy przepuklinowe.* Z Glasgow: *Brnę po kolana w sadzy i leżących pokotem pijakach.* Z Moskwy: *Dziela sztuki w metrze.* Z Madrytu: *Za gorąco. Wszyscy senni.* Z Kapsztadu: *Smaczne owoce, zgniły makaron.* Z Kalkuty: *Zasypany pyłem. Nie kończąca się biegunka.*

Pierwszą myślą Pelagii było, że to marynarska dusza jej ojca zaczęła odwiedzać jego ulubione obce kraje i wysyła te wiadomości z zaświatów. Ale Moskwa leżała daleko od morza. Potem przyszło jej do głowy, że pocztówki mogą być od Antonia.

Ale on także już nie żył, nie znał greckiego na tyle, by czytać i pisać w tym języku, a jeśli nawet pozostał między żywymi, po co miałby miotać się po świecie od Sydney po Kijów? Być może te anonimowe kartki pochodziły od kogoś, z kim korespondowała w czasie pisania „Historii”. Niepewna, lecz zarazem zaintrygowana i zadowolona, zabezpieczyła swą kolekcję osobliwych pocztówek gumką i ułożyła w pudełku.

– Masz jakiegoś tajemniczego chłopaka – orzekła Antonia, która z przyjemnością rozważała taką możliwość, ponieważ mogło to odwrócić uwagę od jej romansu, od którego zarówno Pelagia, jak i Drosula próbowały ją odwieść.

Poznali się w czasie, gdy Antonia zarabiała trochę pieniędzy, pomagając podawać kawę w ruchliwej kawiarni przy rynku w Argostoli. Grała tam wówczas hałaśliwa orkiestra dęta i dżentelmen, o którego chodzi, musiał wstać i wykrzyknąć zamówienie do ucha młodej dziewczyny, uświadamiając sobie w tej samej chwili, że ma przed sobą wspaniałe i pociągające młode ucho, wyraźnie domagające się nocnych pieszczot pod drzewem w ciemnej uliczce. Antonia z kolei zdała sobie sprawę, że oto pojawił się mężczyzna pachnący

dokładnie taką jak trzeba mieszanką męskości i płynu po goleniu; jego oddech był chłodny i kojący jak mięta, a wiecznie zaskoczone piwne oczy świadczyły zarówno o łagodności, jak i o poczuciu humoru.

Aleksy dzień w dzień przesiadywał beczynnym w kawiarni, rzucając się w oczy, wybierając zawsze ten sam stół, z sercem łomoczącym z tęsknoty za widokiem młodej i posągowej panny o wspaniałych zębach i smukłych palcach, które były stworzone do miłosnych ukąszeń i pieszczot. Antonia czekała na niego wiernie, gwałtownie zabraniając innym dziewczynom, kelnerom, a nawet samemu właścicielowi obsługiwać go. Pewnego dnia, gdy stawiała filiżankę na stoliku, Aleksy wziął ją za rękę, popatrzył na dziewczynę z psim uwielbieniem i powiedział:

– Wyjdź za mnie. – W wymowny i obrazowy sposób obrócił dłonią w powietrzu i dodał: – Nie mamy nic do stracenia oprócz naszych kajdanów.

Aleksy był prawnikiem-radykałem, który nie tylko potrafił dowieść tego, że gdy człowiek bogaty uchyla się od płacenia podatków, popełnia przestępstwo przeciwko społeczeństwu, ale i tego, że gdy czyni to biedak, jest to uprawniona, chwalebna i skuteczna walka przeciwko ciemnościom klasowym, zasługująca nie tylko na poparcie każdego logicznie myślącego obywatela, ale i na pełną aprobatę prawa. Potrafił doprowadzić sędziego do płaczu rozdzierającymi serce opisami nieszczęśliwego dzieciństwa swoich klientów, a zarazem skłonić ławę przysięgłych do owacji na stojąco, wygłaszając zjadliwe potępienie policji, która brutalnie i bezskutecznie stara się wymóc poszanowanie prawa.

Pelagia natychmiast zorientowała się, że z wiekiem Aleksy stanie się ultrakonserwatystą, i jej zastrzeżenia nie dotyczyły wcale jego orientacji politycznej. Chodziło o to, że nie potrafiła znieść myśli o Aleksym i Antonii uprawiających seks. Ona była bardzo wysoka, on bardzo niski. Ona miała dopiero siedemnaście lat, on trzydzieści dwa. Ona była szczupła i pełna wdzięku, on zaś pulchny i łysy i miał tendencję do potykania się o przedmioty, których nie było pod jego nogami, gdy pod nie patrzył. Pelagia przypomniała sobie swą namiętą miłość do Mandrasa w równie młodym wieku, wzdrygnęła się i otwarcie sprzeciwiła ich małżeństwu, zdecydowana zapobiec świętokradztwu i bluźnierstwu.

Mimo to dzień wesela był niezapomniany. Wczesną wiosną pola i zbocza wzgórz przywdziały szaty z krokusów, bratków i żółtych sternbergii, bladoliliowe zimowity zaś chwiały się na cienkich łądkach wśród wysuszonych już słońcem traw. Młoda para zgodnie z tradycją zdecydowała się na piętnastu drużbów i piętnaście druchen, a Aleksy z

powodzeniem wykonał nawet zwyczajowy taniec, nie ośmieszając się ani nie przewracając. Antonia, promienna i zachwycona, całowała obcych ludzi, przystających, żeby się pogapić, a jej oblubieniec, pocąc się od alkoholu i z radości, wygłosił długą i poetyczną mowę, którą ułożył z rymowanych epigramów; w znacznej ich części roztropnie wysławiał swoją teściową. Pelagia na zawsze zapamiętała moment uroczystości, w którym nagle dostrzegła w Aleksym to, co obudziło miłość w sercu Antonii; nastąpiło to wtedy, gdy zięć objął ją ramieniem, pocałował w policzek i rzekł:

– Mamy zamiar kupić dom w twojej wsi, oczywiście za twoim przyzwoleniem. – Jego szczerą pokora i dająca się wyczuć niepewność, czy ona zechce go mieć w pobliżu, wystarczyły, by zaczęła uwielbiać swojego zięcia. Od tego czasu poświęciła wiele radosnych godzin na haftowanie jego chusteczek i cerowanie dziur w skarpetkach, do których wyrzucenia usiłowała przekonać męża Antonia.

– Kochanie – mówiła – gdybyś tylko zechciał obcinać paznokcie u nóg, oszczędziłbyś mi wielu zadrapań i wybawił moją matkę od bezsensownej pracy.

Pelagia niecierpliwie czekała na wnuka, podczas gdy Drosula całkowicie oddała się pracy. W pustym miejscu na nabrzeżu, gdzie kiedyś stał jej dom, postawiła słomianą wiatę i kilka romantycznych latarni. Wyżebrała i pożyczyła skądś jakieś stare, chwiejące się stoły, ustawiła piecyk na węgiel drzewny i uroczyście otworzyła tawernę, którą prowadziła z niezwykle zapałem aż do swej śmierci w 1972 roku.

Turyści właśnie zaczęli napływać na wyspę. Najpierw pojawili się bogaci właściciele jachtów, którzy następnie przekazali swoim znajomym lekceważące uwagi o dziwacznych i nader operetkowych „restauracjach”, potem zaś objuczeni plecakami duchowi spadkobiercy ponurego kanadyjskiego poety i jego stylu życia. Znawcy i miłośnicy lorda Byrona przybywali małymi grupkami i znikali. Niemiecy żołnierze, którzy przeistoczyli się w zamożnych i jowialnych mieszczan z dużymi rodzinami, przywozili synów i córki i mówili im: „Tutaj właśnie tatuś był na wojnie, czyż tu nie jest pięknie?” Włosi przyplýwali promem z Itaki, przywożąc ze sobą obrzydliwe białe pudle, zdolne pożreć całą rybę, wystarczającą do nakarmienia pięciu tysięcy łaknących. Drosula jako właścicielka jedynej tawerny w małym porcie zarabiała latem wystarczająco dużo, by zimą w ogóle nic nie robić.

Lemoni, która była teraz mężatką – szokująco grubą i pobłogosławioną trojgiem dzieci – pomagała serwować dania i trunki, Pelagia przychodziła zaś rzekomo pracować, a w rzeczywistości po to, by skorzystać z okazji do mówienia po włosku. Obsługa nie należała do szybkich; była niesłychanie wprost powolna. Czasami Drosula posyłała jakieś dziecko rowerem po rybę, którą zamówił klient, a jeżeli ogień w piecu nie palił się należycie, trzeba

było czekać dwie godziny na przyrządzenie jedzenia. Goście byli traktowani bez zbytecznych względów, jak członkowie cierpliwej rodziny, których utrzymanie w ryzach i nadzorowanie należało do Drosuli, i dość często, jeżeli jakiś klient przypadł jej do gustu i wciągnął ją w rozmowę, w ogóle nie obsługiwała pozostałych. Szybko się przekonała, że cudzoziemcy uważają ją za egzotyczny okaz, siadała więc przy ich stolikach pełnych szkieletów cefali i kawałków chleba, odruchowo i bez skrępowania karmiąc miauczących i żebrzących potomków Psipsiny resztkami i zmyślając absurdalne opowieści o miejscowych duchach, obrzydliwych postępках Turków i o czasach, gdy mieszkała wśród kangurów w Australii. Cudzoziemcy uwielbiali krowie oczy, powolne szuranie nogami, indyjsze wole, wygięty grzbiet, olbrzymi wzrost i efektowne kępy włosów na twarzy Drosuli i bali się jej. Nigdy nie skarżyli się na złą pamięć właścicielki tawerny i opieszała obsługę i mawiali: „Biedna starowina, jest taka miła, że aż wstyd ją poganiać”.

Tymczasem Pelagia czekała na wnuka, który się nie pojawiał. Wybaczyła Antonii to, że zaczęła palić i nosić spodnie, zgodziła się też z córką, że należy znieść zwyczaj dawania posagu. Uśmiechała się, gdy w 1964 roku Antonia opłakiwała śmierć króla Pawła, choć powtarzała przez łzy, że monarchia to deprawujący anachronizm. W 1967 roku, gdy Aleksy został bezprawnie, lecz na krótko uwięziony przez juntę wojskową, i ponownie w roku 1973, gdy aresztowano go za szamotanie się z policjantem podczas studenckiego strajku okupacyjnego na wydziale prawa Uniwersytetu Ateńskiego, przeniosła się na pewien czas do domu Antonii, by podnieść ją na duchu. Później nie zdradzała się ze swymi wątpliwościami co do poparcia córki dla socjalistycznego rządu Papandreu, a nawet przyznała jej rację, gdy ta uparła się przy wyjeździe na kontynent, żeby brać udział w niesmacznych demonstracjach feministycznych. Czuli, że nie może wyszydząć tak wzruszająco utopijnej i optymistycznej wiary, a zresztą sama była wszystkiemu winna; zbierała burzę będącą nieuniknionym następstwem nauczania tej dziewczyny samodzielnego myślenia. W dodatku wciąż podobała jej się myśl, którą żywiła w swej młodości – że wszystko jest możliwe.

Przeciwstawiła się jednak upartemu twierdzeniu Antonii, że nie musi zapewnić jej wnuka.

– To moje ciało – twierdziła Antonia – i oczekiwanie, bym pozwoliła się ograniczyć przez biologiczny przypadek, jest niesprawiedliwe, prawda? Aleksy zgadza się ze mną, więc nie myśl, że możesz iść i go zastraszyć.

– Między wami wszystko w porządku, prawda? – zapytała Pelagia.

– Mamo, co chcesz przez to powiedzieć? W końcu nie jestem dziewicą, ten problem... no, nie istnieje. Nadal jest bardzo dobrze, skoro koniecznie chcesz wiedzieć. Nie chcę być

nieprzyjemna, ale czasami jesteś taka staroświecka.

– Nie, nie chcę wiedzieć. Jestem starszą kobietą i nie muszę tego wysłuchiwać. Chcę jedynie mieć pewność. Nie sądzisz, że mam do tego prawo?

– To moje ciało – powtórzyła Antonia, obracając ster ich wiecznego sporu w pierwotne położenie.

– Starzeję się – powiedziała Pelagia – i to wszystko.

– Będziesz żyła dłużej niż ja, mamó.

Jednakże to Drosula umarła pierwsza, wyprężona jak struna w swoim fotelu na biegunach – tak spokojnie, że wydawało się, iż przeprasza za to, że w ogóle żyła. Była kobietą niepokromioną, która spędziła parę krótkich lat szczęścia z ukochanym mężem, kobietą, która wyrzekła się własnego syna z powodu zasad i przeżyła resztę swoich dni, służąc szczerze tym, z którymi na pozór związał ją przypadek, a nawet zarabiając na ich utrzymanie. Kierowała małą rodziną jak cierpliwy pasterz i przygarnęła ją do swego szerokiego łona niczym matka. Gdy została pochowana na tym samym cmentarzu co doktor, Pelagia z rozpaczliwą jasnością zdała sobie sprawę, że nie tylko przybył jej następny płomień do podsycania, ale że jest samotna. Nie miała pojęcia, jak żyć dalej, i z lękiem i poczuciem beznadziei w sercu przejęła tawernę Drosuli i usiłowała zarabiać na chleb.

Aleksy, teraz już zupełnie łysy i po przebytej podróży z ideologicznego bieguna północnego purytańskiej partii komunistycznej do podzwrotnikowej strefy partii socjalistycznej, odkrył – początkowo z niepokojem i poczuciem winy – że jego sukcesy na niwie zawodowej niepostrzeżenie zepchnęły go do tej samej klasy, którą niegdyś gardził. Był ugrzecznonym burżujem z wielkim citroenem, rzekomo odpornym na trzęsienia ziemi domem, ozdobionym donicami z terakoty pełnymi geranium, z czterema garniturami oraz wstrętem do korupcji i niekompetencji, których uosobieniem była jego ukochana partia. Na zebraniach i przyjęciach przemawiał ze swadą, popierając socjalistów, ale w kabinie do głosowania ukradkiem stawiał krzyżyk przy nazwisku Karamanlisa, a potem udawał straszną rozpacz, gdy ten wygrał wybory. Wynajął księgowego i stał się równie skuteczny w unikaniu płacenia podatków jak każdy sumienny Grek, podtrzymujący tradycję.

Antonia wytrzymała cztery lata od chwili, gdy jej łono zaczęło domagać się mieszkańca, nie widząc powodu, by ulegać naciskom ciała, które wysuwa tak nierozsądne i podejrzane ideologiczne żądania, aż w końcu zawiązała z nim spisek i pozwoliła, by sprawiło, że zapomniała o zażywaniu pigułek. Dlatego też nie było osoby bardziej zaskoczonej niż ona, gdy jej brzuch raptem powiększył się nieprzyzwoicie i zaczęło w nim rosnać dziecko. Ona i Aleksy znowu zaczęli trzymać się za ręce w miejscach publicznych,

spoglądali zamglonym wzrokiem na niemowlęta i dziecięce ubranka i sporządzali długie listy imion po to tylko, by je kolejno skreślać, ponieważ „znali kogoś o tym imieniu i była to okropna osoba”.

– To będzie dziewczynka – powtarzała Pelagia często, przyciskając ucho do coraz większego brzucha córki. – Jest takie spokojne, że nie może być inaczej. Musicie dać jej na imię Drosula.

– Ale Drosula była taka duża i...

– Brzydka? To nie ma znaczenia. I tak ją kochaliśmy. Gdy to dziecko dorośnie, powinno wiedzieć, dlaczego otrzymało swe imię i kto je wcześniej nosił.

– Och, nie wiem, mammo...

– Jestem starą kobietą – oświadczyła Pelagia, która czerpała sporą satysfakcję z powtarzania tego refrenu. – To może być moje ostatnie życzenie.

– Masz sześćdziesiąt lat. W dzisiejszych czasach to nie jest starczy wiek.

– No cóż, czuję się stara.

– Nie wyglądasz staro.

– Nie wychowałam cię na kłamczuchę – odparła Pelagia; mimo to była ogromnie zadowolona.

– Mam trzydzieści cztery lata – zauważyła Antonia. – To jest dopiero sędziwy wiek. Sześćdziesiąt to tylko liczba.

Mała dziewczynka okazała się – bez cienia wątpliwości – małym chłopczykiem, z fascynująco pomarszczoną moszną i cienkim członkiem, który dobrze dowiódł swej przydatności w późniejszych latach. Pelagia kołysała niemowlę w ramionach, odczuwając smutek kobiety, która pozostała dziewicą i osobą formalnie bezdzietną przez całe życie, i zaczęła mówić o dziecku „Janis”. Tak często zwracała się doń tym imieniem, iż niebawem jego rodzicom wydało się oczywiste, że chłopak nie może już być Kiriakosem ani Wassosem, ani Stratisem, ani Dionizosem. Gdy nazywali go Janisem, uśmiechał się i wydmuchiwał śluzowate pęcherzyki, które pękały i spływały mu strużkami po podbródku, tak więc już nim pozostał. Chłopczyk miał zdecydowaną i upartą babcię, która rozmawiała z nim tylko po włosku, oraz rodziców, którzy poważnie mówili o posłaniu go do prywatnej szkoły, mimo że państwowym tak naprawdę nic nie brakowało.

Aleksy, powodowany nagle oczywistą myślą, że mężczyzna musi coś przekazać swojemu synowi – o ile to możliwe, bez podatku spadkowego – zaczął poszukiwać dobrych okazji do inwestowania. Wybudował mały blok mieszkań wakacyjnych na jałowym wzgórzu i zainstalował w tawernie nowoczesną kuchnię i toalety. Przekonał Pelagię do zatrudnienia

porządnego kucharza, pozostawiając jej stanowisko kierowniczkę; dochodami podzielili się po połowie. Na pomalowanych kredową farbą ścianach Pelagia przykleiła wszystkie pocztówki, które nadal przychodziły z czterech stron świata, oraz wielobarwne próbki obcych walut podarowane przez turystów, których robota i retsina pobudziły swym łagodnym działaniem do kapryśnej szczodrości.

Wykopaliska

Zanim Janis skończył pięć lat, a Christos Sarcetakis został wybrany na miejsce Karamanlisa, chłopiec wiedział już, jak się mówi „cześć” i „Czyż on nie jest cudowny?” w pięciu językach. Zawdzięczał to temu, że niemal przez cały czas przebywał w tawernie pod opieką swojej babki, wysłuchując gaworzenia różowoskórych sentymentalnych cudzoziemców, którym podobali się smagli chłopcy z czarnymi grzywkami nad hebanowymi oczami; przestawali się im podobać, gdy dorastali i przyjeżdżali do ich krajów w poszukiwaniu pracy. Janis zanosił koszyki z pieczywem do stolików, zerkając czarująco nad obrusa, i zarabiał na napiwkach wystarczająco dużo pieniędzy, żeby stać go było na kupienie pluszowego misia, zdalnie sterowanego samochodziku oraz gry symulującej mistrzostwa świata w piłce nożnej z piłkarzami z trwałego tworzywa. Pelagia z dumą przedstawiała go swoim gościom, a on pewnie i grzecznie wyciągał rękę – uosobienie dziecka idealnego, niespotykane już w zamożniejszych, lecz mniej wrażliwych społeczeństwach. Jego staroświeckie maniery były dla nich cudowną nowością; krzywił się tylko wtedy, gdy obejmowały go i obślinały grube kobiety o cuchnącym oddechu, umalowane tłustą, czerwoną szminką.

Przyczyną jego stałej obecności w tawernie „U Drosuli” był fakt, że jego ojciec budował nowe apartamenty wakacyjne z basenami kąpielowymi i kortami tenisowymi, a matka nawracała się na staromodny, presocjalistyczny feminizm, którego wyznawczyni deklarowała, że kobieta ma równe mężczyźnie prawa w kwestii prowadzenia kapitalistycznego przedsiębiorstwa. Pożyczyła od męża pieniądze na otwarcie sklepu i sumiennie spłacała je przez cztery lata z pięcioprocentowymi odsetkami. Otworzyła w Argostoli centrum handlu pamiątkami, w którym sprzedawano kopie antycznych amfor, paciorki uspokajające, lalki ubrane w fustanelle żołnierzy elitarnych oddziałów piechoty greckiej, kasety z muzyką *sirtaki*, sprzęt do nurkowania, posążki Pana grającego w widocznym skupieniu na swej fletni i obdarzonego oszałamiająco wzwidzionym członkiem, figurki sowiokiej Ateny uformowane w wapieniu, pocztówki, ręcznie tkane dywany, które w rzeczywistości wykonywano maszynowo w północnej Afryce, porcelanowe delfiny, statuetki

bogów, bogiń i kariatyd, maski tragików z terakoty, srebrne świecidełka, narzuty ozdobione meandrami, breloczki do kluczy, które zabawnie imitowały w miniaturze ruchy frykcyjne, małe nakręcane *buzuki* z luźnymi strunami wykonanymi z czerwonej nylonowej żyłki wędkarskiej, które grały „Nigdy w niedzielę” lub „Greka Zorbę”, egzemplarze powieści Kazandzakisa w angielskim przekładzie, ponure ikony z autentyczną patyną, przedstawiające rozmaitych świętych, których imion, napisanych greckim alfabetem, nie sposób było rozszyfrować, maści dla spalonych słońcem Brytyjczyków, skórzane paski i torebki, T-shirty z informacją „Mój tata pojechał do Grecji i dostałem od niego tylko tę ohydną koszulkę” w rozmaitych odmianach, przewodniki turystyczne i rozmówki, działka harpunniczne, paracetamol, torby plażowe, w których odpruwały się rączki, maty z rafii, chusteczki higieniczne i prezerwatywy. Antonia zarządzała swoim eklektycznym centrum, ubrana jak zawsze w olśniewająco białe rzeczy, siedząc w otwartym kantorku (żeby nie zostawiać żadnych tropów poborcy podatkowemu) z kciukiem w ustach i długimi nogami ułożonymi z wyrafinowanym wdziękiem.

Wkrótce otworzyła inne sklepy z identycznym towarem w Liksuri, Skali, Sami, Fiskardo i Assos i – chcąc uspokoić lepszą część swego artystycznego sumienia – sponsorowała pewnego garncarza, który miał produkować z mrozo odpornej terakoty naprawdę piękne wyposażenie i ozdoby w klasycznym stylu. Razem z Aleksym zwiedziła Paryż i Mediolan i wróciła z mglistym zamiarem otwarcia bardzo drogiego butik w Atenach. W tych czasach Aleksy pogardliwie odrzucał argumenty tych, którzy pragnęli dokonać wtórnego podziału jego majątku.

– Ja i Antonia zatrudniamy dziesiątki osób. Bogacąc się, przysparzamy pieniędzy naszym pracownikom, więc nie wciskajcie mi tych przestarzałych pierdoł, *okay?* Czego chcecie? Żeby oni wszyscy przeszli na zasiłek? Macie pojęcie, ile osób wytwarza rzeczy, które sprzedajemy? Setki, dosłownie setki.

Ich syn dorastał z zadowoleniem u boku swojej babci, pluskając się w zdumiewająco przejrzystej wodzie portu, zahipnotyzowany widokiem przemykających ławic śmigłych ryb. Wieczorami cała rodzina zasiadała wspólnie w tawernie, czasem przed porą wieczornego tłoku, ale częściej po niej, dyskutując po włosku i grecku. W czasie tych rozmów Pelagia, stęskniona już do czasów niemowlęstwa Janisa, pytała:

– Pamiętacie, jak zmieniałam mu pieluszkę na murku i nagle się zsikał, a wielka złota struga wytrysnęła i wylądowała na grzbiecie kota? I jak ten kot uciekał i jak lizał się do

czysta, fuj, a my śmiałyśmy się tak, że myśleliśmy, że pękniemy? To były czasy. Jaka szkoda, że dzieci muszą rosnąć. – Mały chłopiec śmiał się uprzejmie, pragnąc zarazem, by babcia nie wprawiała go w tak okropne zawstydzenie, a potem wychodził za mur i patrzył, jak wysoko zdoła ulokować wilgotną plamę, uginając nogi w kolanach i eksperymentując z możliwościami swojego interesującego przydatku oraz zasięgiem i pułapem cudownej złocistej strugi. Miał przyjaciela imieniem Dmitri, który potrafił sikać jeszcze wyżej niż on, i musiał trochę potrenować, zanim zacznie przyjmować zakłady. Trzymał tam również kawałek kredy i prowadził rachubę wszystkich pięknych cudzoziemek, które pocałowały go w policzki, gdy zegnały się na zakończenie wakacji. Było ich sto czterdzieści dwie, zbyt dużo niemal, by móc to ogarnąć wyobraźnią, nie potrafił też przypomnieć sobie twarzy żadnej z nich – pamiętał jedynie ogólne i błogie wrażenie, jakie robiły ich lśniące włosy i duże oczy, i aromatyczny zapach oraz sprężyste piersi, które rozplaszczały się na jego ciele, a potem odzyskiwały swój pierwotny kształt. Potem, gdy głęboko uśpiony w ramionach ojca, trafiał o północy do domu, śnił w wielu językach o wspaniałych dziewczynach i zapachu kremu nawilżającego.

Gdy miał dziesięć lat, w roku zawarcia pluralistycznej koalicji komunistów z konserwatystami, Pelagia zatrudniła muzyka grającego na *buzuki*, by zabawiał gości w tawernie. Na imię miał Spiridon, był charyzmatycznym mężczyzną rodem z Korfu i posiadał niewyczerpane zasoby siły witalnej. Grał na swoim *buzuki* z taką rozedrganą wirtuozerią, że zdawało się trzema instrumentami, i nawet Niemców potrafił pobudzić do tańca w kółku z rękami na barkach sąsiadów i ruchami stóp przypominającymi niecierpliwe stąpanie konia. Dokładnie wiedział, jak zagrać utwór *accelerando*, zaczynając bardzo wolno i pompatycznie i stopniowo przyśpieszając, aż wszyscy ogarnięci histerią tancerze ginęli w gąszczu rąk i nóg. Spiridon znał kołysanki i piosenki rybackie, klasyczne melodie i nowe kompozycje Theodorakisa, Ksarhakosa, Markopulosa i Chadzidakisa i urozmaicał je doskonałymi tremolandami i niezwyklej synkopowanymi improwizacjami, które powstrzymywały jego publiczność od tańca, ponieważ jeszcze przyjemniej było ich słuchać.

Janis wielbił Spiridona i jego potężne barki, wielką czarną brodę, szerokie usta, które zdawały się zawierać sto błyszczących zębów (w tym jeden złoty), oraz repertuar prestidigitatorskich sztuczek, kiedy to wyjmował jajka ze swoich uszu i sprawiał, że monety znikwały i pojawiały się w jego palcach w okamgnieniu. Pelagia również go kochała, ponieważ bardzo przypominał jej zaginionego bez wieści kapitana. Od czasu do czasu pragnęła z całego serca, by wehikuł czasu zabrał ją z powrotem do dni jedynej prawdziwej miłości jej życia. Myślała, że być może dusza kapitana zamieszkiwała w palcach kogoś takiego jak Spiridon,

wydawało się bowiem, że nawet wtedy, gdy instrumentalisci umierali, ich błędząca muzyka przechodziła w inne ręce i żyła nadal.

Janis w skrytości ducha pragnął zostać „harpunnikiem”, gdy tylko będzie wystarczająco dorosły. Owi „harpunnicy” byli młodymi Grekami, którzy żyli jedynie seksem i, oczywiście, z seksu, zabawiając pozbawione towarzystwa romantyczne cudzoziemki, przybywające na wyspę w poszukiwaniu prawdziwej miłości i wielokrotnych orgazmów w ramionach każdego współczesnego Adonisa, który zgodzi się zwalić je z nóg. Uważali, że są tak niezastąpieni w przemyśle turystycznym, iż była nawet mowa o utworzeniu związku reprezentującego ich interesy. W czarujący i rycerski sposób rozdawali piękne wspomnienia i złamane serca, czekając na lotnisku po odlocie jednej dziewczyny, by zdobyć następną, gdy przylatywała. W martwym sezonie snuli się na swoich mopedach po okolicy, dyskutując o hierarchii zasług seksualnych kobiet różnych narodowości. Włoskie dziewczyny były najlepsze, Angielki nie nadawały się do niczego, jeżeli się nie upiły. Niemki miały rutynę, Hiszpanki były nieposkromione i skłonne do melodramatów, a Francuzki tak próżne, że trzeba było udawać miłość od pierwszego wejrzenia. Janis uważnie oglądał swoje małe prącie podczas nieprzewidywalnych i bolesnych erekcji i zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie miał orgazm, czymkolwiek on jest, oraz czy i kiedy jego harpun zbudzi się ze swych mokrych snów i urośnie.

Janis nie omieszkał zauważyć, że Spiridon ma powodzenie u dziewczyn. Pod koniec każdego występu wyjmowały czerwone róże ze smukłych wazonów ustawionych na środku stolików i rzucały nimi w muzyka. Zauważył, że Spiro obchodzi salę wczesnym wieczorem, by pozrywać ciernie z łodyżek, tak bardzo pewien był tego kwietnego bombardowania. Zaobserwował też, że zawsze każe sobie robić zdjęcia z dziewczętami o błyszczących nosach, które obejmował ramionami, czasem z dwiema lub czterema naraz, i że przy tych okazjach jego promieniejąca dumą i szczęściem twarz rozciąga uśmiech od ucha do ucha. W wyniku tych obserwacji Janis zażądał pewnego dnia, by Spiro nauczył go gry na *buzuki*.

– Twoje ręce są jeszcze za krótkie – odparł Spiro. – Byłoby sensowniej, żebyś zaczął od mandoliny. To właściwie taki sam instrument, ale wystarczająco mały dla ciebie. Masz teraz dziesięć lat i może gdy skończysz czternaście, zaczniesz grać na *buzuki*. Popatrz... – Ułożył instrument na kolanach chłopca i wyciągnął jego lewą rękę... – Twoje ramię jest za krótkie, a dłoń nie dość duża, by objąć gryf. Potrzebujesz mandoliny.

Janis był trochę rozczarowany. Chciał być dokładnie taki, jak jego idol.

– Potrafisz grać na mandolinie?

– Czy potrafisz grać na mandolinie? A czy potrafisz chodzić i mówić? Tak właśnie się nauczyłem. Jestem najlepszym mandolinistą, jakiego słyszałem, jeśli nie liczyć jednego lub dwóch Włochów. W rzeczywistości mandolina to mój ukochany instrument.

– Nauczysz mnie?

– Przydałaby ci się mandolina. W przeciwnym razie musielibyśmy się ograniczyć do teorii.

Niecierpliwy Janis zamęczał matkę, ojca i babkę prośbami o mandolinę. Antonia wyjęła kciuk z ust i oświadczyła:

– Kupię ci ją w Atenach, gdy tylko tam będę. – Nie trzeba dodawać, że zapomniała o swojej obietnicy.

– Sprawię ci mandolinę, gdy pojadę do Neapolu – powiedział Aleksy, który nie miał pojęcia, kiedy się tam wybierze ani też po co. W końcu Pelagia wyznała:

– Prawdę mówiąc, mamy już mandolinę, tyle że jest zakopana pod starym domem. Jestem pewna, że Antonio nie miałby nic przeciwko temu, żebyś ją odkopał.

– Kto to jest Antonio?

– Mój włoski narzeczony, który został zabity na wojnie. Należała do niego. Pewnie sporo o nim słyszałeś.

– Ach, ten. Jeżeli jest zakopana, to będzie cała zbutwiała i połamana, prawda?

– Nie sądzę. Na środku podłogi była duża kłapa, a pod nią znajdowała się dziura. Ale sam nie będziesz w stanie przekopać się przez te wszystkie śmieci, a zresztą i tak nie pozwoliłabym ci na to. To zbyt niebezpieczne.

Janis ubłagał ojca, by ten posłał tam paru robotników budowlanych z jednej ze swoich budowli. Aleksy obiecał mu to, a potem zawiódł oczekiwania syna z powodu nagłych terminów, mających coś wspólnego z rychłym przylotem dużej grupy turystów do nowego ośrodka, którego instalacja wodociągowa nie była jeszcze kompletna. Aleksy był bliski apopleksji z obawy o losy kontraktu i wtedy po raz pierwszy burknął na syna, by chwilę potem przytulić go do siebie i przeprosić.

Tak więc chłopak zaciągnął Spiridona na wzgórze i pokazał mu upiorne opuszczone ruiny, porośnięte kępami długiej wysuszonej trawy i ciernistych krzewów. Ich popękane kamienie ledwie było widać spod zarośli. Wszędzie dokoła spoczywały milczące i opuszczone szczątki małych domów, żałosnych i osamotnionych. Przechylone schody prowadziły donikąd. Piec wioskowy przechylił się jak pijak, jego żeliwne drzwiczki były wyważone i pokryte rdzą przy zawiasach, z łuskami zgorzeliny gotowymi odpaść w żarze lub

na mrozie. W środku znaleźli kolonię stonóg i zwęglone ślady po niezliczonych posiłkach spożytych przez ludzi od dawna rozproszonych po świecie lub martwych.

– Chryste – mruknął Spiro, spoglądając na Janisa w niezmaconej scenerii spustoszenia. – Na Korfu wyglądało to znacznie lepiej. Czy ten widok cię nie zasmuca?

– Tak, to bardzo smutne miejsce – odparł Janis. – Przychodzę tu, by prowadzić poszukiwania, i wtedy, gdy jestem zły lub nieszczęśliwy. Mój dziadek zginął tutaj – dodał, wskazując palcem gdzieś. – Dali mi po nim imię. Babcia twierdzi, że był najlepszym lekarzem w Grecji i że mógł zostać pisarzem. Potrafił leczyć ludzi samym dotykiem.

Spiro przeżegnał się, mówiąc:

– Maryjo, chroń nas.

– Znalazłem tu masę rzeczy, ale większość jest zniszczona. – Młoda cętkowana kotka z brzuchem wzdętym od cięży uciekła truchtem. – Przychodzi tu polować na jaszczurki – wyjaśnił Janis. – Świetnie sobie z tym radzi. Zawsze zostawia ogon i ten skręca się sam przez wieki. Kapitalny widok.

– Spójrz na to – rzekł Spiro, wskazując na wielkie drzewo oliwne, które rozszczepiło się w środku; jego pień zaczął już butwieć, wciąż jednak było bujnie porośnięte wykrzywionymi czarnymi gałęziami i małymi zielonymi owocami.

– Wspinam się po niej – powiedział Janis. – Jest na niej gałąź, która świetnie nadaje się do huśtania. To ta.

– Pokuśtajmy się więc – zaproponował Spiro i chłopiec wspiął się na drzewo, by się dostać na gałąź, podczas gdy Spiro wyskoczył w górę i zawisł na niej. Obaj huśtali się przez parę chwil, wspomagani przez sprężyste drewno, a potem opadli na ziemię z uczuciem prawdziwie męskiego zadowolenia. Spiro zatarł dłonie i rzekł: – Dobra, bierzmy się do roboty, zanim zrobi się za gorąco. Zdajesz sobie chyba sprawę, że to fatalnie podziłała na moje ręce? Przypuszczalnie nie będę dziś w stanie grać. Czy wiesz, że gitarzyści nie zmywają naczyń, bo to zmiękcza im paznokcie? Świetne usprawiedliwienie, co?

– Ja tam lubię zmywać – odparł Janis. – To usuwa cały brud spod paznokci, a poza tym babcia mi za to płaci.

Obaj weszli przez coś, co kiedyś było drzwiami, i chwycili się za głowy z przerażenia. W środku leżała masa gruzu.

– Teraz i tak jest lepiej, niż było – powiedział Janis. – Mój tata zabrał wszystkie dachówki, które nie były popękane, i większość belek do budowy nowych domów. A babcia wygrzebała wszystko, co mogło się przydać.

Spiro wziął do ręki kij i podniósł jego końcem sklejoną prezerwatywę.

– Na litość boską! – zawołał. – Ci zasrani turyści. – Przerzucił kondom nad kępą krzaków, a Janis zapytał:

– Co to takiego?

– No cóż, młody człowieku, to właśnie naciągasz na swojego rozkosznika, gdy nie chcesz mieć dzieci.

– A jak się wtedy sika? Trzeba to zdejmować?

– Owszem, trzeba – odparł Spiro, czując, że jeśli nie będzie ostrożny, pozwoli się wciągnąć w szczegółowe wyjaśnienia. – W zasadzie zakładasz to tylko wtedy, gdy to robisz, rozumiesz?

– Och, więc to jest kondom? Słyszałem o nich. Dmitri mi powiedział.

Spiro uniósł brwi, wydał policzki i westchnął. Ach, te dzieciaki. Zaczął odrzucać gruz, kawałki połamanych dachówek, rozplaszczone puszki, długie, wstrętne kawałki powalnego papieru toaletowego (także pamiątka po turystach) i niezliczone zielone butelki.

– Mamy tu roboty na dwa dni – zauważył. – Cóż, będziemy musieli się z tym uporać.

Następnego wieczora pośrodku starej podłogi było już pusto, a za murami leżała pokryta pyłem metrowa sarta potłuczonych kamieni oraz połamanych i butwiejących kawałków drewna. Był tam również stos skarbów, które Janis pragnął zatrzymać: wiekowe rozbite radio z czerwoną wskazówką strojenia tkwiącą na stałe na Neapolu, pogięty rondel z wyszczerbioną dziurą w przerdzewiałym dnie, złamana laska ze srebrną gałką, nienaruszony szklany słoik, pełen ślimaczych muszli, zapleśniały zbiór grubych książek w języku angielskim zatytułowany „The Complete and Concise Home Doctor”, stetoskop, którego gumowe rurki sparciały, a lejkowata końcówka skrzywiła się, fotografia w srebrnej ramce z pękniętym szkłem, a pod nim zdjęcie dwóch obejmujących się, zabawnych pijaków w dziwacznych czapkach, a w oddali maleńka, lecz cudownie naga postać gibkiej dziewczyny, rozbryzgującej nogą wodę w morzu, także w idiotycznie wyglądającej czapce. Znalazł nawet cały album fotograficzny – trochę zawilgocony, z kartkami nadjedzonymi przez mole i pokrytymi brązowymi plamami od wody o delikatnych falistych zarysach. Pierwsze zdjęcie w kolorze sepia nosiło podpis: „Mama i tatuś w dniu ślubu”, i przedstawiało stojącą bardzo sztywno młodą parę w strojach tak staroświeckich, że Janis nie mógł uwierzyć, iż ktokolwiek ubierał się w ten sposób. Przeglądał zdjęcia, siedząc na murku: „Pierwsze kroki Pelagii” – fotografia dziecka w śmiesznej czapeczce, leżącego płasko na brzuchu i spoglądającego ze zdumieniem ku górze. Janis pokazał później zdjęcia babci, by się dowiedzieć, kogo przedstawiają. Tymczasem zaś wystarczająco fascynujące było znalezienie kozika o ostrzu zakleszczonym przez rdzę, szklanego słoika zawierającego zasuszone ziarno grochu, pokryte czarną i

łuszczącą się skorupą, oraz spleśniałego tomiku wierszy napisanych przez człowieka nazwiskiem Andreas Laskaratos.

Spiro usiłował wsunąć palce pod żelazny pierścień długich drzwi zapadowych, ale ten zatarł się w swojej obejmie i nie chciał ustąpić. Spiridon wsunął więc pod drewno ostrze znalezione w pobliżu starego śrubokrętu, ale metalowy pręt wygiął się jak trzcina i złamał. Musiałby pójść pożyczyć łom, ponieważ zawiasy z pewnością także zakleszczyły się od rdzy.

– Dlaczego ich po prostu nie rozwalimy? – zapytał Janis.

– Dlatego że nie chcemy rozwalić mandoliny, oto dlaczego. Niecierpliwość nic nam nie da. – Stali wpatrzeni w drzwi, drapiąc się po głowach, zniechęceni faktem, że natrafili na przeszkodę, znajdując się tak blisko celu. Po chwili uświadomili sobie, że w drzwiach stoi jakiś lekko pochylony wielki starzec w czarnym garniturze i koszuli bez kołnierzyka, z gęstym srebrzystym zarostem na twarzy.

– Co robicie? – zapytał. – A, to ty, młody Janis. Myślałem, że jesteście szabrownikami. Już miałem was stąd pogonić.

– Próbuujemy otworzyć te drzwi, *kirie* Welisarios – odparł chłopak. – Zakleszczyły się, a w środku jest coś, czego potrzebujemy.

Starzec wszedł do domu, powłócząc nogami, i popatrzył na klapę. Miał załzawione oczy. Janis zauważył, że przybysz ma w ręku czerwoną różę.

– Za chwilę je podniosę – rzekł – ale pozwólcie, że najpierw położę ten kwiat. – Wrócił na podwórko i bardzo ostrożnie umieścił różę na spieczonej ziemi. – Zwykle robię to w październiku – wyjaśnił – ale prawdopodobnie umrę do tego czasu, więc przyszedłem wcześniej.

– A po co to robisz? – zapytał Janis.

– Tam leży włoski żołnierz, młodzieńcze. Bardzo dzielny, wielki jak ja. Lubiłem go, był bardzo życzliwym człowiekiem. Przychodzę tutaj co roku, żeby pokazać, że nie zapomniałem. Nikt jeszcze mnie przy tym nie widział, ale kogo to teraz obchodzi? Mamy innych wrogów i obecnie to żaden wstyd.

– Chce pan powiedzieć, że tam leży prawdziwy kościotrup? – zdziwił się Janis. Oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdumienia i zachwytu, w skrytości ducha pomyślał, że wykopanie go byłoby upiorną zabawą. Zawsze chciał mieć prawdziwą trupa czaszkę.

– Nie tylko kościotrup. Człowiek. Zasługuje na wieczny spoczynek. Daliśmy mu butelkę wina i papierosa, i nie ma tam żadnej gderliwej kobiety, która by niepokoiła jego szczątki i zaczynała porządkować grób, w sytuacji gdy on chce jedynie spokoju. Ma

wszystko, czego mógłby pragnąć mężczyzna.

Spiro chrząknął i grzecznie, lecz sceptycznie powiedział:

– Niech się pan nie fatyguje, próbowałem już podnieść te drzwi i nie dałem rady.

– Udowodnię wam – rzekł dumnie Welisarios – że byłem najsilniejszym człowiekiem w Grecji, jeśli nie na świecie. O ile mi wiadomo, nadal nim jestem. Widzicie to stare kamienne koryto? W 1939 roku podniosłem je nad głowę, a nikt inny nie dokonał tego ani przedtem, ani potem. Podnosiłem na wysokość piersi muły z dwoma jeźdźcami.

– To prawda, to prawda – potwierdził Janis. – Słyszałem o tym. Właśnie *kirios* Welisarios uratował naszą wieś.

– Podaj mi rękę – rzekł Welisarios do Spiridona – i przekonaj się, jacy mężczyźni żyli dawniej na Kefalonii. Pamiętaj, że mam siedemdziesiąt osiem lat, i pomyśl, jaki musiałem być kiedyś.

Spiro wyciągnął dłoń, uśmiechając się nieco protekcyjnie. Welisarios objął ją i uścisnął. Wyraz malujący się na twarzy muzyka zmieniał się stopniowo, począwszy od konsternacji przez niepokój do przerażenia, gdy Spiro poczuł, jak jego zgniatane kości trzeszczą tak, jakby uwięzły między kamieniami prasy do oliwek.

– Aua, aua, aua – jęknął, opadając na kolana i zdesperowany unosząc drugą rękę w ustępliwym geście.

Welisarios puścił go i Spiro wpatrywał się w swą dłoń, poruszając palcami, zdjęty panicznym przerażeniem na myśl o tym, że mógłby już nigdy nie zagrać na żadnym instrumencie.

Welisarios pochylił się powoli i wsunął końce palców pod żelazny pierścień. Odchylił się w bok, by włożyć w ten wyczyn całą swą siłę, i drzwi poderwały się do góry w chmurze pyłu z nagłym i przyjemnym dla ucha odgłosem rozłupywanego drewna i pękającego starego żelaza, wyrwane z zawiasów i rozszczerzone wzdłuż czterech desek. Welisarios zatarł dłonie i dmuchnął na końce swych palców; wydawało się, że nagle powrócił do roli zmęczonego starca.

– Żegnajcie, przyjaciele – rzekł i, powłócząc nogami, powoli odszedł ścieżką do nowej wioski.

– Niewiarygodne – powiedział Spiro, wciąż masujący niemal sparaliżowaną rękę. – Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Taki starzec. Czy jego synowie też są olbrzymami?

– Nigdy się nie ożenił, był za bardzo zajęty demonstrowaniem swej siły. Wiedziałaś, że Kefalonia była pierwszym miejscem zamieszkania gigantów? Tak jest u Homera. Tak mówi babcia. Chciałbym być olbrzymem, ale chyba będę przeciętnego wzrostu.

– Niewiarygodne – powtórzył Spiro.

Wszystkie rzeczy w kryjówce, które były szczelnie zamknięte przez prawie trzydzieści sześć lat, zachowały się w doskonałym stanie. Janis i Spiridon znaleźli stary, nakręcany ręcznie niemiecki gramofon z korbką i zestawem płyt, dużą, misternie szydełkowaną narzutę, nieco pożółkły, ale nadal owinięty i wypchany miękką bibułą żołnierski chlebak, pełen wojennych osobliwości, dwie ładownice z kulami, plik zapisanych po włosku kartek, drugi plik zapisany pięknym pismem greckim, umieszczony w czarnym blaszanym pudełku i opatrzony tytułem „Nowa historia Kefalonii”. Był tam również pakunek owinięty suknem, zawierający futerał z umieszczoną w środku najpiękniejszą mandoliną, jaką Spiro widział w swoim życiu. Obracał ją na wszystkie strony w świetle słońca, zdumiony przepięknymi szlaczkami i obramowaniami, wspaniałą intarsją i mistrzowskim wykonaniem wypukłych fragmentów pudła rezonansowego. Powiódł wzrokiem po gryfie i stwierdził, że nie jest wypaczony. Brakowało czterech strun, a pozostałe cztery pokryły się czarnym nalotem, leżąc luźno na gryfie, gdyż Corelli zmniejszył ich naciąg, chowając instrument w 1943 roku.

– Ona jest więcej warta niż pamiątki dziwki. Janis, jesteś szczęściarzem. Musisz o nią dbać bardziej, niż kochasz swą matkę, rozumiesz?

Ale Janis był w tym momencie bardziej zainteresowany Lee Enfieldem z lufą tak długą, że jej koniec sięgał mu niemal do czubka głowy. Podniecony i uradowany, wymachiwał karabinem z biodra, uderzając Spiridona w tyłek i wołając:

– Paf! Paf! Paf!

Potem skierował lufę w stronę drzewa i nacisnął spust. Karabin poderwał się w jego rękach z okropnym, mogącym przyprawić o atak serca hukiem, lufa uderzyła chłopca w czoło, a z gałęzi nad jego głową spadł grad drzazg. Janis upuścił nieporęczną broń, jakby poraził go prąd; usiadł raptownie, wstrząśnięty i przerażony, i zaniósł się płaczem.

Antonia znowu śpiewa

Lee enfielda i amunicję przywłaszczył sobie Aleksy. Wyczyścił go, starannie naoliwił i włożył do swojej skrytki w szafie. Miał już maleńkiego derringera, stary włoski pistolet z paroma sztukami amunicji, a teraz ten wspaniały karabin, jeden z najlepszych dla snajperów, jaki wyprodukowano. Zmienił swój ulubiony slogan na: „Nie mamy nic do stracenia oprócz naszego majątku”, i teraz żaden włamywacz ani fanatyczny zwolennik rewolucji komunistycznej nie mógł go zaskoczyć. Nadal nie obcinał paznokci, ale oszczędzał teściowej cerowania, wyrzucając swoje dziurawe skarpety. Choć oboje z Antonią przytyli i szybciej się pocili, kochali się bardziej niż kiedykolwiek, zjednoczeni wspólną miłością do swoich przedsiębiorstw, które zastąpiły ich synowi braci i siostry.

Jeśli chodzi o Pelagię, Janis nigdy przedtem nie widział, by tak często płakała. Babcie były sentymentalnymi istotami i płakały nawet wtedy, gdy dawało się im znaleźć na plaży muszlę, ale ten całotygodniowy płacz przekraczał zdolność pojmowania chłopca.

Najpierw przycisnęła mandolinę do piersi, wołając: „Antonio, mio carino, Antonio!”, z twarzą drżącą z emocji, ze łzami kapiącymi z oczu, rozpryskującymi się na kaflach posadzki i spływającymi po policzkach, by zniknąć pod kołnierzem i w pomarszczonej szczelinie między falującymi piersiami. Potem podniosła plik zapisków po włosku i przycisnęła je do piersi, zawodząc: „Carlo, mio poverino, Carlo”. Następnie podniosła plik kartek zapisanych po grecku i jęknęła: „Och, tатku, tatusiu” – i tuliła do piersi szydełkowaną narzutę, a jej twarz spłynęła kolejnymi łzami i rozległ się lament: „O moje biedne nie spełnione życie, o Boże w niebiosach, o moje życie, samotne i pełne oczekiwania, o... ”, po czym Pelagia znowu wracała do mandoliny, obcałowując ją i tuląc do siebie jak niemowlę lub kota. Bezustannie puszczała stare porysowane płyty, zawzięcie kręcąc korbką i zużywając wszystkie zapasowe igły z małej przegródki w ścianie gramofonu. A wszystkie te płyty nagrała kobieta śpiewająca po niemiecku nosowym, dobiegającym jakby z oddali głosem. Janisowi podobała się jedna z nich, zatytułowana „Liii Marlenę”, która świetnie nadawała się do gwizdania podczas ulicznych spacerów. Płyty były bardzo grube i sztywne i wszystkie miały pośrodku małe czerwone nalepki.

– Czemu nie miałaś kaset? – spytał Janis.

Pelagia nie odpowiedziała, bo właśnie obracała w dłoni kozik, który kiedyś podarowała ojcu. Potem czytała wiersze Laskaratos, którymi się jej odwzajemnił, a głos poezji wypełniał jej duszę jak niegdyś, w czasach martwego teraz i nie utrwalonego na taśmie świata.

Janis pocieszał babkę, jak tylko potrafił. Siadał jej na kolanach, na co właściwie była już trochę za stara, i ocierał jej łzy przemoczoną chusteczką. Poddawał się bez przesadnego lęku uściskom, od których trzeszczały mu żebra, i zastanawiał się, jak ktoś mógł tak bardzo kochać starą kobietę o obwisłych policzkach, z żyłakami i siwymi włosami, tak rzadkimi, że wyziera spod nich różowa skóra. Cierpliwie stał, gdy raz po raz przeglądała album, powtarzając te same informacje tymi samymi słowami i pokazując postacie na zdjęciach plamiastymi palcami.

– To twój pradziadek. Był lekarzem, zginął, ratując nas podczas trzęsienia ziemi, a to Drosula, ciocia, której nigdy nie poznałeś. Była bardzo duża i brzydka, ale nie było na świecie miłszej osoby. A to stary dom, przed zawaleniem. I popatrz, to ja, gdy byłam młoda – możesz uwierzyć, że kiedyś byłam taka piękna? Trzymam na rękach kunę, Psipsinę, naszą ulubienicę. Była bardzo zabawnym stworzonkiem. A to syn Drosuli, Mandras – prawda, że przystojny? Był rybakiem i kiedyś zaręczyłam się z nim, ale źle skończył, niech mu Bóg da wieczne odpoczywanie. A to twoja prababcia, która umarła, gdy byłam taka mała, że ledwie ją pamiętam. Chorowała na gruźlicę i mój ojciec nie zdołał jej uratować. To właśnie on, gdy jeszcze był marynarzem, taki młody, dobry Boże, taki młody. Czyż nie wygląda na szczęśliwego i pełnego życia? Uratował nas w czasie trzęsienia ziemi. To Günter Weber, młody Niemiec. Nie wiem, co się z nim stało. A tu Carlo, który był taki wielki jak Welisarios – to właśnie on został pochowany w starym domu. Był taki życzliwy, choć miał swoje powody do smutku, o których nikomu nie wspominał. To są chłopcy z La Scali, rozśpiewani, wszyscy pod gazem, a tu oliwka, zanim pękła na dwoje, a to Kokolios i Stamatis, mogłabym ci o nich opowiedzieć parę zabawnych historii, starzy wrogowie, wiecznie spierający się o króla i komunizm, ale też najlepsi przyjaciele. A to Alekos, jeszcze żyje, jest starszy niż Matuzalem, nadal opiekuje się swoimi kozami. Tutaj Peloponez w widoku ze szczytu góry Enos, a to Itaka, gdy się obrócić i spojrzeć z tego samego miejsca. To jest Antonio, był najlepszym mandolinistą na świecie i miałam za niego wyjść, ale zginął i, prawdę mówiąc, nigdy tego nie przebolełam. To właśnie jego duch wychodzi zza zakrętu w dawnej wiosce, a potem znika... – Babcia Janisa przerwała, by uronić parę łez. – A to Antonio wygłupiający się na plaży z Günterem Weberem, jeśli zaś chodzi o tę nagą kobietę, to nie wiem, kim była, ale

mam swoje podejrzenia. A to Welisarios dźwigający muła – nie do wiary, prawda? Spójrz tylko na te mięśnie. To jest ojciec Arsenios, gdy jeszcze był bardzo gruby. W czasie wojny robił się coraz chudszy, a potem zupełnie znikł i nikt nie wie dlaczego – czy to nie dziwne? A to stary kafenijon, w którym tatuś, twój pradziadek, ukrywał się, ilekroć go potrzebowałam, i wiesz co? Byłam pierwszą kobietą, która tam weszła...

Gdy Janis spoglądał na te gładkie twarze z zamierzchłej przeszłości, naszło go dziwaczne uczucie. Oczywiście w dawnych czasach nie znano kolorowej fotografii i wszystko było w różnych odcieniach szarości, ale nie o to chodziło. Niepokoił go fakt, że wszystkie te zdjęcia zrobiono w terażniejszości, terażniejszości, która minęła. Jak to możliwe, żeby terażniejszość nie była terażniejszością? Jak to się stało, że małe prostokąty poplamionego papieru fotograficznego są wszystkim, co zostało z życia tak wielu ludzi?

– Babciu, czy ja umrę?

Pelagia spojrzała na niego i odparła:

– Wszyscy umierają, chłopcze. Niektórzy umierają młodo, niektórzy staro. Ja też wkrótce umrę, ale miałam swoją szansę. Człowiek umiera, a potem ktoś przychodzi, by zająć jego miejsce. Nieśmiertelni wyznaczyli człowiekowi stosowny czas na każdą rzecz na tej żyznej ziemi. Tak twierdzi Homer. Oprócz narodzin, bo to jedyny moment, w którym nie mamy wyboru. Pewnego dnia, ufam, że w bardzo sędziwym wieku, ty też umrzesz, więc nie próbuj mnie naśladować. Wykorzystaj wszystko do maksimum, dopóki możesz. Gdy umrę, chcę tylko, żebyś o mnie pamiętał. Dobrze? Och, przepraszam, Jani, nie chciałam cię zmartwić. Nie, nie płacz. O Boże. Zapomniałam, że jesteś jeszcze taki młody...

Janis poprosił matkę, by zdobyła dla niego struny do mandoliny, od której wywodziło się jej imię, i Antonia obiecała kupić je, gdy pojedzie do Aten. Aleksy obiecał, że przywiezie mu je z Neapolu, ale wciąż nie znajdował powodu, dla którego miałby tam jechać. W końcu Pelagia zawiozła Janisa autobusem do Argostoli i kupiła mu struny w sklepie muzycznym przy jednej z bocznych ulic, biegnących w górę wzgórza, prostopadle do głównej ulicy.

– Bardzo kocham twoich rodziców – powiedziała – ale oni nie zauważają niczego, co mają pod nosem. Ateny i Neapol! Co za bzdury!

Gdy wrócili do tawerny „U Drosuli”, Spiro starannie wyczyścił i wypolerował mandolinę. Wtarł grafit z ołówka w łąby trapezowe śrub i kręcił nimi tak długo, aż wszystkie obracały się gładko, bez zgrzytów, trzasków i jakiegokolwiek oporu. Pokazał młodemu chłopcu, jak przeciągnąć dolny koniec struny przez srebrną płużkę, zaczepiając pętlę z

polichromowanymi kulkami puszku na właściwym haczyku. Pokazał Janisowi, jak nawijać ją przez otwór w łbach śrub w taki sposób, by zmniejszyć ryzyko jej zerwania, oraz jak osadzać ją w rowkach mostka, wtarłszy weń najpierw trochę grafitu, by ułatwić strojenie.

Nauczył też chłopca, jak powoli stroić każdą strunę, przechodząc kolejno od jednej do drugiej, a potem wracając do pierwszej. Zademonstrował wykorzystywanie dźwięków harmoniczných do znajdowania prawidłowego położenia mostka, wyjaśnił zasady strojenia każdej struny do siódmej podziałki pary strun położonych nad nią, a potem zaczął grać. Zagrał trzy proste akordy, by przyzwyczaić palce do mniejszej niż w *buzuki* powierzchni szyjki mandoliny, a następnie zjechał w dół skali w błyskawicznym tremolandzie.

Janis połknął muzycznego bakcyła tak pewnie, jak pewnie zaczepione na płuźce były struny z dziwnymi kuleczkami puchu. W nabożnym skupieniu przyjął informację Spiridona, że nie można zostawiać mandoliny na słońcu, pozwalać, by zawilgła lub leżała zimą w zbyt niskiej temperaturze, upuszczać jej i że należy ją polerować specjalną pastą, jakiej używa się do czyszczenia *buzuki*, rozstrajać na czas przechowywania, stroić struny pół tonu wyżej, żeby szybciej osiadły w rowkach... Spiro oświadczył chłopcu z całą powagą, że trzyma w dłoniach najcenniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek będzie posiadał, i to obudziło w chłopcu lęk i cześć, których nigdy nie odczuwał w kościele, zaciągany do niego przez Pelagię. Pozwalał dotykać mandoliny tylko Spiridonowi i swojej babce i wpadał w furję, gdy ktoś uderzył w jego instrument.

Najdziwniejsze, że choć potrzebował mandoliny, aby w przyszłości móc robić wrażenie na dziewczynach, w wieku trzynastu lat, gdy był już dość dobrym instrumentalistą, odkrył, że dziewczyny to kompletna strata czasu. Ich życiowym powołaniem było zniechęcanie, denerwowanie i posiadanie rzeczy, których człowiek pragnął, a którymi one nie chciały go obdarzyć. W istocie były tylko złośliwymi i kapryśnymi małymi jędzami. Dopiero gdy skończył siedemnaście lat, a babcia wkroczyła w dziki i frywolny okres swej drugiej młodości, poznał dziewczynę, która zatrzymała się nieopodal, by posłuchać, jak on zmusza Antonię do śpiewu, i która sprawiła, że zapragnął jej aż do bólu.

Niespodziewana lekcja

W październiku 1993 roku Janis był niecierpliwym czternastolatkiem i miał za sobą całe lato gry w duecie ze Spiridonem i służenia za cel różnych bombardowań. Żeby nie denerwować babci ciągłym ćwiczeniem – a raczej nie chcąc przyprawić jej o płacz – wybrał się do ruin starego domu, by grać na osobności. Tego dnia skupił swą uwagę na wykonaniu porządnego tremolanda. Starał się obracać rękę w nadgarstku zamiast szarpać nią do góry i w dół, co było wyczerpujące i bardzo szybko wymykało się spod kontroli. Z wysiłku aż zagryzł wargę i nie zauważył starszego człowieka, który podszedł i przyglądał mu się z krytycznym, lecz ujmującym zainteresowaniem. Janis omal nie wyskoczył ze skóry, gdy jakiś głos powiedział z bardzo dziwnym akcentem:

– Wybacz, młodzieńcze.

– Ale mnie pan przestraszył!

– Na atak serca jesteś jeszcze za młody. Chodzi o to, że nie mogłem nie zwrócić uwagi na to, że robisz coś nie tak jak trzeba.

– Mam problemy z tym tremolandem. Stale gubię rytm. – Przyjemnie było rozmawiać ze starszym człowiekiem jak równy z równym; starsi ludzie bardzo często byli wyniośli lub nie można ich było zrozumieć, ten jednak miał bystre spojrzenie i roztaczał wokół siebie aurę siły i radości. Jego zainteresowanie przyjemnie łechtало próżność chłopca, który wyprężył nieco pierś, by poczuć się bardziej dorosły.

– Nie, nie, nie, to wyjdzie bardzo dobrze. Chodzi o twoją lewą rękę. Próbujesz wszystko zagrać pierwszym i drugim palcem, a to nie wystarczy. – Mężczyzna pochylił się i zaczął układać palce chłopca na strunach, mówiąc: – Spójrz, pierwszy palec unieruchamia struny na pierwszej podziałce, drugi te na drugiej, trzeci obsługuje trzecią, a czwarty czwartą. Początkowo wymaga to sporego wysiłku, ponieważ mały palec jest dość słaby, ale dzięki temu nie musisz wykręcać dłoni, przez co niepotrzebnie zwilżasz struny wiolinowe.

– Zauważyłem to. To bardzo denerwujące.

– Po prostu ilekroć przechodzisz przez skalę, zachowuj to samo położenie palców w stosunku do podziałki. Dzięki temu wszystko będzie o wiele łatwiejsze. – Mężczyzna

wyprostował się i dodał: – Naprawdę dobrego instrumentalistę zawsze rozpoznasz po tym, że zdaje się w ogóle nie poruszać rękami, a jego muzyka rozbrzmiewa jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Jeżeli zrobisz tak, jak ci radzę, prawie w ogóle nie będziesz musiał poruszać dłonią. Tylko palcami. To zapobiega wyslizgiwaniu się instrumentu. Mandolina z wypukłym pudłem rezonansowym zawsze stwarza taki problem i często myślałem o kupieniu portugalskiej, z płaskim dnem. Ale nigdy do tego nie doszło.

– Zdaje mi się, że sporo pan wie o mandolinach.

– No cóż, powinienem. Prawie przez całe swoje życie byłem zawodowym mandolinistą. I wiem, że kiedyś będziesz dobry.

– Zagra mi pan coś? – zapytał chłopiec, podając mężczyźnie mandolinę i plektron.

Starzec wsadził rękę do kieszeni płaszcza i wyjął z niej własną kostkę, mówiąc:

– Bez urazy, ale zawsze używam swojej. – Wziął mandolinę, umieścił ją poniżej przepony, na próbę trącił strunę i zaczął grać sicilianę z „Wielkiej sonaty G-dur” Hummła. Janis słuchał z rozdziawionymi ze zdumienia ustami, gdy nagle starzec przestał grać, obrócił mandolinę do góry dnem, przyjrzał się jej badawczo z wyrazem krańcowego niedowierzania na twarzy i wykrzyknął:

– *Madonna Maria*, to przecież Antonia!

– Po czym pan poznał? – zapytał Janis, zaskoczony i podejrzliwy zarazem. – Przecież nie może pan wiedzieć, że to Antonia, prawda? Widział ją pan już kiedyś?

– Gdzie ją znalazłeś? Kto ci ją dał? Skąd wiesz, że się nazywa Antonia?

– Wygrzebałem ją z tej dziury – odparł Janis, wskazując na otwartą kryjówkę pośród ruin. – Babcia powiedziała mi, że tam jest i że tak ją nazywała, więc nazwałem ją tym samym imieniem. Prawdę mówiąc, babcia dała też takie imię mojej mamie, ponieważ gdy mama była dzieckiem, wydawała mandolinowe dźwięki.

– Czyżby twoją babcią była *kiria* Pelagia, córka doktora Janisa?

– Tak. Mam na imię Janis, właśnie po nim.

Starzec usiadł na murze obok chłopca, nadal trzymając mandolinę, i otarł czoło chusteczką. Sprawiał wrażenie bardzo niespokojnego. Janis dostrzegł na jego policzku bliznę, ukrytą pod siwą brodą.

– Czy gdy ją znalazłeś, brakowało w niej czterech strun? – zapytał nagle mężczyzna.

– Tak.

– A wiesz, gdzie one są?

– Nie.

Starcowi roziskrzyły się oczy i poklepał się po piersi.

– Są tutaj. Doktor Janis pozszywał mi nimi żebra, a ja nigdy nie kazałem ich usunąć. Byłem też nafaszerowany kulami i doktor je wyciągnął. Co ty na to?

Chłopak był pod głębokim wrażeniem. Oczy zrobiły mu się okrągłe. Nie chcąc być gorszy, oświadczył:

– Mamy tu prawdziwego kościotrupa.

– Wiem. To jeden z powodów mojego przyjazdu. Leży tu Carlo Guercio. Był największym człowiekiem na świecie. I uratował mi życie. Zasłonił mnie przed plutonem egzekucyjnym.

Jego słowa zrobiły na chłopcu tak wielkie wrażenie, że zupełnie oniemiał; człowiek ze strunami mandoliny w żebrach, który stał przed plutonem egzekucyjnym i naprawdę znał właściciela szkieletu? To było lepsze od znajomości ze Spiridonem!

– Powiedz mi, młodzieńcze, czy twoja babcia żyje? Czy jest szczęśliwa?

– Czasami płacze, odkąd odkopaliśmy Antonię i wszystkie pozostałe rzeczy. Ma też sztywne kolana i trzęsą się jej ręce.

– A twój dziadek? Dobrze się miewa?

Chłopak sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Wykrzywił twarz i zapytał:

– Jaki dziadek?

– Nie ojciec twojego taty, tylko mamy. Czyli mąż Pelagii. – Starzec znowu otarł czoło i teraz wydawał się jeszcze bardziej przejęty.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Nie ma żadnego męża. Nawet nie wiedziałem, że go miała. Ale za to miałem pradziadka.

– Tak, wiem, był nim doktor Janis. Chcesz powiedzieć, że *kiria* Pelagia nie miała męża? Nigdy nie miałeś dziadka?

– Pewnie miałem, ale nigdy o nim nie słyszałem. Mam tylko ojca mojego ojca, ale on jest ledwo żywy. Mój ojciec też często ledwie żyje.

Starzec wstał. Rozejrzał się wokół siebie i rzekł:

– To było piękne miejsce. Tutaj spędziłem najlepsze lata swojego życia. I wiesz co? Kiedyś miałem ożenić się z twoją babcią. Chyba już czas, żebym ją znowu zobaczył. Aha! Ta mandolina należała kiedyś do mnie, ale słyszałem, jak grasz, i chciałem, żebyś ją zatrzymał. Zrzeknę się swoich praw.

Gdy obaj schodzili ze wzgórza, Janis powiedział:

– Ale największym człowiekiem na świecie jest Welisarios.

– *Porco Dio*, on też jeszcze żyje?

Janis zawahał się w pół kroku.

– Jeżeli to pan grał na mandolinie i miał ożenić się z babunią... czy to znaczy, że jest pan duchem? – Przez chmurę nad Liksuri na chwilę wyjrzało nie skąpiące światła jesienne słońce. Starzec przystanął w zadumie.

LXXIII

Wyrównanie strat

Antonio Corelli, mimo swych siedemdziesięciu paru lat, na nowo odkrył w swoich starych członkach odrobinę młodzieńczej zwinności. Uskoczył przed żeliwną patelnią i skrzywił się, gdy roztrzaskała okno za jego plecami.

– *Sporcaccione! Figlio d'un culo!*⁵¹ – wrzasnęła Pelagia. – *Pezzo di merda!*⁵² Całe życie na ciebie czekałam, całe życie cię oplakiwałam, całe życie myślałam, że zginąłeś. *Cazzo d'un cane!*⁵³ A ty żyjesz. Ależ ja jestem głupia! Jak śmiałeś złamać takie obietnice? Zdrajca!

Corelli oparł się plecami o ścianę, cofając się przed ostrymi dźgnięciami kija od miotły, z rękami uniesionymi na znak kapitulacji.

– Mówiłem ci już! – krzyknął. – Myślałem, że jesteś mężatką.

– Mężatką! – zawołała z goryczą. – Mężatką? Aż tak mi się nie poszczęściło! I to dzięki tobie, *bastardo*. – Znowu go szturchnęła i złożyła się do walnięcia go kijem od miotły w głowę.

– Twój ojciec miał rację. Powiedział, że masz w sobie dzikość.

– Dzikość? A nie mam prawa mieć, *porco*? Nie mam prawa?

– Wróciłem po ciebie. W 1946. Wyszedłem zza zakrętu i ujrzałem cię z maleńkim dzieckiem i palcem w jego buzi. Wyglądałaś na tak szczęśliwą.

– Czy byłam mężatką? Kto ci to powiedział? W czym ci to mogło przeszkadzać, że zatrzymałam dziecko, które ktoś zostawił na progu mego domu? Nie mogłeś podejść? Nie mogłeś zapytać: „Wybacz, *koricimu*, ale czy to twoje dziecko?”

– Proszę, przestań mnie bić. Wracalem tu każdego roku, wiesz, że tak było. Widziałas mnie. I zawsze miałaś przy sobie dziecko. Byłem tak rozgoryczony, że nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Ale musiałem cię widywać.

– Rozgoryczony? Nie wierzę własnym uszom. Ty? Rozgoryczony?

– Przez dziesięć lat, przez dziesięć lat byłem tak rozgoryczony, że nawet chciałem cię

⁵¹ Świnia! Dupek!

⁵² Wypierdek!

zabić. A potem pomyślałem, no cóż, w porządku, nie było mnie trzy lata, może myślała, że nie wrócę, może sądziła, że nie żyję, może uważała, że spotkałem kogoś innego i się zakochałem. Najważniejsze, że jest szczęśliwa. Ale nadal wracałem co roku, po to tylko, żeby zobaczyć, że dobrze się miewasz. I ty to nazywasz zdradą?

– A czy widziałeś tu kiedyś jakiegoś męża? I czy pomyślałeś, jak się poczułam, gdy podbiegłam do ciebie, a ty zniknąłeś? Nie bałeś się, że pęknie mi serce?

– Masz rację, rzeczywiście przeskoczyłem przez murek i ukryłem się. Musiałem. Byłem ostrożny. Nawet nie poprosiłem o Antonię.

– Dobrze sobie! – wykrzyknęła Pelagia w nagłym przyplywie intuicji. – Zostawiłeś ją, żebym czuła się winna, co? Potwór.

– Pelagio, proszę, to strasznie żenujące dla gości. Nie możemy iść na spacer i porozmawiać o tym na plaży?

Pelagia potoczyła wzrokiem po twarzach wszystkich obecnych; niektórzy szczerzyli zęby w uśmiechu, niektórzy udawali, że patrzą w inną stronę. Wszędzie leżały powywracane stołki i stoły, które rozwścieczona do ostateczności Pelagia pousuwała ze swej drogi.

– Powinieneś być zginąć – rzekła dramatycznie – i zostawić mi moje fantazje. Nigdy mnie nie kochałeś. – Wypadła jak wichur przez drzwi, pozostawiając w środku Corellego, który uchylał kapelusza, kłaniając się raz po raz i mówiąc: – Proszę, wybaczenie nam państwo.

Dwie godziny później siedzieli na znajomej skale, spoglądając na morze. Żółte światła portu odbijały się w pociemniałej wodzie.

– Widzę, że otrzymywałeś moje pocztówki – powiedział Antonio.

– Po grecku. Czemu nauczyłeś się greckiego?

– Po wojnie wyszły na jaw wszystkie fakty. Abisynia, Libia, prześladowania Żydów, okrucieństwa, tysiące nie osądzonych więźniów politycznych, wszystko. Wstydzilem się, że byłem najeźdźcą. Tak bardzo, że nie chciałem już być Włochem. Od około dwudziestu pięciu lat mieszkam w Atenach. Jestem obywatelem Grecji. Ale dość często wracam do Włoch. Latem jeżdżę do Toskanii.

– A teraz wyobraź sobie mnie, tak zawstydzoną, że chciałam być Włoszką. Czy napisałeś swoje koncerty?

– Trzy. Wykonywałem je na całym świecie. Pierwszy jest zadedykowany tobie, a jego głównym tematem jest „Marsz Pelagii”. Pamiętasz go? – Zanucił parę taktów, dopóki nie zauważył, że Pelagia stara się powstrzymać płacz. Miał wrażenie, że na starość zrobiła się

bardzo zmienna, zdolna do przechodzenia od namiętnych łez do gwałtownych napaści. Wybiła mu nawet sztuczną szczękę, tak że proteza upadła na piasek i trzeba ją było opłukać w wodzie. Corelli miał teraz w ustach słonawy, choć dość przyjemny smak.

– Oczywiście, że pamiętam. – Opuściła głowę i zmęczonym ruchem otarła oczy. Nagle, trochę bez związku, dodała: – Czuję się jak nie dokończony wiersz.

Corelli poczuł ukłucie wstydu i uniknął odpowiedzi.

– Wszystko się zmieniło. Domy były tutaj takie ładne, a teraz każdy budynek jest z betonu.

– Ale za to mamy prąd elektryczny, telefony, autobusy, bieżącą wodę oraz kanalizację i lodówki. A domy są odporne na wstrząsy. Czy to takie złe?

– To było straszne trzęsienie. Byłem tu. Długo trwało, nim cię odnalazłem i stwierdziłem, że nic ci się nie stało. – Dostrzegł jej zdumione spojrzenie i dodał: – Zrobiłem to, co mi kazałaś. Wstąpiłem do straży pożarnej. W Mediolanie. Powiedziałaś: „Nie walcz. Może zrobisz coś pożytecznego, na przykład wstąpisz do straży pożarnej?” Więc tak zrobiłem. Było tam dokładnie jak w wojsku. Masa czasu ma ćwiczenie pomiędzy wezwaniami. Gdy poprosili o ochotników, od razu tu przyjechałem. Widok wyspy złamał mi serce. Bardzo ciężko pracowałem. I miałem okropne przeżycie. Widziałem, jak grób Carla otworzył się i zamknął, widziałem leżące w nim ciało. Kawalki munduru, roztrzaskane kości i dwie monety w oczodołach.

Pelagia wzdygnęła się. Zastanawiała się, czy powiedzieć mu o tajemnicy, którą tak skutecznie ukrywał Carlo. Zamiast to uczynić, zapytała:

– Wiedziałaś, że to Carlo i mój ojciec napisali ten pamflet o Mussolinim? Kokolios go wydrukował.

– Miałem pewne podejrzenia. Postanowiłem nie zwracać na to uwagi. Wszyscy potrzebowaliśmy wtedy trochę rozrywki, prawda? Widzę, że nadal nosisz mój sygnet.

– Tylko dlatego, że mam artretyzm i nie mogę go zdjąć. Dopasowałam go do palca i teraz żałuję. – Spojrzała na wzbijającego się do lotu pólsołka z gałązką oliwną w dziobie i napisem *semper fidelis* wyrytym poniżej. Zawahała się. – Ożeniłeś się? Pewnie tak.

– Ja? Nie. Jak już mówiłem, przez wiele lat byłem bardzo rozgoryczony. Zachowywałem się okropnie wobec wszystkich, zwłaszcza wobec kobiet, a potem zaczęły się występy i jeździłem po całym świecie, latając z miejsca na miejsce. Musiałem opuścić straż pożarną. A zresztą to ty zawsze byłaś moją Beatrice, moją Laurą. Myślałem: kto zechce być tą drugą? Kto zechce się związać z człowiekiem marzącym o kimś innym?

– Antonio Corelli, widzę, że nadal kłamiesz swoim gładkim językiem. Jak możesz znieść mój widok? Jestem starą babą. Kiedy na mnie patrzysz, nie podoba mi się to, ponieważ pamiętam, jaka byłam kiedyś. Wstydzę się, że jestem taka stara i brzydka. Ty to co innego. Mężczyźni nie starzeją się tak jak my. Ty wyglądasz tak samo, tylko starzej i szczuplej. Ja wyglądam jak ktoś inny, wiem o tym. Chciałam, żebyś mnie zapamiętał taką, jaką byłam kiedyś. Teraz jestem tylko kupą mięsa.

– Zapominasz, że przyjeżdżałem tu na przeszpiegi. Jeżeli widzisz, jak coś następuje stopniowo, nie jesteś zaszokowany. Nie ma rozczarowania. Dla mnie jesteś ciągle taka sama.

– Położył dłoń na jej rękach, uściśnął je delikatnie i dodał: – Nie martw się. Jestem z tobą dopiero przez krótką chwilę i wciąż mam do czynienia z Pelagią. Z Pelagią złością, ale nadal Pelagią.

– Czy nie przyszło ci do głowy, że moje dziecko może być bękartem? Mogłam zostać zgwałcona. Zresztą niewiele brakowało.

– Myślałem o tym, Niemcy, wojna domowa...

– No i?

– Nie było mi to obojętne. Mieliśmy przecież pewne wyobrażenia o hańbie i towarach niepewnego pochodzenia. Tak, przyznaję, że nie było mi to obojętne. Dzięki Bogu, teraz nie jesteśmy już tacy głupi. Pewne rzeczy zmieniają się jednak na lepsze.

– Mężczyzna, który próbował mnie zgwałcić... Postrzeliłam go.

Antonio popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Jasny gwint! Postrzeliłaś go?

– Ale nikt mnie nie zhańbił. On był moim poprzednim narzeczonym.

– Nigdy mi nie mówiłaś o żadnym narzeczonym.

– Jesteś zazdrosny.

– Jasne, że jestem. Myślałem, że byłem pierwszy.

– No cóż, nie byłeś. I nie próbuj mi wmawiać, że ja byłam pierwsza.

– Byłaś najlepsza. – Zaczęło go ogarniać nadmierne wzruszenie i starał się opanować.

– Robimy się sentymentalni. Dwoje sentymentalnych starych głupców. Spójrz... – Sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął coś białego, zawiniętego w foliową torbę. Rozłożył ją i wyjął starą chusteczkę; Pelagia strzepnęła nią, żeby ją rozłożyć. Materiał chustki pokryty był brązowymi pręgami o złotych brzegach. – Pamiętasz, Pelagio? Jak szukaliśmy ślimaków i pocięłaś sobie cierniami twarz? Zachowałem ją. Sentymentalny stary głupiec. Ale kogo to obchodzi? Nie ma tu nikogo, na kim mogłoby to zrobić wrażenie. Po tak długim czasie mamy

do tego prawo. To piękny wieczór. Bądźmy sentymentalni. Nikt nas nie obserwuje.

– Janis. Chowa się za tym zwojem liny na drugim nabrzeżu.

– Mały diabeł. Chyba myśli, że potrzebujesz ochrony. Na tej wyspie nigdy nie było żadnych tajemnic, prawda?

– Chcę ci coś pokazać. Nie przeczytałeś zapisków Carla, prawda? Jednak była pewna tajemnica. Wróć do tawerny i zjedz coś, a ja dam ci jego zapiski. Robimy doskonale *pilafi* ze ślimakami.

– Ślimaki! – wykrzyknął Antonio. – Ślimaki. To jest coś. Pamiętam jak dzisiaj.

– Nie ludź się. Jestem już na to za stara.

Corelli usiadł przy stole pokrytym ceratą w kratę i zaczął czytać sztywne stare kartki, które zawinęły się na rogach. Charakter pisma był znajomy, a także ton i zwroty, ale z listu przemawiał do niego Carlo, którego nie znał: „Antonio, mój kapitanie. Żyjemy w złych czasach i mam bardzo wyraźne przeczucie, że ich nie przetrwam. Wiesz, jak to jest... ”

W miarę jak czytał, czoło mu się marszczyło, uwydatniając wszystkie linie i bruzdy. Raz lub dwa razy zamrugał, jakby nie dowierzał własnym oczom. Gdy skończył, poskładał kartki, położył je przed sobą na stoliku i stwierdził, że jego ślimaki wystygły. Zaczął je jednak jeść, ale nie czuł smaku potrawy. Pelagia podeszła i usiadła naprzeciw niego.

– Więc?

– Powiedziałaś, że żałujesz, że nie zginąłem? Żeby móc zachować swoje fantazje? – Postukał w plik kartek. – Żałuję, że mi to pokazałaś. Właśnie sobie uświadomiłem, że jestem bardziej staroświecki, niż mi się wydawało. Dotąd nie miałem o tym pojęcia.

– Kochał cię. Jesteś rozgoryczony?

– Smutny. Taki mężczyzna powinien mieć dzieci. Trochę potrwa, zanim... To dla mnie prawdziwy szok. Nic na to nie poradzę.

– Nie był po prostu kolejnym bohaterem, co? Był bardziej skomplikowany. Biedny Carlo.

– Chciał zrobić coś, żeby to sobie wynagrodzić. Biedny człowiek. Tak mi przykro. Czuję się winny. Chłopcy zmuszali go do chodzenia do burdelu. Taka tortura. To okropne. – Umilkł zadumany; po chwili przyszła mu do głowy pewna myśl. – Po wojnie odnalazłem Güntera Webera. Nie było to trudne – cały czas gadał przecież o swojej wiosce. Myślał, że szukam go z chęci zemsty, na zlecenie jakiejś komisji badania zbrodni wojennych czy coś w tym rodzaju. Błagał mnie o litość. Na kolanach. To było takie żałosne, że nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać. I wiesz co? Poszedł w ślady ojca i został duchownym. I oto klęczał przede mną w stroju pastora, płaszcząc się i skomląc. Nie mogłem tego znieść. Chciałem mu

podziękować i przyłożyć zarazem. Wyszedłem po prostu i już nie wróciłem. Przypuszczalnie wylądował u czubków. A może jest biskupem.

Pelagia westchnęła.

– Wciąż mam problemy z uprzejmym traktowaniem Niemców. Stale obwiniam ich o to, co zrobili ich dziadkowie. Tymczasem oni są tacy grzeczni, a ich dziewczyny takie ładne. To bardzo dobre matki. Czuję się winna, bo chciałabym ich skopać.

– Te biedne sukinsyny będą pokutować do końca świata. Właśnie dlatego są tacy grzeczni. Każdy z nich ma jakiś kompleks. Ale słyszałem, że naziści tu wracają.

– Wszyscy odprawiają pokutę. My mieliśmy wojnę domową, wy Mussoliniego, mafię i wszystkie te skandale korupcyjne, Brytyjczycy przyjeżdżają i przepraszają za imperium i Cypr, Amerykanie za Wietnam i Hiroszimę. Każdy za coś przeprasza.

– Ja też.

Zignorowała jego uwagę. Zamierzała go przetrzymać – trochę, jak długo mogła – żeby uzyskać dobrą cenę. Zręcznie zmieniła temat:

– Janis chce, żebyś go nauczył porządnie czytać nuty, i proponuje, byś przyjechał następnego lata i zagrał z nim i ze Spiрем. Spiro wrócił na Korfu, ale jest bardzo dobry.

– Spiro Trikupis?

– Tak. Skąd wiesz? Szpiegujesz nas aż tak dokładnie?

– To najlepszy mandolinista w Grecji. Poznałem go lata temu. Na popularnym *buzuki* grywa tylko dla turystów. W zimie czasem przyjeżdża do Aten. Poszedłem na jego zajęcia z gry na klasycznym *buzuki*, bo przecież to tylko duża mandolina, więc pomyślałem: czemu nie? No i pogadaliśmy sobie. Zna niektóre z moich utworów. Prawdę mówiąc, wykonuje je lepiej niż ja. To przez starość. Palce stają się wolniejsze. Grywałem z nim wiele razy. Janis też będzie dobry, to widać.

– Chce wstąpić do zespołu Patras Mandolimates.

– Czemu nie? Grają przyjemną i radosną muzykę. To dobre miejsce do startu. Kiedyś mieliśmy wiele takich zespołów we Włoszech, tyle że wszystkie instrumenty miały kształt mandoliny. Możesz to sobie wyobrazić? Mandolinowe kontrabasy i wiolonczele? Zabawny widok.

– Więc jesteś sławny?

– Tylko w tym sensie, że słyszeli o mnie inni muzycy. Mam masę idiotycznych recenzji, przyrównujących mnie do innego Corellego. Wykorzystuję to. Jestem dość cyniczny. Próbowałem komponować nowoczesną muzykę wszelkiego rodzaju. No wiesz, skale chromatyczne i mikrodzwięki oraz wszelkie huki, brzęki, piski i hałasy pracujących

kosiarek do trawy, ale tylko fachowcy i krytycy nie zdają sobie sprawy, jakie to straszne śmieci. Moja idea piekła: Schönberg i Stockhausen. – Skrzywił się. – Prawdę mówiąc, nie lubię nawet Bartoka, ale nie mów o tym nikomu. Nie pochwalam też Brahmsowskich przeskoków z jednej tonacji w drugą bez porządnego przygotowania. Zdałem sobie sprawę, że jestem z gruntu staroświecki, musiałem więc znaleźć inny sposób na muzyczne nowatorstwo. Wiesz, co zrobiłem? Wybrałem stare melodie ludowe, takie jak niektóre z melodii greckich, i rozpisałem je na niezwykle instrumenty. Mój drugi koncert obejmuje partie irlandzkich dud i bandžo i zgadnij, co się stało? Krytycy byli zachwyceni. W rzeczywistości ten utwór ma dokładnie taką samą formę, ten sam rodzaj rozwinięcia, jakie znajdziesz u Mozarta lub Haydna lub gdzie indziej. I w dodatku dobrze brzmi. Jestem po prostu oszustem czekającym, aż go nakryją. Specjalizuję się w znajdowaniu nowych sposobów bycia anachronicznym. Co o tym myślisz?

Pelagia przyjrzała mu się nieco znużonym wzrokiem i powiedziała:

– W ogóle się nie zmieniłeś. Paplesz jak najęty, zakładając, że wiem, o czym mówisz. Twoje oczy rozjaśniają się i odlatujesz. Równie dobrze mógłbyś mówić po turecku, bo i tak niewiele z tego rozumiem.

– Przepraszam, ale ten entuzjazm trzyma mnie przy życiu. Zapominam się. Pisałem nawet sporo niby greckiej muzyki, do filmów. Gdy nie mogli zatrudnić Markopulosa, Theodorakisa ani Eleni Karaindru, prosili mnie. Oszustwo sprawia ogromną frajdę, nie uważasz? W każdym razie teraz jestem na emeryturze... Prawdę mówiąc, sądziłem... Nie wiem, co o tym pomyślisz, ale...

Pelagia podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Tak? Co? Znowu chcesz mnie oszukać?

Antonio wytrzymał jej spojrzenie.

– Nie. Chcę tylko odbudować stary dom. Przeszedłem na emeryturę i chciałbym mieszkać w ładnym miejscu. Miejscu pełnym wspomnień.

– Bez wody i elektryczności?

– Wystarczy pompa ze starej studni i mała instalacja filtrująca. Jestem pewien, że jeżeli wsunę odpowiedniemu człowiekowi trochę drachm do kieszeni, podciągną tam linię energetyczną. Sprzedałabyś mi tę działkę?

– Kompletnie oszalałeś. Nawet nie wiem, czy jest naszą własnością. Nie ma żadnych aktów prawnych. Prawdopodobnie będziesz musiał wszystkich przekupić.

– Więc nie masz nic przeciwko temu? Czy twój zięć nie jest przypadkiem budowniczym? No wiesz, załatwmy to w rodzinie.

– Wiesz, że jeżeli przykryjesz go dachem, będziesz musiał zapłacić podatek?

– *Merda*, czy to dlatego ze szczytu wszystkich domów sterczą zardzewiałe pręty zbrojeniowe? Żeby wyglądały na nie dokończone?

– Tak. A czemu uważasz, że chciałabym, by taki stary cap jak ty mieszkał w moim dawnym domu?

– Płaciłbym ci za sprzątanie – odparł złośliwie.

Chwyliła przynętę, traktując serio jego słowa.

– Co takiego? Czy ja potrzebuję pieniędzy? Mając tę tawernę? I najbogatszego zięcia, jakiego widział świat? Myślisz, że jestem taka szalona jak ty? Wracaj do Aten. Zresztą i tak robiłaby to Lemoni.

– Mała Lemoni? Nadal tu mieszka?

– Jest wielka jak szafa i ma już wnuki. Ale pamięta cię. *Barba Crelli*. Nigdy nie zapomniała też wybuchu miny. Wciąż o tym mówi.

– *Barba Crelli* – powtórzył z tęsknotą w głosie. Czas był bez wątpienia parszywym draniem. Słabe stare ramiona nie są w stanie podrzucać babcinych szaf. – Nadal brzęczy mi w uszach od tamtej eksplozji – rzekł, a potem umilkł. – Więc mam twoje pozwolenie na odbudowę domu? – zapytał po chwili.

– Nie – odparła, nadal grając na zwłokę.

– Och. – Antonio popatrzył na nią niepewnym wzrokiem. Postanowił, że jeszcze wróci do tego tematu. – Mam zamiar odwiedzić cię jutro wieczorem. Z prezentami.

– Nie chcę żadnych prezentów. Jestem już na nie za stara. Idź do diabła ze swoimi prezentami.

– To niezupełnie prezent. Dług.

– Zawdzięczasz mi życie.

– Ach. Zatem przywiozę ci życie.

– Głupi staruch.

Antonio poszperał w kieszeniach i wyciągnął przenośny odtwarzacz kasetowy. Po paru następnych chwilach szperania wyjął kasetę w bardzo oryginalnym opakowaniu. Otworzył je, umieścił taśmę w kieszeni odtwarzacza i podsunął Pelagii słuchawki. Wykonała odmowny gest ręką, wymachując nią przed twarzą Antonia, jak gdyby opędzała się przed komarem.

– Daj mi spokój, nie pozwoliłabym sobie tego założyć nawet po śmierci. Rozmawiasz ze starą kobietą, nie z jakąś głupią siksą. Myślisz, że jestem nastolatką i będę się kiwała na wszystkie strony z czymś takim na głowie?

– Nie wiesz, co tracisz. To wspaniałe słuchawki. Idę. Powiedz Janisowi, żeby pokazał ci, jak to działa, i posłuchaj. Zobaczymy się jutro wieczorem.

Gdy odszedł, Pelagia podniosła pojemnik na kasetę i wyjęła zeń wkładkę informacyjną. Była w języku włoskim, angielskim, francuskim i niemieckim. Zrobiło to na niej wrażenie. Zdjęcie z przodu przedstawiało Antonia Corellego, młodszego o dziesięć lat, we fraku i muszce, z uśmiechniętą, zadowoloną miną i instrumentem trzymanym kurczowo pod nieprawdopodobnym kątem w prawej ręce. Przyniosła sobie kieliszek z winem na ogólne wzmocnienie i zabrała się do lektury notek. Ich autorem był niejaki Richard Osborne, Anglik, który – zgodnie z jeszcze jedną notką – był znanym krytykiem i specjalistą od Rossiniego. Zaczęła czytać:

Utwór ten, długo oczekiwana reedycja pierwszego koncertu na mandolinę i orkiestrę kameralną, został opublikowany po raz pierwszy w 1954 roku i miał swą premierę w Mediolanie, gdzie kompozytor wykonywał partię solową. Inspiracją dla autora była kobieta wymieniona w partyturze jako „Pelagia”, jej też został on zadedykowany. Główny motyw, skomponowany w takcie 2/2, został bardzo wyraźnie i z emfazą wykonany na instrumencie solowym po krótkim ozdobniku muzycznym na instrumentach drewnianych. To prosta żołnierska melodia, którą jeden z pierwszych recenzentów określił mianem „przebiegłe naiwnej”. W pierwszej części koncert rozwija się w formie sonaty i...

Pelagia pobieżnie przeczytała resztę recenzji. Zawierała ona bezsensowne uwagi o fugowym przetworzeniu tematu i temu podobne dyrdymały. Kobieta przyjrzała się badawczo rzędowi przycisków odtwarzacza ozdobionych strzałkami wskazującymi różne kierunki, ostrożnie wetknęła słuchawki do uszu i wcisnęła mały przycisk z napisem *play*. Rozległ się szum, a potem, ku jej zdumieniu, muzyka – zamiast w jej uszach – zaczęła grać w samym środku głowy.

Gdy fala nut zalała jej umysł, otworzył się wir wspomnień. Słyszała „Marsz Pelagii” nie raz, lecz wiele razy. Jego urywki pojawiały się ni stąd, ni zowąd w osobliwie zniekształconych i dziwacznych muzycznych postaciach, rozpisane na rozmaite instrumenty. Marsz stał się tak zagmatwany, że ledwie można było go rozpoznać w potoku nut w różnych rytmach. W pewnym momencie wyszedł z tego walc. (Jak on to zrobił? – zadała sobie w duchu pytanie), a tuż przed końcem rozległo się ogłuszające dudnienie kotłów, które sprawiło, że w panice zerwała słuchawki z głowy, sądząc, iż nastąpiło kolejne trzęsienie ziemi. Pośpiesznie nałożyła je z powrotem i uświadomiła sobie, że to rzeczywiście trzęsienie ziemi,

jego muzyczna ilustracja, a potem rozległ się przeciągły lament na płaczącym instrumencie, którym był – choć tego nie wiedziała – rożek angielski. Przerwały go pojedyncze uderzenia w kocioł, imitujące zapewne wstrząsy następce. Każdy z nich nadchodził tak nagle i nieprzewidzianie, że Pelagia podrywała się na krzesło, a serce podchodziło jej do gardła. I wtedy w to wszystko wtargnęła mandolina i pewnie przemaszerowała przez streszczenie tematu przewodniego, cichnąc coraz bardziej. W końcu zrobiła się tak cicha, że jej dźwięk zlał się z ciszą. Pelagia potrząsnęła odtwarzaczem, myśląc, że wyczerpały się baterie. Muzyka tego rodzaju powinna się chyba kończyć lawiną trzeszczących akordów? Wcisnęła jeden z przycisków przewijania i w odtwarzaczu rozległ się trzask. Ponieważ pomyliła przyciski, wcisnęła drugi i zaczęła, aż taśma wróci do początku. Tym razem usłyszała więcej niż przedtem – nawet grzechotanie, które bardzo przypominało odgłosy pistoletów maszynowych w dniach masakry. Był też nieco frywolny fragment, który mógł ilustrować czołganie się, szukanie ślimaków. Znowu jednak usłyszała to samo nieprzekonujące zakończenie, które po prostu rozpływało się w ciszy. Pelagia siedziała, łamiąc sobie nad nim głowę, trochę zła na Antonia, dopóki nie zdała sobie sprawy, że jej dorastający wnuk stoi przed nią z ustami rozdziawionymi ze zdumienia.

– Babciu, ty masz walkmana.

Pelagia zmierzyła go ironicznym wzrokiem.

– To własność Antonia. Pożyczył mi go. A jeżeli uważasz, że wyglądam w nim idiotycznie, co sprawia, że, twoim zdaniem, sam wyglądasz inaczej? Gdy kiwasz głową z otwartymi ustami i fałszujesz? Jeżeli tobie w nim do twarzy, to mnie również.

Janis nie miał odwagi powiedzieć: „To wygląda idiotycznie na głowie staruszki”, więc uśmiechnął się tylko i wzruszył ramionami. Pelagia dokładnie wiedziała, co jej wnuk sobie myśli, i wymierzyła mu delikatny policzek, uderzenie będące niemalże pieszczotą.

– Wiesz co? Antonio ma zamiar odbudować stary dom. Aha, skoro już o nim mowa, Lemoni powiedziała, że twoja matka powiedziała jej, że ty powiedziałeś swojej matce, że mam nowego chłopaka. Otóż nie mam. A w przyszłości pilnuj lepiej własnego nosa.

Nazajutrz wieczorem Corelli miał ogromne trudności z przejściem wzdłuż nadbrzeża do tawerny „U Drosuli”. Została mu ledwie cząstka dawnych młodzieńczych sił, a poza tym nie miał doświadczenia w kontaktach z tego rodzaju stworzeniem. Szarpanie i ciągnięcie nie zdało się na nic, a wyszczekiwanie rozkazów w najlepszym artyleryjskim stylu również zdawało się nie skutkować. Miał wyczerpujący dzień.

Kiedy wreszcie, ślaniając się na nogach, z wysiłkiem wkroczył do tawerny i opadł na krzesło, Pelagia oderwała się od walkmana, przełączyła go ze znanstwem na przewijanie i

zapytała:

– Co ty tu robisz z tym stworzeniem?

– To koza. Jak widzisz, przywiozłem ci życie.

– Widzę, że to koza. Myślisz, że nie potrafię rozpoznać kozy? Co ona tu robi?

Antonio posłał jej nieco złowieszcze spojrzenie.

– Powiedziałaś, że nie dotrzymuję swoich obietnic. Obiecałem ci kozę, pamiętasz?

Więc masz. Przykro mi, że poprzednią ci skradziono. Jak widzisz, ta wygląda dokładnie tak samo.

Pelagia stawiała opór; prawie zupełnie zapomniała, jak miłe potrafią być kozy.

– Kto mówi, że potrzebowałam kozy? W moim wieku? W tawernie?

– Nie obchodzi mnie, czy jej potrzebujesz. Obiecałem i jest. Taka sama jak tamta. Sprzedaj ją, jeśli chcesz. Ale gdybyś widziała, jak trudno było ją wpakować do taksówki, nie byłabyś taka nieugięta.

– Do taksówki? Gdzie ją zdobyłeś?

– Na górze Enos. Zapytałem kierowcę, gdzie mogę znaleźć porządną staroświecką kozę, a on powiedział: „Wsiadaj pan”, i pojechaliśmy za bazę NATO na górze. Trwało to wiele godzin. Tam spotkaliśmy tego starca imieniem Alekos i on mi ją sprzedał. Okpił mnie, to pewne, a potem musiałem podwójnie zapłacić taksówkarzowi za przywiezienie jej z powrotem. A jak śmierdziała! Tyle wycierpiałem, a ty teraz krzyczysz na mnie i skrzeczysz jak stara wrona.

– Stara wrona? Głupi staruch. – Pochyliła się i jedną ręką mocno ścisnęła kozę za nos. Drugą uniosła jej wargi i obejrzała żółte zęby. Potem przeczesała palcami sierść na zadzie zwierzęcia i wyprostowała się. – Nic jej nie brakuje. Ma kleszcze, ale poza tym jest w porządku. Dziękuję.

– Jak ją nazwiemy? – zapytał Janis.

– Apodosis – odparła Pelagia, ożywiona już myślą, że znowu ma kozę. – Możemy ją uwiązać do drzewa i karmić resztkami.

– Apodosis – powtórzył Corelli, kiwając głową. – Bardzo stosowne imię. „Wyrównanie strat”. Trudno o lepsze. Myślisz, że będzie dawała dużo mleka? Mogłabyś robić jogurt.

Pelagia posłała mu pobłażliwy uśmiech. Jej twarz rozpromieniła się.

– Dójj ją sobie, jeśli chcesz. Ja sama staram się doić tylko samice. – To mówiąc,

wskazała Corellemu obszerną różową mosznę z bliźniaczymi, wydłużonymi stożkowato bryłkami w środku. – To, twoim zdaniem, wymiona?

– *O coglione!*⁵⁴ – jęknął, speszony swą gafą, skrywając twarz w dłoniach.

Janis podziwiał osoby, które potrafią przeklinać, zwłaszcza w obcych językach, ale w ustach starego człowieka zabrzmiało to dziwnie. Starzy ludzie zawsze próbowali strofować go za przeklinanie. Ten Corelli najwyraźniej był równie dziwny, jak dziwna stawała się jego babka, podskakująca ze słuchawkami walkmana osadzonymi w rzadkich siwych lokach i uśmiechająca się nieśmiało, gdy myślała, że nikt jej nie obserwuje. Tego właśnie rana zaskoczył ją przed lustrem, przymierzając kolczyki z centrum handlowego Antonii i potrząsając głową w sposób, którego nie można by określić inaczej niż kokieteryjny.

– Jutro następna niespodzianka – rzekł Corelli, uniósł swój sponiewierany kapelusz i wyszedł.

– Boże mój – mruknęła Pelagia z sercem pełnym złych przeczuć.

Przyszło jej na myśl, że powinna pokazać Antonioniowi zaktualizowaną „Historię Kefalonii”; prawdopodobnie zainteresowałaby go wiadomość, że prawdziwym powodem masakry był fakt, iż Eisenhower przekornie odrzucił wszystkie plany wyzwolenia wysp greckich proponowane przez Churchilla i niepotrzebnie posłał włoskie lotnictwo do Tunezji zamiast na Kefalonię. Antonio przypuszczalnie wiedział, że rozkaz dokonania okrutnego mordy przyszedł od samego Hitlera, ale nie miała co do tego pewności.

– Czy on jest twoim chłopakiem? – uparcie powtórzył swoje pytanie Janis, za każdym razem otrzymujący dotychczas przeczącą odpowiedź.

– Idź pozmywać, bo ci nie zapłacę – odcięła się jego babka i poszła po grzebień, żeby jak za dawnych czasów wycesać sierść koziołka. Zastanawiała się, gdzie mogłaby teraz znaleźć maleńką kunę.

Jednakże, jej zdaniem, kapitan przeszedł samego siebie, gdy nazajutrz pojawił się przed drzwiami z piskiem hamulców, klekotem tłoków i w kłębach aromatycznego błękitnego dymu. Pelagia stała z rękami wspartymi na biodrach i niedowierzająco kręciła głową, gdy Antonio ostrożnie zsiadał z motocykla. Motor był jaskrawoczerwony, bardzo wysoki, miał grube, guzowate opony i wyglądał tak, jakby został skonstruowany specjalnie na wyścigi i rajdy. Kapitan przekręcił kluczyk w stacyjce i uciszył hałas. Kopnięciem opuścił nóżki i oparł na nich motor.

– Wiesz, dokąd pojedziemy? Pojedziemy sprawdzić, czy Casa Nostra wciąż stoi na

⁵⁴ dureń, kretyn

swoim miejscu. Tak jak za dawnych czasów... – poklepał kierownicę – ... na motorze.

Pelagia pokręciła głową.

– Naprawdę myślisz, że przetrwał trzęsienie ziemi? I naprawdę sądzisz, że pojedę na czymś takim? W moim wieku? Odejdź i zostaw mnie w spokoju. Nie snuj więcej przede mną swoich szalonych planów.

– Wynająłem go specjalnie. Nie jest taki ładny jak ten stary i robi straszny hałas, jak puszka ze ślimakami, ale jeździ bardzo dobrze.

Pelagia spojrzała w twarz sędziwego mężczyzny i z trudem stłumiła uśmiech. Antonio miał na głowie idiotyczny niebieski kask z małym daszkiem oraz lustrzane okulary przeciwsłoneczne – tak nowe, że zapomniał usunąć metkę, która dyndała mu na policzku niczym jesienny listek zaczepiony o nitkę pajęczyny. Pelagia dojrzała swoją pełną dezaprobaty twarz odbitą trójwymiarowo w soczewkach okularów i obserwowała, jak unosi dłonie z rozcapierzonymi palcami.

– Nie ma mowy. Jestem za stara, a ty nie potrafiłeś jeździć prosto nawet wtedy, gdy byłeś młody. Nie pamiętasz tych wszystkich kraks? Wówczas byłeś szalony, a teraz jesteś jeszcze bardziej.

Corelli zaczął się bronić:

– Na tym starym motorze chwialiśmy się dlatego, że musiałem stale manipulować dźwignią zmiany biegów. W tym wszystko jest zautomatyzowane. – Uniósł ręce i pozwolił im opaść, jak gdyby dla zaznaczenia, że nie ma problemu, po czym skinął na Pelagię.

– Nie – powiedziała. – Nogi mam sztywne w kolanach i nawet nie potrafię ich tak wysoko podnieść. – Nagle zauważyła, że Antonio włożył na koszulę coś jaskrawego, w czym wyglądał dokładnie tak jak hipisi, którzy pojawili się na wyspie pod koniec lat sześćdziesiątych. Zmrużyła oczy, by się lepiej przyjrzeć, co to takiego, i stwierdziła, że Antonio ma na sobie kamizelkę z czerwonego aksamitu, haftowaną w kwiaty, orły i ryby, którą ofiarowała mu przed pięćdziesięcioma laty. Udała, że jej nie zauważa, i nie skomentowała tego ani słowem, ale zdumiał ją fakt, iż przez cały ten czas Antonio tak troskliwie przechowywał kamizelkę. Była naprawdę wzruszona.

– *Koricimu* – rzekł, świadom, że dostrzegła jego strój. Liczył, że jej opór złagodniał.

– Nie ma mowy.

– Nie chcesz obejrzeć Casa Nostra?

– Nie w towarzystwie szaleńca.

– Nie chcesz chyba, żebym wynajął go na darmo?

– Chcę.

– Dostałem go na dwa dni. Możemy pojechać do Kastro i Assos, i do Fiskardo. Możemy siedzieć na skale i wypatrywać delfinów.

– Wracaj do Aten. Stary wariat.

– Przywiozłem ci też kask.

– Nie noszę czerwonego koloru. Czy widziałeś mnie kiedyś w czerwonym?

– W takim razie pojedę sam.

– Więc jedź.

Namówienie jej na przejażdżkę trwało całą wieczność. Gdy jechali po stromych i krętych drogach, przerażona Pelagia, z pobielającymi rękami i twarzą ukrytą między łopatkami Antonia, trzymała się go kurczowo w pasie. Maszyna ryczała pod nią, wywołując przyjemne, a zarazem głęboko niepokojące uczucie. Corelli zauważył, że Pelagia ściska go jeszcze bardziej rozpaczliwie niż w dawnych czasach i cynicznie dodał parę zjazdów na pobocze do serii tych, które były niebezpiecznie przypadkowe.

Pelagia nie wypuszczała go z kurczowych objęć. Uświadomiła sobie, że przez te lata schudł tak bardzo, jak ona przytyła. Nagle Antonio skręcił ku brzegowi jezdni, wpadając w lekki poślizg i wyrzucając spod kół drobny żwir. Ratuj mnie, święty Jerasimosie, pomyślała Pelagia. Odruchowo, szukając bezpieczeństwa, przesunęła ręce nad jego biodrami i splotła palce.

Jakiś wiekowy szary moped minął ich, dysząc i strzelając z tłumika. Był przystrojony nie jedną, lecz trzema dziewczynami, ubranymi w identyczne, bardzo kuse białe sukienki. Corelli dostrzegł w przelocie smukłe złociste uda, świeżo uwypuklone piersi, brwi biegnące łukiem nad czarnymi oczyma oraz długie rozpuszczone włosy, tak czarne, że prawie granatowe. Usłyszał, jak w jego sercu zaczyna wzbierać melodia, radosny utwór, wyrażający wiecznego ducha Hellady, koncert grecki. Komponując go, musiałby tylko wyobrazić sobie, że jedzie z Pelagią w poszukiwaniu Casa Nostra i mija trzy młode dziewczyny w najwspanialszym, pierwszym rozkwicie kobiecej swobody i piękna. Dziewczyna kierująca mopedem trzymała nogi na baku z paliwem, druga poprawiała pędzelkiem makijaż gestami malarki, przeglądając się w różowym lusterku, a trzecia siedziała tyłem, pogrążona w lekturze gazety; jej obute w sandały stopy ślizgały się tuż nad powierzchnią drogi.

Twarz dziewczyny przybrała wyraz głębokiej powagi, gdy starannie umalowanymi paznokciami próbowała poskromić łopoczące na wietrze strony.